

JAN NIŻNIKIEWICZ

KRZYŻ NILU

Ukazanie się tej książki najbardziej zaskakuje jej autora, dogłębnie przekonanego, że pozostawiony sam sobie poprzestałby na napisaniu do szuflady zbioru nowel o medycynie antyku. Stało się jednak inaczej. Sprawili to Grażyna i - szczególnie - Sławek Bral, któremu dziękuję za to, że chciał zostać ojcem duchowym, wielomiesięcznym opiekunem i wreszcie bez reszty zaangażowanym akuszerem tej powieści. Nie zapominam też przyjacielskich rad i pomocy, jaką uzyskałem od Ludwika Zawistowskiej oraz Ani Czekanowicz, a także starań Teresy i Andrzeja Chrzanowskich oraz Damiana i Kajetana Słoninów, bez których manuskrypt tej książki nadal czekałby wypełnienia swojego losu.

Autor

PROLOG

Pojęcie „doskonałość” używane jest sporadycznie. Rzeczy doskonałe mają miejsce niesłychanie rzadko, a występują głównie wówczas, gdy są dziełem natury lub twórczą symbiozą genialnego umysłu, talentu, inteligencji i wyobraźni. Ale nigdy nie było żadnej wątpliwości, że UCE - Universe Center of Education - zasługiwało w pełni na miano czegoś doskonałego, może nawet najdoskonalszego.

Całe szóste piętro nie rzucającego się w oczy gmachu zajmował Department of Strategic Substances. Tę nazwę nadano mu kiedyś, na samym początku istnienia. Właściwie tylko tradycja i przyzwyczajenia personelu sprawiały, że trwała nadal, mimo że zadania, jakimi tam się obecnie zajmowano, nie miały żadnego związku ani ze strategią, ani z materią, ani tym bardziej z jakimikolwiek substancjami. Ktoś, gdzieś, kiedyś przewidująco zaplanował, że właśnie taki zewnętrzny wizerunek tej instytucji będzie dla niej najkorzystniejszy. Ten ktoś zadbał również, by pozory traktowano jak rzeczywistość.

Przypadkowi przechodnie i interesanci innych departamentów, zlokalizowanych na niższych piętrach, a nawet średni personel licznych komórek naukowych, technicznych oraz organizacyjnych rozrzuconych po całym gmachu właściwie nie miał pojęcia o istnieniu DSS. Nieliczna grupa specjalistów wiedziała, że taki wydział w ogóle jest, ale już o jego strukturze i zadaniach miała ledwie mgliste wyobrażenia.

Prawdę o DSS, jego rzeczywistej roli, funkcjach, zadaniach i niekonwencjonalnych metodach pracy znali nieliczni. W istocie bowiem Departament zajmował się starannie przed opinią publiczną skrywaną supertajną i długofalową obserwacją zja-

wisk występujących w nie do końca rozpoznanym i zdefiniowanym przez naukę jakimś z wymiarów zmieniającej się i wzajemnie przenikającej czasoprzestrzeni. Analizował też zjawiska, w których jedna chwila znanego i określonego ziemskiego układu czasu mogła odpowiadać latom, wiekom, a nawet erom układu innego. I odwrotnie: tysiące lat czasoprzestrzennej rzeczywistości ziemskiej mogło stanowić zaledwie chwilę rzeczywistości innej, mimo że współistniejącej z nami, to jednak niepoznawalnej, niemierzalnej wiedzą dostępną przeciętnemu ludzkemu umysłowi. W DSS nazywano to badaniem zjawisk w przedłużonym lub skróconym czasie.

Wtorek nigdy nie stanowił specjalnie wyróżniającego się dnia. Godzina piąta rano nie była również tą, która z jakichś względów cieszyłaby się u kogokolwiek szczególną popularnością. Ale właśnie w ten szczególnie wtorek, tuż przed piątą, specjalne windy i przemyślnie zakryte przed oczyma ciekawskich ruchome schody dowoziły z rozległego kompleksu Universe Center of Education do holu głównego Department of Strategic Substances grupę starannie dobranych osób. Godzinę, datę i skład uczestników tego spotkania oznaczono klauzulą najwyższej tajności. Była niezbędna, UCE bowiem od niepamiętnych czasów stanowiło przedmiot stałej penetracji różnych wywiadów i permanentnej obserwacji mediów, wietrzących w tym miejscu możliwość zdobycia zawsze ciekawej informacji, a także - niekiedy - prawdziwej publicystycznej sensacji. Toteż gdyby teraz do wiadomości publicznej przedostała się wieść o tym spotkaniu oraz nazwiska osób biorących w nim udział, mogłyby wystąpić niepotrzebne komplikacje, ba! osoby niepowołane a sprawujące pełną - jak im się wydawało - merytoryczną i finansową kontrolę nad Universe Center of Education mogłyby zacząć stawiać niewygodne pytania. Zapewne zaistniałaby konieczność udzielania odpowiedzi, oczywiście nieprawdziwych, niczego nie ujawniających, lecz uspokajających opinię publiczną.

Na szóste piętro nie docierały nigdy osoby "z ilorazem inteligencji mniejszym niż czterysta. Dopuszczano tam jedynie tych, o których wiedziano, że potrafią sprostać zadaniom mającym

dla ludzkości największe znaczenie. Oni właśnie opracowywali plany superwaznych i jednocześnie supertajnych projektów i eksperymentów, oni kontrolowali ich przebieg i odpowiadali za wyniki. Potrafili zanalizować każdy problem, przewidzieć wszelkie zagrożenia, celowo wykorzystać przypadki z teorii prawdopodobieństwa, teorię zaś względności zaprząć w służbę najbardziej fantastycznego naukowego eksperymentu.

W dźwiękochłonnym pomieszczeniu, fachowo zabezpieczonym przed podsłuchem, zebrali się sami swoi. Niektórzy od lat pracowali razem, ale część nowo przybyłych nie widziała się od dawna. Mimo to wszyscy byli świadomi odpowiedzialności za decyzje, jakie w najbliższych godzinach przyjdzie im podjąć.

Punktualnie o szóstej na ścianie rozjarzył się mały ekran, pojawiły się na nim imiona, a może tylko znaki tożsamości, z których każdy przyporządkowany był jednej osobie wchodzącej w skład gremium. Od góry ekranu w dół biegła kolumna imion: Brahma, Enlil, Ozyrys, Kukulcan, Imhotep, Ooanes, Ptah, Wirakocza, Ra, Quetzalcoatl, Tot, Set... Uczestnicy spotkania podchodzili kolejno do ekranu i do identyfikacyjnej płytki umieszczonej obok przykładali dłoń, po czym przechodzili do następnego pomieszczenia.

Na dużym stole w kształcie podkowy zamontowano komputery najnowszej generacji, tak nowoczesne, że nawet oni - najbardziej wtajemniczeni - widzieli je po raz pierwszy. Odszukali swoje miejsca. Przygasło światło i pojawił się duży holograficzny napis *creatory syndrome*.

Wiedzieli, co to znaczy. Każdy z nich na klawiaturze swego komputera wcisnął poprzeczny szeroki przycisk, który kiedyś oznaczano symbolem „enter”, ale obecne jego funkcje nie miały już nic wspólnego z uruchamianiem aparatury. Na ekranach pojawiła się niewielka planeta z zaznaczonym kształtem kontynentów. Najazd kamery wyodrębnił Amerykę Północną. Przez kilka chwil szybko przesuwały się mało wyraźne, nierozpoznawalne obrazy. Stopklatka: na ekranie wykwitł tytuł leżącej przy ulicznym krawężniku gazety: „Washington Post”, 15. 02. 1996 roku. Ponowny odjazd obrazu w górę i widok smogu nadmorskiej metropolii z wysokimi budynkami i statua kobiet, trzymającej w wyciągniętej ręce płonący znicz.

Zmiana pejzażu: mała wyspa na Oceanie Indyjskim. Na płycie małego lotniska napis: *Male*. Kamera omiata brzegi wyspy porośniętej kępami kokosowych palm. W szmaragdowym atolu kąpią się roześmiani ludzie. Kamera ślizga się po wodzie i powoli kieruje obiektyw na rozłamujący się w dali tankowiec, z którego wypływa ciemnobrunatna maź, spychana wiatrem na niezbyt oddaloną plażę.

Zmiana obrazu. Ogromny zespół szaroczarnych chmur; kamera przebija się wolno przez gęste opary. Pod nimi niezwykle szeroka rzeka, na której rybak wyciąga z sieci dużego je-siotra. Do ciała wielkiej ryby zbliża licznik Geigera, po czym wyrzuca zdobycz do wody. Na burcie łodzi wymalowany cyrylicą napis *Jenisej*.

Odjazd kamery w prawo. Miliony komarów tworzą ciemną chmurę. Obok torów kolejowych odrapany zielony budynek z napisem *Norylsk*. Widać przewrócony słup graniczny z napisem *ZSRR*. Zmiana obrazu. W dali widnieje łańcuch wysokich ośnieżonych szczytów. Na najwyższym kilka proporczyków. W zbliżeniu widać mało wyraźne godła państw.

Gwałtowny przeskok i następny plan. Na ekranie pokazują się góry nieco niższe, brązowe, bezdrzewne. Brak roślinności. Brzydkie miasto, w którego centralnej części rysuje się wyraziście biało-czerwony, szlachetny w proporcjach gmach, a nad nim napis: *Chińsko-Malajskie Sympozjum Handlowe*, ów gmach to słynny Pałac Potala. Obok napis: *Autonomiczny Tybetański Region Chińskiej Republiki Ludowej*.

Szybka ucieczka kamery w bok. Charakterystyczny kształt grzyba reakcji termojądrowej. Zmieniające się szybko obrazy pokazują etapy eksplozji.

I znów zmiana planu. Nieznany operator kieruje kamerę na morze. Japoński statek strzela z działa dziobowego do nurkującego wieloryba. Na ekranach widać ślady krwi rannego olbrzyma, pogrążającego się w wodzie, i dziką radość skośnokiej załogi. Poprzez bezmiar Oceanu Indyjskiego kamera wędruje na zachód, mijając Madagaskar, na moment jakby niechęcący omiata samotny szczyt Kilimandżaro, ślizga się nad ogromnym obszarem dziewiczego lasu w dorzeczu Konga i zjeżdża na południe kontynentu. Na ściennym ekranie wy-

kwita mapa Republiki Południowej Afryki. Jest zakreskowana. Pojawia się obraz dużego nowoczesnego miasta. Na ulicach barykady. Oddziały czarnych ostrzeliwiają białych i odwrotnie. Czujny ukryty snajper, precyzyjna długa luneta na wysmukłej lufie, niezawodne oko zbliżone do obudowy okularu. Strzału nie słysząc, ale wyraźnie widać odrzut broni.

Kamera przesuwają się nad splekanym stepem. Jezioro Wiktorii, potem wstęga Nilu. W dole widoczne trzy charakterystyczne ostrosłupy piramid. Zajmują teraz cały kadr, który nieruchomieje.

Obraz znika, pojawia się pulsujący czerwienią napis: *Wprowadź do komputera-matki zapis swoich przemyśleń!* Rozlega się cichy stukot naciskanych klawiszy. Urządzenie w ciągu kilku sekund dokonuje analizy wprowadzonych informacji. Taki sam jak poprzednio napis obwieszcza: *Dokonano weryfikacji „Operacji Implant”. Wstęp do symulacji manewrów przed rozpoczęciem realizacji programu „Mesjasz”. Uwzględniono wszystkie dostarczone opcje oraz teorię katastrof i przypadków. Dokonano wyboru. Osobnik numer 11176325116. Właściwe, odpowiadające potrzebom eksperymentu, ogniwo kodu genetycznego. Mężczyzna. Wiek - trzydzieści pięć lat. Europa Środkowo-Wschodnia. Wykształcenie wyższe, lekarz; zdrowy, przeciętny, zrównoważony. Idealny środek rozrzutu. Czy są pytania?*

- *Czy obiekt jest świadomy roli, jaką mu wyznaczono?*

- *Nie.*

Rój punktów przekształcił się na ekranie w poziome pasy, przesuwające się w prawo i w lewo, odtwarzając szczegóły twarzy od zmarszczek na czole do owłosienia brody. Początkowo biało-czarny obraz postaci zmienił się w kolorowy. Twarz mężczyzny ukazywana jest w różnych ujęciach i rzutach, niczym aksjonometryczna bryła. Potem niknie, a na ekranie pojawia się pytanie:

- *Czy są sprzeczności?*

Odpowiedź jest jednoznaczna i jednomyślna.

- *Brak negacji.*

Komputer odlicza czas rozpoczęcia „Operacji Implant”

- *Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem, sześć...*

ROZDZIAŁ 1

Obudziłem się w kurzu na skraju kamiennej drogi wśród palmowych gajów. Z mętnego kanału unosił się mdły zapach gnijących traw. Jego środkiem spływały strzępy zielska i nenufarów. Obydwa brzegi gęsto porastał lotos i kwiaty podobne do hiacyntów. Daktylowe palmy wyciągały ku niebu liście, przypominające kształtem rozczapierzone palce wzniesionych rąk. Wśród zgiełku nie kończących się awantur uwijały się tam małe wiewiórki. Narastała spiekota poranka, żar rozpraszał resztki nocnej mgły i wysysał ostatnie krople rosy.

Podniosłem się z trudem. Czulem ból mięśni, szum w głowie, drżenie nóg. Niepewnie zrobiłem kilka kroków. Usiadłem na brzegu kanału, usiłując przypomnieć sobie cokolwiek, co wyjaśniałoby powody, dla których znalazłem się w tym nieznanym miejscu i w dziwnym stanie: byłem nagi. Wprawdzie obok leżał jakiś pas białego materiału, ale nie był moją własnością. Z nawyku usiłowałem sprawdzić czas. Znikł jednak zegarek, a także obrączka i łańcuszek. Nie ukrywam - poruszyło mnie to. Pomyślałem, że zostałem okradziony albo pozostaję w stanie psychozy, wypełnionej kolorowymi wizjami fantasmagorycznych snów. Przeżuwałem różne myśli, przesuając ciało za wędrującym cieniem.

Ktoś musiał mnie cholernie urządzić... A może to ja sam? - zastrzegłem się, aby nie spłoszyć resztek nieśmiałej nadziei, że to tylko resztki majaków nocy. Nie wyglądało to jednak na sen. Wpatrywałem się w zakurzony lotos, usiłując nieporadnie wycisnąć cokolwiek ze swej wyraźnie zmętniałej pamięci. Zaraz, zaraz, coś w niej jednak tkwiło. Właśnie tam, gdzieś głębo-

ko - zima, śnieg, mróz... A tutaj... palmy daktylowe, lotos, kanał i co najmniej 40°C...

- Niech to diabli — powiedziałem głośno i z obrzydzeniem splunąłem w nurt. Nie przyniosło mi to wielkiej ulgi, poczułem się jednak trochę lepiej.

Dokładnie obejrzałem swoje ręce, nogi, zębra, brzuch. Nic - żadnych śladów, żadnych objawów. Coś jednak było nie tak jak zwykle. Obmacałem głowę - była cała, ale nie miałem na niej włosów!

Spojrzałem na leżący płat materiału i na swoją nagość. Nie miałem wyboru. Tkaninę potraktowałem z szacunkiem girlsy, wkładając przed występem ostatnią parę rajstop, i ruszyłem wzdłuż kanału. Droga musiała prowadzić do jakiejś osady, do ludzi. Idąc czułem narastający niepokój; wewnętrzny głos coraz natrętniej ostrzegał, że sytuacja, w jakiej się znalazłem, nie jest dziełem przypadku. Moje wewnętrzne ja mówiło mi: bądź czujny.

W ostrych promieniach piekącego słońca wlokłem się nogą za nogą. Wreszcie w oddali dostrzegłem zarys budowli do złudzenia przypominającej piramidę. W niewielkiej odległości od niej zauważyłem osiedle glinianych domków, stojących nad brzegiem wąskiego kanału, na którym kołysały się łódki z sitowia. Właśnie stamtąd dobiegła mnie pieśń rybaka, który wprawnym ruchem zarzucał niewielką sieć. Siatka śmignęła w górze. W locie jej odważniki ułożyły się promieniście, zagarniając najpierw powietrze, potem wodę, wreszcie zapewne i ryby. Ku mojemu zaskoczeniu rozumiałem słowa towarzyszące melodii. Były proste i brzmiały mniej więcej tak: „O Wielki Boże, daj pokój i spokój mojemu domowi. Daj mi zadowolenie z żony, pociechę z dzieci. Spraw, aby te ryby były bardziej głupie niż zazwyczaj, i nakaż, aby tłuste tilapie nie chowały się w dziurach na dnie, skąd moja sieć ich nie wyciągnie!”

Widziałem sylwetki ludzi rozpalających ogniska. Mimo odległości czułem zapach pieczonego chleba i placków, smażonej ryby i krojonej cebuli. Wolnym krokiem zbliżałem się do wioski. Kobiety, zajęte odwiecznymi porannymi zajęciami, nie zwracały uwagi na liczne potomstwo. Między dziećmi wybu-

chła bójka, której przyglądały się bez specjalnego zainteresowania leżące w cieniu wyliniałe psy.

Dzieci zobaczyły mnie pierwsze. W powietrzu zastygły zaciśnięte piąstki, usta otworzyły się w zdumieniu, rozległy się okrzyki strachu.

W rytualnym geście powitania podniosłem rękę i trzymałem ją tak, aż zakończyła się ucieczka kobiet, dzieci i rozespanych mężczyzn, wybiegających z trzcinowych mat zastępujących drzwi. Spowodowałem panikę. Z głośnych krzyków wypełniających powietrze zrozumiałem jedynie słowo „nateru”, oznaczające nadzorcę.

Wszedłem między kamienne paleniska, nad którymi wisiały gliniane garnki z warzoną strawą. Pod dachami przewieszonych szafasów stały konwie. Niektóre zapieczętowane woskiem, inne zatkałe zwyczajnymi drewnianymi czopami. Jedna była otwarta. Wewnątrz znajdowało się ziarno. Obok leżały dwa płaskie, żłobkowane kamienie, na dolnym zauważyłem biały pył. Dotknąłem palcem: mąka, zwyczajna mąka. Wtedy poczułem swąd spalenizny i w ostatniej chwili z rozgrzanych kamieni oderwałem nieco nadpalone podpłomyki. Lekko osolone, z dodatkami cebuli, mogły zaspokoić pierwszy głód. W innym obiegu wyłowilem z garnka kawałki ugotowanej ryby.

Na niewielkim pagórku zobaczyłem małą świątynię. Podobnie jak nędzne domostwa, ją również ulepiono z gliny, tylko niedbale pobielono wapnem. W środku stała figurka nieznanego mi bóstwa. Wpatrując się weń dokładniej, zobaczyłem u dołu znany symbol. Był to ankch - krzyż z pętlą zamiast górnego ramienia, krzyż Nilu, symbol życia. Byłem w Egipcie! Chryste!

Usiadłem i spróbowałem odtworzyć sobie wszystko, co przeżyłem od chwili obudzenia. Analizowałem sytuację czując, że to, w czym tkwię po uszy, jest całkowicie realne. Widziałem, słyszałem, czułem zapachy, odczuwałem ból, głód, pragnienie, rozumiałem mowę tych ludzi. Dlaczego jednak spowodowałem ich ucieczkę? Wchodziłem do domów, znajdowałem tam prymitywne prycze z wyplatany materacami, trzcinowe wezgielowa, zamiast poduszek wymodelowane deseczki, drewniane krzesła bez oparcia, żadnych skrzyń, mebli, zamiast pod-

łóg zwyczajne klepisko z ubitej gliny. Wałały się po nim porzucane kawałki przybrudzonego materiału; większe chyba dla kobiet, mniejsze pewnie dla opasania męskich bioder. Nigdzie nie dostrzegłem bodaj śladu papieru, plastiku, szkła ani blachy. To było tyleż niezwykle, co niepokojące. Zwiedziłem większość chat, szukając przedmiotów lub narzędzi z żelaza, lecz nie znalazłem.

Słońce świeciło prawie pionowo. Cień stał się krótki. Ptaki ukryły się w koronach drzew, a powierzchni wody w kanale nie przebijała żadna ryba. Schowałem się pod jednym z trzcinowych daszków. Nieopodal zobaczyłem w ziemi otwór, w którym znikła lina, uwiązana do jednej z gałęzi tworzących dach. Wybrałem kilka metrów sznura. Wyciągnąłem kilkulitrowy, szczelnie zatkany dzban. Wyjąłem czop i usłyszałem syk. Pokazała się piana, a w moje nozdrza uderzył zapach drożdży. Pиво... W dodatku chłodne. Co za rozkosz! Wypiłem połowę zawartości i położyłem się, chcąc odpocząć. Zapewne zasnąłem. Wtedy po mnie przyszli.

Przebudzenie nie jest miłe, kiedy na szyi zaciska się pętla sznura, a ręce są mocno związane powrozem. Tym mniej przyjemne, kiedy drugi koniec linki biegnie do drewnianego rydwanu, na którym w dodatku jedzie pokazowo umięśniony osobnik. Jakby i tego było mało, za mną równym krokiem podążało trzech strażników, zbrojnych w pałki, przypominające kije do baseballa, zawierające w główicy o kształcie gruszki kilkanaście prymitywnie obrobionych kamieni.

Woźnica rydwanu patrzył w dal. Głowę wysunął do przodu, zaparł się nogami, w prawej ręce dzierzył lejce pary dobrze utrzymanych koni, których zaplecione w warkocz ogony zakończono czerwoną kulą, splecioną z wełnianej przędzy. Przy jego płóciennym pasie zwisał prosty, poszczerbiony miecz z brązu, otoczony rzemienną siatką, a w umocowaniu łęgu tkwił oszczep, drewniany prosty łuk oraz trzcinowy kołczan, z którego wnętrza wystawały opierzone strzały.

Wjechaliśmy na wzgórze, skąd droga prawie prosto biegła w dół, ku miastu. Otoczone było murem, zbudowanym z wypalonych cegieł, ale nie miało fosy. Przy drewnianej bramie stali

strażnicy. Mnóstwo osób spieszyło, chcąc zapewne znaleźć się w mieście przed zachodem słońca. Mój nadzorca zwiększył tempo i poczułem, że pętla sznura zmusza mnie do szybkiego kroku, wreszcie do biegu. Skądś rozległy się chrapliwe dźwięki rogów. Łapiąc ostatni oddech, wbiegłem do miasta. Usłyszałem za sobą łoskot zatrzaskiwanej bramy.

Opiekunowie - jeśli ich roli i zachowaniu odpowiada ta nazwa - zwolnili i wyrównali krok. Wyciągnięte pałki rytmicznie kołysały się w ich rękach w takt marszu. Przypadkowi przechodnie, gapie, mieszkańcy domów bez najmniejszego zdziwienia patrzyli na pochód.

Woźnica obrócił się i po raz pierwszy zobaczyłem jego tors ozdobiony długą ukośną blizną. Spostrzegł, że mu się przypatruję i wskazując na siebie brudnym palcem z dumą wyrzekł:

- Bitwa pod Kadisz - po czym wydał krótki rozkaz: - Zprowadźcie go do dowódcy.

Odwiązał sznur od rydwanu i jego koniec rzucił w stronę strażników.

Schodami weszliśmy na wysoki wewnętrzny podest murów. Z góry rozciągała się rozległa panorama. Moją uwagę przyciągnęły widniejące na tle zachodniego nieba trzy stożki piramid. Patrzyłem na nie z podobnie świeżym zachwytem jak wówczas, gdy oglądałem je po raz pierwszy. Słońce świeciło gęstniejącą już czerwienią zachodu, odbijającą się w złotych kulach umieszczonych na szczytach czarnych piramidionów i różowych okładzin z asuańskiego granitu, pokrywających dolne partie ścian piramidy Cheopsa. Czulem, że robi mi się duszno i gorąco, a potem zimno. Przed oczyma zaczęły latać iskierki. Rozpaczliwie rozglądałem się wokół. Chryste, piramidy jeszcze z okładzinami, kanały na pustyni, Sfinks z nie uszkodzonym nosem, rydwany, maczugi... A Kair? Gdzie jest znany mi współczesny, wielomilionowy Kair...? Resztką gasnącej świadomości zacząłem wreszcie rozumieć szokującą prawdę: brutalnie wyrwano mi z mojego właściwego czasu i jakimś niewytłumaczalnym sposobem przeniesiono w inną epokę. Gdy dotarło to do mojej świadomości - zemdlałem.

Powrót do rzeczywistości znów był mało przyjemny i... mokry. Polewano mnie wodą i chyba moczem z urynału. Śmierdziałem ja, podłoga, na której leżałem, oraz ci, co byli ze mną. Jeden ze strażników dostrzegł, że otwieram oczy i dwukrotnie kopnął mnie w żebra, a kiedy rękoma próbowałem je zasłonić, piętą rozpląszczył mi górną wargę i nos.

- Ty ośli gnoju! - wrzeszczał. - Nie udawaj pątnika! Przez ciebie spóźniamy się do naszych żon.

- Zostaw go - krzyknął drugi. - Dowódca może chcieć z nim rozmawiać.

Wyszli, zatraskując drzwi. Ich łoskot ostatecznie uświadomił mi, że jest to wprawdzie nie wspaniała, ale na pewno izolacja. Z trudem oddychałem przez rozbity nos. Czuję, jak obydwa moje górne siekacze ruszają się, niczym joystick, ułatwiając jedynie płucie. Próbowałem się ochłodzić, przykładając gorące czoło do kamiennych płyt.

Po kilku godzinach doszedłem do wniosku, że zwariowałem i mimo iż tego nie dostrzegam, w rzeczywistości przebywam w szpitalu psychiatrycznym, a wszystko, co mnie dziś spotkało, to jedynie złudne widziadła. Z rozsądku postanowiłem się w to nie wgłębiać, ale te chwiejące się zęby i dobiegająca skądś grana na harfie i sistrum egipska melodia na pewno nie były reklamą mydełka Fa. Staralem się skupić i jakoś wewnętrznie pozbierać, ale poniosłem całkowite fiasko. W moim mózgu zrobiono big bang.

Było mi zimno, głodno... Ja, lekarz... Europejczyk... Niech to szlag.

Siedziałem w kucki w całkowicie ciemnej celi. Moja wyobraźnia podsuwała myśli o zapadniach, żarłocznych stworzeniach, jadowitych węzach, Bóg wie o czym jeszcze. Macając rękoma wokół, dotykałem chropowatych, ściśle do siebie przylegających płyt kamiennych. Wreszcie zlokalizowałem załom ściany i stanąłem w narożniku. Tu czułem się znacznie bezpieczniej. Odetchnąłem głębiej kilka razy i powoli, krok za krokiem, obszedłem całe pomieszczenie. W kącie znalazłem naczynie, z którego dolatywał odór moczu - i nic więcej.

Zasnąłem w pozycji płodowej, łudząc się jeszcze, że wszystko, co mi się dotąd zdarzyło, jest jedynie wytworem wyobraźni.

Niestety, nie była to psychoza. Ktoś szarpał moje ramię, kładąc wstać.

Wrócili ci sami dwaj, co wczoraj urządzili mi prysznic przy akompaniamencie kopniaków.

- Zbieraj się do naczelnika.

Poszedłem za nimi. Wkrótce weszliśmy do jakiegoś pomieszczenia. Przez małe okratowane okno wpadało ostre światło dnia. Obydwoma dłońmi zasłaniałem oczy, chcąc przyzwyczaić je do zmiany warunków. Z boku, na krześle w kształcie litery X, siedział mężczyzna z wyraźnym zanikiem mięśni lewej ręki. Spoglądał wzrokiem, który widywałem u naznaczonych latami pracy policjantów. Patrzył i próbował w swoich stereotypach mnie zakwalifikować. Coś mu się widocznie nie zgadzało, ale nie wiedział co. Wstał, podszedł bliżej i cicho zapytał:

- Skąd uciekłeś? Jak się nazywasz ?

Nie bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć, ale postanowiłem być sympatyczny.

- Naczelniku, nie uciekłem, tylko mnie tu przywleczono, a moje imię na pewno będzie ci obce. Jestem obcokrajowcem.

i- Aha - powiedział po chwili. - Zapewne kupcem?

- Nie - odparłem. - Jestem lekarzem.

- No dobrze. A gdzie twoje lekarstwa, narzędzia, pomocnicy... Niczego z tobą tu nie dostarczono?

Milczałem.

- Interesuje mnie, jak spędziłeś wczorajszą noc? Jeśli tego nie wyjawisz, mogę podejrzewać, że jesteś babilońskim albo hetyckim szpiegiem. Wówczas przesłucham cię z użyciem tortur.

Krążył wokół jak kot obchodzący osaczoną mysz. Czulem zapach swojego strachu, ale na ten sygnał on zareagował pierwszy. Krótki hak z prawej ręki rozpląszczył mi żołądek na kręgosłupie i całkowicie zablokował oddech. Usiłowałem zgiąć się w pół, ale w szczytowym punkcie skłonu jego kolano trzasnęło mnie w brodę. Wiedział, co robi. Poleciałem do tyłu, nieświadomy, że za chwilę potylicą rąbnę w kamienny mur.

Znów obleli mnie wodą. Przy pierwszym odruchu obrony dostałem kopa w żebro, drugiego w skroń i z ulgą wróciłem w świat ciemności. Nie pamiętam, czy były następne seanse. Nie wiem, jak długo to trwało; przeżywałem jakieś fantazje, w których to ja byłem zawsze szybszy, pierwszy, wygrany.

**.

Późnym popołudniem do świątyni Atuma w Om przyszedł stary kapłan, spowity w podniszczoną żółtą szatę. W rękę trzymał pokryty nacięciami podróżny kij. Minął pylony, następnie skręcił w krużganek biegnący w prawo. Bez pukania otworzył ostatnie drzwi i wszedł do niewielkiego pomieszczenia. Za stołem siedział dostatnio odziany mnich o czerwonej, nalanej twarzy, której kolor kontrastował z bielą szaty i gładko wygolonej kulistej czaszki. Wymienili taksujące spojrzenia. Młodszy, nie wstając, wolno akcentując sylaby, spytał lekceważąco:

- Co cię sprowadza, czcigodny Ptahhotepie?

Ten milczał. Po chwili, jakby nie słysząc kierowanych do siebie słów, sam spytał:

- Czy świątobliwy Sansep jest na terenie świątyni, czy też jak zwykle nadzoruje zajęcia szkoły?

- Ani tu, ani tam. Jest gdzie indziej. Ale mów, co cię do nas przywiodło? To ja decyduję, kiedy i kogo arcykapłan przyjmie.

- Wiem - odparł przybysz. - Dlatego kieruję się wpieryw do ciebie, szanowny Tanemerze. Zawiadam swojego zwierzchnika, że szkolny kolega i przyjaciel chce się z nim zobaczyć w sprawach dotyczących wiary i prawdy.

Sekretarz nie zaszczycił mówiącego nawet spojrzeniem. Zastanawiał się - i może dlatego nie wykonał najmniejszego ruchu. Nie ukrywając pychy, z ledwie maskowanym lekceważeniem zabrał się do przeglądania leżących przed nim zwójów.

- Ptahhotepie - powiedział wreszcie - mówiąc o sprawach naszej wiary zapomniłeś dodać słowa „święta”. A to ważne. - Milczał znów dłuższą chwilę. - No więc, jak widzę, arcykapłan może cię przyjąć za dwa tygodnie po kolacji. Już zapisuję twoje imię. - Prawą ręką sięgnął po zaostrzoną trzcinę, chcąc na rozpostartym papirusie odnotować, co przed chwilą oznajmił starcowi.

Ten flegmatycznie, bez śladu emocji, zbliżył się do stołu i niespodziewanie szybkim ruchem wyrwał z rąk urzędnika papiirus i trzcinę.

- Co tutaj masz, ty świątynny nadęty dupku? Proszę, spis ofiarodawców dzisiejszego dnia. Mnie chciałeś umieścić właśnie tutaj jako oczekującego na audiencję? Za dwa tygodnie po kolacji? Starego kapłana pozwalasz sobie traktować równie niedbale, jak zwykłego fellaha?

Bez najmniejszego respektu dla godności sekretarza cisnął na posadzkę spis i trzcinę.

- A teraz dostaniesz moją łagą takie lanie, że przez tydzień nie będziesz mógł się poruszać.

Mocniej ścisnął sękaty kij i wszystko wskazywało, że zrobi z niego natychmiastowy użytek.

- Wstrzymaj się, czcigodny. Chyba rozumiesz, że arcykapłan jest jeden, a chcących audiencji wielu. Znam swoje obowiązki i mam wyraźny nakaz co do sposobu, jak je wykonywać. Ale rozumiem, że twoja sprawa jest szczególna i nader pilna. Oczywiście, w takiej sytuacji pójdę i zawiadomię świątobliwego Sansepa.

- Zrobisz to, ale obiecuję ci, że za swoje dzisiejsze zachowanie zostaniesz ukarany dwudziestoma batami.

- Za co? - oburzył się sekretarz. - Wykonuję przecież swoją pracę.

- Za to, że lekceważysz ludzi, że chęć służenia w tobie wygasła. Należy ją ponownie rozniecić.

Po dłuższej chwili pojawił się młody kapłan. Zbliżył się i skłonił z szacunkiem.

- Jestem Putyfar. Arcykapłan oczekuje w swoich apartamentach. Podążaj za mną!

Szli długim korytarzem. Na jego końcu, w otwartych drzwiach, stał Sansep. Jego niepiękną, ptasią głowę dodatkowo szpeciły dwie duże czarne brodawki; jedna nad prawą brwią, druga, większa, na policzku. Surowe rysy twarzy łagodził uśmiech, który na widok gościa gospodarz przywołał na swoje oblicze.

- Doskonale się trzymasz, Ptahhotepie. Wydaje mi się, że wyglądam jak twój dziadek.

- Nie mów tak, Sansepie. Starość zmienia każdego, jednego bardziej, drugiego mniej. Patrząc na ciebie, nie widzę różnic w stosunku do czasu, kiedy widziałem cię ostatni raz.

- Cóż za uprzejmość, drogi przyjacielu. Czy za nią kryje się chęć zyskania mojej przychylności w jakiejś ważnej, a może kłopotliwej sprawie? Nie krępuj się, stara przyjaźń upoważnia, by oczekiwać wiele.

- Czcigodny arcykapłanie, nie przywiodła mnie do ciebie chęć jej wyzyskania. Jestem już zbyt stary, by oczekiwać od życia czegoś więcej, niż dało mi do tej pory.

- To dobrze, że tak myślisz, Ptahhotepie, ale skoro wspominałeś o wyglądzie zauważ, iż niektórych czas zmienia tak dalece, że nie ufają nawet swemu odbiciu w lustrze, uważając je za ponury żart lub karę bogów. Ciebie to nie dotyczy. Zbliża się wieczór i pora kolacji, pewnie jesteś głodny, a ja, zamiast cię ugościć, jak przystało na dobrego gospodarza, zajmuję twoją uwagę mało ważnymi rozważaniami. Proszę do środka.

Weszli do obszernej komnaty.

- Siadaj tutaj, Ptahhotepie. Uśmiełem się serdecznie, gdy mój sekretarz, bladej jak papirus, trzęsącym się głosem usiłował mnie przekonać, że musisz być natychmiast przyjęty w sprawach kanonu wiary. Przecież wiem, że wierzysz tylko w to, w co sam chcesz, a cały panteon naszych bogów, najogólniej mówiąc, zawsze lekceważyłeś. Pamiętam też, że zawsze stać cię było na eksponowanie pokory w myśleniu. Dlatego właśnie - dodał z odcieniem melancholijnej zazdrości w głosie - pilnujesz nilometru i wyglądasz tak dobrze, podczas gdy ja...

Ptahhotep śmiejąc się zaprotestował:

- Mylisz się. Przyszedłem naprawdę z problemem dotyczącym kanonu wiary. Sprawa jest ważna i niezwykła, więc wybacz, że zadam ci pytanie. Czy nasza rozmowa może zostać podsłuchana?

Arcykapłan popatrzył na swego przyjaciela z nagle zastrzeżoną uwagą i nieoczekiwanym zainteresowaniem. Po chwili powiedział:

- Wyjdźmy na dach pylonu. Wieczór dzisiejszy jest wyjątkowo rześki.

Wolnym krokiem przemierzali korytarze i wspięli się po stromych schodach.

- Teraz mów, nie śpiesz się. Słucham z uwagą i niepokojem - powiedział Sansep.

- Ograniczę się do faktów, a ty interpretuj je, jak chcesz. Byłbym złym Egipcjaninem, kapłanem i człowiekiem, gdybym tę wiadomość zatrzymał wyłącznie dla siebie.

Tu chwilę milczał, po czym podjął przerwany wątek:

- A więc było tak. Kilka dni temu w nocy nie mogłem spać. Ze starego nawyku oglądałem niebo, całe było rozgwieżdżone poza jednym niewielkim obszarem wokół Gwiazd Niezniszczalnych. Wysoko nad ziemią coś ciemnego w kształcie ogromnego melona przysłaniało tylną część gwiazdozbioru. Ale nie była to chmura. Właśnie stamtąd w pewnej chwili wyleciała iskra, podobna do tych, jakie w pełni lata przemierzają niebo. W miarę zbliżania się do ziemi rosła coraz bardziej. Jednak zamiast po prostu spaść, poziomym lotem podążała w moim kierunku, a następnie znieruchomiała w powietrzu. Potem wolno, bezgłośnie zaczęła zniżać się ku ziemi. Wtedy dosłownie na moment straciłem ją z oczu. Wyszedłem na wzgórze i w wysokim zbożu zobaczyłem stojący na środku pola dziwny obiekt, który po krótkim czasie łagodnie uniósł się do góry i zmienił lot z pionowego na ukośny. Widziałem spód tego powietrznego rydwanu, był tam narysowany czerwony znak w kształcie U. Ów rydwan zbliżał się do mnie. Będąc już niedaleko, wypuścił ze swojego dna czerwony promień. Położyłem się w zagłębieniu terenu i jego światło przeszło nad moją głowę. Potem to stanęło na polnej drodze, jaśniejąc światłem o kolorze srebra. Miało taki kształt. - Ptaahotep kawałkiem kamienia wyrysował na murze figurę podobną do dysku lub spłaszczonej kuli. - Z wnętrza wyszły dwie postacie. Błyszczały, jakby były ze srebra. Nie widziałem rysów ich twarzy, lecz zdziwił się Sansepie, one były zielone, tak jak twarze Ozyrysa i Ptaha, ale nie potrafię powiedzieć, czy posiadały usta lub nos. Potem ze środka rydwanu, w strumieniu pary albo dymu, spuszczonego człowieka. Te istoty rozebrały go do naga i zabrały jego odzież. Następnie usunięto mu włosy. Wszystko, co poprzednio na sobie nosił, włożono do worka przezroczystego jak woda i spalono. Z wną-

trza rydwanu wyrzucono pas białej tkaniny. Te dziwne istoty dokładnie sprawdziły wokół ziemię, potem przez otwór w dnie weszły do tej spłaszczonej kuli, aby po chwili skośnym lotem wzlecieć tam, skąd przybyły. Po długim czasie zbliżyłem się do człowieka zostawionego na skraju kamienistej drogi. Żył, głęboko spał, jego skórę pokrywał śluz, który wolno parował, wydzielając przykry zapach. Przy leżącym poza tkaniną nie zostawiono nic, a w zbożu, gdzie stał tajemniczy pojazd, ujrzałem wypalony krąg. Znajduje się tam do dziś. Postanowiłem obserwować tego człowieka z oddali. Rano zbudził się i sprawiał wrażenie zdumionego swoją sytuacją. Skóra jego ciała była niezwykle biała. Może właśnie jej wygląd spowodował później ucieczkę wieśniaków. Właściwie nie wiadomo, dlaczego mieszkańcy osady potraktowali go nie jak człowieka i w panice uciekli. Obserwowałem, co robił. Sansepie, on badał, gdzie jest. Tego samego dnia, zawiadomieni przez chłopów, strażnicy miejscy zabrali go do Om, widziałem, jak wchodzili do miasta. To wszystko.

Arcykapłan milczał. Wreszcie po dłuższej chwili powiedział:

- Dlaczego nie przyszedłeś z tym wcześniej?

- Chciałem, ale od dwóch dni mam wysoką gorączkę i brakło mi sił. Myślę, że ta kula wydzielala coś, co szkodzi ludziom i roślinom. Teraz, gdy szedłem do ciebie, obejrzałem raz jeszcze ślad w zbożu. Umarły tam wszystkie rośliny. Coś mi mówi, że to, czego byłem świadkiem, może być lub jest zwrócone przeciwko nam.

- Masz rację, Ptahhotepie. Czy o tym zdarzeniu wspominałeś już komuś wcześniej?

Zapytany, po krótkiej chwili zastanowienia, odparł:

- Nie, przyjacielu. Wszak to, co widziałem, uderza w kano-ny wiary, dlatego przyszedłem wprost do naszej świątyni.

Sansep nie spał również następnej nocy i rozważał, czy przedstawione przez Ptahhotepa fakty sprzyjają prawdzie. W czasie dwu dni odbył kilka konsultacji z uczonymi z Domu Życia. Rozmowy prowadził w sposób tak lakoniczny, że jego rozmówcy przedstawiany problem pojmowali w kategoriach hipotezy lub logicznej zagadki. Jediną uzyskaną informacją,

która mogła cokolwiek rozjaśnić, była wzmianka w starej kronice z okresu panowania Totmesa III, że obiekt, przypominający rydwan z opisu Ptahhotepa, oglądał w pełnym świetle dnia sam faraon i jego wojsko. Pisarz, który sporządził tę notatkę, nie siłił się na próbę zrozumienia faktu.

Sansep polecił, aby Putyfar przyprowadził rano do świątyni dowódcę miejskiej straży. Ten potwierdził, że człowiek o białej skórze, podający się za lekarza, przebywa w areszcie.

Nieco później słudzy świątynni zawieźli Sansepa do Ptahhotepa. Arcykapłan zauważył, że jego przyjaciel jest chory, a na pytania odpowiada z wysiłkiem i oszczędnie. Niemniej wskazał miejsca, gdzie spoczywała kula. Sansep z oddali obejrzał teren na polu i drodze. Wewnątrz kręgu leżało kilka martwych myszy. Ten fakt mocno go poruszył i dlatego rozkazał skopać ziemię. Pod jej powierzchnią znaleziono jedynie kilkadziesiąt rozpadających się robaków. Wszystko, co żyło - nawet mrówki - omijało obydwie kręgi. Wrócił do świątyni.

Następnego ranka wysłał do więzienia zaufanego kapłana i straż świątynną z poleceniem przyprowadzenia aresztanta. Dzień później otrzymał wiadomość, że Ptahhotep nie żyje. Z nosa i ust, odbytu i cewki moczowej zmarłego wypływała na posłanie nie krzepnąca krew, a ciało pokrywały liczne wrzody.

Ta śmierć potwierdziła obawy arcykapłana. Wezwał do siebie lekarza, uważanego za wyrocznię w sprawach chorób i śmierci. Kazał mu obejrzeć ciało. Medyk po powrocie powiedział:

- Dobrze, że mnie wezwałeś, panie. Ten kapłan dwa tygodnie temu był jeszcze zupełnie zdrow. Odwiedził mnie w domu. Chciał specyfików na zwiększenie potencji, gdyż jego młoda przyjaciółka wymagała więcej, niż mógł jej dać. Zmarł na jakąś nie znaną nam jeszcze, nową chorobę.

- Co rozumiesz przez określenie nowa choroba?

- Ptahhotep zmarł z powodu braku krwi, nie spowodowanego jednak raną zadaną orężem. Sądzę, że należy bacznie obserwować tutejszą ludność. Niech nas chronią Tot i Imhotep oraz boska Hathor przed takimi przypadkami. Nie znamy tej choroby i nie posiadamy środków leczniczych, aby ją zwalczyć, zanim zabije nas wszystkich. Bogini zarazy i moru Sachmet

stale się odradza - dodał jakby dla usprawiedliwienia samego siebie.

- Co radzisz uczynić z ciałem? - spytał Sansep.

- Jeśli chcesz wysłuchać mojej rady, czcigodny arcykapłanie, zwolnij mnie z zarzutu herezji i zdrady bogów.

- Zwalniam - wyszeptał blady z wrażenia arcykapłan. - Mów!

- Rozkaż ciało głęboko zakopać, a dom spalić i zasypać ziemią. Ludzi, którzy tego dokonają, wyślij na pustynię. Daj im wodę i żywność. Jeśli przeżyją miesiąc, mogą wrócić, wtedy można mieć nadzieję, że...

- Nadzieja nie wymaga uzasadnień, stąd wydam takie polecenia. Ale rozumiesz, że dotyczą one i ciebie.

Medyk smutno pokiwał głową, lecz nie powiedział nawet słowa.

Wieczorem można było zobaczyć wychodzącą z miasta grupę osób, której przewodził lekarz. W nocy, stojąc na szczycie pylonu, arcykapłan obserwował łunę ognia i dymu w miejscu, w którym stał dom strażnika nilometru. Sansep nie miał żadnych wątpliwości co do tego, jak zmarł Ptahhotep. Ale kim był obcy? W jakim celu tu przybył? Dlaczego ocalał, skoro ziemia, na której spoczywał, zabijała? Ptahhotep wspominał, że spuszczone go w obłoku dymu, z ciałem pokrytym cuchnącym śluzem. Ponieważ żyje, należało sądzić, że zastosowano sposób pozwalający uniknąć śmierci. Kto, dlaczego, po co? Całą noc arcykapłan w dręczącym półśnie setki razy powtarzał te pytania, choć nie potrafił dać na nie żadnej odpowiedzi. Jego duch wlatywał w kosmos, walczył, krwawił, w miejscu ran powstawały ropiejące wrzody, a w nich kłębiły się roje żarłocznego, wstrętnego robactwa. Obudził się z krzykiem.

W brzasku wstającego dnia odeszły zmyry nocy. Sansep ubrał się starannie i poszedł do świątyni, w której od stuleci odbywała się nieustanna adoracja boga Atuma. Święty Przybytek - naos - był otwarty. Dyżurni kapłani odprawiali poranne modły. Powietrze, zmieszane z ranną mgłą, przesycił zapach żywic i wonnych ziół. Arcykapłan modlił się do bogów, aby odsunęli zagrożenie i nie dopuścili do anarchii, jaką wywołałby kult nowego, potężniejszego boga. Rozpłaszczył ciało

na kamiennych płytach posadzki. W tym cudownym miejscu, znanym z erupcji siły, całym ciałem chłonał energię ziemi, oczekując na przyływ mocy.

Wreszcie podniósł się i poszedł na spotkanie z nauczycielem historii religii i rytuału. Znalazł go śpiącego w bibliotece. Starzec od lat nie opuszczał tego pomieszczenia, w którym łaskawość Sansepa zapewniała mu łożę i wełniane koce. Arcykapłan zadał tylko jedno pytanie:

- Kiedy ostatni raz ludzie mieli kontakt z pradawnymi bogami o zielonych twarzach?
- W okresie przeddynastycznym, ponad dziesięć tysięcy lat temu. Tak mówią kopie najstarszych zapisów.

ROZDZIAŁ 2

Wielki wezyr Irinefer przebywał w Tebach. Lubił to miasto stu bram, gdy w okresie zimowym dni stawały się krótkie, a pogoda była najprzyjemniejsza. Tutaj, w stolicy Górnego Egiptu, zaczynał się i kończył cywilizowany świat. Nieco dalej na południe był tylko Nil, pustynia i niewielkie uprawy, głównie na rzecznych wyspach Arbę i Elefantynie. Nazwa tej drugiej wzięła się stąd, że skalisty wschodni jej brzeg natura uformowała na kształt zdążającego do wodopoju stada słońi. Znajdowała się na niej główna świątynia boga Chnuma, okazywano mu cześć niezwykłą jako ojcu ludzi, który z gliny stworzył pierwszego człowieka i dał mu duszę. Dobrze o tym pamiętali rybacy i chłopci, toteż święty przybytek zawsze był pełny darów.

Kapłani na Elefantynie, dzięki łasce Chnuma, bezbłędnie przewidywali zarówno fazy wylewu, jak i wielkość wody zmierzającej do delty Nilu, tego skarbcza Egiptu i źródła jego bogactwa. Poza wtajemniczonymi nikt nie wiedział, że schody procesyjne, którymi znoszono boga do rzeki, stanowiły najbardziej niewralgiczny punkt obserwacyjny, dlatego oznakowano je hieroglifami określającymi wysokość fali przyboru, a tę rejestrowano tutaj co roku, a także w podobnych obserwatoriach Teb, Dendera, Abydos, Memfis, Om i Sais. Od tych informacji zależała prognoza plonów w skali państwa, co szczególnie interesowało urząd wezyra, odpowiadający za wewnętrzną stabilizację kraju. Pod nieobecność władcy za sprawy gospodarcze odpowiadał Irinefer, a faraon Ramzes - jak to miał w zwyczaju - prowadził nieustanne wojny.

Najwyższą godność w królestwie Irinefer uzyskał za zasługi. Administrację usprawnił tak, że na równi z armią stanowiła

oręż utrzymania państwowości. Egipskie zboże po korzystnych cenach sprzedawano całemu światu. Kraj przyciągał zagranicznych rzemieślników, uczonych i kupców, którzy znajdowali tu pracę i chleb. Naród chciał spokoju, festynów i świąt, co byłoby możliwe, gdyby faraon zadowolił się tym, co miał. A było przeciwnie. Zagrożenia z zewnątrz Ramzes prowokował sam poprzez ekspansywną politykę, przysparzał krajowi wrogów. Sąsiedzi - Asyryjczycy, Babilończycy i Hetyci - wielokrotnie mówili o imperialnym kompleksie państwa frontowego, jakim w mniemaniu Ramzesa był Egipt, a poirytowani posłowie w prywatnych rozmowach wyrażali zaniepokojenie tym faktem. Jeśli Ramzes na terenie Palestyny wygra obecnie prowadzoną wojnę, to niechybnie będzie się starał rozszerzyć sferę wpływów. Zdenerwowanie posłów było więc uzasadnione. Nadmieniali, że faraon zapomina o fakcie, iż jego armia jest w znacznej mierze zaciężna, a opłacanie wojska wymaga czerpania znacznych sum ze skarbu państwa. W krajach ościenych nikt nie zna pojęcia żołdu. Jeśli armie wrogie Egipcjom zostaną w rewanżu spuszczone ze smyczy, przejdą Mezopotamię lub Syrię i jak lwy spadną na bezbronnych fellahów. Taki rozwój sytuacji obecnie mógł się wydawać mało prawdopodobny, mimo tego on, Irinefer, już teraz starałby się osiągnąć zgodę z sąsiadami. Jeśli trzeba, to dla zapewnienia pokoju można przecież oddać trochę tych piachów i skał, na których nie chciał rosnąć nawet pustynny osot. Problemów było więcej. Przyznawał niechętnie, że kwoty, jakie Ramzes wydaje na armię, mają uzasadnienie strategiczne. Dla dobra państwa wojna musi kosztować więcej niż pokój. Bogowie z nim - niech walczą, ale przecież do cna ograbi kraj, jeśli będzie budował coraz to nowe miasta. Postawił ich już ponad sto, w tym część na pustyni. Ludzie tam osiedleni nie produkują, a obżerają Egipt, i - mimo zwiększonych zbiorów i lat urodzaju - sprzedaż ziarna za granicę z roku na rok się zmniejsza. Narody morza wewnętrznego zaczynają szukać nowych producentów i dostawców. Co stanie się z Egiptem, jeśli inni rolnicy taniej zaczną sprzedawać zboże?

Mówił o tym Ramzesowi, ostrzegając przed niebezpieczeństwem, jakie płynie z tworzenia przez Kreteńczyków i Feni-

cjan faktorii, ciągnących się od Libii aż po Słupy Melkarta daleko na zachodzie. Faraon wzruszył jedynie ramionami i oświadczył, że jeśli tak się stanie, to jego wojska udadzą się tam i zrobią porządek. Nie wyjaśniał, w jaki sposób przeprawią się przez wielkie morze, skoro Egipt nie dysponuje flotą. On, Irinefer, za cenę życia kilku ludzi, zdobył nową mapę żeglarzy. Ukazany jest na niej cały kraj nad Nilem oraz na północy ogromne morze wewnętrzne, a za nim narody, których nazwy nie są wymienione. Spośród setek wysp oznaczona jest tylko Kreta. Widnieją też Babilonia, Fenicja, Kanaan, Imperium Hetytów, Libia i Etrusia. Mapę oglądał dokładnie. Ku swojemu zaskoczeniu stwierdził, że Egipt jest na niej przedstawiony jako mały kawałek ziemi. Ten głupi Ramzes do odległych północnych krain wybiera się lądem. Wyprawa taka musiałaby trwać dziesiątki lat.

Irinefer musiał przyznać, że sukcesy faraona były bezsporne, nawet jeśli on, wezyr, oceniał je nie najlepiej. Poszerzanie i zabezpieczanie granic oraz budowa miast należą do obowiązków władcy, a zadania wezyra polegają na zdobywaniu środków na te państwowotwórcze cele. Ich realizacja, choć była ciężarem dla kraju, nie rujnowała go. Prawdziwym zagrożeniem dla Egiptu było coś innego: Ramzes chciał przejść do historii wznosząc gigantyczne budowle - pomniki swej wielkości - wśród nich świątynię grobową Ramesseum, pylony i salę hypostylową w Tebach, wielki rzeczny kompleks sakralny w Abu Simbel oraz nieco mniejszy, poświęcony pamięci Nefertari, swej małżonki. Wielki wezyr wolał nie myśleć o niesamowitych kosztach budowy sanktuarium nubijskiego niedaleko Buhena. Myśl o środkach wydatkowanych z państwowego skarbcza na te przedsięwzięcia zawsze przyprawiała go o słabość.

Przez wiele lat panowania Ramzesa II wezyr był lojalnym poddanym i wiernym wykonawcą poleceń. Całkowita zmiana stosunku do władcy nastąpiła nagle, gdy kilka lat temu dowiedział się prawdy o swoim pochodzeniu.

Wówczas do Irinefera zgłosił się kapłan z Om. W imieniu zwierzchnika zaprosił wezyra na uroczystości poświęcone Atumowi. Irinefer nie mógł odmówić. Właśnie w tej świątyni się

wychował, jej zawdzięczał staranne wykształcenie i w znacznym stopniu szybki późniejszy awans. Przyjął zaproszenie. Jak co roku, przesłał sowite dary.

Przywitał go Sansep. Podczas uroczystości siedzieli obok siebie. Zdziwił się, gdy wieczorem arcykapłan poprosił, by wspólnie w sanktuarium odprawili modły. Próbował odmówić tłumacząc, że nie ma święceń i obu może narazić na gniew bogów. Sansep odpowiedział dwuznacznie, iż ujawnili się tacy, którzy na niego czekają.

Późną nocą, ubrani w szaty kapłańskie, przeszli przez kolejne przedsionki prowadzące do naosu. Zauważył, że w ogromnej świątyni nie było nikogo poza strażnikami wejścia głównego. W świętym przybytku boga płonęły kaganki, a zapalano je tylko wówczas, gdy znajdowali się tam faraonowie. Irinefer domyślił się, że przyprowadzono go tutaj w najgłębszej tajemnicy, aby w tym miejscu, gdzie podsłuch był niemożliwy, przekazać jakąś ważną informację. Czekał więc zaciekawiony i lekko zaniepokojony.

Arcykapłan z szacunkiem umył posąg boga, namaścił oliwą, okadził, odmówił przepisane modlitwy i dopiero wtedy zwrócił się do wezryra.

- Irineferze - powiedział uroczystym i niezwykle poważnym tonem. - Znalazłeś się tutaj dlatego, że tak postanowiliśmy my, towarzysze Horusa, tajne kolegium istniejące w Egipcie tysiące lat przed faraonami. Jesteśmy najstarszą dynastią prawdziwych, choć anonimowych nauczycieli, których zadaniem jest zapewnienie monarsze sił duchowych oraz przeniesienie przez wieki wiedzy sięgającej czasów bogów. A teraz uważaj... Oto wykaz urodzin egipskich rodów arystokratycznych z Domu Życia w odległych Tebach. To święta księga kapłańska. Prowadzimy ją od trzech tysięcy lat. Posłuchaj, co zapisano w niej pod numerem sześćdziesiąt sześć tysięcy dziewięćset pięćdziesiąt dwa. - Odszukał numer, po czym wodząc palcem po lekko wyblakłych wierszach, czytał głośno: - „W dniu siedemnastym miesiąca Antyr, w pierwszym roku panowania faraona Horemheba, jego poprzednik na tronie Egiptu faraon Smenchkare z rodu Tutmozisów potajemnie wrócił do kraju, by oficjalnie zgłosić fakt narodzin syna". Numer,

pod którym wydarzenie owo zostało zapisane w tej księdze, jest wytatuowany na twojej potylicy.

Powiedziawszy to, kapłan upadł na kolana przed posągiem boga i wyciągnawszy ku niemu ręce, zawołał wielkim głosem:

- Atonie, faraon przyszedł!

Wezyr poczuł, jak uginają się pod nim kolana. Upadł na posadzkę. Sansep z trudem go podniósł i słaniającego się na nogach doprowadził do swoich apartamentów. Tam służył mu tak, jak służy się królowi.

- Panie mój, władco, spójrz! Tu, w tej księdze, z lewej strony, jest adnotacja kapłana przyjmującego zgłoszenie, a u dołu podpis twojego ojca. Płynie w tobie szlachetna krew faraona panującego przed Horemhebem i Ramessydami. Nie jest prawdą, że Smenchkare zmarł bezpotomnie. Ty jesteś jego jedynym prawowitym synem. Z mocy prawa jesteś faraonem. To nie wszystko. W tej świątyni ukryto skarbiec dynastii Tutmoziów... twój skarbiec. Wydano z niego stosowny dział na koszty ceremoniału pogrzebowego twego kuzyna Tutanchamona. Znajduje się tam również całe złoto księżniczki Mittani, prawie wszystkie regalia Hyksosów, zdobyte przez twych przodków: Tutmosisa III i IV. Część tego majątku zużył Echnaton.

- Echnaton? Ten heretyk i schizmatyk?

- Nie, faraonie! Echnaton był pierwszym, który przejrzał i doznał oświecenia. Uzyskał też najwyższe święcenia kapłańskie. Dlatego właśnie jemu objawił się Aton, żądając wyłączności dla swojego kultu. W proroctwo o przyjściu jedyne boga my, niektórzy z kapłanów, uwierzyliśmy. Były znaki na niebie i na ziemi. Świątynie bożków i bałwanów zamieniały się w ruiny. Ale właściwy czas panowania Atona nastąpi teraz, z tobą na tronie. W tej oraz wielu innych świątyniach nasz bóg jest czczony pod symbolem Słońca, lecz dla niepoznaki występuje pod postacią Atuma. Ma swych kapłanów. Jego pamięć jest żywa wśród ludu, bo jest to bóg prawdy i miłości, a nie gniewu i kłamstwa. On czeka na ciebie, faraonie, czeka, byś zajął tron i przywrócił prawdziwą wiarę, resztę zaś ozyriańskich substytutów, tylko udających prawdziwych bogów, wypędził lub zniszczył. Nie wątp w prawdziwość mych słów. Spójrz, mam tu przez twego ojca pozostawiony dla ciebie symbol panowania nad Egiptem.

Arcykapłan ostrożnie odsunął niewielką płytkę, wkomponowaną w ścienną inskrypcję, i z wnętrza tajemnej szafki wyjął insygnia królewskiej władzy: klucz Nilu i berło ze skarabeuszem w podstawie. Klucz przez chwilę rozjaśnił się czerwonym światłem i zgasł w ręce kapłana. Wskazując nań, Sansep powiedział:

- Przrzekam ci, że otrzymasz go, gdy na tronie faraonów zajmiesz miejsce Ramzesa.

Umilkł na dłuższy czas. Pewnie modlił się lub ważył w myśli zamiar, który teraz postanowił zrealizować. Wreszcie powziął decyzję i z determinacją w głosie oświadczył:

- Faraonie, muszę cię zaprzysiąc na wierność Atonowi, jedynemu bogu. Od złożenia tego przyrzeczenia zależy nie tylko tron i los narodu, lecz także twoje życie.

Oszołomiony wizją królewskiej korony, a może zahipnotyzowany żarliwością słów arcykapłana i jego gorejącym wzrokiem, Irinefer machinalnie powtarzał słowa przysięgi. Gdy skończył, Sansep z ulgą rzekł:

- Na tę chwilę ja, starzec, czekałem wiele lat. Poza mną i dwoma innymi przyjaciółmi, tajemnicy twego pochodzenia nie zna nikt. Powinieneś wiedzieć, że po śmierci Tutanchamona ktoś musiał w kraju zaprowadzić porządek. My, wyznawcy jedynego boga Atona, uznaliśmy, że najlepszym władcą będzie Horemheb, doskonały żołnierz, lecz prostak. Po jego śmierci tron objęli Ramessydzi. Ty wówczas byłeś bardzo młody, my - zbyt słabi. Teraz jesteśmy silni. Jest nas wielu: kapłanów, urzędników, żołnierzy. Niepostrzeżenie, krok po kroku, przygotowujemy podwaliny twójego przysięganego zwycięstwa. Jestem jednym z trzech przywódców tajemnej organizacji. Posiadamy ukryte znaki, pozwalające na identyfikację naszych członków. Symbol słońca tatuujemy na wewnętrznej powierzchni prawego nadgarstka wtajemniczonych. Drugim jest plakietka z symbolem kota, znanym powszechnie wyobrażeniem bogini Bastet, z tą różnicą, że zawsze przedstawiana jest ona jako zwierzę z oczyma wypukłymi, a na naszym znaku oczy jej są wklęsłe. Jeśli więc ktoś zgłosi się do ciebie i okaże obydwa symbole - możesz mu zaufać. Teraz kolejna ważna uwaga: rzadko posługujemy się pismem, jest niebezpieczne

i może wpaść w niepowołane ręce. Wiadomość komunikujemy w postaci jednego zdania, co stanowi dodatkowy znak, po którym odróżnisz przyjaciół od wrogów. To wszystko, co teraz mogę ci ujawnić. Wracaj, faraonie, do Teb i starannie przemyśl, co możesz zrobić dla odzyskania tronu.

W miarę upływu lat Irinefer poznał strukturę tajnego sprzysiężenia i jego cele. Były jasne: wytepić kult innych bogów, dokonać sekwestru wielkich świątynnych majątków, a tajną organizację przygotować tak, by w najkorzystniejszym momencie mogła rozprawić się z Ramessydami.

Z perspektywy czasu wielki wezyr złożoność sytuacji widział wyraziściej niż wówczas, gdy po raz pierwszy Sansep ukazał mu wizję korony. Zdawał sobie sprawę, jak poważny problem stanowią bezpośredni wykonawcy przewrotu. W miastach utworzono niewidoczną, ściśle zakamuflowaną sieć spiskowców o różnym stopniu wtajemniczenia. Zorganizowano zespoły mające kierować działaniami i obecnie Irinefer mógł uznać, że można przystąpić do realizacji planu zdobycia władzy w państwie. Wszystko było przygotowane. System łączności działał bezbłędnie. Należało tylko wybrać odpowiedni moment rozpoczęcia akcji, a ten - zdaniem wezyra - jeszcze nie nastąpił. Być może się mylił, ale nie chciał uprzedzać wypadków, tym bardziej że wydawało się mu, iż znalazł sposób, który dawał szansę gwałtownej zmiany dotychczasowej sytuacji.

Irinefer miał własny pogląd na najnowszą historię Egiptu. Jego wiedza pochodziła z archiwów państwowych. Znał tajne sprawozdania poprzednich wezyrów i szefów policji i wysnuł z nich wnioski, że sam kult Atona nie spowodowałby upadku dynastii Tutmozisów. Przyczyny tkwiły gdzie indziej. Z raportów wynikało, że Egipt trząsał się z oburzenia, gdy Echnaton zawarł kolejne siostrzane małżeństwo z Nefertiti, w dodatku spłodził z nią tylko sześć kalekich córek, a cała rodzina władcy wykazywała cechy anomalii fizycznych, charakterystycznych dla związków kazirodczych. Egipt najpierw milczał, potem się śmiał, a w końcu wpadł w gniew, gdy ludowi usiłowano wmówić, że celowo deformowane czaszki rodziny królewskiej stanowią wyraz boskości. Ludzie po cichu sztydził z całego panu-

jącego rodu, wskazując na krowie biodra kobiet i eunuchowaty wygląd mężczyzn, które to cechy zdaniem dworu stanowiły godny naśladowania ideał urody. Powszechny wybuch niezadowolonia nastąpił, gdy wasale z Kanaanu i Syrii żądali ochrony przed atakami wrogów, a Echnaton, zamiast udzielić pomocy, pisywał wiersze i słuchał muzyki. Wojsk nie wysłał, stracił oba te kraje i nagle zmarł, gdy Hetyci dochodzili aż do delty Nilu. Wówczas na krótko do władzy doszedł Smenchkare, zięć Echnatona. Dalsze jego losy po ucieczce z Egiptu okrywał mrok tajemnicy. Jednakże Irinefer był prawie pewny, iż jego ojca zabito z przyczyn politycznych, na rozkaz ówczesnego wezyra, który wkrótce po śmierci faraona Horemheba przejął władzę w państwie, przybierając imię Ramzesa I i stając się protoplastą dynastii Ramessydów.

Głośniejszy krzyk pawia przerwał na chwilę te rozważania. Irinefer popatrzył z podziwem na pięknego ptaka i powrócił do swych myśli.

Tak... Nagła i tajemnicza śmierć jego ojca stwarzała szerokie pole do domysłów. Mając nieograniczony dostęp do archiwów, zbadał wszelką dostępną dokumentację, poświęconą tej sprawie. Wykazywała ogromne braki i luki. Ktoś wcześniej dokonał starannej weryfikacji papirusów i dokładnie wyczyścił z państwowych archiwów wszystko, co mogło stanowić jakikolwiek ślad. Tym kimś mogli być tylko Ramessydzi. Tyle mówiły fakty, resztę uzupełniały domniemania lub intuicja, która jak dotąd wezyra nie zawodziła.

Patrząc na soczystą zieleń ogrodu, wywołał przed oczyma wizję pięknej Nefertari, żony Ramzesa II, która jego, pierwszego i najwyższego urzędnika państwa, traktowała jak padlinę. Nawet nie ukrywała swoich reakcji. Otwarcie mówiła, że jest mały, otyły, ma sterczący brzuch, cienkie ręce i chude kabłkowate nogi. Nie mógł zapomnieć, jak publicznie powiedziała kiedyś, że Irinefer nagi byłby mniej śmieszny, niż przybrany w insygnia godności i władzy. Doskonale wiedział, że wielokrotnie namawiała męża, by pozbawił go funkcji i pozycji w państwie. Nie udało się jej tego dokonać, bo faraon świetnie wiedział, że nie znajdzie nikogo innego, kto tak genialnie potrafiłby wyduszać z Egiptu wszystko, co było po-

trzebne władcy. Irinefer miał nadzieję, że po śmierci Nefertari jego znaczenie wzrośnie. Niestety, tak się nie stało. Księżniczka Merit-Amun, jej jedyna córka, za próbę wydania za księcia Memfis Hanemeba znienawidziła wezyna tak dalece, że nie mógł się jej pokazać na oczy. Irinefer miał swoich szpiegów w Memfis zarówno na dworze księżniczki, jak i w mieście, toteż w jakimś stopniu kontrolował zamiary panującej dynastii, ale nie miał złudzeń, że dla niego sytuacja nie sprzyja: wojska są wierne faraonowi, liczący się kapłani milczą, jedna z dwu stolic kraju jest opanowana przez zauszników Ramessydów, a on sam musi siedzieć w Tebach, stolicy Górnego Egiptu, odprawiać sądy i sprawować nadzór nad przebiegiem robót.

Irinefer miał świadomość, że głównym bogiem ludzi jest chęć zysku i tu widział swoją tajną broń. Nikt nie wiedział, że od sześciu lat ten najwyższy w kraju rangą urzędnik fałszuje raporty składane faraonowi. Aby wykryć sprzeniewierzenie, władca musiałby w swych rękach posiadać równoległy, tak samo potężny aparat administracyjny, jakim dysponował wezyn - a oczywiście go nie miał. Irinefer, pod którego zwierzchnictwem znajdowali się wszyscy rachmistrze, był dla nich tym, czym wódz dla żołnierzy. Przed ewentualną kontrolą dochodów państwa zabezpieczył się w prosty i skuteczny sposób: nigdy nie czynił żadnych poprawek w sprawozdaniach nomów, fałszował natomiast zbiorowy raport roczny, jaki zawsze osobiście przedstawiał faraonowi. Uszczuplał go o niezauważalne piętnaście procent. Faraon, jeśli miał środki na wojnę, budowę miast i świątyń, nigdy nie pytał o szczegóły. Tym sposobem poza budżetem państwa znalazły się kolosalne nadwyżki, a te Irinefer zamieniał w czysty kruszec i deponował w sobie tylko znanych miejscach. Sprzysiężenie nie musiało się liczyć z kosztami, ale te kontrolował skrupulatnie. Musiał znać wielkość wydatków, bilanse. Jako urzędnik wierzył, że tylko liczby są uczciwe. Ludzie nie.

Sekretarz zameldował przybycie kuriera z Teb.

- Od kogo przybywa goniec? - spytał wezyn.

- Twierdzi, że niesie ważne pismo od arcykapłana Sansepa z Om. Polecono mu, aby je doręczył tobie do rąk własnych.

Po chwili przed Irineferem stanął zdrożony przybysz. W geście powitania uniósł prawą dłoń tak, aby ukazać wytatuowany symbol słońca. Szatę miał spiętą kłamrą z głową bogini Bastet. Patrząc wezyrowi wprost w oczy powiedział:

- Panie, oto ważny list od mojego przełożonego.

Irinefer zapoznał się z pełną relacją Ptahhotepa, jak i wynikami ustaleń, do których doszedł Sansep. Autor w zakończeniu listu powiadał, że pomijając złożoność sytuacji osobiście uważa, iż dla dobra państwa, religii oraz wspólnych planów więzień świątyni powinien zostać zlikwidowany. Z realizacją wyroku trzeba się pospieszyć, zanim sprawa niezwykłego pochodzenia przybysza dojdzie do wiadomości władcy oraz kapłanów Amona. Z tych przyczyn, po przeprowadzeniu starannego przesłuchania, które być może wniesie nowe ciekawe ustalenia, wyrok śmierci zostanie ogłoszony oficjalnie i wykonany na terenie świątyni.

Wezyr długo zastanawiał się nad treścią pisma. Szkoda, że ten przybysz nie wpadł mu w ręce tutaj, w Tebach. Miałby do niego jedno pytanie. Jeśliby odpowiedział po jego myśli, darowałby mu życie, ale ponieważ znajduje się daleko, aż w Om, czasu jest mało, a sprzysiężenie przekroczyło krytyczny próg przygotowań do zamachu stanu - to Sansep ma rację. Teraz, w tej chwili, nie można sobie pozwolić na żadne ryzyko. Popatrzył w oczy kuriera i powiedział:

- Wracaj do Om, odpowiedzi na list nie będzie.

ROZDZIAŁ 3

Celę oświetlono łuczycami umieszczonymi w wykuszach ścian. Kilku barczystych strażników trzymało zapalone pochodnie, na ramionach i torsach mieli tatuaże. Patrzyli na mnie z życzliwością, jakiej można oczekiwać od puszki po wypitym piwie. Byli nieuzbrojeni, lecz węzły mięśni każdego przypominały rysunki z podręcznika anatomii. Kazano mi rozebrać się do naga, podnieść ręce, stanąć w rozkroku. Wtedy wszedł łysy. Wyglądał jak kapłan, a blask pochodni dobrze oświetlał jego błyszczącą, natłuszczoną głowę. Żółta opończa spływała po nim luźno, odsłaniając jedynie prawe ramię. Oglądał mnie, jakbym był zwierzęciem - metodycznie, od głowy do stóp. Robił to z przodu, z tyłu, z boku. W pewnej chwili nakazał ludziom z łuczycami oświetlić mój brzuch. Schylił się i z nagłym zainteresowaniem zaczął uważnie oglądać moje pachwiny. Wtedy spostrzegłem, jak blednie. Wyprostował się i spojrzał mi w oczy; z jego czaszki i twarzy spływał pot. W nagle rozszerzonych źrenicach zobaczyłem strach. Dopiero w chwili, kiedy spojrzeniem uciekł w bok, poczułem się pewniej. Ręce złożył w modlitewnym geście i szybko opuścił celę. Za nim pośpieszyli strażnicy. Wiedziałem, że przed chwilą zdarzyło się coś ważnego, a z zachowania łysego wynikało, iż dostrzegł coś, co napełniło go przerażeniem. Głowiłem się nad tym, jednak nie znajdowałem odpowiedzi.

W nocy przewieziono mnie do innego więzienia. Nowa cela była czystsza. Przyniesiono jedzenie i picie oraz czysty pas szerokiej tkaniny. Od tego momentu miałem stałą asystę. Milczący strażnicy z mieczami stali po dwóch w obramowaniu zamkniętych drzwi. Jadłem nie śpiesząc się, mój czas był wpraw-

dzie czymś, co czułem, lecz dziwacznie gubił się, gdy zaczynałem o nim myśleć. Było chłodno, wziąłem więc materiał i owinałem się nim w sposób, jaki podpatrzyłem u łysego. Po kilku drobnych poprawkach byłem rad ze swego dzieła. Właśnie wtedy wpadłem na pomysł, aby przetestować strażników. Przybrawszy władcą minę gestem wskazałem na swoje bose stopy i na ich stopy obute. Potem pokazałem, że chcę się umyć. Zagrałem to chyba dobrze, bo najstarszy z nich natychmiast zastukał głownią miecza w drzwi, a usłyszawszy odzew, poinformował kogoś z zewnątrz:

- Cudzoziemiec nałożył tkaninę jak czynią to kapłani. Żąda obuwia, wody i przyborów do mycia.

Po jakimś czasie dostałem sandały wiązane na sznurki i wodę. Umyłem twarz i ręce, a w małym glinianym pojemniczku znalazłem pokaźną ilość błotnistej mazi, która, jak się okazało, doskonale pomagała w usunięciu brudu. Ośmielony tym pierwszym drobnym sukcesem, poprosiłem o krzesło. Dodatkowo otrzymałem stolik. Dobrze wiedziałem, że jestem przedmiotem obserwacji i czekałem na decyzję, jaka miała zapaść gdzieś w tym gmachu. Zapewne gdzieś tam toczyła się niezrozumiała dla mnie gra i może stanowiłem jej główny żeton? Chociaż dlaczego ja miałbym być stawką w biegu wydarzeń, na które sam nie miałem wpływu? A może miałem, chociaż nie zdawałem sobie z tego sprawy? Przypuszczałem, że od chwili, gdy się tutaj znalazłem, upłynęło kilka dni. Poczucie niepewności dokuczało mi coraz bardziej. W myślach stokrotnie zgadzałem się z żydowskim złorzeczeniem: „Obyś czekał!”

Któregoś dnia do mojej celi weszło dwóch strażników i stary kapłan o ptasiej twarzy, ozdobionej dwiema czarnymi brodawkami. Za nim podążał młody mnich, ubrany w plisowaną spódniczkę i skórę pantery. Miał niezwykle oczy fanatyka. Jeden ze strażników stanął za mną. Starzec powiedział cicho:

- Wstań, bo jestem zmęczony, a tutaj jest tylko jedno krzesło. Od naczelnika więzienia wiem, że znasz nasz język, więc nie musisz silić się na pantomimę. Jeśli zbliżysz się do mnie na odległość cienia, zginiesz.

Przyglądał mi się uważnie, jednak nie natarczywie. W pewnym momencie bardziej stwierdził, niż spytał:

- Wyglądasz jak my i na pozór niczym się od nas nie różnisz. Wyjątek to biała skóra i jasne włosy. Ale jak wiem, tam gdzie zimą krzepnie woda, żyją Scytowie, podobni do ciebie. Czy jesteś jednym z nich?

- I tak, i nie - odparłem ostrożnie.

Uniósł nieznacznie rzadkie brwi.

- Nie rozumiem twych słów. Nie można jednocześnie być kimś i nie być nim. Zdecyduj się.

- Jest tak, jak powiedziałem, panie. Pochodzę z północy, mam białą skórę i jasne włosy. W tym sensie jestem jednym z tych, których ty nazywasz Scytami, a ja Ariami. Jednocześnie nie należę do plemienia, o którym mówisz, nie mieszkam na terenach, które zajmują, nie mówię ich językiem, nie znam tamtejszych religii i zwyczajów. Nie jestem poddanym króla scytyjskiego ani aryjskiego.

- Twierdzisz, że mieszkasz jeszcze dalej na północy i że w twoim kraju ludzie mają skórę tak białą, jak Ariowie i takie, jak oni, jasne włosy?

Zdawałem sobie sprawę, że metoda półprawd nie zaprowadzi mnie daleko, ale pod ręką nie miałem innej koncepcji, pozwalającej na przetrzymanie pierwszych minut tej rozmowy. Nie mogłem szokować go rewelacjami. Do rzeczywistości przywołał mnie głos starca.

- A więc przybywasz z bardzo daleka. Zanim jednak porozmawiamy o twej podróży i jej celu, pozwolisz, że się przedstawię. Nazywam się Sansep i jestem arcykapłanem świątyni w Om.

- To znaczy, w Heliopolis - poprawiłem go, sam nie wiedząc czemu. I mimo że uczyniłem to cicho, musiał usłyszeć, bo zaprzeczył stanowczo:

- Powtarzam, w Om. W Egipcie nie ma miasta o nazwie, jaką wymieniłeś.

Zrobiło mi się słabo.

- Czy mogę cię spytać o coś dla mnie ważnego, arcykapłanie?

- Pytaj, jeśli to rzeczywiście ważne.

- Kto jest obecnie panującym władcą Egiptu?

- Ramzes II.

- Zwany Wielkim? - wyrwało mi się.
- Ramzes II, to wszystko. Przed nim i po nim było i będzie dziesiątki większych.

Ugięły się pode mną kolana, cęła zawirowała mi przed oczyma, w piersi poczułem chłód, a w głowie pustkę. Mój rozmówca musiał dostrzec wrażenie, jakie wywarła jego odpowiedź. Nie spytał jednak o powód mojego poruszenia. Zamiast tego wrócił w obszar, który widocznie bardziej go interesował:

- Znasz moje imię i stanowisko, jakie piastuję. Jak ciebie zwa i jakimi godnościami cieszysz się w swoim kraju?

- Imię moje niewiele ci powie, a jestem lekarzem. Nie rozumiem powodów, dla których znalazłem się tutaj. Wielu spraw i okoliczności nie pamiętam.

Starzec nie zmienił wyrazu twarzy. Jego oczy nawet na chwilę nie przestawały się we mnie wpatrywać.

- Czy nie pamiętasz na przykład tego, po co tu przybyłeś?

-Nie!

- Przybywasz z odległych stron do obcego kraju i nie wiesz po co?

Sceptyczna mina arcykapłana mówiła wyraźnie, że nie wierzy moim zapewnieniom, nie nalegał jednak.

- W takim razie pamiętasz swoją podróż. Przemierzyłeś wiele krajów, morza... Podróżowałeś konno, czy może jako wierzchowiec służył ci wielbłąd?

W łagodnej, wystudiowanej modulacji głosu wyczuwałem głębką ironię, nawet szyderstwo. Pytając, kpił ze mnie. Musiał wiedzieć, jak się tu znalazłem i jak wyglądała moja podróż.

- Widzę, że moje odpowiedzi cię nie zadowalają. Nie wiem, w jaki sposób zostałem wyrwany ze swojego świata i rzucony w świat twój. To się nie stało z mojej woli. Nie wiem, jak i kiedy odbyłem tę najbardziej zadziwiającą podróż mego życia. Pewnie uważasz, że jestem szalony, postradałem zmysły lub kłamię? Uwierz mi, ja mówię prawdę. Ja po prostu nic z tego nie rozumiem.

Przerwał mi w pół słowa:

- Pomogę ci. Może to odświeży twoją pamięć. Przywieziono cię do nas.

- Przywieziono...?

Musiałem mieć niezbyt mądrą minę, bo skrzywił twarz w grymasie mającym imitować uśmiech.

- Przywiózł cię nocą srebrzysty latający rydwan. Byli w nim ludzie, pewnie tacy jak ty, ułożyli cię na poboczu drogi i odlecieli.

- Powiedz, jak wyglądali i jak wyglądał rydwan?

- Tych ludzi dokładnie nie widziano. Była noc. Rydwan miał kształt mocno spłaszczonej kuli, na ziemi stał na trzech nogach. Czy w twoim kraju podróżujecie takimi pojazdami, które z wielką szybkością płyną w powietrzu i nie wydają przy tym żadnego dźwięku?

Kolana ugięły się pode mną ponownie. A więc tak wyglądała prawda.

- Czy to, co powiedziałem, pomogło twojej pamięci?

- Tak. Mamy wiele latających rydwanów, nie posiadamy jednak takich jak ten, który opisałeś. Nasze unoszą się w powietrzu, lecz wydają przy tym donośny hałas. Słysząc je tak, jak głos grzmotu. Powiedziałeś, że ów, który mnie przywiózł, poruszał się nie wydając dźwięku. Nie należał więc do nas. Co więcej, nie został zbudowany nigdzie na Ziemi. Stworzono go w innym świecie, jakiego jeszcze nie znamy.

- A więc to statek bogów, a ty jesteś ich synem lub, jeśli wierzyć twoim zapewnieniom, kimś kogo porwali i przynieśli nam w darze. Tak mam rozumieć twoje słowa, młodzieńcze?

- Arcykapłanie, nie jestem synem bogów. Jestem takim samym człowiekiem jak ty. Tyle tylko, że żyję w innym, oddalonym od twojego, świecie. I jest to oddalenie, którego nie można mierzyć jedynie miarą odległości. Należy je wyznaczać także upływem czasu. Ktoś, nie wiem dla jakiego celu, dokonał na mnie gwałtu i rzucił w dawno miniony obszar historii Ziemi.

- Mówisz ciekawie. - W oczach starucha rozbłysły światelka. - Więc my jesteśmy twoją historią? Twoją historią? - powtórzył jak echo.

Przekrzywił na bok swoją ptasią głowę i suchym kościstym palcem zaczął odruchowo pocierać brodawkę na czole. Wyglądała jak przycisk do rozumu. W świat jego dotychczasowej wiedzy wdzieriała się nowa, nieznana dotąd prawda. Trudno

było osądzić, czy umysłem i wyobraźnią ogarnia ją w całości, czy w nią wierzy, ale wątpliwość co do tego musiały rozwiać słowa, które wypowiedział bez zdziwienia:

- Jesteś więc człowiekiem z przyszłości. Czy tak należy cię rozumieć?

-Tak!

Tym razem milczał długo. Nawet jeśli dokonane odkrycie go szokowało, nie dał tego poznać po sobie. Nieoczekiwaną, wstrząsającą dla mnie prawdę ten stary kapłan przyjmował z filozoficznym, stoickim wręcz spokojem. Co było najbardziej zdumiewające, nie roztrząsał samego faktu, nie podawał go w wątpliwość, nie negował. Wyćwiczonym w teoretycznych spekulacjach umysłem starał się ogarnąć skutki. Dowodziło tego już pierwsze celne stwierdzenie:

- Masz więc ogromną wiedzę i rozliczne umiejętności. Bogowie zesłali cię nam w darze, a twoja wiedza będzie nam potrzebna i posłuży pokoleniom. - Znów milczał jakiś czas. - Mamy do rozwiązania wielkie problemy: wyżywienie pustynnych ludów i utrzymanie ich w posłuszeństwie, klęski nieurodzaju wywołane nierównomiernymi wylewami Nilu, epidemie chorób, wysokie koszty budownictwa państwowego i świątynnego, wielkie problemy w utrzymaniu kanałów i niedoskonały system nawadniania pól, ciężary wojen. Napawa nas zmartwieniem, że ci, co odpowiadają za losy państwa, za pomyślność dynastii, za trwanie w jedynej prawdziwej wierze żyją zbyt krótko, a nawet wybrani nie są nieśmiertelni. Ty, z wiedzą człowieka przyszłości, takim problemom potrafisz zaradzić. - W tym momencie jego oczy zapłonęły czerwienią nagle poszerzonych źrenic. - Przekażesz nam wszystko, co wiesz, wszystko!

Widziałem, że w tym starczym umyśle pojawiła się obłądana wizja, od spełnienia której nic nie było w stanie go powstrzymać. On naprawdę uznał, że zdarzył się cud, podarunek bogów, dar, którym jestem ja. Nieśmiertelność? Oczywiście on - Sansep, arcykapłan świątyni w Om - na pierwszym miejscu pośród wybranych uprzywilejowanych, nieśmiertelnych i wiecznych. On - Sansep - równy bogom... Przeraziła mnie wizja jego pragnień, w której ja miałem zawracać koło historii. Omalże krzyknąłem:

- Popelniasz błąd! Przeceniasz moje możliwości i wiedzę. Są duże, ale przydatne w innych czasach. W twoim niewiele z nich mogłoby znaleźć odpowiednie zastosowanie. Ujawnienie niektórych tylko mogłoby stanowić zagrożenie dla świata, w jakim żyjesz. Nie jestem księgą, zawierającą recepty na odwieczne bolączki i nieszczęścia ludzkości. Nie uczynię cię nieśmiertelnym, nie przywrócę młodości, nie zabezpieczę twojego ciała przed chorobami. Świat, w którym żyję, też nie potrafi tego zrobić. Życie na Ziemi nie było, nie jest i nigdy nie będzie rajem. Każda epoka ma własne, bardzo trudne problemy. A zapewne wiesz o tym, że cywilizacje nie przenikają się wzajemnie. Nie ma we mnie tego, czego potrzebujesz i pragniesz. Gdybym posiadał moc czynienia cudów, byłbym równy bogom. Sam byłbym bogiem. Mógłbym zniszczyć twój świat, kulturę, religię, zwyczaje, zburzyć ład i porządek religijny i państwowy ustalony i trwający w Egipcie od tysiącleci. Jeśli swoją wiedzę, odległą o trzy tysiąclecia, przeniosę do Egiptu, twój lud przypisze mi znamiona, które wasza tradycja dawno temu przyznała raz na zawsze wyznawanym kultom i panującej władzy. Stałbym się wówczas jedynym bogiem, jak ongiś Aton.

- A więc wiesz o Atonie?

- Tak panie, znam różnych bogów, ale nie znam sposobu na powrót tam, skąd mnie zabrano. Dla dobra twojego i Egiptu powinienem wrócić do mojego świata, do swoich czasów.

Milczał długo, ważąc widocznie usłyszane słowa i własne myśli. Po chwili cicho powiedział:

- Kiedyś, bardzo dawno temu, kiedy nie było jeszcze ani Egiptu, ani faraonów, ziemię odwiedzali bogowie. Pewnego razu, gdy opuszczali nas już na zawsze, pozostawili nam swój boski rydwan. Właśnie w nim odbywali podróże między światem własnym a ziemskim. Piszą o tym najstarsze kroniki. Pojazd ten znajduje się nadal w podziemiach labiryntu koło jeziora Mojrisa. Nasze księgi mówią, że statek bogów ma wielką moc. Ktokolwiek go dotknie, w tej samej chwili umiera, a z ciała nie pozostaje nawet proch. Błysk i pustka. Wiele tysięcy lat temu bezpiecznie mogli się do niego zbliżyć jedynie faraon i naczelny kapłan Seta. Tylko oni znali tajemne zaklęcia, które chroniły przed śmiercią i gniewem bogów. Dziś zaklęć tych

chyba nie zna już nikt i nikt do labiryntu nie wchodzi. Nadal jednak pilnują go kapłani i straż naszego władcy. Może bogowie zechcą powrócić i spytać, czy wiernie strześliśmy ich rydwanu? Może ten, którym przybyłeś do nas, był podobny, tyle tylko, że odleciał, cicho jak ptak? Może przysłali cię, chcąc powiedzieć nam coś bardzo ważnego lub wraz z tobą zesłali na nas karę?

Z nieodgadnionym wyrazem patrzył mi prosto w oczy. Na pomarszczonej twarzy widziałem grymas goryczy, ciężar władzy i odpowiedzialności za skutki podjętych decyzji oraz bezmiar zwykłej ludzkiej bezradności i lęku, towarzyszących zawsze wyborowi lepszej ze złych dróg. Zgarbił się, przytłoczony brzemieniem poczucia dokonywania wyboru. Doskonale wyczuwałem jego wahanie: rozważał, czy przystać na dalsze moje istnienie, czy mnie unicestwić.

Przez dłuższy czas nic nie mówił, a ja podejrzewałem, że zastanawia się nad regułą podwójnego efektu, kiedy to zaistniały czyn ma jednocześnie przeciwstawne skutki: dobry i zły. Teraz jego umysł analizował cały inwentarz problemów, związanych ze mną. Czyn, zdarzenie było jasne. Czuję, że raz skłonny jest wierzyć, iż pojawienie się mnie w Om przebiegło bez mojego osobistego udziału, by po chwili taką możliwość odrzucić. Ten kapłan był świadom, że dzięki posiadanej wiedzy mogę podjąć próbę korzystnej zmiany bytu Egipcjan albo dokonać zamachu na prawidła rządzące jego cywilizacją. Jawił się niczym medyk, który musi dokonać nieuchronnego wyboru: ocalić życie ciężarnej matki czy uratować płód? Lekarz czy kat? Pytanie bez odpowiedzi. Nie musiał mówić. Byłem pewien, że dla tego sędziwego kapłana matką jest Egipt. W takiej sytuacji prawo zezwala na aborcję. Zrobiło mi się zimno i straszno. To ja miałem być usunięty niczym kaleki embrion.

Raptownie odwrócił się. Zaskoczył mnie spokój na jego twarzy. Patrzył na mnie spoza obszaru zastrzeżonego dla zwykłych ludzi - takich jak ja. Przez moment miałem wrażenie, że znajduję się za Spiżową Bramą. Paradoks polegał na tym, że cała dzisiejsza rozmowa przypominała klimat watykańskiej kurii, a Sansep jawił się jako antenat możliwych kościoła. Wiedział, że każde stwierdzenie może posiadać kilka różnych, cza-

sem wykluczających się znaczeń, utrudniających znalezienie prawdy. Ujął twarz w dłonie, zakrył oczy i cicho spytał:

- Jaki jest ten twój rzeczywisty czas?

- Od waszego oddalony o przeszło trzy tysiące lat do przodu.

- Daleko - przyznał - ale z naszej, egipskiej perspektywy, nie tak znów wiele. Powiedz mi, przybyszu z przyszłości, co umiecie i do czego doszliście wy, nasi zstępni.

Zastanawiałem się gorączkowo, jak i co mu powiedzieć, by zrozumiał. Zrobiłem kilka kroków i zbliżyłem się ku niemu tak, że widziałem starczy rąbek na tęczołkach jego wyblakłych oczu.

Bez trudu wytrzymał moje spojrzenie.

- Mów!

- Latamy do gwiazd. Nasze rydwany mogą przemieszczać się w przestrzeni nieba, w głębinach wód, w warstwach ziemi. Zbudowaliśmy wielkie miasta, w niektórych żyje więcej ludności, niż w twoim Egipcie, a budowle sięgają chmur. W moim świecie żyją miliardy ludzi. Żywności wytwarzamy tyle, że starcza jej dla wszystkich, choć nie wszyscy są syci. Pracę naszych rąk zastąpiliśmy pracą urządzeń, które wytwarzają dobra potrzebne człowiekowi. Dzięki nim życie jest o wiele łańtwiejsze i lżejsze...

Przerwał mi:

- A mój Egipt, czy trwa w twoim czasie?

- Tak, i nadal jest ludnym i dużym państwem.

- Powiedziałeś państwem, a nie mocarstwem - mruknął i głośniejsze dodał: - To dobrze, pracowały na to pokolenia uczonych, kapłanów i władców. Przybyszu, to mało ważne, co powiedziałeś o swym świecie. Twoje usta wypływają jedynie drobniaki. Reszta, jaką ujawniasz, to nic zaskakującego. Wiemy, że świat ulega naturalnemu rozwojowi, rozszerzają się możliwości poznania, udoskonala praca i jej narzędzia. Oczekiwałem, że zadziwisz mnie i powiesz, że w twoim świecie bóg to rozum i prawda, że bóg to wszechogarniająca inteligencja i wiedza. Powiedz, jeśli potrafisz, czy w twoim czasie umysł ludzki uczynił coś, co zaowocowało codziennymi skutkami dla najuboższych i najsłabszych? Czy im pomógł w walce z takimi plagami jak wojny, klęski moru, głodu, suszy, szarańczy, choroby,

samotności, cierpienia? Czy plagi te istnieją nadal? Czy na wszystkich twarzach gości uśmiech, a w sercach radość, czy wasze dzieci śmieją się do ptaków, do ziemi, do słońca i czy są szczęśliwe?

- Niestety nie, Sansepie!

Raptownie pochylił się ku mnie. Jego oczy rzuciły płomień. Przypominał skrzyżowanie Savonaroli z Torquemadą. Długą chwilę wisiał nade mną niczym jastrząb. Oczekiwałem gwałtownego wybuchu, on jednak wolno usiadł na krześle, a jego spojrzenie przygasło. Oddychał ciężko przez lekko otwarte usta. Po chwili dobiegł mnie jego cichy głos:

- W takim razie może rozwiążaliście problemy nietolerancji, fanatyzmu, zazdrości, nienawiści, chęci odwetu i zemsty?

- Zjawiska te nadal dręczą ludzi, a kto wie, czy nie bardziej, niż to było kiedyś.

- Szkoda, ale jeśli mówisz prawdę, oznacza to tyle, że kapłani zaprzestali pracy nad powierzonym ludem. Może w takim razie wiesz, dla kogo pracują wasi władcy. Dla narodu czy też dla siebie?

- Nie mogę na to pytanie odpowiedzieć jednoznacznie. Nadal istnieje żądza władzy, a ta nie służy nikomu ani niczemu, jest jedynie snem o panowaniu.

- Zasmucasz mnie. To, co powiedziałaś, świadczy, że ludzie poszli w złym kierunku. A może w twoich czasach zaistniał jakiś wybrany przez boga naród i rządzi się kategoriami wyższości dobra nad złem, wiernością zasadom, odrzucaniem sprzeniewierzenia prawdy i miłością bliźniego?

- Kapłanie, nie dręcz mnie. Każdy naród, jaki znam, uważa się za lepszy od innych, wybrany, a w najgorszym wypadku wyróżniony przez Stwórcę. Czasem do tego samego Boga modlą się o zwycięstwo kapłani walczących ze sobą armii, a Bóg milczy. Dobro toczy nieustanną walkę ze złem. Podobno w końcu zwycięży, ale na razie brak na to przekonujących dowodów. Miłość bliźniego jest pojęciem bardziej teoretycznym niż praktycznym. Nie chcę mówić, do jak karykaturalnej formy doszły zasady wierności ideom i ideałom ani o naginaniu prawdy do potrzeb czy arogancji władzy i ignorancji władców bawiących się prawem.

- W takim razie nie rozwiązaście niczego. Mogę się tylko cieszyć, że ja żyję teraz, bo ty, przybyszu, zasługujesz na najgłębsze współczucie albo na śmierć. Żyjesz w czasach zarazy i możesz nam przywlec jej skutki. Ale jeśli wiesz tak wiele o złu, zapewne możesz wskazać, kogo należy za nie winić, kto odpowiada za nierozwiązanie tych problemów, kto stracił cenny czas trzech tysięcy lat?

- Może to my, ludzie... A może Bóg nas opuścił, nie wskazując przedtem sposobu rozwiązania plag dręczących zarówno ciało, jak i umysł człowieka.

Odetchnął głęboko i ruszył do wyjścia. Przy drzwiach nieoczekiwanie obrócił się i powiedział już zwyczajnym, zmęczonym głosem:

- Muszę to wszystko przemyśleć. Zmęczyło mnie rozważanie, co jest dobre, a co złe. Być może jeszcze się zobaczymy.

Wieczorem Sansep zwołał radę mędrców. Dość ogłędnie zrelacjonował, czego się dowiedział od więźnia. Szereg informacji pominął celowo. Do późnej nocy trwała narada, w której wazono różne decyzje. Po północy przeprowadzono głosowanie. Wynik obowiązywał wszystkich. Potem zebrani udali się do świątyni. Opróżniono świąty przybytek, złożono przysięgę zachowania tajemnicy. Rozchodzili się w milczeniu, głęboko przejęci świadomością istnienia nowego obszaru wiedzy i możliwości, który - nagle ujawniony - groził zniszczeniem podstaw kultu, każdego kultu, zawsze...

*..

W końcu przyszli.

Szedłem w środku między kilkoma kapłanami. Gołe czaszki, wyskubany zarost, twarze pełne wewnętrznego ognia. Fanatycy, gorzej - pretorianie fanatyków.

Nasze sandały zgodnie uderzały w kamienne podłogi korytarzy, ale wewnętrznej harmonii między nami nie było.

Weszliśmy do nisko sklepionej, dużej sali, rozświetlonej kilkoma rzędami kaganków. Wokół unosił się zapach palonego wosku, przyjemniejszy niż smolny odór pochodni kopających

w mojej celi. Za stojącym na środku długim stołem siedziało dwunastu starych kapłanów odzianych w skóry panter. Stałem przed nimi. Centralne miejsce w złowieszczym areopagu zajmował Sansep. Patrzył na mnie spokojnie, ale w jego oczach lśnił diabelski blask. Podniósł się ociężale, przeszedł kilka kroków przy szczycie stołu, zatrzymał się na chwilę i ze stojącej tam tacy wziął jabłko. Zbliżył się z nim do mnie. Uniósł i usiłował odgryźć kawałek, jego bezzębne szczęki z trudem wbijały się w mięsz. Wreszcie, po dłuższym wysiłku, udało mu się oderwać spory kęs owocu. Jak na zwolnionym filmie widziałem ruszający się język, ruch szczęk... W tym momencie starzec zakrztusił się, zsinił, oczy wyszły mu z orbit, chrapliwy oddech przechodził w gwizd zamykającej się tchawicy. Począł osuwać się na kolana. Białka jego oczu wywróciły się do góry. Pozostali kapłani, całkowicie oszołomieni sytuacją, w niemym przerażeniu patrzyli na upuszczone jabłko, podskakujące na kamiennych nierównościach posadzki. Nie uczynili żadnego ruchu.

W zawodowym odruchu chwyciłem padającego starca od tyłu pod ramiona, wyprostowałem jego ciało z siłą, jakiej się po sobie nie spodziewałem, opuściłem moje ręce w dół jego żeber i z całą mocą obydwojma ramionami szarpnąłem ku sobie.

Kęs owocu z zachłyśniętego gardła wyleciał jak pocisk i wylądował wśród kiści winogron na stole. Przewyciężając wstręt, zacząłem reanimację. W starcze ciało wolno wracało życie. Arcykapłan błędnym wzrokiem wodził po posadzce, na której wałała się cętkowana skóra pantery, rozsypane koraliki i połamane amulety.

Dopiero teraz tkwiący do tej pory bez ruchu kapłani ruszyli truchtem w naszym kierunku, przepychając się i potracając. Od tego momentu przestałem zwracać na nich uwagę. Później zauważyłem, że Sansepa unoszą dwaj kapłani. Widziałem, że stał samodzielnie i usiłował coś powiedzieć, ale nie słyszałem jego głosu. Wyszli razem, zwracając na mnie tyle uwagi, co na roztocze w materacu.

Długo czekałem, zanim do pustej już sali wrócili ci sami fanatycy, którzy mnie tu przywiedli.

Nowa cela była obszerna i widna niczym komnata. Przez szeroki prześwit w sklepieniu wpadało światło i rześkie powietrze. Z oddali dobiegał gwar miasta, krzyki przekupek, ryczenie osłów, pijackie sprzeczki. Wsłuchiwałem się w tę melodię ludzkiego zbiorowiska chłonąc głosy, przekleństwa, okrzyki. W nowym pomieszczeniu centralne miejsce zajmowało łóżko. Kunsztownie wyrzeźbione łapy lwów obejmowały ramę, na której harmonijny opłot tworzył sprężysty materac, przykryty lwią skórą. Z boku znalazłem czyste lniane prześcieradło, grube wołokowe koce i lniane ręczniki. Umeblowania dopełniały skrzynie; w nich odkryłem zwój zapisanego tekstu i kilka rolek czystego papirusu.

Wyciągnąłem ze skrzyni manuskrypt zapisany znakami hieroglifów. Wiedziałem, że ten rodzaj pisma stanowi przejście od hieroglifów do innych, bardziej uproszczonych form zapisu. Zarówno ta informacja, jak i wiele innych, tkwiły w moim mózgu, ale nie było w nim tej najważniejszej, dotyczącej sposobu, w jaki nabyłem umiejętność jego odczytywania. Treść czytało się od prawej ku lewej stronie, a tekst wyliczał stan majątkowy świątynnych. Zapis, jaki czytałem, urywał się nagle. Nie było daty. Zastanawiałem się, czy materiał ten zostawiono tutaj przypadkiem czy celowo?

Mijały dni. Przynoszono mi strawę i napoje, wynoszono fekalia. Któregoś dnia obudziłem się z ciężkim bólem głowy - miałem wrażenie oszołomienia, czułem się tak jak kiedyś, gdy budziłem się po zabiegach chirurgicznych. Zatoczyłem się i zwymiotowałem, za chwilę drugi raz. Ulżyło, ale oszołomienie nie ustąpiło. Postanowiłem się umyć. W lustrze wody, po raz pierwszy od dłuższego czasu, ujrzałem swoją twarz. Miałem pokaźny zarost, długie, zmierzwione włosy sięgały mi do oczu. Nie mogłem tego zrozumieć. Według moich zapisków upłynął zaledwie miesiąc od momentu, gdy umieszczono mnie tutaj. Tymczasem brodę miałem taką, jak po trzech miesiącach wyprawy w Himalaje. Obejrzałem oczy i stwierdziłem, że źrenice są wąskie jak u narkomana. Coś mnie piekło nad pachwiną. Obejrzałem ją i zauważyłem ślad po oparzeniu, delikatny rumień wokół blizn po wyrostku i przepuklinie. Musieli mnie ba-

dać, bo obok blizn zauważyłem dwie świeże rysy, zrobione jakimś ostrym narzędziem. Jak najdokładniej się wymacałem, ale wszystko było w porządku. Odetchnąłem z ulgą i zacząłem myśleć o nowych elementach sytuacji.

Było ich co najmniej kilka i dla jasności musiałem je jakoś usystematyzować. Najpierw poukładałem je w trzy grupy. Do pierwszej zaliczyłem zmiany o charakterze pozytywnym. A więc przestano mnie bić, torturować, straszyć i poniewierać. Śmierdzące prymitywne cele więzienne zamieniono na pomieszczenie przyzwoite i czyste. Dbano o mój żołądek, a nawet zajęcia dla umysłu: mogłem przecież czytać, pisać, nawet prowadzić dziennik. Gdybym nie był niesprawiedliwy, to obecne warunki musiałbym określić mianem luksusu dostępnego starożytnym.

W grupie drugiej umieściłem wszystko, co wydawało mi się niejasne, niezrozumiałe, może nawet niebezpieczne w zachowaniu tych, którzy mnie tu umieścili. Zarost na twarzy i długość włosów nie pozwalały żywić złudzeń. W zamknięciu przebywałem znacznie dłużej, niż mi się wydawało. Skoro nie dostrzegłem tego wcześniej, widocznie niewłaściwie funkcjonowała moja zdolność postrzegania. Wniosek był oczywisty: byłem karmiony jakimś środkiem odurzającymi. Co więcej, musiano mnie utrzymywać w stanie śpiączki całymi dniami lub, co bardziej prawdopodobne, tygodniami. Właśnie stąd odczucia, że wcale nie jestem tu tak długo. Ale czemu miałyby służyć to usypianie? Doznałem olśnienia. Oczywiście, chodziło o te cholerne pooperacyjne blizny. Teraz usypiano mnie *i* znów je badano. To nie był przypadek. Ale dlaczego? Odpowiedzi nie znałem, jednak sam fakt musiałem przyjąć do wiadomości. Skoro był istotny dla nich, musiał być ważny i dla mnie. Czy stanowił pozytywny, czy negatywny element sytuacji? Niestety, nie mogłem tego ocenić.

Ale zaraz, zaraz, powróćmy jeszcze do tych środków odurzających. Stosowali je, to pewne. Skoro jednak pod ich działaniem nie czułem przeprowadzanych badań, to znaczy, że wiele razy pozostawałem zupełnie bezbronny, a jednak nie uczynili mi krzywdy. Poczulem nagły skurcz w gardle i mocno zacisnąłem zęby. Oczywiście, oni nie chcieli zabijać.

Oplącił się ten niewielki wysiłek umysłowy. Otarłem z czoła pot i odetchnąłem kilka razy głębiej, po czym ponownie, ale już spokojniej, powtórzyłem poprzedni wniosek: mojemu życiu na razie nie zagraża niebezpieczeństwo.

A jak należało odnieść się do sprawy drugiej - równie ważnej - co do której nadal pozostawałem w pełnej nieświadomości? Ten areopag kapłanów. Dwunastu kapłanów, a może dwunastu sędziów, i ten arcykapłan z jabłkiem. A może nie arcykapłan, tylko sędzia lub prokurator i zarazem wykonawca wyroku w jednej osobie, zwykły kat...? Po co mnie tam wtedy sprowadzili? Powód, dla którego zostałem wezwany, musiał być ważny. Nie zdążyli go ujawnić. Czy chcieli się czegoś dowiedzieć, czy raczej postanowili coś oznajmić? Nie, ta pierwsza możliwość była mało prawdopodobna. Gdyby ich coś interesowało, gdyby chcieli pytać - to przecież od tamtego momentu minęło dużo czasu. Przepytaliby mnie dziesiątki razy. Skoro tego nie uczynili, bliższa ich zamiarom wydawała się możliwość druga: mieli mi coś oznajmić! Zadławienie arcykapłana pokrzyżowało te plany. A skoro tak, to musiało chodzić o decyzję, czyli - mówiąc brutalnie - o wyrok. Nie ogłosili go. Musiał ulec zawieszeniu albo zmianie. Mógł na tym zaważyć fakt, że uratowałem życie Sansepowi.

Rozumowanie wydawało się poprawne, nie siedziałem jednak w skórze tamtej dwunastki i równie dobrze mogłem się mylić.

Do worka trzeciej grupy wrzuciłem wszystko, co było irracjonalne, nie chciało się poddać ani rozumowi, ani zmysłom. Na przykład powody mojego przemieszczenia w czasie. Gdy przypomniałem sobie, jak się tu znalazłem, zacząłem dygotać.

- Chryste, w co ja się wpakowałem? Jezu, przecież Ciebie jeszcze nie ma, jeszcze się nie narodziłeś, nie nadszedł czas odkupienia moich grzechów. Boże mój, dlaczego teraz się ukrywasz?

Całkowity brak kompatybilności. Zespół rozwartych nożyc, w środku których tkwi mój zarośnięty łeb. Możliwość wykonania klik-klak i po zabawie. Nieźle. Położyłem się na łóżku i oparłem głowę na wysokim podglówku.

Zacząłem się relaksować. Wolno zaczęło odchodzić znużenie, obolałość członków, poprawiło się widzenie. Osiągnąłem stan wewnętrznego wyciszenia. Jeszcze raz przerzucałem w myślach uczyniony rano bilans. W zasadzie nie zawierał błędów, ale o czymś musiałem zapomnieć i właśnie to wymagało sięgnięcia do podświadomości. Usiadłem w pozycji lotosu, po pewnym czasie uzyskałem stan medytacji i wyszedłem poza siebie.

Sprawa była genialnie prosta. Moje pojawienie się tutaj nie zostało dokonane przez zaproszenie, ale zostało spowodowane aktem zewnętrznym, niezależnym od nikogo z Ziemi. To nie mnie zależy na nich, lecz odwrotnie. Gdyby tak nie było, wybraliby sposób klasyczny. Nie ma człowieka, nie ma problemu, nie ma też znaczenia sposób, w jaki problem został rozwiązany. Wiedziałem, co mam czynić. Jedynym sposobem zmiany dotychczasowej sytuacji jest głodówka, muszę rzucić na szalę swoje życie, inaczej nie uzyskam nic. Na pewno znali metodykę śmierci głodowej i wiedzieli, że po wyczerpaniu rezerw biologicznych jej skutki są nieodwracalne. Nie byłem jedynie pewny swoich reakcji. Nie znana mi była gradacja cierpienia, która wiąże się z procesem umierania. Jak to będzie ze mną? Cały ten wewnętrzny monolog miał taki sens, jak rozmowa z dziewczcą o jej temperamencie seksualnym. Postanowiłem rozdziewiczyć się radykalnie, bez zwracania uwagi na skutki.

Jak złe sny pojawiały się kolejno: ból, bezgłos, sztywność mięśni, ssanie trzewi i wreszcie pustka w mózgu. Zostają oczy, które funkcjonują jakby nie działało się nic. Moi opiekunowie o włos nie zmienili postępowania. Kilka razy dziennie dostarczali posiłki coraz to wymyślniejsze. Wyczuwam woń przeróżnych aromatów pieczonych mięs, ryb, jarzyn, świeżych owoców, wina i piwa. Tracę rachubę czasu, przestaję znaczyć kreski moich dni. Oddaję po dwie krople moczu i w końcu zaczynam majaczyć. Pojawiają się kolorowe sny, przenoszące mnie w obszar znany i bezpieczny - do rodziny i przyjaciół. Majaki ustają. Wpadam w śpiączkę. Nie wiem, jak długo to wszystko trwa.

W jakimś momencie ktoś delikatnie, po kropli, wlewa do moich ust wodę, później zupę. Nie mam siły otworzyć oczu. Ale po jakimś czasie mogę żuć i przełykać papkowate posiłki, choć mam wrażenie, że mój przełyk przypomina skórę okonia, szarpanego za ogon przed skrobaniem. Któregoś dnia otwieram wreszcie oczy i dostrzegam obrzęknięte nogi i ręce. Są obrzydliwe, pokrywa je złuszczone i zniekształcona skóra. Wiem, to koniec głodówki. Jaki rezultat? Co osiągnąłem?

Opiekowała się mną stara kobieta. Część pomieszczenia zamieniono na kuchnię z paleniskiem. Obok piętrzył się niewielki zapas drewniaków i suszonego nawozu, a kilka garnków i kuchennych naczyń uzupełniało nową scenografię. Na stole zauważyłem warzywa, chleb, kawałki ryb. Kobieta gotowała posiłek, próbując kilkakrotnie smaku. Nic nie mówiła. Zbliżyła się kilkakrotnie, otworzyła i zamknęła oczy, dając znak, iż dostrzegła mój powrót do świata żywych.

Po kilku tygodniach doszedłem do siebie. Otrzymałem przywilej trzech spacerów dziennie. Zawsze towarzyszyła mi kucharka i jeden z dwóch strażników. Bardziej opiekował się mną niż strzegł - zresztą dokąd mógłbym uciec i po co? Któregoś dnia przyniósł nożyce i grzebień. Dokładnie mnie ostrzygł. Był zadowolony z dzieła, a stara obdarzyła go spojrzeniem pełnym aprobaty. Nie rozmawiali nigdy ani nie odpowiadali na żadne z moich pytań.

Przełom nastąpił nagle. Któregoś dnia przyszli po mnie ci sami, co poprzednio, fanatycy. Moje „hello” zabrzmiało równie pogodnie i dźwięcznie, jak dźwięk bańki wypuszczanej pod wodą przez karpia. Uformowali się po trzech z przodu i z tyłu. Szedłem w środku, złośliwie myląc krok. Wprowadzono mnie do sali, w której od czasu, gdy reanimowałem Sansepa, nic się nie zmieniło, i ustawiono w tym samym miejscu, co poprzednio. Tym razem było ich jedenastu. Brakowało arcykapłana, który grał ze mną tamto preludium. Wypadało czekać, może zamierzali je powtórzyć tym razem w nieco zmienionej obsadzie. Wreszcie siedzący pośrodku wstał i rzekł:

- Cudzoziemcze. Nazywam się Goren i od niedawna jestem arcykapłanem tej świątyni. Jesteś pierwszym człowiekiem nie

posiadającym święceń, który w tym pomieszczeniu jest po raz drugi. To sala najwyższego kapłańskiego sądu, tu ogłasza się, a nieopodal wykonuje wyroki śmierci. Taka też decyzja zapadła poprzednio w twojej sprawie. Nie wiedziałeś o tym, że właśnie Sansep przesądził w głosowaniu o twoim losie. Naszego arcykapłana ocaliłeś na chwilę, gdyż wielki Ra zesłał na niego niedawno paraliż - chorobę, która nie daje się leczyć. Bóg zdecydował o tobie. Posiadasz na ciele znaki, które mówią, że czytano ci Księgę Zmarłych, i że dwukrotnie byłeś balsamowany. Masz blizny po zabiegach dokonywanych po śmierci, a przecież żyjesz. Nie rozumiemy, jak mogłeś odrodzić się po dwakroć. Stawiamy sobie pytanie, skąd naprawdę jesteś i po co do nas przychodzisz? W czasie, jaki ubiegł od twego przybycia do Om, sprawdziliśmy całe imperium i dostępne nam najdalsze kraje. Wszędzie rozesłaliśmy rysunki twojej twarzy. Masz niezwykajne białą skórę, jaką mieli nasi starzy bogowie. Towarzyszy ci cień, który pozwala sądzić, że nie jesteś duchem ani demonem. Potwierdzeniem wydaje się i to, że jesz, wydalas, cierpisz, śpiewasz i mówisz. Próbowaleś umrzeć, czego nie czynią bogowie, a więc chyba jesteś człowiekiem. Uratowaliśmy cię od śmierci zabiegami skutecznymi w leczeniu ludzi, lecz twoje dziwaczne pojawienie się w sercu naszego kraju jest czymś, czego pojąć nie możemy. Wierzimy, że nie masz w stosunku do nas złych zamiarów. Są w Egipcie uczeni, którzy znają tajemnice historii i bytu, całe życie spędzają na studiowaniu naszych dziejów. Prosimy ich o pomoc w wyjaśnieniu tajemnicy twojego przybycia. Czekaliśmy na odpowiedzi, dlatego twoja izolacja trwała tak długo. Powiedziano, że podobnie jak ty zjawili się niegdyś Ptah i Tot. W odróżnieniu od ciebie oni czynili cuda, a ty nie potrafiłeś nawet przejść przez drzwi celi, doszedłeś aż na krawędź śmierci i nawet wtedy nie zdarzyło się nic niezwykłego ani nikt nie pośpieszył ci z pomocą. Na niebie nie pojawiły się znaki świadczące, że nadszedł czas zmian. Nie jesteś więc zagrożeniem dla Egiptu ani dla naszej świętej wiary. Będziesz żył. Jednak nie możemy ci zaofiarować wolności, nie miałbyś co z nią uczynić. Masz natomiast wiedzę, o której mówił nam czcigodny Sansep, lecz chociaż dotąd jej nie poznaliśmy, gdy przyjdzie czas, rozważymy, jak naj-

lepiej spożytkować ją dla umocnienia kanonów naszej świętej wiary. Nie próbuj uciekać, bo przed losem nie zdoła zbiec nikt.

Zmęczony długą przemową umilkł i przez chwilę oddychał ciężko, po czym bez dalszych słów ruszył w kierunku drzwi. Pozostali kapłani powstali ze swych miejsc i w milczeniu opuścili salę.

ROZDZIAŁ 4

Ramzes II spoczywał na wozie ciągnionym przez woły. Jego muskularne ciało trzęsło się na nierównościach drogi. Za sobą wiódł armię, jak dotąd nie pokonaną, ale tym razem nie całkowicie zwycięską. Mówiąc szczerze, nie był pewien powodu, dla którego wyruszył na ostatnią wojnę. Hetytom mógł się przeciwstawić na własnym terenie, gdzie linie zaopatrzenia były krótkie. Trybut z podbitych krain składano dość przyzwoicie, Nubia regularnie dostarczała złoto i niewolników, narody morza płaciły za możliwości handlu nad Nilem, Żydzi, ci zdrajcy Egiptu, żyli w rozproszeniu i nie stanowili żadnego zagrożenia. Był zdumiony, gdy się dowiedział, że jego dziad Ramzes I tym półdzikim koczownikom zabraniał wyjścia do ich - jak to nazywali - Ziemi Obiecanej. Potomkowie Abrahama, którzy pozostali nad Nilem, dawno już porzucili swe barbarzyńskie obyczaje, czcili starych egipskich bogów i nadal oszukiwali, jak czynili to zawsze we wszystkich krajach. Wielce go zaskoczyły warunki, jakie panowały w Kanaanie. Rośliny rosły wszędzie i stanowiły przeszkodę dla maszerujących oddziałów. Nil zaś spadał nie wiedzieć czemu z nieba, miał spływać ze wzgórz.

Po bitwie z Hetytami odwrót wojsk przebiegał bez pośpiechu, z zaplanowanym dłuższym postojem w okolicy Jerycha. Stamtąd Ramzes wysłał dobrze uzbrojone poselstwa do Jebuzytów, władających ufortyfikowaną Jerozolimą, do Hebronu, Jarmut, Sychem i Lakisz. Poza ostatnim, wszystkie miasta złożyły Ramzesowi hołd i obfite lenno. Dlatego Lakisz wydał na Jup żołnierzy. Władcy Jerycha nie zamierzali czekać na podobną wizytę wojsk u siebie i nie proszeni oddali się faraonowi w opiekę, przysyłając znacznie więcej darów, niż mógł oczeki-

wać. Hetyci, już na granicy, wydali mu dwie bitwy. Pierwszą wygrał, w drugiej zwycięstwo było raczej problematyczne. Na szczęście jego przeciwnik, Muwatalis, musiał przeżywać chwilowy zanik zdrowego rozsądku, bo zgodził się na zapłacenie daniny. Była symboliczna, ale Ramzes nie nalegał, obawiając się słusznie, że przeciwnik może zmienić zdanie i armia egipska oraz jej wódz nie będą mogli szczycić się nawet pozorami wygranej.

Teraz zastanawiał się, jak ten mizerny sukces zamienić w pełne zwycięstwo. No cóż, musiał zadowolić się tym, że Hetyci powierzyli mu „na naukę” grupę męskiej młodzieży z książęcych i królewskich rodów oraz parę stad koni, nieodzownych w walce, a które niestety w Egipcie nie chciały się płodzić.

W królestwie Kanaanu, zasiedlonym przez Żydów, pozostawił jedynie tyle kruszcu, ile było w sanktuariach bogów; resztę odebrał, traktując zdobyte łupy jako zwrót długu, zaciągniętego przez synów Sema za wielowiekową opiekę Egiptu nad Abrahamem i jego potomstwem.

Teraz dokuczały mu stawy, szczególnie nóg, miewał ataki podagry, podczas których wył z bólu. Mimo zaleceń medyków nie potrafił odmówić sobie mięsa i wina. Lekarzom, jacy się nim opiekowali, kazał wymierzać bity lub po prostu przepędzał. Ponieważ choroba trwała od lat, a leczenie nie przynosiło skutków, starał się obywać bez medyków, co zresztą dawało coraz bardziej opłakane rezultaty. Ostatnim remedium pozostawał wierny Mereneptah. Faraon lubił rozmawiać ze swym jedynym lekarzem, ale wpadał we wściekłość, gdy ten usiłował przemówić mu do rozsądku i przekonać do bardziej racjonalnego życia, szczególnie do częstszego spożywania warzyw i zastąpienia mięsa zwierzęcego rybami. W ataku jednej z takich furii władca kazał urznąć duży paluch u swej prawej nogi, gdy ten zmieniał się w rój gryzących pszczoł. Mereneptah nie posłuchał rozkazu, żądając by wcześniej ucięto mu obie ręce. Stracił oko, które szalejący z bólu i wściekłości władca wybił mu uderzeniem bata. Ramzes, gdy oprzytomniał, wyraził żal i kazał przynieść lekarza na królewski dwór, ofiarowując mu mały pałacyk, będący niegdyś własnością jednej z królewskich faworyt.

Teraz faraon znów cierpiał za każdym szarpnięciem wozu. Nie pomagały poduszki. Ze wstrętem oglądał swoje obrzęknięte, czerwone i bolące stopy. Ponieważ do Memfis pozostawało około dwóch miesięcy marszu, dla poprawienia nastroju usiłował sobie wyobrazić tryumfalny wjazd do stolicy.

Gwałtowniejszy wstrząs wozu przyprawił go o nowy paroksyzm bólu. Zacisnął zęby, czując jak na przemian robi mu się gorąco i zimno.

Ładny wjazd tryumfalny... Wóz ze słomą, sarta poduszek, wychudzone woły, a przecież faraon musi wjechać do miasta godnie, w błyszczącej zbroi, stojąc na złotym rydwanie jak prawdziwy wódz i władca, a nie jak jakaś schorowana, bolejąca, tarzająca się w betach baba. Za nim winny być niesione wojenne trofea, łupy i daniny. Za tym wszystkim muszą podążać stada koni, zdobyci niewolnicy, a na końcu zwycięskie oddziały wojsk. Aby mogło do tego dojść tak, jak tego pragnął, polecił przywołać swego medyka, jadącego gdzieś dalej na jednym z wielbłądów.

Mereneptah utorował sobie drogę między wlokącymi się żołnierzami i zbliżywszy się do władcy, oddał mu przepisowy pokłon. Nie był to hołd uniżony, wyrażał szacunek i sympatię, a może nawet życzliwość, przyjaźń i ten rodzaj zażyłości, jaki charakteryzuje stosunki dwojga szanujących się i rozumiejących ludzi. Ramzes, któremu wściekły atak bólu minął właśnie przed chwilą, ułożył się wygodniej w betach i po chwili powiedział:

- Jak się masz, lekarzu? Ilu żołnierzy za twoim pośrednictwem udało się dziś do świata Ozyrysa?

- Szesnastu. Wszyscy byli chorzy na gorączkę, która powraca *co* cztery dni, powoduje dreszcze i miesza rozum. To stara choroba. Zapadają na nią od lat ci, którzy mieszkają lub przebywają nad wodą w okresie lęgu komarów.

- A ranni ?

- Z tymi dobrze, przeszkadzają im tylko upał i muchy. Przydałoby się czerwone wino, by mogli odnowić krew.

- Załadaj, Mereneptahu, ile potrzeba. Masz w zanadru jeszcze coś ciekawego dla mnie?

- Otóż odkryłem ostatnio, że dwaj niemłodzi Egipcjanie,

z których jeden jest wiecznie żywym faraonem, zamiast waleśać się po bezdrożach, winni siedzieć w stolicy i pilnować porządku.

- Fatalnie, Merenephtahu, fatalnie. Powiedziałeś wiecznie żywy, a nie wiecznie młody.

- Ty sam to mówisz, panie.

- Nie pyskuj! Wsiadaj na wóz, tylko uważaj na moje palce.

- Nie wsiądę! Zostało mi tylko jedno oko. W twoim towarzystwie mogę je łatwo stracić. Musiałbym wtedy żebrać lub liczyć na litość córki.

- O oko bądź spokojny, a licz bardziej na mnie niż na dzieci, bo my mamy swoje problemy, a one swoje i tego w obie strony nie da się zrozumieć ani przełożyć.

- Najjaśniejszy panie, zdążyliśmy już dokładnie zapamiętać, co oznacza młodość. Nasi potomkowie posiadają uświęcone tradycją prawo do głupoty, nie zdążyli wszak zakosztować gorzkiego smaku naszych lat i nabrać rozumu, ale ich istnienie jest być może dowodem naszej nieśmiertelności.

- Wiedz Merenephtahu, że mężczyzna ma obowiązek posiadania potomstwa, i to jak najliczniejszego. Ty masz córkę, ja sto sześćdziesięcioro dwoje dzieci, a w związku z tym stosownie więcej problemów nawet z tą, jak mówisz, nieśmiertelnością. Dlatego najlepiej się czuję, będąc ze swoją armią. Z kolei, jak dobrze wiesz, przyszele matki łatwo znaleźć po drodze.

Ramzes skończył i z niesmakiem patrzył na zady wołów ciągnących wóz. Jeden z nich otworzył odbyt, z którego wyleciała cuchnąca papka.

- Ramzesie, twoim obowiązkiem jest strzec obyczajów i moralności, a to, co przed chwilą mówiłeś o matkach, pachnie cudzołóstwem. Tak czy nie?

Faraon lekceważąco wzruszył ramionami.

- Są pytania, na które nie można odpowiedzieć jednoznacznie. Jako najwyższy kapłan mówię: tak. Jako ten, któremu wszystko wolno, jako faraon, mówię: nie. Inne moje stanowisko byłoby herezją, dotyczącą w takim samym stopniu religii, jak i tradycyjnej obyczajowości. Ale zgódź się z tym, że cudzołóstwo jest najpowszechniejszą czynnością z tych upragnionych, zbiorową pasją, wręcz...

- Trochę jesteś cyniczny, Ramzesie, a w tym problemie dwulicowy - westchnął obłudnie Merenepthah.

- Przerwałeś faraonowi w pół zdania i nie dałeś mi szansy, abym ci powiedział o głupcach, a tych jest tak wielu, jak niebieskich ziaren w worku z makiem.

- A więc i ja jestem głupcem, nieprawdaż królu?

- Sam to powiedziałaś, mój lekarzu.

Obu trzęsły się podbródki i razem zaczęli się śmiać.

- Merenepthahu, to o czym ci powiedziałem, jest bardzo osobiste, chociaż śmieszne, lecz królom nie wolno tworzyć dowcipów o sobie. Zmieniają się wówczas w oczach poddanych we własnego błazna. A tak w ogóle, czy nie uważasz, że w śmierci błazna jest coś niestosownego?

Po chwili milczenia Merenepthah poważnym, acz poufałym tonem zwrócił się do Ramzesa:

- W śmierci faraona jeszcze bardziej, ale mówiliśmy o kobietach. Wybacz, mój władco, nie masz powodu, by narzekać. Każdy zbiera plon na miarę swej pracy i wysiłku. Ty z posiadania stu jedenastu żon czerpałeś przyjemności, o jakich ja nawet nie mogłem myśleć.

- Merenepthahu, stajesz się bezczelny. To nie przyjemność, lecz uciążliwy i męczący obowiązek względem dynastii. A poza tym nie oddajesz mi należnej czci. Zaczynam żałować, że obiecałem ci wyrozumiałość. Złaz z mego wozu,

- Już zaczynam wykonywać twój rozkaz.

- Zostań, żartowałem. Wiesz, że nie jesteś zwykłym sługą. Kazałem ci przywołać, bo mimo swoich rozlicznych wad, w których jesteś tak zakochany, czasem oświeca cię przebłysk rozumu, a ja mam problem. I te nędzne resztki rozsądku, jakie jeszcze zachowałeś, powinny go pomóc rozwiązać. - Widząc, że lekarz zamierza coś powiedzieć, nieomal wrzasnął: - Nie przerywaj i słuchaj.

Dłuższą chwilę jeszcze milczał, zmagając się z dumą, która nie pozwalała mu na przyznanie się do słabości niegodnej władcy najpotężniejszego państwa świata. Przewyciężył jednak opory i wydusił z siebie całą prawdę:

- Słuchaj, do Memfis muszę wjechać na stojąco i to w sposób godny wiekopomnego zwycięzcy nad tymi parszywymi He-

tytami. Mamy jeszcze kilka tygodni. Czy w tym czasie da się coś zrobić z tym paskudztwem, leżącym teraz na poduszkach?

- Niechętnym gestem wskazał na swoje bezwładne, opuchnięte nogi i siniejące palce.

- Panie, obawiam się, że to, co powiem, wywoła twój gniew, rozżościsz się tak, że dostaniesz paraliżu.

- Mów! Zamknę oczy i ten jeden raz w życiu będę sobie wyobrażał, że przez twoje usta przemawiają bogowie. Mów więc - powtórzył z niecierpliwością w głosie i rzeczywiście opuścił powieki.

- Jako lekarz znam twój organizm i jego potrzeby, ale znam też zagrożenia, które na niego czyhają, te zaś ukryte są w spożywanych na co dzień pokarmach. Dziś, panie, twoje ciało mówi, że na dłuższy czas musisz zrezygnować z pokarmów mięsnych, a szczególnie z ukochanych cielęcych nerek i wątróbek. Całkowicie unikaj wina. Powinieneś spożywać duże ilości gotowanych i surowych warzyw. Należy kucharzowi nakazać ograniczenie ilości soli w posiłkach dostarczanych na twój stół. Poza tym co drugi dzień do żył trzeba będzie przykładać pijawki, aby odciągały złą krew. Trzeba też, abyś codziennie zjadał skorupki z dwudziestu przepiórczych jaj, wymieszanych z daktylami lub miodem. Dla pocieszenia mogę powiedzieć, że piwa możesz, a nawet powinieneś, pić jak najwięcej. Na tę samą chorobę, co ty, cierpieli zarówno wielki twój ojciec, jak i twój sławny dziad. U nich występowały podobne objawy, jak u ciebie. Obu tych słynnych mężów leczono za pomocą metody, jaką proponuję teraz tobie. Była skuteczna. Niepotrzebni byli zaklinacze, wróżby ani ofiary.

- Zamilcz już. Miesisz ozorem jak najstarsza megiera w moim haremie, której ciągle się wydaje, że jej skrzeczenie to niebiańskie pienia. Będzie więc, jak chcesz, i zrobię, jak radzisz, ale nie wiedziałem, że to samo cierpienie było udziałem moich przodków. Zastosuję się do twojej rady tylko dlatego, że nie mam wyboru. A może mam? - spytał z nagłą podejrzliwością i ukrytą nadzieją.

Lekarz pokręcił przecząco głową.

- Chcę się ciebie, Merenepthahu, poradzić w sprawach najważniejszych niż moje zdrowie.

- Faraonie! Cóż to za sprawy?
- Czy pamiętasz, jak w bitwie z Hetytami strzała drasnąła mego konia?
- Tak. Pamiętam, że zwierzę padło natychmiast.
- Strzał takich było więcej. Druga utkwiała w rydwanie, a trzecia uśmierciła mojego tarczownika. Chociaż i w tym wypadku rana nie wydawała się groźna, żołnierz padł nagle, jakby mu głowę ścięto mieczem. Wszystkie pociski zostały wystrzelone z tyłu, a więc z naszych szeregów i zza moich pleców. Na tak obrzydliwy czyn odważyli się chyba Etiopowie lub Nubijczycy; widziałem, że zamachowcy nosili nasze barwy. Kazałem zebrać te trzy strzały. Mam je tutaj. Wykonane są nie u nas, bo na dziwnego kształtu grotach mają nie spotykane w Egipcie barbarzyńskie głębokie rowki. Spójrz na tę, która utkwiała w rydwanie. Grot nie wbił się do końca. Nacięcia w jego szerszej części są zaklejone chyba wyschniętym kurzym białkiem, a pod nim jest dziwny, zielonkawy wodnisty płyn.

Mereneptah zbladł.

- Faraonie, to jad żmij lub trucizna z leśnych roślin, a takie preparowanie strzał znane jest jedynie dzikim plemionom z krainy Punt.

- Dowiedz się więc, Mereneptahu, że właśnie te dziwne strzały oraz rozsiewane na rubieżach państwa pogłoski o mojej śmierci skłoniły mnie do zawarcia traktatu z Hetytami. Muszę wracać do stolicy. Zdajesz sobie sprawę, że aby rozgłaszać tak niegodne kłamstwa, szerzyć je w miastach, aby wynajmować skrytobójców, trzeba mieć odpowiednią organizację i znaczne środki materialne. Sądzę, że są to zakusy wrogów z Fenicji, Asyrii lub Babilonii. Administracja i kapłani też są mi niechętni, bo wydaje im się, że lepiej niż faraon rządząliby krajem. Dowódcy wojskowi, szczególnie ci, którzy niczym nie wyróżnili się na wojnach i w bitwach, zawsze gotowi są do rebelii. O spiskach dworskich nie muszę ci mówić. Musimy więc wracać, Mereneptahu, do Memfis, do mojej ukochanej córki Merit-Amun, aby w spokoju zainteresować się tymi, którzy gotowi są zająć tron Ramessydów.

- Musisz panie powiadomić tajne służby, przepytac Horse-

ta, naczelnego wróżbitę armii, i na pewno wzmocnić swoją osobistą straż.

- Nie będzie to takie proste. Tutaj, w obozie, gdzie podczas bitwy strzelają mi w plecy, poza tobą nie mogę mieć do nikogo pełnego zaufania. Nie mogę też zdradzić się przed nikim, że wiem o próbie zamachu. Postanowiłem tę informację ukryć nawet przed moim osobistym wywiadem. To on powinien dostarczać mi informacji, a nie ja jemu. Do czasu mojego powrotu do stolicy wrogowie Egiptu winni być przekonani, że nie domyślałem się niczego. Zabierz te strzały, Mereneptahu, i spróbuj na ten jad wynaleźć odtrutkę. - Uśmiechnął się chytrze. - Jako lekarz masz obowiązek troszczyć się o moje zdrowie i życie i interesować wszystkim, co temu życiu zagraża. Z drugiej zaś strony, zauważ, bogowie sprzęgli nasz los. Nie jest bowiem przypadkiem, iż spotkaliśmy się już w dzieciństwie, nie było też przypadkiem, że kiedy zmarł mój ojciec, oddałem sławnego lekarza Totinesa, a ciebie wybrałem z grona najgodniejszych. Odrzuciłem nawet tych, którzy potrafili czynić cuda i leczyli za pomocą zaklęć. Nie zawiodłem się. Wierzę, że bogowie kierowali moim i twoim losem, stawiając ciebie na mojej drodze. Tobie jednemu mogę w pełni zaufać.

Siedzieli, patrząc na monotony krajobraz, wolno przesuwający się przed oczami. Wzruszony Mereneptah przypomniał sobie, jak kiedyś w dzieciństwie w czasie zabawy doszli do wniosku, że należy z klatek uwolnić małe małpki, które ojciec Ramzesa, faraon Seti, przywiózł dla swoich kobiet. Uczynili wtedy, co postanowili, a zwierzęta natychmiast skorzystały z szansy i z pałacu uciekły do wsi. Na tym wybryku przyłapał ich faraon i - wiele nie zastanawiając się - porządnie sprzął królewski i plebejski tyłek. Obaj długo wylewali u stóp pałacowych schodów jednakowo rzewne łzy. Ale czuli się sobie bliscy, mimo różnicy stanu i pochodzenia. Potem na pewien okres ich drogi się rozeszły. Mereneptah trafił do świątyni Izydę i został pomocnikiem pisarza. Kiedyś na zlecenie królewskiego medyka przepisywał traktat medyczny o systemie kanałów, biegnących w ludzkim ciele. Wykonał go pięknie, dając najlepsze farby i najładniejszy papirus. Na końcu sporządzonej kopii wykonał starannie rysunek człowieka i zaznaczył na nim

cały system dwunastu kanałów wewnętrznych, biegnących do rąk, nóg, szyi, prącia i odbytu. Połączył je z sercem, które umieścił po lewej stronie ciała. Posłaniec odebrał oryginał i kopię, a następnego dnia zgłosił się do świątyni wraz ze swym panem i wskazał na zręcznego kopistę i rysownika.

Stary lekarz długo przypatrywał się Mereneptahowi, w końcu spytał:

- Kto polecił ci sporządzić ten rysunek i dostarczył ci wzoru?

- Nikt panie, ale czytając tekst zrozumiałem jego sens. Kanały ciała są tym dla człowieka, czym dla Egiptu kanały Nilu. Jako syn rzeźnika wiem, jak zbudowane są w środku zwierzęła. Dlatego w swoim rysunku serce namalowałem w kolorze rzeki, jako punkt centralny życia.

- Co jeszcze zapamiętałeś z tego tekstu?

- Wszystko.

- Naprawdę pamiętasz dokładnie, co przepisywałeś?

-Tak.

- A więc powiedz mi, z czego składa się człowiek?

- To proste, z małej części materialnej oraz wielkiej duchowej. Do części materialnej zalicza się serce „ab” oraz ciało „khat”, w którym serce mieszka. Niematerialne części to przede wszystkim „ba”, które jest duszą. Za życia może przebywać w ciele człowieka, ale po śmierci zawsze je opuszcza. Dusza jest nieśmiertelna i kieruje się własną wolą. Właśnie ona wędruje do Ozyrysa. Następną część niematerialną to „khu”. Jest też duchem i po śmierci człowieka przenosi się do nieba do boga Ra. Jest jeszcze „sahu” - odwieczny duch, stanowiący część naszych pradawnych gwiazdnych bogów, jacy nas stworzyli. Po naszej śmierci „sahu” wraca do nich. Do części niematerialnej człowieka należy jeszcze „sakhen” - życiowa siła, jaką bogowie dają nam przy urodzeniu. Inną ma nasz władca, inną kapłani czy zwykły piwowar. Do części duchowej należy także „khabit”, czyli cień naszego ciała. Nie jest to jednak ten cień, który widzimy na piasku, gdy świeci słońce, lecz ten, który przez całe życie niewidocznie podąża za nami. Mogą go widzieć jedynie zaklinacze i czarownicy. Wreszcie „ka”, nasz sobowtór wychodzący z ciała po śmierci. Może przybierać dowolną postać i przebywać tam, gdzie chce. I w końcu „ren”

- imię, jakie nadają nam bogowie przez rodziców. Bogowie też wyznaczają okres istnienia każdego z ludzi, a także nasz los.

Stary lekarz faraona najpierw na chłopca patrzył z niewiarą, potem ze zdziwieniem, wreszcie z podziwem, toteż gdy ten skończył interpretację tekstu, spytał ciepło:

- Pewnie chciałbyś zostać lekarzem?

- Marzę o tym.

- W takim razie czekaj tutaj.

Wyszedł na dziedziniec i podszedł do przechadzającego się arcykapłana świątyni.

- Świątobliwy Manewie. Jesteś przełożonym w tej świątyni. Spójrz na tego chłopca, który stoi tam oto, obok mojego pomocnika - wskazał ręką. - Czy wiesz o nim coś bliższego?

- Nie znam go.

- A więc posłuchaj mnie: opiekują się nim bogowie Tot i Ptah. Dali mu wielkie zdolności. Chciałbym prosić, abyś oddał go na naukę do najlepszych nauczycieli zawodu lekarskiego i wysłał do szkoły w Edfu. Chcę, by poznał tam czarodziejskie działanie ziół. Za każdy rok jego nauki zapłacę dwadzieścia debenów srebra. Ale chłopcu o tym nie mów. Czy wiesz, że potrafi odróżnić duszę od ducha, a te od innych duchów? To talent czystej wody.

Wóz podskoczył gwałtownie na jakimś większym kamieniu, przerywając tok wspomnień lekarza.

Mereneptah spojrział na władcę. Ramzes, znużony podróżą i wyczerpany nękającymi go od wielu dni dolegliwościami, spał głębokim snem. O tym, czy sen jest przymiotem boskim, lekarz nie wiedział nic.

Manu dowodził łucznikami nubijskimi. Wojskowy obóz był miejscem, w którym czuł się jak ryba w wodzie i którego nie zamieniłby na nic innego za żadną cenę. Jego faraon lubił wojnę, znał się na niej i zwyciężał. Manu był mu za to wdzięczny przez ostatnie piętnaście lat. Wojsko stało się jego domem, żoną, rodziną i najlepszym przyjacielem. Wszystko, co posiadał, zawdzięczał armii. Łuczników miał dwustu i wyszkolił ich tak, jak umiał. Manu teraz spieszył do Mereneptaha, który od kilku tygodni leczył jego żołnierzy.

Był wieczór i lekarz kończył oględziny chorych. Uporał się właśnie ze zdejmowaniem lnianych bandażów nasączonych klejem z akacji, ściągających w prostą linię przeciętą skórę rąk, głów, nóg i tułowi. Obok stał tamowacz krwi oraz pisarz, który notował dane dotyczące stanu chorych i liczby ozdowieńców. Zwyczajne zajęcia, jak to po wojnie. Na namiotowych pryzkach leżała zbieranina ras z całego świata, mówiąca różnymi językami. Część umierała, część kuśtykała; jedni krzyczeli w gorączce, inni grali w babilońską grę zwaną jeżem. Wrzaski sanitariuszy, przekleństwa przegrywających, stękanie chorych, smród gnijących ciał, ran, ropy, krwi i wina wyrabianego z fig i daktyli, używanego do przemywania ran - wszystko to mieszało się, tworząc konglomerat zapachów, odgłosów i obrazów typowych dla polowego lazaretu. Pośród tego rejwachu uwijał się Merenepthah z pomocnikami, zajęty właśnie zdejmowaniem żywego opatrunku z ramienia żołnierza o imieniu Daniel. Wcześniej dał mu do wypicia odwar z maku. Nożycami z brązu rozciął bawełniane szarpie i bandaż nałożony na staw barkowy. Pacjent - podtrzymywany przez dwóch ludzi ubranych w płócienną fartuchę - pod wpływem narkotyku wyraźnie wiotczał.

Merenepthah mocnym ruchem obu rąk rozchylił sztywne unieruchomienie. Nad lewym stawem barkowym rannego sterczał guz wielkości dużej cytryny. Dodatkowo, po zdjęciu opatrunku, uwidocznił się złamany obojczyk. Teraz należało przeprowadzić zabieg. Nie wiadomo dlaczego żołnierz jęknął, gdy po zakończeniu nastawiania pomocnik Merenepthaha bandażował tym razem prawidłowo ustawiony staw i równo złączoną kość obojczykową. Lekarz kazał Daniela wypisać z lazaretu, a dowódca przekazać polecenie, by chory za miesiąc stawiał się do kontroli. Kończył pracę, gdy zobaczył Manu.

- Chodź tutaj, ty pocięty arbuzie! - zawołał głośno, by przekrzyczeć harmider lazaretu. - Pewnie znowu jakąś ranę przysypałeś wapnem, aby uczynić ją szerszą i głębszą, a przez to w twoim mniemaniu piękniejszą. Chodź, chodź, zaraz cię obejrzę.

- Wielki Merenepthahu, daj spokój i nie wypominaj mi mojej młodzieńczej głupoty. A z blizn nabytych w walce mogą być dumny, nieprawdaż?

- W takim razie co cię do mnie sprowadza?
- Masz tu kilku moich żołnierzy. Chciałem cię spytać, czy nie potrzeba im czegoś. Widzę jednak, że wszyscy są już opatrzeni i wyglądają dobrze. Przyniosłem dla ciebie trzy dzbany wyśmienitego wina z Tyru.
- To miło Manu, ale ważniejsze, że myślisz o swoich żołnierzach. Mówiłem o tym naszemu panu.
- O mnie? - Manu skamieniał z wrażenia. - Naprawdę, mówiłeś wielkiemu faraonowi o jego nędz'nym słudze?
- Tak, właśnie o tobie. Wojna się skończyła, wrogowie zostali pobici. Część wojsk musi być rozpuszczona do domów.
- To co się stanie z moimi ludźmi, ze mną?
- Nie martw się, wódz chce najpierw odpocząć w stolicy, a potem pojechać w głąb kraju na polowanie. Ciebie i Nubijczyków polecałem jako osobistą ochronę. Nasz władca od lat marzy o tym, aby własnoręcznie zabić słonia, nie wie jednak, w jaki sposób na takie zwierzęta należy polować. A może ty coś wiesz na ten temat?
- Wielki Merenepthahu, o zabijaniu tych zwierząt nie wiem nic.
- Popytaj wśród żołnierzy. Jeśli poznasz właściwy sposób uśmiercania słoni - a podobno potrafią tego dokonywać mężczyźni z krainy Punt - osobiście będziesz mógł o tym opowiedzieć naszemu władcy. Na pewno cię wynagrodzi.
- Jeśli faraon weźmie mnie i moich zabijaków na tę wyprawę, rezygnuję z nagrody.
- Świetnie, ale w tej sprawie trzymaj język za zębami. Rozumiesz mnie?
- Jak najdokładniej, wielki Merenepthahu.

W kierunku stojącego wozu Ramzesa podązał samotnie kapłan Horset. Przynosił władcy wieści tak niezwykle, że z trudem odganiał ogarniający go niepokój i strach. Nie zważając na etykietę i zwyczaje żołnierskie, bez słowa wspiął się na królewski wóz i rzekł:

- Panie, musimy się obaj zastanowić, bo mam ważne wiadomości do przekazania.
- Czego dotyczą?

- Ogólnie rzecz biorąc, bezpieczeństwa państwa.
- Myślisz o Egipcie, czy też o mojej osobie?
- O Egipcie. Sprawa jest niezwykła. Mój agent, niejaki I'tahhotep, przesłał pisemną relację o przybyszu, który jego /daniem przybył z gwiazd w latającym pojeździe w kształcie kuli. Sądzę też, że obserwacją, o jakiej tu mówię, przed śmiercią podzielił się również z arcykapłanem świątyni w Om. Wiedziano ich rozmawiających ze sobą. Zapewne w wyniku tej rozmowy Sansep przechwycił przybysza. Przypuszczam, że ze względów religijnych ci najbardziej ortodoksyjni z egipskich kapłanów spróbują z więźnia wycisnąć, ile się da, a potem go zlikwidują tylko w tym celu, aby uzyskane informacje budowały potęgę świątyni, a nie dynastii lub państwa.
- Zgadzam się z takim wywodem, ale na pewno już coś postanowiłeś w tej sprawie?
- Wydałem polecenie, aby nasi ludzie w Om i Memfis strzelili tego przybysza z nieba jak oczu, ale obawiam się, że ich siły są niewystarczające. Więzień, o którym mowa, podlega wyłącznej jurysdykcji świątyni i jeśli Sansep oświadczy, że uwięziono go z przyczyn związanych z naruszeniem kanonów wiary, to nic na to nie będzie można poradzić.
- Horsecie, ten człowiek niezwłocznie ma zostać stamtąd uprowadzony, potem, żywy i zdolny do mówienia, dostarczony do mnie jak najprędzej. Jeśli w jego posiadanie wejdą hierarchowie, to ster państwa może zostać przez nich przejęty w pierwszej dogodnej chwili. Ten, kto ma tego gwiazdnego przybysza, utrzyma władzę. Użyj wszystkich dostępnych środków, ale oczywiście byłoby najlepiej, aby nie wybuchł skandal. Nie można dopuścić, aby w przypadku niepowodzenia akcji ktokolwiek mógł poświadczyć, że ludzie faraona bezczeszczą świątynię, w dodatku za jego pozwoleniem. Zresztą nie będę ci podpowiadał sposobów, jak należy kamuflować tajne operacje i rzucać podejrzania na przeciwników.
- Czy o okolicznościach sprawy należy powiadomić Merit-Amun i szefa tajnej policji w Memfis, Amiptaha?
- Nie. Jeśli moja córka o niczym dotąd nie wie, a w Memfis jest spokój, to akcję będzie można przeprowadzić łatwiej, podejrzania zaś o sprawstwo skierować na przykład na Hetytów,

Babilończyków czy kogo tam chcesz. Nie muszę ci przypominać, że najważniejszym działaniem wywiadu jest manipulowanie informacją. Czy masz jeszcze coś do dodania, co by dotyczyło zagrożenia bezpieczeństwa mojego czy członków dynastii?

- Faraonie, twoje obawy są nieuzasadnione. Ty i twoja rodzina znajdujecie się pod nieustanną opieką tajnych służb i z tego, co wiem, wszystkie raporty donoszą o pełnym spokoju w kraju.

- To dobrze, Horsecie. A teraz idź i przygotuj wszystkie twoje służby do uwolnienia tego więźnia z Om. Ma być mój!

Horset odszedł do swojego wozu. Pomocnicy rozstawili wielki namiot wróżbity i po chwili rozległy się melodie i recytacje, którym wtórowały basowe odgłosy wróżebnych bębnow. Pod wieczór, gdy sokoły zaprzestały lotów, z skrytek uwolniono sporo gołębi. Bystry obserwator mógłby wówczas zauważyć, że nie krążyły one nad obozem, lecz wszystkie poleciały na południe. W obozie było wielu, którzy to dostrzegli, a zajmowali się uzyskiwaniem informacji dla tych, którym na sercu na pewno nie leżała przyszłość dynastii Ramessydów.

Zbliżała się noc. Armia wygasła ogniska, spętano konie i wielbłądy. Po obozie kręciły się służby porządkowe. Słychać było krzyki podoficerów, rozkazy i polecenia dowódców. Powoli zapadał mrok. Obóz cichł.

Manu poszedł sprawdzić swoich łuczników. Niektórzy spali, inni patrolowali północną stronę obozu, w którego środku sterczał sześciokąt polowego namiotu faraona, otoczony gęstym murem przybocznej straży. Ku swemu zdziwieniu Manu stwierdził, że wartę trzymają żołnierze z jednostki szardanów, a nie - jak zwykle - doborowe oddziały egipskiej młodzieży. Nie zastanawiał się nad tym specjalnie. Odnotował fakt i przeszedł nad nim do porządku. Dotarł na linię wysuniętych posterunków i spotkał tam Uzomo, swojego zastępcę. Obaj obeszl posterunki, sprawdzając rozstawienie i dyscyplinę, rozmawiając o wydarzeniach dnia. Kiedy wracali do kwater, Manu zagadnął od niechcenia:

- Czy nie zostało ci jeszcze trochę wina? Swoje oddałem czcigodnemu Mereneptahowi, a po spiekocie dnia czuję, że zasycha mi w gardle.

- Zrobiłeś głupio, bo ci szakale, karmiący się naszą krwią, mają go pod dostatkiem. Ale trochę mi zostało.
- Coś jeszcze do tego napoju by się przydało, nie sądzisz?
- Oczywiście, mój dowódco, dwie tłuście, dobrze owłosione Nubijki, takie z dużymi cycami i dupami. Od razu takiej jednej bym...
- Nie kończ Uzomo, ty rznąłbyś nawet podłogę, gdyby była pokryta włosami.
- Przesadzasz Manu, ale nie tak znów bardzo. W każdym razie nie lubię tych wszędzie ogolonych Egipcjanek. Mam wrażenie, że pieprzę się, że tak powiem, na łyso.
- Koniec z głupotami. Uzomo, mam do ciebie pytanie. Czy wiesz, w jaki sposób poluje się na słonie?
- Ja nie wiem, ale poczekaj, jest taki Wattu, co służy w armii dopiero od niedawna. Mówił kiedyś, że w głębi lądu żyją plemiona polujące na słonie.
- Odszukaj tego łuczника i przyślij go do mnie.

Z samego rana do kwatery Manu zgłosił się wezwany żołnierz. Na jego szyi, podobnie jak u wszystkich Nubijczyków, wisiał naszyjnik wykonany z pazurów dzikich zwierząt. Żołnierz zameldował się przepisowo:

- Dowódco, jestem na twoje rozkazy.
- Nie zzywałem cię w sprawach służby. Jesteś z plemienia Medża, a po naszytych rombach na twojej spódniczce widzę, że zabiłeś już siedmiu wrogów.
- Tak.
- Od jak dawna służysz?
- Od dwu lat.
- To nieźle, jak na tak krótki okres.
- Wyniki mogłyby być lepsze, gdybym walczył w pierwszym szeregu.
- Twój bezpośredni dowódca wspominał, że widziałeś słonie. Może wiesz, jak się je zabija?
- Podobno jest taki sposób. Mówił o nim Haribu, syn naszego wioskowego czarownika, który służy wraz ze mną, ale uważa się za coś wyższego niż zwykły Medża.
- Bardzo mnie interesuje ten sposób.

- Haribu twierdzi, że jedną strzałą, wypuszczoną w oko lub trąbę tego zwierzęcia, można pozbawić je życia. Ale pewno jak zwykle kłamał. Nikt go tu nie lubi, z wyjątkiem jego dwóch kuzynów. Przyszli do oddziału rok temu. Przedtem pilnowali południa. Nie rozmawiam z nimi często, bo... - Wattu zająknął się i zamilkł.

- Bo, co? Mów śmiało.

- Haribu jest dobrym żołnierzem, więc nie powinienem o nim źle mówić.

- Kręcisz coś. O co chodzi z tym Haribu?

- Nic wielkiego. Po prostu on i jego kuzyni są inni niż my wszyscy. Trzymają się oddzielnie. Razem maszerują, razem walczą, razem śpią, tylko dla siebie rozpalają ognisko. Innym to się nie podoba, mnie też, ale nic do nich nie mam.

- Dobrze, Wattu. Możesz już iść. Ale pamiętaj, wszystko, czym interesuje się twój dowódca, to wyłącznie jego sprawa.

Mereneptah relację Manu przyjął z widocznym zaciekawieniem. Poczęstował gościa winem i zaraz udał się do faraona, który leżał w namiocie, z wyraźną niechęcią patrząc na niewolnicę, przygotowującą posiłek z potłuczonych skorupki jaj i daktyli. Spod oka spojrzał na wchodzącego i nie zmieniając półleżącej pozycji, spytał kwaśno:

- Z czym przychodzisz? Czyżbyś doszedł do wniosku, że powinienem zmienić tę obrzydliwą kurację, o której sama myśl przyprawia mnie o mdłości?

- Przyszedłem w innej sprawie. Mam nadzieję, że poprawię ci samopoczucie, ale - tu oczyma wskazał na niewolnicę - myślę, że nikt nie powinien tego słuchać prócz ciebie.

Gdy zostali sami, faraon spojrzał pytająco na swego lekarza.

- Coś o polowaniu na słonie, Mereneptahu?

- Nie tylko.

Medyk wiernie i szczegółowo zrelacjonował wszystko, co usłyszał od Manu, nie pominał żadnego szczegółu. Na zakończenie rzekł, zniżając głos niemal do szeptu:

- Nie jest możliwe, by tak wielkie zwierzę mogło zginąć od strzały wypuszczonej w oko lub trąbę, chyba że grot strzały jest nasączony bardzo silną trucizną. I jeszcze jedno. Haribu

należy do oddziału Manu i jest synem czarownika. Być może /na taką truciznę albo jad, a kto wie, czy dalej nie trzyma tej 11 uczny w obozie?

Ramzes patrzył na lekarza z napięciem.

- Chcesz powiedzieć, że skrytobójcy nadal czyhają na mnie tu, w mojej armii?

- Uważam, że takie podejrzenie jest zasadne, dlatego należy je wyjaśnić. Śpiesząc do ciebie przemyślałem wszystko i mam pewien plan.

Dochodziło południe, gdy Manu otrzymał rozkaz stawienia się przed oblicze władcy.

- Jesteś dzielny i wiernym żołnierzem - powiedział faraon. - W nagrodę za zasługi pojedziesz ze mną na polowanie. Zabierzesz też nubijskich łuczników. Chcę wam powierzyć specjalne zadanie. Niedaleko od obozu jest grobla, którą zniszczył wylew Nilu. Dziś miałem sen, a w nim obiecałem wielkiemu Amonowi, że ją naprawię. Masz na to dwa dni. Zbierz swoich ludzi, a gdy będziecie już gotowi, możecie podejść pod ten namiot i wydać okrzyk na moją cześć. Zanim wyruszyacie, służby sanitarne dokonają okresowego badania żołnierzy.

Mereneptah z pomocnikami i pisarzem rozpoczęli inspekcję. Lekarz wchodził do namiotów, oglądał żołnierzy z przodu, z tyłu i w rozkroku. Meldowali się, podając swoje imiona. W czwartym namiocie od końca mieszkał Haribu z kuzynami. Oddział ustawiono trójkami i łuczniczy, pobrawszy łopaty i żywność, wyruszyli w kierunku namiotu faraona. Podeszedłszy blisko, ujrzeli władcę stojącego w wejściu. Zatrzymali się i wrzasnęli na komendę:

- Obyś żył wiecznie, władco Górnego i Dolnego Egiptu, Ramzesie II, równy bogom!

Faraon skinął ręką i cofnął się do wnętrza.

W opuszczonym obozowisku łuczników pozostał Mereneptah. Wraz z dwoma ludźmi dokonywał rewizji namiotu Haribu. Jeden z pomocników wyszedł na zewnątrz i rozwiązał troki ścisiskające rulon zasłony zamykającej otwór wejściowy do namiotu, która rozwinęła się, a z niej na piasek stoczyły się dwa niewielkie skórzane woreczki. Lekarz oddalił pomocników, a gdy został sam, stwierdził, że ich zawartość stanowiły ponacinane

groty strzał oraz owinięta dokładnie wieloma warstwami łyka, szczelnie zatkana korkiem gliniana fiolka. Z całą ostrożnością ją otworzył. Nie wydzielala żadnego zapachu i zawierała gęsty, mętna wy płyn.

Wrócił do siebie i przeprowadził badanie zawartości na króliku i gołębiu. Minimalne draśnięcie okazało się śmiertelne. Było to zdumiewające, nawet jad królewskiej kobry nie zabijał tak szybko. Przełął śmiercionośny płyn do innego pojemnika, fiolkę zaś wielokrotnie przemył wodą i winem, a następnie nappełnił rozcieńczonym zielonkawym leśnym miodem o konsystencji podobnej do trucizny. Mimo późnej pory udał się do namiotu faraona. W dużej sakwie niósł groty strzał, truciznę oraz martwe zwierzęta.

Ramzes, czekając na Merenepthaha, myślał o przyszłości. Wojna się skończyła. On sam i jego wódz Dżawer, aktualnie pacyfikujący zbuntowaną Libię, usunęli wszystkie niebezpieczeństwa. Teraz wielkie armie zmierzają w stronę stolicy. Do garnizonów powrócą tysiące ludzi. Trzeba ich utrzymać, płacić stały żołd. Należałoby rozwiązać przynajmniej jedną armię. Ale wtedy w kraj pójda watahy świetnie wyszkolonych zabijaków. Zaczna się rabunki, podpalenia, gwałty, mordy. Pozostałe wojsko, zamiast siedzieć w garnizonach, będzie musiało przywracać porządek siłą. Istny kataklizm dla państwa. Armia czynna przeciwko armii rozwiązanej? Trzeba znaleźć jakieś inne wyjście... Może roboty publiczne albo budowa piramidy? Zwycięstwo zwycięstwem, pokój pokojem, z tymi ludźmi trzeba coś pożytecznego zrobić. Ale to nie jedyne zbędne ręce lub - mówiąc brutalniej - zbędni ludzie. Ze wszystkich stron napływają emigranci, szukający w Egipcie szansy na przeżycie. Przychodzą z terenów, gdzie latami nie padał deszcz. Choć są balastem, nie można ich winić. Całe plemiona żywych szkieletów, matek z martwymi dziećmi, mężczyzn wyschniętych na wiór docierają z południa i wschodu do zbawczego Nilu. Całują tę ziemię, są pokorni, zadowala ich woda i złowiona ryba. Potem wyrywają pustyni kawałek po kawałku, kopią kanały, sieją ziarno.

Poczuł gniotący ciężar korony. On, faraon, bóg i władca, nie potrafił rozwiązać problemów własnego narodu, który mu zawierzył na dobre i złe. Czuł się samotny i przygnębiony.

Kazał przywołać Mereneptaha.

- Może masz jakieś nowe wiadomości?
- Nie, faraonie, lecz przemyślałem do końca mój plan i uważam go za całkiem niezły.
- Chcę go poznać. Zbyt cię lubię, aby właśnie ciebie narażać na zbędne niebezpieczeństwo.
- Myślę, że należy zrobić tak: oficer nadzorujący roboty przy grobli otrzyma rozkaz, aby Manu z tymi trzema zdrajcami przybył po nagrodę. Warta ich przyprowadzi do mojego namiotu, rozstawię go na pustyni daleko przed obozem. Przedtem zapowiem szardanom, że będę ukaranym Nubijczykom ogłaszał wyrok. Wzajemnie się nie znoszą i to ich ucieszy.
- A co potem?
- Badanie przez kata i jego pomocników tak daleko idące, aż powiedzą wszystko.

Haribu i jego dwaj krewni weszli do namiotu. W środku stało podróżne krzesło, na którym siedział Mereneptah. Dwaj szardanowie z obnażonymi mieczami stali za nim, a jeszcze po dwóch z boku i przy wejściu.

- Stańcie tutaj - Mereneptah wskazał im miejsce.

Wykonali polecenie. Lekarz surowo na nich popatrzył, zdjął coś z zagięcia oparcia i rzucił im przed oczy na piasek ponacinane groty. Twarze Nubijczyków zrobiły się popielate, nie mogli oderwać wzroku od małych przedmiotów, spoczywających u ich stóp. Jak na komendę zerwali z szyi plemienne naszyjniki i wbili sobie w brzuchy największe z pazurów. W chwilę później padli w konwulsjach. Mereneptah zaklął, rzucił się w przód, ukląkł przy tym, który jeszcze żył i małym nożykiem naciął ranę, by zaczęła intensywnie krwawić. Żołnierz otworzył oczy.

- Nakazuję ci mówić! - krzyknął lekarz.

Leżący na ziemi poruszył ustami, z których wydobył się zamierający głos:

- Uratowałem swoją duszę ...

Mereneptah wziął łuczywo i podszedł do pozostałych zwłok. W brzuchach obu Nubijczyków tkwiły pazury nieznanego zwierzęcia. Delikatnie je wyjął i zbliżył do światła. Ze szczytu każ-

dego wystawał cienki grot. W szerszej części znajdowała się tulejka ze szczelnie dopasowanym tłoczkiem, wgniecionym do środka. Mereneptah nacisnął ostrze o słup. Coś cicho trzasnęło, zapewne wewnętrzna zapadka, i mordercza końcówka schowała się w kościanym futerale. Sprawdził jeszcze raz. Z drugiej strony wcisnął tłoczek do środka. W otworze ponownie pojawił się koniec ostrza. Nożem zeszkrobał kleistą warstwę, znajdującą się w pobliżu otworu - była taka sama jak na grotach strzał. W chwilę później spokojnie udał się spać.

Zwłoki trzech samobójców pokrywał kurz. Jeśli gdzieś jest ich bóg, niech im udzieli nagrody za wypełnienie rozkazów do końca. Karę za zdradę wymierzili sobie sami. Tak myślał Ramzes, słuchając relacji Mereneptaha.

- Co sądzisz o tym wszystkim? - spytał, kiedy tamten skończył.

- Królu, ponieśliśmy porażkę. Ten, kto ich wysłał przeciw tobie, zabezpieczył się przed dekonspiracją, dając wykonawcom zamachu możliwość uniknięcia tortur. Nubijczycy nigdy nie zdejmują naszyjników. Wierzą, że chronią przed strzałami. To rytualny amulet, który dostają w chwili inicjacji. Nikt nie mógł przypuszczać, że te, jakie mieli na sobie, zostały celowo spreparowane.

- Stało się tak, jak się stało - powiedział faraon. - Teraz trzeba o wszystkim zawiadomić następcę tronu, mojego syna Kaima, dowodzącego Armią Południe na terenie Nubii. Samobójcy posiadają rodziny i można przypuszczać, że właśnie tam tkwią animatorzy spisku. Przypuszczam też, że jeśli dokonano zamachu na mnie, to możliwe również, że planuje się jego powtórzenie na moim synu. Wysyłam cię jako osobistego kuriera, obdarzonego nadzwyczajnymi uprawnieniami. Otrzymasz gwałt, nakazujący pełne posłuszeństwo każdej osoby w państwie. Kaimowi opowiesz o wszystkim, co się tutaj wydarzyło. Ja i moja armia wyruszamy wprost do Memfis, tobie niech bogowie służą pomocą. W gwałcie umieszczę informację, że wszystko, co postanowisz lub uczynisz, jest za moją zgodą i ma na celu dobro Egiptu.

ROZDZIAŁ 5

Moje obecne terytorium było znacznie większe i składało się z dwóch pomieszczeń - sypialni i gabinetu - na noc zamkniętych od zewnątrz ciężkimi drewnianymi drzwiami. W dzień wychodziło się przez nie na małe wewnętrzne patio, gdzie znajdowała się sadzawka z rybami. Stamtąd wewnętrzne schody prowadziły na szczyt jednego z pylonów, skąd można było oglądać okolony murami plac przed wejściem do świątyni, na którym w centralnym miejscu ustawiono świętą kolumnę Dolnego Egiptu, zwaną Annu. Przez dłuższy czas wędrówki po nowym terenie stanowiły główną moją atrakcję. Po tygodniu zacząłem się nudzić. Przestało mnie bawić podglądanie ludzi. Jedyną radością pozostało czytanie papirusów. Przeczytałem je wszystkie i uzyskałem pewność, że szereg rytuałów masonerii - na przykład towarzyszących inicjacji - odwzorowuje antyczne misteria wtajemniczania faraonów w problematykę samodoskonalenia, a nawet zmartwychwstania i nieśmiertelności. Poznałem też tajemnice jubilerstwa i złotnictwa, dowiedziałem się, że Egipcjanie potrafili nadawać kolory kryształowi górskiemu, zmieniać jego twardość i szlifować według wzorów potrzebnych do wyrobu naszyjników, pierścieni i bransolet.

W pewnym momencie oświeciła mnie myśl. Przecież mógłbym na podstawie im współczesnej wiedzy oraz tej z mojego czasu zrobić coś, co mieszkańcom tej ziemi pomoże w codziennym życiu. Wkrótce miałem gotowy projekt. Zażądałem dostarczenia zupełnie przezroczystego kryształu, koła szlifierskiego, pilników i proszków polernicznych oraz metalowych rurek. Po kilkunastu dniach zrobiłem, co zamierzałem. Zauważyłem przeobrażenie, a potem zachwyt opiekunki, gdy za pomocą soczewki

podpaliłem skrawki papirusu. Później przez sporządzoną przez siebie lunetę pokazałem strażnikowi fragment miasta. Spojrzał, zbladł i po chwili odebrał mi wszystko, co wydawało się mu podejrzanym, a następnie gwałtownie zaczął dobijać się do drzwi. Po dłuższym czasie wrócił, wykonane zaś przeze mnie przedmioty zniknęły. Wzruszyłem ramionami i udałem się na taras pylonu.

Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem tam wysokiego kapłana, który karmił gołębie na najwyższym ze świątynnych dachów. Jego ramiona okrywała skóra, spięta klamrą w kształcie byczej głowy. Pamiętałem go: był tym, który w sali sądu wygłosił do mnie to cholerne ostatnie przemówienie, darujące życie i odbierające wolność. Było coś zupełnie niezrozumiałego w jego obecnym zajęciu. Arcykapłan Goren gołębiarzem? Dla powagi i autorytetu świątyni był takim samym nonsensem jak dla państwa prezydent-pingpongista. Byłem pewien, że za jego czynnościami kryje się jakaś tajemnica, a ja przypadkiem znalazłem się blisko czegoś ważnego. Po kilku dniach odkryłem istotną prawidłowość. Do gołębnika wchodził tylko on, nikt inny. W rozszyfrowaniu zagadki pomógł mi przypadek. Pewnego dnia zauważyłem ciężki lot gołębia, który nie uganiał się po niebie z innymi. Zbliżał się do świątyni, tracąc wysokość. Nagle z chmur wystrzelił drapieжник. Na moment przed zderzeniem ptaków, w niezrozumiałym dla siebie odruchu, krzyknąłem i rzuciłem w górę garść żwiru, zalegającego przy ścianie. Sokół nie trafił, a osłabiony gołąb roztrzaskał się u moich stóp. Spostrzegłem, że przywiązano mu do nogi małą tulejkę. Wyjąłem z niej strzęp papirusu. Zawierał skrótowo zaznaczony kartusz faraonSKI i kilka słów: *Szóstka do piątki. Możliwy zamach na życie czwórki.*

To była na pewno ważna informacja. Przestały mnie dziwić częste wizyty kapłana na wysokim dachu. Widziałem przecież, jak kilkakrotnie wypuszczał gołębie na podniebne szlaki. Czyżby ten człowiek był ogniwem rozległej sieci łączności, a może nawet jej animatorem? Zastanawiałem się, co zrobić z wiadomością, która nieoczekiwanie wpadła w moje ręce. Czy o znalezisku powinienem kogoś powiadomić? Czy taki gest lojalności mogłoby spowodować odmianę mojego losu? Wyobraż-

nia dyktowała mi też inne zakończenie. Niewątpliwie wplątałem się w tajemnice świątyni. Czy tylko? A może niepowołani do ich odbioru - tacy jak ja - za wejście w ich posiadanie mogą zapłacić głową? A więc, czy nie jest lepiej niczego nie ujawniać, siedzieć cicho i czekać?

Strzęp papirusu ukryłem w szparze ściany swojej sypialni.

..*

Po zakończeniu wieczornych modłów arcykapłan Goren przebywał w celi. Zastanawiał się po raz kolejny nad tym, czy Sansep nie miał racji, polecając tego przybysza usunąć z grona żyjących, ale dlaczego o fakcie jego znalezienia nie powiadomił faraona ani wezyra? Goren fakt ten sprawdził własnymi kanałami. Na pobliskim dworze księżniczki Merit-Amun panowała cisza, wiadomości z armii faraonńskiej pozwalały myśleć, że pobyt tego obcego jest organom władzy nieznanym.

Już dawno temu Goren wysłał obszerną wiadomość o przybyszu do świątobliwego Horseta, głównego wróżbity i kapłana faraonńskiej armii. Otrzymał krótką odpowiedź: *Zrobileś słuszenie, strzeż go jak siebie samego. Do rozwiązania sprawy przystąpimy później, faraon powiadomiony, zachowaj ścisłą tajemnicę - chodzi o rację stanu.* A więc, w razie czego, ma potężnego sojusznika, z którym każdy w Egipcie musi się liczyć.

Późnym wieczorem przypomniał sobie, że od kilku dni nie odebrał raportu o przybyszu z nieba od zaufanego sługi. Wezwał go do siebie i teraz czekał na jego przybycie, a gdy wezwany wszedł, spytał:

- Chcę usłyszeć, co robi więzień świątyni?
- To co zawsze. Chodzi, czyta, śpi, je... Nic nadzwyczajnego.
- Czy ktokolwiek usiłował nawiązać z nim kontakt lub on sam próbował ucieczki?
- Nie spostrzegłem niczego godnego uwagi.
- A może zauważyłeś coś niezwykłego w jego zachowaniu?
- Myślę, że to zwykły człowiek. Lubi zwierzęta, ma małego kota, karmi ryby, nienawidzi przemocy.
- Skąd wyciągnąłeś taki wniosek?
- Dwa dni temu, przebywając na pylonie, próbował uratować gołębia przed sokołem, ale zaatakowany ptak zabił się

u jego stóp; był chyba skrajnie osłabiony daleką trasą albo źle wykonał manewr.

- Jakiego koloru był gołąb?
- Ciemny grzywacz ze stalowoniebieską głową.
- Widzę, że jesteś byстрыm obserwatorem, rób tak nadal i starannie obserwuj każdy ruch tego człowieka.

Na Atuma, pomyślał Goren, nie ma żadnej wątpliwości, skrzydlaty posłaniec, którego opisał sługa, był najszybszym ze wszystkich gołębi. Ten obcy musiał dostrzec przywiązaną do jego nogi tulejkę, a więc byłby skończonym głupcem, gdyby do niej nie zajrzał i nie wyciągnął przekazanej wiadomości. Zapewne ją odczytał. Czy mógł rozszyfrować jej treść? Dlaczego dotąd nie ujawnił, że wszedł w jej posiadanie? Czy dlatego, że nie dotyczyła jego spraw? A może bał się konsekwencji? Należy rano tutaj go sprowadzić i zażądać wydania przesłanej informacji. A może natychmiast?

Po chwili namysłu odrzucił tę myśl. Rano jest rano, myśli wtedy są świeże, sen oczyszcza je z niepotrzebnych emocji.

Jednak nie było mu dane spać tej nocy. W połowie drugiej straży został obudzony gwałtownym waleniem do drzwi. Na zewnątrz stał dowódca ochrony świątyni.

- Arcykapłanie! Dokonano napadu na święty przybytek boga Atuma. Strażnikom bram zewnętrznych poderżnięto gardła. Napastnicy stoczyli walkę z ochroną wewnętrzną i udało im się otworzyć kamienne drzwi, zagradzające drogę do dziedzińca, gdzie są pomieszczenia, w których przebywa więzień. Sprawcy napadu zabili znajdującą się tam kobietę. Strażnik tego terytorium stoczył z nimi walkę. Niestety, zarówno on, jak i jego przeciwnicy nie żyją. Nie mam żadnych wątpliwości, że skrytobójcy musieli mieć pomocników wśród naszych służb.

- Czy masz coś jeszcze do zakomunikowania?
- Dwa dni przed śmiercią wezwał mnie arcykapłan Sansep i oświadczył, że niebawem zamierza przenieść mnie na emeryturę. Byłem zdziwiony, bo wydawało się, iż dotąd był rad z mojej pracy, a jestem sprawny i nie tak stary. Z zaskoczeniem dowiedziałem się...

- Zostaniesz nadal dowódcą straży, ale czy może dowiedzieć się, kogo chciał wprowadzić na twoje stanowisko?

- Nie wymienił imienia, ale napomknął, że na moim miejscu widzi kogoś z kapłanów, więc myślałem...

- Źle myślałeś. Teraz zaprowadź mnie do zabitych.

Goren na piersi jednego z napastników ujrzał symbol bogini Bastet. To odkrycie go zastanowiło. Wezwał wszystkich si raźników nocnej zmiany. Spośród napastników nie rozpoznał nikogo. Goren wrócił do świątyni i na nocne modły kazał przywołać kapłanów i całą służbę. Tam powiadomił ich o zaistniałych wydarzeniach, a następnie wszystkich zaprzysiął do zachowania ścisłej tajemnicy.

Zwłoki pomordowanych kazał pochować w podziemiach świątyni, gdzie ich dusze miały zapewnione te same prawa, co na terenie Miasta Umarłych. Położył się spać, myśląc o tym, jak nagle, lecz jednoznaczne są wyroki losu w odróżnieniu od boskich, które są niezrozumiałe w ogóle.

••

Wstrząsnęły mną ślady krwi w korytarzu. Prawdziwego wewnętrznego dygotu doznałem wówczas, gdy uświadomiłem sobie, że prawdopodobnie to moja krew miała pochłapać te odwieczne kamienne mury. Niewątpliwie na dziedzińcu stoczono walkę, czego dowodem mogła być nieobecność moich dotychczasowych strażników i opiekunów oraz potrojenie warty wewnętrznej. Kim byli napastnicy? Czyżby chodziło im o ten strzęp papirusu i zawartą w nim wiadomość? Doszedłem do wniosku, iż muszę zaryzykować. Podszedłem do pilnujących mnie osiłków.

- Zawiadomcie arcykapłana Gorena, że muszę się natychmiast z nim zobaczyć w nagłej sprawie, która dotyczy kanonów wiary.

Najstarszy z nich przecząco pokręcił głową. Szybko na kawałku papirusu napisałem kilka słów i dałem mu do ręki.

- Jeśli nie zrobicie tego, co do was mówię, jutro garnizon waszymi głowami grać będzie w kule.

Wywarło to na nich odpowiednie wrażenie. Jeden z nich wyszedł, niosąc w ręku moją informację. Wróciłem do sypialni i wyciągnąłem z ukrycia papirus, a następnie schowałem w fałdach odzieży. Na odzew nie czekałem długo. Drzwi otworzył

kapłan o płomiennych oczach fanatyka, a wraz z nim do pomieszczenia weszło trzech osobników o tępych spojrzeniu. Kapłan siadł na krześle i beznamyślnie zapytał:

- Cóż to za niezwykle ważna informacja, jaką chcesz nam przekazać?

Spojrzałem na niego jak na wyschnięte łajno i wzruszyłem ramionami.

- Wiedza dostępna wtajemniczonym jest ukryta, a gdy poznawana jest przez takich jak ty, zabija jak jad królewskiej kobry. Jeśli mnie zaraz nie zaprowadzisz do arcykapłana, to z jego rozkazu wkrótce zostaniecie poćwiartowani, waszym mięsem nakarmi się psy, a podrobami robactwo. Nić twego życia znajduje się w moich rękach, a nie odwrotnie. Pomyśl o tym przez chwilę.

Patrzył na mnie z natężoną uwagą krogulca, w którego oczach wróbel zamienia się w sepa. Raczej mnie nie kochał, aleomalże widziałem, jak mu myśli kołują w ogolonym łbie. Gestem nakazał osiłkom pozostanie, a sam wyszedł.

Wkrótce szliśmy długimi korytarzami raz w dół, raz w górę. Mijałem wiele pomieszczeń i dziedzińców oraz jakieś lochy. Sądzę, że prowadzono mnie w taki sposób celowo, po to, abym nie zdołał pokonać tej drogi samotnie. Otwierano w ścianach sekretne przejścia, za nami zatrzaśkiwały się zapadnie. Za którymiś z rzędu drzwiami zobaczyłem arcykapłana Gorena.

W porównaniu z moją celą jego była szczytem prostoty i ubóstwa. Znajdował się w niej tylko kamienny stół oraz ława, służąca też prawdopodobnie za łóżko. Najwyższy zwierzchnik świątyni w Om siedział teraz na tej ławie, pochylał się lekko do przodu, tak że jego piersi prawie dotykały stołu, milczał i patrzył na mnie. Wiedziałem, że do mnie należy pierwszy ruch.

- Sprawa, którą chcę zakomunikować, posiada istotne znaczenie i jest przeznaczona, arcykapłanie, wyłącznie dla ciebie.

Z obojętną twarzą zdecydowanym ruchem ręki oddalił obecnych. Zauważyłem, że ostatni z wychodzących celowo nie domknął drzwi. Położyłem palec na ustach, drugą ręką wskazałem na widoczną szparę i podałem mu karteczkę, zabraną gołębiowi.

Przeczytał i popatrzył na mnie z ogromnym wzburzeniem. I'odszedł do drzwi i stojąc od nich o krok, spokojnie i głośno powiedział:

- Cóż to za ważna tajemnica, o której mówiłeś, że dotyczy kanonu wiary?

Wiedziałem, że musimy stąd wyjść na zewnątrz, i w tym celu ja pierwszy powinienem wykazać się inicjatywą.

- Panie, nie mnie, obcokrajowcowi, przysługuje prawo wypowiadania się o astronomii i magii. Jestem u was od niedawna, lecz zauważyłem niepokojące znaki na niebie, które w moim kraju w świętych księgach kapłańskich oznaczają nieszczęście, pożogę i krew. A jeśli mam rację, znaki te dotyczą Egiptu. Gdybyś zechciał ze mną wyjść na taras pylonu, gdzie zachodnie niebo jest najlepiej widoczne, wskazałbym te symptomy.

Goren zadzwonił trzy razy, przywołując straż.

- Putyfarze - zwrócił się do kapłana - idź zaraz po mędrca Hotepa i powiedz, by *przyszeóí* na zachodni *pyion*. Weź dwóch strażników. Ja i ten cudzoziemiec będziemy tam oczekiwać.

Wydane polecenie wyraźnie poruszyło osobnika, który mnie tu przywiódł.

- Świątobliwy Gorenie, nie mogę cię zostawić samego z obcym. Jestem odpowiedzialny za twoje bezpieczeństwo, tak nakazał Sansep.

- Zrobisz, co rozkazuję.

Z fałdów odzieży Goren wyjął i unióśł na wysokość oczu niewielki przedmiot, przypominający amulet w kształcie klucza Nilu, wykonany ze szlachetnego kruszcu i ozdobiony krwistoczerwona i niebieską emalią. W dolnej części przypominał uskrzydłonego skarabeusza, wyrzeźbionego w zielonym kamieniu. Światło kaganków początkowo odbijało się w załamaniach amuletu, a następnie ulegało w nim kondensacji, by po chwili utworzyć czerwony snop blasku, w którym wirowały cząsteczki kurzu. Strumień czerwonych promieni przybierał kształt stożka i wolno przesunął się ku stopom Putyfara; ten zbłądł, złożył ręce na piersi i wycofał się tyłem w stronę drzwi.

Zostaliśmy sami. Goren odwrócił amulet w rękę, światło zgasło. Wyszliśmy przez drzwi prowadzące na dziedziniec wewnętrzny. Tu także stał strażnik. Kapłan powiedział do niego:

- Zostań tutaj. Rozkazuję ci zatrzymać każdego, kto usiłowałby się do nas zbliżyć.

Doszliśmy na szczyt pylonu, przed którym w niebo wzbijały się dwa kolosalne prostopadłościennie obeliski, zakończone ostrymi czteropłaszczyznowymi iglicami.

Ręka Gorena była gorąca. Popatrzył bystro wokół i odezwał się do mnie niespodziewanie przyjaznym głosem:

- Dobrze, że tak ważną wiadomość oddałeś sam, z własnej woli, a w dodatku we właściwe ręce.

- Arcykapłanie, nie ma we mnie złych mocy, złych myśli ani złych zamiarów wobec ludzi i Egiptu. Nie mam współników, jestem sam i nie wiem, dlaczego znalazłem się tutaj. Możesz ze mną zrobić, co chcesz, ale ufam, że dasz mi szansę, abym mógł wrócić do siebie, do świata, który jest mój. Mam powody sądzić, że poprzedniej nocy usiłowano mnie zabić albo uprowadzić. Przypuszczam, że wydarzenia te zaistniały także wbrew twojej woli. Jeśli mam rację, ktoś, kto tego próbował dokonać, spiskuje również przeciwko tobie. Nic więcej nie mam do dodania.

Skończyłem, z niepokojem patrząc w jego oczy. Długo milczał i zastanawiał się. Po chwili powiedział:

- To dziwne, że twój los jest dla ciebie zakryty. Ale bogowie często tak postępują, aby każdy człowiek codziennie dbał o swoje jutro. Nie wiem jak wasz, ale mój bóg zawsze odpowiada na wszystkie prośby, tylko nieoczekiwanie czasami mówi: „Nie”. Ciekawe, co postanowi o tobie. Mam wyraźne polecenie, aby zadbać o twoje dalsze istnienie. Nie pytaj skąd i dlaczego, bo i tak nie odpowiem. Świątynia Atuma w Om, jak widzisz, nie stanowi dla ciebie bezpiecznego miejsca. Zbyt blisko stąd do Memfis, tego ścieku zła, tylko dzień drogi pieszo. Wydam polecenie, aby zaraz przewieziono cię w bezpieczne miejsce. Tam znajduje się mój brat. Nazywa się Zoran, też jest kapłanem. Oddasz mu ten znak - z szyi zdjął plaketkę zawieszoną na rzemyku. - Znajduje się na niej symbol sępa i kobry, i coś jeszcze, co rozpozna tylko on. Wówczas będzie pewien, że przybywasz ode mnie. Jeśli chcesz żyć, zostań w miejscu, gdzie cię wysyłam. Do powrotu faraona będziesz tam bezpieczny. Władca nasz, jeśli zechce, może spowodować odmianę twojego

losu, tylko Ramzes i kapłani Seta w labiryncie koło jeziora Mojrisa znają sposób, jak można dojść do pojazdu o nazwie Benben, który jest twoją jedyną szansą, abyś wrócił tam, skąd przybyłeś.

Wydawało mi się, że skończył, ale po chwili dodał:

- Spójrz - wskazał na niebo - właśnie po długiej przerwie Sotis ukazała się ponownie. Chcę cię dodatkowo przestrzec przed wszystkimi, którzy noszą na szatach głowę kota, znak bogini Bastet. Oby Amon, Izyda i Horus mieli cię w opiece.

Ścisnął mi rękę i skinął na strażnika. Nie słyszał już, jak odwzajemniałem mu życzenia, przypominając własnego boga i świętych. Niestety, ja mojego boga nazwać nie mogłem. Wiedziałem, że Jego imiona są ukryte.

•••

Goren wszedł na dach świątyni. Zastanawiał się, czy w nowej sytuacji, wypuszczając więźnia, nie ściągnął na własną głowę odpowiedzialności za naruszenie racji stanu. Usiadł na murze poniżej klatek z gołębiami i zastanawiał się, czy to, co uczynił, było słuszne? Czy nie powiedział zbyt wiele?

•

Szliśmy we czwórkę nie kończącym się ceglany tunelem, który oświetlały łuczywa niesione przez strażników. Spod naszych nóg uciekały szczury, a o ściany obijały się nietoperze. W pewnej chwili korytarz skręcił w lewo. Od tego momentu był wykuty w litej skale, a jego niski strop zmuszał nas do coraz głębszego pochylenia; w końcu pełzaliśmy na czworakach. Byłem przedostatni w tym szeregu ludzkich chrabąszczy. W pewnej chwili usłyszałem huk i śmiertelny jęk. Przeczółgałem się do przodu i zobaczyłem najpierw nogi, potem wielki głaz, który pękł na części, przykrywając tego, który znajdował się na przodzie. Z trudem przedostałem się na drugą stronę. Tam była tylko szyja i głowa. Sprasowana reszta znajdowała się pod odłamami kamienia. Byłem pewny, że nie spadł przypadkiem. Spojrzałem w górę i zrozumiałem wszystko. Na wykutej półce założono pułapkę, wyważoną tak, aby dotknięcie niewidocznej nici, biegnącej nad posadzką, naruszyło jej delikat-

na równowagę i spowodowało śmierć ofiary. Obok zabitego leżał krótki sztylet, który zabrałem. Zostało nas trzech.

Nieco dalej strop korytarza unosił się znacznie. Przyśpieszyliśmy kroku. Czujnie rozglądałem się dookoła i zostałem za to nagrodzony. W migotliwym świetle łuczyw dostrzegłem w sklepieniu wąską szczelinę. Krzyknąłem ostrzegawczo. Podszedłem bliżej - wewnątrz błyszczały groty licznych oszczepów. Pomyślałem, że system, jaki je uruchamia, powinien znajdować się gdzieś w pobliżu. Strażnikom kazałem przynieść jeden z odłamków skały, która niedawno pozbawiła życia ich towarzysza. Stanęliśmy przed szczeliną, rozkołtaliśmy pokrzwawiony kamień i rzuciliśmy go wzdłuż korytarza. Oszczepy wystrzeliły z szybkością pioruna, ich groty skruszyły się w posadzce. Po dalszych kilkudziesięciu krokach zatrzymała nas drewniana krata, przez którą nie można było przesunąć nawet ręki. Strażnicy zaporę porąbali mieczami, tworząc wąskie przejście. Tunel kończył się ślełą ścianą obramowaną kamiennym fryzem, pokrytym ciągiem inskrypcji. Przewodnik wyciągnął miecz i wciskał go aż po nasadę w kolejne ornamenty. Po kolejnej próbie w oddali dał się słyszeć szum przelewającej się wody i ściana powędrowała w kierunku sklepienia. Ujrzałem księżyc i gwiazdy.

Wyszliśmy u podnóża wysokiej skały. Za nami wolno zamykał się otwór prowadzący do tunelu. Chwilę później zniknął, zlewając się ze ścianą. Nigdzie nie było najmniejszej rysy zdradzającej wejście. Przewodnik stopami przesunął piasek, likwidując niewielkie usypisko, jakie powstało przy podnoszeniu się tej hydrotechnicznej zapory. Szum wody ucichł.

W oddali w migotliwym świetle gwiazd widziałem pylony świątyni w Om i świątynne sztandary przed jej wejściem.

Ruszyliśmy dróżką biegnącą wzdłuż kanału. Ciszę przerywał rechot żab i głosy ptaków gnieźdzących się w trzcinach. Od czasu do czasu słyhać było plusk ryby. Po dłuższym marszu dotarliśmy do zbiegu dwóch kanałów. Z gąszczu papirusów wystawał dziób trzcinowej łódki. Odbiliśmy od brzegu i prawie bezgłośnie płynęliśmy przez rozległe bagno porośnięte trzcina. Moje nerwy znajdowały się w stanie maksymalnego napięcia. Instynkt podpowiadał mi, abym zachował czujność. Nasłuchi-

wałem, węszyłem, wzrokiem usiłowałem przebić ciemność. Kucnąłem z tyłu łodzi, marząc o tym, aby jak najszybciej dotrzeć do celu. Nagle zauważyłem, że siedzący w środku łodzi wskazuje na pływającego krokodyla, a jednocześnie drugą ręką nieznacznie przesuwa miecz do przodu, odcina go z rzemieni i kładzie przed sobą. Nadal byłem czujny. Wymacałem sztylet i mocno ująłem jego rękojeść. Zdażyłem w odpowiednim czasie. Człowiek siedzący przede mną wykonał szybki ruch po leżący miecz i uniósł go, by zadać cios wiosłującemu przed nim. Przez moment zobaczyłem go z boku i dostrzegłem, że szata ma spiętą kłamrą z głową kota. Nie miałem wątpliwości, że zabijając koleżkę, zabije i mnie. Rzuciłem się w przód, wbijając sztylet pod jego lewą łopatkę. Nie wydając jęku, padł na twarz. W oczach ocalonego widniało bezbrzeżne zdumienie. Spojrzał na obnażony miecz i domyślił się, co przed chwilą się wydarzyło. Z martwego ciała wyciągnął sztylet, a zwłoki wyrzucił z łódki. Nic nie powiedział. Zwrócił mi broń, popatrzył w oczy i w geście dziękczynienia złożył ręce na piersi. Następnie wskazał na wiosło.

Ponownie zanurzyliśmy się w gęstwinie oczeretów. W razie najdrobniejszego podejrzenia skręcaliśmy w sitowie. Dwukrotnie nieopodal cicho przesuwały się duże, nie oświetlone łodzie. Mimo ciemności dostrzegłem w nich łuczników z bronią przygotowaną do strzału.

Noc stawała się coraz ciemniejsza. Księżyc zakryły chmury. Opuściliśmy łódź, zostawiając kanał, bagno i naszych dotychczasowych prześladowców. Przed nami otwierała się pustynia. Ruszyliśmy w drogę, trzymając się z dala od wierzchołków wydym. Była to ostrożność uzasadniona, nie dalej bowiem jak po przejściu kilkuset kroków na szczycie pagórka zobaczyliśmy wyprostowaną ludzką sylwetkę. Padliśmy na piach, czekając, co ten człowiek zrobi. Mój przewodnik pozbył się odzieży, odczekał aż tamten obróci się w drugą stronę, wziął miecz i bezszelestnie począł pełznąć w jego kierunku. Po czasie długim niczym nieskończoność ujrzałem, jak na wydymie unosi się rosła postać. W blasku księżyca błysnęło ostrze, usłyszałem głucho uderzenie, po czym mój towarzysz machnięciem ręki nakazał, bym się pośpieszył. Na piachu leżał żołnierz. Z rany

na szyi jeszcze spływała krew, wsiąkając w wilgotny od nocnej rosy piasek, jego otwarte usta zdawały się nadal wydawać krzyk. Ciało zasypaliśmy piaskiem, bo mogły je rankiem wypatrzyć sępy i zdradzić trasę naszej ucieczki. Odzież zabitego zabrał mój przewodnik, wyraźnie rad z możliwości kamuflażu.

Posuwaliśmy się szybko, starannie kontrolując widnokrąg, a zwłaszcza schodzącą się z nim linię, biegnącą wzdłuż szczytów wypiętrzonych pagórków. Monotonny księżycowy pejzaż działał usypiająco. Spod nóg wąskimi lawinkami usuwał się piasek. W którymś miejscu obróciłem się, by stwierdzić, że ślad naszego marszu w świetle księżyca jest równie widoczny, jak odciski stóp w świeżo spadłym śniegu.

Mijaliśmy właśnie garb kolejnego wzniesienia, przeciętego w dolnej części nieforemnym wypiętrzeniem skalnym, kiedy wyskoczyło Bóg wie skąd dwu ludzi i w milczeniu rzuciło się na przewodnika; jednocześnie ktoś skoczył mi na plecy. Próbowałem się bronić, ale przeciwnik miał nade mną przewagę zręczności i siły. Podciął mi nogi i poleciliśmy w dół, najpierw po zboczach, później w powietrzu. W ostatnim przełyku świadomości poczułem, że spadam na coś elastycznego. Usłyszałem głucho chrupnięcie i straciłem przytomność.

Nie wiem, jak długo pozostawałem w tym stanie. Szczęśliwy los sprawił, iż w tym prawie pionowym locie w dół w ostatnim momencie znalazłem się na wierzchu. Dzięki temu jego, a nie moja głowa uderzyła o wystający głaz. Krew zdążyła już zakrzepnąć, a zwoje białego mózgu przysypywał piasek.

Musiałem odpocząć i dojść do równowagi. Spojrzałem w górę na skałę, z której spadliśmy. Nie dobiegał stamtąd żaden odgłos. Z trudem wydostałem się na szczyt. Było mi wszystko jedno. Jeśli tam są - niech mnie zarzną. Po chwili dostrzegłem pierwszego z napastników. Trąciłem go nogą - był sztywny. Nie widziałem obrażeń, ale nie żył od dłuższego czasu, co było równie pewne jak to, że za kilka chwil zacznie wschodzić słońce. Drugi leżał opodal z poderżniętym gardłem. Mój przewodnik siedział pod skałą. Jego ręce przestały już wciskać do brzucha pętle pociętych jelit. Podniosłem mu powiekę. W ustępującej ciemności nocy widziałem płamę tęczy - węk i źrenice jak grochy. Chwyciłem za przegub - tętno było

nitkowate i słabło. Otworzył oczy i wyszeptał, wskazując na wschód:

- Tam...

Gałki jego oczu wywróciły się, ustał oddech. Zrzuciłem strzępy ubioru i włożyłem odzież któregoś z zabitych. Po chwili zastanowienia zabrałem też broń, a przed odejściem posiliłem się jadłem, jakie zabici mieli w sakwach.

Szedłem w nakazanym kierunku cały dzień i noc. Zbudziłem się, gdy słońce stało wysoko. Wypiłem resztę rozcieńczonego piwa i wyrzuciłem pusty już bukłak.

Sępy jeszcze kołowały wysoko. Zastanawiałem się, kiedy zniżą lot. Po kilku godzinach marszu, gdy osłabłem, dostrzegłem w oddali unoszący się kurz. Zrobiłem kilka kroków, nie mając siły na dokonanie następnych i uniosłem rękę. To było wszystko, na co było mnie stać. W migoczącym od gorąca powietrzu ujrzałem kilku ludzi i dwa wozy. Zauważyli mnie i stanęli. Słońce i ciepło, falujące nad rozgrzanymi wydmami, rozmazywało ich obraz. Dopiero gdy upadłem, ruszyli na moje spotkanie. Zobaczyłem kilku mężczyzn bez broni, towarzyszył im kapłan. Odetchnąłem z ulgą, to zapewne brat arcykapłana. Pomogli mi wstać. Z woreczka zawieszzonego na szyi, którego jakimś cudem nie straciłem, wyjąłem tabliczkę, jaką dał mi Goren. Kapłan oglądał ją starannie, a następnie wsunął do ust, zacisnął zęby i kilkakrotnie poruszył szczęką. Próba musiała wypaść pomyślnie; domyśliłem się, że płytka posiada wgłębienia odpowiadające zgryzowi jednej tylko osoby i służy jako identyfikator. Nie chciałem myśleć, co by się stało, gdyby próba wypadła ujemnie. Dopiero teraz zrozumiałem, co Goren miał na myśli mówiąc: „Najpierw cię sprawdzisz”. Bez zbędnych słów dali mi wody. Piłem bez końca, czując, jak z każdym łykiem powraca do mnie życie. Potem wsiedliśmy na wozy, zająłem miejsce obok woźnicy i mocno chwyciłem półkolisty drewniany łęg, co na niewiele się zdało - przy każdej większej nierówności terenu objąłem się o wszystko, więc po pewnym czasie usiadłem z tyłu, spuszczać nogi jak chłop jadący furą.

Konie szły galopem. Spod ich kopyt pryskały kamienie, piach i kurz. Wtopiliśmy się w pustynię.

Świątynię Sachmet zbudowano na małej wysepce w wi-
dłach utworzonych przez odnogę Rozetty i kanału, gubiącego
się w oddali wśród ruchomych piasków. Woda obejmowała kę-
pę roślinności otaczającej świątynię. O bezmiarze pracy tych,
którzy utrzymywali drożność rzeki i kanału, zaświadczały wy-
sokie usypiska piachu, ciągnące się po obydwu brzegach. Zro-
zumiałem radość dla oczu i ulgę dla ciała, jaką od tysięcy lat
przeżywają podróżni mający szczęście dotrzeć do oazy.

Stałem na brzegu, patrząc na świątynię poznaczoną śladami
wylewów Nilu, które na granitowych ścianach pozostawiły po-
ziome linie, na wysokości kilku metrów powyżej obecnego lu-
stra wody. Usiłowałem wyobrazić sobie przybór wody w rzece,
rozległość powodzi, ograniczonej z jednej strony wałem pu-
stynnych gór, z drugiej uprawami.

Rydwany zostały na brzegu, a Zoran i ja przeprawiliśmy się
łódką na wyspę. Dobiliśmy do kamiennego mola i po schodach
weszliśmy do świątyni, której proporcje pozostawały w harmo-
nijnym związku ze szczupłością terenu. Wyspa była niewielka,
miała jakieś trzysta na sto kroków. Rozciągał się na niej gład-
ki dziedzińczyk, otoczony kolumnami zwieńczonymi kapitelami
z głową Hathor. Na nich leżały ciężkie belki, przypominają-
ce znane mi skądinąd architrawy. Górne części kolumn oraz
drewniane elementy dachu pokryto kolorowymi rysunkami,
podobnie jak szerokie, okrągłe bazy. Malowidła o motywach
roślinnych tworzyły złudzenie gęstwiny trzciny i sitowia. Po-
sadzki tworzyły duże ceramiczne płyty, pod których szkliwem
można było dostrzec kolorowe kwiatostany lotosów oraz ptaki
zrywające się do lotu.

Weszliśmy do świątyni. Panował tu półmrok. Jedyne przez
niewielkie prześwity w dachu wpadały wąskie snopy światła,
a w nich w nie kończącym się tańcu wirował kurz. Nie wiado-
mo skąd docierał delikatny zapach kadzidła. Poszliśmy dalej;
było coraz ciemniej, gdyż docierało tu tylko światło odbite od
wypolerowanych płyt. Bardziej wyczułem niż zobaczyłem, że
ściany pokryte delikatnym reliefem, tworzącym tysiące stron
zapisu. Artyści dziesiątkami lat musieli tworzyć to dzieło, za-
projektowane w nie znanym mi celu. Kapłan obrócił się
i szepnął:

- Muszę teraz porozmawiać z moim bogiem, odprawić modły i złożyć ofiary.

Zostałem sam, chłonąc piękno i wyrafinowanie tego miejsca. Zza ścian słyszałem cichą muzykę fletu. Grajek ciągnął melodię, delikatne frazy oddzielając krótką przerwą, poprzedzoną uderzeniem w bębni. Dźwięki nagle urwały się wraz z ostatnim beczeniem owcy, poświęconej na ofiarę. Zapadła cisza. Znowu poczułem woń kadzidła, przyniesioną przez lekki powiew. Wiele zdarzyło się w ostatnim czasie, może dlatego nadal tkwił we mnie niepokój, narastający w miarę oczekiwania na Zorana. Kiedy wreszcie się zjawił, miał dziwny wyraz twarzy. Jego ręce były powalane krwią, a błysk w oczach nie zapowiadał spokojnego snu tej nocy.

- Posłuchaj - rzekł do mnie - bogini Sachmet, ta najokrutniejsza z ziemskich bogiń, otworzyła swój pysk, co oznacza, że zginęła tysiące ludzi. Nie chcemy, by pożerała ludzi. Ale ona już zaczęła krwawe polowanie. Jeśli otworzyła szeroko paszczę, oznacza to zarazę albo krwawą wojnę. Sachmet nie uczyni ci krzywdy, jest stąd daleko i teraz pędzi przez pustynie i pola, niszcząc wszystko, co obejmie wzrokiem. Posąg możesz zobaczyć.

Wszedłem do małego, ciemnego sanktuarium, oświetlonego jednym łuczywem. Ujrzałem zwróconą do mnie bokiem figurę przypominającą kobietę z głową lwa. Wypolerowana złota blacha w kształcie słonecznego dysku wieńczyła postać. Chyba z racji znacznej domieszki miedzi świeciła czerwienią o innej tonacji niż czerwień krwi spływającej kroplami z kłów lwiego pyska. Zauważyłem, że nie krzepnie. Przestałem odczuwać słodki zapach kadzideł, tłących się w metalowych czarach obok posągu. Na małym ofiarnym stole leżała zabita owca, jej matową wątrobę położono obok na kamiennej płytce. Na całej jej powierzchni można było dostrzec białe plamki. Obok leżał kamienny wzorec, pokryty inskrypcjami nieznanego mi pisma. Zwróciłem uwagę, że zawierał dobrze wykształcony piramidalny wyrostek, którego nie dostrzegłem na narzędzie złożonym na stole ofiarnym.

Kapłan wziął nóż, którym w kilku miejscach ponacinał tkankę wzdłuż i wszerz. Na każdym przekroju znajdowały się takie same plamki, jak na powierzchni zewnętrznej.

- Popatrz - powiedział. - Ile białych kropek, tyle dusz. Oby dotyczyło to wrogów Egiptu, a nie naszego ludu. Z kolei brak wyrostka w tej oto wątrobie oznacza, iż bogowie przestali opiekować się naszym władcą. To nie wszystko. Otwarty pysk Sachmet mówi o nadciągających klęskach moru lub wojny domowej. Nigdy dotąd nie pomyliły się wykładnie kapłanów wielkiego Sumeru, od których przed stuleciami otrzymaliśmy ten wzorzec. Zawsze potwierdzały zgodność proroctwa z życiem. Od wieluset lat my, kapłani służący Sachmet, prowadzimy kronikę zbieżności wróżb ze zwierząt ofiarnych z wydarzeniami, jakie mają miejsce w rzeczywistości. Wierzymy, że wątroba owcy, złożona bogini w ofierze, pokazuje mające nadejść wypadki, mówi prawdę o losach ludzi. Znaki boskie nie przeszkadzają czynnościom ludzkim, toteż od tamtych zamierzonych czasów nauczyliśmy się i tego, że nie zawsze należy ulegać wykładniom wróżby, gdyż bywa czasem niezrozumiała lub proroctwo jest tylko ostrzeżeniem przed nieszczęściem, któremu można zapobiec modłami, ofiarą, a także rozumnym postępowaniem.

Wszystko, co dotąd usłyszałem i zobaczyłem, nasuwało myśl, że jakiś niezrozumiały bieg groźnych zdarzeń niesie mnie niczym pyłek między skonfliktowane potężne siły, prosto w objęcia Ozyrysa i Anubisa. Ciekawe, czy właśnie w moim ręku znajduje się ta słomka, przetrącająca słoniowy grzbiet? Najmniejszy błąd, a nawet przypadek, może sprawić, że moje życie przesunie się w śmierć niezauważalnie jak ziarnko piasku pod butem.

Kolację zjadłem sam na tarasie poza świątynią. Zdziwiła mnie nieoczekiwana obecność na jej dziedzińcu kilku rydwanów oraz grupy uzbrojonych, milczących żołnierzy. Na jednym z dachów zauważyłem gołębnik, do którego z pól i przestrzeni zlatywało się ptactwo. Z tej odległości nie mogłem ocenić, czy ptaki były ozdobą przybytku, czy też posłańcami. Zapewne było i tak, i tak.

Kiedy po kolacji siedziałem czekając, co mi przyniesie los i czas, podszedł do mnie krępy kapłan, którego nie znałem, i powiedział:

- Jestem Tanemer. Mam wiadomości od Gorena. Pojawił

się nieoczekiwany problem. Wiemy, że w każdej chwili mogą tutaj przybyć ci, co ciebie szukają. Trzeba, abyś się zaraz ukrył. Zoran wyjechał przed chwilą w ważnej sprawie do Om. Zobaczysz go później. Teraz poczekaj tutaj, ja pójde po sługi i światło.

Wrócił z dwoma mężczyznami i kazał mi iść za sobą. Weszliśmy w głąb świątyni, omijając sanktuarium. Zatrzymaliśmy się w tylnej części nawy przed ścianą, za którą - jak przypuszczałem - mógł stać posąg bogini. Dostrzegłem dwie wspierające ścianę proste kolumny, które wydawały się częścią murów nośnych. Zakotwiczono je w podwyższonym cokole. Słudzy bez większego wysiłku przesunęli w bok jedną z nich i odsłoniли wąskie zejście. Niewidoczny mechanizm umożliwił bezszmerowe przesuwanie konstrukcji zbudowanej z kamiennych pierścieni przypominających nakładane na siebie gigantyczne obwarzanki. Słudzy oświetlali właz. Po stromych schodach zszedłem trzy stopnie niżej, ale połową ciała jeszcze znajdowałem się ponad krawędzią zejścia. W dole pod stopami było ciemno. Poprosiłem o łuczywo. Tanemer pochylił się i wyciągnął je w moim kierunku. Tajemniczo się przy tym uśmiechał, a w jego oczach zapłonęły niebezpieczne światełka. Jego bezkrwiste wargi rozszerzał coraz bardziej złowieszczy grymas. W uszach, niczym dzwon, zabrzmiało mi ostatnie ostrzeżenie Gorena, gdy w osłupieniu wpatrywałem się w plakietkę z wizerunkiem kota, która Tanemerowi wisiała na szyi. Chryste, ten człowiek na pewno jest moim wrogiem. Wystarczyłoby mu, gdybym zszedł jeszcze trzy stopnie niżej. Lodowaty chłód przeszedł mi od nóg aż do serca. O Boże, jakież byłem głupi.

ROZDZIAŁ 6

Wielki wódz Dżawer, dowódca Armii Północ, noszącej też nazwę Armii Seta, był potomkiem królów miasta Aj w krainie Kanaan. Jego życie układało się szczęśliwie do czasu, gdy na wojnie stracił obydwu synów, zamordowanych przez libijskich Maksjów. Mimo zawierania kolejnych małżeństw nie doczekał się dzieci. Podejrzał, że bezdzietność jest wynikiem jego bezpłodności. Kiedyś, podczas walk, został ciężko zraniony maczugą w podbrzusze. Nie pomagały modły w świątyniach bóstw, składane dary, zaklęcia, leki. W końcu pogodził się z tym, że przestał być w pełni mężczyzną.

Po zakończeniu pacyfikacji Libii i wielotygodniowym uciążliwym marszu wracająca do zachodniej części delty Nilu Armia Północ zaległa na kilkudniowy odpoczynek. Miejsce na obóz było dobre, gdyż w pobliżu znajdowała się świeża woda, której od dłuższego czasu brakowało ludziom i zwierzętom. Teraz Dżawer z niechęcią myślał o oczekującym go wieczornym spotkaniu i o tym, że pewnie z tego powodu nie będzie mógł wcześniej udać się na spoczynek. Sprawa była dość błaha, ale nietypowa i zaprzętała jego myśli od rana. Otóż przed kilkoma dniami do kwatery naczelnego dowódcy zgłosili się kupcy fenicyjscy. Znał ich od wielu lat. Tym razem, prócz zwykłych interesów, przywiódło ich jeszcze coś innego. Na statku, stojącym teraz nieopodal wybrzeża, przywieźli pasażerów - pątników ze świątyni Baala, Szamasza, Astarte i Marduka. Kupcy niechętnie przyznali, że ci święci mężowie obiecali im wysoką zapłatę za wyjednanie u Dżawera bezpiecznej audiencji, czyli takiej, po której wolni będą mogli powrócić na statek i popłynąć w dalszą drogę.

Ceniąc sobie dobre stosunki z Fenicjanami, wyraził zgodę na przeprowadzenie wyproszonej rozmowy i przyrzekł pątnikom pełne bezpieczeństwo. Teraz, gdy wrócił myślą do sprawy, zrodziły się w nim wątpliwości. Uświadomił sobie, że celem wszystkich pielgrzymów były zwykle ośrodki kultu religijnego: świątynie, wyrocznie, groby rzeczywistych lub domniemyanych proroków. Tym razem celem pielgrzymki nie wiadomo dla czego stał się obóz wojskowy. Już samo to nasuwało różne wątpliwości co do tego, kim byli owi ludzie, ale skoro dał słowo, za późno już było się wycofać. Wysłał więc na wybrzeże niewielki oddział rydwanów, aby przewiozły przybyszy.

Okazało się, że pątnikami było kilku mężczyzn w średnim wieku, ubranych w zwyczajne podrózne stroje. Wraz z nimi przybył tłumacz, jakoby konieczny z tego względu, iż Dżawer słabo znał narzecza semickie, a zdaniem Fenicjan ich pasażerowie nie znali egipskiego.

Goście skłonili się głęboko, a najstarszy z nich, wyglądający najbardziej dostojnie, podszedł do gospodarza i wręczył mu niewielkie zawiniątko. Dżawer odwinął je i ze zdumieniem zobaczył kilka miniaturowych koron. Zaskoczony, przyglądał się im przez dłuższy czas, by wreszcie odkryć, że są to pomniejszone korony władców Persji, Babilonii, Asyrii, kraju Hattów oraz podwójna tiara Egiptu. Nie dał po sobie poznać zdumienia ani ogarniającego go niepokoju na widok ofiarowanych mu insygniów władzy. Położył zawartość zawiniątka na stole i pytająco spojrzął na tłumacza, jakby żądając wyjaśnienia, co znaczy ten niezwykły dar.

Tłumacz zrozumiał dobrze, bo wysunął się przed innych i powiedział:

- Wielki wodzu Egiptu. Kapłani, którym towarzyszę, odbyli daleką podróż do ciebie w jednym tylko celu. Zapewne ci wiadomo, że od niepamiętnych czasów świątynie utrzymują ze sobą stałą więź, konieczną dla wzajemnego poszanowania religii i utrwalania zdobyczy nauki. Ci oto kapłani twierdzą, że tego roku bogowie objawili im zdumiewającą nowinę, iż Ramzes II umrze, a zapanuje nowy faraon. Znaki i wróżby wskazały, że właśnie ty masz zostać nowym władcą Egiptu, a pod twoim berłem znajdują się kraje wyobrażone przez tych pięć koron.

W świątyniach, z których przybyli, zdarzyły się cuda. Otóż w tym samym czasie na ich ofiarnych stołach pojawiły się te oto insygnia władzy królewskiej, a nad nimi twój znak w postaci krzywego kanaańskiego miecza. Bogowie nakazali oddać te symbole panowania tobie, gdyż - jak rzekli wróżbici - pod berłem faraona Dżawera narody symbolizowane przez pięć koron staną się jednym wielkim królestwem, a potęgą twojej dynastii będzie trwała tysiące lat. Przyjmij więc, wodzu, te dary przepojone duchem bogów, a ich moc będzie zawsze z tobą. Zaufaj znakom wyroczni, które głoszą, że takiej szansy, jaką daje ci niezwykle korzystny układ gwiazd, już nigdy nikt mieć nie będzie. Jeśli na swoje skronie weźmiesz ciężar leżących przed tobą insygniów, staniesz się tym, który milionom ludzi przyniesie wieczny pokój.

Skończył i skłonił się głęboko, pątnicy zaś padli przed Dżawerem na ziemię.

Ten nie poruszył się; patrzył na pochylone kornie głowy, ogolone karki, postawę wyrażającą szacunek i poddaństwo. Przymknął powieki. Oczyma wyobraźni dostrzegł coś, czego nawet w najśmielszych snach nigdy nie widział. On, ostatni potomek pokonanego rodu prawowitych władców miasta Aj, na czele imperium sięgającego krańców świata. Dzisiaj tylko wódz egipskich wojsk, jutro władca pięciu królestw. Władca równy bogom, opiewany przez pokolenia, monarcha, którego imię zostanie wryte na obeliskach, posągach, świątyniach i gmachach publicznych. Zacisnął zęby aż do bólu. Szalona wizja wolno odpływała, zamazując się w oddali. Nie, wszystko, o czym się dowiedział, nie mogło być prawdą. To tylko ułuda, miraż, obłąd albo iluzja, którym chwilowo się poddał, odurzony słabością lub pychą, jakich istnienia w sobie dotąd nie podejrzewał. Czy bogowie chcieli go ukarać, czy tylko wystawiali na próbę? A może wcale nie bogowie? Poczul nieprzyjemny dreszcz przebiegający wzdłuż krzyża. Otworzył oczy i już zupełnie przytomnie spojrzął na leżących pątników udających kapłanów lub kapłanów udających pątników. Przez moment czuł pokusę wydobycia z nich tej rzeczywistej prawdy, jednak na samą myśl o torturach poczuł niesmak. Był żołnierzem, nie oprawcą. Poza tym zastosowanie przemocy wobec wysłan-

ników naruszałoby odwieczne prawo nietykalności posłów. O mało nie zgrzytnął zębami. Taaak... Czy mimo danego przyrzeczenia jednak nie należy ich ściąć? Przyszli z posłaniem, głoszącym zdradę stanu. Tylko że wtedy nie dowiedziałby się, czyimi byli emisariuszami i kim jest przeciwnik, który mu rzucał zuchwałe wyzwanie. Dobrze, podejmie ryzyko tej gry. Raz jeszcze z pogardą popatrzył na pielgrzymów, po czym rozkazał:

- Wstańcie! Nie jestem waszym panem. Nie musicie w prochu korzyć się przede mną. Wstańcie!

Podnosili się z podejrzaną uniżonością. Nie ujawnił jednak swych myśli. Zwrócił się do tłumacza i powiedział obojętnym głosem:

- Powiedz, że podróż odbyli daremnie. Jestem poddanym władcy Egiptu i wierzę jedynie w bogów rodzimych, a Marduka, Baala, Szamasza i innych nie zamierzam słuchać. Nie interesują mnie przepowiednie obcych wyroczni, głoszone przez cudzoziemskich proroków. We własnych sprawach radzę się tylko wyroczni Amona w Tebach i ona decyduje o moim postępowaniu. Zabierzcie stąd te korony, żołnierzowi nie są potrzebne. Dlatego słowa dotrzymam, ale nie chcę was więcej widzieć. Odejdźcie sprzed moich oczu!

Trzęsącymi się rękoma, w pośpiechu, zbierali leżące na stole królewskie insygnia. Przywołana straż wyprowadziła ich poza obręb obozu, przykazując raz jeszcze, by bezzwłocznie wynosili się na statek.

Trzy dni później jeden z patroli przeszukujących wybrzeże znalazł na brzegu morza ludzkie zwłoki ubrane w białą szatę i skórę pantery, z dopiętą miedzianą plakietką z wytłoczonym symbolem bogini Bastet. Nogi i ręce topielca były mocno związane sznurem, którego wolny koniec moczył się w wodzie. W pierwszej chwili żołnierze chcieli pozostawić ciało tam, gdzie zostało znalezione, uzmysłowiwszy sobie jednak, że są to zwłoki egipskiego kapłana, o czym świadczył ubiór, przewieźli je do obozu. O znalezisku powiadomiono oficera, ten adiutanta, a on z kolei samego dowódcę. Dżawer bez specjalnego zdziwienia wysłuchał raportu. Zwłok wokół obozu walało się wiele, wszak wojsko było na wyprawie wojennej. Ale skąd się

wziął kapłan egipski w tych bezludnych okolicach, z dala od świątyń, nad samym brzegiem morza? Dlaczego ręce i nogi miał skrepowane powrozem? Postanowił zająć się sprawą osobście. Wezwał medyka i razem poszli obejrzeć topielca. Żołnierze położyli zwłoki na piasku, twarzą do góry. Jeden rzut oka wystarczył, by Dżawer rozpoznał w nim tłumacza, towarzyszącego grupie tajemniczych pątników.

Obozowy lekarz pochylił się nad ciałem i rozciął szaty, uwiadczenia na piersiach i plecach leżącego kilka kłutych ran. Oględziny nie trwały długo. Medyk wyprostował się, umył ręce w naczyniu z cuchnącym płynem, wytarł je starannie i zwrócił się do Dżawera:

- Wodzu, tego człowieka musiało zabić kilka osób. Ciosy zadano długimi ostrzami o różnej szerokości. Są to rany śmiertelne. - Wskazał na sznur oplatający ręce i nogi trupa. - Wydaje się, że powróż mógł służyć do przymocowania balastu, którym obciążono ciało przed wrzuceniem do morza. Z jakichś przyczyn węzeł się rozwiązał, a uwolnione od niego zwłoki prądy wyrzuciły na brzeg.

- Czy ten kapłan żył jeszcze, gdy znalazł się w wodzie? Medyk kazał podnieść topielca do góry nogami. Z ust zmarłego wypłynęła niewielka ilość płynu.

- Nie. Do wody wrzucono trupa. W jego kanałach nie ma wody, która jest tam zawsze, gdy ktoś tonie w sposób naturalny. Źle powiedziałem wodzu. Oczywiście myślałem o zwykłym, przypadkowym utopieniu.

Dżawer skinął głową i wszystkich odesłał. Nie potrzebował świadków tego, co zamierzał uczynić. Pozostawszy sam, odpiął z szat tłumacza klamrę z wizerunkiem bogini Bastet. Następnie raz jeszcze obejrzał jego ciało. Na wewnętrznej stronie prawego nadgarstka odkrył mały tatuaż wyobrażający słońce. Nic innego godnego uwagi nie stwierdził. Wrócił do namiotu. Zwłoki polecił pogrzebać za obozem. Położył się na polowym łożu i usiłował zrozumieć, co się stało.

Faktów nie było wiele. Bezsportny był udział kupców fenickich, to oni przywieźli pątników. Czy coś z tego wynikało? Nic. Od lat parali się handlem i przewozem podróżnych. Zawsze czynili tak dla zysku i nigdy nie zajmowali się polityką. Nie ry-

zykowałiby własnych interesów dla jakichś politycznych czy religijnych machinacji.

Problemem byli wysłannicy - kapłani albo szpiedzy. Kim byli w rzeczywistości? W czasie audiencji nie rzekli bodaj słowa. Wyuczoną mowę wygłosił tłumacz, pozostali rzekomo nie rozumieli egipskiego. Tak, rzekomo, gdyż zdenerwowani tym, że Dżawer kazał im zabrać owe insygnia i wynosić się na statek, już nie czekali na pomoc tłumacza. A może jednak to zamordowany kapłan odgrywał główną rolę, a pozostali byli tylko statystami? Nie. Wtedy zginęliby statyści, a nie główny aktor. Ważniejszą rolę odgrywali pątnicy, fałszywi pielgrzymi, ale przecież nie musieli mieć nic wspólnego ze stanem kapłańskim ani z żadną ze świątyń. Mogli być wysłannikami osób świeckich...

No, dobrze. Jeszcze jedno pytanie narzucało się samo: Co było celem tej mistyfikacji lub prowokacji? Tu odpowiedź była łatwiejsza. Właściwie dwie odpowiedzi. Obydwie prawdopodobne, jedna na pewno prawdziwa. Można było wyobrazić sobie, że ktoś doniósł faraonowi, jakoby Dżawer nie jest lojalny wobec władcy, że zamierza posłużyć się wojskiem dla zagarnięcia władzy i w głębi ducha marzy o królewskiej koronie. Zdarzały się już takie wypadki w przeszłości. Co wtedy czyni prawowity władca? Wysyła prowokatorów z rzekomo religijną misją i ludzi poddanego widmem korony. Jeśli ryba połknie przynętę, da się skusić mirażem władzy, wówczas potwierdzi podejrzenia. Wtedy łatwo pokrzyżować zamiary zbyt zuchwałego i nielojalnego wodza i przykładowo ukarać. Dżawer nie miał wątpliwości, jaka w takim wypadku spotkałaby go kara.

Druga odpowiedź też była logiczna i... chyba bardziej prawdopodobna. Ktoś organizował spisek, może przygotowywał zamach stanu. Wiedział, że jego zamierzenia mogą się powieść tylko wtedy, gdy zyska poparcie wodza wielkiej armii. A więc ten ktoś postanowił sprawdzić, jak dalece Dżawer jest lojalny wobec tronu, czy może gotów byłby tron zdradzić i opowiedzieć się za inną siłą, oczywiście za odpowiednią cenę. Za cenę korony? Nie, to niemożliwe. Gdyby Dżawer się wahał, wykazywał jakiegokolwiek zainteresowanie objęciem tronu, wypytywał szczegółowo lub chociażby pobieżnie o owe prorocтва, ujaw-

niłby wewnętrzną chwiejność, a zatem i możliwość zdrady. Tak, na taką reakcję zapewne liczono. Reszta byłaby prawdopodobnie jedynie sprawą targów o wysokość ceny. Tron miał zająć ktoś inny, ten, który zarzucał niewód i tkął oczka sieci. Skoro pułapkę zarzucono na wodza wielkiego wojska, należało sądzić, że cały oplot jest już zakończony, a Dżawer - Wielki Wódz Armii Seta - miał zasadniczo zmniejszyć ryzyko przedsięwzięcia i zapewnić powodzenie tym, którzy mierzyli bardzo wysoko, ich zamiar zaś mógł się urzeczywistnić jedynie po śmierci Ramzesa... Planowali więc zamach na życie władcy w bliskiej przyszłości, gdyż inaczej nie odkrywaliby kart. Może jednak przeceniał niebezpieczeństwo? Może nie było tak bliskie, jak mu się wydawało?

Położył się na łóżku, chcąc odpocząć, ale sen nie przychodził. Słyszał gwar obozu. Odczuwał silniejszy niż zwykle ból w podbrzuszu, skutek dawnego uderzenia maczugą. Pamiętał zwierzęcą twarz wojownika, który zadał mu ten cios, i - zanim zginął z ręki Dżawera - miał chwilę tryumfu w oczach. On, prosty żołnierz, powalił na ziemię dowódcę wojsk przeciwnika. Wielki wódz Dżawer, przedmiot pożądania wielu arystokratek, od tamtego czasu był eunuchem. Jego sperma wyschła jak ślina na wypłuta na piasek pustyni.

Odrzucił wspomnienia, ale nie mógł odzyskać spokoju. Przez chwilę zastanawiał się, co w takiej sytuacji zrobiłby jego mistrz, generał i faraon Horemheb, który w trudnych chwilach powiedział: „Faktów może być dużo, prawda jest tylko jedna”. Racja, pomyślał, ale fakty tworzą gwarancje. A w tej zagadce faktów niewiele - gwarancje wręcz żadne, prawda nieznaną.

Przed pójściem na nocny odpoczynek otrzymał poufny list od Amiptaha, szefa tajnej policji w Memfis. Były podwładny, od lat zaufany człowiek, informował o dziwnej i mocno podejrzanej sprawie. Z treści listu wódz wywnioskował, że Amiptah wie niewiele - było mu wiadomo tyle, że kapłani w Om przetrzymywali lub nadal przetrzymują na terenie świątyni kogoś, kogo strzegą jak więźnia stanu. Niewątpliwym dla Amiptaha był fakt, że tym kimś szczególnie zainteresowany jest tebański wywiad Amona oraz - w mniejszym stopniu - wywiady ościen-

nych państw, spośród których nieoczekiwaną aktywność wykazuje wywiad izraelski. Nie wiadomo do końca z czyjej inspiracji, ale zapewne celem zabicia lub uprowadzenia więźnia, dokonano nieskutecznej próby jego odbicia ze świątyni. Wszyscy napastnicy zginęli, a ich ciała nie zostały zidentyfikowane przez żadnego z informatorów Amiptaha.

Obecny zwierzchnik kapłanów w Om, niejaki Goren, nie zgłosił do organów państwa wniosku o przeprowadzenie śledztwa, a powinien. Nasuwało to pewne podejrzenia co do jego roli. Aby to wyjaśnić, Amiptah przeprowadził z Gorenem rozmowę, z której wywnioskował, że kapłan celowo zataja prawdę, bagatelizując atak na świątynię, twierdząc, że była to amatorska próba świętokradztwa. Na szczęście dla wiernych nie doszło do zbezczeszczenia przybytku. Ofiary rekrutowały się jedynie spośród napastników, których ciała, jako szczególnie niegodziwych, wywieziono na pustynię i porzucono na zatrącenie. Obecnie w świątyni nie przebywa żaden więzień, tylko służba i kapłani. Ponadto Goren potwierdził, że za rządów jego poprzednika Sansepa istotnie kapłani przesłuchiwali osobę podejrzaną o złamanie kanonów wiary, ale człowiek ten okazał się niewinny i został uwolniony.

Z kolei informatorzy policyjni donosili w raportach, że w ostatnich dniach do świątyni przyjęto 15 nowych osób, uzupełniających skład straży przybytku, spośród mnichów zaś zniknęli Tanemer i Putyfar, ongiś zaufani ludzie Sansepa, wykorzystywani przez arcykapłana w różnych tajnych misjach. W okolicznych kanałach i na pustyni natrafiono na zwłoki i ślady rydwanów, co jest zastanawiające, bo wojsk żadnych wokół stolicy nie ma. Wśród znalezionych zabitych byli i tacy, o których wiadomo, że ostatnio służyli w Om, o także znani w Memfisjordercy do wynajęcia.

Ponadto Amiptah donosił, że w ostatnich miesiącach do stolicy przybyło wiele podejrzanych typów, sprawiających wrażenie najemników. Wśród nich są również obcokrajowcy. Nie wchodzi nikomu w drogę, posiadają środki na utrzymanie i zachowują się spokojnie. Poddano ich starannej obserwacji. W jej wyniku ustalono, że reprezentują kilka niezależnych i nie powiązanych ze sobą grup, że stosują wymyślne zasady

konspiracji. Nie można wykluczyć, że mają w Memfis do wykonania jakieś zadania specjalne. Jak dotychczas, wykazują zainteresowanie jedynie świątynią w Om. Ustalono, że jedna z tych grup utrzymywała kontakty z Putyfarem i Tanemerem.

W zakończeniu listu szef policji donosił, iż taki sam raport wysłał wcześniej służbom faraonским w Armii Amona. Brak odpowiedzi od władcy jest dla Amiptaha wielce zagadkowy i budzi jak najgorsze obawy.

List ten wzbudził u Dżawera ogromny niepokój o stan bezpieczeństwa państwa. Informacje z otrzymanego przed chwilą listu połączył z własnymi przemyśleniami, wynikającymi z niedawnej wizyty pątników. Jaka szkoda, myślał, że wiadomości o wydarzeniach w Om i Memfis nie nadeszły wcześniej. Wówczas, nie zważając na dane słowo, wydobyłby na światło dzienne całą prawdę. Teraz nie ma o czym mówić, ale pątników, prawdziwych czy rzekomych, trzeba schwytać.

Długo myślał nad tym, co się wydarzyło i wkrótce miał gotowy plan działania. Na wstępie należało oględnie, nie dekonspirowując źródła posiadanych informacji, powiadomić o swoich podejrzeniach Merit-Amun. Jako doświadczony strateg wiedział dobrze, jakich figur należy użyć do następnych etapów gry.

Była późna noc, zrobiło się zimno. Dżawer przykrył się kocami, ale te nie dawały ciepła. Przez szparę widział księżyc w nowiu, cieniutki jak ostrze kanaaeńskiego miecza. Zawsze przypominał mu ojczyznę. Zimno stawało się coraz bardziej dokuczliwe. Odczuwał narastający ból mięśni i stawów. Nic dziwnego, prawie czterdzieści lat służby nie mogło przejść bez echa. Poleciał, aby wewnątrz namiotu rozpalono ogień i przyniesiono wino. Po chwili zmienił rozkaz. Złe wysuszony nawet nie dawał wystarczającej ilości ciepła, a wydierał odór ekskrementów. Wypity napój nie przynosił ukojenia. Starość, pomyślał. Niebawem przyjdzie czas poprosić o zwolnienie ze służby. Tylko po co? Do kogo stary wojownik miałby powrócić? Gdyby żyli synowie, byłoby inaczej. Po domu biegałyby wnuki. Mógłby patrzeć na ich rozwój, kształtować cechy charakteru i osobowości. Dla malców byłby żywą historią rodu, bezpieczną przystanią i radością. Dzieci nie traktują starości

równie obrzydliwie jak dorośli. Ale wnuków nie było. Siostra? Cóż - ma swoje życie, uwikłana w zwyczajne konflikty rodzinne. On u niej - na zawsze? Nigdy! Trzęsły go dreszcze. Już nie wiedział, czy to spowodowało zimno, czy też nawrót choroby błotnej, która od czasu do czasu przypominała, że jest z nim na zawsze, do końca. Pomyślał, że to cholernie wierna towarzyska, która nigdy nie zdradza. Gdyby teraz ktoś go sobą ogrzał, wchłonąłby całe ciepło cudzego ciała. Przypomnił sobie o niewolnicach, które jego wojska zagarnęły w Libii. Polecił przyprowadzić do namiotu którąś z nich. Po chwili nocny adiutant wypełnił rozkaz i powiedział:

- Ma na imię Pawea.

Zostali sami. W świetle olejowych kaganków widział jej postać. Kobieta miała na sobie nowe szaty. Woń mirry, jaka od niej dochodziła, była jak tchnienie łąki. Przywołał ją gestem ręki do łóżka, wzrokiem nakazując, aby usiadła. Zrobiła to, czego oczekiwał. Ramieniem objął jej kibić i wolno, bardzo wolno, przyciągnął do siebie i położył obok. Kobieta drżała. Nie wiedział, z zimna czy lęku. Narzucił na nią ciężkie koce, okrywając oboje od stóp aż po szyję. Czuł jej ciepłe ciało, od którego oddzielała go tylko zdobyczna szata, cienka jak skrzydło motyla. Dotknął tkaniny, była śliska i gładka, podobna do skóry niemowląt. Wziął w dłonie rękę kobiety i przez dłuższy czas przytrzymał w lekkim uścisku, wyczuwając smukłość palców i mocno rozwinięty, pulchny wzgórek Księżycy i Izydy. Trwało to długo; kobieta chyba uspokoiła się, bo oddychała teraz wolniej. Delikatnie obrócił ją na bok. Leżała w takiej pozycji, jak chciał, odwracając głowę w jego stronę. Przyjął to samo ułożenie co ona i przycisnął do siebie. Była drobniejsza niż przypuszczał, szczyt jej czaszki sięgał mu po brodę, w nosie czuł przyjemny zapach włosów. Ciała obojga przylgły do siebie tak szczelnie, jak to na niej wymusił. Czuł obłość jej bioder i krągłość cudownie wysklepionych pośladków, foremną walcowatość ud i łydek oraz cienki sznureczek sandałów, związany na kostkach. Zdecydowanym ruchem położył rękę na jej nabrzmiałych piersiach. Pod palcami wyczuł brodawkę - małą, twardą, zwartą. Znieruchomiał w tej pozycji, nie wykonując już żadnego ruchu. Miał wrażenie, że przenika z niej do

niego w jakiś czarodziejski sposób tajemna energia życia. Napięcie jej ciała malało. Posłusznie, jak niewolnica, leżała u jego boku, ale wyraźnie, każdym nerwem, czuł powracający do niej spokój. Wraz z nim wzrastało ciepło jej ciała. Nappełniała go energią, która jak strumień wchodziła we wszystkie zakamarki trzewi, mięśni, skóry. Ustąpiły bóle stawów, tylko rany piekły tak jak poprzednio.

Granatowa ciemność nocy zmieniała się w nieśmiałą jasność brzasku. Słyszał głosy zmieniających się wart, pianie obozowych kogutów, krótkie rzenie koni, oczekujących nadejścia poranka i świeżego obroku. Myślał o nieznośnej destrukcji, jaką w życie wnosi czas. Kobieta zasnęła. Jej ciało pachniało zapomnianym zapachem płci. Przewrócił się na plecy, dając odpocząć ranom; miał ich więcej po stronie, na której leżał. W tym samym momencie jej lewe ramię podążyło w jego kierunku. Ten ruch wykonała w nieświadomości snu. Dotknęła dłonią jego piersi i raptownie się zbudziła. Speszona, cofnęła rękę. Delikatnie przywiódł jej dłoń z powrotem na miejsce, na którym przed chwilą była. Spojrzała nań uważnie. Delikatnie przejechała palcem po długiej bliźnie. Widział, jak nabrzmiewają jej wargi. Usiadła na piętach. Niespodziewanie odrzuciła przykrywające go koce. Następnie ułożyła mu ręce wzdłuż ciała. Wolnym, pieszczotliwym głaskaniem nagrodziła każdą z jego licznych blizn. Nie wstydziła się tego, co czyni. Wolno uniosła fałd materiału, który przykrywał mu biodra. Wydała cichy chrapliwy dźwięk, dotykając członka i jąder. Lekкими dotknięciami palców obiegła je dookoła. Wysunęła wargi do przodu, tworząc foremnie zarysowany pyszczek. Chciał ją od siebie odepchnąć, pamiętając o swojej niemocy, ale prawą ręką wykonała gest łagodnego przeczenia. Potem kazała mu położyć się na brzuchu. Zrobił, co chciała. Był ciekawy powodu, przecież na plecach nie miał ran. Wstała z łóżka i zwinęła w rulon płachtę dachowego okna. Zrzuciła sandaalki. Dżawer usiłował wstać, ale ona pokręciła przecząco głową, lekko klepiąc go w plecy. Po chwili zobaczył, że wchodzi na łóżko, a następnie obydwoma nogami na jego tułów. Piętami masowała mu kręgosłup, koncentrując się na lędźwiach. Słyszał i czuł rytm dziwnych uderzeń i nacisków. Przestał odczuwać ból. Wówczas

obok jego twarzy wylądowała jej suknia. Stała obok niego. Odwrócił głowę. Była naga. Bez śladu zażenowania pozwoliła na siebie patrzeć. Widział jej piersi sterczące jak czarki pucharów i obfity złoty zarost łona. Usiadł, podziwiając jej piękno. Nie pozwoliła. Przewróciła go na wznak. Okroczyła go i rytmicznym posuwistym ruchem zaczęła masować piersiami od twarzy, przez brzuch, aż po biodra i uda. Ze zdumieniem stwierdził, że jego członek zaczął się napinać. Uchwyciła ręką twarde już prącie i wolno, bardzo wolno zamknęła je w sobie. Wydała cichy krzyk. Jej biodra trzymały go w wilgotnym uścisku, unosiła i opuszczała je w dzikim cwale, nie pozwalającym mu na wykonanie najmniejszego ruchu. Czuł gładkość i elastyczność jej wnętrza. Wyprostowała tułów i uniosła głowę, lekko odchylając ją do tyłu. Rozchyliła wargi, ukazując biel drobnych zębów. Zamknęła oczy, jakby nie chcąc zauważyć tego, że jej brzuch faluje, wsysa go i zatrzymuje z taką determinacją, jakby miał zostać w niej na zawsze. Widział piersi, tańczące w oddzielnym, a jednocześnie wspólnym rytmie. Obie brodawki wykonywały nieustanny kolisty ruch, unosząc się wraz z nią w górę i w dół. Patrzył na jej ekstazę i zrozumiał całą prawdę starego egipskiego powiedzenia: „Tylko w dwu sytuacjach ciało łączy się z natchnieniem - w miłości i w tańcu”. Z całą mocą powróciła do niego siła, o której sądził, że dawno zamarła. On, Dżawer, wreszcie mógł mieć i miał kobietę, jej moc, ciepło, dotyk, zapach, czułość i zapamiętanie. Był zafascynowany odkryciem faktu, iż jedynie seks stanowi najwyższą formę uhonorowania płci. Koniec z obrzydliwą sytuacją, której nie potrafili zaradzić zaklinacze, lekarze, kapłani, a nawet bogowie. Teraz wszystko zmieniła ta do wczoraj obca mu branka. Niewytłumaczalny czar, niewymienialny na nic cud, którym jest kobieta. Dalej tkwiła w amoku miłości, wydawała z siebie ciche jęki i miauczenia. Jej podniecenie było wręcz szalone. Czasami krzyczała w dzikim zapamiętaniu. Deszcz obfitego orgazmu wypływał strugami z jej rozluźnionego wnętrza. Wtedy trysnął w nią, wydając przeciągły gardłowy odgłos tryumfu. Niechętnie wypuściła go z siebie, aby natychmiast przytulić się do niego z miękkością i uległością, o jakich istnieniu już dawno zapomniał. Zanim zasnęła, zdążyła jeszcze

wziąć jego dłoń i ułożyć ją tak, aby zasłaniała całe jej łono. Po chwili spała. Nie czuła, jak na jej ręce zapiął rodową bransoletę z głową boga Dogona.

Wstał, a ubierając się patrzył na nią leżącą na boku, widział uda i zgięte kolana, okrągłe ramię, wysychające jeziorko potu, który spływał na pościel, rozrzucone włosy, przypominające złotą aureolę. Jej zapach nappełnił całe wnętrze. Popatrzył na nią z dumą. Oto jak prawdziwy mężczyzna w pełni zaspokoił boski popęd kobiety. Kto wie, może ona ofiaruje mu potomka królewskiego rodu Aj? Na samą tę myśl poczuł, że chyba oszaleje. Przysiągł, że jeśli tak się stanie, uczyni z tej niewolnicy prawowitą żonę i złoży ofiarę wszystkim bogom. Ona i dziecko uzyskają wszystko, co w życiu zdobył. Zanim wyszedł, spojrzął na nią z ogromną czułością, jaka zamarła w nim dawno, a odżyła tak niespodziewanie.

Polecił, aby przygotowano nowy komfortowy namiot - jej namiot. Wezwał intendenta, któremu rozkazał, aby Pawei przydzielono służbę oraz wydano wodzowski dział w łupach: naszyjniki, bransolety, pierścienie i najdroższą odzież. Bezpośrednio wysłał posłańców do zarządcy pałacu w Memfis, aby wszystko w nim przygotował na przyjazd nowej pani.

Tego samego dnia Dżawer rozkazał, aby pod pozorem wzmocnienia odległej placówki wojskowej, usytuowanej na krańcach Libii, skierować tam spory oddział żołnierzy. Znaleźli się w nim wszyscy, którzy widzieli pielgrzymów oraz zwłoki tłumacza. Następnie dowódca jednostki szybkich rydwanów polecił doreczyć faraonowi raport o stanie bezpieczeństwa na granicy wschodniej. Do Merit-Amun wysłał odręczny list, wyrażający w zawołowanej formie zaniepokojenie pogłoskami o chorobie faraona. W piśmie położył nacisk nie na sam fakt ich istnienia, lecz zaakcentował, iż odnosi wrażenie, jakoby wieści te były celowo i świadomie przez kogoś rozpowszechniane.

Zaufanego posłańca z osobnym piśmem wysłał do Amiptaha. Miał świadomość wagi tego listu oraz nie mógł wykluczyć, że zostanie przeczytany przez inne osoby, szczególnie Merit-Amun, ale że w istocie chciał tego, pisał o swych podejrze-

niach i obawach wprost. Musiał przekazać sygnał wyraźny i jasny o niebezpieczeństwach grożących władzy i życiu faraona. Dla pozorów i zamaskowania sedna sprawy informował więc Amiptaha w oględnych słowach jedynie o tym, że jest osobiście zaniepokojony pogłoskami, jakoby dwór - za zgodą Ramzesa - zamierzał jego, Dżawera, przenieść w stan spoczynku. Wiedział, że adresat odczyta taki zapis jednoznacznie: Dżawer powinien jak najdłużej pozostawać dowódcą armii, wówczas Amiptah nadal będzie piastował stanowisko szefa policji tajnej i jawnej. Nie ma Dżawera, nie ma i jego. Bez wątplenia były podwładny wyjdzie ze skóry, by sprawdzić każdą informację mogącą zaszkodzić interesom ich obu. W drugiej części listu z zatroskaniem powiadał Amiptaha, że od pewnego czasu docierają do armii pogłoski o tajemnych spotkaniach kapłanów różnych cudzoziemskich religii, o jakichś fantastycznych prorocत्वach wyroczni w ościennych krajach, o groźnych znakach nieegipskich bogów, które zsyłają na ziemię, o rzekomych emisariuszach przedostających się nad Nil i rozsiewających fantastyczne wieści o mających tu nastąpić wielkich przemianach. Nie wspominałby o tym wszystkim, gdyby nie przewijało się tam w złym kontekście imię naszego ukochanego pana i władcy, boskiego faraona Ramzesa II. On, Dżawer, uważa, że tym zjawiskom należy bacznie się przyjrzeć, sprawdzić, czy nie noszą znamion spisku, a o wynikach ustaleń na bieżąco Amiptah powinien informować Merit-Amun. Celowo w liście nie umieścił najmniejszej wzmianki, z której wynikałoby, że są mu znane niedawne wydarzenia w świątyni Atuma w Om. Teraz, po wysłaniu wszystkich listów, wielki wódz był pewien, że ewentualne podejrzenia o jego nielojalności zostały usunięte.

W armii Dżawera służyli Totmes i Hiram, bliźniaczy synowie jego siostry. Karierę zawdzięczali przede wszystkim sobie, niemniej stryj w dyskretny sposób przyśpieszał ich awans, niepotrzebnie nie narażał i ograniczał ryzyko przypadkowej śmierci. W pamięci przechowywał obraz swoich zabitych synów. Winił się za ówczesny brak wyobraźni, a także za to, że w ogóle wziął ich do wojska.

Adiutantowi rozkazał przyprowadzić najpierw Totmesa, potem Hiram. Gdy przyszedł pierwszy, kazał mu spocząć i ugościł winem i świeżymi daktylami.

- Słuchaj chłopcze, daję ci trzymiesięczny urlop. Załatwisz w Memfis bardzo ważną sprawę. Wśród darów, jakie zawieziesz mojej siostrze, jest przedmiot przypominający głowę kota. Przyjrzyj mu się uważnie - tu wskazał na leżącą plaketkę, stanowiącą własność zamordowanego tłumacza. - Pokażesz ją naszym krewnym i w moim imieniu poprosisz, by bardzo dyskretnie spróbowali się dowiedzieć, co oznacza ten znak i kto go używa? Wyjaśnienie tej tajemnicy może nasz ród wynieść na wyżyny, gdyż sprawa dotyczy najważniejszych interesów państwa. Urlop, jaki otrzymujesz, nie będzie więc jedynie przyjemnością. Stanie się także twoją tajną misją.

- Wodzu, uczynię, co każesz.

- Zapominasz, Totmesie, że jestem nie tylko wodzem, ale także twoim stryjem. Nie chcesz do mnie powiedzieć stryju?

- Boję się, że mógłbym cię urazić.

- Nic podobnego. Chodź uściskaj cię, niech ci sprzyjają bogowie. Wróć zdrów.

Dżawer raptownie ocknął się z drzemki. Spojrzał w odsłonięty otwór wejściowy i zauważył siostrzeńca, którego już pożegnał.

- Totmesie, zapomniałeś o czymś?

- Wodzu, jestem Hiram. Wzywałeś mnie.

Dżawer westchnął bezradnie. Podobieństwo bliźniaków już od maleńkości było zadziwiające i potęgowało się w miarę, jak dorastali. By uniknąć pomyłek, umieścił ich w różnych jednostkach.

- Tam masz krzesło. Przed chwilą siedział na nim twój brat. Mam coś specjalnego dla ciebie. Ale najpierw powiedz, czy się nie mylę. Podobno wiele lat spędziłeś w naszej faktorii, położonej przy ostatnim zachodnim ujściu Nilu?

- Tak, stryju. Prawie do czasu, aż zabrałeś mnie do armii.

- Czy potrafiłbyś porozumiewać się z cudzoziemcami?

- Oczywiście. Z jednymi lepiej, z drugimi gorzej. Rozumiem mowę Fenicjan, języki północnych narodów morza, ara-

mejski. Nieraz mówiono mi, że posługuję się nimi tak, jakby były moimi rodzinnymi.

- To dobrze, Hiramie. Chcę ci powierzyć do wypełnienia niebezpieczne zadanie. Słuchaj uważnie. Kilka dni temu ze statku stojącego nieopodal brzegu przybyli do naszego obozu pątnicy. Jednego z nich zasztyletowano. Odkryłem, że na wewnętrznej stronie przedramienia miał oryginalny tatuaż. Pojedź, narysuj go. Widzisz, jest podobny do wizerunku słońca.

- Wodzu, ja znam ten symbol.

- Gdzie i kiedy go widziałeś?

- Podobny pokazał mi w Achetaton kapłan Amona-Ra. W ruinach znaleźliśmy kamień, a na nim taki właśnie symbol jedynego boga Atona, o którym obecnie mało kto pamięta.

- To ważna wiadomość, Hiramie, ale nie wiadomo, czy odnosi się ona do tłumacza. Sądzę, że pątnicy chcą wrócić do Fenicji, przynajmniej dla zachowania pozorów, psobiście uważam, że są zamieszani w antypaństwowy spisek. Musisz śledzić ich tak długo, aż dotrą do swoich mocodawców. Jak myślisz, czy w Fenicji znajdują się prędzej łądem czy wodą?

- Wodą, jeśli popłyną blisko brzegu, bo o tej porze roku będzie ich popychał stały wiatr wiejący na wschód. Jeśli ich statek nie jest szybki, do brzegów Sydonu lub Tyru mogą dotrzeć za trzy tygodnie. Szybką łodzią mógłbym ich wyprzedzić.

- To doskonale, ale czy na pewno możesz tego dokonać?

- Tak, lecz dla bezpieczeństwa chciałbym zabrać ze sobą mojego przyjaciela, to najlepszy szermierz w armii.

- Zgadzam się, ale nie wprowadzaj go w szczegóły sprawy.

- Kiedy mamy rozpocząć zadanie?

- Przyjdźcie wieczorem. Rozkażę, aby przeprowadzono was przez nasze stráže i podwieziono w pobliże portu. Hiramie, uważaj na siebie, to nie manewry, ale najprawdziwsza walka, a być może jest to jedyna droga do odzyskania naszej ojcowizny w Kanaanie. Czy pojąłeś, o jaką stawkę toczy się gra?

- - Może nie do końca, ale zrobię wszystko, aby nie zawieść.

- Kiedy obaj wróćcie z tej wyprawy, cały żołąd i łupy oddam świątyni boga wojny Mon tu, aby mu zbudowano w Karnaku nowy pylon .

ROZDZIAŁ 7

Merit-Amun, ukochana córka Ramzesa, urodę odziedziczyła po matce. Krew Ramessydów dała jej właściwą temu rodowi wojowniczość i brak poczucia lęku. Od dzieciństwa pozostawała na szczytach władzy, otoczona przepychem, dworakami i intrygami. Jej matka, Nefertari, słynna piękność, nazywana była żywą Izydą. Bezgranicznie zapatrzona w męża, traktowała inne kobiety w życiu Ramzesa jak samice, służące zaspokojeniu jego popędów.

Nefertari była ukochaną żoną, najlepszą kochanką, oddanym przyjacielem, a gdy władca wyjeżdżał ze stolicy, rządziła niepodzielnie jak faraon. Po latach zdobyła taki posłuch, że nikt nie ośmiał się dyskutować bądź podawać w wątpliwość jej poleceń. Zmarła nagle, tajemnicę śmierci zabierając ze sobą do grobu. Próby wyjaśnienia przyczyn okazały się bezowocne. Ramzes pochował ją z przepychem, jaki nigdy nie był udziałem żadnej kobiety. Ale pustki po niej nie wypełnił już nikt.

W miejsce matki w sposób niepostrzeżony, ale konsekwentny, wchodziła Merit-Amun. Niezwykłe i w miarę upływu czasu potęgujące się podobieństwo do zmarłej było jej w tym niezwykle pomocne. Po pewnym czasie przejęła sprawy, jakimi uprzednio zajmowała się Nefertari. Wprowadziła się do królewskiego pałacu, nie dokonując w nim żadnych zmian. Z upływem lat młodą, dorastającą księżniczkę coraz częściej traktowano, jakby była królową. Wielu starało się o jej rękę. Ojciec też namawiał córkę do zawarcia małżeństwa. Obiecywał, że zachowa wszystkie dotychczasowe uprawnienia, a pełniona przez nią rola na dworze się nie zmieni. Nie wyrażała

zgody, odrzucała kolejne propozycje i wszystkich konkurentów. Najtrudniejszą i najbardziej kłopotliwą okazała się sprawa z Hanemebem, przystojnym faworytem ojca. Tu też wprawdzie stanowczo odmówiła, ale po pewnym czasie do sprawy powrócono. Atakowano ją ze wszystkich stron.

Nikt nie znał przyczyny niechęci Merit-Amun do małżeństwa: otóż mężczyźni, poza ojcem i bratem Kaimem, drażnili ją od dawna. Intuicja podpowiadała jej, że tak naprawdę traktują kobiety jak istoty niższego rzędu. Powoli budowała w sobie barierę przeciwko drugiej płci. Nie nęciło jej macierzyństwo, wychowywanie dzieci, posiadanie rodziny. Zauważyła też, że niektóre z dworów zdradzają większe zainteresowanie osobami własnej płci, które z czasem przeradzało się w gwałtowny homoseksualny seks. Sama również spróbowała tej przyjemności i znalazła wszystko, czego pragnęła: uczucie, oddanie, zauroczenie, ale w końcu znudziła się ciągłą zmianą partnerek, toteż od dawna pozostawała w związku z Mesith - dworką ślepo jej posłuszną i oddaną. Miała do niej pełne zaufanie. Własne sprawy intymne i uczuciowe utrzymywała w ścisłej dyskrekcji, a co bardziej gadatliwe faworyty minionego okresu brutalnie wydała za mąż. Znając gwałtowność i bezwzględność księżniczki, dotrzymywały tajemnicy. Nagła śmierć jednej z nich, która usiłowała się buntować, ostrzegła pozostałe. Strach zawsze zwiększał roztropność.

Służebna powiadomiła księżniczkę, że przybył posłaniec od wodza Dżawera. Poleciała wprowadzić gościa do ogrodu i przygotować napoje. W kilka chwil później zeszła nad sadzawkę, ocienioną rozłożystymi koronami persei. Zobaczyła barczystego oficera, który z szacunkiem skłonił się przed nią. Usiadła nad wodą na niskim, wyplatany taborecie. Za księżniczką ustawiły się dwie czarne niewolnice, poruszające w powietrzu wachlarzami z pawich i strusich piór.

- Mów - rzuciła krótko.

- Ja, Ihy, pozdrawiam cię pokornie i życzę, aby bogowie czuwali nad tobą, nasza pani, córko faraona, pana i władcy. Wielki wódz Dżawer przesyła życzenia wszelkich łask ze stro-
ny boskiej Izydy. Jako wyraz miłości i przywiązania do dyna-

stii Ramessydow przekazuje dary. Mam również doręczyć list oraz raporty.

Ponownie wykonał ceremonialny ukłon. Poleciała mu wstać.

- Widzę, oficerze, że przybywasz prosto z obozu i wydajesz się zmęczony. Usiądź więc. Co słysząc w Armii Seta?

Stremowany żołnierz spoczął na brzegu krzesła.

- Przywróciliśmy porządek i poszanowanie dla korony. Całą Libię oczyściliśmy z buntowników. W czasie walk zdobyliśmy łupy i jeńców, a konwoje z nimi docierały do kraju regularnie. Polecono, abym doręczył raport intendencji ujmujący dane liczbowo.

- Dobrze, raport zawsze stanowi istotną sprawę, ale ciekawa jestem, w jakim stanie znajduje się armia.

- Nie ponieśliśmy poważniejszych strat. Wódz Dżawer prosi, abyś osobiście zajęła się zaopatrzeniem dzieci i żon poległych.

- Chętnie spełnię prośbę wodza. Rozumiem jednak, że skoro przywozisz wykazy zabitych, stan liczebny oddziałów uległ zmniejszeniu.

- Nie, księżniczko. Armia kadrowo jest taka sama, gdyż wcielano do niej młodych, zdrowych jeńców.

- Twój wódz Dżawer postępuje mądrze i słusznie. Wykaz połóż tutaj i możesz w moim imieniu obiecać Dżawerowi, że dopilnuję zaopatrzenia rodzin, pomyślę także o dzieciach płci męskiej. Jak zwykle, sieroty żołnierskie będą miały pierwszeństwo w przyjmowaniu do szkół wojskowych. A jeśli chodzi o rannych, czy macie ich wielu?

- Nie, księżniczko. Dlatego rozpoczęto powrót do Memfis. Jedyne problemy, jakie w Libii pozostały, wiąże się z najazdami związku ludów morza. Co jakiś czas łupią wybrzeże. Nie możemy z nimi walczyć. Brak nam statków, zdolnych poruszać się po otwartych akwenach.

- Rozmawiałam już z ojcem i prosiłam, by sprowadził rzemieślników znajdujących się na budowie okrętów wojennych. Powiedz, kiedy można spodziewać się wodza Dżawera w Memfis?

- Sądzę, że mowa o tym w liście.

- Teraz służebne nakarmią cię i napoją, spełnią życzenia. Możesz odejść!

- A dary, pani?

- Każ je zostawić tu, w przedsionku. Jeśli będę chciała woda Dżawera o czymś poinformować, otrzymasz list.

Zostawszy sama, przeczytała raporty. Pomięła aneks z intendentury. Bilans na pewno będzie się zgadzał, ale pomyślała, że na wszelki wypadek trzeba oddać wykaz do sprawdzenia. Lista poległych i rannych nie była długa. Odłożyła ją, wezwała osobistego sekretarza, nakazując mu dokładnie rozpoznać sytuację rodzin poległych. Poleciała, by ostateczne sprawozdanie przygotował i przedłożył za miesiąc.

W końcu otworzyła list Dżawera, sprawdzając uprzednio stan pieczęci. Były nienaruszone. Merit-Amun zaskoczyło kilka zdań zakończenia, w których była mowa o rozsiewaniu plotek dotyczących złego stanu zdrowia faraona, co zdaniem piszącego może spowodować zamęt i niepokój w państwie.

Zastanowiła się. Jeśli takie kłamstwa są rozsiewane na skraju imperium, a Dżawer nie może ustalić sprawców, sprawa jest poważna.

Na dary nawet nie spojrziała. Intendenturze kazała sprawdzić zgodność z załączonym spisem i natychmiast sprzedać, a z uzyskanych wpływów zasilić fundację dla dzieci poległych żołnierzy. Wezwała skrybę; usiadł w kucki u jej nóg, na kolanach rozłożył warsztat pisarski. Spojrzała na niego kątem oka - był gotowy. Podyktowała krótki list do Dżawera. W zakończeniu dodała, że wszelkie pogłoski na temat stanu zdrowia faraona są nieprawdziwe, ale zgadza się z sugestiami wielkiego wodza. Do pisma dołączyła dwadzieścia dzbanów znakomitego wina z Pi-Rames.

W ciągu najbliższych dni sprawdziła przez zaufanych ludzi, czy źródłem inspirującym plotki są: pałac, dwór, harem lub najbliższe ich otoczenie. Z opinii informatorów wynikało, że krążące tam pogłoski nie różnią się niczym od tych, jakie zazwyczaj towarzyszą władzy i władcom. Wybuchają przy byle kichnięciu panującego, a kończą po jego powrocie z polowania. Nigdy nie występowały w czasie, kiedy wódz był na wojnie. Za intrygowanie w takim okresie można było stracić głowę, toteż i teraz w Memfis panowała zupełna cisza. Nawet najmniejsza możliwość zmiany na szczytach władzy natychmiast

łączyła zwalczające się koterie. Wiadomo było wszystkim, że w razie śmierci panującego dwór i harem odchodziły wraz z nim. Za dawnych czasów dosłownie, gdyż dworaków i służbę żywcem umieszczano w królewskich komorach grobowych i zamurowano, a ich dusze, znajdujące się w poświęconym miejscu, odchodziły w zaświaty nie tracąc ani „ba”, ani „ka”. Pozornie nikt nie musiał obawiać się, że przyjdzie mu towarzyszyć faraonowi w ostatniej wędrówce. W rzeczywistości zawsze mogło się stać inaczej, gdyż władca przed śmiercią ujawniał kapłanom życzenie zabrania ze sobą do Ozyrysa szczególnego grona osób. Wybór mógł paść na żony, nałożnice, osoby ze służby, dworaków, słowem każdego. W takiej sytuacji szeptano, że wybrańcy zapewne nie byli darzeni szczególną sympatią przez następcę zmarłego albo jakieś silne ugrupowanie dworskie. Merit-Amun wiedziała o tym świetnie. Dlatego wysłała do ojca posłańców z zapytaniem, czy zdąży przybyć do stolicy przed dorocznym świętem Ipet. Gdyby wziął udział w misteriach i odbył na czele zwycięskiej armii tryumfalny wjazd do miasta, wszelkie pogłoski rozwiałyby się w sposób naturalny. Z cichą nadzieją, że jednak wszystko ułoży się dobrze, poszła spać.

Następnego dnia wypadał termin dawno ustalonej wizytacji Domu Życia w Memfis. Księżniczka lubiła to szczególne miejsce, w którym od stuleci funkcjonowali uczeni różnych specjalności. Właśnie tam kodyfikowano prawa dotyczące nauki i sztuki. Ustalano rytuały, kodeksy postępowania, metody nauczania, dworską etykietę. Zajmowano się astronomią, polityką i rzemiosłami wojennymi. Spisywano roczniki królów, prowadzono księgi metrykalne, notowano osiągnięcia naukowe, udoskonalenia techniczne i medyczne, weryfikowano i spisywano ważne fakty i wydarzenia historyczne. Ważnym zadaniem pracujących tam kapłanów było przekazywanie następnym pokoleniom świętych kanonów rytuałów, pieśni, muzyki i malarstwa pochodzących z czasów, gdy sami bogowie władali ziemią.

Merit-Amun stale interesowała, co działo się w Domu Życia. W razie potrzeby udzielała tej instytucji pomocy i wsparcia. Dwa lata wcześniej ufundowała nagrodę w wysokości stu debe-

nów złota dla twórcy systemu oświetlenia wnętrz. W głównej mierze chodziło o zapewnienie najlepszego światła dla malarzy faraonńskiego grobowca w Dolinie Królów w Tebach Zachodnich, jednej z priorytetowych inwestycji w państwie.

W litej skale, na głębokości trzydziestu kroków, wydrążono tunel o długości dwustu pięćdziesięciu łokci egipskich. W grobowcu wykuto ponad dwadzieścia dużych komnat, każda o innym przeznaczeniu. Gdy ostatnim razem odwiedzała budowę, posadzki były wygładzone, a ściany pokryte tynkiem. Wszystko przygotowano do wejścia rysowników, którzy mieli wykonać szkice i malowidła według wcześniej zatwierdzonych projektów. Powstały jednak problemy techniczne. Pierwszy polegał na doprowadzeniu do zateętych wnętrz świeżego powietrza, gdyż pracujący tam ludzie umierali w duchocie. Uczni z Domu Życia rozwiązali tę trudność. Zainstalowano ogromne skórzane tłocznie, za pomocą których zmieniające się brygady niewolników płóciennymi przewodami wpompowywały świeże powietrze. Poważniejszym problemem było jednak oświetlenie. Próbowano używać nastawnych luster, ale system ten okazał się niewystarczający, ponadto światło nie rozpraszało się równomiernie i nie rozjaśniało jednakowo całych pomieszczeń. Nie można było korzystać z łuczyw i kaganków, gdyż zabierały powietrze i kopciły, a unosząca się sadza osiadała na malowidłach. Mimo tych utrudnień prace kontynuowano. Powstawały malowidła idealnie zgodne z rysunkiem, lecz o pstrych, nie zharmonizowanych barwach. Kiedy zobaczyła wykonane freski, kazała artystów ukarać batami. Na nic się to jednak zdało. Zniechęcony przełożony malarzy poprosił, aby wymierzono im drugie tyle i pozwolono odejść, po czym ponuro oświadczył, że dalsze prace przy takim oświetleniu nie mają sensu.

Przerwa w pracach wykończeniowych w grobowcu trwała już dosyć długo, gdy nieoczekiwanie przyszło z Domu Życia powiadomienie, że znalazł się ktoś, kto twierdzi, że rozwiązał problem i pragnie wynalazek zademonstrować publicznie. Merit-Amun zapowiedziała więc przybycie na pokaz.

Przyjęto ją niczym królową. Nie dopuściła jednak do wygłaszania mowy powitalnej. Uniosła rękę. Zapadła cisza. Dość

długo milczała, patrząc na zebranych. Kiedy wreszcie przemówiła, jej głos o wysokiej tonacji wibrował w pomieszczeniu:

- Ktoś niedawno mi powiedział, że podobno nikt nie dorasta do rangi wypowiedzianych przez siebie słów. Dlatego przejdę od razu do rzeczy. Przyszłam, aby wam przypomnieć o celu waszej pracy. Reprezentujecie różne kierunki nauki, ale łączą was zadanie, jakie od setek lat egipscy uczeni wykonują wspólnie. Jestem przekonana, że je znacie, lecz moim obowiązkiem jest o nim mówić, gdyż mogą być tacy, którzy chcieliby spytać, o cóż tak ważnego chodzi? Dlatego odpowiadam. O współtworzenie narodowego eposu o przeszłości pełnej dumy i chwały, o teraźniejszości tak obficie kwitnącej na polach nauk i sztuk, o przyszłości, w której zrealizujemy wielkie zamierzenia. Są to zadania nieodzowne dla powstania duszy narodu. Wy, najmądrzejsi z mądrych, od stuleci budujecie ten mit. Na was, uczeni, tak samo jak na władzy, spoczywa ciężkie brzemie obowiązku, który nie wykonany właściwie zmienia się w grzech wołający o pomstę do nieba. Jaki to grzech, spytaście? Odpowiem, że pojawia się, jeśli zaniechacie waszych działań, ale również wówczas, gdy państwo nie dostarczy wam wystarczających środków do tworzenia postępu w naukach. Jak widzicie, przed bogami i narodem odpowiedzialność ponosimy wspólnie. A w końcu powiem to, co najważniejsze: pamiętajcie o tym, że największym skarbem każdego narodu jest młodzież. Wykształcona, znająca naszą sztukę i chwalebny historię macierzystej kultury to przyszły Egipt mądry, silny, wieczny.

Skończyła, pewna wywołanego wrażenia. Słowa jej zapisało. Zobaczyła spoconego skrybę; jego trzcina przestała się ruszać, gdy skończyła mówić.

- A teraz zaprowadźcie mnie tam, gdzie będzie demonstrowany wynalazek.

Po chwili znalazła się w dużym pomieszczeniu oświetlonym łączywami. Jego środek zajmował stół, na nim leżało coś w kolorze wypalanej cegły, co przypominało kształtem pochodnię, z której zakończenia wychodziły dwie miedziane nitki. Obok leżało metalowe lustro z kościanym uchwytem. Nitki kończyły się na zaciskach metalowych kołków, wystających parami nad szczelne wieczka licznych kamiennych dzbanów. Pole-

ciła zbliżyć światło do siebie, co rozjaśniło boczną część pomieszczenia. Tam zauważyła kilkadziesiąt podobnych naczyń, połączonych ze sobą przewodami. Zainteresowana wykonała ruch, chcąc dotknąć wypustów dziwnego urządzenia. Nie zdążyła, ktoś powstrzymał ruch jej ręki. Odwróciła głowę, bardziej zdziwiona niż zaskoczona. Przed nią stał młody człowiek o inteligentnej twarzy. Patrząc mu w oczy, spokojnym głosem spytała:

- Czy nie wiesz o tym, że mnie dotknąć może jedynie lekarz królewski?

- Księżniczko, ja, niegodny sługa, chciałem uratować twoje życie. W tych dzbanach ukryta jest moc, którą za chwilę będziesz mogła zobaczyć. Błagam cię, weź moje życie w swoje ręce, lecz pozwól zademonstrować mój wynalazek.

Skończył. Teraz pokornie stał i czekał na jej decyzję. Obejrzała go od stóp do głowy i dość głośno powiedziała słowa, które zapamiętano:

- Nie tylko twoje życie jest w moich rękach, nie musisz mi o tym przypominać. Dam ci szansę, gdyż po to tu przyszedłem. Nie padaj teraz, głupcze, lecz zrób, co zapowiadałeś.

Mężczyzna podszedł do stołu. Do jednej ręki wziął pochodnię, w drugiej trzymał lustro. Nikły odbłask od wypolerowanej powierzchni błędził po ścianach. Usłyszała jego głęboki głos:

- Zgaście łuczywa.

Zauważyła, że nad głową połączył trzymane w rękach przedmioty. Rozległ się suchy trzask, błękitna iskra na moment rozświetliła mrok. Po chwili szczyt pochodni zaczął się żarzyć. Początkowo czerwonożółte, światło zmieniło się w oślepiająco białe i nagle rozświetliło całe pomieszczenie. Widziała najdrobniejsze przedmioty, słyszała ni to syk, ni trzask płomienia, który nie kopał. Do jej nozdrzy dotarł nieznany zapach. Widziała, jak wytworzone światło nadpala i topi górny brzeg znicza. Mężczyzna dał ręką znak, służący zapalili smolne łuczywa. Wówczas z radości pochodni usunął jedną z metalowych nitek. Nastąpiła ciemność. Wszyscy zgromadzeni zastygli w milczeniu. Byli świadkami niebywałego wydarzenia. Błask, jaki przez kilka chwil oświetlał mroczną salę, ustępował jedy-

nie słońcu. Wywołane zdumieniem milczenie przerwało najpierw kilka nieśmiałych głosów, potem więcej i jeszcze więcej, w chwilę później powstał nieopisany gwar i harmider. Nagle wszyscy zaczęli wzajemnie się przekrzykiwać. W pewnej chwili Merit-Amun zorientowała się, że sama też krzyczy. Czyżby bogowie raczyli dziś dać ludziom część swojej czarodziejskiej siły? Patrzyła na wynalazcę z podziwem. Cóż za potęgę ujawnił? Czemu ta moc może służyć? Jaka jest jej natura? Czy w mocy ludzi jest rozświeclanie mroku? Dziesiątki podobnych pytań bez odpowiedzi kotłowało się w myślach księżniczki. W sali panowało niesłychane poruszenie. Uczeni i kapłani zapomnieli, że doświadczają łaski przebywania w pobliżu córki faraona, przestali na nią zważać. Skupili się wokół genialnego wynalazcy, ściskali mu rękę, klepali po ramionach, stracili całe dostojęństwo i wystudiowaną powagę, każdy chciał być bliżej tego, który objawił geniusz umysłu.

Merit-Amun spokojnie patrzyła na rozentuzjasmowany tłum. Straż wyrwała wynalazcę z rąk uczonych i przyprowadziła go przed jej oblicze. Nagle zapadła cisza. Tłum zamarł, porażony strachem. Merit-Amun milczała, pozwoliła im myśleć. Zebrani uświadomili sobie, że dokonali zbiorowego przestępstwa przeciwko etykietce i autorytetowi władzy, a za daleko mniejsze przewinienia karano męczarniami. W zgodnym odruchu padli na twarz.

Młody wynalazca obejrzał się i padł na kolana.

- Wstań! - powiedziała Merit-Amun. - Jakie jest twoje imię?

- Nameth - powiedział cicho.

- Pojedziesz ze mną!

Skinął głową. Widziała rezygnację na jego twarzy.

- Czy chcesz coś powiedzieć? - spytała.

- Tak, jeśli mi pozwolisz. Uczynię wszystko, co rozkażesz, księżniczko, ale błagam, nie karz tych uczonych. Ze mną zrób, co chcesz, ale błagam cię, daruj im winy, nie chcieli cię urazić. Oni czcili w ten sposób boga nauki Tota. Nie mogli jednocześnie słać jego boskości i twojej. W tej samej chwili można czcić tylko jednego boga.

- Wierzysz, że moja boskość równa jest boskości Tota?

-Tak.

Podobała jej się ta odpowiedź. Nadto Tot był bogiem od niej znacznie starszym, a więc chociażby z tego tytułu należało mu się pierwszeństwo. Po chwili rozkazała:

- Każ im powstać.

Podnieśli się, z twarzami szarymi ze strachu. Dłuższy czas patrzyła na nich władczo i surowo, w końcu przemówiła:

- Uczeni z Domu Życia. Nameth powiedział, że tak czcicie boga nauki. Wiem, że jego słowa zawierają jednocześnie prawdę i kłamstwo. Wam zostawiam zważenie winy, bo przecież wy stworzyliście etykietę, będącą podstawą zachowania. Nie czuję się urażona. Rozumiem wasze ludzkie emocje, od których ja, córka boga, jestem wolna. Cieszę się razem z wami, że odkryto nowe prawo przyrody.

Odwrociła się i rozkazała, aby zawieziono ją do pałacu.

Wieczorem do swych komnat wezwała Nametha. Siedziała przy stole, kończąc przeglądać dokumenty i raporty dzienne. Odwróciła się do niego, gdy wszedł i powiedziała:

- Chcę porozmawiać o twoim wynalazku. Zwalniam cię w tej rozmowie z wszelkiej etykiety. Zachowuj się tak, jakbyś rozmawiał z przyjaciółmi i kolegami. Uprzedzam, że czasem będę ci przerywała, bo jestem niecierpliwa i często nie pozwalam rozmówcom skończyć zaczętej myśli. Opowiedz mi wszystko o swoim odkryciu. Tu obok znajdziesz wino, miód i owoce. Chcę, abyś z nich skorzystał.

- Najwyższy majest...

- Już powiedziałam: zapomnij o tytułach i przystąp do rzeczy.

- To nie jest mój wynalazek!

- A czyj? - Wydawała się zaskoczona. - Kto jest jego właściwym twórcą?

Nameth wziął kiść dojrzałych winogron.

- Pani, od kilku lat w Domu Życia zajmuję się badaniem siły, ale innej niż siła mięśni czy drzewa... Wertując papirusy trafiłem na bardzo stary rysunek. Przedstawiono na nim urządzenie podobne do tego, które zademonstrowałem, oraz człowieka z głową małpy trzymającego w rękach dwa noże. Znak

taki przestrzega przed niebezpieczeństwem. Obok znajdował się napis. Odczytał go biegly w dawnym piśmie kapłan.

- Jak brzmiał?

- „Tak stworzono światło”.

- I nic więcej?

- Nic. Rysunek był bardzo zniszczony i chyba niekompletny. Może nawet tak stary, jak sam Egipt. Papirus, na którym go sporządzono, został wykonany sposobem nie używanym już za czasów faraona Dżesera.

- To prawie dwa tysiące lat temu. A więc może pochodzić ze świętych ksiąg Tota?

- To bardzo prawdopodobne. Aż dziw, że nikt dotąd nie zwrócił mi na to uwagi.

Jego zdumienie było niewątpliwie szczere.

- Czy był tam opis działania urządzenia? - zapytała, tym razem protekcjonalnie.

-Nie!

- Więc jak doszedłeś do prawdy?

- Pomógł mi przypadek. Któregoś dnia w miedzianym dzbanie wypełnionym świeżym roztworem kwasu z siarki zawiesiłem gruby srebrny pręcik. Przyszedłem w nocy i przypadkowo zetknąłem pręt z obudową. Wtedy zobaczyłem przeskok iskry i zrozumiałem, że między tymi dwoma metalami przewodzi się coś nieznanego. Zrobiłem więcej takich naczyń, potem łączyłem je drutami i stwierdziłem, że zawierają siłę. Ponowiłem próby i przekonałem się, iż urządzenie zabija. Trzydzieści dzbanów uśmierciło nawet kozła. Dlatego w Domu Życia powstrzymałem twoją rękę.

- Mów dalej, ale bądź pokorny. Nie zapominaj, że los bogów jest w rękach bogów.

- A więc później przystąpiłem do budowy urządzenia podobnego do tego na papirusie. Długo ponosiłem porażki, aż w Dendera znalazłem minerał, przez który siła przenikała tak samo jak przez metale. Jest czarny, tłusty, kruchy, brudzi ręce, można nim rysować. Co najważniejsze, długo i wolno się pali, dając ostre białe światło. Potem dowiedziałem się, że złoża tego minerału, zwanego grafitem, w dużej ilości znajdują się na krańcach Libii. Reszta była prosta. Światło powstaje

wówczas, gdy zewrze się końcówki grafitowych wałków na szczycie pochodni. Kościana rączka lusterka i gliniany uchwyt zabezpieczają przed przejściem siły w ciało człowieka. Skończył i wyraźnie był dumny ze swego odkrycia.

- Kto zna szczegóły wynalazku?

- Nikt.

- Zapamiętaj, Namethcie. Poza mną tę tajemnicę pozna tylko faraon. Pojedziesz zaraz z moją gwardią do Domu Życia. Zabierzesz całą aparaturę, szkice i notatki i przywieziesz je tutaj. Poczekaj jeszcze. Powiem ci kilka słów. Otrzymasz środki, jakich będziesz potrzebował. Cały twój ród będzie dożywotnim nadzorcą urzędnika, a ono znajdzie się pod strażą wojska. Daję ci wolną rękę w doborze współpracowników. Tajemnica tego odkrycia obejmuje ich również, a kto ją złamie - zginie. Dokonałeś rzeczy wielkiej, ale na razie nie można ogarnąć wszystkich skutków tego wynalazku. A więc idź i sprawdź, czy ta moc może być użyta jako broń. Ponadto osobiście dopilnujesz, aby odkryte przez ciebie światło oświetliło grobowiec mojego ojca.

Wieczorem Merit-Amun położyła się do łóżka, w którym od dawna czekała na nią stęskniona Mesith. Przytuliła się do dworki, ale dziś, po dniu tak pełnym wrażeń, zupełnie nie miała ochoty na seks. Jak zwykle wieczorem, opowiadały sobie o ważniejszych wydarzeniach dnia, dzieliły się zasłyszаныmi plotkami i pogłoskami. Informacje, jakie przynosiła Mesith na ogół nie były ważne, częściej zabawne, jednak dzisiejsza zwróciła uwagę Merit-Amun. Księżniczka dowiedziała się, że któraś z pałacowych kucharek ma narzeczonego, od niedawna strażnika świątyni w Om. W największej tajemnicy przekazała Mesith wiadomość o więźniu świątyni, plotkach o jego pochodzeniu i umiejętnościach oraz o niedawnym napadzie na przybytek Atuma.

Zaciekawiona tymi wiadomościami, jeszcze tej nocy wysłała gońca do Om, wzywając Gorena na wczesnoranną audiencję.

Przyjęła go w osobistych apartamentach. Kapłan ograniczył się do lakonicznej odpowiedzi, że wszystkie okoliczności związane z czasowym pobytem pewnego człowieka w Om dotyczyły

tylko fundamentalnych problemów wiary. W tej sprawie już dawno temu złożył dokładne sprawozdanie, które - czego jest pewien - dotarło do faraona. Niczego więcej dodać nie może, gdyż odpowiedź, jaką zwrotnie otrzymał, zobligowała go do zachowania ścisłej tajemnicy, związanej z racją stanu. Gdyby jednak księżniczka była zainteresowana szczegółami, chętnie udzieli jej wszelkich informacji, pod warunkiem wszakże okazania mu osobistego pisma od władcy, zwalniającego z odpowiedzialności za niedotrzymanie tajemnicy.

Ponieważ w tym, co usłyszała, nie znalazła podstaw do podejrzeń, że cokolwiek się dzieje bez wiedzy i woli ojca, pożegnała Gorena, obficie obdarowując świątynię Atuma w Om.

•**

Naczelnik policji w Memfis, Amiptah, krążył nerwowo po przedsiionku wielkiej sali audiencyjnej, czekając na przyjęcie przez Merit-Amun. Zbliżało się południe, a jego tutaj przetrzymywano od wczesnego ranka. W miarę upływu godzin denerwował się coraz mocniej i niespokojnie robił rachunek sumienia, którego bilans za każdym razem wypadł coraz gorzej. Amiptaha nie uspokajała myśl, że na jego stanowisku zawsze pozostają sprawy nie wykryte. Wyliczał je w pamięci, aż zaczęły układać się w pokaźny łańcuch oczywistych zaniedbań. Nie były zbyt poważne: jakieś mordy, kradzieże i rozboje. Odetchnął; miał też pewne atuty. Zlikwidował na przykład trzy szajki złodziei grobów i wielu pospolitych bandziorów i opryszków. Zajęło mu to co prawda sporo czasu, ale... Podbudowujące wyliczanie sukcesów przerwał wejście dworzanina.

- Chodź, Amiptahu. Księżniczka przyjmie cię w apartamentach.

Merit-Amun w jasnyniebieskiej sukni i czarnej ufryzowanej peruce siedziała na wysokim krześle, ozdobionym głowami sępa i kobry. Wydawała się drobna, krucha i mała. Padł przed nią na twarz. Widział jej wąskie stopy w cienkich skórzanych sandałkach, których paseczki pokryto złotymi łuskami imitującymi skórę węża. Za tronem zauważył nie uprzątnięty gruz. Pomieszczenie wypełniał zapach świeżej zaprawy wapiennej.

Z trudem hamował chęć kichnięcia, spowodowaną kurzem unoszącym się nad posadzką.

Księżniczka dyktowała *coś* sekretarzowi. Słyszał jej wysoki głos, gdy robiąc krótkie przerwy wolno wypowiedziała zdania, które zapamiętał. Należało to do jego zawodu.

- A więc pisarz hieroglifów ma nad tym tronem nakreślić słowa naszego pana, faraona Ramzesa II, wypowiedziane do armii w przededniu ostatniej bitwy z Hetytami: „Żołnierze. Przed wami ziemia wroga. Nie my stworzyliśmy ten kraj, nie myśmy go zaludnili. Oni, obcy, uczynili tę glebę sobie poddaną. Ale teraz jesteśmy tutaj my. To prawda, że na wojnie nie ma nic honorowego, ale zmuszeni zostaliśmy do przyjścia na tę ziemię i teraz będziemy wroga zabijać, to nasz jedyny cel. Wszystko, co zrobicie z ludem tej ziemi, uczynicie dla dobra Egiptu. Takie jest podstawowe prawo wojny, wieczne i niezmienne, bowiem karty historii zapisują jedynie zwycięzcy”.

Merit-Amun skończyła. Poleciała oddalić się sekretarzowi i rzekła:

- Wstań, Amiptahu, i podejdź bliżej.

Spojrzała na niego bystro i powiedziała czystym, dźwięcznym głosem:

- Nie widziałam cię dawno. Co słyszeć w mieście?

- Czcigodna córko faraona, pozwól, że najpierw...

Bezceremonialnie mu przerwała:

- Daruj sobie tytuły i nie wymieniaj teraz bogów. Nie urazisz nikogo, wyliczając ich wychodząc. Pytałam, co słyszeć w mieście.

- Zwyczajne sprawy i normalna policyjna praca. Nic nadzwyczajnego poza tym, że udało się nam wyłapać tych, co bezczęścili groby i je okradali.

- Doskonale, ale nie to ciekawi mnie tym razem. Władzę interesują nastroje ludzi, o czym mówią najczęściej i najchętniej. Czy moi poddani są zadowoleni z życia, czy częściej słyszeć płacz czy śmiech, czy ktoś narzeka lub się złości i z jakich powodów? Wiesz, takie zupełnie zwykłe rzeczy. No więc, o czym ostatnio mówi się najczęściej?

- O zwycięskiej wojnie faraona.

- I o czym jeszcze?

- No, o tym, kiedy król wróci i czy zdąży na doroczne uroczystości ku czci Amona-Ra.

- Chcesz powiedzieć, że to wszystko?

- Reszta to zwykle, codzienne sprawy. Nie chciałbym nimi zajmować czasu. Była nieudana próba włamania do świątyni w Om, napastnicy zostali zabici. Tu i tam ktoś kogoś okradnie lub zabije.

Uśmiechnęła się przekornie i spod czarnych gęstych brwi posłała mu rozbawione spojrzenie.

- Amiptahu, czy sądzisz, że uwierzę, iż tylko takie wieści ty, szef jawnej i tajnej policji, masz do przekazania córce faraona, że innych informacji policja w Memfis nie posiada? Przecież to, o czym mi mówisz, wie każda pałacowa kucharka. No więc?

- Pani, przykro mi, ale jednocześnie cieszę się z tego. W mieście nie dzieje się nic godnego uwagi. Zwykle sprawy: kradzieże, bójki, oszustwa, uchylanie się od płacenia poborcom, ale bardzo rzadkie. Naprawdę nic ważnego.

- Powiedz mi, o czym mówią kupcy?

- O handlu, o zakładaniu składów kupieckich, o tym, że zboże jest drogie. Narzekają tak samo jak wtedy, kiedy było tanie.

- Amiptahu, rozleniwiełeś się i, co gorsze, rozleniwili się też twoi pracownicy. Faraon i skarb państwa tajnym służbom płacą po to, aby wiedziały, o czym ludzie myślą, śnią i marzą, czemu i komu w myślach zlorzeczą. Chcę wiedzieć wszystko, co mówi się o moim ojcu, jakie opowieści krążą po pałacu i na dworze, jakie intrygi knują ludzie zarówno nasi, jak i obcy. Wśród nich są wrogowie państwa. Dysponujesz potężnym aparatem. Powinieneś szybko go uruchomić, bo widocznie gnuśnieje w beczynności. Jeśli w ciągu dwóch tygodni nie otrzymam szczegółowego raportu zawierającego informacje, o których mówiłam, to na placu przed pałacem wszyscy policjanci łącznie z tobą otrzymają po trzydzieści batów. A ty dodatkowo pójdziesz na emeryturę. Czy zrozumiałeś?

- Tak, jak najdokładniej.

- Zapamiętaj więc, że nie interesuje mnie wiadomość, czy Dallatul ukradł kurę Tobiemu, czy było odwrotnie. Dochodzą

do mnie dziwne pogłoski o złym zdrowiu mojego ojca. Masz znaleźć tego ktosia, który to wymyślił.

- Wykonam z radością twoje rozkazy. Stołecznej policji także doniesiono o rzekomej chorobie naszego umiłowanego władcy. Starannie badamy tę sprawę, podobnie jak wszystkie, gdzie zachodzi podejrzenie naruszenia bezpieczeństwa państwa czy dobrego imienia władcy. Trwają wyjaśniające działania operacyjne. Nie chciałem nie sprawdzonymi pogłoskami lub zwykłymi plotkami budzić twoich obaw i zabierać cenny czas

- Mów więc do licha.

- Przedwczoraj otrzymałem list od mojego byłego dowódcy Dżawera. Mam to pismo ze sobą.

- Daj mi je.

Szybko rozwinęła dość gruby rulon papirusu i przebiegła połowę jego treści. W pewnym momencie podniosła wzrok na Amiptaha i zachnęła się niecierpiwie.

- Ależ to zupełna bzdura. Nikt nie zamierza pozbawić wielkiego wodza dowództwa armii. Przecież nie ma w Egipcie człowieka o większych wojennych umiejętnościach. To niczemne insynuacje. Pluje się więc nawet na najwierniejszych synów ojczyzny.

Na chwilę zamilkła. Pod wpływem oburzenia na jej pociągłej, śniadooliwkowej twarzy pojawiły się ciemniejsze rumieńce. Ponownie pochyliła się nad tekstem. Nagle pobladła. Podniosła się z krzesła i trzymając list w wyciągniętej ręce oskarżycielsko wymierzyła ją w Amiptaha.

- Ty durniu! Twierdzisz, że nic się nie dzieje? Że ludzie mówią jedynie o zwycięskiej wojnie faraona? A co znaczą napisane tu słowa Dżawera o prorocत्वach? O znakach nieegipskich bogów? O emisariuszach? To dla ciebie nic nie znaczy? Czy bogowie pozbawili cię resztek rozumu? Ty umysłowy eunuch...

Szef policji przerażony padł na twarz.

- Pani...

- Milcz kretynie i słuchaj. Dżawer zna się na ludziach - Pisze, byś mnie o wszystkim informował. Wielki wódz ufa, że ty, Amiptahu, swym wielbłądzim umysłem ogarniesz wagę informacji, jakie przysłał, i ujmiesz zbrodniarzy szerzących zamęt

i anarchię. Nie wiem, czy się nie myli, ale skoro ma do ciebie zaufanie wielki wódz, zapomnę i ja o dziecinnych bredniach, którymi raczyłeś mnie na początku rozmowy. Czy rozumiesz, o czym Dżawer pisze?

- Wielki wódz podejrzewa...

- Błźnie, on nie podejrzewa, on jest pewien, że ktoś przygotowuje zamach stanu. Pisze wyraźnie o zagrożeniu władzy i państwa. Czy dotarło to do ciebie?

Naczelnik policji coraz bardziej rozplaszczal się na posadzce, jakby pragnął się w nią wtopić. Nie próbował już wydobyć z siebie nawet jednego słowa. Merit-Amun ochłoneła. Rozumiała sytuację Amiptaha. Nie był durniem. Skoro pokazał list, nie był też zdrajcą. Odetchnęła głęboko i spokojnie powiedziała:

- Wstań. Masz się u mnie meldować raz w tygodniu, wszystkie relacje złożysz ustnie. Zdyscyplinuj swoje służby. Jestem z ciebie niezadowolona, szef policji to ma być ktoś z inwencją, a nie kukła. Oczekuję sukcesów i to szybko. Jeśli ich nie będzie, to z tobą koniec.

ROZDZIAŁ 8

Po zakończeniu inspekcji robót w Nubii wezyr Irinefer powrócił do Syene, miasta przy pierwszej katarakcie Nilu. Wspominał niedawną podróż, a szczególnie własne zdumienie na widok przepychu świątyń w Abu-Simbel. Rzeźbiarze kończyli wykonywanie czterech gigantycznych figur panującego władcy, a malarze freski w skalnym sanktuarium, gdzie na wspólnym tronie zasiadali Ptah, Ramzes II, Amon i Hermakis. Obiekt zaprojektowano tak przemyślnie, że dwukrotnie w czasie roku słońce przenikało aż do najdalszej części świątyni, oświetlając ołtarz i stopy bóstw. Jedynie Ptah, pradawny bóg stwórca, stale pozostawał poza zasięgiem światła.

Irinefer oglądał ten cud i był świadkiem, jak świetliste promienie wolno pełzły po podłodze, rozjaśniając ciemne wnętrza, docierając do bogów, następnie bez pośpiechu wracały do tarczy słonecznej, aby się z nią zjednoczyć. Dzieło, które zobaczył, wzbudziło w nim uczucie zazdrości. Postanowił, że zrobi wszystko, aby przerwać realizację tego projektu. W przeciwnym razie cztery kolosalne posągi Ramzesa po kres dziejów witać będą wszystkie krople wody z przepływającego u ich stóp Nilu i każdą ludzką istotę podróżującą świętą rzeką Egiptu.

- Panie, oprzytomnij! Co z tobą? Jesteś chory? - Zaufany pokojowy potrząsał ramieniem Irinefera. - Boję się, że coś złego się dzieje z tobą. Pobiegnę po medyka.

- Nie trzeba.

- Wezyrze, ale twoje łóżko jest zupełnie mokre od potu!

- To nic. Śniły mi się moje myśli, tego jednak nie pojmiesz.

Irinefer był zmęczony i wyczerpany długą podróżą, a przed sobą miał jeszcze przewodniczenie sądom w świątyni Amona. Czekali na niego sędziowie, których był zwierzchnikiem, świadkowie, oskarżeni, policja i pokrzywdzeni. Cały tłum ludzi z błahymi sprawami, zacierzwieniem, chęcią zemsty, nadzieją uwolnienia od kary. W imieniu faraona wymierzał sprawiedliwość. Powierzono mu, a właściwie zrzucono na jego barki sprawy banalne i poważne i, co najgorsze, nader liczne. Mniej pracy miał jedynie wówczas, gdy bóg zgłaszał chęć osobistego uczestniczenia w pracach sądowych. Czasami Amon za pośrednictwem kapłana wyrażał taki zamiar, wówczas praca wezryra ograniczała się do obserwacji. Niestety, bóg rzadko był zainteresowany przyziemnymi i pospolitymi przewinieniami. Wolał decydować o wyborze arcykapłanów, mianowaniu dostojników, czemu towarzyszyła widowiskowa ceremonia. Wszyscy mogli zobaczyć, jak bóg, a właściwie jego drewniany lub kamienny posąg, potrafi poruszać głowę, otwierać usta, wykonywać ruchy kończynami. Przez wieki nauczono naród bezbłędnie odgadywania boskich znaków aprobaty lub negacji. Irinefer wiedział, że wczoraj prorok świątynny obwieścił, iż Amon chce uczestniczyć w sądzie, że, co więcej, będzie mówił, wskazując na prawdę i fałsz. Była to dobra zapowiedź. W takiej sytuacji on, Irinefer, ograniczył się do milczącej obecności, co i tak nada temu wydarzeniu odpowiednio wysoką rangę. Zdumiewające, że ludzie tak mocno wierzą w to, co widzą.

Myślał o tym trafnym spostrzeżeniu siedząc na podwyższeniu świątynnego podestu. Miejsce obok zajmował naczelnik nomu, nieco z tyłu siedziało dwóch pod czaszych i strażnik skarbu. Za nimi stało sześciu ludzi noszących parasole, dwóch z wachlarzami o długich rękojeściach, dalej pisarze, heroldzi, służący. Przez otwarte drzwi było widać zamknięty najświętszy przybytek.

Rozległ się dźwięk trąb i rogów. Zebrani padli na ziemię. Kapłan złamał glinianą pieczęć na drzwiach sanktuarium, odsunął rygle i otworzył oba skrzydła, ukazując wiernym boski wizerunek. Okadził Amona, głośno recytując modły. Rozległy się hymny śpiewane przez chór. Pieśń sławiła boga i szczęście, jakie przynosi. Posąg starannie umyto, namaszczone olejkami,

ubrano w ceremonialne szaty. Kapłan zjitygł w pokornym uwielbieniu. Później wolno cofnął się na środek świątynnego placu, gdzie obrócił się ku zebrany i wykrzyknął:

- Amon będzie sądził!

Słysząc było szum szeptów i cichych rozmów, które umilkły, gdy trzydziestu kapłanów wyprowadziło na dziedziniec lektykę z posągami boga. Dalej sprawy potoczyły się zwykłym trybem. Przedstawiano zarzuty, przesłuchiowano świadków i obwinionych, przemawiali oskarżyciele. Po przeprowadzeniu postępowania dowodowego kapłan zwracał się do Amona. Ten kiwał głową w prawo lub w dół, co oznaczało uniewinnienie albo „tak”, lub w lewo bądź w górę, co rozumiano jako „nie” i uznanie oskarżonego winnym. Po tak wydanym werdykcie zadaniem wezyra pozostawało określenie rodzaju i wymiaru kary lub ogłoszenie uwolnienia z zarzutów. Najsurowszy wyrok wymierzył złodziejom grobów: nakazał ich żywcem zamurować.

Irinefer w pewnym momencie dostrzegł kapłana usiłującego przez tłum zbliżyć się do podestu, na którym siedział. Zauważył, iż człowiek ten zachowywał się nerwowo. W jego postaci dało się zauważyć z trudem hamowane napięcie. Wpatrywał się w Irinefera z takim natężeniem, że wzbudził niepokój dostojnika, który za pośrednictwem herolda spytał, czy ktoś ma jeszcze jakąś sprawę do rozpoznania. Kapłan podniósł rękę. Przyprawiono go bliżej i wówczas Irinefer zauważył na jego szacie znak Bastet. Poleciał heroldowi ogłosić, że po południu w urzędzie wezyra jako pierwszego wysłucha tego, który zgłosił taką potrzebę.

W pałacu Irinefer spożył posiłek i przez jakiś czas odpoczywał. Następnie przystąpił do pracy. Zajął miejsce na wysokim wygodnym krześle, a w jego pobliżu stanął niewolnik o imieniu Dramun. Ogromny, niesłychanie sprawny Nubijczyk, tak silny, że uderzeniem pięści zabijał byka. Głównym jego atutem, wprost bezcennym skarbem, była całkowita niemota. Przywiązał się do swego pana jak pies i nie odstępował, go na krok. Sekretarz wprowadził petenta, który zbliżył się, stanął o trzy kroki od wezyra i milczał.

Irinefer spojrział na niego, po czym powiedział:

- Podejdź bliżej! - Na jednej z rąk petenta zobaczył znak Atona. - Czy twoja sprawa jest poufna?

Kapłan skinął głową. Irinefer zwrócił się do straży:

- Wyjdźcie na dziedziniec i zamknijcie drzwi. Dramun wystarczy.

Chwilę odczekał, a gdy zostali sami, rzekł:

- Teraz mów! On - wskazał ręką Nubijczyka - jest niemy.

- Jestem Putyfar ze świątyni w Om. Arcykapłan Sansep nie żyje. Miały też miejsce inne wydarzenia, mogą być niezwykle groźne dla sprzysiężenia i muszę...

- Nic nie musisz. Dramunie, wyprowadź go i przyślij straż!

Nubijczyk chwycił kapłana za kark i omalże przeniósł przez całą długość sali audiencyjnej. Wrócił z przelożonym wartowników.

- Człowieka, który był tu przed chwilą - powiedział wezyr - nakazuję uwięzić i odizolować... Naczelnik więzienia odpowiada za niego głową.

Zajście z Putyfarem zdenerwowało Irinefer a i zaniepokoiło. Wstał z ozdobnego krzesła i kilkakrotnie przemierzył obszerną komnatę. Był pewien, że imienia Putyfar nie widział na listach sprzysiężonych. Zastanawiał się, kim jest ten kapłan? Kto go przysłał? Miał znak bogini Bastet i tatuaż na ręce. Znaki te wskazywały, że może być członkiem spisku, ale jeśli tak było, musiał wiedzieć, iż każdy posłaniec miał obowiązek informację przekazać jednym zdaniem. Ten posłużył się aż trzema. Pomyłka? Nerwy? Zdrada? Może prowokacja? Czyżby na trop sprzysiężenia wpadła policja, służby specjalne faraona lub agenci Merit-Amun? Wszystko było możliwe. Sieci spisku sięgały bardzo daleko i ogarniały ogromną armię ludzi. Wśród nich, mimo starannej selekcji i do maksimum posuniętej ostrożności, mogli znaleźć się zdrajcy, nasłani szpiedzy i prowokatorzy. Ale kto ujawnił Putyfarowi, że wezyr ma ze sprzysiężeniem cokolwiek wspólnego?

Irinefer krążył po komnacie i stopniowo się uspokajał. Doszedł do wniosku, że posłaniec popełnił omyłkę albo zapomniał o zasadzie jednozdaniowego przekazywania wiadomości. Dlatego trzeba będzie przesłuchać go jeszcze raz, osobiście,

przecież prowadzenie śledztwa należy do obowiązków wezyra, a więc osobisty kontakt z uwięzionym nie może budzić niczyich podejrzeń.

Mimo że od chwili uwięzienia Putyfara minęło kilka dni, w mieście nie wydarzyło się nic szczególnego. Wezyr zakładał, że jeśli kapłan jest prowokatorem, jego mocodawcy podejmą próbę uwolnienia. Nic podobnego nie nastąpiło. Chcąc mieć całkowitą pewność, postanowił przesłuchanie więźnia odwlec do czasu sprawdzenia, czy przekazana przez Putyfara informacja o śmierci Sansepa jest prawdziwa.

Wezwał sekretarza i polecił przynieść sprawozdanie dotyczące realizacji ostatniej raty rocznej donacji dla świątyni w Om. Okazało się, że nie została dostarczona. Polecił ją doręczyć, a jako osobisty dar postanowił dołączyć kopię bardzo starożytnego papirusu, zawierającego imienny spis faraonów wywodzących się z dynastii boskich, półboskich i ludzkich. Przy okazji dokładnie obejrzał dokument i zdumiał się, że historia jego ojczyzny liczy ponad dwadzieścia trzy tysiące lat. Z zaskoczeniem stwierdził, że same tylko dynastie boskie władały Egiptem dwanaście tysięcy lat. Po nich przez prawie dziesięć tysięcy lat rządziły dynastie półbogów. Od czasów faraona Narmera skryba wyliczał ponad dwadzieścia dynastii śmiertelnych, panujących w okresie ostatnich tysiąca ośmiuset lat. Niesłychanie ciekawy dokument - skonstatował z zadumą. Jeszcze raz przeczytał początek: Ra, Anubis, Tot, Ptah.

Już miał złożyć trzymany w ręku papirus, gdy zauważył, że na końcu tekstu znajduje się dopisek. Skryba, który sporządzał zapis, podawał czas i miejsce wykonania kopii. Dopisek brzmiał następująco: *Przepisałem ją w miejscowości Sakkara za czasów faraona Dżesera z polecenia wezyra Imhotepa, mojego pana. On (wezyr, faraon?) wręczył mi ten dokument, znaleziony w mieście An (Om?). Kazał sporządzić kopię, gdyż starość niszczyła pismo oryginału. Wielu wyrazów nie mogłem odczytać. Co przepisuję, jest dokładne. Oddzielam cudze od własnego. Świat, który leży na (dole?) został uporządkowany i wypełniony treścią przez to co jest na górze, to co jest na dole, nie ma mocy, by (uporządkować?) świat na górze. Mniejsze tajemnice muszą ustąpić*

przed (większymi?), a porządek rzeczy na (górze?) jest potężniejszy niż porządek rzeczy na dole. Sep Tepi (czas bogów?) znaczy dokładnie „Pierwszy Raz”, a obejmuje czasy od pojawienia się (Wielkiego Boga?) w wodach (praoceanu?) aż do objęcia tronu przez Horsa. Wszystko (co dobre i pożyteczne?) zostało ujęte w czasach Pierwszego Razu, zanim powstał gniew, krzyk, zamęt i wrzawa. Nie było (śmierci?), choroby ani (nieszczęść?). Wtedy Ptah (przyleciał?) na Ziemię. On był tym, którego (imię?) oznacza „ten co rozwinął”. Po (potopie?) wydobył Egipt z wody, stworzył na Nilu kanały i groble. Dlatego zawsze będzie przedstawiany jako bóg o zielonej twarzy, trzymający w ręku łaskę mierniczą. Kiedy skończył (zadania?), odleciał do gwiazd. Jego synem był Ra, pierwszy władca (kraju?) wydobytego spod wody, nazwanego Al-Chem, (Egipt?). To on wybudował (labirynt?), a w nim (schron dla rydwanu?) o nazwie Benben. (Rydwan?) służył Ra i Ptahowi, aby z (gwiazd?) przybywać na Ziemię. Z nimi (przylecieli?) giganci nazywający się (Nateru?) nadzorczy. Oni to dali nam ogień, język, nazwy oraz zakazali ludziom wzajemnego pożerania. Potem nauczyli (metod?) wydobywania kopaliny, sporządzania narzędzi, uprawy ziemi i produkcji wina. Kiedy ludzie wszystko pojęli oraz przestali się (buntować?) Tot przekazał im (sztukę?) pisma. Wtedy Tot i Nateru odlecieli do gwiazd ogromnym jak miasto powietrznym rydwanem, innym niż ten, jakiego używał (Ra?). Rozlegał się z niego (huk?, grzmot?) i wylatywał (ogień?). Przedtem wybudowali (piramidy?) i w nich umieścili wiedzę dla (przyszłych pokoleń?) Część informacji pozostawili (w Edfu?) w (bibliotece?) pod opieką (strażnika?).

Irinefer przerwał czytanie tekstu, którego kopia była młodszą siostrą pradawnych kopii, a ich powstanie i autor ginęli w mrokach historii. Zamyślił się. Treść papirusu jednoznacznie mówiła, że jakieś istoty przyleciały z nieba, nauczyły ludzi wszystkiego i po wykonaniu zadania wróciły do siebie. Było tak, jakby w odległej, zamierzchłej przeszłości Egiptu nagle zapalono jaskrawy płomień oświetlający stworzenia, które staraniem bogów zmieniono później w ludzi. Światło to przyniesiono na Ziemię z gwiazd, a ci, co je przywieźli, nie byli ograniczeni czasem, miejscem i materią. Byli czymś w rodzaju wiekowych starców, którzy część swej mądrości zaszczepili

człowieczym niemowlętom. Rzucili ziarno mądrości w dziewiczą glebę, a on, wielki wezyr Egiptu, jest kolejnym wcieleniem tego zamysłu. Po zakończeniu nauk odlecieli, Ziemia zaś ma się rozwijać według uniwersalnych praw. Czy te pradawne istoty nadal ingerują w ziemskie życie? A może zetknięcie tego papirusu z nim, Irineferem, jest etapem jakiejś zaplanowanej misji? Czy człowiek samodzielnie wykonał skok z epoki kamienia do epoki metalu? Czy sam z siebie wykrzesał wiedzę, która siłą mięśni zastępuje energią czerpaną z wiatru i wody? Może nadal przybysze z gwiazd podpowiadają z ukrycia ludziom, jak mają powiększać swoje możliwości? Irinefera przerażała myśl, że ci nauczyciele mogą znać jego myśli, wpływać na czyny, wykorzystywać jako narzędzie do pracy w taki sam sposób, jak czyni on sam używając łopaty, motyki? A może jest to ich posłanie kierowane w przyszłość i swoisty test na inteligencję? Czy nie zachodzi taka możliwość, że właśnie on, Irinefer, został wybrany i otrzymał łaskę objawienia? Jeszcze raz przeczytał dopisek. Przecież rozwój ludzkości winien przebiegać od form małych do dużych, od ciemności do światła - a jest odwrotnie. Jaskrawy rozbłysk geniuszu z przeszłości zamiast w miarę biegu dziejów potęgować się, jakby gaś i w znanej historii się zmniejszał. Kanały... Kto je budował? Piramidy... Przecież nie Cheops, Chefren czy Mekerinos, którzy je tylko wyremontowali, a tradycja przypisała im fałszywą rolę budowniczych. A więc autorami tych dzieł są Ra i inni. Z jakich powodów utajniono informację, która mówiła o twórcach tych kolosów? Papirus jasno głosił, że we wnętrzu piramid „oni” umieścili posiadaną wiedzę. Ale jak otworzyć zamek tej kryjówki, zatrzęsnięty milionami ogromnych głazów? Rozebranie gigantycznych obiektów trwałoby dziesięciolecia. Koszty takich prac zniszczyłyby państwo. Kto miał moc, technikę, środki, aby stworzyć tak ogromne monumenty, jeśli teraz - gdy ludzi jest mnóstwo i są doskonalsze narzędzia - nie można podobnej inwestycji zrealizować?

Irinefer jeszcze raz przejrzał tekst, gdzie skryba pisał o Tocie, Ptahu, Anubisie i Ra, wyrażając dla nich szacunek i uwielbienie należne (co podkreślił) rodzicom ludzi. W zupełnie inny sposób odnosił się do pozostałych przybyszy, określonych mia-

nem półbogów, którzy do Egiptu przybyli znacznie później, informując, że Ozyrys, Set, Izyda, Naftyda w niewielkim stopniu przypominali swoich poprzedników i w odróżnieniu od nich wykazywali mieszaninę cech boskich oraz ludzkich, chociażby takich jak pijaństwo, zazdrość, kradzież, intryganctwo, a nawet skłonność do mordów i rozpusty. Niesamowite... Ci „oni” mieli moc wznoszenia się do gwiazd, a zostawili po sobie siłę wystarczającą zaledwie do rzucenia kamieniem. Do końca papirusu zostało kilka wierszy. Ich treść zdumiała czytającego: *A teraz w imieniu Tota i wybranego przezeń osobiście wysłańca Imhotepa, który kazał niniejsze pismo wykonać, przekażę treść największej tajem...*

Czyli był lub jest dalszy ciąg tego przesłania. Zastanowił się nad tym. Jeszcze raz odczytał ostatnie zdanie. *Wybranego przezeń osobiście wysłańca...* Czy znaczy to, że „oni” poprzez wybranych przez siebie ludzi w sposób niezauważalny ingerują w ziemską cywilizację, tworząc postęp?

Irinefer wiele wiedział o Imhotepie - patronie pisarzy, medyków, genialnym architekcie. Przypomniał sobie zdumiewającą treść inskrypcji, jaką ongiś przeczytał pod stopami posągu faraona Dżesera. Tekst głosił: *Kazał mi ją sporządzić wielki wezyr Imhotep, syn ludzki, pierwszy po królu, nadzorca robót Górnego i Dolnego Egiptu, przełożony miasta piramid w Sakkara, wielki kapłan Om, główny spirytualista i naczelny pisarz Księgi Bożej.* Wówczas człowiek - teraz bóg. Otacza go wieczna pamięć i modły świątyni. Zyskał nieśmiertelność, co dowodzi, że mogą ją osiągnąć wyłącznie ludzie wybrani przez gwiezdnych bogów.

O nie! Przecież takich informacji nie wolno ujawniać. Nie wolno dlatego, że mogłyby one zniszczyć religię - podstawę jedności narodu, jego ufności i pokornego poddania się wyrokom boskim, a więc także prawom ludzkim opartym na kanonicznych zasadach. Zwyczajni interpretatorzy tekstu pradawnej kopii mogliby pomyśleć, że istotom boskim może w przyszłości dorównać człowiek. Taka myśl wszczepiona prostaczkom spowodowałaby zniesienie kultów, zrównanie stanów, odejście od religii, a w końcu bunt i anarchię trwające tak długo, aż powstałaby nowa forma stosunków między ludź-

mi. Z kolei ona trwałaby do czasu, aż narodziłaby się następna anarchia, i tak w nieskończoność.

Przed jego oczyma na moment pojawiła się twarz widma. Czy zaistniała autonomicznie, czy mu ją wskazano? Sam ją odkrył, czy doznał objawienia? Bez najmniejszego wahania sięgnął po nóż i odciął całą partię tekstu. Pozostawił dla uczonych jedynie część, która odnosiła się do dynastii władców śmiertelnych. Uspokoił się. Czy wybrali go „oni” czy własny umysł, nie miało znaczenia. Dogłębnie pojął, że istotną historycznie wartość ma jedynie panowanie nad ludźmi.

Wtedy otrzymał z niezależnego źródła wiadomość, że Sansep rzeczywiście nie żyje.

W kilka dni później postanowił odwiedzić więźnia. Ciemną celę Dramun oświetlił łuczywem. Kapłan zerwał się na nogi.

- Panie, dlaczego mnie uwięziono? Jestem niewinny. Sansep rozkazał, bym przekazał ci wiadomość.

- Jaką wiadomość i dlaczego mnie?

- Wielki wezyrze. Sprawa, o której mówię, zaczęła się cztery miesiące temu. Strażnicy miasta zostali zawiadomieni, że we wsi pojawił się dziwny człowiek o białej twarzy.

Irinefer spokojnie wysłuchał opowieści o tajemniczym przybyszu. Nie dał po sobie poznać, jakie wrażenie wywarły na nim wiadomości znacznie odbiegające od okrojonych informacji zawarych w liście Sansepa. Spokój Irinefera udzielił się kapłanowi. Zamilkł na chwilę.

- Mów dalej, słucham - rzekł wezyr.

- Sansepowi zawdzięczałem wszystko, kochałem go. Miał do mnie pełne zaufanie. Kilka lat temu pierwszy raz posłał mnie do zakonspirowanego człowieka w Memfis. Później zanośiłem mu różne pisma, a czasami polecenia ustne. Nie znam jego imienia. Domyślam się, że zawiadywał tajną służbą arcykapłana, a ja byłem jedynie łącznikiem. Mówię to teraz dlatego, że rola tego człowieka okaże się bardzo ważna. Panie! Jestem spragniony, czy mogę się napić?

Irinefer skinął głową. Po chwili Putyfar podjął swoją opowieść:

- Nieoczekiwanie ojciec mój, bo tak w myślach nazywałem

Sansepa, dostał paraliżu. Byłem u niego w momencie, jak zaczynał tracić mowę. Ostatnimi słowy polecił mi, abym przy nadarzającej się okazji porwał tego przybysza, a następnie ukrył w dobrze strzeżonym miejscu, potem odszukał ciebie i opowiedział, co wiem. Mówił, że obcy jest kimś bardzo ważnym dla Egiptu i posiada wiedzę, jakiej nie będziemy mieli za tysiąc lat, sądził też, że stwarza dla planów sprzysiężenia poważne zagrożenie czymś nieznanym i potężnym. Powiedział, że ty, wezryrze, docenisz wagę tej informacji- Później już tylko bełkotał. Pobiegłem po medyka. Gdy wróciłem, arcykapłan już nie żył, a w jego celi zastałem dziwnie się zachowującego Gorena. Sansep mu nie ufał, podejrzewał, że służy obcemu bogu albo obcemu państwu, ale nie znalazł sposobu, aby się go pozbyć. Goren umieścił tego obcego w miejscu, z którego porwanie było bardzo utrudnione, ale przysiągłem sobie, że wykonam powierzone mi zadanie. Skontaktowałem się więc z człowiekiem z Memfis i zaplanowaliśmy porwanie. W nocy otworzyłem bramę świątyni, lecz podjęta przez nas akcja zakończyła się niepowodzeniem. Mimo tego człowiek z Memfis był zadowolony; zakładał, że zamach na przybysza zmusi Gorena do przetransportowania więźnia w inne miejsce. Otoczył świątynię swoimi ludźmi, wystawił patrole na kanałach i pustyni. Okazało się, że miał rację. Ucieczkę obcego z Om zorganizowano nocą, ale w ostatniej chwili udało mi się do konwojującej eskorty dołączyć jednego z moich ludzi. Jakimś sposobem ścigany przez nas człowiek przedarł się przez linię posterunków strzegących świątyni. Zakładaliśmy, że w takim wypadku będzie się kierował do brata Gorena i nie pomyliliśmy się. Zoran, kapłan Sachmet, przewiózł go do świątyni rzecznej, która jest jedną z tajnych baz faraonskich. Człowiek z Memfis wraz ze swoimi ludźmi opanował tę świątynię i wysłał do mnie informację o złapaniu i uwięzieniu poszukiwanej przez nas osoby. W tym momencie uznałem, że do wypełnienia zadania do końca pozostało mi jedynie odszukać ciebie. Teraz chyba rozumiesz, wezryrze, iż mojej opowieści nie można było zawrzeć w jednym zdaniu.

Kapłan skończył i z nadzieją patrzył na Irinefera.

- Nie wierzę ani jednemu twojemu słowu - cicho powie-

dział wezyr. - Jesteś prowokatorem. Gdyby świątobliwy Sansep chciał mnie o czymkolwiek zawiadomić, mógł tego dokonać jawnie, bez tej niepotrzebnej, śmiesznej konspiracji. Zamiast raportu czy zwykłego zawiadomienia zgłaszasz się ty, mówisz o jakichś tajnych służbach, o których wie arcykapłan a które są nieznane wezyrowi. Jesteś szalony albo dopuszczasz się prowokacji wobec najwyższych urzędników w państwie.

Irinefer skończył i z uwagą patrzył na Putyfara. Kapłan zwiesił głowę i milczał, a po chwili zdesperowanym głosem powiedział:

- Wezyrze, ja jestem zwykłym człowiekiem, ziarnkiem maku, które los wrzucił między kręcące się żarna władzy. Prawdę moich słów może potwierdzić jedynie ujęcie przybysza lub człowieka z Memfis.

- To wszystko? - spytał Irinefer.

- Nic więcej nie mam do dodania, zważ sam, że gdyby wykonania tej misji nie powierzono mnie, przybysz bez jakiegokolwiek przeszkód zostałby przekazany faraonowi. Z nieznanych mi względów Sansep uważał, że mogłoby to zniszczyć nasze sprzysiężenie.

- A więc przemyśl całą sprawę jeszcze raz.

Wyszedł, a Dramun zatrzasnął drewnianą kratę.

Przez wiele dni Irinefer rozważał wszystko, o czym się dowiedział. Tydzień później podjął decyzję. Udał się ponownie do więzienia i wezwał naczelnika, żądając wykazu strażników. Spytał też o skazanych rabusiów grobów.

- Wezyrze, są jeszcze w celach, gdyż murarze dopiero kończą budowę przedsionka celi śmierci - wyjaśnił naczelnik.

- Jakie prace jeszcze pozostały do wykonania?

- Metalową kratę już ustawiono i wpuszczono w głązy. Jest w niej szczelina, przez nią wepchnie się skazanych do środka. Potem otwór wejściowy owija się wielokrotnie łańcuchem, a związane jego ogniwa zostają zamurowane tak, aby końce były widoczne na zewnątrz i wystawały poza kamienną ścianę. Przed celą umieszcza się straż, która pilnuje więźniów oraz ma baczenie na grupującą się wokół gawiedź i rodziny.

- Rozumiem więc, że skazani niebawem znajdą się w miejscu kaźni.

- Co do tego nie ma wątpliwości, wszyscy wiedzą, że wyrok bogów dał im najstraszniejszą ze śmierci. Będą ginęli w miarę zużywania powietrza. Przed zamurowaniem dostaną nóż, a ten będzie przechodził z rąk do rąk i zabijał. Im szybciej umrze jeden, tym dłużej będą żyli pozostali. Setki ludzi będą przychodzić, aby słuchać brzęku ogniwi, którymi więźniowie potrząsają, jeśli jeszcze żyją. Tydzień później, gdy łańcuch przestaje drgać, rozbija się mur, wyciąga kratę, a cuchnące ciała wyrzuca do rzeki jako żer dla krokodyli. To straszliwa kara. Lepiej być ściętym - zakończył ponuro naczelnik.

- Dramunie, prowadź mnie do więzienia - rozkazał wezyr.

Tą samą drogą co poprzednio podążyli do celi. Idąc Irinefer powiedział:

- Gdy dam ci wiadomy znak, wiesz, co masz zrobić?

Nubijczyk kiwnął głową.

Putyfar, oślepiiony światłem, przetarł oczy.

- Co ci wiadomo o sprzysiężeniu, kto jest na jego czele? - spytał wezyr.

- Panie, powiedziałem wszystko, co wiem.

Irinefer wykonał znaczący ruch ręką i potężne uderzenie wbiło Putyfara w ścianę. Murzyn z głupkowatym uśmiechem patrzył, jak z uszu i nosa kapłana wypływa krew, a dookoła oczu tworzą się czarne ogniska. Przez otwarte powieki widać było białka wywróconych gałek, charczący oddech przerodził się w rżenie.

Wrócili do pokoju naczelnika. Irinefer usiadł i powiedział:

- Uwięziony tutaj człowiek przed chwilą dowiedział się, że został przeze mnie skazany na śmierć. Z rozpaczy uderzył głową o mur. Dziś jeszcze umieścisz go w celi śmierci.

Wychodząc wezyr zabrał ze sobą wykaz strażników. Następnego dnia od kancelistów otrzymał wiadomość, że więźniów zamurowano. Wezwał dowódcę straży pałacowej i rozkazał, aby naczelnika więzienia i jego podwładnych przewieźć pod Elefantynę do Nubijczyków. Poprzez zaufanego posłańca wysłał pismo do ich wodza zawierające prośbę o „gorące” przyjęcie przysłanych i poczęstowanie wszystkich „narodową specjalnością z krainy Punt”. Do Memfis wysłał kuriera z poleceniem odnalezienia Tanemera oraz jak najszybszego przetransporto-

wania więźnia ze świątyni rzecznej Sachmet do pałacu wezyra w Tebach.

W kilka tygodni później rybacy z Sehelu koło Elefantyny zobaczyli wirujące w wodzie kawałki mięsa, wokół których uwijały się mniejsze i większe ryby. Pomyśleli, że znów jacyś durnie upili się winem albo woły weszły do Nilu powyżej katarakty. Zdarzało się to dość często i nie pomagało *straszenie* dzieci krokodylami i Sobkiem. Ponieważ w tym czasie we wsiach nikogo z ludzi nie brakowało, a zwierząt nikt nie liczył, bo nie umiał, wszyscy o zdarzeniu zapomnieli w tym samym dniu.

ROZDZIAŁ 9

O Boże, jaki ja byłem głupi. Stałem na schodach wiodących do świątynnych podziemi i dobrze wiedziałem, że jeśli natychmiast nie zrobię czegoś niezwykle przekonującego, pułapka się zatrzaśnie i znajdę się pod kolumną. Światło pochodni wydobywało migoczące po załomach murów czerwienie i czernie. Wszedłem dwa stopnie wyżej, wyciągnąłem rękę w kierunku Tanemera i najspokojniej spytałem:

- Mam iść sam? A ty na co czekasz? Daj mi łuczywo i chodź!

Zgłupiał, zupełnie zaskoczony taką propozycją, a ja wykonałem popisową symulację napadu padaczki. Upadłem, a moja czaszka rytmicznie waliła o posadzkę. Postarałem się, by uderzeniom głowy towarzyszyły odpowiednio zsynchronizowane drgawki rąk i nóg. Pokazowo zsiniałem. Z lekko nadgryzionego języka kącikami ust wypuszczałem czerwono podbarwioną ślinę. Gałki oczu wywróciłem do góry i zacząłem chrapliwie oddychać. Nikt nic nie mówił i nie próbował mnie ratować. W końcu znieruchomiałem, wtedy kapłan szturchnął mnie nogą, potem nakazał oświetlić moją twarz.

- Przypał go! - polecił jednemu ze sług.

Ten zbliżył się z łuczywem i przybliżył płomień. Wiedziałem, że jeszcze moment, a nie wytrzymam. Jednak nie drgnąłem.

- Dość, odsuń się! - padła komenda. - Ten człowiek cierpi na świętą chorobę i podczas takiego ataku łączy się z demonami.

- Może lepiej go wrzucić przez właz - podpowiedział jeden ze strażników.

- Nie! Otrzymałem rozkaz, aby więźnia zachować w dobrej kondycji. Teraz, po ataku drgawek, będzie spał wiele godzin,

a kiedy się zbudzi, dajcie mu do zjedzenia dużo pestek z dyni, a do picia wywar ze skóry osła. Jak to spożyje, przestanie wpaść w drgawki i sam lub z pomocą wejdzie do celi pod kolumną.

- A co potem? - zapytał jeden ze strażników.

Kapłan zaśmiał się.

- Zoran przed śmiercią mówił, że Sachmet opuściła świątynię, ale o jego losie zadecyduje ktoś inny. Ja teraz sprawdzę strażę i zobaczę, jakie nowiny przyniosły gołębie. Putyfar już wie, że nasze poszukiwania zakończyły się sukcesem. Teraz idźcie na posiłek, a później będziecie go pilnować.

Przeniesiono mnie do celi. Strażnicy oddalili się. Z wewnętrznej rachuby czasu wywnioskowałem, że zbliża się środek nocy. Wiedziałem, że muszę natychmiast uciekać.

Spakowałem wszystkie rzeczy i związałem rzemykiem. Pchnąłem lekko drzwi i stwierdziłem z ulgą, iż nie były zamknięte. Ostrożnie wyszedłem na dziedziniec. Kucnąłem w narożniku i rozejrzałem się uważnie. Zobaczyłem dwie łodzie uwiązane do kamiennego mołu, a obok nich uzbrojoną wartę. Po drugiej stronie rzeki ciemniały gąszcza papirusów. Księżyc stał nad samą wodą, a jego poświata oblewała rozlewisko poniżej świątyni. Było cicho, słyszałem plusk ryb skaczących do ciem. Pod osłoną muru zsunąłem się ku plaży. Schowałem się za głaz, do połowy zanurzony w wodzie. Najpierw dostrzegłem głowę jednego, a potem sylwetkę drugiego strażnika, wyraźnie odcinające się na tle nieba. Szansa pojawiła się znacznie później i całkiem nieoczekiwanie. Usłyszałem słowa wypowiedziane gdzieś nade mną przez niewidzialną osobę:

- Chodźcie, przyniosłem wam nocną porcję. Jest chleb, ryba i piwo.

Głowa i sylwetka zniknęły. Zsunąłem się do wody zadowolony, że bystry nurt rzeki znosi mnie w kierunku zarośniętego brzegu. Zupełnie zapomniałem o krokodylach, które dały o sobie znać, gdy znalazłem się w pobliżu trzciny. Ogromny gad, wyglądający jak leżący pień, z chlupotem zsunął się do rzeki, nieco dalej to samo zrobił następny. Przerażony, stałem po pas w wodzie, usiłując wzrokiem przebić ścianę sitowia. Drżały mi nogi i zacząłem odczuwać chłód. O metr za plecami coś chlupnęło. Odwróciłem się i zobaczyłem wynurzającą się szafę. Po

chwili otworzyły się w niej drzwi, a z nich wyłonił się potężny jęzor i cztery białe kły. Usłyszałem odgłos, jaki wydaje pompa ssąca. Nawet nie wiem, w jaki sposób znalazłem się na brzegu. Dopiero tam zorientowałem się, że hipopotam zwracał na mnie taką uwagę, jak ja na koniki polne.

Kanał skręcał w lewo. Za zakrętem, przy kępie palm, ujrzałem trzciniową łódkę. Podszedłem do niej i rozejrzałem się za wiosłem. Leżało obok. Wsiadłem, przesunąłem się na dziób, przykląknęłam i zacząłem wiosłować. Po godzinie zostawiłem za sobą duży szeroki kanał i wpłynąłem w inny, węższy. Mijałem uniesione drągi szadufów i drewniane urządzenia z zawieszonymi na kole garnkami, służące zapewne do nawadniania. Gasł księżyc, noc bladła, znikły gwiazdy, na wschodzie zaczęło rozjaśniać się niebo. Nad kanałem wstawała poranna mgła. Opary szybko gęstniały, początkowo tworząc przy pędach sitowia smużki, które łączyły się w siatkę, aby wkrótce zmienić się w taflę zajmującą całą przestrzeń wody. Mgła zaczęła się podnosić, początkowo do wysokości burty, potem pasa, by za chwilę unieść się na wysokość moich ramion. Skręciłem w stronę brzegu, puszczając błotne ptaki. Wbiłem łódź w gęstwinę sitowia. W perspektywie widziałem tylko kępy palm i dachy domów na wzniesieniach. Nic więcej, nawet ptaki przestały latać.

Trzeba było gdzieś się ukryć, a ucieczkę kontynuować nocą. Tylko co mam robić dalej? Jedyнным logicznym celem ucieczki był... powrót do Gorena.

Jak najstaranniej usiłowałem w pamięci odtworzyć niedawno przebytą trasę z Om do świątyni Sachmet. W końcu wyszłam mi, że powinienem się kierować na północny zachód.

Wędrowałem więc, starając się w miarę możliwości utrzymywać zakładany kierunek. Maszerowałem tak ze dwie, może trzy godziny, aż zrobiło się całkiem jasno. Nie miałem wątpliwości, że poszukiwania trwają od dawna.

Niezbyt daleko dostrzegłem drzewa ocieniające dach ma-lutkiej chatki. Obok niej znajdowało się pole. Stały tam smętne wół i krowa, a obok nich dwie sylwetki, większa i mniejsza. Zbliżyłem się do nich. Kobieta rozpoczęła poranny udój i w gliniane wiaderko wprawnie wstrzykiwała strużki mleka, a chłopiec pobiegł do łodzi i - odbijając się długim kijem od

dna - płynął w stronę przeciwległego brzegu, sprawdzając wędziska zamocowane przy brzegu. Zauważył, że szczytówka najdłuższej spośród nich raptownie się pochyliła. Wrócił do matki, coś mówił, a po chwili oboje zeszli do łodzi.

Chłopiec odrzucił wiosło, chwycił wędzisko i prawidłowo zacinając szarpnął. Reakcja ryby była natychmiastowa. Ogromna siła poderwała wędkarza do góry i przechyliła poza burtę, jego pięty oderwały się od dna, odepchnęły łódź i nim zdołał się zorientować, wylądował w wodzie. Wypuścił wędkę, usiłując utrzymać głowę nad powierzchnią. Wydawał przy tym pełne przerażenia okrzyki urywające się, gdy woda zalewała mu usta. Na ratunek rzuciła się matka. Dopadła tonącego syna, który wczepił się w jej szyję tak mocno, że traciła oddech. Widziałem, jak jej twarz sinieje, a następnie obydwoje wolno zanurzają się w wodzie. Wskoczyłem do kanału. Przestrzeń dzielącą od tonących przepłynąłem pod wodą i wynurzyłem się, gdy chłopiec zniknął pod listowiem roślin wodnych. Chwyciłem i uniosłem go do góry. Kilkanaście kroków poniżej, zaczepiona o oczerety, kołysała się łódka. Wepchnąłem na nią chłopca, po czym podpłynąłem do kobiety i uniosłem ją pod pachy w górę tak, aby mogła oddychać. Doholowałem ją do płytszego miejsca, zaniósłem na groblę i wróciłem do łodzi.

Chłopiec bezwładnie leżał na brzuchu. Zauważyłem, że oddycha i poszedłem do jego matki, niezbyt świadomej tego, co się wydarzyło. Objąłem ją ręką i wolno udaliśmy się w stronę domu. W chwili, gdy zobaczyła łódź i leżące w niej dziecko, zaczęła rozpaczać, skowyczeć jak zwierzę. Z mojej obecności jakby nie zdawała sobie sprawy. Wziąłem jej syna na ręce, zbliżyłem się do niej i krzyknąłem:

- Przestań! On żyje, wpadł do wody tylko na chwilę, zaraz dojdzie do siebie.

W jej nieprzytomne spojrzenie wolno wracał rozum. Pędem rzuciła się w kierunku syna, przytuliła go do siebie i oboje zastyli w pozie przypominającej klasyczną rzeźbę Madonny z dzieciątkiem. Spojrzała na mnie z wdzięcznością.

- On będzie żył, prawda? - spytała z lekkim jeszcze niepokojem. - Tylko czy będzie zdrow? Bo to mój jedyny syn, wymodlony.

Dziecko nagle otworzyło oczy, zakasłało i, ni stąd, ni zowąd, powiedziało:

- Mamo, śniłem, że złapałem tego olbrzymiego okonia, o którym opowiadał ojciec, walczyłem z nim i ryba wciągnęła mnie pod wodę.

Kobieta odetchnęła z ulgą. Czuły uśmiech oświetlił ją całą. Nie była urodziwa, ale w tej chwili była piękna.

- Kit, mój kochany Kit, ile razy twój ojciec mówił, że tylko z nim wolno nam łapać ryby? To nie był sen, synku. Gdyby nie ten człowiek, stalibyśmy się łupem krokodyli.

Zaczęła szlochać i kurczowo tulić malca do siebie, ale po chwili wypuściła go z objęć.

Kiedy zostaliśmy sami, z pełnym przekonaniem powiedziała:

- Dobrzy bogowie sprawili, że właśnie ty, nasz dobrodzieju, znalazłeś się blisko nas, i ciebie postawili między moim synem i mną a nieszczęściem. Wejść w nasz dom, nie odmów skromnego jadła, jakie spożywamy sami.

Wstała. Jej szata się rozchyliła, ukazując dorodne piersi, obfite okrągłe biodra oraz trójkąt zarostu na łonie. Uświadomiłem sobie, że od dawna nawet nie widziałem ciała kobiety. Nie miałem żadnej wątpliwości, w jaki sposób mogłaby mi się odwdziżyć. Moja wyobraźnia stworzyła sympatyczny scenariusz podniecającej godziny. A chłopiec? Niech pilnuje bydła. Aż mnie zatkało. Ja, facet, który zawsze potrafi panować nad sobą, nagle doznaję prymitywnego pragnienia natychmiastowego seksualnego rewanzu od prostej chłopki, która miałaby szeroko rozchylić uda w dowód wdzięczności za uratowanie życia?

Usiadłem na glinianej polepie małego ganku. Kobieta wyniosła pokrojony w kawałki placek, świeże i kwaśne mleko, soczewicę, gotowany bób, kawałki smażonej ryby, piwo i gliniany pojemnik z winem.

- Nic więcej nie mam - powiedziała.

Z radością patrzyła, jak się pożywiam. Jej syn badawczo przyglądał mi się.

- Mamo, czy on ma takie ubranie jak strażnicy?

Wiedziałem, że kobieta zadaje sobie podobne pytanie i nie znajduje odpowiedzi. Nie mogła oddzielić wdzięczności od budzącej się trwogi. Spojrzałem więc na nią i rzekłem:

- Nie bójcie się. Jestem kupcem, nie mam broni, a łódź z moim towarem zatoneła. Teraz idę do miasta sprowadzić pomoc, aby wydobyć z wody to, co da się jeszcze uratować.

Niezbyt wyszukane kłamstwo uspokoiło ją.

- O! Mój mąż Netu nadchodzi.

Poderwała się i pobiegła go powitać. Przez chwilę na grobli stali obok siebie. Kobieta mówiła, a mężczyzna słuchał. W pewnej chwili podniósł ręce i zasłonił sobie oczy. Później podszedł do mnie, skłonił się, ukląkł u moich stóp, rozchylił mi ręce i włożył w nie swoją głowę. Po chwili, gdy opanował wzruszenie, usiadł obok i spytał:

- Czy masz syna?

- Mam - odpowiedziałem.

- Więc chyba wiesz, co czuję? Do końca naszych dni będziemy wspominali cię jako wybawiciela. Kit to jedyne, co mamy, i największa radość. Ona - tu wskazał żonę - nigdy już nie będzie mieć dzieci. Od kilku lat nie krwawi podczas nowiu.

- Chciałbym, żebyś mi pomógł - powiedziałem, patrząc na niego.

Poderwał się i krzyknął:

- Zrobię wszystko, czego zażadasz!

- To nieprawda, że jestem kupcem i moja łódź zatoneła. Minionej nocy uciekłem z rzecznej świątyni Sachmet. Chciałbym, abyś w zamian za moją odzież dał mi swoją oraz upodobał do siebie tak, abym mógł dotrzeć do świątyni w Om. Tam moja ucieczka się skończy.

- Do Om - powiedział po dłuższej chwili - wodą sam nie trafisz, droga jest zbyt skomplikowana, a poza tym pod prąd. Możesz iść lądem, lecz wędrówka przez nieznanne groble jest trudna, na pewno zabłądzisz. - Popatrzył na mnie i dodał: - Zarzykowałeś życie dla mojego syna, ja zrobię to samo dla ciebie. Jedyne obiecaj, że jeśli nas złapią, powiesz, iż siłą zmusiłeś mnie, abym doprowadził cię na miejsce.

Kiwnąłem głową i odpowiedziałem, że na jego miejscu zrobiłbym tak samo.

Później wyciągnął metalową brzytwę i znaną mi papkę udającą mydło. Ostrze szybko się tępiło, toteż golenie mojej gło-

wy, wąsów i brody trwało bardzo długo. Widocznie zadowolony ze swego dzieła, kazał mi uklęknąć nad dzbanem z wodą.

Zdumiałem się. Nie przypuszczałem, że pozbawienie owłosienia zmienia twarz nie do poznania. Netu uśmiechnął się i powiedział:

- No, teraz wyglądasz lepiej.

Widocznie jednak nie wszystko mu się podobało, bo wziął garnuszek i bez słowa poszedł na pole, gdzie rosły daktylowce. Mozolnie zaczął wspinać się po pniu, a pod koroną liści począł zdrapywać do garnuszka korę. Potem zalał ją wodą i gotował tak długo, aż na dnie pozostał gęsty brązowy płyn.

Widząc moje zaciekawienie, uśmiechnął się:

- Trzeba cię pofarbować. Nie widzisz siebie w całości. Masz brązowe barki, ramiona, kawałek twarzy i nóg. Reszta, łącznie z głową, karkiem i szyją, pół brzucha i pół pleców jest biała. Taki pstrokaty byłbyś bardziej widoczny niż w tej żołnierskiej tunice. Nie martw się, zaraz będziesz jednokolorowy.

Kobieta przyniosła z domu szczelnie zatkany pojemnik. Wlała jego zawartość do sporego dzbana i dodała wody. Dookoła rozszedł się intensywny zapach winnego octu. Do tak sporządzonego roztworu dodała brunatnego wywaru z kory. Potem szmatami maczanymi w farbie zaczęli smarować i nacierać moje ciało, pomijając wąski pas bioder.

Kobieta poleciła, abym zamknął oczy i natarła mi powieki, po czym uszczypliwie mruknęła do męża:

- Gdyby nie ja, to ty nigdy byś tego nie zauważył. Pamiętasz tylko o zimnym piwie i wieczorem o...

- Bądź cicho. Idź na swoje miejsce. Gdy inne żony mają po kilkoro dzieci, ty nawet jednego nie umiesz upilnować. One w nocy nie odwracają się do męża plecami. Powiedz swojej matce, iż nie miała racji mówiąc, że jeśli kobieta jest dobra w łóżku, to resztę jej zalet mężczyzna sam wymyśli.

Zacerwieniła się, ale nie powiedziała nic więcej.

Mimo protestów musiałem zdjąć sandały. Biodra owinąłem białą podarowaną mi tkaniną.

- Idź do łodzi i umieść w niej zapasy na drogę - powiedział do mnie Netu.

Widziałem, jak żegna się z rodziną. Gdy schodził w dół nad kanał, kobieta jedną ręką wycierała oczy, a drugą przyciskała do siebie chłopca. Machnąłem jej kilka razy ręką. Z niechęcią oddała mi gest pożegnania.

Wiosłowaliśmy razem.

- Netu, czy my się cofamy w kierunku świątyni Sachmet?

- Tak, masz rację - potwierdził. - Ten kanał, który jest za domem, kończy się wąskim przepustem ziemnym. O tej porze roku rano przez chwilę otwierają stawidła i puszczają wodę, by ta, która zalega, nie gniła. Musimy więc wrócić do kanału głównego, który jest odnogą rzeki. Do Om nie ma innej drogi.

Płynęliśmy kilka godzin. Dwukrotnie mijaly nas łodzie ze zbrojnymi. Ludzi podobnych do nas podróżowało więcej. Woda wożono towary i sprzęt. Chłopcy siedzący na małych pomostach zachęcali do nabywania placków, piwa i suszonych ryb kołuszających się na poprzeczkach kijów.

- Spróbujcie, jakie smaczne są moje tilapie - zawołał jeden z nich i na naszą łódź rzucił płaską, wyschniętą rybkę długości dłoni. Spadła koło mnie. Spróbowałem, smakowała jak chips. Zaśmiałem się w duchu. Chipsy w antycznym Egipcie - kretyństwo. Słońce grzało jak oszalałe, kiedy tylko mogłem zlewałem się wodą.

Na rytmicznym wiosłowaniu upłynął nam czas aż do wieczora. Stanęliśmy na małej plaży. Obok cumowały inne łodzie, których załogi szykowały się do posiłku i wypoczynku. Część ludzi buszowała w trzcinach, szukając wyschniętych łądyg do rozpalenia ognia i uwarzenia stawy. Kobiety zbierały się na plotki. Wymieniały cebulę na sól, mąkę i inne wiktuały. Mężczyźni łowili ryby. Zwykła atmosfera rodzinnego biwaku, podobne zapachy, wybuchy śmiechu. Brakowało kuchenek gazowych, namiotów i radia. Obok nas młoda matka obiecywała bajkę dziecku. Malec marudził, domagał się, by opowiedziała ją od początku, popłakiwał. W końcu kobieta poddała się i obiecała, że gdy tylko posprząta, położy się obok niego i wtedy opowie mu całą.

Kładłem się do wypoczynku, gdy zza wąskiego pasma pobliskich trzcin dobiegł mnie jej głos, pytający malca, czy nie chce siusiać, czy nie jest głodny, czy nie jest mu zimno, czy nie

nie ciśnie go w plecy? Dziecko nie chciało niczego poza bajką ułożoną przez pawiana. Kobieta zaczęła opowiadać:

„Zdarzyło się, gdy lew wędrował i szukał człowieka, że wpadła mu w łapę mała myszka o niepozornym wyglądzie, drobna jak jajko. Kiedy już miał ją zmiażdżyć, raptem przemówiła:

- Nie zabijaj mnie, panie mój, lwie. Jeśli mnie pożrzesz, nie będziesz syty. Jeśli mnie puścisz, nie będziesz głodny. Jeśli darujesz mi życie i ocalisz przed unicestwieniem to i ja uwolnię cię od nieszczęścia.

Lew roześmiał się na słowa myszy i powiedział:

- Co masz zamiar zrobić? Czy jest ktokolwiek na świecie, kto stanąłby przeciw mnie?

Przysięgła więc raz jeszcze:

- Uwolnię cię od nieszczęścia, gdy nadejdzie twój zły dzień.

Za żart uważał lew to, co powiedziała mysz, ale uznał, że jeśli ją zje, to rzeczywiście nie będzie syty, i puścił ją wolno. Tymczasem pewien myśliwy wykopał jamę, a w niej sporządził pułapkę z sieci. Lew wpadł w zasadzkę i dostał się w ręce człowieka. Związano go świeżymi rzemieniami. I zdarzyło się, że przeznaczenie zechciało przełożyć obietnicę myszy nad przechwałki lwa. I postawiło przed lwem małą myszkę, która rzekła:

- Czy mnie pamiętasz? To ja jestem tą istotą, której darowałeś życie. Przyszłam, aby odwdzińczyć się tobie i wybawić cię od nieszczęścia, kiedy jesteś w biedzie. Piękny jest świat, gdy oddaje dobro temu, kto uczynił je wcześniej. - To mówiąc mysz wyciągnęła pyszczyk ku więzom lwa, przegryzła wszystkie rzemienie, którymi był skrzepowany i wyzwoliła go z niewoli. Potem ukryła się w jego grzywie, a on natychmiast ruszył z nią w góry".

Malec zasypiał, lecz zanim głęboko zaczął oddychać, zwierzył się, że będzie dobry dla myszy.

Wstaliśmy o świcie. Ludzie budzili się, rozprostowywali kości, ziewali. Koło nas przeszło dwóch mężczyzn, którzy w nocy złapali ogromnego okonia. Przez jego skrzela przecisnęli drązek i z trudem dźwigali rybę, której ogon zamiatał ziemię. Powiedziałem do Netu:

- Ale ogromny, co? Podobny potwór pewnie chciał utopić twego syna?

- Gdy wrócę, złapię tę rybę harpunem.

Wiosłując przez cały dzień, zbliżyliśmy się do żółtawej pustyni. Kończyła się zieloność pól, trzcin, małych odnóg kanałów, koron palm. Po lewej stronie roślinność rzedła w oczach. W oddali było widać ogromne miasto.

- Czy to Om?

- Nie, Memfis. Do Om dotrzemy jutro, na pewno zdążysz przed zamknięciem bram.

Mój towarzysz wskazał kilka drzew nad brzegiem kanału i powiedział:

- Tu zanocujemy.

- Netu, wolałbym jeszcze dziś znaleźć się w mieście.

Popatrzył na mnie jak na głupca.

- Chyba nie jesteś ptakiem. Bramy miasta zamyka się o zachodzie słońca i nikt nigdy dla nikogo ich nie otwiera, tylko dla kurierów faraona.

Spędziłem więc drugą noc nad rzeką, wsłuchując się w odgłosy pustyni, w wieczorny szum przesypywanego piasku, nocne wycie hien, ostrożnie podchodzących do wody i czających się na przypadkową zdobycz.

Rano pustynia przypominała rozgrzany piec chlebowy tuż przed włożeniem bochnów. Przepłynęliśmy jeszcze spory kawałek, zanim ujrzelśmy miasto, z którego dobiegała muzyka trąb. Z dala rozpoznałem znajomy kształt gołębnika na dachu.

- To koniec drogi - rzekłem. - Dalej pójde sam, a ty jak najspieszniej wracaj do rodziny.

Netu coś wyciągnął spod ławki i powiedział:

- Przyjmij ten dar od całej mojej rodziny. Życzę ci, abyś nigdy nie musiał go użyć.

Ścisnął mi rękę. Zawrócił łódź. Wkrótce on i jego łódka znikły mi z oczu. Odwinąłem zawiniątko, znajdując w nim długi nóż z brązu.

Szedłem piaszczystą drogą. Z miasta wychodziły karawany wędrowców i osiołków. Od strony pobliskich terenów uprawnych rolnicy nieśli towary na poranną sprzedaż.

Do miasta wchodziłem pokryty kurzem. Nie budziłem niczyjego zainteresowania. Przed oczyma miałem znany dziedzi-
niec świątyni i bramę oraz kolumnę, na której szczycie miało
znajdować się gniazdo Feniksa. Pierwszy raz widziałem ją
z dołu, a nie z tarasu pylonu. Byłem tak uszczęśliwiony udaną
ucieczką, że zupełnie straciłem instynkt samozachowawczy.
Coś nagle ukuło mnie pod łopatką i w krąg mojego widzenia
weszli, jak na scenie teatru kukielkowego, ci sami trzej męż-
czyźni, którzy niedawno stali nade mną między kolumnami
w świątyni Sachmet. Szyderczo się uśmiechali.

- Gratuluję wytrwałości - powiedział Tanemer. - Teraz pój-
dziesz z nami albo zginiesz.

Kłucie narastało. Kątem oka spojrzałem na boki. Jeden
dźgał mnie w plecy krótkim oszczepem, drugi w lewej ręce
trzymał pałkę, a prawą zaciskał na rękojeści miecza. Ogarnęła
mnie rozpacz. Ludzie nie zwracali na mnie najmniejszej uwa-
gi. Kapłan krzyknął:

- Rozejść się, złapaliśmy złodzieja!

Spojrzenia przechodniów stwardniały, lecz rozeszli się bez
szemrania, nie interesując się dalej moim losem. Nie było wyj-
ścia, skoczyłem na kapłana, wyciągając z sakwy nóż, i zadałem
mu cios. Nie trafiłem. W tym samym czasie rzucony oszczep
otarł się o moje biodro i przeciął węzeł opaski, która spadła na
ziemię. Z ręki wytracono mi nóż, pałą oberwałem w ciemność,
a płazem miecza w czoło. Wydawało mi się, że dostrzegłem
jeszcze trzy ciężkie dwukonne rydwany, które galopem wyłoni-
ły się zza zakrętu murów świątyni. Półprzytomny, zakrwawiony
i całkiem nagi, leżałem w kurzu drogi. Rozpędzony rydwan za-
trzymał się. Wysiadł z niego starszy mężczyzna. Ostatnim bły-
skim świadomości ujrzałem jego zdumienie. Rozkazał, aby
mnie wrzucić na wóz. Wtedy straciłem przytomność.

Odzyskałem ją w łóżku. Dotknąłem twarzy, obmacując
obrzęknięte oczodoły. Palcami podniosłem najpierw prawą, po-
tem lewą powiekę. Odetchnąłem z ulgą - widziałem ostro. Na
ogolonej czaszce wymacałem dwa potężne guzy. Bardzo bolała
mnie głowa i mąciły się myśli, nie mogłem się skupić. Widzia-
łem jakieś obrazy, majaki, sceny, w których unosiłem się w po-

wietrze lekki jak piórko. Śmigalem między kontynentami, byłem ściganym i ścigającym. Znow straciłem przytomność.

Obudziłem się w nocy. Lewym okiem mogłem patrzeć przez cieniutką szparkę powiek. Stwierdziłem, że znajduję się w pomieszczeniu oświetlonym kilkoma olejowymi kagankami. Usiadłem, momentalnie obficie zwymiotowałem i natychmiast znow się położyłem. Nie miałem pojęcia, gdzie jestem i kto się mną opiekuje. Zauważyłem fachowo obandażowane biodro, a pod opatrunkiem odczuwałem pieczenie rany. Wstałem z trudem, przełamując tętniący ból głowy, i zbliżyłem się do okna. Zobaczyłem rzekę, za którą rozciągało się ogromne miasto. W oddali widniały zachodzące na siebie trzy stożki piramid. Mimo dystansu, jaki mnie od nich dzielił, byłem przejęty ich wielkością - budziła respekt kiedyś, teraz i później. Wiedziałem, że mam przed oczyma budowle, przed którymi cofa się nawet czas.

Zbudziły mnie głosy i ostre światło wdzierające się przez okno. W pomieszczeniu były trzy osoby: starszy mężczyzna, podobna mu wiekiem kobieta oraz służąca, sprzątająca podłogę.

Mężczyzna podszedł do łóżka i rzekł:

- Nie uważasz, że należą mi się słowa wyjaśnienia, ty farbowany przebierańcu?

Mógł mieć około pięćdziesiątki, a może więcej, był średniego wzrostu, na głowie miał ufryzowaną perukę. Biodra owinął plisowaną spódniczką sięgającą kolan.

- Panie - powiedziałem - zrobię wszystko, czego żądasz, ale jestem pewien, że byłoby lepiej, abyś tylko ty sam poznał moją niezwykłą opowieść.

Popatrzył na mnie bez większego zainteresowania, lecz kazał kobietom oddalić się. Zrelacjonowałem fakty tak, jak miały miejsce, a gdy powiedziałem mu o oględzinach dokonanych przez kapłanów, dokładnie obejrzał moje pachwiny. Nie zadawał żadnych pytań. Jego zdumienie rosło w miarę przebiegu składanej przeze mnie relacji. Kiedy skończyłem opowieść, spojrział na mnie przenikliwie. Usiadł na parapecie okna, założył nogę na nogę i powiedział tak:

- Zahamowałem rydwan nie tylko dlatego, że na ziemi leżał człowiek. Było to o wiele mniej istotne niż niezwykły przypadek albinotyzmu, którym wydawałeś się dotknięty. Widziałem

różne schorzenia, ale nigdy takiego, by zmiana koloru skóry biegła równiutko przez pośladki. Jako lekarz musiałem się temu przyjrzeć i wówczas stwierdziłem, że jest to prymitywne oszustwo.

Jeszcze raz zapytał o Gorena i Sansepa. Powtórzyłem, co wiedziałem. Spojrzał na mnie uważnie. Cicho się zaśmiał i rzekł:

- Słuchaj człowieku, będę cię nazywał Nefer, czyli piękny. Nie mam pewności, czy jesteś tu bezpieczny. Dlatego twój pokój będzie pod strażą szardanów. - Zamilkł na moment, po czym dodał: - Jestem lekarzem faraona, przebywasz w moim domu w Memfis.

*..

Mereneptah próbował poskładać wszystko, co opowiedział mu nieznajomy. Ten Nefer wspominał, że arcykapłan Goren otrzymał wiadomość o zamachu na życie kogoś ważnego w państwie. Kto ukrywa się za liczbami, które zawierała informacja przysłana do Om gołębiem, a szczególnie kim jest czwórka, na którą planowano zamach? Jak dotrzeć do Gorena, nie budząc podejrzeń i zachowując dyskrecję? Komu arcykapłan zechce udzielić osobistej audiencji? Bogatemu pątnikowi, który zamierza złożyć kosztowne dary dla świątyni. Tak, to doskonały pomysł. Dary szczególnie obfite, a w dodatku niespodziewane, zawsze uwalniają dostojnych hierarchów z okowów teologii, a strażników dusz sprowadzają do ludzkich wymiarów.

Mereneptah postanowił wysłać do świątyni Atuma najstarszego syna i polecił mu, aby zawiózł do Om pięć złotych naszyjników i zażądał widzenia z Gorenem. Dopiero wówczas, gdy zostaną sami, miał okazać glejt faraona, wręczyć dar oraz listy od Nefera i ofiarodawcy proszące o przybycie do Memfis i wspólne zastanowienie się nad problemem.

Po napisaniu listu Mereneptah udał się do swojego gościa.

**.

- Trzeba, Neferze, abyś napisał kilka słów do arcykapłana Gorena - rzekł Mereneptah, podając mi papirus. - Uczyniń to w taki sposób, aby uwierzył, że nie działasz pod przymusem.

Narysowałem trzcinką kartusz królewski, podobny do tego, jaki znalazłem przy gołębiu, dopisałem liczby 6,1,4 oraz prośbę o przybycie. Oddałem list i poprosiłem, aby gospodarz zatrzymał się jeszcze na chwilę.

- Wyślij po arcykapłana rydwan do jakiegoś umówionego miejsca. Łódź zawsze może być obserwowana, a pojazd konny raczej nie. Goren, jeśli żyje, przybędzie.

Mereneptah nic nie powiedział i wyszedł.

Po kilku dniach moja twarz prezentowała się znacznie lepiej, a rana biodra wyglądała tak doskonale, jakby zszyto ją atraumatycznym śródskórnym szwem. Przejrzałem się w lustrze i wtedy w pełni zrozumiałem szyderstwo Mereneptaha, nadającego mi egipskie imię. No dobrze, mimo wszystko piękny znaczy piękny. Zdecydowałem, że należy być skromnym, która to cnota przychodzi mi równie łatwo, jak przegryzanie zębami deski. Grubej deski.

Mereneptah wszedł do pokoju, mruknął na przywitanie i przez dłuższy czas w milczeniu krążył po pomieszczeniu. Było widać, że ma jakiś problem. W końcu usiadł naprzeciw i rzekł:

- Słuchaj Neferze, chcę z tobą porozmawiać jak kolega z kolegą, jesteś medykiem jak ja. Powiedz, do czego doszliście wy, lekarze przyszłości? Mów tak, abym zrozumiał.

- Potrafimy jednocześnie dużo i mało - odparłem. - Ludzie żyją dłużej, kobiety przy porodach prawie nie umierają, śmiertelność dzieci jest niska, mamy arsenał leków prawie na wszystkie dolegliwości. W dużej mierze są skuteczne, szczególnie w leczeniu takich chorób, które wy nazywacie morem.

- Czy znaleźliście metody na leczenie guzów wnętrza ciała człowieka?

- Tak, jeszcze nie do końca skuteczne, ale tam, gdzie jest to możliwe, leczenie łączymy z operacją, ponadto mamy urządzenie, które wysyła leczące światło.

- Zielone ozyrysowskie?

- Ono jest niewidoczne i może przenikać przez mury.

- Tego nie rozumiem, ale na pewno dalej leczycie razem duszę i ciało chorego. Czy tak?

- Wiele się zmieniło. My uważamy, że szereg chorób to dolegliwości tylko cielesne i dusza nie ma z tym nic wspólnego...

- A więc głęboko się mylicie. Związek duszy z ciałem jest czasowy, ale chorują razem; przecież wystarczy obejrzeć aurę pacjenta, aby tak prostego błędu w sztuce nie popełnić.

- My nie musimy oglądać aury; mamy przyrządy, które we wnętrzu ciała potrafią znaleźć ziarnko zła.

- Podobne ziarnko zła czy złego jest w duszy. Często jej choroby wpływają na ciało, które, jako zbudowane z mniej szlachetnej materii, łatwo się psuje. Trzeba zawsze leczyć przyczynę, a nie skutki.

- Mereneptahu, mamy lekarzy od umysłu, którym się wydaje, że leczą dusze.

- Czy mówisz o lekarzach obłądu?

-Tak.

- Ale nie o nich chodzi. Obłąd na ogół bywa spowodowany czarami lub urokiem. Zajmują się tym zamawiacze, wróżbici. Potrafią skutecznie usunąć demona opętania.

- My nie używamy magii. Nasza medycyna jest sprawdzalna, nie musi odwoływać się do bogów, czarów i demonów.

- To źle, rezygnujecie z potężnych sojuszników. Tot i wielu bogów zdrowia pomagają nam widzieć zarówno duszę i ciało, a w nasze leki i ręce wprowadzają niepojęte siły uzdrawiania, jak to ma miejsce chociażby w przypadku tamowaczy krwi.

- My nie znamy takich sposobów.

- Współczuję wam, jesteście godni litości. Któż więc leczy waszych pacjentów? Bo jeśli jest tak, jak mówisz, to wy, lekarze przyszłości, jesteście jedynie obserwatorami zmagania pacjentów z chorobą. Czy ty się modlisz do swoich bogów o pomoc w leczeniu chorych? Bo ja tak. Bez tego nie dotknę nikogo nożem, gdyż moja ręka jest tylko ręką człowieka, a gdy operuję, kieruje nią bóg.

- Nie modłę się od dawna, chyba o tym zapomniałem.

- To źle, nie będziesz widział chorej duszy lub źle leczył ciało. Przecież powinienes pacjenta ogarnąć w całości. To trudne, ale Tot w tym pomaga.

- Dla ciebie, Mereneptahu, bóg stanowi wygodne wyręczenie, za którym ukrywa się brak wiedzy i umiejętności. Po co

mi jego pomoc, jeśli potrafię tak wiele. Cóż on ma do leków, które same z siebie znoszą ból, gorączkę czy zapalenie?

- Nie, Neferze, to on jest lekiem, a nie proszki i nawet najbardziej skomplikowane i cudowne narzędzia. Poszliście złą drogą. Przestrzegali nas przed tym Sumerowie, czy nie wiecie o tym?

- Po nich została tylko pamięć pokoleń. Zostawili zapisy, które w odróżnieniu od waszych są ledwie pierwszym zbiorem obserwacji medycznych, a nie metodą.

- Chcę ci zadać jeszcze dwa pytania. Czy wolno wam skrócić życie człowieka chorującego na nieuleczalną chorobę? Czy możecie odmówić leczenia, będąc przekonanym, że nicy życia pacjenta wziął do ręki Ozyrys?

- W moim kraju mam obowiązek ratować życie do końca, a gdybym je skrócił, zostałbym ukarany.

- Więc przynajmniej tyle zostało z nienaruszalnych zasad, ale kanon twojej medycyny jest okaleczony.

Odszedł, a ja długo myślałem, kto z nas pobił i w końcu zrobiło mi się smutno.

Wieczorem przyszli Mereneptah i Goren. Arcykapłan zdradzał objawy napięcia, ale gdy przekonał się, że wysłane zaproszenia nie były prowokacją, objął mnie za ramiona i popatrzył głęboko w oczy. Odetchnął z ulgą i poprosił, abym opowiedział mu wszystko, co się zdarzyło po mojej ucieczce. Zdałem relację aż do końca i wtedy spytałem:

- Dlaczego nie uprzedziłeś mnie o pułapkach zastawionych w tunelu?

- W ogóle nie wiedziałem o ich istnieniu. Zamontował je Sansep albo jego poprzednicy.

Patrzyłem na moich rozmówców, zastanawiając się, czy istotnie są tylko tymi, za kogo pragną uchodzić. Nie ulegało wątpliwości, że nasze spotkanie stwarza sytuację nową, a w dodatku potwornie niebezpieczną - być może również dla mnie.

- Pozwól ze mną - zwrócił się Mereneptah do Gorena. - Uważam, że powinniśmy porozmawiać.

Wiedziałem, że wynik tej rozmowy może zdecydować o moim losie. Znów zostałem sam, mając na pociechę zastawiony stół, a na nim wino i piwo, ale nie miałem ochoty ich tknąć.

Tymczasem gospodarz i jego gość prowadzili niezwykle trudną dla obu rozmowę. Zaczął lekarz królewski:

- Wybacz arcykapłanie, ale muszę o tym przypomnieć. Mój syn pokazał ci glejt faraonowski. Dałem mu ten znak, abyś uwierzył, że moje poczynania wynikają z rozkazu naszego pana.

- Jestem przekonany, że działasz dla dobra Egiptu.

- W takim razie jak wyjaśnisz pochodzenie wiadomości o spisku na życie kogoś, kto ukrywa się pod kryptonimem „czwórka”. Mogę sądzić, że w ten sposób określono naszego władcę.

- Nie mylisz się, chodzi o faraona. Na mocy glejtu, jaki mi okazałeś, muszę odpowiedzieć na twoje pytanie, ale chcę cię zobowiązać do tego, by fakty, które ujawnię, nie zostały przekazane osobom niepowołanym. Tajemnice pewnych kręgów bywają zazwyczaj tajemnicami państwa.

- Takie przyrzeczenie mogę złożyć, ale zastrzegam, że szczegóły naszej rozmowy pozna faraon.

- Nie mam nic przeciwko temu, jeśli dokonasz tego osobiście, ale na razie jest to sprawa między nami. Informację o możliwości zamachu na życie czwórki, czyli Ramzesa, otrzymałem od osoby kierującej tajnym faraonowskim wywiadem w Tebach. Współpracujemy od dawna. Jeśli zachodziła potrzeba, wiadomości przekazywałem do Horseta, głównego wieszczka Armii Amona.

- Czy masz jakieś sprawdzone informacje dotyczące spisku?

- To sprawa złożona. Mam jedynie domniemania. Niestety, nie posiadam żadnych dowodów.

- Opowiedz mi o swoich podejrzeniach, a jeśli możesz, chciałbym, abyś je uzasadnił.

- Kapłani Amona nienawidzą Ramessydów dlatego, że ci potajemnie czczą Seta. Nie chcę wchodzić w szczegóły. Do czasów Horemheba świątynie otrzymywały od faraonów ogromne dary. Ramzes, od czasu gdy wbrew jego woli wybrano w Tebach naczelnym arcykapłanem Nebunanefera, a potem Rowina, świątynie Amona odwiedza tylko z obowiązku. Ofiarowywane przez władcę dary, choć z pozoru obfite, w rzeczywistości są skromne. Dlatego kapłani chcieliby zmiany władcy na bardziej

im przychylnego i szczodrego. Dalsze przesłanki moich podejrzeń nie są już tak jasne. Jeden z moich przyjaciół twierdzi, że Sansep wykradł z archiwum Domu Życia w Tebach tom z Księgi Urodzin, a kiedy sprawa się wydała, przełożeni tej placówki zażądali zwrotu. Zagrożono mu wniesieniem sprawy przed oblicze sądu kapłańskiego. Arcykapłan uznał, że sprawa nie przedstawia się dobrze i złożył na rzecz Domu Życia niesłychanie szczodre dary, które pozwoliły na otwarcie dwóch nowych wydziałów. Sprawa ucichła, gdy księgę podrzucono z dopiskiem, że odnalazła się w innym archiwum. Nikt jednak już nie będzie pewien, czy to oryginał. Może usunięto jakiś fragment lub dodano taki, którego w pierwotnym tekście nie było. Jeśli Sansep podjął takie ryzyko, kryje się za tym gruba sprawa.

- Gorenio, zarówno jedno, jak i drugie jest tylko domniemaniem.

- To nie wszystko. Jak dobrze wiesz, świątynię Atuma w Om zbudowano ogromnie dawno. Odkryłem, że przez szczeliny konstrukcyjne można słyszeć rozmowy prowadzone w świętym przybytku oraz najbardziej tajemnej komnacie, przeznaczonej wyłącznie do przeprowadzania procedur świętego rytuału intronizacji władzy. W niej faraon doświadcza śmierci i za swoim ojcem udaje się do Ozyrysa i gwiazd, aby z chwilą ukazania się na horyzoncie gwiazdy porannej zmartwychwstać jako nowy Horus. Co noc przebywam na najwyższym dachu świątyni, prowadząc pomiary i obliczenia dróg, jakimi podążają gwiazdy i słońce, co w Om czynimy od wielu wieków. Pewnej nocy tam właśnie usłyszałem fragmenty rozmowy Sansepa z kimś, kogo tytułował faraonem. Ale osobą tą nie był Ramzes.

- Czy przynajmniej domyślasz się, kim mógł być rozmówca Sansepa?

- Nie. Od tamtej rozmowy upłynęło dużo czasu. Puściłem ją w niepamięć. Moje podejrzania powróciły, gdy nie tak dawno Sansep część starych strażników wymienił na pospolitych zbirów. Pojawiło się kilku młodych kapłanów, niechętnie oddających cześć Atumowi. Tworzyli coś na kształt osobistej gwardii arcykapłana. Najbardziej jednak podejrzana okazała się sprawa z Neferem. Sansep powinien był powiadomić o jego pojawieniu się w Egipcie najważniejsze osoby w państwie, a więc

faraona, wezyra i arcykapłana Amona w Tebach. Wiem, że tego nie zrobił, natomiast z niezrozumiałym uporem żądał jego śmierci. Sądzę, że uznał Nefera za przeciwnika, który może okazać się groźny dla kogoś, kogo nie znamy. Może dla osoby, którą ongiś nazywał faraonem? Sansep nie żyje, ale przypuszczam, że jego zaufani pomocnicy - Putyfar i Tanemer - pracują nadal dla głównego mocodawcy. Biorąc pod uwagę to, co mówił Nefer o zbrojnych posterunkach nie wiadomo jakich wojsk w świątyni Sachmet, oraz uwzględniając wiadomość, jaką otrzymałem z Teb, uważam, że moje podejrzenia są słuszne: w Egipcie zawiązano spisek, którego celem jest dokonanie zamachu stanu.

Mereneptah po zastanowieniu doszedł do wniosku, że informacje od Gorena i Nefera oraz niedawna próba zamachu na faraona potwierdzają słuszność wcześniejszych podejrzeń Ramzesa. Organizatorzy spisku starannie zabezpieczyli się przed przedwczesnym wykryciem. W razie dekonspiracji któregoś ogniwa sprzysiężenia pozostałe natychmiast wlatują do wody, nie pozwalając na wykrycie sieci połączeń i głównego animatora. Największą liczbę członków tej organizacji poznał Nefer i być może z tego powodu podejmowano próby jego wyeliminowania. Niewątpliwie trzeba o tym wszystkim jak najszybciej powiadomić Ramzesa.

Lekarz przez dłuższą chwilę wpatrywał się w swojego gościa, zastanawiając się, czy aby nie jest prowokatorem. Odrzucił tę myśl i spytał:

- A tak naprawdę, co sądzisz, Gorenio, o tym niezwykle białym znajdzie?

- On nie jest z tego świata - odparł arcykapłan bez zastanowienia. - Ma w sobie odmienność, która przyspiesza wydarzenia. Skutki jej zabijają innych, jego zaś nie; w najgorszym wypadku okaleczają. Coś stoi na jego straży i jest silniejsze niż siła, która go atakuje.

- Nie uważasz, że on może należeć do spisku?

Goren z powątpiewaniem pokręcił głową.

- Nie sądzą.

- Chciałbym, abyś miał rację, ale teraz się zastanów. Od czasu, gdy Nefer znalazł się w Egipcie, historia jakby przyspie-

szyla swój bieg, pojawiła się seria zagrożeń dla państwa. Czyż wszystko to jest wyłącznie zbiegiem okoliczności?

- Nie wiem. Ocena przekracza moje możliwości. Ponieważ wiele wydarzeń dalej jest niejasnych, a w innych Nefer jest jedynym świadkiem, uważam, że należy go strzec.

- Też tak sędzę. Nie mogę go zabrać ze sobą, bo stwarza zagrożenie dla moich planów. Trzeba go wywieźć tam, gdzie nikt nie będzie się nim interesował. Co sądzisz Gorenio o Dendera?

Arcykapłan po chwili zastanowienia powiedział:

- Duże miasto, święte miejsce, największy szpital, sanatorium Egiptu. Świątynia główna Imhotepa i Hathor, tysiące pielgrzymów, ludzi z całego świata, bogowie z całego świata. Tam może być kimś lub nikim... Lepszego miejsca nie znajdziemy, ale sędzę, że nie powinien być sam. Najlepiej, gdyby na ten czas miał kobietę, może nie całkiem młodą, ale doświadczoną. One mają intuicję jak gęsi. Samotny Nefer łatwo się zdekonspiruje, będzie się nudził, może popełnić błąd.

- Masz rację, Gorenio. I to chyba wszystko. Jeśli o czymś zapomnieliśmy, wiemy, jak się kontaktować. Gdybyś miał nowe informacje, przekaz je mojej żonie. Będzie wiedziała, co z nimi robić.

Następnej nocy lekarz długo rozmawiał z żoną. Rano służący przyprowadził do ich domu kobietę z niespełna dwuletnim dzieckiem.

- O, przyszłaś, Tillit - przywitał ją Mereneptah.

- Tak, ojczu. Witam cię, mamu.

- Siądź tu obok mnie. - Lekarz uśmiechnął się zapraszająco. - Zrobisz, o co cię poproszę. Jutro wieczorem wyjedziesz z synkiem oraz nieznanym ci jeszcze człowiekiem do Dendera. Mam tam dom, który kupiłem na starość. Będziesz udawała żonę tego mężczyzny. Chcę, abyś wiedziała, że grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo. Im mniej go będziesz pytała, tym lepiej. Im więcej się dowiesz, tym gorzej. Bądź nieustannie czujna. Prosiłem twojego stryja, aby na miejscu najał potrzebną służbę, ale bądź rozważna. Ten człowiek nie zna Egiptu ani jego zwyczajów, ale świetnie mówi naszym językiem i potrafi piśać. Za miesiąc nikt nie powinien poznać, że nie pochodzi stąd.

Tillit nie powiedziała nic. Kiwnęła tylko głową, akceptując polecenie.

Ludzie Tanemera nie byli amatorami. Dom Mereneptaha był pod nieustanną obserwacją. Dlatego dwaj kolejni gońcy, których lekarz wysłał do faraona, przynoszący pełną relację spotkania Gorena z Neferem, zostali ujęci. Zgodnie ze złożoną przysięgą, broniąc swego życia, zdążyli zniszczyć wiezione dokumenty. Ze strzępów papirusu nie można było się zorientować, jakie informacje nieśli. Na przystani w Om usiłowano porwać samego arcykapłana Gorena, jednak od niechybnej śmierci uratowali go miejscowi rybacy. Ciężko poranionego przewieziono do królewskiego szpitala w Memfis.

Oczywiście śledzono również Mereneptaha i jego szardanów.

Tanemer uznał za nieprawdopodobne, aby lekarz zostawił bez stosownej ochrony poszukiwanego uciekiniera w domu. Założył, że wziął go ze sobą i zapewne ukrył w rydwaniu z opatrzeniem. Ruszył więc jego śladem na południe, zastanawiając się, czy punktem docelowym Mereneptaha są Teby, czy wojska księcia Kaima.

Następnego wieczora córka Mereneptaha, jej dziecko oraz Nefer wsiedli do łodzi zdążającej do Dendera. Dwa dni później z tej samej przystani Merit-Amun odpłynęła do letniej rezydencji w Pi-Rames.

ROZDZIAŁ 10

Irinefer wracał ze Syene do Teb po zakończeniu inspekcji budowli sakralnych Górnego Egiptu. Ogromna barka wezyra płynęła w kierunku Edfu.

Spod szczelnego daszka oglądał brzeg Nilu i ludzi oddających mu hołd. W korycie rzeki wiał lekki, sprzyjający wiatr. Podniesiono duży prostokątny żagiel. Ogromne płótno, trzykrotnie szersze od „Wielkiej Kaczki”, wypełniło się powietrzem. Na środkowym brycie ukazał się wymalowany czarną farbą znak władzy, kontrastujący z białą-czerwona szachownicą płótna.

W świątyniach Edfu znajdowała się słynna szkoła medyczna oraz ogród roślin leczniczych. Irinefer zamierzał zatrzymać się tam dwa dni. W ośrodku tym od dawna przeprowadzano próby aklimatyzacji i udoskonalania roślin tak uprawnych, jak i ozdobnych. Z inicjatywy wezyra od prawie dwudziestu lat prowadzono tam doświadczalną uprawę kadzidłowca, zwanego też boswelią, ale jak dotąd nie złożono raportu o postępach hodowli; postanowił zbadać powody zaistniałego opóźnienia dlatego, że niezwykle kosztowny import kadzidła, nieodzownego dla wielu świątyń, zubażał skarb państwa. Teraz, nie mając nic ważnego do wykonania, kolejny raz analizował pismo podpisane przez Imhotepa. Wieści w nim zawarte od wielu dni nie pozwalały mu spokojnie spać.

Przypomniał sobie ostatnie zdanie tekstu, mówiące o nieznaney tajemnicy oraz jej strażniku w Edfu, i zastanawiał się, jak powinien postąpić, aby wejść w posiadanie reszty przekazu Imhotepa.

„Wielka Kaczka” dobiła do reprezentacyjnej części kamiennego nabrzeża. Marynarze cumowali statek. Irinefer wezwał sekretarza i spytał:

- Czy wszystkie polecenia wykonano, Senemecie?

- Tak, wezyrze.

- Doskonale. Wydaj rozkaz, aby moją łódź odprowadzono w górę rzeki, do Wyspy Słoniowej. Przyjadę za rok. Zanim tam dopłyną, niech załadują tysiąc dzbanów siewnego ziarna i zawiozą nadzorcy Sehelu. Czy jest jeszcze coś, o czym powinienem wiedzieć?

- Arcykapłan i główny lekarz zapraszają cię na jutro do sali nauk na wykład tutejszej sławy o niektórych aspektach wewnętrznej budowy człowieka.

- Ustal szczegóły. Jestem wolny od godzin porannych do samego południa. Chciałbym też, aby przedstawiono mi całą dokumentację hodowli kadzidłowca oraz wykaz wydatków i potrzeb w tej sprawie.

Sekretarz kiwnął głową.

Wezyr w urzędowym stroju wyszedł z kajuty na pokład. Naprzeciwko trapu oczekiwało go kilku wiekowych kapłanów. Za tą grupą Irinefer zauważył gromadę młodzieży w studenckich szatach. Na tle nieba piętrzyły się pylony świątyni i figury bogów, umieszczone wysoko pod jej szczytem w kolejności od największego do najmniejszego.

Na nabrzeżu panowała idealna cisza. Ktoś roztropny rozpiął liny, odgradzające tłum od chodnika, którym miał przejść wezyr. Wśród zebranych uwijała się straż świątynna oraz jego tajna i jawna ochrona. Patrzył przez chwilę na nich z pokładu, po czym głośno przemówił:

- W imieniu naszego umiłowanego faraona, Ramzesa II, pozdrawiam jego świątobliwość arcykapłana, księcia, szanownych nauczycieli zawodu i uczniów szkoły medycznej miasta Edfu.

Podniósł rękę w geście pozdrowienia. Odpowiedział mu szmer tłumy. W ceremonialnym stroju - ciężkim, sztywnym, uwiązany do barków rzemiennymi sznurami - Irinefer zszedł na nabrzeże. Za nim podążało dwóch ogromnych niewolników, dźwigających ogromne wachlarze z piór.

Irinefer oddał insygnia przybocznemu słudze i zwrócił się do zebranych:

- Wasza świątynia jest powszechnie uznawana za dzieło samych bogów, będące przypomnieniem pradawnej świątyni, która istniała na początku świata. To tutaj powstał przecież „Spis wzgórz pierwotnej epoki”, którego autorami było siedmiu mędrców z Totem na czele, mędrców znających nie tylko świat przed i po potopie, ale i ziemską i kosmiczną krainę śmierci Duat. Mam do was prośbę. Ze statku widziałem wykute na ścianach świątyni postacie bogów. Wykonano je w tym celu, aby uczyły, stanowiąc przykład dla pokoleń lekarzy. Czy możecie mi je objaśnić?

Wrażenie, jak się spodziewał, było kolosalne, i tak jak zwykle osiągnął zamierzony cel. Na twarzach gospodarzy zagościły uśmiechy.

- Wielki wezyrze, zrób nam tę łaskę i podejdź bliżej do pylonu - rzekł arcykapłan, a kiedy Irinefer uczynił zadość jego prośbie, kontynuował: - Pierwszą postacią, jaką widzisz, jest faraon walczący z wrogiem. Władca nie został nazwany z imienia ani wróg jasno określony. Scena mówi o stałości problemu doczesnej władzy, gdyż bardziej ona niż bogowie decyduje o losach szkoły. Bliżej wejścia z obu stron znajduje się Izyda, bogini uzdrowicielka, a obok niej Horus, starodawny bóg medyków, oraz Tot, źródło wszelkiej wiedzy. Ten ostatni jest przedstawiony jako postać większa od Izydy, gdyż jest lekarzem bogów. U góry, we fryzie, znajdują się bóstwa zdrowia i chorób. I tak wśród bogów choroby i nieszczęścia widzisz Setta, Sachmet, Bastet, na drugim zaś pylonie patrolujących zdrowiu Hathor, Bes, Chnum i Heket.

Arcykapłan skończył swój wywód, a Irinefer po dłuższym milczeniu powiedział:

- Dziękuję za wyjaśnienia, ale nie widzę Imhotepa, który również jest bogiem lekarzy.

- Wielki wezyrze, twoje spostrzeżenie jest niezwykle bystre. Jego drewniany posąg stoi w bocznej kolumnadzie przy sali nauk, aby ucząca się młodzież stale i bardziej bezpośrednio odbierała jego obecność. Od kilkuset lat wielkiemu Imhotepowi absolwenci składają przysięgę zachowania wierności

wpajającym tu zasadom postępowania lekarskiego. Liczymy, że najwyższa władza państwa doceni pracę szkoły i wynagrodzi świątynię szlachetnym kruszczem, gdyż posąg boga Imhotepa należy wykonać w złocie lub w elektronie.

Arcykapłan z nadzieją zerknął na Irinefera. Ten chłodno przyglądał się autorowi propozycji przez długą chwilę, nim rzekł:

- Każę dostarczyć wam kruszcu, ile trzeba, jeśli wywiążecie się ze wszystkich zadań, jakie wam powierzyło państwo. Mnie, nadzorcę skarbu, interesuje wykorzystanie środków, które faraon wydał na sprowadzenie i rozmnożenie u was krzewów wonnego kadzidłowca. Przyjechałem, aby sprawdzić, jak realizuje się to zadanie.

Obrócił się i bez słowa poszedł w kierunku straży. Został po nim strach i powiew wielkości, które panują nad ciałami i duszami.

Rankiem następnego dnia Irinefer przybył na wykład. Podwórzec świątyni wypełniał szczelnie tłum studentów, pedagogów, służb i notabli. Dla wezyra przygotowano wysokie siedzisko na podwyższeniu. Zamknięto bramy świątyni. Oczy wszystkich zebranych zwróciły się na niskiego, grubego mężczyznę w kapłańskich szatach, który stanął u stóp posągu Tota. Zapadła cisza. Kapłan, noszący imię Merenre, zrobił krok do przodu i mocnym głosem pozdrowił wezyra, następnie kolejnych gości, hierarchów i studentów, a później powiedział tak:

- Dziś, w obecności wezyra, oświadczam wam, że poznałem treść nie znanych dotąd pięciu świętych ksiąg medycznych boga Tota, w których znajdują się przepisy na zachowanie zdrowia i leczenie chorób. Naszym obowiązkiem jest przekazana wiedzę nie tylko zrozumieć, ale również rozwijać. Gdy naczynie ludzkich możliwości wypełni się pracą i doświadczeniem, bogowie dają porcję następną, na ogół przekazywaną wybranym we śnie. Nasz umysł uwalnia się wówczas z powłoki ciała. Nie ma dla niego przeszkód, widzi, słyszy, pamięta, chłonie, bogowie zaś wtedy nas uczą. Jeżeli dojdą do wniosku, że należy objawić nową wiedzę, śniący zapamięta jej treść równie dokładnie, jakby była wryta w kamieniu. Nasz kanon medycyny

zaczyna się od prawdy podstawowej, że życie doczesne jest etapem służącym przygotowaniu do właściwego życia po śmierci. To najwyższa z prawd i tak brzmi pierwsze zdanie z ksiąg Tota. Ale na ich kartach nie znalazłem niczego, co mówiłoby o tym, że poszczególne organy ludzkiego ciała należą i są przypisane do bóstw opiekuńczych. Bogowie rządzący planetami doprawdy nie są zainteresowani troską o nasze trzewia, serce, płuca, wątrobę czy też mózg. Mają inne zadania. Wśród zebranych podniosła się wrzawa. Słychać było okrzyki:

- Herezja! Precz z nim! Bzdura!

Wezyr podniósł rękę do góry. Głosy ucichły.

- To interesujące, niech mówi.

Mówca z wdzięcznością popatrzył na dostojnika i kontynuował wypowiedź:

- Jestem pewien swoich objawień. Mówiły mi one, że układ wewnętrzny człowieka jest zbudowany inaczej, niż nas uczono. My, lekarze, wierzyliśmy, że wewnątrz ciała znajduje się serce, od niego biegną kanały do kończyn, prącia i odbytu, a powietrze wnika do ciała przez nos oraz uszy, następnie przechodzi do kanałów, które dostarczają je do serca. Nauka nasza głosiła, że na tym funkcja kanałów się nie kończy, bo przenoszą one również krew, mocz, łzy, spermę i kał. Jest to bzdura nie mająca nic wspólnego z wiedzą zawartą w księgach Tota i moimi obserwacjami. Człowiek w środku zbudowany jest w zupełnie inny sposób.

Wśród nauczycieli zapanowała konsternacja.

- Mów dalej - zachęcił uczonego wezyr. - Każda prawda rodzi się w bólach, a jej znajomość przychodzi powoli. Żadna z początku nie ma wyznawców, a dogmaty są zazwyczaj gorliwie bronione przez fundamentalistów. Dla nich wiara jest równoznaczna z rozumem, a nauka stanowi niepotrzebną zabawę ateistów. Mów!

Kapłan odetchnął głębiej i podjął przerwany wykład:

- Przedstawiłem powyższy problem kolegium kapłanów w świątyni Anubisa i Ozyrysa, najwyższych bogów podziemnego świata zmarłych. Prosiłem o zgodę na pobyt w Mieście Umarłych, abym mógł zobaczyć i uczestniczyć w procesie balsamowania ciał. Chciałem sprawdzić, czy moje wizje znajdują

realne potwierdzenie. Długo oczekiwałem na werdykt. W końcu wydano orzeczenie: prawdziwi bogowie nie boją się odkrycia żadnej prawdy, nie lękają się też możliwości umysłu ludzkiego, gdyż został on nam ofiarowany w tym celu, byśmy odkrywali naturę rzeczy. Oświadczam wam z całą odpowiedzialnością, że oglądałem wnętrze ciała ludzkiego. Osią jego jest serce i ono właśnie wytwarza siłę, która przepycha krew wąskimi kanałami, 2"wanymi tętnicami, i rozprowadza dalej. Odbiera zaś kanałami szerokimi, które balsamatorzy zwą żyłami. Mimo pełnej życzliwości ludzi pracujących w Domu Umarłych moje oględziny człowieka nie mogły pójść głębiej. Powodem była konieczność zachowania nakazów religijnych, by przebywających tam zmarłych nie pozbawić żadnych części duchowych i materialnych niezbędnych do ponownego odrodzenia. Jestem przekonany, że gdybym mógł zbadać wnętrza ciał osób skazanych na zapomnienie i pozbawienie imienia, mój pogląd o anatomii byłby pełniejszy. W historii Egiptu nikt jednak nie wydał takiego zezwolenia. Dlatego zwracam się do was, czcigodni profesorowie, o pomoc w poznaniu prawdy. Wasze argumenty powinny przekonać najwyższe organy państwa.

Zmęczony mówca uklonił się i wmieszał w tłum.

Irinefer widział konsternację zebranych. Ten Merenre ma szczęście, że jestem tutaj, pomyślał. Wstał, popatrzył na milczący tłum i rzekł:

- Wykład, jaki usłyszałem, mógł się odbyć tylko wśród uczonych pełnych poszanowania dla prawdy i religii oraz wiary w możliwości umysłu ludzkiego. Zabieram Merenre do Teb, by zwołać tam uczonych różnych specjalności na dysputę teologiczno-medyczną dotyczącą możliwości pełnego poznania budowy wewnętrznej człowieka, a teraz chcę się widzieć tylko z arcykapłanem świątyni Imhotepa i Hathor.

Plac opustoszał. Do Irinefera zbliżył się mężczyzna z pudełkiem pełnym papirusów, które położył u stóp wezyra, po czym stanął u stopni podestu i czekał.

- Czy muszę się męczyć i oglądać te krzewy? - spytał wezyr. - Po twojej minie widzę, że aklimatyzacja się nie powiodła, a skrzynka z papirusami ma mnie przekonać, iż rośliny podlewaliście nawet własną krwią. Czyż nie tak?

- Panie, nie kpij ze starca.
 - Teraz wezyr zadaje oficjalne pytanie poddanemu.
- A więc?
- Nie podlewaliśmy krwią - rzekł cicho kapłan.
 - Czy rośliny jeszcze są?
 - Uratowała się połowa sadzonek. Zaraz po dostarczeniu padły największe.
 - A co z tymi, które pozostały?
 - Rosną, wytwarzają żywicę, ale nie jest jej wiele. Niestety, nie udaje się nam boswelii rozmnożyć.
 - Kapłanie, mnie niepowodzenia nie interesują.
 - Wezryrze, martwię się o prestiż naszej uczelni, o niesławę.
 - Dopiero teraz mówisz szczerze. Czy wiesz, dlaczego nie udało się wam rozmnożyć roślin?
 - Mogą być różne przyczyny.
 - A ja ci mówię, że powodem waszej porażki był strach. Zostało wam jeszcze ponad pięćdziesiąt roślin. Możecie zrobić z nimi, co chcecie. Jeśli dostarczycie mi młode sadzonki pochodzące z tutejszego matecznika, otrzymacie posąg Imhotepa z dowolnego kruszcu. Czy wyrażam się jasno?
 - Wszystko zrozumiałem, wezryrze.
 - Wiem, że jest u was słynna biblioteka. Kto nią kieruje i najlepiej zna zbiory?
 - Stary Rutamon. Jest tu od tak dawna, że pamięta wielu moich poprzedników. Chyba żyje kurzem z papirusów. Treść wójców zna na pamięć.
 - Przyślij go do mnie.
- Po jakimś czasie na podwórzec wprowadzono bardzo starego człowieka. Irinefer rozkazał oddalić się służbie i ochronie. Starzec, nie mogąc wyprostować kolan, zbliżał się drobnymi kroczkami. Jego ręce i głowa nieustannie drżały, kaprawe oczy łzawiły. Stał przed wezyrem i rozglądał się bezradnie.
- Irinefer spytał:
- Czy wiesz, kim jestem?
 - Źle widzę w świetle dnia. Chyba jesteś dzieckiem.
 - Mylisz się, Rutamonie, jestem wezyrem.
 - Ach tak, wezyrem - powtórzył bez zainteresowania starzec.

- Zdumiewasz mnie, bibliotekarzu. Powinieneś poznać swojego pana. Jestem wezyr Imhotep.

Starzec gwałtownie się wyprostował i niewidzącymi oczyma szukał miejsca, z którego dobiegał go głos.

- Jaki jest znak twoich pism, wezyrze?

- Mój sługo, obaj dobrze wiemy, że jest nim królewski kartusz faraona Dżesera i mój własny, też królewski, z postacią Tota w środku.

Starzec padł na twarz, płacząc ze szczęścia.

- Imhotepie! A więc przybyłeś?

- Tak. Oddasz, strażniku, wszystkie swoje pisma człowiekowi, który cię przyprowadził. On mi je doręczy. Wypełniłeś zadanie, a bóg Tot i bogini Maat wiedzą o twoich zasługach.

Irinefer przywołał Benefera.

- Wezwij moją straż. Człowiek ten wyda z biblioteki ważne pisma. Żaden ich strzęp, najmniejszy kawałek, nie może się zawieruszyć czy zapodziać. Dlatego wasze oczy niech kontrolują ręce. Nie wolno nikomu otwierać zwojów i czytać treści. Potem przyniesiecie je do mojego sekretarza, który je zabezpieczy i odda osobiście mnie. Możecie odejść.

Bez dalszych słów obrócił się i podążył do pomieszczeń gościnnych. Po drodze zawołał pokojowca i rozkazał przyprowadzić sekretarza. Po jakimś czasie wezwany zgłosił się z małą skrzynką w rękach.

- To wszystko?

- Tak, zabrano całość. Straż była przy mnie do czasu, aż nałożyłem pieczęcie.

- Co jeszcze?

- Ktoś z biblioteki, po wyjściu naszych ludzi, nagle umarł.

Podróż szybką łodzią do Teb trwała cały dzień. Irinefer z ulgą wracał do domu, w którym nie było go blisko osiem miesięcy. Witają go służba i sztab osobistych urzędników. Mimo pozorów radości w pałacu panował lęk. Irinefer niezbyt szczerze powitanie przyjął ze spokojem, tylko ci stojący najbliżej usłyszeli jakieś niewyraźne słowa, ale doskonale wiedzieli, że jeśli było w nich coś z wdzięczności, to tylko tyle, ile ma pająk dla dawno schwytych much.

W sekretariacie czekał Senemet. Wezyr raczył go zauważyć.

- Moje bagaże?

- Wniesione.

- Problemy na dzisiaj?

- Jeden. Urzędnik, którego w Syene wysłałeś z darami do świątyni w Om.

- Niech zaczeka! Czy są listy od faraona? >

- Nie ma.

- Jakies informacje o Tanemerze i wykonaniu jego zadania?

- Nic nie nadeszło w tej sprawie.

Ciekawe, myślał wezyr, co przynosi Siamon od arcykapłana Om. Chyba nadszedł czas, aby zaktywizować sprzysiężenie i poluzować zasady konspiracji. Do przeprowadzenia skutecznej akcji przeciw Ramessydom trzeba koniecznie doprowadzić do jednoczesnego przyjazdu faraona i wodzów armii do Memfis.

Irinefer był przekonany, że śmierć Merit-Amun ściągnęłaby na ceremonię pogrzebową wszystkich, którzy byli celem zamachu, jak i tych, co mogliby przeciwstawić się próbie przewrotu.

Sięgnął po metalowy dzwoneczek i potrząsnął nim. Wszedł Senemet.

- Przyślij człowieka, który przybył z Memfis.

Sekretarz wyszedł, by po chwili pojawić się z lekko siwiejącym mężczyzną. Irinefer znał go dobrze. Człowiek ten od wielu lat pracował w kontroli dochodów i był członkiem sprzysiężenia.

- Siądź, Siamonie, przy oknie. A ty, Senemecie na dziś skończyłeś służbę. Niech zastąpi cię Dramun.

- Wielki wezyrze - zaczął Siamon. - Twoje informacje o tym, co się stało w Om, są znacznie dokładniejsze niż te, jakie udało mi się ustalić na miejscu w przybytku boga Atuma. Skontaktowałem się z siatką naszych ludzi w Memfis i pojechaliśmy do świątyni Sachmet. Nikogo tam nie było. Człowiek z przyszłości znikł i nie wiadomo, gdzie jest. Potem, tak jak poleciłeś, z zastępcą szefa stołecznej policji Jahmesem bezskutecznie szukaliśmy kapłana o imieniu Tanemer, który według twoich informacji miał uwięzić uciekiniera z Om. Istnieją przesłanki, że obecnie znajduje się on w Tebach. Nie wiadomo, czy

jest z nim więzien. Teraz sprawa następna. Ludzie, z którymi z polecenia Sansepa utrzymywał kontakt Putyfar - chodzi mi głównie o osobę określaną przez niego mianem człowieka z Memfis - też są nie do znalezienia. Jahmes podejrzewa, że stanowią siatkę agentów izraelskich i nie mają nic wspólnego z naszym sprzysiężeniem. Można sądzić, że Sansep w sprawie uwięzionego w Om działał dwutorowo. Długo analizowaliśmy, o co mogło tu chodzić. Trudno podejrzewać, żeby arcykapłan jednej z najświętszych egipskich świątyń spiskował z wywiadem obcego państwa. Oczywiście to, co ustaliłem, nie wpływa na harmonogram zadań zasadniczych. Wszystko jest gotowe do realizacji ustalonego przez ciebie scenariusza działań, ale okoliczności związane z osobami Sansepa, Putyfara i Tane-mera są wielce zagadkowe i dla bezpieczeństwa naszej sprawy należy wyjaśnić je do końca.

- Co powiedział arcykapłan Goren?

- Tylko tyle, że jego poprzednik zmarł na paraliż. Przyjął dary, ale nawet słowem nie wspomniał o niczym, co zaszło w świątyni.

- Czy w Memfis były jakieś wiadomości dla mnie?

- Tak, Jahmes przekazał mi trzy listy. Oddaję je.

- Dobrze spełniłeś swoje zadanie. Zostań w pałacu, będziesz mi potrzebny. Teraz idź i wypocznij.

Kiedy został sam, zbliżył się do światła i sięgnął po korespondencję. Starannie złożone kawałki papirusu po rozprostowaniu miały powierzchnię nie większą od dłoni.

W liście pierwszym znajdował się zapis o następującej treści: *Wiadomość ze statku. Wysłannicy uzyskali termin rozmowy z obiektem. Całkowita realizacja planu.*

List drugi brzmiał: *Informacja ze statku o przeprowadzonej rozmowie. Brak możliwości oceny skutków. Obiekt wraca do Egiptu i można przypuszczać, że swoje decyzje uzależni od wyroczni Amona w Tebach.*

List trzeci był najkrótszy. Nadany w Tyrze informował, że *Grupa bez tłumacza wraca łądem do Memfis.*

Irinefer spojrział na daty. Powinni niedługo dotrzeć do stolicy Dolnego Egiptu. Wieści nie były złe, raczej takie, jakich się spodziewał. Dżawer nie był głupi. Wiadomość, że wielki wódz

Armii Seta rzekomo chce powierzyć sprawę wyroczniom, jest oczywistym nonsensem i sprytnym wybiegiem; ten rutyniarz i dobry strateg po śmierci synów przestał wierzyć w jakichkolwiek bogów. Co zatem oznacza jego manewr? Najpewniej w ten sposób dał sygnał, że zamierza się odsunąć od czynnego udziału w dokonaniu zmiany władzy. Gdyby jej pragnął, po śmierci Setiego mógł ją wziąć jak bezpańskiego psa. Były takie oczekiwania, a nawet oferty poparcia.

Trzeba będzie ponownie wysłać Siamona do Memfis, aby sprowadził tutaj do Teb wysłanników udających pielgrzymów. Później się znajdzie możliwość przypomnienia Nubijczykom o tradycjach ich wojennego rzemiosła. Były wódz tych nomadów też powinien się zjawić niebawem, aby dowiedzieć się, że we właściwym czasie ma rozpocząć powstanie na południu i uzyskać - co za głupiec - koronę wolnej Nubii.

Irinefer od dawna podejrzewał, że triumwirat założycieli tajemnego sprzysiężenia był fikcją, wymyśloną przez Sansepa po to, aby zachęcić go do ubiegania się o tron. Ponad dwa lata temu zmusił arcykapłana do wydania listy członków sprzysiężenia. Nie była imponująca. Zawierała kilkadziesiąt imion ludzi w większości starszych, ale nie zawierała dwóch najważniejszych: założycieli spisku. Niemniej wśród wymienionych w spisie były postacie dobrze znane publicznie i - co ciekawe - autorytety teologiczne. Ci ludzie mogli próbować opanować kler i doprowadzić do zniesienia wielobóstwa.

Irinefer podszedł do okna i spojrzął na rzekę. Odwróciwszy się, zawołał głośno Dramuna, a kiedy ten pojawił się w drzwiach, podszedł do niego i palcem delikatnie dotknął jego piersi na wysokości serca. Murzyn uśmiechnął się jak łaskotane dziecko.

- Dramunie - powiedział Irinefer - staniesz za tymi drzwiami i nikogo tu nie wpuścisz.

Murzyn kiwnął głową na znak, że zrozumiał, i wyszedł. Irinefer ponownie zbliżył się do okna i przesunął odcinek gzymsu ku górze. Usłyszawszy szczęk urządzenia, lekko nacisnął framugę. Ściana przesunęła się, tworząc wąskie przejście.

Ogromne pomieszczenie od ziemi do sufitu zajmowało zło: "Wręgach, plackach, sztabach, naczyniach, naszyjnikach,

pierścieniach. Piętnaście procent dochodów państwa z ostatnich siedmiu lat. W skrzyniach błyszcząły oszlifowane i surowe kamienie. W kącie leżał oręż, zdobiony emalią i złotem. Miejsce złożenia skarbu najbardziej ukochał Dramun, który chciał przebywać tu stale. Środek pomieszczenia zajmował stół, a na nim znajdowała się pełna dokumentacja spisku: imiona, adresy, pseudonimy członków, system łączności zwykłej i awaryjnej, podział na sekcje, skład grup specjalnych. Sięgnął po listę Sansepa. Chciał sobie przypomnieć, kto znajdował się w kartotece dowódców spiskowców w Memfis. Znalazł dwóch braci księcia miasta, kilku młodzieńców uważających się za synów Ramzesa, nadzorcę królewskiego haremu oraz dowódcę tamtejszego garnizonu, jednego z jego oficerów, obecnie przeniesionego w randze generała do nadzorowania silnej jednostki w Tebach, oraz zastępcę szefa memfickiej policji, Jahmesa.

Irinefer uważnie przeglądał spisy. W ewidencji kapłanów niższej rangi odnalazł Tanemera i Putyfara. Wszystko, co przeczytał do tej pory, stanowiło indeks podstawowy. Obok leżały akta obejmujące spisy osób oraz schematy organizacji w poszczególnych nomach, ocenę użyteczności każdej z osób, dane dotyczące ich motywacji oraz karty obserwacji indywidualnej. W sprzysiężeniu uczestniczyło ponad trzy tysiące ludzi. Obok, na mniejszej kupce, leżał spis usuniętych. Byli nimi ci, co nie przeszli przez sita okresowej weryfikacji, wśród nich jeden syn królewski. Resztę stanowiły zgony na skutek nieszczęśliwych wypadków. Nie jest ich dużo, pomyślał, czterysta osób nieświadomych zaocznego wyroku śmierci w czasie siedmiu lat w tak dużym kraju jak Egipt to doprawdy ofiara symboliczna.

Irinefer był zmęczony, ale po rozmowie z Siamonem podjął decyzję. W najbliższym czasie mają się do niego zgłosić osobiście oficer wytypowany na głównego koordynatora akcji w stolicy oraz przełożony grupy do zadań specjalnych, obaj z Memfis. Ten pierwszy do spółki z Jahmesem zapewni bierność policji, wywoła zamieszki w mieście i dokona serii zamachów. Temu drugiemu wezyr wskaże pierwszy cel - Merit-Amun.

Przypomni  sobie o pismach zabranych z biblioteki w Ed-
fu. Na dworze by o jeszcze jasno. Zawo a  Dramuna.

- Przynie  mi z pokoju sekretarza opiecz towan  skrzynk .
Murzyn po chwili wr ci .

- Teraz zamknij drzwi. P jdziesz za mn  i mozesz si  bawi c
tym, co tam si  znajduje.

ROZDZIAŁ 11

Żeglowna barka miała nas zawieźć do Dendera w cztery doby. Na przystankach słycać było głosy podnieconych kupców, kramarzy i pośredników, które wzywały bogów, przeklinały kapitana, jego statek i właścicieli, i nagle milkły, gdy dowodzący z ponurą miną oświadczał, że łódź należy do floty rzecznej świątyni Amona w Tebach, a ceny są stałe. Podróż nie była męcząca i w końcu dobiliśmy do miejsca przeznaczenia. Tillit wyszła na pokład, bystro spoglądając na brzeg. Podeszło do niej dwóch mężczyzn, prowadzących na postronku kilkanaście osłów. Zobaczyłem, że na ramionach mają wytatuowane dwa splecione węże. Sprawnie załadowano bagaże i ruszyliśmy drogą biegnącą wzdłuż rzeki, kierując się w stronę południowej granicy miasta, a opuściwszy port, skręciliśmy w gęsto zabudowane przedmieścia z wąskimi uliczkami. Mijali nas przechodnie, dookoła biegały rozkrzyczane dzieci, w powietrzu unosiły się zapachy czosnku, krojonej cebuli, smażonych mięs i wypiekanego chleba. Przeszliśmy obok portowej knajpki. Przez otwarte szeroko drzwi wylewała się na zewnątrz ponadczasowa kakofonia pijackich głosów, czkawki i strzepów opowieści o wielkich jednogodzinnych zwycięstwach nad sąsiadem, żoną i światem, której towarzyszył intensywny zapach potu, drożdży i moczu, zmieszane z atmosferą chamstwa i drobnych oszustw. Wkrótce wąskie uliczki stały się szersze. We wnękach murów kramarze porozkładali swe towary; niektórzy usiłowali nas zatrzymać, pokazując dorodne ryby, owoce, przedmioty ze skóry, metalu, wyroby z czerwonego granitu, czarnego bazaltu, zielonego malachitu, białego alabastru. Oglądając to wszystko z zainteresowaniem, coraz bardziej zostawałem z tyłu; Tillit i lu-

dzie, którzy po nas przyszli, zatrzymali się w dole ulicy i niecierpliwie patrzyli w moją stronę. Zreflektowałem się, cholera, przecież to nie wycieczka; zapomniałem, gdzie i kim jestem.

Słońce zbaczało już ku zachodowi, kiedy weszliśmy w dzielnicę ogrodów i większych domów. W niebo strzelały daktylowce, uginające się pod brzemieniem dorodnych owoców. Poniżej gęste szpalery śliw i figowców tworzyły ścianę zieleni. Po płotach i gałęziach biegały tresowane małpy, skrzecząc zrzuciły owoce na ziemię. Skręcaliśmy w stronę błyszczącej nieopodal rzeki. W ceglany murze dostrzegłem przejście, zamknięte grubymi drewnianymi wierzejami. Widniał na nich nakreślony zapewne dziecięcą ręką napis „Izy pawian”. Długo się śmiałem, gdy w końcu pojąłem znaczenie tej ortograficznej pomyłki. Jeden z mężczyzn, którzy po nas przybyli, krzyknął głośno i po chwili otwarto bramę.

W ogromnym ogrodzie stał obszerny parterowy dom z piaskowca. Kilka szerokich schodków prowadziło do sporego ni to ganku, ni przedsiönka, podpartego czterema kamiennymi kolumnami.

Wskazano mi kwatere; okazały się nią dwa pokoje z niewielkim aneksem. Odkryłem tam liczne naczynia napełnione wodą, dokładnie wypolerowane miski oraz ceramiczne kubły z przykrywą. Obejrawszy łazienkę - tak nazwałem w myślach to miejsce - udałem się do pokoi. Wewnątrz większego, który od razu ochrzciłem salonem, panował przyjemny chłód. Na kamiennych paterach odkryłem świeże i suszone owoce oraz wino w pojemniku z napisem: *Słodkie, mocne z Tanis*. W małych pudełkach przy oknie znalazłem kości do gry, komplet pionków, szachownicę o trzydziestu polach, krążki jak w warcach oraz karty. Ku mojemu zdumieniu obrazki na awersach przedstawiały wszystkie postacie i symbole tarota. W drugim pokoju znajdowało się łóżko i stojak na kaganki.

Rozległo się pukanie i do pomieszczenia weszli służący, wnosząc kilka koszy. W pierwszym znalazłem trzy peruki oraz kilka gładkich spódniczek. W następnym kompletny zestaw do golenia, z dwiema brzytwami i ładnym, świetnie wypolerowanym i lekko powiększającym lustrem oraz pachnidła. Dwa ko-

szyki zawierały prosty miecz, dwa sztylety z brązu oraz liczne zwoje papirusów lekarskich, które przed odjazdem dał mi w prezencie Mereneptah.

Obejrzawszy to wszystko, zastanowiłem się nad swoją najbliższą przyszłością. Mereneptah mówił, że w Dendera jest sanatorium. A więc odpoczynek, spanie, picie, czytanie. Aha! Przecież powinno tu znajdować się również mnóstwo kobiet. Na samą myśl o nich aż mnie skręciło. Dla odparcia głupich myśli postanowiłem skorzystać z kąpeli i już przy wycieraniu byłem trzeźwo myślącym, normalnym chłopem, który nie patrzy w lustro ze specjalną radością, ale nie ma wewnętrznego imperatywu oglądania się za małolatami.

Zjadłem garść daktyli i fig, po czym podszedłem do okna, skąd rozciągał się widok na starannie utrzymany ogród. Usłyszałem ciche chrząknięcie. Obróciłem się - niewolnik o sympatycznych rysach twarzy zawiadomił mnie, że niedługo w ogrodzie zostanie podany wieczorny posiłek. Szybko przebrałem się w ofiarowane rzeczy, a pamiętając, że wszyscy w domu Mereneptaha, nie wyłączając służby, wydzielali intensywny zapach, przejrzałem swoją „toaletkę” i wybrałem pachnącą maść. Natarłem nią głowę, policzki i pachy. Przymierzywszy peruki, nałożyłem najmniej ciasną. Wszystko było takie, jak trzeba, ale spoglądając na swoje odbicie w lustrze, czułem się śmieszny.

Wyszedłem na schody i rzuciwszy spojrzenie na migocący w zachodzącym słońcu Nil, zszedłem między klomby z kwiatami. Kamienne płyty okalały centralnie usytuowaną sadzawkę z kolorowymi rybkami. Na jej obmurowaniu siedział dorodny pawian; nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi, iskał się z powagą mającą nieodparcie świadczyć, że na tym terenie jest najważniejszy. Coś trąciło mnie mokrym nosem w nogę. Spojrzałem w dół na małego psa, łudzaco podobnego do jamnika. Dwa inne o wyglądzie chartów spały w cieniu przedsionka. Małpa zeskoczyła, podbiegła na czterech łapach do psów i szczerząc zęby ni to w uśmiechu, ni w złości wyrzuciła psy do ogrodu. Gdyby tylko chciała, mogłaby przepędzić również mnie. Tego byłem pewien.

Obok sadzawki ustawiono krzesła i niski stół. Pilnowały go dwie służące. Na taborecie siedziała Tillit ubrana w białą su-

kienkę i czarną perukę z czymś w kształcie stożka wśród loków, co wydzielало miły zapach. Ramiona okryła wełnianą cienką chustą, która rozchylając się na szyi pozwalała dostrzec szeroki naszyjnik z wąskich pasków błękitnego turkus. W dekolcie sukienki wyraźnie się zaznaczały soczyste piersi. Aż mnie zatkało z wrażenia. Najmniej piątka, albo i lepiej. Zrobiło mi się gorąco, ale swoją sytuację zobaczyłem w dużo lepszym świetle. Byłem pewien, że jest całkowicie świadoma, iż płynąca od niej fala seksu dociera do mnie, przenika na wskroś i wywołuje piorunujący efekt. Nie patrzyła w moim kierunku, lecz byłem pewny, że zauważyła, jak wielkie wywołała wrażenie. To ją speszyło, zaczerwieniła się. W takiej sytuacji zawsze powstaje kretyńska atmosfera. Wiedziałem, że Tillit - ganiąc własną próżność - chce szybko wyciszyć dwuznaczną sytuację. Kazała przyprowadzić dziecko, mimo że niewolnica powiedziała, iż przed chwilą zasnęło. Ponowiła polecenie tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Daj spokój - powiedziałem. - Malec śpi, jest późno i niebawem od rzeki przylecą komary. A ty - zwróciłem się do niewolnicy - pójdz i pilnuj, aby go nie pogryzły.

Służebna oddaliła się. Biorąc z tacy kawałek ciasta, kątem oka zobaczyłem, że Tillit odwraca się do mnie, a usta jej lekko drżą, marszczy się nos i zaczyna drgać broda. Spojrzałem jej w oczy i oboje zaśmialiśmy się głośno, wiedząc, że uwalniamy się z fałszu poprzedniej sytuacji, mogącej być jednocześnie zapowiedzią, prologiem, ofertą albo niczym. Odzyskała powagę:

- Jak rozkażesz, tak będzie, mój mężu - powiedziała żartobliwie.

Przyniesiono wino, które nalałem sobie do pucharka. Tillit kazała niewolnicy, aby obsłużyła ją również. Uprzedziłem służebną i wzięwszy dzban, usiadłem nieco bliżej. Popełniłem błąd. Odsunęła się, nie wyrażając zgody na skrócenie dotychczas utrzymywanego dystansu. Co gorsze, odczułem, że sprawiłem jej przykrość. Oddaliłem niewolnicę prosząc, aby przyszła po zmierzchu. Chyba nie mogłem wymyślić nic gorszego. Tillit zeszytniała; nie tała, że jest zła. Żadnych zmarszczek na nosie, dekolt zasłonięty, milczenie. Odwróciła głowę w bok, ogładając zachód. Przyjęta przez nią postawa i całe zachowanie

wyrażały ostry protest. Nawet złączone kolana skierowała w przeciwną stronę niż zajmowane przez mnie miejsce.

- Tillit - powiedziałem cicho - w całej naszej dotychczasowej znajomości zamieniliśmy tylko kilka zdań. Nie wiem, czy jesteś tu z własnej woli czy nie. Moje życie jest zagrożone, a przyczyny, dla których tak się dzieje, są nie do wytłumaczenia. Twój kraj jest dla mnie niezrozumiały, a mnóstwo słów i pojęć jest tylko pustym dźwiękiem. Potrzebuję przewodnika i nauczyciela. Obiecuję, że będę pilnym uczniem. Chciałbym, abyś była przy mnie jak najczęściej. Nie tylko dlatego, że jesteś piękną kobietą!

Zacerwieniła się i gwałtownie wstała, rozlewając trunek. Jakby przypadkowo dotknęła ręką mojej twarzy i po prostu uciekła. Słyszałem, jak dzwonią na schodach bransoletki i łańcuszki, otaczające kostki jej nóg. Zostałem sam. Wróciłem do swojego pokoju, usiadłem przy oknie, zjadłem owoce i kawałek ciasta i położyłem się spać. Zbudził mnie słodki alt śpiewający tekst, który wydał mi się podobny do „Pieśni nad pieśniami”.

„W dół rzeki płynęłam wśród rytmicznego wiosłowania.

Niosę wiązkę trzciny na ramieniu.

Skoro przybędę do miasta, powiem do Ptaha, pana prawdy,
niech brat będzie u mnie w nocy, niech wreszcie przybędzie.

I oto rzeka jest jak wino, a Ptah jak trzcina u jej brzegu,

A Nefer to dla mnie kwiat lotosu.

Gdy brat mój jest wesoły, kraj cały lśni od jego urody.

Będę leżała u siebie i udawała chorą, a sąsiedzi przyjdą
mnie odwiedzić.

Brat mój też przyjdzie z nimi i wyśmieję lekarza.

On tylko zna się dobrze na mojej chorobie”.

Leżałem w łóżku, zdumiony i zasłuchany. Śpiewaczka oddaliła się, nie słyszałem już słów, tylko melodię tej miłosnej pieśni. Podeszedłem do okna, ale dostrzegłem jedynie znikającą postać z ogoloną głową. Jak mogłem najciszej wyszedłem na dwór. Przez chwilę było zupełnie cicho. Potem gęsi zbudziły krzykiem psy, te pawiana, który skrzecząc i szczerząc kły pę-

dził w moim kierunku, skacząc przy tym bardziej w górę niż w przód. Jamnik liznął mnie w nogę. Awantura zgasła, gdy w trójkę poszliśmy w dół ogrodu, nad rzekę przykrytą nieśmiałą mgłą - zapowiedzią poranka. Na północy z oparu wychyliły się kontury pylonów i wież. Miasto nie miało murów ani fosy. Z drugiej strony rzeki wiły się wąskie pola uprawne, walczące z jałową pustynią o przetrwanie. Liczne szadufy z pustymi pojemnikami na wodę wyciągały długie szyje, ustawiając się w rzędzie ginącej w oddali zbieżnej panoramy. Za moimi plecami słońce rozpoczęło swoją wędrówkę od Ozyrysa do Ra.

W ogrodzie nie spotkałem nikogo. Zastanawiałem się, kim była śpiewaczka; może w ogóle nie istniała, a dręczył mnie omam, zjawa, demon? Ale czy demon może śpiewać miłosną pieśń?

Spokojnie stawiając duże kroki, nadchodził pawian; przykucnął, przytulając do mnie tułów. Głośno sapał i domagał się pieszczot. To samo robił jamnik. Było jasne, że przynajmniej zwierzęta uznały mnie za domownika. Poczułem się rześko i odzyskałem spokój. Wróciłem do sypialni. Jamnik zasnął od razu, zawijając się w brudną odzież. Otworzyłem kuferek od Merenepthaha. Wyjąłem z niego papirus zatytułowany „Traktat o zachowaniu lekarza”; znalazłem w nim zasady egipskiej deontologii, jak też „Kanon postępowania medyka”. Choroby podzielono na te, które można leczyć, i takie, które leczeniu się nie poddają: gruźlicę kręgosłupa i kości, nowotwory, ostry i przewlekły reumatyzm, przewlekłe zespoły psychotyczne, marskość wątroby, wady wrodzone. Z treści wynikało, że egipski lekarz miał prawo odmówić leczenia chorób figurujących w rejestrze nieuleczalnych. Zastanawiałem się nad przyczynami, dla jakich przyjęto te zasady, czy był to skrajny pragmatyzm zawodowy, niewrażliwość na cierpienie, czy też zwykła ludzka uczciwość? Studiowałem ustalone reguły aż do końca, chcąc zapoznać się z myślą, która je zbudowała. Papirus nader starannie wyliczał dozwolone metody, rodzaje stosowanych leków i wyraźnie przestrzegał przed zejściem lekarza z wytyczonej traktatami drogi. Autor straszył konsekwencjami za stosowanie metod nie zaakceptowanych. *Wówczas na lekarza* (kopista na czerwono podkreślił ten akapit) *wejdzie*

okrutne prawo, a ono nie tworzy rzeczywistości, lecz tylko jej towarzyszy.

Nie wiedziałem, czy „oko za oko” i „zab za zab” było wcześniej czy później, sumeryjskie czy babilońskie, ale bez złudzeń mogłem się domyślać, co może oznaczać okrutne prawo. Nieco dalej figurowało pikantne zdanko o tym, że nie należy badać dziewczyny bez obecności ojca, a kobiet - gdy w pobliżu nie znajduje się mąż. Widocznie autor posiadał właściwe mniemanie o magicznym wpływie tytułu lekarskiego na zespół skrótowca narzeczeństwa do dziesięciu minut.

Kanon kończył się treścią przysięgi lekarskiej. Była taka sama jak moja, którą składałem Hipokratesowi, z jedną różnicą - tekst na papirusie zaczynał się od wymienienia Izydy i Imhotepa.

Rozległo się pukanie i po chwili wniesiono jajecznicę, mleko, masło i pszenne podplomyki. Nie zdążyłem zabrać się do jedzenia, gdy służący zaanonsował przybycie czcigodnego Menhure. Któż to może być? Po chwili wszedł mężczyzna, z sylwetki, kształtu głowy i rysów podobny do Mereneptha. Poprosiłem, by usiadł, proponując rozłożone na stole jedzenie. Dopiero gdy zostaliśmy sami, przemówił:

- Jestem stryjem Tillit. Otrzymałem od brata wiadomość o waszym przybyciu, ale przyplłynęliście dzień wcześniej, dlatego pojawiłem się dopiero teraz. Wiem, że grozi ci, Neferze, niebezpieczeństwo. Dlatego uważam, że nie powinieneś się kryć, lecz odwrotnie - pokazać się kilka razy w świątyni i w mieście. Uspokoi to policję, która na pewno wie o waszym przybyciu. O służbę nie musisz się martwić, sprowadziłem ją parę dni temu i dla pewności kazałem poznać na nowo, aby wiedzieli, czyi są, co bardzo ich ucieszyło, bo nawet pies czy małpa muszą mieć swojego pana.

Podziękowałem mu za przybycie i zainteresowanie. Wyraziłem troskę, że tak rano musiał wstać, aby przyjść do mnie aż z miasta. Zaśmiał się i pokazał na leżącą obok dużą posesję.

- Mieszkam tam wraz z żoną. Synowie od dawna są na swoim i mówiąc prawdę, trochę się nudzę. Dlatego namawiałem brata, aby kupił tę posiadłość. Dendera to świetne miejsce dla słynnych medyków.

Wtedy przyszła Tillit, prowadząc za rękę dziecko.

- Usłyszałam twój głos, stryju, a nie widziałam cię tak dawno. Spójrz na mojego syna. Ma na imię Titt.

Serdecznie się uściskali. Menhure kucnął, oglądając chłopczyka, który szybko przytulił się do matki i natychmiast włożył kciuk do buzi.

- Jest podobny do naszej rodziny, popatrz, nawet włosy na czole układają się nie prosto, a w dwa łuki.

Malec przejęty okazywanym mu tak znacznym zainteresowaniem, wsadził do ust trzy palce i najspokojniej w świetle spod krótkiej koszulki wysokim strumieniem oddał moc. Zaskoczony Menhure nie zdążył uskoczyć. Dałem mu swoją odzież i spytałem, czy nie chciałby pokazać mi miasta. Ucieszył się, a za chwilę jego ludzie sprowadzili pod dom łódź i udaliśmy się do centrum.

Na ulicach i placach kłębił się tłum starców i chorych. Dookoła nas cuchnęło od słabości, choroby, lęku, strachu, nadziei, bezradności i bólu. Wszędzie widziałem sterczące brzuchy mężczyzn o krótkich i grubych, a czasami pozbawionych mięśni patykowatych nogach, wiszące piersi i obwisłe pośladki starych, nieustannie gadających bab. Między spacerującymi kręcili się ludzie dotknięci najrozmaitszymi formami kalectwa - ślepi, chromi, jednonożni, osobnicy z uschłymi rękami i nogami, garbaci, okaleczeni krzywicą, gruźlicą lub zapaleniem. Na obrzeżu placu krążyły nieustannie drżące grupki parkinsoników. Spoglądałem na mamlące języki, powykręcane palce, słyszałem chrupot artretycznie zmienionych stawów. Psychicznie chorzy upajali się urojeniami, głośno prowadząc dysputy, śmiejąc się w przestrzeń, wachając nie istniejące kwiaty, chłonąc muzykę niedostępną dla innych, krocących w pozach hieratycznych lub zwierzęcych. Między nimi leżeli, stali, kucali lub podskakiwali żebracy. Potworność prezentowanego tutaj kalectwa mogłaby posłużyć miejscowemu Goi do stworzenia makabrycznych obrazów z widokami cuchnącego mięsa, zropiałych kadłubów, obnażonych zębów, wygryzionych warg, oczodołów bez powiek, nosów bez nozdrzy, czaszek z dziurami zamiast uszu, kalafiorowatych guzów szyi, brzucha, słoniowatych nóg o skórze popękanej jak strzaskane kolumny. Obok

stali zaklinacze i pomocnicy lekarzy, tamowacze krwi, dzieci bez rodziców, złodziejaskowie, natręci, sprzedawcy amuletów, ziół, plastrów, wonności. Między nimi, zachęcająco kręcąc biodrami, krążyły podstarzałe kobiety z nieustanną ofertą dawania miłości tuż przed śmiercią, a nawet w grobie. Tłum falował w obłądnym chaotycznym tańcu, w którym nikt nikogo nie interesował, a każdy wiedział, że jest sam i cierpi. To monstrum złożone z setek kalek umierało żyjąc i żyło umierając, niczym kipiące gorące błoto, które co chwila zmienia wygląd, wypuszczając pęcherze cuchnącego siarkowodoru. Chłonałem ten widok, przypominając sobie wizje stworzone przez Boscha, Breugla i Dantego, gdyż za ich czasów obraz takiego infernum można było oglądać na co dzień. Patrząc na tych nieszczęśników mogłem zrozumieć, jak głęboką wewnętrzną potrzebę uzdrowienia niesie w sobie każdy chory człowiek. Ci, którzy przybyli tutaj, oczekiwali cudu lub interwencji stwórcy, ukazując zdrowym nieuchronną skuteczność boskiego postępowania, w którym najpierw powstaje nowy zdrowy człowiek, aby po krótkim czasie stał się stary i chory po to, by niczym nawóz zasilić glebę.

Menhure wziął mnie za rękę i zaprowadził na jedną z wież górujących nad placem. Poniżej, na ogrodzonym terenie znajdowały się różnej wielkości zabudowania. Do każdego z nich doprowadzono wodę, a system powikłanych kanalików i kanałów łączył je ze świątynią główną. Z wysokości, na której się znajdowaliśmy, mogłem zobaczyć kompleks basenów kąpielowych, obok których stali łaźiebni i łaźiebne, kapłani i kapłanki. Tłum nadal falował na placu. Dźwięk trąb poprzedził otwarcie bram świątyni Imhotepa i Hathor. Tuż obok za bramą można było wynająć posługaczy, lektyki i noszowych. Zgromadzeni ludzie, co dla mnie było całkowicie niepojęte, dokładnie wiedzieli, czego od siebie oczekują. Spytałem Menhure, o co tu chodzi.

- Widzisz przed sobą dział leczenia cudowną wodą. Źródło bije na dziedzińcu świątyni. Zarówno pacjenci, jak i lekarze wiedzą, który z bogów jest najskuteczniejszy w leczeniu określonej choroby. Woda obmywa osobno każde z bóstw, a potem jest kierowana kanałem do właściwych basenów, gdzie chorzy

zażywają oczyszczających i uzdrawiających kąpiele, tańszych - zbiorowych - dla biednych oraz droższych - pojedynczych - dla bogatych. Spójrz, Neferze, w tym wielkim basenie widzisz nagich mężczyzn; leczą reumatyzm i schorzenia stawów. Zanim zbiornik napełni się wodą, przyjdzie kapłan, który wypowie magiczną formułę i dokona oczyszczenia. A teraz spójrz dalej, o tam, na prawo, aż pod sam styk murów. Widzisz? Przytaknąłem.

- Na dole jest mała brama, jeszcze zamknięta. Za chwilę się otworzy. O! Właśnie ją otwierają. Tam są wyłącznie młode bezdzietne kobiety.

- Chcesz powiedzieć, że leczą bezpłodność, tak?

- Oczywiście. Nasz sposób jest bardzo skuteczny.

- Na czym polega?

- Tego dokładnie nie wiem, ale opowiadano mi, że nagie kobiety po odbyciu rytualnej kąpiele stają w rozkroku nad ołtarzami z symbolem bogini Hathor. Wonne zioła, spalane na rusztach ofiarnych, przyciągają macicę w dół celem wzbudzenia jej gotowości do poczęcia. Z kolei zioła cuchnące odpychają zbyt nisko leżącą macicę, aby schowała się w głębi ciała i przestała dręczyć kobietę chuciami. Jeśli nic nie pomaga, kapłanki odmawiają modlitwy i zaklęcia, sypiąc na węgle mieszanki zbóż i kadzidła oraz lek płodności. Dymem trzykrotnie okadza się kobiece łona. Za tym murem jest kamienny posąg Apisa, przedstawionego pod postacią byka. Mężczyznom wchodzić tam nie wolno, ale słyszałem, że byka wyrzeźbiono w pozycji, gdy staje na tylnych nogach, chcąc pokryć krowę. Kobiety podchodzą, no i... Wiesz przecież, o co chodzi.

- Raczej się domyślam.

- Ja też chciałbym zobaczyć na własne oczy taki spektakl! - Zaśmiał się głośno. - Ale spójrz, Neferze, na tę aleję. Stoi tam chyba sto byków zwróconych do siebie pyskami. Drogę między nimi nazywamy aleją płodności.

Czekaliśmy długo. Lekki wiatr, wiejący akurat stamtąd, przyniósł do nas zapach mirry. Z dala widziałem zgrabne sylwetki młodych kobiet z okrągłymi biodrami i sterczącymi piersiami. Wychodziły ze świątyni, z pobożnie złożonymi na piersiach dłońmi. Część z nich była całkiem łyśa.

- Dlaczego zgolono im włosy? - spytałem Menhure.

Zdziwiony spojrział na mnie, kilka razy mrugnął oczyma i dopiero po chwili odpowiedział:

- Chcą być pożądaną, a naga głowa jest najpiękniejsza. Tylko wieśniacy i niewolnicy nie usuwają owłosienia.

Kobiety podchodziły kolejno do byków, wsiadając okrzakiem na ich grzbiety. Widziałem rząd wypiętych pośladków, wykonujących posuwisty taniec ciała z kamieniem.

- Po co to robią? - spytałem zaskoczony.

- Wchłaniają siłę płodności.

- I potem zachodzą w ciążę?

- Oczywiście. Kuracja jest kosztowna, ale bezdzietne żony mają prawo zwrócić się do administracji, do swego pana lub męża o środki na ten zbożny cel. Musisz zrozumieć, Neferze, że bezpłodne kobiety są jak puste makówki, wyschnięte dynie czy jałowa gleba. Oznacza to również, że bogowie odwrócili od nich swój wzrok, albo że rzucono na nie urok, a takie nieszczęście staje się smartwieniem wszystkich.

- A po kuracji, czy otrzymują jakieś leki do domu?

- Dostają poświęcone woreczki z ziarnem pszenicy i jęczmienia. Jeśli we właściwym czasie nie przychodzi comiesięczne krwawienie, wkładają kilka ziaren w muł nilowy i podlewają je przez pięć dni swoim moczem. Gdy zboże skielkuje, znaczy, że są w ciąży; kiedy jęczmień jako pierwszy przebijie powierzchnię ziemi, urodzi się córka, gdy pszenica - syn.

- Żartujesz, Menhure.

- Absolutnie nie. Mam sześcioro dzieci i zawsze wiedzieliśmy, co nam bogowie przyniosą.

Ruszyliśmy w stronę Nilu, zostawiając za sobą plac z chorymi i kompleks świątynny. Prawie na środku nurtu znajdowała się duża wyspa, a na niej okazałe budowle, szczelnie otoczone wysokim murem. Niżej zobaczyłem małe moło, ciąg schodów i dużą zamkniętą bramę, a przed nią coś w rodzaju namiotu.

- Czy to forteca? - zapytałem, wskazując palcem.

Spojrział na mnie bacznie.

- Dom Umarłych. W środku mieszkają ludzie nieczyści, do miasta wchodzić im nie wolno. Nie zdajesz sobie sprawy, jaki smród stamtąd dochodzi, jeśli wiatr wieje w stronę miasta.

Tillit nie pokazała się tego dnia ani następnego. Miałem ochotę ją zobaczyć, ale brak mi było odwagi, by zapukać do jej drzwi. Wiedziałem, że jest obok. Czasami w korytarzach owijały mnie fale pozostawionego przez nią zapachu. W moich pomieszczeniach codziennie zmieniano ręczniki i kwiaty, ale dokonywano tego tak dyskretnie i cicho, że nigdy nie widziałem tego, kto to robił. Towarzystwa dotrzymywał mi Menhure, który meldował się rano, a wychodził wieczorem. Obiecał zaprowadzić mnie do swojego warsztatu, produkującego narzędzia lekarskie.

Popłynęliśmy łodzią. Mijając Dom Umarłych, usłyszałem dobiegające zza murów recytacje i pienia żałobne. Z przeciwnej strony do wyspy zbliżała się duża, głęboko zanurzona łódź. Całe jej wnętrze zajmowały worki wypełnione białą, sypką zawartością.

- Co oni przewożą?

- To natron, rodzaj sody. Gdy się ją zmiesza z tłuszczem, można nią myć ręce, ale strasznie szczypie i pali. Tam, za murami, używają tego minerału do balsamowania ciał.

- Byłeś tam kiedy?

- Nie, ale po śmierci na pewno trafię.

Dojechalśmy na miejsce. Na brzegu przywitali nas dwaj bogato odziani młodzi ludzie.

- Moi synowie - powiedział z dumą Menhure.

Przeszliśmy do pomieszczenia pełniącego funkcje sali ekspozycyjnej. Na stołach zobaczyłem narzędzia lekarskie: noże z rozmaitymi ostrzami, kleszczyki, pesety, nożyczki, młotki, świdry, wiertła od małych do średnicy palca, strzykawki, lewatywy, kleszcze porodowe, igły, cewniki, łopatki, sondy. Byłem zdumiony. Sądziłem, że większość narzędzi, które tu widziałem, została wymyślona w późniejszych czasach, nawet znałem nazwiska wynalazców. Menhure był usatysfakcjonowany moim zaskoczeniem.

- W Egipcie jesteśmy najlepsi. Spójrz na nasz najnowszy wynalazek - pokazał mi troakar, tępą igłę grubości połowy mojego palca, z szczelnie dopasowaną zatyczką z ostrym końcem.

- Wiesz, do czego to służy?

- Tak, można nim usunąć płyn z brzucha, a czasami nakłuć głęboki ropień lub krwiak.

- Masz rację. Chcę ci dać w prezencie to narzędzie oraz dodatkowo dwa noże, ale musisz za nie zapłacić, bo nie chcę, aby ostrza przecięły naszą przyjaźń.

Dla odczynienia złych uroków plunął na ziemię, po czym z półki podał mi skórzany futerał. Otworzyłem go, znajdując w środku nóż przypominający prosektoryjny oraz małej precyzyjny skalpel. Obydwa miały wygodne, dopasowane do kształtu ręki uchwyty.

Opuściliśmy wytwórnię i skierowaliśmy się do nieznanej mi części miasta. Idąc między sklepikami złotników, przyglądałem się ze zdziwieniem pawianom z pomalowanymi na niebiesko grzywami, uwiązany do straganów. Menhure, widząc moje zainteresowanie zwierzętami, powiedział:

- Tresowany samiec nawet uzbrojonego człowieka może zgryźć od razu. Są lepsze niż psy i nie dają się przekupić.

Kluczyliśmy poplątanymi uliczkami - Menhure najwyraźniej czegoś szukał. Stał wreszcie przy sporym warsztacie, w witrynie którego zobaczyłem figurki z terakoty. Przedstawiały wykonujących rozmaite czynności mężczyzn i kobiety.

- Piękne uszebti - powiedział, oglądając jedną dziewczęcą postać za drugą.

Wybrał trzy całkowicie nagie.

- Menhure, wytłumacz mi, do czego służą te figurki?

- Nie wiesz? W takim razie kto za ciebie będzie pracował na Polu Trzciny? Kiedy już moje ciało złożą w sarkofagu, a kapłan zapieczętuje grobowiec, wówczas uszebti będą wykonywać za mnie pracę u Ozyrysa. Zgromadziłem ich ponad sto; przedstawiają osoby wykonujące różne zawody.

- Dobrze, a te trzy po co kupiłeś, jeśli tamtych masz aż tak wiele?

- Moja dusza zapewne kiedyś przejdzie sąd Anubisa. Ale moje „ka” pozostanie w grobowcu i będzie miało takie same pragnienia, jakie miałem za życia. Dlatego poleciłem wymalować wszystkie ściany w krypcie w pikantne scenki. Wiesz, od przodu, tyłu i... A te trzy dziewczuszki mają piękne cycuszki i ślicznie wymodelowane pupki. Świetne nałożnice dla mojego „ka”. Ono będzie się nieustannie z nimi kochać, a ja z radością będę na to patrzył i odpoczywał.

- Dziwię się tobie, Menhure... Taki mądry i zamożny człowiek i tylko trzy dziewczyny do...

- Masz rację. Dokupię jeszcze siedem, ale mojej żonie ani słowa.

Kupił dziewięć.

Tillit nie przyszła na obiad, czym sprawiła mi zawód, a że dzień mnie zmęczył, zamierzałem uciąć sobie drzemkę. Trochę mnie irytowała - najpierw prowokacja, później rejterada? Jej wola. Ile ona może mieć lat? Pewno nie więcej niż dwadzieścia. Czy jest zamężna? Chyba tak, bo ma dziecko, ale może jej mąż nie żyje? Zastanawiałem się też, dlaczego rodzice puścili ją z samotnym mężczyzną w kwiecie wieku. Mereneptah nie był kretynem, a sytuacja aż się prosiła o wykorzystanie. Ta pierwsza kolacja... Może prowokowanie mnie wynikało z kokieterii, niedojrzałości, młodości? Omal się nie roześmiałem. Z taką figurą i falującymi piersiami? Ona z premedytacją zrobiła, co zrobiła. Tylko po co?

Nie spałem, gadając sam z sobą. Nie byłem tak zarozumiały, aby uwierzyć, że moja piękność ją urzekła. Ale coś się stało. Zaraz... A ta miłosna pieśń w ogrodzie? Może to była ona? Skromność i prostota nakazały mi myśleć, że nie do mnie kierowała te słowa. Do kogo więc? - spytała pycha. Do stryja? Do pawiana? Odwieczny kłopot z babami. Jaki tam kłopot, może po prostu jej nie rozumiem. Ale co tu jest do rozumienia? Kolana w lewo, spojrzenie w prawo, trzepotanie powiekami, uśmiechy w przestrzeń, rumieńce aż po pachwiny, prężenie piersi, trzepotanie bransoletkami, pupa w tył i muśnięcie twarzy... Bez sensu.

Zbudził mnie przeraźliwy krzyk Tillit. Pognałem do niej. Zobaczyłem ją trzymającą w rękach bezwładnego synka. Dziecko siniało, a ona krzyczała, trzęsła nim, to znowu przyciskała je do siebie.

- Tillit! Tillit! Co się stało?

Była nieprzytomna z trwogi. Nie odpowiadała.

- Tillit, co się stało? - krzyknąłem i wymierzyłem jej mocne uderzenie w twarz.

Oprzytomniała; zanosząc się płaczem wykrztusiła:

- Osa ukryta w daktylu użądliła Titta w gardło, mój malutki synek się dusi i umiera.

Pognałem do pokoju, chwyciłem ofiarowane mi przez Menhure narzędzia i prawie bez tchu przybiegłem z powrotem.

- Połóż go tutaj na stole, głową w dół, i poświeć łuczywem. Niżej! Patrz, ale na wszystkich bogów jakich znasz, nie przeskadzaj.

Odgiałem głowę dziecka do tyłu. Naciałem skalpelem skórę między lekko wyczuwalną chrząstką tarczową a mostkiem, a potem także tchawicę i do jej wnętrza włożyłem tępą rurkę troakara. Dmuchałem przez nią kilka razy. Oddech malca zaskoczył ze świstem. Popielata siność ust, nosa i uszu zaczęła szybko ustępować.

- Tillit! On będzie żył. Spójrz, oddycha!

Malec cierpiał, nie mógł mówić ani dobrze oddychać, ale wkrótce zasnął. Rano otwór troakara zamknąłem zatyczką. Próba wypadła dobrze. Titt po chwili oddychał nosem. Wykonana tracheotomia wymagała natychmiastowego zamknięcia. Tillit nie była przerażona, gdy poprosiłem ją o igły i nici. Wygotowałem wszystko we wrzącej wodzie, a potem w winie, uprzednio palcami nadając igle kształt półokrągły. Z nożyczek zrobiłem prymitywny igłotrzymacz. Byłem zdenerwowany. Jak ja tego dzieciaka uspię? Co będzie, gdy nastąpi zakażenie? Len przecież nie nadaje się do szycia tchawicy.

- Co robią kobiety w twoim kraju, jeśli dzieci nie chcą spać?

Tillit nie miała problemów z odpowiedzią.

- Dają im do picia sok z niedojrzałych makówek, zmieszany z miodem lub daktylami.

- Przynieś tyle, ile trzeba i zrób wszystko, aby twój synek mocno zasnął.

Po chwili wróciła, zbudziła dziecko i napiła kilkoma łyżkami słodkiej papki. Malec ponownie zasnął. Odczekałem około dwudziestu minut, po czym stwierdziłem, że Titt jest wystarczająco bezwładny, a źrenice ma jak szpileczki.

- Podejdz do mnie, Tillit - poprosiłem. - Chcę zamknąć ten otwór, który mu zrobiłem na szyi. Musisz mi pomóc, gdy będę zszywał cięcie. Popatrz, tymi nożyczkami rozchyliš skórę tak, abym zobaczył coś, co wygląda jak biała rurka.

Nie mówiła nic i po chwili nasza praca była skończona. Wstrzymała moją rękę, gdy chciałem rozpocząć bandażowanie. Na zszytą skórę położyła wyjętą z ust kulkę mocno spleśniałego chleba.

Piątego dnia na środku rany zrobiło się małe ropne zgrubienie, które w następnym dniu pękło. Wyciągnąłem zgniły, ale kompletny szew. Tydzień później prawie nikt nie zwracał uwagi na małą bliznę na szyi dziecka. W tym też dniu wieczorem chłopiec podczas kąpieli głośno wypowiedział moje imię.

ROZDZIAŁ 12

Merit-Amun od dwóch dni przebywała w Pi-Rames, letniej siedzibie faraona We wschodniej części delty Nilu. Ożywczy wiatr niósł od pobliskiego morza zapach nieznanymi krain, a bogata sieć kanałów obficie nawadniała urodzajną ziemię, na którą czasami nawet padały deszcze. Okolice nomów XV, XVI, XIX i XX zawsze były spichrzem i głównym źródłem bogactwa państwa. Tradycyjnym bogiem opiekuńczym był tu Set, który szczerze rewanzował się wyznawcom bujną roślinnością, niesłychaną obfitością ryb i ptactwa, bogactwem pól, wyśmienitą winoroślą o smaku miodu.

Merit-Amun przyjechała do Pi-Rames, aby spokojnie przemyśleć szereg spraw; szaleńcze tempo pracy, jakie sobie narzuciła w Memfis, wyraźnie ją zmęczyło. Wszystkie dotychczasowe zabiegi skierowane na znalezienie siewców plotek o złym stanie zdrowia ojca spełzły na niczym. Przez moment wydawało się jej, że stary wódz Dżawer wyolbrzymił problem, ale raporty potwierdziły, że kłamliwe pogłoski są rozpowszechniane nadal. Niedawno zwróciła się do trzech słynnych wyroczni, prosząc o prorocstwo dla rodu. Wróżby wypadły mało jednoznacznie, na pewno jednak nie źle, a mimo to nie pozbyła się uczucia niepokoju i zagrożenia. Kilka dni temu otrzymała list od ojca. Pisał, że nie może przewidzieć czasu powrotu do Memfis ani potwierdzić osobistego uczestnictwa w dorocznym święcie Amona, ale wyraźnie zaznaczył, aby zwróciła uwagę na własne bezpieczeństwo. Jednozdaniowa wzmianka wzbudziła w niej najgorsze przeczucia i potwierdziła dotychczasowe obawy. Wtedy przypomniała sobie, że Nefertari ogromnym szcunkiem darzyła wieszczka z Tanis o imieniu Katten. Kontakty

między nim a matką urwały się z chwilą, gdy Ramzes zarzucił żonie uzależnianie decyzji od wyników proroctw. Ale prawdziwą przyczyną było to, że Katten - na wyraźne naleganie Nefertari, wręcz do tego zmuszony - przeprowadził wróżby, z których wynikało, że Ramzes w swoim długim panowaniu będzie miał pięć żon uznanych za królowe. Nefertari była czwartą z kolei, toteż złowrogi wydźwięk wróżby ogromnie ją poruszył. Merit-Amun postanowiła sprowadzić wieszczka do Pi-Rames. Po namyśle zaprosiła również arcykapłana Anhure z nomu tynnckiego. Poza ojcem i nią nikt nie wiedział, że ten wysoki dostojnik Amona jest dalekim krewnym matki.

Obu zaproszonych gości Merit-Amun przyjęła po królewsku i dała im odczuć, że spotkanie jest rodzajem rodzinnej konsultacji. Nie ukrywała znanych jej faktów oraz tego, że obawia się zamachu na ród Ramessydów.

- Księżniczko - rzekł Katten - mógłbym dokonać próby jasnowidzenia, chociaż wiem, że najbliższe dni uchodzą za niepomyślne. Najlepiej, abym w tak ważnej sprawie przepowiedział przyszłość między trzynastym a dwudziestym szóstym dniem następnego miesiąca.

- Kattenie, żądam, abyś wstępnej oceny nadchodzących zdarzeń dokonał jak najszybciej, a z właściwą wróżbą poczekaemy i odbędzie się ona później w Memfis.

- W takim razie już dziś na niebie spróbuję wypatrzeć znaki wróżebne, gdy gwiazda psa zwana Sotis pojawi się nad horyzontem. A teraz, jeśli pozwolisz, pójdę rozpocząć przygotowania.

Została sama z Anhure.

- Chciałabym poznać twój pogląd.

Ten zastanowił się i odrzekł:

- Przede wszystkim powinnaś pani o wszystkich swoich obawach powiadomić ojca i brata, a wroga trzeba poszukiwać wszędzie, wewnątrz i na zewnątrz kraju, choć wydaje mi się, że nikt z sąsiednich władców nie może marzyć o zajęciu egipskiego tronu, ale to nie wyklucza knozań. Hetyci są pobici, Babilon za słaby, Assyria może roić takie plany, ale też nie jest jeszcze wystarczająco silna. W samym Egipcie przeciwko faraonowi mogą wystąpić jedynie dzieci Ramzesa lub potomkowie

poprzednio panujących dynastii. Czy coś na ten temat mówią dwór i rodzina?

- Wiadomo wszystkim, że prawowitym następcą ojca jest Kaim. Jestem pewna, że ze spiskiem nie ma nic wspólnego.

- A synowie z innych matek?

- Żaden z nich nie zostanie zaakceptowany przez dwór, wojsko i hierarchię.

- TSJie bądź tego pewna, pani. Spisek zawsze ma swoje drugie oblicze, niezauważalny nurt i ukryte dno. Jako historyk a jednocześnie kapłan wiem dobrze, iż kler w takie działania zawsze się włącza, a na pewno nigdy nie stoi z boku. Nie chcę przez to powiedzieć, że jest bezpośrednim inspiratorem przewrotu, co oczywiście też miało miejsce, lecz nigdy i nigdzie zmiana władzy nie została przeprowadzona bez udziału hierarchii. Ma ona tak szczególną pozycję w strukturze państwa, że zawsze umiejscowi się po stronie zwycięzcy. W naszych księgach kanonicznych znajduje się zapis, który cały problem ujmuje jednym zdaniem: „Usta narodu mówią językiem kapłanów i kierują ich czynami”. Czy masz w świątyniach, a szczególnie w przybytkach Amona, ludzi oddanych twojej dynastii?

- I tak, i nie. Poza tobą ci, do których miałam zaufanie, zajmują podrzędne stanowiska i nie mają dostępu do grona decydentów.

- Sprawdzenie tej części problemu zostaw mnie, księżniczko.

- Anhure, nawet zakładając teoretycznie, że potencjalny czy rzeczywisty uzurpator znalazł się pod opieką kapłanów, by mój ród usunąć, trzeba zabić setki Yudzi, mieć za sobą wszystkie armie i ogromne środki finansowe.

- Nie masz racji. Twoja dynastia i dwór są biedakami w porównaniu z siłą materialną i moralną świątyń. To, co tysiącletni tam przekazano w darach, deputatach i nadaniach, przechodzi wszelkie wyobrażenia. Sądzę, że za nikłą część majątku zgromadzonego w skarbcach Amona można by kupić całe wojsko egipskie i armie sąsiednich krajów. Aby rozwiązać twój problem należy wybiec dalej i dokonać spekulacji myślowej. Przyjmijmy, że hierarchia jest wmieszana w spisek i dąży do zmiany faraona. Myśląc tymi kategoriami sądzą, że zarzuca Ramzesowi coś, czego władca nie wykonuje, a dla kapłanów

jest to sprawa pryncypialna lub dogmatyczna. Wtedy pojawia się pytanie dlaczego i o co konkretnie tutaj chodzi, jeśli nigdy w dziejach Egiptu potęga świątyń nie była tak wielka jak obecnie. Nie mogę wykluczyć, że omawiany problem dotyczy zmiany nie tyle osoby władcy, co struktury władzy. Sądzę, że powyższymi podejrzeniami należy zainteresować hierarchów Seta. Zawdzięczają Ramessydom bardzo wiele i równie dużo mogą stracić w wypadku zmiany dynastii. Mam wśród nich przyjaciół, w głębokiej tajemnicy opracowuję z nimi nowy traktat religijny, który zakłada obecność pierwiastka boskiego jedynie u bogów pradawnych, a więc Seta, Ptaha i Tota, z pominięciem Amona, a znaczną część legendy ozyriańskiej uznajemy za historyczne fałszerstwo.

- Anhure, jesteś heretykiem. To, co mówisz, może zniszczyć podstawy państwa i wprowadzić anarchię. Czy zdajesz sobie sprawę, jakie szkody w świadomości zwykłych ludzi wywołałoby zniszczenie pradawnego kultu naszych bogów?

- Według pism i dokładnych raportów z nie tak dalekiej przeszłości naród przybycie Atona przyjął z wyraźną ulgą. Duża liczba ludzi została uwolniona spod władztwa uciskających ją świątyń, a rolnicy z wielu powinności. Gdyby Echnaton posiadał cechy męża stanu, polityka i wodza, to od wielu lat cały Egipt wyznawałby jedyne boga, jak to robią Żydzi. Jedynym ich bogiem jest Jahwe, który otacza ten naród opieką i wspiera mocą w walce z wrogami. Czy wiesz, księżniczko, że wojska twojego pradziadka Ramzesa I na rozkaz Jahwe zostały zatopione w morzu? Jest to w Egipcie najpilniej strzeżona tajemnica świątyń, spisana jako raport Menesa, jedyne ocalałego, a potem otrutego świadka zdarzeń. Przez wiele lat patrole królewskie twojego dziadka Setiego na próżno szukały śladów zaginionej ogromnej armii. Przerażeni kapłani w świątyni Amona ogłosili, że wszyscy poszukiwani zginęli w burzy piaskowej na pustyni.

- Anhure, mój ojciec koniecznie powinien poznać prawdę o tych wydarzeniach, będących tajemnicą nie świątyni, a państwa.

- Sama to powiedziałaś. Kapłani Amona przez zatajenie dopuścili się zdrady stanu. Jednakże po tak długim czasie wywle-

czenie tej sprawy na światło dzienne przyniesie więcej szkody ■niż pożytku, gdyż obecnie nie powoduje skutków negatywnych ani dla państwa, ani dla Ramessydów. Z kolei to, że w Egipcie panuje spokój, a proroctwa dla twojej dynastii wypadają korzystnie, wynika z obawy hierarchii Amona przed odkryciem raportu Menesa.

- Skąd znasz tajemnice, o których nie wie tron?

- Będę całkiem szczery. Wpadłem na trop dokumentów ukrytych w bibliotekach, a dotyczących przodków ludzkości, których obecnie nazywa się bogami. Nie było wśród nich Amona. Prawda o powstaniu życia na ziemi jest odmienna niż oficjalny przekaz kapłański. Ziarno zasiane w państwach, które dawno znikły z mapy świata, daje teraz plon w naszym kraju.

- Anhure, zadziwisz mnie, a jeszcze bardziej niepokoisz. Twoje słowa są nie tylko herezją, ale także próbą buntu, zmierzającą do pozbawienia władcy atrybutów boskich. Ty, Anhure, istniejesz, działasz, myślisz, zakładasz jakieś śmieszne stowarzyszenia umysłów tylko dlatego, że taka jest wola faraona, i kontynuujesz swoje zamierzenia dzięki jego opiece. Gdyby nie on i władcy przed nim, ty i tobie podobni złożylibyście kości przy budowie fundamentów twierdz hyksoskich lub w najlepszym wypadku osuszalibyście libijskie bagna i błota, wdeptując w nie słomę. Niezależność myśli wynika z pełnej wolności osoby, a nie zaprzeczysz, że to wojska egipskie, a nie uczeni, kapłani i myśliciele stoją na straży twojej cennej ogolonej czaszki. To tylko jeden ruch miecza, Anhure, i nie ma głowy, nie ma myśli, nie ma herezji i buntu. Tylko w wolnym kraju można poświęcać się nauce, filozofii, etyce. W uciemionym te dyscypliny umierają, a zostaje niewolnicza praca i wiara. Nic poza tym.

- Księżniczko. Jedno sądzę jako uczonego, i odnosi się to do nieodgadnionej przyszłości, drugie jako poddany, co pozwala na interpretację przeszłości. Jako człowiek mogę popełnić błędy. Mojej władczyni miałem obowiązek podania odpowiedzi zgodnej z sumieniem i wiedzą. Służę ci całym sobą, jakim jestem.

Gniew wolno opuszczał Merit-Amun. Wstała i rzekła:

- Przebaczam ci winę, a wyrzeczone przez ciebie słowa nie

uratowałyby twojej głowy. Nawet nie jesteś w stanie domyślać się, kto ją ocalił.

Przez chwilę milczała, zagryzając górną wargę.

- Mój ojciec, nasz pan Ramzes II, zawsze mi przypominał, że dla tronu istotne zagrożenie stanowią obłudni dworacy albo głupcy. Ty nie jesteś ani jednym, ani drugim. Sądzę, że faraon z zainteresowaniem dowie się prawdy o raporcie Menesa i ze zdumieniem o tym, że grób jego dziadka jest symboliczny. Wtedy nadejdzie czas, aby wstrząsnąć w posiadach świątyniami Amona. Masz tu ode mnie amulet mający magiczną moc obrony przed trucizną, strzałą i nożem. Jest stary i pochodzi z Sumeru. Noś go na szyi i przyjmij moją uwagę, że bez pokory nie będziesz dostrzegał prawdy.

Anhure ukląkł, wyciągnął ręce ku górze i padł na twarz przed księżniczką.

- Wybacz mi, pojąłem ciężar decyzji, jakie musisz podejmować w samotności.

- Tak, Anhure. Często sumienie władcy stoi nad prawami ludzkimi, a niekiedy kłóci się z przykazaniami boskimi. Ciężar władzy jest tak ogromny, że w odróżnieniu od zwykłych ludzi dusza faraona po śmierci zmienia się w ptaka i z lampą w dziobie ulatuje do zachodniego nieba. Staje się wtedy nową gwiazdą, świecącą obok podobnych upamiętniających zmarłych królów Egiptu.

- Księżniczko, to tylko legenda z Księgi Umarłych, piękna i łatwa do zapamiętania. Zmusza władcę do kontroli ziemskich czynów i przywołuje sumienie. Mówi, że faraon, tak jak każdy, za swe uczynki będzie oceniany na wadze prawdy.

- Wolę ją niż doktrynę, którą teraz opracowują ludzie tacy jak ty. Moją stworzyli bogowie. A teraz powiem, czego od ciebie oczekuję. Jako córka faraona muszę prowadzić nieustającą grę. Ale władcy ani jego rodzinie nie przystoi prowadzenie gry politycznej z prawdą, lecz czasami istnieje nagła konieczność jej wydobycia i wtedy trzeba posłużyć się kłamstwem, obłudą lub przeinaczeniem. Moi ludzie wydobędą to, czego szukam, a ty idź i spróbuj sprawdzić, czy podejrzenia, o których mówiłam, są uzasadnione. Kapłani Seta zawsze byli dobrze poinformowani o wszystkich knowaniach tebańskiego Amona,

a intuicja podpowiada mi, że niezwykła cisza, jaka w ostatnim okresie panuje w stolicy Górnego Egiptu, jest zwiastunem, iż w głębokim ukryciu przygotowuje się tam prowokację wobec prawowitej władzy lub próbę zamachu. Niech ci w tym pomogą bogowie, w których - jak mówisz - wierzysz.

Następnego dnia rano Merit-Amun udała się do gabinetu ojca. Kochała ten niewielki pokój. Rok temu, gdy ukończono pałac, dziwiła się, że Ramzes kazał na ścianach wyryć sentencje; początkowo wydawały się jej niedorzeczne lub niedostosowane, jakby ich treść zubażała potęgę faraonów. Autorem tak uwiecznionych myśli był Seti.

Na prawo od wejścia wyryto zdania będące rodzajem apelu faraona do siebie samego: *Bądź bardziej powściągliwy wobec poddanych, albowiem wszyscy ludzie oddają swoje serca nie inaczej jak tylko ze strachu. Nie zbliżaj się do nich i bądź samotny. Nie dowierzaj bratu, nie znaj przyjaciół, nie zjednuj sobie sojuszników, to się nie oplaci.*

Ile prawdy w tej myśli, dumiała, ale jak trudno żyć i pamiętać o niej, lecz gdyby było inaczej, Ramzes nie musiałby tej przestrogi utrwalać w czerwonym asuańskim granicie. Usiadła przy stole, kładąc na nim dwa opieczętowane papirusy. Z ich zawartości wynikało, że nomarchowie Białego Muru i Skorpionna otaczają się zbytkiem, prowadzą hulawczy tryb życia i lekceważą obowiązki. Postanowiła, że wyśle im ostrzeżenie. Pierwsze, lecz ostatnie.

Wezwała pisarza i podyktowała mu dwa krótkie teksty, jednocześnie czytając napis umieszczony po lewej stronie drzwi: *I ten właśnie, który jadł mój chleb, powstał na mnie, ten któremu podałem rękę w podzięce, wzbudził we mnie przerażenie, a inni, którzy przywdziali moje najcieńsze płótna, patrzyli na mnie jak na suchą trawę, a ci, którzy się namaścili moimi pachnidłami, w podzięce nalali wody do spichlerza.*

Poleciała przynieść lniane stryczki i kazała dołączyć je do pism. Przed przyłożeniem pieczęci kazała skrybie, aby dodał do tekstu uwagę, że w ten wyrazisty sposób przypomina nomarchom o obowiązkach względem państwa. Następnie napisała listy do ojca i brata, co zajęło jej całe przedpołudnie.

Zawiadomiła też Kattena, że dwie godziny przed zachodem słońca pragnie go zobaczyć u siebie. Zarówno słoneczny gnomon, jak i przemyślnie zbudowany ceramiczny zegar wodny zgodnie pokazywały upływ czasu, pozwalając na dokładne wykonanie przewidzianych czynności. Zbliżała się najgorętsza pora dnia. Powietrze stało się gęste. Wezwała niewolnice, kazała ochłodzić się wachlarzami. Położyła się na wysokim łóżku w najzimniejszej części pomieszczenia. J^a podłogę rozpylono wodę z domieszką mięty. Merit-Amun patrzyła na sufit, na którym anonimowy malarz oddał dość wiernie oblicze dziadka, uchwycone z profilu w podwójnej tiarze, trzymającego w uniesionych rękach berło i bat. Autor złamał regułę dworskiego malarstwa, nakazującą faraonowi zasiadać na tronie ze skrzyżowanymi rękoma. Na fresku Seti prawą ręką z biczem wskazywał na napis: *Moje posągi były wśród żywych, a moje nadania między ludźmi. Wzbudziłem niesłychaną nienawiści walkę o niewidzialnym zasięgu. Dobro bowiem nie jest całkowite dla ludzi, którzy nie wiedzą, czego powinni być świadomi.* Słowa przodków granit przemawiał i przestrzegał, nakazywał rozważę.

Wieszczka przyprowadzono do ogrodu we wskazanym czasie. Księżniczka wskazała mu niskie krzesło. Usiadł - spokojnie przyglądając się różnokolorowym roślinom, kwitnącym dookoła zacienionego ganku.

- Chcę poznać wróżby - powiedziała bez wstępow.

- Przeprowadziłem trzy rodzaje analiz przyszłości. Obserwacja nieba nie dała mi żadnej odpowiedzi. Gwiazda twojego ojca i naszego kraju świeci jasno, ale fakt ten nie daje pewności, iż nic złego się nie wydarzy. Z lotu ptaków mogę wnioskować, że w niedalekiej przyszłości krajowi grozi chaos, a dookoła faraona niedawno krążył zwiastun śmierci i zdrady. Niestety ramię, które planowało zbrodnię, istnieje nadal. Faraon wie, że usiłowano go zabić i szuka tego, kto wynajął zabójców.

- Jak dotąd nie powiedziałaś więcej, niż doniosły mi listy oraz szpiedzy.

- Księżniczko, jeszcze nie skończyłem^a Rano przeprowadziłem wróżby z młodego barana. Trzykrotnie rzucałem kości i za każdym razem wypadła liczba trzyście. Nie jest to dobra

liczba. Zabiłem trzynaste z kolei zwierzę i sprawdziłem jego wątrobę. Na tej podstawie twierdzą, że osoby związane z dynastią Tutmozisów zorganizowały spisek zmierzający do zniszczenia Ramessydów. Zobaczyłem znaki obu tych rodów.

- Wieszczyku. Sześćdziesiąt lat temu zmarł ostatni z mężczyzn podówczas panującej dynastii. Chyba nie istnieli za Horheba, a tym bardziej za mojego dziada i ojca.

- *Mylisz się, ktoś taki żyje*, ma potęgę i sojuszników, zgromadził ogromny skarb i chce zająć tron!

- Podaj jego imię.

- Jeszcze go nie znam.

- A więc co należy zrobić, abym mogła je poznać?

- Wydaj rozkaz, aby jutro przed świtem twoje służby dostarczyły do pałacu osiemnastu niewinnych chłopców ze wsi. Tymi trzema świętymi kośćmi do gry sama wyrzucisz cyfrę. Los w ten sposób wskaże na dziecko.

- Nie pozwolę na składanie ofiar z ludzi, nawet w tak ważnej sprawie.

- Nie lękaj się, księżniczko. Dzieci należą do najbardziej świętej trzody boga i nic im nie grozi. Potrzebuję medium, a może się nim stać tylko niewinny chłopiec. Być może przez niego przemówi przyszłość.

- Czy dziecko ujawni nazwisko przywódcy spisku?

- Zależy to od łaski bogów i zdarza się niezwykle rzadko, ale jest możliwe. Więcej mógłbym powiedzieć w transie jasnowidztwa. Już dziś rozpocznę stosowne posty. Czy chcesz być *obok mnie, gdy przywołam mówiącego ducha?*

- Przypuszczam, że nie będzie to widowisko z cyklu tych, jakie oglądałam na dworze ojca, gdy magowie ożywiali drewniane węże. Woskowe krokodyle nagle zaczęły chodzić, woda zmieniła się w krew, a pomieszczenie wypełnił przyjemny zapach i śpiew ptaków...

- Księżniczko, nie lekceważ magii, której ja nie uprawiam, lecz wiem, że jest czymś więcej niż wiedza. Magia łączy się z tajemnymi siłami wrogo nastawionymi względem rodzaju ludzkiego, potrafi siać nieszczęście i zło. Wróżbici, którzy ją uprawiają, nigdy nie przejdą przez sąd Anubisa i bogini Maat.

- To dlaczego bóg ich stworzył?

- Po to, aby dobro i prawda miały swoje przeciwieństwo oraz głębię.

- Czy chcesz powiedzieć, że istnienie zła określa dobro i odwrotnie?

Katten uśmiechnął się.

- Musisz sama ten problem rozwiązać. Każdy myślący człowiek szuka tej odpowiedzi. Z chwilą gdy ją znajdzie, determinuje swoje czyny. - Na chwilę zamknął oczy, przechylił głowę do tyłu, jakby przez zamknięte powieki chciał zobaczyć gwiazdy. - Twoje zaowocują dobrem dla wielu narodów, zostaniesz matką Mesjasza.

- Mówisz, proroku, że nie możesz wieszczyć, a przed chwilą dokonałeś wróżby.

- Czasem przeze mnie przemawia bóg, posiadam moc pozwalającą na zobaczenie prawdy.

- Ale nie powiedziałeś wszystkiego, a przecież wiesz, czy istnieje coś między dobrem a złem, jakiś stan zawieszenia.

Wieszczek milczał. Księżniczka spojrzała nań bystro i widząc, że nie doczeka się odpowiedzi, rzekła:

- Jutro na godzinę przed wschodem słońca służba przyprowdzi chłopców do pałacu. Czy jeszcze coś jest ci potrzebne?

- Konieczna jest wiara w moc moich wróżb i ich siłę sprawczą, chociażby podobna do tej, jaką miała twoja matka. Doznała oświecenia, gdy pojęła, że rzeczywistość jest zakorzeniona w świecie materialnym, a prawda w duchowym. Zmarła, gdy poznała przepowiednię dotyczącą twojego losu.

- Tak? A jaka była?

- Krótka. Merit-Amun urodzi następcę tronu, który zostanie faraonem, i jak już mówiłem, choć nie zwróciłaś na to uwagi, Mesjaszem.

- Oszalałeś, wieszczku. Ja nie potrzebuję i nie chcę mężczyzny, a tym bardziej dziecka.

- Sam bóg zostanie jego ojcem. A twój potomek będzie panował nad światem.

- Kattenie! A może ty znasz przyczynę nagłej śmierci Nefertari?

- Spowodowała ją nadmierna ciekawość przyszłości. Tylko ludzie wybitni, obdarzeni chęcią dostrzegania prawdy, zmie-

rzają do odnalezienia sensu zdarzeń. Zdarzeń niezwykłych, tylko z pozoru niemożliwych do zaistnienia. Takie badania podejmowali wielcy władcy i chyba wszystkie znane kultury. W trakcie amatorskich doświadczeń z magią i jasnowidzeniem Nefertari zabiła się własnym lękiem, którego doznała zobaczywszy w lustrze czasu twój los. Nie próbuj tej drogi, zdaj się na mnie.

- Zdumiewasz mnie, ale dlaczego tak się stało? Mam prawo znać prawdę.

- My, wróżbici, wiemy, że to co spostrzegamy w jasnowidzeniu nie jest ani dobre, ani słuszne; jest nieuniknione. Być może nieuchronność taką ujrzała twoja matka i dalej nie mogła z nią żyć.

- Jeśli dobrze rozumiem, chcesz powiedzieć, że rzeczywistość, którą widzisz w wizji, nie daje możliwości oceny zdarzeń?

- Ja nie mogę dokonać żadnych normatywnych ocen, d'a jakichkolwiek ostatecznych celów.

- A dla przykładu życie? Czy łączy się z wolnością, tak jak dusza z ciałem?

- I tak, i nie. Każde żywe stworzenie dąży do uzyskania pełnej wolności, co za życia jest niemożliwe. Tę wolność uzyskujemy dopiero z chwilą, gdy dusza zostawia ciało w chwili zgonu. Dlatego śmierci nie należy się bać, należy spokojnie na nią czekać, gdyż jedynie ona przez oddzielenie cząstek materialnych od boskiego ducha pozwala na uchylenie bram Absolutu, tej esencji piękna. A życie? Cóż, jest jedynie cieniem snu.

- Wiem o tym, wieszczku, ale korci mnie pragnienie, aby nieokiełznaną dotąd śmierć udomowić, wręcz poddać ją sobie i uzależnić. Sama wiedza, że istnieje, to za mało. Swoją drogą zastanawiam się nad tym, czy to ciało posiada duszę, czy też jest odwrotnie?

- Księżniczko, o tym wie tylko Chnum. Ludzki umysł tego nie zgłębi.

- Czy masz jeszcze, Kattenie, inne potrzeby związane z ju-trzejszym misterium?

- Tak. Niech murarze na wschodniej części podwórca postawią ścianę wysoką na człowieka, a służba dostarczy w pobl-

że muru osiemnaście nowych szat z najcieńszego lnu. Chłopcy dziś i jutro rano nie powinni jeść ani pić.

- A co zamierzasz zrobić z pozostałymi, poza wybranym?

- Należy ich oddalić. Nikt poza tobą i mną nie może być świadkiem tego, co się wydarzy. Ten chłopiec, który zostanie z nami, niczego nie będzie pamiętał.

Merit-Amun wstała przed świtem. Ranek był chłodny, więc służki ubrały ją w długą suknię. Zażądała też ciepłego wełnianego szala o barwie purpury, który lubiła bardziej niż biały. Nie wiadomo dlaczego czerwony grzał lepiej.

Przed bramą pałacu stał tłum rodziców, niecierpliwie oczekujący powrotu synów. Mur z suszonych cegieł, postawiony w nocy, jeszcze wydzieliał zapach świeżego wapna i pociętej słomy. Wezwała dowódcę straży, którego wkrótce doprowadzono do jej pokoju.

- Jesteś stąd, z delty?

- Tak. Odpowiadam za twoje bezpieczeństwo. Nazywam się Aji.

- Ile osób strzeże pałacu?

- Pięćdziesięciu pięciu ze straży jawnej i dwudziestu z tajnej. Skład i rodzaj ochrony ustalił sam faraon.

- Wzmocnisz strażę wokół pałacu tak, aby to nie rzucało się w oczy. Chcę, by były wśród nich grupy łuczników.

- Mam takich, którzy służyli w jednostkach strzeleckich, a po odniesieniu ran...

- Czy chcesz powiedzieć, że strzegą mnie kombatanci i weterani?

- Znajdują się w Pi-Rames z osobistego polecenia władcy, za zasługi odniesione w bitwach.

- Chcę zobaczyć tych łuczników.

Aji wrócił z czterema mężczyznami w średnim wieku. Przyjrawszy się im dokładnie, nie miała już wątpliwości, że były to wraki ludzkie, miłosierdziem Ramzesa przydzielone do pałacu na dożywocie, jak stare wierne psy.

Nakazała dowódcy sprawdzić ich umiejętności strzeleckie i najlepszego postawić przed nią powtórnie. Teraz.

Aji powrócił dość szybko.

- Pani, ten oto, o imieniu Beset, jest najlepszy. Trafił w cel za każdym razem.

- Dobrze. Teraz zostaw mnie tylko z nim, a sam dogładnij straży.

Po odejściu dowódcy zwróciła się do Beseta:

- Łuczniku! Widzisz ten mur z cegieł?

- Tak, pani.

- Zobaczysz tam wkrótce starca, chłopca i mnie. Gdybyś zauważył, że grozi nam niebezpieczeństwo, nakazuję ci zastrzelić każdego, kogo zauważysz. Rozumiesz?

- Dokładnie.

Wezwała ponownie dowódcę straży i nakazała mu przyprowadzić chłopców. Zauważyła, że z bocznej ścieżki nadchodzi Katten w stroju wróżbity. Nieco później na podwórze wprowadzono osiemnastu małych Egipcjan ubranych w lniane koszule sięgające kolan, po czym ustawiono ich w szeregu. Wieszczek zbliżył się do Merit-Amun i nic nie mówiąc dał jej trzy kostki do gry. Wyrzuciła pięć, trzy i jeden. Razem dziewięć.

- Podejź, księżniczko, po tego chłopca, licząc od lewej do prawej, a pozostałych nakaz oddalić wraz ze służbą. Pani, jeśli pragniesz usłyszeć przemawiającego ducha, to zastosuj się do moich poleceń. Nie uczynisz nic więcej niż twoja matka, a wiesz, że nigdy tego nie żałowała.

Podeszła do dziecka i przywiodła je do Kattena. Gestem nakazała, aby wszyscy pozostali oddalili się. Wieszczek wziął wybranego za rękę i ustawił przed murem, zwracając twarzą na wschód. Małym nożem przeciął ramiączka koszulki, która opadła na ziemię, stanął za plecami chłopca, rękoma wykonał kilka okrężnych ruchów nad jego ciemieniem. W tym momencie na horyzoncie ukazał się brzeg tarczy słonecznej. Promienie światła padły do stóp muru, szybko przenosząc się na zamknięte oczy medium. Lewa dłoń wieszczka rytmicznie przesuwała się przed oczyma zahipnotyzowanego. Katten sięgnął w zakamarki odzieży i wyciągnął puzderko z maścią; natarł nią kciuki rąk i dotykał nimi oczu i czaszki dziecka. Chłopiec był w letargu i wolno kołysał się na boki. Wieszczek zapalił przed nim kadzidło, a unoszący się dym kierował mu wprost w twarz. W pewnej chwili głośno krzyknął:

- Wzywam cię, nieodgadniony duchu, którego święte imię brzmi Awebotia!

Chłopiec przestał się kiwać i otworzył oczy. Wieszczyk zobaczył to i dodał:

- A teraz niech medium zobaczy światłość. Niech przyjdzie bóg, w którego rękę jest moc rozkazywania umysłowi. Niech wypowie odpowiedzi prawdziwe na wszystko, o co go zamierzam zapytać.

Dziecko wyciągnęło ręce ku górze i odgięło się ku tyłowi. Katten spojrział na Merit-Amun i cicho powiedział:

- Duch jest z nim. O co mam pytać?

- Czy faraonowi coś grozi?

Dziecko nieswoim głosem odrzekło:

- Tak, zawiązano spisek przeciwko niemu i jego rodowi.

- Czy spiskowcom powiedzie się zbrodniczy plan?

Chłopiec milczał.

- Wieszczyku, dlaczego chłopiec nie mówi?

- Nie może. Widocznie mówiący duch ma zakaz udzielania informacji.

- Więc zapytaj, kto jest w spisku?

Medium po chwili odpowiedziało:

- Jest ich wielu w różnych miejscach. Są gotowi. Strzeżcie się, ich siła jest wielka.

Uśpione dziecko pocilo się i drżało. Liczne skurcze mięśni trzęsły i prostowały wątłe ciało.

- Pani, pytaj szybko, bo duch odchodzi.

- Kto jest przywódcą spisku?

Z ust chłopca dobiegł cichnący, lecz wyraźny głos:

- Myśli, że jest potomkiem faraona. Jego imię...

W tym samym momencie Merit-Amun usłyszała dwa następujące po sobie głucho uderzenia. W piersi dziecka jak kolorowy motyl drżał opierzony bełt strzały. Chłopiec stał nadal, jego usta ruszały się bezdźwięcznie; dopiero po chwili zachwiał się i powoli upadł na twarz. Krew wypływająca z rany wyciekała na ziemię. Księżniczka zwróciła spojrzenie w bok. Na ziemi leżał wieszczek, a w jego ciele tkwiła strzała. Nogi Kattena w ostatnim skurczu mięśni wydarły piasek spod pięt. Zwymiotowała raz i drugi, i wtedy zauważyła strużki krwi płynące

w jej kierunku od obu zabitych. Wtedy krzyknęła. Ktoś chwycił ją za ramię i pociągnął za mur.

- Pani - powiedział Beset - widziałem, co zaszło. Strzelano z gałęzi drzew nad głównym kanałem. Posłałem w tym kierunku dwie strzały. Nie wiem, czy trafiłem. Później zauważyłem drżenie listowia, ale ściana zieleni nie pozwoliła dostrzec więcej. Zostań księżniczko w tym miejscu, tutaj jesteś bezpieczna. Pójdę po dowódcę.

- Sprowadź go, ale nikomu nic nie mów.

Naczelnik straży zbladł, widząc zabitych.

- To był zamach - wyjaśnił Beset.

- Nie wykluczam, że również na mnie - dopowiedziała Merit-Amun. - Aji, natychmiast wzmocnij strażę i wezwij na dziedzińiec służbę. Beset niech sprawdzi miejsce, z którego strzelano.

Została z zabitymi. Bezradnie patrzyła na zlatujące się muchy. Zapach kadzidła zniknął, nasilał się mdlący odór krwi. Przykryła dziecko szalem, który przesiąkał wolno krzepnącą krwią. Trzęsła się z zimna i strachu. Zobaczyła, że powraca dowódca warty. Drżącym głosem cicho powiedziała:

- Pójdiesz teraz do rodziców i powiesz, że chłopiec jest mój, zabieram go, aby służył bogom. Po powrocie pojedziesz ze mną do Memfis. Twoim następcą w Pi-Rames zostaje Beset. Zostałeś awansowany o dwa stopnie.

Padł jej do nóg.

- Odprowadź mnie do komnat i przyślij lucznika.

Zgłosił się dopiero wieczorem.

- Pani, możesz zobaczyć ciało twojego wroga. Obie moje strzały utkwily w celu. Jedna w łydce, druga w oku. Trafiony wisiął głową w dół na gałęzi, żył, ale był nieprzytomny. Zginął, gdy wyjmowałem grot.

- Kim jest zabójca?

- Mógł uchodzić za Egipcjanina. Rozebrałem go i dokładnie przeszukałem. Poza nietypową bronią, świadczącą o tym, że był zawodowcem, pod lewą pachą miał mały tatuaż przedstawiający siedmioramienny świecznik.

- Co jeszcze?

- Jedną z jego strzał znalazłem pod drzewem. Być może trafiłem go, zanim zdążył strzelić kolejny raz.

- Sądzisz, że był sam?
- Od mieszkańców niczego się nie dowiedziałem. Wieśniacy zgromadzili się pod pałacem w oczekiwaniu na wybór chłopów. Tylko starzec, który łapał rano ryby w głównym kanale, powiedział, że krótko przed wschodem słońca minęła go łódź z dwoma obcymi ludźmi. Skrywali twarze i nie obrócili się, gdy ich klął za spłoszenie ryb. To wszystko.
- Powiedz Ajiemu, jak wróci, że natychmiast ruszamy do Memfis. Ciała dziecka, Kattena oraz człowieka zabitego przez ciebie mają zostać bezzwłocznie przekazane do Domu Umarłych i pochowane na mój koszt.

ROZDZIAŁ 13

To była pierwsza nasza noc, ale będę ją pamiętał do końca życia.

Byłem pogrążony w głębokim śnie, gdy odczułem przytulającą się do moich pleców smukłe ciało młodej kobiety. Była naga, ciepła, gładka, jędrna, pełna krągłości i słodyczy. Leżałem na boku, a ona przywarła do mnie tak ściśle jak woda do skóry. Czułem ją całą, od czoła, poprzez piersi, ramiona, brzuch, uda, kolana, aż do palców stóp. Pachniała jak nocny kwiat - goździkami, lotosem, a może miętą. Skamieniałem ze zdumienia i oczarowania, nie chcąc wykonać najmniejszego ruchu. Bałem się, że jest złudzeniem, które odleci jak spłoszony sen. Nocna zjawia oddechem ogrzewała mój kark i zachłannie brała w swe posiadanie. Nie mówiła nic, ale wyczuwałem jej młodość i namiętność oraz zdecydowane pragnienie wyłączości, w którym jeszcze nie wypowiedziane słowa „zawsze” i „nigdy” niebawem wejdą w miejsce znaków interpunkcji i samogłosek. Długo zwlekałem, zanim odważyłem się zapytać:

- Tillit?

- Tak, to ja. Kocham cię, Neferze. Teraz już wiem, że nawet wtedy, kiedy ciebie nie znałam, też cię kochałam... Wreszcie znalazłam swoje przeznaczenie, a mój czas oczekiwania się skończył.

Tym wyznaniem dostałem jak pałą w łeb. Wypowiedziane przez nią słowa miłości posiadały znaczenie magiczne, zmieniały rzeczywistość, wciągały nas oboje w przepaść obietnic i tęsknot, w bezmiar pragnień i uczuciowej determinacji. Zostałem wybrany i miałem być omnipotencją mianowaną sło-

wem „kocham”. Czuję, jak ciepło naszych ciał, zapach oddechu, dotyk skóry, budzą w nas pożądanie. Brodawki piersi Tillit uwypukliły się i pieściły dół moich żeber. Powoli obróciłem się na plecy, przytulając jej głowę do siebie. Zrzuciła prześcieradło, którym byłem okryty. Patrzyłem na nią z zachwytem i wcale nie zareagowałem, gdy usłyszałem w sobie ten jakże dobrze znany cichusieńki świst, który zawsze mi dawał znać, gdy łaska uświęcająca zaczynała mnie gwałtownie opuszczać.

Wtedy ją posiadałem klasycznie, szybko, bez jakichkolwiek zupełnie niepotrzebnych pieszczot. Byłem zanurzony w jej gorącym wnętrzu. Tillit wciągała mnie w siebie do końca, całego, na zawsze. Wielkość, z jaką przeżywała orgazm, wzbudziła moje zdumienie. Nie mogła opanować uniesienia i za chwilę miała kolejną, a potem jeszcze następną kulminację. Była wyczerpana, a prysznic potu, spływającego w dół jej brzucha, utworzył małe jeziorko w okolicy pępka. Dopiero gdy ogarnął ją sen, pozwoliła mi uwolnić się od rąk, nóg, ust i wszystkiego, czym mnie wessała.

Tillit spała w głębokim, ciężkim zapomnieniu, zajmując środek łóżka. Światło księżyca oświetlało jej ciemne ciało bez najmniejszego włoska. Patrzyłem na nią z czułością i tym wewnętrznym wyluzowaniem, kiedy pozostaje już tylko ochota na papierosa, alkohol i sen, a całą resztę odkłada się na później. Otworzyłem butelkę mocnego wina z Tanis - było słodkie jak Tillit. Napęczniała miłością leżała na lewym boku, ukazując prześliczną pupę, całkowicie i skończenie okrągłą. Jej piersi tworzyły zgrabne półkule, ich brodawki zapadły się w ciemny brąz otoczek, ale napięcie sutków nadal utrzymywało je w stanie wzniesienia. Podziwiałem kształt delikatnie uformowanych uszu, drobnych chrapek nosa, długich rzęs, wspaniałej morelowej cery. Moje przyzwyczajenia nie pozwoliły na pełną akceptację jej gładko ogolonej głowy. Jakże byłaby piękna z długimi, rozrzuconymi włosami oraz trójkąciem kędzierzawego puchu na łonie. Nie mogłem oderwać od niej oczu. Po bezmiarze zapomnienia rozpierała mnie samcza satysfakcja z posiadania pięknej, młodej dziewczyny i oglądania jej nagiego ciała. Nie umiałem odpowiedzieć, czy miłość jest jedna czy też jest ich wiele, czy są wyłączne czy dają się

mieszać... Piłem po łyku słodkie wino, patrzyłem w ekstazie na kobietę, której dałem i od której wziąłem miłość, i ogarniała mnie fala tkliwości - uczucia zapomnianego od dawna.

Tillit położyła się na plecach, wyciągnęła ręce ku górze i przeciągnęła lubieżnie ciało nie otwierając oczu, a kiedy zobaczyła mnie w obrysie okna, powoli kucnęła, przyciskając piersi do kolan. Trochę zażenowana, jakby speszona, szepnęła chrapliwie:

- Teraz już nie mogę być sama, przytul mnie mocno.

Zanim o świcie odeszła, jeszcze trzykrotnie obdarowała mnie miłością. I tyle samo razy stałem w oknie, oglądając z przyjemnością jej postać, dopijając słodkie wino z Tanis i marząc o tytoniu. Postanowiłem, że rano sporządzę z liści lub wyschniętych roślin trochę skrętów.

Zbudziła mnie w południe, przypominając, że powinienem coś zjeść. Była tak wykończona, że zmienił się jej chód i kształt szyi. Mruczała coś jak kotka i niechętnie narzuciła na mnie prześcieradło.

- Spróbuj! Zrobiłam to dla ciebie.

Podsunała mi jakąś potrawę, a sama przysiadła obok, walcząc z ochotą pozostania i ciśnięcia konwenansów w kącie. Z trudem się przemogła, wyznaczając z radością nowy cel i nagrodę: wieczorną wspólną kąpiel.

Zanim odeszła, lekko uniosła prześcieradło, po czym konfidencjonalnie gardłowym, namiętym szeptem powiedziała mi do ucha:

- Neferze! On naprawdę jest wspaniały i bardzo dzielny oraz, co najważniejsze, odtąd mój. Na razie niechętnie ci go zostawiam, ale pilnuj, aby nic mu się nie stało. Szkoda, że nie jest odczepiany, wtedy...

Szybko ją pocałowałem, aby nie kończyła. Przez najbliższe trzy tygodnie dawała mi spać tylko w dzień.

Menhure przychodził rzadziej. Tillit skłamała, że mam zastrzeżenie malarii, a jak minie gorączka i dreszcze, chętnie się z nim zobaczę. Którejś nocy opowiedziała mi historię swojego małżeństwa. Wspominała, jak matka ją przestrzegła przed tym związkiem, mówiąc, że niezależnie od tego, za kogo kobie-

ta wychodzi, będzie to inny człowiek niż mężczyzna panieńskich marzeń. Prawda ta doszła do Tillit z całą bezwzględnością, gdy kiedyś niespodziewanie weszła <io sypialni w trakcie kulminacyjnej sceny miłosnej dwu mężczyzn- Mówiła, że może by i pogodziła się z taką odmiennością, ale mąż z wrogiego dla niej požądania czerpał radość i satysfakcję, jakiej nie mógł dać żonie ani od niej uzyskać. Na wszystkie swoje amulety, na głowę Titta oraz na bogów przysięgała, że jestem tym pierwszym, który otworzył jej bramy niebios, f ak to nazywała i nieustannie o to prosiła - jakże pięknie. Szybko nauczyła się wymawiać odwieczne słowa miłości i łatwo tworzyła z nich akty strzeliste, później litanię, a w końcu nowenny.

Największym pragnieniem Tillit była ciąża, której pragnęła i robiła wszystko, aby się w niej znaleźć. Kocia intuicja, geny, może tradycja podpowiadały jej metody i sposoby traktowania mnie jako przyszłego ojca dzieci. Stale mówiła, że urodzi śliczną zdrową córeczkę^ mnóstwo dzieci - najwięcej ile się da. Stale szeptała: „Ja ciebie kocham”. Te trzy słowa tworzyły świat jej pragnień. Z trudem potrafiła myśleć o czymkolwiek poza przedłużeniem gatunku oraz zapamiętywaniem się w namietności i požądaniu. W tej dziedzinie była niesłuchanie odkrywczą i całkowicie wyzbyta wstydu. Z namysłem przygotowywała scenariusz nocnych ról, których wykonywania pilnowała niezwykle starannie. Raz zmieniała się w srogą i wymagającą gwałciicielkę, aby innym razem przeistoczyć się w pokorną, wstydliwą uczennicę. Zmieniała scenografie i makijaż. Zauważyła, że wolę ją z włosami, więc przychodziła w perukach. We wszystkim zmierzała do wyssania ze mnie ostatniego plemnika, odnalazłaby go, gdybym go nawet ukrył pod powieką. Tillit chciała wspólnie ścielić łoże, zasypiać i wstawać, razem jeść posiłki. Coraz częściej używała słów „my”, tworząc rozległą panoramę działań. Płakała i wpadała w rozpacz, gdy milczałem i nie chciałem rozbudzać jej wyobraźni. Zadawała tysiące pytań o moją przeszłość. W tym względzie najbardziej istotną częścią niezaspokojonej ciekawości, budzącą największe jej emocje, były kobiety mojego życia. Pozostałych of szarów świata, w którym żyłem, nie chciała zauważyć, po prostu dla niej nie istniał. W interesującej ją dziedzinie wykazywała natomiast niebywa-

łą pamięć szczegółów, imion i okoliczności. Wielokrotnie zmuszała mnie, abym powtarzał takowe opowieści, słuchała ich jak dziecko bajki, karciała za skróty i przeinaczenia. Po miesiącu znała moje życie intymne lepiej niż ja. Otwarcie przyznawała się do zazdrości i demonstrowała ją z takim zapamiętaniem, że ogarniała mnie trwoga. Wszystkie moje wątpliwości związane z naszą przyszłością odrzucała, mówiąc:

- Ja ciebie kocham i to mi całkowicie wystarcza.

Starannie zaplanowała moją przyszłość, w której głównie miałem leżeć w łóżku, pić wino i kochać się z nią. Wierzyła, że jej miłość spowoduje u mnie cofnięcie czasu, doświadczeń przeszłości i całej pamięci. Była pewna, że to osiągnie, wytrwale tworząc mój obraz według własnych pragnień. Na cały świat patrzyła przez szeroki koniec lejka, w którego wąskim końcu znajdowałem się ja. Z wściekłością witała nadejście miesiączki. Zamykała się wówczas w pokoju, przychodziła tylko na posiłki, pokazując spuchnięte powieki, załzawione oczy i obrzękłą ze złości twarz. Na ogół wytrzymywała tak dwa, najwyżej trzy dni. Potem budziła mnie pocałunkami, obwieszczając z zadowoleniem, że za kilka dni już będzie mogła. Szeptala, że wie, jak jest mi smutno i zapewne ogromnie jej pragnę. Stąd, abym nie podupał na zdrowiu i nie oglądał się za niewolnicami, ona może... No i mogła w dzień i w nocy, w sypialni i w łazience, na leżąco i stojąco, i wtedy jak się chowałem czy siedziałem w oknie. Była dumna ze swojego odkrycia i natrętnie pytała, czy jest pierwszą, czy była przedtem jakaś inna, i że to jest fajne i słone, że wreszcie odkryła radość dawania, która jest większa niż przyjemność otrzymywania. Poza tym była absolutnie przekonana, że w ciążę zajść można również przez usta. W tej kwestii powoływała się na autorytet matki i babki, które wmówiły jej, że przyzwoita Egipcjanka nie powinna podglądać siusiąjących mężczyzn, a tym bardziej wówczas szeroko otwierać ust, bo potem taka nieszczęśliwa może nie wiedzieć, kto jest ojcem dziecka. Moje protesty zdecydowanie odrzucała twierdząc, że się z nią droczę. Jako triumfalny dowód posiadanych racji cytowała egipskie prawo, które dziecku urodzonemu w rok po śmierci ojca przyznawało pełne prawo dziedziczenia nazwiska i majątku. Na moje pytanie, co to ma do rzeczy,

odpowiedziała z triumfem, że mężczyzna nawet po śmierci nie traci mocy zapładniania, a ta w każdej chwili może wlecieć tam gdzie chce - na przykład w trakcie mówienia kobiecie do ust - i zaowocować ciążą.

Tak mijały nasze dni. Uczucie Tillit było tak gorące i widoczne, że budziło sympatię służby oraz zazdrosne spojrzenia ludzi. Była przy mnie, we mnie, z przodu, z tyłu, z góry i z dołu. Umiała godzić miłość ze znakomitą znajomością cen. Liczyła w pamięci jak komputer. Kupowała produkty z dostawą do domu, w rozliczeniu wypłacała ekwiwalent w miarach pszenicy. Potrafiła wyklócać się o symboliczną należność. Zauważyłem, że budzi tym ogromny szacunek kupców. Nie mogąc stargować ceny, trzykrotnie splotowała na ziemię, a ślinę wcierała bosą piętą w piasek. Był to jej popisowy numer, odbierający sprzedawcy szansę zwrócenia się do Amona, aby był świadkiem kupna sandałów i cebuli. Z satysfakcją spozierała na mnie i aż puchła z dumy, gdy z podziwem kręciłem głową. Patrzyła mi wtedy słodko w oczy i mówiła z pełnym przekonaniem, że nasz dom ludzie muszą szanować. W ten sposób w niedługim czasie zyskailiśmy niewielkie grono przyjaciół, a ci zgodnie podnosili kwestię niesłychanego podobieństwa malca do mnie.

Menhure przestał przychodzić tak często jak przedtem, ale wielokrotnie znajdował chwilę, aby wpaść, zażartować, wypić piwo. Kiedyś popatrzył na mnie z uwagą i tak sobie powiedział w przestrzeń, że nie myśli, abym był wiele młodszy niż on, ale zastanawia się, czy na pewno wiem, co robię.

Istotnie, za bardzo nie wiedziałem. Tillit implantowała mnie w swoje życie jak sztuczny ząb w szczękę, a ten w dodatku zaczął się ukorzeniać. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, a Menhure jednocześnie obawiał się, współczuł i zazdrościł. Był bezradny, widząc bratanicę taplającą się w miłości, mówiącą do chłopca: „Idź do taty”, podającą mi jedzenie do ust, nie ukrywającą tego, że nigdy nie sprzeciwia się moim życzeniom, a zawsze je spełnia, nie buntuje się i nie zdradza chęci wydobycia z miłosnej niewoli. Próbowałem kilkakrotnie przeciągnąć strunę jej wytrzymałości. Dawałem głupie polecenia, spowodowałem niewielkie straty finansowe, nie mówiłem do-
kład wychodzę. W końcu zniechęcony dałem spokój, ale posta-

nowilem spytać, dlaczego podporządkowała się aż tak całkowicie. Zdumiała mnie jej odpowiedź.

- Ty, Neferze, jesteś jedynym mężczyzną, który naprawdę chciał mnie poznać. Kochasz mnie i dlatego mogłeś sięgnąć do moich marzeń, a w nich było to, że w moim domu, w egipskim domu, kobieta słucha mężczyzny. Tak być powinno. Gospodarstwo, w którym kura pieje głośniejsze niż kogut, u ludzi wywołuje politowanie, a miłość wkrótce zmienia się w odrazę.

Zaśmiałem się, ubawiony jej powagą i zażartowałem:

- Ale to kura, a nie kogut znosi jaja.

Odpowiedziała mi, wciąż nader poważna:

- Tak, ale tylko wówczas, gdy czuje się bezpieczna. On musi pisać, aby...

Dalej nie słyszałem, bo zrobiło mi się nijako, chyba byłem głupcem i przypomniałem sobie jak wielokrotnie mówiła mi matka: „Synu! Proszę cię, spróbuj choć przez chwilę nie być sobą, wtedy na pewno nie popełnisz błędu”. Miała rację, tak jak teraz Tillit.

Sielankę zaburzyła wieczorna wizyta żony Menhure i długa rozmowa obu kobiet nad sadzawką. Tej nocy Tillit do mnie nie przysłała. Nie wiem dlaczego, ale byłem pewien, że płacze i że powinna zostać sama. Zaczęła więcej zajmować się domem i przychodzić do mnie tylko na część nocy. Sama nic nie mówiła, a ja nie pytałem, chociaż byłem świadom, że potrzebuje mojego zainteresowania, rad i pocieszenia. Wiedziałem, jak niecierpliwie czeka na moją inicjatywę. Gdyby nie ten kretyński układ z tym cholernym cofniętym czasem, regresem, zapewne zachowywałbym się inaczej. Tu, gdzie byłem teraz, mężczyzna w moim wieku żyjący bez ślubu z młodą kobietą nie budził żadnych emocji, nawet gdyby był z dwiema o połowę młodszymi od Tillit.

Miałem więcej czasu i samotnie chodziłem lub pływałem łodzią do miasta. Wkrótce znałem je całe, a wielu ludzi witało się ze mną jakbym żył tutaj od zawsze. Kiedyś poznałem Penę, kapłana; podobnie jak ja przyszedł popatrzeć wieczorem na wodę. Prowadziliśmy długą rozmowę o życiu, przemijaniu, słabości ciała i potędze ducha, wypełnianiu czasu, posłannictwie dobra, starości. Wciągnęła mnie ta rozmowa - spokojna,

interesująco wyrafinowana, życzliwa w klimacie. Po kilku takich spotkaniach zrozumiałem, że chyba wszystko, co człowiek miał do przekazania człowiekowi, z wnętrza do wnętrza, zrobił już bardzo dawno temu, może na samym początku dziejów, później zmieniała się tylko forma, a nie treść przekazów.

Nasze spotkania wkrótce zmieniły się w przyjaźń. Początkowo rozmawiałem z Penną z dyletanckim poczuciem przewagi wiedzy moich trzech tysięcy lat, która - jak sądziłem - będzie nas dzieliła. W miarę czasu przekonanie o wartości uzyskanego postępu cywilizacji nikło, aż w końcu uświadomiłem sobie, że jest nonsensem. Spotykaliśmy się codziennie, bez trudu znajdując temat do konwersacji, chroniąc nasze „ja”, znajdując porozumienie i serdeczność bez wnikania w obszar intymny. Kiedyś wspomniałem, że ludzkość odkryje przyczyny zachowań, tę nić z przeszłości, pozwalającą na odczytanie przekazu naszych przodków, kierowanego w nieokreśloną przyszłość kolejnych generacji. Wywodziłem, że jesteśmy jakby przesyłką, którą ktoś kodował i nadał, my ją przenosimy, ale stawiałem pytanie do kogo; gdzie też znajduje się jej odbiorca? Nie zdziwił się. Chwilę milczał, a potem powiedział, że jeśli chodzi o nadawcę, a może i adresatów - może mi pomóc. W świątyni Imhotepa, w której jest kapłanem, można wybranym tę nić ukazać, czasami jej całość, częściej fragment. Penna propozycję postawił w sposób tak oczywisty i naturalny, jak bym ja oferował mu zwyczajną lornetkę w celu ujrzania czegoś interesującego w oddali.

W domu - mój Boże, jak łatwo zmieniam znaczenie słów - w zasadzie nic się nie zmieniło. Titt od kilku dni chorował i spałem sam. Tillit od tygodnia wychodziła rano do miasta. Proponowałem jej swoje towarzystwo, ale odpowiadała, że idzie na spotkanie kobiet, na którym obecność mężczyzn jest wykluczona. Widziałem, jak płynie łodzią, a potem wysiada w centrum tuż przy świątyni z basenami.

Któregoś dnia postanowiłem czekać na nią w mieście, a nie chcąc, aby mnie odkryła, wypłynąłem wcześniej i wszedłem na taras wieży. Wysiadła na przystanku przy świątyni. Była wyższa niż większość otaczających ją niewiast, a czarna peruka, w którą wpięła czerwony kwiat, pozwalała rozpoznać ją z dale-

ka. Skręciła w uliczkę w prawo i znikła mi z oczu. Szybko zszedłem po schodach, lecz bezskutecznie poszukiwałem jej w zaułkach.

Wróciłem na wieżę i zobaczyłem ją ponownie - nagą, z kwiatem we włosach wściekle cwałującą w alei płodności na jednym z byków. Zrozumiałem, dlaczego robi się coraz cichsza i smutniejsza. Uznała, że bogowie odwrócili się od niej i postanowiła ich przebłagać, zyskać brzemienność dla siebie, dla nas. Postanowiłem nie zdradzać, że odkryłem jej tajemnicę i przeszedłem czymś w rodzaju utwardzonego bulwaru w górę rzeki w miejsce, gdzie spotykałem się z Penną. Z daleka dostrzegłem jego rzymski profil, mocny tors, ogoloną głowę z pasemkiem siwych włosów na lewej skroni. Patrzył na Dom Umarłych. Widząc mnie ucieszył się i na wstępie powiadomił, że od jutra zaczyna post. Spytałem, w czym będzie się ograniczał?

- We wszystkim z wyjątkiem wody - odpowiedział jakby zdziwiony.

Nie kontynuowałem tematu, zresztą byłem podenerwowany sprawą Tillit. Penna zauważył to i spytał:

- Czy czujesz nadciągające kłopoty lub zmartwienia?

Zdziwiony, patrzyłem na niego, nic nie mówiąc.

- Pytam dlatego - ciągnął Penna - że wtedy, gdy zobaczyłem cię pierwszy raz, byłeś szczęśliwy. Teraz widzę, że coś zaburza twoją aurę.

Miałem wrażenie, że widzi Tillit odbywającą symboliczny stosunek z bykiem. Milczałem, gdy powiedział dwa słowa:

- To nieprawda.

Popatrzyłem na niego.

- To nieprawda - powtórzył. - Nie widzę tego, o czym myślisz.

Spojrzałem mu w oczy i uwierzyłem. Siedzieliśmy na brzegu Nilu, patrząc w błyski słońca, w złotą panoramę zmarszczek na wodzie, które migały bez końca. Wtedy Penna zaproponował, abym wraz z nim poszedł do świątyni. Zgodziłem się bez namysłu.

Poprowadził mnie wzdłuż licznych posągów bóstw uzdrawiających. Poza nami widziałem tylko grupki kapłanów. Istotnie, Menhure miał rację. Kamienna rynna doprowadzała z gó-

ry wodę, która oblewała strumieniem figury bóstw, ale odpływ z każdego stanowiska był osobny i kończył się za murami. Dookoła słychać było delikatny szmer łagodnie spadających kropli. Obłoczki rozpylanej mgły rozświetlały wnętrza miniaturową tęczą. Trudno było wymyślić coś wspanialszego. Penna wskazał oddaloną ścianę.

- Tam, za tym murem, gdzie nie dociera światło, jest naos, a pod nim głęboko w ziemi na wybranych czeka mój bóg Imhotep. A tu i tu - pokazał palcem na ciąg świętych posągów - to tylko bałwany, łącznie z Hathor, Sachmet i całą tą dziecięcą menażerią. Lud musi boga zobaczyć i znać jego symbol, wszystko jedno jaki. Może nim być zwierzę, kwiat, słońce czy nawet kropka. Najlepiej do ludzi dociera taki obraz boga, który można uchwycić zmysłami, muszą widzieć, a jeszcze lepiej słyszeć, czuć i smakować. Rozumiesz, Neferze? Ludzie, gdyby mogli, chcieliby poznać boga dotykiem, węchem, podczas gdy on jest niepoznawalny ani zmysłami, ani rozumem.

Dlaczego mnie wybrał na powiernika? Dlaczego przy mnie zlekceważył bogów i złamał reguły? Nie odezwałem się i postanowiłem o tym zapomnieć. Nie moja świątynia, nie mój kapłan, nie mój bóg. Obróciłem się, chcąc wrócić do Tillit, kiedy powiedział:

- Ostatnie słowa ująłeś fałszywie.

Wszedłem w jego fałę myślową i rzekłem:

- Tylko w połowie, nie więcej.

- Zgoda - rzekł Penna i wprowadził mnie do dużej komnaty. Przy wszystkich ścianach stały popiersia.

- Kim są lub byli ci ludzie? - spytałem.

- To arcykapłani świątyni, od początku jej istnienia było ich stu osiemdziesięciu.

Szybko policzyłem. Jeśli pełnili swoją funkcję tylko przez dwadzieścia lat, to wypadło pięciu na stulecie. Czyli prawie cztery tysiące lat.

- Mylisz się - powiedział Penna. - Cztery tysiące czterysta dwadzieścia, a ta świątynia jest znacznie młodsza niż w Behdet.

Nic nie odpowiedziałem. Po prostu przywykłem do tego, że zgaduje moje myśli.

Zatrzymał mnie na skromnej kolacji, w równie skromnej celi. Na koniec, gdy widział, że zaczynam się spieszyć i tęsknić za Tillit, powiedział, żeby dać mu znać, gdybym zechciał poznać swoją nić życia. Od jutra przez dziesięć dni będzie pełnił coroczną służbę w świątyni, przy bogu. Jeśli się zdecyduje, będę musiał poddać się oczyszczeniu i niezwykłej próbie, które razem trwają kilka dni.

- Zobaczysz, Neferze, czarny rytuał Tota.

- Skąd masz tę pewność, Penna?

- Po prostu wiem. Obaj jesteśmy profesjonalistami w tej samej służbie. W tej chwili jeszcze niczego nie rozumiesz - dodał po chwili. - Spróbujesz, bo sam bym tak zrobił na twoim miejscu.

Odchodząc powiedział, że co dzień o zachodzie słońca będzie stał przy bramie, aby mnie wprowadzić.

Tillit czekała z kolacją, zaniepokojona moją długą nieobecnością. Podałem jakieś sensowne wytłumaczenie i szybko się uspokoiła.

Wieczorem długo siedzieliśmy na tarasie. Przytuliła się, położyła głowę na moich kolanach. Patrzyła w niebo, spozierając na pojawiające się gwiazdy i spytała o moją. Była zdumiona, że jej nie znam.

- Matka nie powiedziała ci, która z nich jest twoja?

- Nie. Przecież mogłem urodzić się w dzień.

- Pora, w której się pojawiłeś, nie ma znaczenia. Zawsze można określić gwiazdę dziecka. Popatrz, tam jest taka malutka, obok tylnego koła Gwiazd Niezniszczalnych. Należy do mojego synka. Neferze! Ty musisz określić swoją gwiazdę. Może dlatego, że jej nie znasz, albo dlatego, że ktoś na nią rzucił urok, ona nie świeci, a ja dotąd nie mam z tobą dziecka.

Nie było sposobu na Tillit. Mordowała mnie uparcie i tłumaczyła, że światło gwiazd ma zasadniczy wpływ na wiadomo co. A potem robiła różne miny i ruchy, dlatego bez trudu domyśliłem się, na co to światło pada i dlaczego jest niesłychanie ważne. Powiedziałem, że nie mam nic przeciwko temu, aby zaraz zaczęło padać. Ze smutkiem powiedziała, że jeszcze przez tydzień do mnie nie przyjdzie i błaga, abym ją zrozu-

miał, ale ma ważne powody. To długo, pomyślałem. Zanim odeszła do swojego pokoju powiedziałem jej, że chciałbym na kilka dni udać się do świątyni. Aż krzyknęła z radości.

- Ty jednak pragniesz mieć ze mną córeczkę!

Cóż miałem powiedzieć? W jej świecie dziecko było dowodem uznania bogów, powodem do dumy, a ja zastanawiałem się, czy można być bigamistą w przedziale trzech tysięcy lat. Nie pozwoliła mi dokończyć logicznego rozbioru zagadki. Przytuliła się i obiecała, że odprowadzi mnie do świątyni. Miała łzy w oczach, mówiąc jak szczerze modli się do Izydy i Hathor oraz Bes, jak wielkie nadzieje wiąże z ofiarami złożonymi Chnumowi.

- Nasze dziecko będzie najpiękniejsze ze wszystkich, takie jak ty, Neferze.

Nic nie można poradzić na miłość kobiety, która wierzy, że dostała ją w darze od bogów.

Wieczorem następnego dnia poszliśmy do świątyni Imhotepa. Penna na mnie czekał. Tillit jeszcze dwa razy wracała, coś mówiła. Kapłan patrzył na nas spoza bramy, cierpliwie asystując przy przedłużającej się scenie rozstania. Wziąłem obie jej ręce w swoje i powiedziałem tak, aby zrozumiała:

- Ja idę do niego - wskazałem Pennę - a ty wrócisz do domu i zajmiesz się wszystkim.

O to jej chodziło, o te dwa słowa „dom” i „wszystko”. Wszedłem za bramę do przedsionka świątyni, a Penna powiedział:

- Trafiłeś prosto w swój czas.

Jeszcze nie rozumiałem, co to znaczy. Pokazał na Tillit schodzącą do łódki.

- W nim jesteś jej gwiazdą i domem.

Przestały mnie dziwić jego wtręty w moje myśli, gdyż nie raniły niczego i nie były obce. System obronny mojej psychiki nie reagował na nie oporem, jego stwierdzenia swobodnie krążyły wewnątrz zawirowań i orbit mojego umysłu, nie powodując asynchronii. Zaprowadził mnie do swojej celi, podał szaty i kazał umyć się w baseniku przy źródle. Wrócił z dzbanem wody i nakazał rozpoczęcie postu.

Złe spałem na kamiennej płycie. Było zimno, śniła mi się Tillit z moją żoną oraz potworna awantura między nimi. Byłem tak przerażony, że gwałtownie się zbudziłem. Długo nie mo-

głem się uspokoić, a kiedy ponownie zasnąłem, znów byłem niemym, bezradnym świadkiem walki moich dwu kobiet, stosujących wszystkie sposoby, chwytów i uderzenia w pojedynku toczącym się na czymś w rodzaju areny. Z góry spoglądała na nie cała moja rodzina, Menhure, Mereneptah, Goren i kapłan z Sachmet. Obstawiali wynik tego makabrycznego starcia, w którym rozrywane było wszystko, co miałem. Każda komórka na dwie, mitochondria po połowie. Sabat, którego byłem ofiarą, zakończył mój przeraźliwy krzyk - zbudziłem się słysząc, jak jego echo obija się po ścianach. Postanowiłem nie spać. Wyszedłem na pusty dziedziniec i zbliżyłem się do tej jego części, skąd można było zobaczyć brzeg rzeki, gdzie w głębi zakola był mój dom. Ktoś dotknął mojego ramienia, odwróciłem głowę.

- Penna? Nie śpisz?

- Nie będę spał przez dziesięć dni. Ja się przygotowuję. Słyszałem twój krzyk. Zapewne czas przez jakiś okres jeszcze się będzie z tobą bawił. Przed świtem zaprowadzę cię do malowanej komnaty. Zostaniesz tam trzy dni i noc. Od jutra zaczniemy składać ofiary. Dzień się zbliża.

- Jaki dzień? - spytałem bez niepokoju.

- Dzień przesilenia wiosennego, twój dzień. Wtedy zostałeś urodzony.

- Mylisz się!

- Jestem pewien, że mam rację. Wkrótce zrozumiesz.

Nie wiem skąd pojawili się dwaj inni kapłani, słyszałem pieśń bez słów, była jednocześnie we mnie i na zewnątrz, narastała i cichła.

- Słyszycie? - zapytałem kapłanów; ci jednak milczeli.

Otwarto drzwi i znalazłem się w dużym pomieszczeniu.

Przez okrągły prześwit w kamiennym dachu sączyło się słabe światło nie pozwalające rozpoznać szczegółów. Obróciłem się i zobaczyłem mur i gładką ścianę. Nie wywołało to we mnie lęku, czułem, że tak powinno być. Na środku stała konew z wodą. Poczułem pragnienie i duszkiem wypilem kilka łyków nieco gorzkiej zawartości. Czekałem, patrząc jak świt, a potem rano wypełniają się światłem. Po długiej chwili wpadł pierwszy promień poranka i rozjaśnił ścianę naprzeciwko mnie. Później

do samego wieczoru oglądałem scena po scenie niezwykle freski, przedstawiające istotę stresu w postaciach choroby, strachu, starości, wojny, nędzy, zarazy, nikczemności, rozkoszy, głodu, walki, furii i doradcy zła. Z zewnątrz nie dobiegał żaden dźwięk ani zapach. Postacie z malowanych ścian zaczęły zamieniać się miejscami, grupować, walczyć, współdziałać, niszczyć, kopolować, a ja siedziałem w środku zdarzeń, oglądając z zachwytem, a czasem przerażeniem, tę poliwizję i hologramy urzeczywistniające się tuż obok. Bez zdziwienia mogłem w nie włożyć rękę, albo - jak w rzeczywistości wirtualnej - widzieć sceny z dowolnej strony. Traciłem poczucie jawy i snu oraz czasu. Nie wiem, czy współdziałałem, czy broniłem się przed tym zniewoleniem. Mimo że słońce już dawno zaszło, widziałem nadal to szalone przedstawienie z ciągle zmieniającymi się postaciami. Teraz czułem ich dotyk, smak i głos. Tańczyłem z nimi, nie mając poczucia głodu ani pragnienia. Nie spałem, zresztą nie wiem.

Przyszedł Penna. Wyszedłem z nim na dwór. Dwaj słudzy ubrani w niebieskie szaty prowadzili owcę, którą przy mnie zabili. Kapłan wyjął wątrobę, obejrzał, rozciął; milczał. Wróciłem do malowanej komnaty i dopiero gdy zostałem sam poczułem radosną ulgę. Było ciemno i nie widziałem znanych mi scen, ale niecierpliwie na nie czekałem. Przyszły jeszcze przed brzaskiem. Wspanialsze i bardziej kolorowe niż przedtem, cudowne. Napiłem się wody z konwi, by po chwili ujrzeć jak natężają się kolory widziadeł. Czerwień pulsowała i krwawiła, chciała, abym ją dotknął i posiadał, a potem zgasła z muzyką organów. W jej miejsce flety nieśmiało wydobyły zieleń napinącą się aż do bólu. W ogóle przestałem myśleć i wtopiłem zmysły w ten omam, opar, który czarował i mamił. Istniał tylko kolor, dźwięk oraz ja, nic poza tym, żadnej rzeczywistości, żadnej pamięci. Wydawało mi się, że jeszcze dwa lub może trzy razy przychodził Penna. Reagowałem zniecierpliwieniem, odmawiałem uczestnictwa w ofiarach, odtrącałem proponowane jedzenie. Nie wiem, czy cokolwiek piłem, ale na pewno nie czułem głodu ani jakiegokolwiek potrzeby poza chęcią powrotu do moich holograficznych widziadeł w tym pokoju psychoz. Byłem osłabiony, ale Penna zmusił mnie do kąpieli w małym

zbiorniku, a potem do wypicia napoju zapomnienia. Teraz dopiero poczułem, jak zimne jest moje ciało i jak parzy ręka Penny.

- To nic - powiedział. - Wypij!

Wypiłem. Efekt przyszedł po chwili. Niemal czułem ogarniającą mnie niezwykłą nadwrażliwość. Pojawiło się szybkie asocjacyjne myślenie, świadomość w sekundę rozwiązywała problemy, z jakimi musiałbym normalnie borykać się tygodniami. Ujrzałem sito weryfikacji zapisów dotąd podjętych decyzji oddzielające rzeczy ważne od nieważnych, dobre od złych, mądre od głupich. W osłupieniu świadkowałem błyskawicznej selekcji, która w jaskrawy sposób uświadamiała mi popełnione błędy. Prawie same błędy. Byłem czymś w rodzaju książki, szybko kartkowanej w tył. Książki bez tytułu. Nie dawało mi to spokoju, więc spytałem Pennę. Popatrzył na mnie i powiedział:

- Tytuł jest oczywiście na całości, a teraz oglądałeś jedynie ostatni Rozdział.

Rozumiałem, że oświecenie jest kwestią krótkiego czasu. Moje wyostrzone zmysły przestały grzebać w pamięci i jaźni i wreszcie zwróciły się na zewnątrz. Dokonało się wiele zmian, słudzy kilku kapłanów oraz Penna, ubrani w czarne szaty z kapturem, trzymali łuczywa. Ja byłem nagi. Słyszałem chóralną bezsłowną muzykę, przypominającą pienia tybetańskich łamów. Penna zbliżył się i oznajmił:

- Wejdiesz do macicy pramatki Ziemi, aby stało się, czego pragniesz. Masz możliwość przejścia za życia przez symboliczny most łączący niebo z ziemią. Otrzymujesz dar, którego pożąдали wszyscy faraonowie.

Pierwsze promienie słońca wstawały nad świątynią. Zostały złapane przez wklęsłe lustro, które kondensowało i przenosiło energię w postaci strumienia światła grubości ręki do wnętrza świątyni, kierując ją pod naos, na czarną płytę podłogi. Byłem blisko i odczuwałem wysoką temperaturę. Trwało to dosłownie moment, a obrzeża płyty i ona sama zaczęły falować i stapać się, ukazując w środku wypalony nieregularny otwór. Ktoś wylał w tę czeluść wodę. W powietrze unióś się kłęb par. Do wnętrza zszedł Penna, za nim ja, potem dwóch kapła-

nów. Znaleźliśmy się w wąskim korytarzu oświetlonym rzędem oliwnych lampek. Mogłem swobodnie iść. Delikatny przewiew powodował migotanie płomyczków. Nie wiem, w jaki sposób kapłani, którzy byli z tyłu, nagle pojawili się przede mną. Widziałem ruch ręki Penny, zatrzymujący ich w miejscu. Otworzył duże drzwi, przekroczyliśmy je obaj, po czym dokładnie zamknął rygle. Stałem w oświetlonej grocie, wypełnionej hałasem podziemnej rzeki. Widziałem nader jasno miejsce w skale, skąd wypływała, i wodospad, w którym nikła.

- Przed sobą widzisz rzekę niepamięci - rzekł Penna. - Włóż tę szatę.

Podał mi strój, taki, jaki miał na sobie.

Przy małym pomoście zauważyłem przywiązaną łódkę, a tuż nad nią grubą linę łączącą oba brzegi.

- Wsiadaj, Neferze, płyniemy.

Trzymając się liny, szarpani ostrym prądem wysiedliśmy bezpiecznie po drugiej stronie. Podeszliśmy do ogrodzonego zejścia. Penna otworzył furtkę. Ujrzałem podwójną spiralę wąskich schodów. Wiedziałem, że ta podwójna spirala jest czymś nieprzypadkowym, wręcz fundamentem czegoś bardzo ważnego, ale nie z tej egzystencji. Każdy z nas musiał iść osobno, chociaż schodziliśmy razem. Ściany lochu, w który się opuszczaliśmy, wydzielaly łagodne światło, sektorowo przesuujące się w dół wraz z nami. Schody kończyły się podestem. Mój przewodnik kazał mi stanąć, szukał znaku i błędził w podziemnych korytarzach. Wreszcie znalazł wrytą inskrypcję, skądś dobrze mi znaną; wiedziałem, że jest moja. Penna nacisnął wryty w kamieniu znak, ściana uchyliła się i weszliśmy do dużego pomieszczenia, rozjaśnionego seledynowym światłem. Jego źródła nie potrafiłem określić. Naprzeciw, tyłem do mnie, stał mężczyzna ubrany w czarną szatę. Nie ruszał się.

- Kim jest ten człowiek? - zapytałem.

Nikt mi nie odpowiedział. Wówczas zobaczyłem Pennę zastygłego w letargu, z szerokimi niewidzącymi źrenicami. Wyglądał jak postać nagle zatrzymana w ruchu.

Nieoczekiwanie przyszło mi do głowy, że został wyłączony. Człowiek w czerni obrócił się i ujrzałem jego twarz. Miał moje

rysy, był identyczny ze mną samym, z jego ust wydobywał się mój głos, wypowiadający słowa:

- Jestem Imhotep, a to moja świątynia. On - wskazał na kapłana - też jest mną i tobą.

Zbliżył się do Penny i zdjął z jego głowy i twarzy coś przypominającego folię - maskę albo warstwę skóry. Widziałem chwyt jego palców, kiedy nadrywał jej fałd w okolicy grdyki. Następnie z szelestem ściągał ją w górę, jakby gumową rękawiczkę z ręki, i na ziemię rzucił wy linkę twarzy kapłana. Potem dotknął ręką jego ust i oczu. Za nami zaczęła rozświetlać się lustrzana ściana. W odbiciu zobaczyłem samego siebie w trzech postaciach o różnych ruchach, ale tych samych twarzach, wydającego ten sam głos, lecz mówiącego różne słowa. Milczałem i jednocześnie rozmawiałem w trzech osobach.

- Zahamuję go - wskazał na mnie w postaci Penny. - A teraz słuchaj. On, ty i ja jesteśmy umowną terażniejszością, zresztą wszystko jest umowne. Ja kiedyś, on teraz, ty później. Chcę ci ukazać abecadło przed czytaniem tekstu. Między mną a nim - wskazał na mnie w postaci Penny - jest cała galeria wybranych, dotąd nie znanych nikomu. Podobnie jak między nim a tobą oraz tobą i tymi, co dopiero się narodzą. Spójrz w lustro czasów, przez chwilę ci się pokażą.

Przed moimi oczyma w błyskawicznym tempie przesuwała się galeria postaci w moich szatach, z moją twarzą, psychiką i osobowością. Tylko imiona mieliśmy różne: Asklepios, Hipokrates, Eskulap, Cels, Galen, Awicenna, Paracelsus, Lister, Pasteur, Fleming, nieliczni z wielu, których rozpoznałem w tym stroboskopowym mignięciu, ale byli też Chińczycy, Tybetańczycy, Majowie, Aztekowie, Chaldejczycy, Ariowie i nieznanani z dalekiej przyszłości, których czaszki były dwa razy większe niż moja.

- Czy rozumiesz? - zapytało moje ja ukryte w Imhotepie.

- Tak, to jasne. Medycyna jako sztuka i nauka są wieczne.

- Oczywiście - szepnęło widmo. - A ta sztafeta z lustra to wtajemniczeni, co napełnili lub napełnią naczynie wiedzy, aby ukazał się nowy jej etap.

- Tak, właśnie tak - odpowiedziałem, nie mając wątpliwości. - Czyli ja, Imhotepie, jestem tylko niewidocznym ogniwem

przesyłki. Zaczyna się ona od ciebie, a gubi na tych z dużymi czaszkami, którzy powstaną w przyszłości?

- Neferze! Ujawniono twoją nić życia, aby ukazać, że posiadasz szlachetny rodowód. Powinieneś go szanować, jak królewski syn rodziców za to, że nie jest bękartem.

- Imhotepie! Wyjaśnij mi problem, który bezskutecznie rozważam od czasu, gdy się tutaj znalazłem. Posiadam wiedzę o Egipcie, o jego zwyczajach i zdarzeniach, od których przez całe moje życie byłem oddzielony barierami czasu, języka i przestrzeni. Teoretycznie powinienem znać co najwyżej program szkolny, a wiem wielokrotnie więcej. Znam sytuacje i fakty, o których nie wspominają żadne opracowania.

- To proste, Neferze. Rozmowę ze mną prowadzisz nie na jawie, lecz w przestrzeni, wewnątrz której odbywają się wizje. Przecież widziałeś w lustrze czasu, że zawsze zachodzi konieczność, aby wiedza opierała się na czystym intelekcie. Zjawiska umysłowe, w tym pamięć, nie są prawami przyrody i nie podlegają ocenom w kategoriach znanej ci nauki. Przecież nie potrafisz wytłumaczyć zasad pojawiania się takich stanów jak rozpacz, smutek, zadowolenie, radość, miłość czy obawa. Obszar, o którym mówisz, błędnie określając go wiedzą, jest jedynie przekazem przodków, mówiącym o naturze rzeczy i spraw.

- Czy w takim razie możesz wyjaśnić mi czym myślę? Mózgiem? Czy czymś innym, moim „ego”, świadomością, podświadomością, duszą, a może ludzką naturą?

- Na tak postawione pytanie nie ma odpowiedzi. Neferze, ty jedynie ułomnie wypowiedziałeś kwestię, nie do końca przemyślaną, w dodatku formułując ją w kalekim języku waszych pojęć. Wy, ludzie, traktujecie mózg w sposób czysto biologiczny, a więc błędny, sądząc, że jest urządzeniem komórkowym przetwarzającym energię w myśl lub odwrotnie. Prawda jest zupełnie inna. Mózg człowieka jest wyspecjalizowanym organem stanowiącym łącznik między energią a jaźnią, a ta z kolei jest przesłaniem przodków nadanym przez Boga. Pytałeś o myślenie. Czyżbyś nie wiedział, że jest projekcją duszy? Oczywiście nawet takie wyjaśnienie jest prymitywnym skrótem. Nie poznaliście jeszcze słów do określenia specyfiki tych procesów. Jesteście na początku drogi.

- Imhotepie, posłuchaj, co mnie nurtuje. Czynności ludzkie oraz zdarzenia, jakie w życiu napotykamy, mogą wahać się w wąskim zakresie dobra, obojętności lub zła. W miarę upływu czasu te przeciwieństwa często zamieniają się miejscami. W związku z tym, czy należy sądzić, że każda moja ocena jedynie okresowo jest słuszna? Czy nic z tego, co nas spotyka i jest możliwe do oceny, nie jest stale prawdziwe?

- Zło i dobro są pozorem, a nie faktem. Podobnie bolesne doznania nie są wcale ważniejsze od innych. Zresztą wszystkie stanowią iluzję. To, co zostało lub zostanie dokonane, nie jest złe ani dobre. Stanowi zauważalną część absolutu, a ten istnieje ponad tymi, z pozoru przeciwstawnymi, znakami.

- A czas? Przecież płynie nieustannie, od przeszłości do przyszłości. Przedtem ty, teraz ja, potem oni, jak na przykład pochód lekarzy w tym lustrze. Przecież wiele nas dzieli, a jest równie silne jak to, co nas łączy. A więc jak to jest z tym czasem?

- Przeszłość, teraźniejszość, przyszłość też są iluzją postaci czasu, który, przeciwnie niż myślisz, w ogóle nie jest podzielony, jest wszystkim naraz. W nim istnieją tylko sekwencje czynności zdarzające się w wiecznym teraz. To tylko umysł, wasz umysł, w danym okresie rozwoju nadaje rzeczom ich jakość i postawy, a tym samym generuje istnienia, które również są iluzoryczne.

- Twoje rozumienie względności do mnie nie trafia. Chcę, abyś odpowiedział mi wprost, krócej i precyzyjniej; tak, abym pojął.

- To nie jest możliwe. Myślenie ludzi obejmuje najpierw przyczyny, a potem skutki i wyraża się zdroworozsądkowością. Spróbuję przybliżyć ci odpowiedź. Wszystko jest jednym, ponieważ w obszarze absolutu nie znajdują się takie pojęcia jak czas, przestrzeń i przyczynowość. Zwróć uwagę, że nie mogąc dobrze wyrazić problemu, powiedziałem błędnie „w obszarze absolutu”, aby za chwilę dodać, że nie ma on przestrzeni. To nie jest sprzeczność logiczna, to jedynie ubóstwo języka. Może innymi słowami: absolut jest wszystkim, co istnieje. Jest też drogą przejścia przez wszystko. A opozycje i sprzeczności, jakie dostrzegasz w postaci faktów, są w istocie czystą iluzją połączoną w nim w jedną harmonijną całość. A w niej jest twoje i moje ego i nasze dusze. Czy wyraziłem się jasno?

- Metafizycznie tak. Ale nie to stanowi mój główny problem. Chcę...

- Możesz pytać, mam zgodę.

- Jak to jest, Imhotepie. Ja wierzę głęboko, że Bóg jest dobry, podczas gdy ty sądzisz, że Najwyższemu nie można przypisać żadnych właściwości. Chcę, abyś mnie zrozumiał. Jestem człowiekiem i boję się śmierci. Nie wiem, czy słusznie, ale obawiali się jej wszyscy, których znałem. Jaka jest natura relacji między istotą ziemską, podobno stworzoną na obraz i podobieństwo Boga, a resztą rzeczywistości wszechświata. Co ulega zmianie wraz ze śmiercią, a co po niej trwa?

- A czy musi trwać, jeśli jest? Prawa, jakimi się rządzi dusza, są wolne od jakiegokolwiek obrazu każdego ze światów. Kiedy ciało umiera, obraz ten zyskuje radosną odmienną jakość. Jak cię znam, Neferze, zaraz niecierpliwie zapytasz: dlaczego? A więc uprzedzając odpowiadam: zupełnie inne powody niż ziemskie kierują nowym etapem jej trwania. Uważaj, Neferze! Powiedziałem trwania, a nie powstania. Fenomen istnienia i obecność duszy są czymś w rodzaju... Jak ci to powiedzieć, abyś zrozumiał... Mam! Czymś w rodzaju punktu matematycznego, który niewątpliwie istnieje, a nie posiada długości, szerokości ani grubości. Podobnie dusza: jest miejscem, skąd można zacząć prowadzić nie kończący się spór.

- A dusza, czy istnieje po śmierci?

- Nie twierdę, że dusza istnieje po śmierci.

- A więc utrzymujesz, że dusza po śmierci nie istnieje?

- Nie twierdę te'go.

- Zatem gdzie istnieje w czasie?

- Stwierdzenie, że istnieje w czasie, jest ułomne i nie odnosi się do tego przypadku.

- A więc co istnieje, a co w końcu się zdarza?

- Nic nie istnieje prócz absolutu, reszta jest złudzeniem. Myśląc twoimi kategoriami, Neferze, kategoriami czasu, przetrzeni i przyczynowości, możesz dostrzec tylko to, że absolut pojawia się jako wszechświat, a on nie podlega żadnym kategoriom, jest ponad nimi. I nie pytaj mnie, czy Bóg i wszechświat są jednym, bo tego nie wiem. W moim świecie istnieje odmienna od twojej koncepcja czasu i lepsze widzenie Boga.

Nie wdając się w szczegóły, On po prostu jest u nas bliżej niż tu u was i tyle.

- Co należy zrobić, aby wejść na nowy etap świadomości w dokonywaniu ocen? Jak długo my, ludzie, pozostaniemy braćmi o głębszym rozumie?

- Nie wiem. Dla was, ziemian, nie ma jeszcze zgody absolu-tu na odmianę. Myślę, że powinniście zadawać „właściwe pyta-nia”, a one mogą być kluczem otwierającym nowy obszar wieczności. Ale czas mój mija. Ja jestem twoim snem, który już zaczyna umierać.

On-ja bladł. Coś jeszcze strasznie ważnego krzyczał, jakiś przekaz. Światło pomieszczenia gasło jak latarka z dogorywają-cą baterią. Słyszałem głosy, szelest skrzydeł, symfonię dźwię-ków towarzyszącą światłu, które było wielkością i wszystkim. Zanim straciłem przytomność w tej kanonadzie z nadprzestrze-ni, usłyszałem echo krzyku Imhotepa:

- Bóg istnieje, wierz mi i nie szukaj dalej. Kochaj.

Obudziłem się w malowanej komnacie. Obok mnie stał Penna.

- Wypij ten płyn, zwany napojem pamięci. A więc się wy-pełniło.

Byłem oszołomiony tym, co się zdarzyło, realnie i niereal-nie, w historii mojego świata, który nagle mną zwymiotował. Czuję się tak źle, jak nigdy w życiu. Przez moment odczułem podobnie wstrętne uczucie, jakie łączyło się z porodem, pierw-szym łykiem powietrza i światła. Straszne poczucie krzywdy, osamotnienia, bezradności. Penna spojrział na mnie i usłysza-łem w myślach jego głos, współczuł mi i dodawał otuchy. Wszystkie komórki mojego ciała rozpaczliwie dygotały, a w pa-mięci pojawiła się Lokusta i kilku sławnych trucicieli zdradza-jących tajemnicę działania koktajlu z bielunia, mandragory, lulka egipskiego, wilczej jagody oraz białego maku.

Wyszedłem za bramę i na nic w ogóle nie reagowałem, cze-kałem na coś. Menhure, straszliwie podenerwowany, mówił o tym, że przed dwoma dniami tajne służby wpadły na mój ślad. Tillit jest uwięziona, on cudem nie wpadł w kocioł - tyl-ko dzięki temu, że jego pawian zagryzł tajniaka. Nie docierało do mnie, dlaczego nie uwięziono Menhure, gdzie jest Tillit

oraz czy żyje? Powtarzałem, że muszę się wyspać i chcę, aby nikt mi nie przeszkadzał. Zasnąłem, chociaż chyba miałem oczy otwarte i zgadzałem się na wszystko, nawet na bezterminowy pobyt w piekle. Menhure coś mówił o jednym jakoby bezpiecznym miejscu. Zaakceptowałem również swój status osoby, która ma sprzedawać albo kupować narzędzia dla lub od zmarłych. Coś z tego albo wszystko naraz.

ROZDZIAŁ 14

Budziłem się z majaków snu, szukając ciepłego ciała mojej Tillit obok siebie. Było zimno. Odrętwiały język przypominał owoc wysuszonej figi, zostawiony w ustach przez noc. Brakowało mi siły, aby wstać. Z trudem otworzyłem oczy i zobaczyłem jedynie rozmazany prostokąt okna, zmieniający się w pulsującą plamę. Czułem się fatalnie, dygotałem, nie mogłem *opanować oddechu i przeraźliwego strachu przed ogarniającym, mnie szaleństwem*. Myśli biegły chaotycznie, zderzając się ze sobą, a wszelkie moje usiłowania wprowadzenia porządku w ten wewnętrzny chaos okazały się bezowocne.

Usłyszałem odgłos otwierania drzwi i zaraz potem kroki. Ktoś podszedł, uniósł moją powiekę i mruknął:

- Ależ go zaprawili!

Potem wlano mi do gardła jakiś płyn, może zupę. Krztusiłem się, ale przeżykałem. Do świadomości doszedłem nieco później. Światło poranka przyniosło zbitkę dźwięków, jaką tworzyły recytacje religijnych wersetów, słowa pieśni, krzyk płaczek. W tym samym momencie przez okno napłynęła słodko-mdląca zapowiedź, aby po chwili eksplodować skoncentrowaną falą potwornego smrodu, powstającego w jedynym tylko miejscu - w prosektorium. Wstałem i zataczając się podszedłem do okna. Zobaczyłem napis: *Tu bogowie strzegą racji umarłych*. Zrobiło mi się słabo. Znajdowałem się w Domu Umarłych. Chryste! Dlaczego?

W pomieszczeniu oprócz pryczy i stolika, na którym leżało kilka mocno przesuszonych owoców, znajdowała się też konew. Nachyliłem się i w lustrze wody zobaczyłem twarz człowieka chorego psychicznie, ze spojrzeniem zmętniałej duszy,

która uległa zapadnięciu w głąb jaźni. To mną wstrząsnęło. Coś we mnie kołatało, czyjeś słowa, że czas mną potrząsa jak grzechotką i bawi się tym jak kretyn trzymający w ręku brzytwę strachem otoczenia. Podeszedłem do drzwi. Były zamknięte. Za oknem widziałem łódeczki, na których przywożono zmarłych. Towarzyszyły im płaczki oraz rodziny. Żałobnicy darli na sobie odzież, drapali twarz i ciało, posypywali głowy popiołem, wydawali okrzyki żalu, kierując kroki do zabudowań znajdujących się poniżej okna mojego pomieszczenia. Spojrzałem w dół.

Tuż przed głównym wejściem do Miasta Umarłych postawiono lekką drewnianą konstrukcję na kształt namiotu bez tylnej ściany. Z frontu dwie duże płachty tworzyły wygodne wejście. Wewnątrz centralne miejsce zajmował kamienny stół. Obok znajdował się ceglany basen, do którego ceramiczną rurą doprowadzono bieżącą wodę. W lewej części ustawiono w szeregu atrapy figur o ludzkich kształtach. Szybko je policzyłem: sześć kobiecych i tyle samo męskich, każda z wyraźnymi zewnętrznymi różnicami w tworzywie i detalach.

Od strony murów do namiotu weszło trzech ludzi. Jeden ubrany był w białą, drugi w zieloną, trzeci zaś w czarną tunikę. Odsłonili prawą stronę pomieszczenia; dostrzegłem okrągły stolik, a na nim stelaż z zawieszonymi maskami: czarną Anubisa, zieloną Ozyrysa i białą Seta. Po chwili dołączył do obecnych młody kapłan, starannie ogolony, z wydatnymi wargami i haczykowatym nosem.

Wyszedł przed namiot i głośno zapytał:

- Kogo dziś przywieziono do Domu Umarłych?

Wystąpił skromnie odziany mężczyzna z czerwonymi od płazu oczyma.

- Z wyroku bogów jest to mój syn. Przywiozłem Nesamona, ozdobę mojej starości.

- W takim razie pozwól tutaj, ty, który jesteś jego ojcem.

Rozsunięto płachty wejścia. Wysłuchałem szczegółowej oferty kapłana, który kładąc na stole atrapy figur zabalsamowanych zwłok tłumaczył różnicę w sposobach wykonania makijażu twarzy, pracochłonności zabiegów, asortymencie nieodzownych ozdób, biżuterii, ksiąg, pism z zaklęciami, figurek

i setek innych nieznanymi mi zupełnie tak przedmiotów, jak i czynności. Dokładnie ustalał długość i liczbę bandaży, jakość i wagę aromatycznych ziół, olejków, kadzidła, żywicy, pachnidła, maści. Zawarł z rodziną porozumienie dotyczące najdrobniejszych szczegółów.

Słuchałem tego w zdumieniu. Byłem świadkiem niezwykle go marketingu pogrzebowego, przy którym każdy inny znany mi dotąd był jedynie bladą imitacją. Na końcu spisano dokładną umowę, a zleceniodawca przejrzał treść i podpisał wynegocjowane warunki. Wychodząc spytał, czy Dom Umarłych może należność rozbić na miesięczne raty. Kapłan pokręcił głową. Człowiek popatrzył nań smutno i powiedział, że zostanie zrujnowany.

- Możesz pochować syna w piasku - usłyszał odpowiedź. - Na pewno będzie taniej. Tylko głupiec się nie liczy ze stałą obecnością śmierci. A więc?

Słyszałem to pytanie. Petent poprosił o chwilę czasu. Widziałem, jak odchodzi i rozmawia z rodziną. Po chwili powrócił.

- Ile dni mam na zapłatę?

- Siedemdziesiąt - padła odpowiedź. - Połowę zapłacisz w czasie dwóch tygodni. Resztę, gdy będziesz transportował syna do grobowca. Teraz możesz wnieść swoje dziecko do namiotu oczyszczenia.

Po chwili zwłoki z drewnianych noszy przełożono na stół.

- Rozbierzcie go z odzieży - rzekł kapłan. - Tutaj ciało powinno zostać takie, jak zostało narodzone. Popatrzcie na zmarłego jeszcze raz. To ostatnia okazja, aby rodzice i bliscy zapamiętali rysy bliskiego człowieka. Nie smućcie się, dusza Nesamona za uczynki życia już została zważona przez bogów. Nam, balsamistom, dana jest moc sprawiania szczęścia umarłym, aby dla wybranych zaistniał cud ponownego odrodzenia w innym czasie i w miejscu. A teraz wyjdźcie - wskazał na niewielki taras - i poczekajcie na zewnątrz.

Kapłan zasłonił obie części wejścia. Spoza kotary wyszli pomocnicy. Głośno, wyćwiczonymi głosami recytowali hymn do bogów podziemi. Przerwy w recytacji wypełniali śpiewami. Widziałem, jak we czwórkę łopatkami posypują ciało natronem. Jedno oko Nesamona było otwarte. Kapłan domknął po-

wiekę i przycisnął ją kamykiem. Później zmarłego polano wodą; jej strużki spływały pod stół do zagłębienia i znikwały w gruncie. Trzej mężczyźni nałożyli rytualne maski. Teraz jedynie kapłan wysokim tenorem kontynuował modlitwę do Ozyrysa. Po jej zakończeniu otworzył ponownie wejście. Rodzina podeszła bliżej czarnego Anubisa, w niespiesznej pantomimie ruchów kładącego rękę na sercu, ustach i oczach młodzieńca. Pomocnik grający rolę boga wyprostował się i rzekł:

- Nesamon jest tego godny! Nesamon jest tego godny!

Teraz na pierwszy plan wysunęła się zielona maska. Ozyrys po wygłoszeniu apelu o przejęcie nowej duszy w świat podziemny nachylił się i obiema rękami objął głowę zmarłego, dając tym samym dowód, że zabiera tę duszę w swoje posiadanie. Usiłował mu w tym przeszkodzić na biało ubrany Set, wykrzykując pogroźki pod adresem bogów i ludzi, machając rękoma uzbrojonymi w długie noże. W przerażającej pantomimie ujawniał zamiśl poćwiartowania zwłok. Kapłan, Anubis i Ozyrys otoczyli Nesamona. Niesamowitym tańcem uniemożliwiali Setowi dostęp do ciała. Rozpoczęła się walka, w której zwycięstwo odnieśli bogowie świata podziemnego, a Nesamon został uratowany i kiedyś będzie mógł się odrodzić.

To nic - myśleli zapewne rodzice zmarłego - że stracimy dom i pola, ale nasze dziecko uzyska życie wieczne. To nic, że sami zostaniemy owinięci w matę i pochowani w piasku, ale spokojnie będziemy umierali wiedząc, że wypełniliśmy obowiązek względem syna. Może we właściwej chwili bogini prawdy Maat oznajmi Ozyrysowi, że oto ci pochowali syna, oddając Domowi Umarłych całe mienie, nie zostawiając sobie niczego. A wtedy najwyższy władca z kosztownego grobowca wyrzuci ciało oszusta, gwałciciela, mordercy i kłamcy, a w jego miejsce włoży ich własne, wygrzane w piaskach pustyni.

Przedstawienie się zakończyło. Postacie w maskach znikły wśród fałdów kotary. Kapłan przykrył ciało całunem i polał wonnym olejkim.

- Teraz przeniesiecie Nesamona do miejsca czystego.

Rodzina zmarłego przełożyła ciało na nosze i wzdłuż murów podażyła do innej bramy. Wewnątrz namiotu czterej mężczyźni, tworzący zespół inwokacyjno-mediacyjny, popijali wino

i spokojnie rozmawiali na banalne codzienne tematy. Do późnego popołudnia byłem świadkiem kilku podobnych spektakli. Różniły się tym, że ceny zarówno akcesoriów pogrzebowych, jak i usług w każdym wypadku były różne. Nikt stąd nie wyjechał, aby dokonać pochówku na pustyni. Kapłan o haczykowatym nosie perfekcyjnie wyczuwał granicę możliwości rodziny. Ewentualny opór załatwiał chwytemi zawodowca szanującego swój talent. Jego twarz, pozornie pełna pokory, smutku i współczucia, jakże uduchowiona, w chwili gdy jej nie widziano zmieniała się w bezlitosne oblicze wilka strzygącego owieczki, które doprowadził do tego, aby same z własnej woli składały siebie w ofierze. Napatrzyłem się wystarczająco, aby chcieć stąd odejść.

Z drugiej strony drzwi usłyszałem łoskot skobli. Do środka wszedł mężczyzna w średnim wieku, z przyszyżoną brodą, w szerokiej opasce na biodrach. Z jego oczu biła pewność siebie, jaka cechuje ludzi, którzy dojrżeli do piastowanych stanowisk i nigdy nie dyskutują o forsie i kobietach. Oczywiście, znałem takich chłodnych facetów o różnym poziomie uzyskiwanych apanaży i klasy utrzymywanych kobiet. Tworzą amplitudę niezbyt szeroką, ale ten, na którego spoglądałem, o wyraźnie semickich rysach, grubych wargach, niewątpliwie miał co chciał, a może inaczej - co chciał chcieć.

Zamknął drzwi, usiadł na moim łóżku i powiedział:

- Tutaj, bracie, na razie nie może ci być dobrze. Niedługo, gdy dojdiesz do zdrowia, sytuacja się poprawi. - Podał mi rękę. - Jestem Chaim, z rodu Chama.

Milczałem, bo właśnie ta cnota dawała mi w ostatnim czasie więcej korzyści niż jakakolwiek inna. Wykonałem jedynie nieokreślony ruch głową. Chaim spojrzał na mnie ze współczuciem.

- Ale te goje cię urządziły. Różne tajne służby latają po całym mieście, ale tutaj szukać nie będą. Czy możesz mówić?

- Tak, od rana czuję się lepiej.

- Dobrze, dam znać Menhure, którego my nazywamy Jakubem. Żyjemy w diasporze i musimy być mądrzy. Jeśli on cię polecał, musisz być naszym krajanem.

- Skąd masz wiadomość, że jestem Żydem? - spytałem, usiłując nadać swojemu głosowi nieco inne brzmienie, niż odgłos szlifierki wibracyjnej piłującej granit.

- Jakub nabrał takiej pewności, gdy zademonstrowałeś mu swą wiedzę o narzędziach lekarskich. Przecież wiesz, że żaden goj nie posiada wiedzy, oni posiadają tylko umiejętności. Wiedza bywa objawiana tylko potomkom Noego, tak mówi pismo. Foza tym śpisz z Żydówką, a one tylko raz popemnia ją ten sam błąd. Oj, Żydówki, Żydówki. Bóg śmiał się, tworząc nasze kobiety. Stwórca mówił wówczas sam do siebie, że w odróżnieniu od czegokolwiek innego, co dotąd stworzył, one są więcej niż dobre. On się nie mylił. Czy wiesz, Neferze, co może być lepszego od Żydówki?

Nie wiedziałem.

- Dwie, jeszcze młodsze od tej jednej.

Chaim długo się zaśmiewał i kiwał głową, gdy pokazałem na palcach trzy. Trochę się załzawił i bez skrępowania rzucił w moją stronę:

- Ledwo przeżył, a o babach zawsze może. Nawet na palcach.

Klepnął mnie w ramię.

- Nie wysilaj się i nie gadaj, bo stracisz głos. Przetrzynam cię u nas, aż niebezpieczeństwo minie, a później przedstawię głównemu kapłanowi. To starzec, niedowidzi, niedosłyszy. Powiem, że jesteś świeżo wyświęconym balsamistą. Nie musisz się niczego obawiać. Zastępcą naczelnego kapłana jest mój syn, *choć nie otrzymał wszystkich niezbędnych święceń*. Może go widziałeś, miał rano służbę w Namioocie Oczyszczenia. Reszta ludzi przebywających w Domu Umarłych w Dendera to nieczyści, zbieranina psychopatów, zбочeńców, uciekinierów z więzień, relegowanych kapłanów, schizmatyków i zesłańców. Są napiętnowani, nie mają dokąd uciec. Nauczono ich wykonywania zawodu. Mają pod dostatkiem jedzenia, napitków. Oczywiście mamy tu boga - zaśmiał się - który nadzoruje to bydło i w razie niesubordynacji sprowadza śmierć w takich męczarniach, że ciało odpada od kości, a smród za życia wznosi się pod niebiosa. Posiadają także swoje radości i przyjemności kastowe, tutejsze zaś obyczaje po-

zwalają pogodzić się ze wszystkim, co gdzie indziej jest zakazane. Ale o tym innym razem. Ja jestem głównym balsamistą w Dendera i przewodniczącym Ozyriańskiego Stowarzyszenia Świętego Balsamowania.

Wstał i zmierzając już do wyjścia, rzekł:

- Sługa, który przychodzi do ciebie, jest mi oddany. Wszystkie życzenia możesz przekazywać przez niego, ale nie próbuj stąd wyjść. Straż natychmiast cię zabije. Wyglądasz, jakbyś wrócił od Ozyrysa.

Zarechotał i popatrzył na mnie z wyrazem politowania. Potem podniósł rękę w geście pożegnania i odszedł zapowiadając, że dostarczy mi zestaw koniecznych przedmiotów osobistych.

Dopiero dwa dni później mój umysł wrócił do równowagi. Pojawiła się pamięć, wróciły uczucia, a wraz z nimi niepokój o Tillit. Wezwałem Chaima i bez najmniejszej dyskusji kazałem mu powiedzieć, co wie.

Wysłuchał mnie spokojnie i odpowiedział, że od kilku dni stara się uzyskać o niej informacje; nawet w dyskretny sposób usiłował dać za wiadomość duże łapówki. Za ostatnią w normalnych warunkach przyniesiono by mu pod wskazany adres całe więzienie, wszystkich pensjonariuszy oraz straż, która dożyłotnio złożyłaby przysięgę wierności nowemu pracodawcy. Tym razem stało się coś zupełnie nieoczekiwanego. Nikt nie chciał przyjąć niczego, a gdyby nie brutalny szantaż z jego strony, to próba przekupstwa skończyłaby się gorzej niż kiedykolwiek. Jednakże uzyskał wiadomość, że Tillit została uwięziona i była przesłuchiwana przez agentów tajnych służb. Nikt z miejscowych funkcjonariuszy nie ma z nią kontaktu. Menhure z żoną ukryli się w sobie tylko znanym miejscu. Nie wiadomo, co stało się z Titem, niewolnicy nic nie wiedzą. Trzeba czekać.

Spytałem, co stało się z synami Menhure.

- Nie wiadomo - rzekł ponuro. - Obaj jednego dnia z rodzinami udali się w dół rzeki. Łódź znaleziono daleko, w Asjut, płynęła kręcąc się w nurcie. W jej wnętrzu odkryto zaszlachtowanych wioślarzy. Do dziś nie wiadomo, czy był to przypadkowy napad, czy zaplanowany mord. Ślady prowadzą donikąd.

Byłem przejęty i przerażony tym, że śmierć co chwilę uderza obok mnie i nie pozwala o sobie zapomnieć. Nagle odczułem potworny ból głowy, w której coś eksplodowało. Jaskrawy błysk przed oczyma był ostatnim doznaniem, jakie zapamiętałem. Zbudziłem się zauważając, że moja lewa strona ciała jest osłabiona i mam trudności z wykonywaniem ruchów. Podszedłem do okna i w lusterku obejrzałem twarz. Prawa źrenica była wyraźnie szersza, kącik ust po lewej stronie układał się niżej. Wtedy przez okno ujrzałem łódź, w której siedziało kilku kapłanów. Wieźli podłużny pakunek. W okolicy piersi i głowy płócienne całuny były przesycone krwią. Przybili do przystani. Wzięli zwłoki na barki i wznosząc podniosłą pieśń zbliżyli się do namiotu. Drogę zastąpiła im straż. Najstarszy z dźwigających głosem nie znoszącym sprzeciwu polecił natychmiast wezwać naczelnego zwierzchnika rytuału Domu Umarłych. Zauważyłem podekscytowanego starca, który z laseczką w dłoni jak mógł najszybciej człapał do bramy. Stał naprzeciw orszaku ze zmarłym. Wtedy jeden z przybyłych spytał:

- Czy ty stoisz na straży Bożej Księgi Zmarłych?

-Tak.

- Na naszych barkach przywieźliśmy naszego brata, zostawimy go tobie. Zabalsamujesz jego ciało według najdroższego wzorca. Teraz oddal strażników.

Starzec wykonał ruch ręką. Zostali sami.

- Jeszcze raz powtarzam, macie wykonać czynności tak, jakby zmarły był faraonem. Jeśli cokolwiek będzie inaczej niż tego chcemy, a sprawdzimy każdy szczegół, to wiesz, że potrafimy rzucić klątwę. Będziesz cierpiał ty i wszyscy, co tu są, tak że śmierć rytmicznie będzie przychodzić i odchodzić, zjadając ciała po kawałku. Czy rozumiesz, o czym mówię?

- Oby te dni nigdy nie nadeszły, arcykapłanie świątyni Imhotepa.

- Koszty są obojętne - powiedział przybysz. - Nawet takie, których nie umiesz sobie wyobrazić.

Kapłani złożyli zwłoki w namiocie i nie przerywając żałobnych pieśni oddalili się w kierunku łodzi. Byli prawie na drugiej stronie, a jeszcze dolatywały do mnie frazy chorału mieszające się z odgłosem uderzeń rzecznej fali o brzeg.

W namiocie oczyszczenia pojawił się syn Chaima. Wkrótce po nim nadszedł główny balsamista. Zamienili więcej spojrzeń niż słów. Do nich dołączyli trzej znani mi już mężczyźni odgrywający rolę bogów.

Obejrzeni zwłoki, założyli maski i rytmicznie recytując inwokacje przechodzili od śpiewu do śpiewu, jednocześnie odwijając z całunu przywiezione ciało. Słyszałem chrzęst tkaniny odrywanej od miejsc pokrytych zakrzepłą krwią. Na klatce piersiowej zmarłego widniały ślady tortur, liczne dziury wyszarpanej tkanki z osmalonymi brzegami, wyglądające jak nieforemne wgłębienia wyrwane obcęgami czy kleszczami. Razem tworzyły kształt podobny do litery H z długą poprzeczką. Grupa mężczyzn w przerażeniu oglądała te obrażenia, będące dziełem kata zwyrodnialca. Słyszałem, jak ze zgrozą mówili o wyszarpanych żebrach, wykąsanych obojczykach, o straszliwym koszmarze udreczeń, jakie musiał przeżyć ten człowiek. Twarz zmarłego była jeszcze zakryta, gdy jeden z koncelebrantów zwrócił uwagę na wyrwane paznokcie i złamaną prawą goleń zmarłego. Rozchylił mu uda, aby ukazać sprasowany placek stłuczonej masy krwi, tkanek i ropy, stanowiący kiedyś jądra. Widziałem, jak Anubis chwieje się na nogach, gwałtownie zdejmując maskę z głową szakala, blednie, siada na ziemi i głęboko oddycha, bezskutecznie powstrzymując torsje. Wszyscy pozostali zastygli w przerażeniu. Jedyne niedowidzący starzec usiłował pojąć, co się stało, a kiedy zrozumiał, powiedział, kierując słowa w przestrzeń:

- Ci, co go tu przynieśli, potrafią rzucić przekleństwo, które niezawodnie zadziała, jeśli zwłoki zmarłego nie zostaną zambalsamowane równie starannie, jak ciało faraona. Ostatnia klątwa zniszczyła Dom Umarłych w Esna, rzucono ją dwadzieścia lat temu. Byłem tam, na własne oczy widziałem napisy na ścianach poczynione przez wyklętych. Ich członki rozpływały się jak galareta, a oni żyli. Tamtejszy skryba opisał te wydarzenia trzcina trzymaną w zębach. Tak go znalazłem.

Zamilkł, lecz na samo wspomnienie drżał.

Do odsłonięcia została tylko głowa zabitego. Chaim powoli odrywał tkaninę. Lewa połowa czaszki była cała, a po prawej z potworną siłą zadany cios zmiażdżył kości. Twarz nie była

uszkodzona. To byłem ja w ciele Penny. Po raz kolejny straciłem przytomność.

Sądzę, że mnie leczono. Po jakim czasie doszedłem do siebie, nie wiem, i nie pytałem o nic, nie chciałem niczego. Ogarnęła mnie apatia. Tkwiłem w bezruchu, patrząc w sufit, chcąc mocą swojej woli i umysłu sprowadzić tutaj do siebie sceny z malowanej komnaty. Wiele dni później, któregoś ranka, obudziłem się silniejszy, a osłabienie kończyn i pamięci ustąpiło.

Sługa sprowadził Chaima, który ucieszył się widząc, że jestem w lepszej formie. Spytał, czy interesują mnie informacje o Tillit? Zapomniałem o Tillit, w ogóle zapomniałem o wszystkim, co było przedtem. Coś wymazało zapisy w moim umyśle i duszy. Dotarło do mnie, że nie ma żadnej nowej wiadomości, ale jutro rano - jeśli będę się dobrze czuł - rozmówca chce mnie osobiście przedstawić naczelnemu kapłanowi. Mam być spokojny i niczego się nie obawiać, gdyż pamięć starca budzi się tylko wtedy, gdy ukazuje się śmierć.

- Nie zobaczy cię - powiedział Chaim - ani nie usłyszysz. Niemniej od jutra będziesz mógł mieszkać gdzie indziej i chodzić po całym obiekcie.

Stało się jak mówił. Otrzymałem dwa duże pomieszczenia po przeciwnej stronie prosektorium oraz dostęp do okazałej biblioteki; znajdowały się w niej dzieła o sztuce balsamowania teraz i przed wiekami. Czytałem dokładne opisy metod stosowanych lokalnie. Szereg instrukcji postępowania był makabryczny, ale nie to zwróciło moją uwagę. Przy zachodzącym świetle dnia czytałem papirus datowany osiemset lat wstecz. Sporządzono go dla odnotowania zjawiska, które nie powinno zostać zapomniane, a zachowany tekst zaczynał się tak:

W Tanera obsunęła się ziemia. Otworzyły się groby na zboczu i mumie wypadły na światłość dnia. Pobożna ludność dla naprawy uszkodzeń i ponownego pochówku przyniosła je do Domu Umarłych. Dalej był opis małego sarkofagu, zawiniętego w całun z imieniem Achet. Po rozcięciu bandaży znaleziono nadtłuczony dzban, wypełniony elastyczną masą o smaku miodu. W nim, ku zaskoczeniu piszącego, tkwiły włóki kilkumiesięcz-

nego niemowlęcia, zachowane doskonale mimo upływu tysiąca stu lat od śmierci.

Przeglądałem papirus po papirusie. Wiedzę o balsamowaniu gromadzono przez tysiące lat. Autorzy pism należeli do elity, pisali własnoręcznie, kierując myśli do wtajemniczonych. W innym tekście natrafiłem na takie zwierzenie autora: *Zabezpieczałem tysiące ciał, chcąc przeciwdziałać czasowi. Znane mi metody w ciągu czterdziestu lat usiłowałem ulepszyć. Uczciwie mogę powiedzieć, że poniosłem porażkę. Moje próby utrwalania ciała dały wyniki gorsze. Nasz patron Anubis już do nas nie mówi. Niestety, bóg objawia się niesłuchanie rzadko i tylko wtedy, gdy sam chce. Skapo udziela łaski wiedzy i daje taki jej zakres, jaki w danym okresie dziejów ludzie są w stanie pojąć. Dlaczego, mimo doświadczenia, wiedza do nas nie przyszła? Czy nieśmiertelność jest darem Tota tylko dla wybrańców piramid?*

Przeczytałem kilkakrotnie ten tekst. Skarga na brak łaski bogów chwytiała za serce. Ale ostatnie zdanie burzyło rytualno-religijny porządek innych zapisów. Dlaczego autor jako pewnik łączył nieśmiertelność z Totem i piramidami?

Postanowiłem przejrzeć najstarsze teksty. Po trzech dniach poszukiwań znalazłem to, czego szukałem. W starodawnej kopii ze zdumieniem przeczytałem, że faraonowie Cheops i Chefren za dokonanie remontu bezpośrednio po śmierci zostali przeniesieni do specjalnych komór piramid, wybudowanych przed wiekami przez... Dalsza część tekstu była nieczytelna. Co pozostało, zapisano tak: *Kapłan-strażnik tajemnicy założył nam kaptury, a następnie ukrytym wejściem wprowadził do wnętrza piramidy aż do komnaty królewskiej. Dopiero wtedy pozwolono nam zdjąć nakrycia głowy. Zobaczyliśmy zwykły kamienny sarkofag przykryty wiekiem z granitu. W środku spoczywały nagie zwłoki faraonów.*

Autor podawał dokładny opis zmarłych królów. Był naocznym świadkiem przewiezienia mumii do Sakkara, tam osobiście dokonał założenia bandaży, całunów i biżuterii i uczestniczył we właściwym pochówku. Byłem zdumiony, czytając uwagę, że ciała faraonów nie zostały dotknięte nożem i narzędziami, olejkami czy ziołami. Mimo to wspaniale utrzymywało się piękno i wyrazistość rysów twarzy, a także proporcjonalny

kształt kończyn. Tylko bóg, pisał balsamista, mógł sprawić, że mumie królów były zupełnie suche, lecz elastyczne oraz niezwykle lekkie, jak zabalsamowane kilkuletnie dzieci. Bogowie dali nam wzór, do którego mamy podążać.

Próbowałem zrozumieć uzyskane wiadomości. Co oznaczają te zagadki, czemu służą? Kto znał sekret wejścia do pomieszczenia, przyciśniętego grubo ponad dwoma milionami ogromnych kamiennych bloków? Jeśli nie Cheops i Chefren, to kim są projektanci i budowniczości piramid? Sprawcy tych wiekopomych czynów, a tym bardziej inwestorzy, gdyby istnieli w najdalszych nawet dziejach Egiptu, w historii świata nosiliby koszulki z numerem 1 i 2... Pamięć ludzka niezawodnie zachowałaby ich imię, ród, kolor oczu, numer buta, a odcisk stóp w piasku byłby relikwią w najmniejszej osadzie. Każdy, na kogo padłoby ich spojrzenie, kropla śliny czy spermy, umieściłby wzmiankę dla potomnych o chwalebnym wyróżnieniu. A tu nic, pełna pokora i dystans. Próżnia. Władcy świata, potężni faraonowie, synowie bogów - jedynie zwykłymi wykonawcami remontów? Żaden z nich nawet nie ośmielił się siebie gdziekolwiek upamiętnić przez nałożenie pieczęci czy znaków. To jest zupełnie nie po ludzku. Ktoś stworzył budowlę pochodzącą jakoby z inicjatywy człowieka, ale czy ziemianina? Jeśli przeczytane informacje są prawdziwe, to z psychologicznego punktu widzenia wykluczają ludzi jako twórców tych budowli. Człowiek, nawet jeśli jest wynalazcą łyżeczki dla mańkutów czy teorii „nie chcę, lecz muszę”, ma to do siebie, że jego wewnętrznie ja obliguje go do pozostawiania po sobie posągów, obelisków, stelli, inskrypcji, not biograficznych w encyklopediach, wzmianek w „Who is who”, upamiętniania w diariuszach, uwieczniania w kamieniu, glinie, metalu. Niezależnie pozostaje jeszcze zapis w pamięci pokoleń. A tu nic - ani posągu, ani metki, ani notatki. Absolutna - a może zaplanowana? - luka informacyjna. Dokument zaświadczał, że wewnątrz piramid w jakimś celu pozostawiano zwłoki faraonów, aby wygrały wojnę z czasem i biologią. Ludzie więc, czy kosmici? Złamanie praw przyrody?

Poprosiłem o przyniesienie kaganków i łuczyw, abym mógł pracować w nocy. Przeczytałem wszystko, co znajdowało się w bibliotece i nie znalazłem nic nowego. Byłem rozgoryczony.

Wydawało się, że rozwiązanie jest blisko, wyraźnie to czułem. Chyba że z archiwum usunięto część pism.

Wieczorem przyszedł Chaim z synem. Ucieszyłem się, bo od dawna z nikim nie rozmawiałem. Z sakwy na ramieniu młodszego kokieteryjnie wystawiały główki dwie butelki wina. Usiedli na moim łóżku, przyjmując niedbałe pozy.

- Słyszałem, że namiętnie przesiadujesz w naszej bibliotece? - zapytał Chaim i nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do syna: - Mówię ci jeszcze raz, on musi być Żydem. Inwestuj w rozum i nabywa wiedzy! Głośno cmoknął i pogroził mi palcem. Rozlewał wino, a usta wciąż mu się nie zamykały. - Neferze, dotąd nie byłeś w naszych pracowniach. - Znowu nie czekał na odpowiedź. - Ezawie, on wszystko już wyczytał z tych zwojów. Nie będzie sobie brudził rąk, do tego są goje. On będzie myślał, bo dawno zrozumiał, co jemu jest potrzebne. Ezawie, patrz jak ten Żyd dobrze wie, że wszystko, co tu robimy, musi kosztować. I ja to wiem i ty, niedouku, też wiesz. Nie jest sztuką się narobić, sztuką jest zawiadywać i patrzeć, gdzie jest ta najślodsza część. Gdzie ona, tam i my. Jak to dobrze, że możemy szczerze porozmawiać, jak rodak z rodakiem. Z jakiego plemienia Izraela jesteś? - zwrócił się do mnie.

Strzeliłem bez większego zastanowienia:

- Nie muszę się spowiadać. Możesz sobie wybrać: Rubena albo Beniamina.

- Aha, oznacza to, że wróciłeś do Egiptu; jesteś mądry. Ci, co poszli z Mojżeszem i Jahwe, nam, pobratymcom pozostałym nad Nilem, zepsuli cały interes. A jakie straty! Oj! - chwycił się za głowę.

- Mnie nie obchodzi, Chaimie, moje plemię. Ono jest daleko, toczy jakieś głupie wojny o kobiety i stada kóz. Istotne jest, aby przede wszystkim był interes. A koszty zawsze są, byle nie większe niż zysk.

To go rozradowało.

- Patrzcie, jaki mądry Żyd. On przewiduje, co się może zdarzyć i... nie lubi ryzyka i kóz. Nie będę ciebie pytał, Neferze, bo wiem od Jakuba, że lepiej o tobie wiedzieć jak najmniej. Po co ja mam wiedzieć? Mogę stracić! A może ty jesteś coś na

kształt proroków? Wiesz, jak u was Mojżesz albo jak u nas Enoch?

Wypiliśmy obie butelki wina, zagryzając kawałkami kaczki. Żądali, abym raz jeszcze opowiedział, co się stało od czasu przyjazdu do Dendera, a gdy skończyłem relację, Ezaw rzekł:

- Człowiek o twoim rysopisie jest poszukiwany w całym Egipcie. Szukają go tajne służby faraona i wezyra, i kapłanów Amona. Nawet za drobną informację o tobie można zdobyć fortunę. Na twój temat rozpuszczono dziwaczne podejrzenia, możesz nam popsuć interesy i to w okresie, kiedy o Żydach zapomniano. Co ty na to?

Widziałem chłód w jego oczach. Nieoczekiwanie stałem się dla niego towarem. Rozmawiał ze mną, jakby szacował zyski - te doraźne i te odległe.

- Mylisz się, Ezawie. Szukają jednego z kapłanów świątyni Imhotepa. Jesteśmy do siebie łudząco podobni.

Obaj raptownie na mnie spojrzeli.

- Istotnie - rzekł cicho Ezaw. - Wiesz, że Penna nie żyje? Kapłani Imhotepa, ci egipscy durnie, uważają go za męczennika, świętego i proroka. Ale ty jesteś w Dendera od niedawna, a obaj wiemy, że Penna, w odróżnieniu od ciebie, w nic nie był zamieszany. Pomagaliśmy ci w nieświadomości, a teraz...

Przerwałem mu wywód.

- Racje, jakie by nie były, zawsze są względne. Zastanów się dobrze co będzie, gdy ci głupi, jak mówisz, Egipcjanie dowiedzą się, że zastępca głównego kapłana nie posiada wymaganych święceń? Domem Umarłych w Dendera rządzi żydowska rodzina, która bez sentymentów zawyża ceny wyposażania dla zmarłych i nie zawsze wykonuje rytuały zgodnie z nakazami ksiąg. Wiem, co mówię, i pytam, czy Egipcjanie to twój i mój naród? Nie chcę odpowiedzi. Ja ją znam.

W oczach obu pojawiły się mordercze błyski, ale milczeli.

- Chciałbyś mnie wydać, Ezawie? Chwilę się zastanów, jak wół pod górką, i słuchaj! Pohandlujmy więc teraz moim życiem, to też towar. Widziałeś Pennę?

Kiwnął głową.

- Jeśli mnie wydacie, wasze ciała wkrótce będą wyglądały podobnie. Więc zapomnij, o czym myślałeś zanim tu przysze-

dłeś, bo nie ma dobrego interesu, jeśli za cudze życie płaci się własnym. Powiedz sam, Chaimie, czy nie mam racji i wytłumacz temu durniowi, że zysk żaden, a ryzyko wielkie. Dlaczego on się nie uczy? Gdzie jest jego ojciec? - Podnosząc ręce, głośno westchnąłem na znak zgrozy i obrzydzenia.

Chaim po chwili powiedział:

- Ty jesteś nieobrzezany Żyd, to jest fakt. To nie jest nic złego, jeśli pobratymiec wraca do Egiptu na przykład z Jerozolimy i w dodatku ma napletek. Taki sajan może zająć egipski urząd i nie rozpozna go Egipcjanka. Moi rodzice i ja wróciliśmy tutaj dawno, już wtedy, gdy ten szalony Mojżesz pokazywał plemionom Ziemię Obiecaną. Co to za Ziemia Obiecana? Sami wrogowie, ufortyfikowane miasta, wielkie pustynie, stała trwoga przed najazdem, lęk przed Lewitami i ten okrutny Jozue. My, z rodu Chama, nie jesteśmy stworzeni, żeby zabijać. My możemy, owszem, zapłacić, kupić, w ostateczności podżyrować. Ale walczyć z mocnym a głupim gojem, to jest obraza dla Stwórcy. Gdzie tu interes? Dziwisz się, że nie mówię Jahwe? Mój ród od czasu Noego miał całkowicie dość Jahwe. Po potopie moi przodkowie pomagali mu w tym, aby odbudować to, co i przedtem było zupełnie dobre. W nagrodę za to nasz praojciec Noe otrzymał od Jahwe świetliste ubranie i z powodu tego wyróżnienia zupełnie oszalał. Żądał, aby cała rodzina czciła go jak równego bogom. Kiedyś się upił, upadł, charczał i miał taką duszność, że jego syn Cham, mój przodek, zdjął z niego tę ciasną odzież i stwierdził, że ojciec ma ciało nie różniące się od ciała innych ludzi. Wtedy Noe nas wyklął. Gdzie tu sprawiedliwość? Dla twojej wiadomości dodam, że takie samo ubranie nosił na sobie Jahwe, gdy zśliśmy do Ziemi Obiecanej. Widział je mój ojciec. Bóg Izraela grzmiał, puszczał dym i ogień, ukazywał się w chmurze, towarzyszyła mu jasność. My, Żydzi z rodu Chama, wiemy, że tak nie zachowuje się Stwórca, a wszyscy Jahwe, to półbogowie i półludzie, tylko dużo mądrzejsi od nas. Widzieliśmy rozmaite urządzenia, które oni wypożyczyli Mojżeszowi i Aaronowi, gdy wędrowaliśmy przez pustynię. Jedną z nich był napierśnik arcykapłana służący do rozmowy z Jahwe na odległość. Znacznie ważniejszą była duża maszyna, którą kapłani nosili w Arce Przymierza. Służyła do

produkcji manny, zwano ją Wiekowym Starcem. Zapewne wiesz, że Arka zabija wszystko, co żyje. Jeśli uchyli się wieko lub nie zna sposobu jego zamykania, wtedy człowiek szybko traci siły, z wszystkich otworów ciała leci krew, wypadają zęby i włosy, skóra się łuszczy i pokrywa wrzodami. Tylko arcykapłan Aaron i jego potomkowie znali tajemnicę zakłęk i dlatego potrafili przetranszportować ją bez szkody dla siebie, ale musieli tę pracę wykonywać w ciężkiej odzieży z metalu. Były też inne urządzenia. Na przykład laska, której Mojżesz użył w walce z Amalekitami. Służyła też do zapalania ognia oraz szukania wody. My, Żydzi z rodu Chama, szanujemy Jahwe, ale jeszcze bardziej się ich boimy. Możemy postępować według nakazanych przez nich praw, ale dla nas lepiej, jak oni są bardzo daleko, a najlepiej, jak nic o nas nie wie. Nasz bóg różni się od boga Izraela. Stwórca nie jest do zobaczenia, nie wykonuje tych popisów ze światłem, ogniem i parą. On jest początkiem i przyczyną wszystkiego. Jeden z Jahwe mówił do Noego, że najlepiej określić Wszechmocnego tym, czym określa się on sam, czyli „jestem, który jestem”. Jeśli On dał nam rozum, to tylko w tym celu, abyśmy wrócili do Egiptu. Tu jest, był i będzie miód, cały świat, goje, porządek i bezpieczeństwo. A Jahwe Izraela nierozważnie powiedział, że Żydzi to naród wybrany i dlatego reszta ludzi do końca świata będzie nimi pogardzać. Trudno. Teraz nie można zrobić nic mądrzejszego, tylko pokochać takie nieszczęście. Cały paradoks tkwi w tym, że my, ród Chama, bezsensownie jesteśmy utożsamiani z Izraelitami. Z tego względu też jesteśmy w pogardzie i wykonujemy najbardziej parszywą pracę. Możemy tylko posługiwać umarłym. A dlaczego nie handel? Przez Jahwe Izraela musimy wykonywać tylko najbardziej pogardzany, obrzydliwy, nieczysty zawód. I tu jest cały cymes!!! Taki fach może robić tylko prawdziwy naród wybrany, czyli my, Chamicci, i nikt inny. Bo Stwórca powiedział, że aż do końca świata wszystkie narody będą miały dług u potomków Noego z rodu Chama. Zrobił tak dlatego, aby dzieciom Sema i Jafeta dać kolejną naukę, a nas nagrodzić za wierność. My nie odłaliśmy złotej krowy, tego symbolu bogini Hathor. Myśmy wcześniej się oddalili. Taki On jest sprawiedliwy! Za naszą wiarę, rozum i wstrzemięźliwość

dał nam nagrodę i przezornie ukrył ją tak, że nikt długo jej nie odkryje. On wiedział, że wszystko, co człowiek odłożył przez całe życie, odda nam za dwa miesiące pracy balsamistów. To śmierdzący, ale najlepszy interes, i my go robimy w całym Egipcie, we wszystkich Domach Umarłych od ujścia Nilu aż do ostatnich miast Pustyni Nubijskiej. Niech się inne plemiona Izraelitów martwią o Filistynów, Hetytów, Babilończyków, niech zakładają świątynię w Jerozolimie. Co trzeba oddać dla ich Jahwe, dla pamięci pokoleń, my oddamy. Zawsze będą ubodzy krewni, a ci nasi bracia z Palestyny są nie tylko biedni, ale również okrutni. Niech wezmą, ile im potrzeba, ale niech dadzą nam spokój. Tfu! - splunął. - My powoli wyciągniemy z Egiptu wszystko, co jego naród zbierze, i w końcu nam zostanie lichwa na cały świat. Weźmiemy ten ból na siebie wiedząc, że z tego powodu królowie, książęta, kapłani i narody świata będą nami pogardzać. Straszna to kara i nieszczęście. Te obawy, te pogromy. Z woli Boga nie jesteśmy niczym wielkim, tylko tym, co Stwórca chciał, skromnymi pszczelarzami. A ci inni - bo też On tak chciał - to pszczoły.

- Masz rację, Chaimie, we wszystkim. Stwórca dawno ustalił, co dla was dobre, ale wie też, że twój syn miał zamiar mnie wydać oprawcom. Nie wiem, czy Ezaw wiedział, iż niczego w ten sposób się nie rozwiązuje, sama zaś śmierć rozwiązuje wszystko. Denuncjacja to nasz wspólny grób. Kolejność jest obojętna, ale przypuszczam, że ja umrę ostatni. W odróżnieniu od was mam najwięcej do zaoferowania. Czy ty wiesz, Chaimie, co stałoby się, gdybym w złości czy rozpaczy na przykład się powiesił? Stwórca musiałby tutaj wysłać Jahwe, aby was obu wziął na - nie wiem, czy wam miłe - spotkanie z Mojżeszem. Wiesz przecież, jak męczące i kosztowne jest łagodzenie boga o tak trudnym charakterze. Ale gdyby Stwórca o was zapomniiał, był zajęty albo brzydził się wami, czy coś innego by się stało, ktoś z Szilom, a to blisko Jerozolimy, zaproponuje tobie, abyś tym razem tylko dla ludzi dokończył na synu Ezawie przymiarkę, którą dla Boga zrobił Abraham. Więc ja będę spał spokojnie, a wy? Mój Boże, tacy biedacy z rodu Chama nie powinni spać w ogóle i nieustannie płodzić synów, bo te nerwy i w ogóle zły los. Na waszym miejscu zacząłbym zaraz.

- Drwisz z nas, Neferze. Twoje dobre prawo. Gdyby nie to, że na pewno jesteś Żydem, nazwałbym cię antysemitą.

- Chciałeś powiedzieć: antychamitą.

- Nie. Nawet za słusznie obrażonym potomkiem Sema, Chama czy Jafeta stanie zawsze w obronie cały Naród Wybrany, wszyscy Jahwe i sam Stwórca. Drwisz z nas i straszysz. A przynasz, że byłby to gwałt, nieuczciwość i obraza boska, gdybyś nam za pobyt tutaj nie zapłacił, uwzględniając poniesione przez nas koszty i doliczając zysk.

- Oczywiście. To więcej niż naruszenie, to jest powód do gniewu. Kto lubi gniew? Co on buduje? Czy z niego można coś zrobić albo go sprzedać? Zróbcie rachunek za mój pobyt. Jeśli będziecie oszukiwać mało, zapłacę cztery razy więcej, jeśli dużo, tylko dwa razy i będę się strasznie targował.

- To nie jest uczciwy handel, Neferze. Przyprawiasz nas o nerwy i my tracimy radość. Odpowiadasz pytaniem na pytanie. Gdzie tutaj jest interes? To nie po żydowsku proponować taką straszną niepewność i czekanie.

- Mogę nie płacić.

- Nie wiem, czy dla nas nie będzie to najlepsze wyjście.

Wyszli, kłócąc się po drodze, jak oszukiwać i co więcej daje, mało razy cztery, czy dużo razy dwa, minus targowanie. Chaim z goryczą mówił do syna:

- Mówiłem ci, nie zaczynaj. To parszywy Żyd, żeby jemu kury niosły jaja do środka i żona stale miała miesiączkę. I żeby jemu sklep z pełnym towarem stał pusty.

Ezaw splunął obficie na ziemię i dodał:

- I żeby ten towar jemu zgnił.

Nie ma jak w rodzinie. Sytuacja była jasna: uratowałem życie i zrozumiałem, że rozmawialiśmy po egipsku, myśląc po semicku. Po ich wyjściu gorliwie modliłem się do wszystkich bogów o wyjaśnienie koszmaru, w którym się znalazłem. Obiecywałem dary, wota, ofiary, złożenie ślubów. Czas nie przynosił ukojenia, ale przeczucie mówiło mi, że Tillit żyje. Wiedziałem, że moje modły nie odmienia zamysłów Boga, ale wierzyłem, że mogą odmienić mnie i zagłuszyć rozpacz. Wielokrotnie późnym popołudniem i wieczorem wychodziłem na mury. Spoglądałem na nasz dom po drugiej stronie Nilu, w którym zazna-

łem tak wiele szczęścia. Czułem gorycz i ból, a także żal, że we właściwym czasie nie pojmowałem, iż właśnie tam przeżywam apogeum uczuć całego życia.

Torturowałem się oglądaniem łódek z młodymi dziewczętami, które - jak zapewne co roku na wiosnę - wyroiły się niczym kolorowe ważki. Przepływały obok Domu Umarłych, głównie w soboty i niedziele, kierując się na pobliską gęsto zarosniętą wysepkę. Wysoko z murów, nie będąc widzianym, obserwowałem miłosne parki w pełni folgujące swoim pragnieniom. Wspaniały czar młodości dał każdej z tych dziewcząt kapitał nie odkrytej jeszcze tajemnicy seksu. Wszystko jedno - szczupłej i wysokiej czy niskiej i tęgiej. Przed moimi oczami defilowały setki ofert o nieskończonym wachlarzu zachęt i obietnic. Wyzywające i prowokujące, odtrącone oraz te, które po trzech pierwszych zdaniach rozmowy z mężczyzną rodziły w myślach pierwsze małżeńskie dziecko. Pozornie gwałconych podczas gdy w istocie gwałciły, oddających się z ufnością, a w istocie uwiedzionych. Szaleńcza tortura kontrastu oszalałej, nie hamowanej, prawie publicznej kopulacji, odbywającej się tuż opodal miasteczka umarłych. Odkryłem, że życie i śmierć zawsze gnieźdzą się obok siebie, a może współistnieją wymiennie. Wiedziałem od Tillit, że seks przed ślubem jest udogodnieniem i szansą dla duchów zmarłych. Mówiła, że wówczas moce zapładniania nie błakają się w przestworzach, bezowocnie tracąc czas. Czekające tutaj mogły spokojnie wejść między wysoko uniesione nogi dziewcząt, w ciepłe łona pragnące macierzyństwa, tak jak tego z całej siły pragnęły.

Nie liczyłem dni, ale wiedziałem, że najwyższa pora pomyśleć o przyszłości, ułożyć plan działań wyprzedzających nadejście złych wydarzeń. Jednak nie mogłem zdobyć się na nic. Brak informacji o Tillit przybijał mnie do Domu Umarłych jak gwóźdź nogę do podłogi. Pętałem się z nudów po całym obiekcie. Nie czułem już smrodu, przestała mnie poruszać obsceniczność miejsca.

Widziałem pracownie, w których malowano sarkofagi i całuny, robiono odpisy Księgi Umarłych i produkowano amulety Dżed i Udżet, zapewniające pomyślność i spokój za życia

i w grobowcu. Dla okaleczonych mieszkańców Domu Umarłych stanowiłem wielką atrakcję i dodatkowe towarzystwo. Byli wśród nich tacy, co nie znali swoich lat, a czas odmierzali kadencjami życia naczelnych kapłanów i balsamistów. Na różny sposób usiłowałem wypełnić swoją samotność. Nauczyłem się na pamięć kwestii Anubisa i Ozyrysa. Czasami podmieniałem aktorów, grając rolę kogoś z bogów.

Miałem dyżur w Namiocie Oczyszczenia, gdy pobożni ludzie przywieźli zwłoki Menhure. Znaleźli jego zmasakrowane ciało nad brzegiem rzeki. Powiadomiłem Chaima o pośmiertnych pragnieniach tego dobrego człowieka. Mruczał coś o sprawiedliwości, która jest sprzedajną kurwą władzy albo skończoną umownością, abstrakcyjną wiarą głupców w potęgę prawdy. Popisywał się, ale nie czynił żadnych przeszkód, abym po zakończeniu balsamowania pod osłoną nocy wywiózł ciało stryja Tillit i pochował je wśród uszebtu w jego grobowcu w nekropoli. Sam замуrowałem kryptę. Zmarły był dobrym człowiekiem - niech odpoczywa i wielce kontent przygląda się, jak jego „ka” w nieskończoność zadowala kolejne nałożnice. Obiecałem sobie, że jak wyjdę z tej matni, dokupię mu dziesiątkę nowych kobietek, niech mniej się nudzi.

Którejś nocy zbudziła mnie cicha muzyka, wesola i pogodna; towarzyszyły jej frywolne śpiewy, dobiegające z centralnego budynku rzęsiście oświetlonej balsamatorni. Z okna widziałem, jak z różnych miejsc śpieszą do niej ubrani pracownicy. Wydobywał się stamtąd zapach świeżo smażonych mięs i ciast, aromaty kuchni, watorów której w żaden sposób dotąd nie mogłem zauważyć.

W wieżycze starego kapłana mimo późnej pory paliło się światło. Na jej schodach dostrzegłem Chaima z Ezawem. Muzyka i śpiewy trwały przez cały czas, głośniejsze, kiedy z pomieszczenia wychodzili podnieceni ludzie; na ogół poszeptawszy chwilę wracali tam. Byłem zaintrygowany. Spiesznie ubrałem się i podążyłem najkrótszą drogą na dziedziniec.

Otworzywszy drzwi balsamatorni, spostrzegłem duże płótno, dzielące jej wnętrze na dwie nierówne części. Z większej wyniesiono cały osprzęt, w jego miejscu wznosił się trójstop-

niowy podest. Ustawiono na nim stoły i ławy. Większość miejsc była zajęta. Ludzie siedzieli i stali, prowadząc ożywione rozmowy. Moje nadejście nie zainteresowało nikogo. Część osób jadła i piła. Czekając, co będzie dalej, nalałem dużą szklankę aromatycznego trunku i wypilem duszkiem. Bardzo szybko poczułem skutek - zaczerwienienie twarzy, przyspieszenie oddechu, nieoczekiwane podniecenie i agresję. Wino niewątpliwie zostało wzmocnione środkiem euforyzującym.

Po chwili sala była pełna ludzi, którzy zasiedli w rzędach, rzucając pożądlive spojrzenia na kotarę - jakby chcieli ją przebić wzrokiem. Zasiadający za stołem co chwila przepijali do znajdujących się niżej, wyżej lub obok. Rozlegały się śmiechy, tu i ówdzie słychać było świntuszenia i okrzyki, a nawet pijackie wrzaski. Byłem pewien, że czeka nas coś niezwykłego, a dokładnie znanego jedynie uczestnikom spotkania. Wadit, nadzorca straży, ponury, jednooki typ z wyciętą przez kata górną wargą, pełnił rolę maitre d'hôtel. Jego twarz, mogąca spowodować bezsenność kompanii wojska, przesuwała się między zebranymi, ukazując swą potworność w najmniej oczekiwanych miejscach. Migiała stroboskopowo, jak maska błazna, szaleńca, hybrydy. Nie piłem więcej, ale nie odmawiałem poczęstunku, robiąc różne sztuki, które udawały mi się kiedyś z Rosjanami. Nie minęła godzina, gdy wszyscy obecni na sali znaleźli się w apogeum ekscytacji i oczekiwania. Rozległy się krzyki:

- Loteria! Loteria!

Na podłogę zaczęto rzucać wszystko, co jeszcze ocalało na stołach. Siedzący w trzecim rzędzie cisnęli na dół ławę, która zanim rozleciała się w drzazgi, przesybowała płasko nad moją głową, oblewając kark resztkami sosów. Wytarłem się ręką, dla bezpieczeństwa wchodząc wyżej. W sali dudniły wściekłe wrzaski i ryki, stare pretensje, wykrzyczane rachunki krzywd z całego życia. Niczym płomień rozprzestrzeniała się zbiorowa chęć wyrównywania rachunków, w błyskawicznym tempie ulegała przyspieszonej kumulacji.

Tymczasem cyklop wyszedł na środek sali. Stanął przed zebranymi i swobodnie odkopnął kilka zrzuconych przedmiotów. Podniósł rękę i wyszczerzył zęby, wydając przy tym świst. Nic

nie mówił. Roznamiętniony, nieprzytomny tłum uspokoił się. Kiedy zapadła cisza, cyklop zawołał:

- Niechaj pokaże się skryba Ditte!

Stary, zasuszony mężczyzna z dzbanem pod pachą wyszedł na środek.

- Ile losów sporządziłeś?

- Sto trzydzieści. Jedna połowa z numerem jest w tym oto dzbanie, drugą każdy z nas ma ze sobą.

- Szybciej, losować! - rozległy się okrzyki.

Z góry w kierunku starca poleciały dwa kubki. Cyklop popieszył mu z pomocą:

- Cisza i spokój! Wiecie, że na dzisiejszy wieczór przygotowano osiem nagród. Może mniej niż zwykle, ale jestem pewien, że za mojego życia tak niesłychana szansa drugi raz się nie powtórzy. Komisja, złożona z nacinacza, dwóch jubilerów oraz mnie, ustaliła wartość wygranych. Powiem tyle, że od numeru osiem do numeru trzy są tej samej wartości. Zupełnie niezwykle jest nagroda numer jeden. Szczęśliwiec, który ją wylosuje, będzie przedmiotem zazdrości, bowiem przejdzie do historii i będzie wspominany z imienia. Oddałbym drugie oko, aby móc znaleźć się na jego miejscu. Znacie reguły loterii?

- Tak - odpowiedział chór wrzasków.

- Kto chce ciągnąć losy?

- Ja! - powiedział Murzyn, któremu obcięto nozdrza i uszy.

- Czy ktoś jest przeciw?

- Nie - rozległ się ryk - ale dzban z losami postawcie wyżej, abyśmy lepiej widzieli, a ten skurwysyn Nubijczyk niech się zaraz rozbierze do naga, by nie oszukiwał. Szanse muszą być równe.

Losowanie przebiegało szybko. Zwycięzcy, podnosząc ręce w tryumfie, ustawiali się w szeregu poniżej urny. Został ostatni los. Wyciągnięto numer jeden i z sali nie zgłosił się nikt. Ponownie odczytano cyfrę i znów odpowiedziała cisza. Murzyn schylił się i spod stopy wyciągnął los.

- To ja! - wykrzyknął. - To ja! Maribu sprawił, że to ja.

- Ty oszuście! Ukradłeś mój los!

Cyklop krótkim sztyletem uderzył Nubijczyka pod łopatkę. Pierwszy raz widziałem, aby ktoś umarł tak szybko jak ten,

który wykrzyknął tamte słowa. Wadit dzierżył obie połówki losu.

- Ta czarna świnia oszukiwała. Ja biorę nagrodę numer jeden, a jeśli ktoś ma jakieś wątpliwości, może ze mną walczyć. Teraz! Zaraz! Czekam!

Zrobiła się cisza, potem krótkie zamieszanie. Ciało zabitego wyrzucono na dwór. Chętnego do starcia nie było.

- Pokazać nagrody! Pokazać nagrody!

Cyklop polecił zapalić łuczywa. W sali zrobiło się jasno. Zdarło zasłonę i moim oczom ukazało się osiem pięknych, zupełnie rozebranych młodzieńskich kobiet w perukach na głowach, z obnażonymi biustami. Leżały na ponumerowanych sofach w bezwstydnym pozach, z rozchyłonymi na kształt litery „O” ustami i rozwartymi, uniesionymi kolanami. Część spośród nich zachęcająco się uśmiechała spod jaskrawego makijażu. Doleciał do mnie zapach mocnych korzennych perfum. Niektóre ręką z bransoletkami zasłaniały połowę twarzy, kokietując drugą. Inne wyprostowanym palcem wskazywały drogę do wnętrza rozwartych ud i szeroko otwartego śliskiego łona. Ten widok oczarował zebranych. Rozległ się jęk zachwytu, a potem krzyki aprobaty. Widziałem, jak numer osiem zrzuci szaty. Jego obrzezane prącie rosło w oczach. Chwycił je w rękę i zbliżył się do swojej nagrody. Dziewczyna nie broniła się, ale i nie pomagała. Triumfalny ryk zebranych zaświadczał, że zwycięzca zanurzył się w niej na całą głębokość. Krzyk towarzyszył każdej próbie miłości oralnej. Rozlegały się wrzaski:

- Jeszcze! Jeszcze!

Spojrzałem w bok, na purpurowe z podniecenia twarze. Mężczyźni z tylnych rzędów przepychali się do przodu, odtrącając mniejszych i słabszych. Widziałem, jak większość z nich zrzuci spodniczki lub zatyka je za pasek. Wszędzie dookoła sterczały fallusy małe i duże, czarne i brązowe, zgięte do góry w łuk, o małych kapturach i grubych trzonkach, oraz poziome o potężnym tłoku, nasadzonym na szczupłą tuleję. Głośno dysząc, głaśkali obnażone żołędzie, a strugi białej spermy łukiem spadały na ziemię. Kątem oka zobaczyłem, jak łysy garbus, zdobywca nagrody numer trzy, usiłuje osiąść wygraną dziewczynę. Nie zdążył. Sękaty Murzyn o klatce piersiowej godnej gladiatora

chwycił go za kark i przerzucił jak zabawkę ponad głowami ludzi. Jego wymalowane prącie pocięte okrężnymi bliznami wy-modelowano tak, aby wyglądało jak rozszerzający się w kierunku jąder stożek różnokolorowych obwarzanków; z furią wciskał członek między szczupłe pośladki ofiary. Kiedy po paru minutach zawył jak dzikie zwierzę i odstąpił od dziewczyny, jego miejsce zajął beznosy. Wywijając nogą od stołu, tłukł tych, którzy się zbyt zbliżyli. Poczułem i ja narastającą falę pożądania. Nigdy nie byłem świadkiem grupowego seksu, a tu obok mnie odbywała się orgia, nie znana mi nawet z literatury. Powietrze stało się duszne i przesycone zapachem spermy. Widziałem szaleńców, którzy po skończonym stosunku, głośno wyjąc, prezentowali widzom odległość kolejnych wytrysków, żądając aplauzu i uzyskując pochwały lub głosy szyderstwa. Fala brutalności i nienasycenia po pewnym czasie jednak opadła. Przywarłem do ściany, chcąc widzieć jak najwięcej, bo żaden pornos nie łączył w sobie tak gigantycznej obsceniczności i niesamowitego kontrastu odrażających, okaleczonych i izolowanych jak zwierzęta mężczyzn z tak olśniewająco pięknymi dziewczętami.

Wokół nagrody numer jeden, do tej pory nie uczestniczącej w orgii, krążył cyklop, trzymając w ręku nóż ze śladami krwi. Czekał na nasycenie tłumu.

Dziewczyna nie zdradzała niepokoju, bez większego zainteresowania śledząc to, co stało się udziałem jej koleżanek. Podniecenie opadło, głowy zebranych wolno zwracały się w kierunku Wadita, a gdy z trzech stron jedynki ustawiło się już wielu mężczyzn, nastąpiła zupełna cisza.

Wtedy cyklop zrzucił opaskę biodrową, ukazując potężny członek, rozwidlony na żółdzi niemal jak łapa psa. Dziewczyna uśmiechała się bez śladu trwogi, wydawało mi się jednak, że zauważyłem krótkotrwały wyraz zdumienia na jej twarzy. Cyklop rozszerzył szczupłe nogi piękności, po czym bezskutecznie usiłował ją pojąć. Gdy równie bezowocnie ponowił próbę, rozległy się krzyki:

- Wadit! Wadit! Dogodź jej wreszcie, bo jak nie, to my ci pomożemy.

Popatrzył na nich z nienawiścią i wetknąwszy nóż za pasek, uwolnionymi rękoma pchnął brutalnie dziewczynę na podłogę.

Potoczyła się w dół i legła nieruchomo, jak szmaciana lalka z otwartymi ustami, rozwartymi szeroko udami i z błyskiem w jednym tylko oku, bo drugie spadło pod jej nogi. Było sztuczne. Doznałem duszności i bólu za mostkiem, odkrywając, iż wszystkie te kobiety były pasażerkami zatopionej dwa dni temu łodzi, wiozącej księżną miasta z kilkoma dworkami. Te piękności, wzbudzające tyle pożądania, były trupami kobiet, sztuką balsamowania uczynionymi piękniejszymi niż za życia. Dodano im bezwstydu, wyuzdania i perwersji, zrobiono przedmioty do zaspokojenia zwierzęcych instynktów koszmarnych zwyrodnialców. Tego wieczoru zostały fantami na loterii wklętych sług śmierci i ciemności.

Zapadłem się w siebie z obrzydzenia, wstydu i wstrętu. Byłem świadkiem galowego koncertu nekrofilii oraz mimowolnym uczestnikiem tryumfu przemyślanego w najdrobniejszych szczegółach wyuzdania. Mój umysł się zamykał, choć oczy miałem otwarte. Nigdy tak bardzo jak w tej chwili nie potrzebowałem rozgrzeszenia i zmycia grzechów wyobraźni, słuchu, wzroku i węchu. Pamięć automatycznie notowała pantomimę ruchów i pozycji będących zaprzeczeniem seksu, jego antynomią, drugą naturą, przeciwieństwem normalnych ludzkich postępów. Siedziałem jak w letargu, niczym zahipnotyzowany widz w pustym kinie. Z tego stanu wytracił mnie cyklop - mamrocząc coś pod nosem, wyprowadził mnie na dziedziniec. Wychodząc mijaliśmy kopulujące pary mężczyzn, mówiących do siebie karykaturalnie okaleczonymi słowami miłości. Groteska ich wyglądu i słów podziałała trzeźwiąco, moje oszołomienie mijało. Wtem jednoooki poufale objął mnie za biodra i zaczął gładzić pośladki. Obróciłem się gwałtownie, a choć Wadit był nieco wyższy ode mnie, szczytem czaszki trafiłem w to, co jeszcze na jego twarzy było symetryczne. Usłyszałem trzask łamanych chrząstek i kości, mój adorator runął na ziemię. Zanim rąbnął potylicą o kamienie, z jego rozbitego nosa wystrzeliły w górę dwie rozpylone fontanny krwawej mgły. Pędem wnciłem do pokoju, natychmiast wypilem całą butelkę wina, a na wspomnienie tego, co widziałem, zwymiotowałem. Wypilem więc znowu i nad ranem zasnąłem.

Następnego dnia przyszedł do mnie Chaim z Ezawem. Przynieśli wiadomość o potrzebie wyboru nowego naczelnika straży, gdyż w nocnej burdzie dotychczasowy zginął.

Dwa dni później zachorował Anubis, więc na prośbę Ezawa zastąpiłem go w namiocie oczyszczenia. Wieczorem jakiś pobozny mężczyzna trzciniową łódką przywiózł zawinięte w brudny całun zwłoki kobiety i ograniczył się do dwóch słów:

- Znaleziona, nieznana.

Byłem sam i pomyślałem, że podobnie byłoby, gdybym to ja zginął. Cóż za nieszczęście umrzeć anonimowo, być niepotrębnym nikomu pakunkiem cuchnącego mięsa, które w obawie przed epidemią trzeba oddać do Miasta Umarłych. Odsłoniłem całun. Przede mną leżała Tillit.

ROZDZIAŁ 15

Nie była martwa, znajdowała się w letargu. Oszalałem z radości, odkrywając na gładzi lusterka przyłożonego do jej nosa smugi oddechu. Starannie obejrzałem jej ciało, znajdując w wielu miejscach ślady zadanych tortur.

Owiąłem ją kawałkiem czystej tkaniny, potem bezwładną przeniosłem do schowka z natronem. Byłem ostatecznie przekonany, że nadeszła właściwa chwila, w której trzeba uwolnić nas z tego przybytku śmierci i patologicznego wyuzdania. Naraz dostrzegłem szansę: przybywała wraz z płynącą w naszym kierunku łodzią, którą codziennie dostarczano pieczywo.

Niewolnik wolno dowiosłował do podestu poniżej bramy, przywiązał dziób łodzi do palika i wyładowywał kosze. Wyszedłem na zewnątrz i przywołałem go. Zwrócił głowę w moją stronę, demonstrując głupkowaty uśmiech na wpół otwartych ust.

- Weź, co przywiozłeś - powiedziałem - i przynieś tutaj do wnętrza. Za fatygę dostaniesz butelkę wina.

Zrozumiał. Jeszcze szerzej otworzył usta, ale bez ociągania i wysiłku zarzucił na ramię duży pleciony pojemnik i ruszył w moją stronę. Rozejrzałem się. Mój wzrok padł na masywną miarę z twardego drzewa, służącą do oceny długości zwłok. Pasowała do ręki. Niewolnik wchodził do wnętrza, gdy wskazałem miejsce, gdzie ma złożyć ładunek. Schylił się, by umieścić kosz z chlebem na niskiej kamiennej ławie. Jednym uderzeniem w kark złamałem mu kręgosłup. Ciało położyłem na stole, po czym zbiegłem do łodzi i ukryłem ją pod podestem. Do zmierzchu pozostało około godziny. Wróciłem na dziedziniec, gdzie spotkałem Ezawa i duet wokalistów z namiotu oczyszczenia.

- Co tam przywieźli? - spytał Ezaw.

- Jakiegoś znajdę. Prawie świeży.

- Niech tam zostanie do rana. Zbliża się wieczór i chłód, a na dzisiaj robotę skończyliśmy.

Wróciłem do swojego pokoju. Wziąłem najpotrzebniejsze rzeczy i zapakowałem w węzelek. O zmierzchu odwiedziłem pracownię jubilerską, zabierając z niej dwie garście małych srebrnych amuletów „na szczęście”. Za pazuchę wetknąłem jeden z noży Seta. Ze spiżarni wziąłem zapas jedzenia i picia. Wróciłem do namiotu oczyszczenia. Odwinąłem zwłoki niewolnika i ściągnąłem mu z bioder czerwoną przepaskę. Spojrzałem na Tillit. W czasie mojej nieobecności zmieniła położenie, układając się na boku. Wróciłem na dziedziniec w pobliże kuchni i zarządziłem małe jagnię, a jego krwią obryzgałem drzwi pokoju Chaima i Ezawa. Powinni wiedzieć, że w ten sam sposób Żydzi krwią baranka znaczyli „swoich” przed opuszczeniem Egiptu. Obaj głośno chrapali, a obok nich wałały się otwarte butelki wina, panaceum Domu Umarłych. Jeśli jest prawdą, że ich plemię było zmuszone przez Mojżesza do opuszczenia Egiptu, rozumieją symbolikę mojego gestu.

Przeniósłem Tillit do łodzi i ułożyłem na dziobie tak, aby z zewnątrz sprawiała wrażenie pasażerki. Siadłem do wiosł i ruszyłem w górę rzeki. Na wysokości naszego domu dobiłem do brzegu. Z sypialni wziąłem pakunek z mieczem, narzędzia do golenia i kilka czystych przepasek. Z pokoju Tillit - dwie sukienki. Wróciłem do łodzi i zepchnąłem ją na wodę. Wiosłowałem jak mogłem najmocniej, ale rezultaty były kiepskie. W pewnej chwili usłyszałem rytmiczny plusk zbliżającej się barki, a wkrótce ją zobaczyłem. Była podobna do tej, jaką przyplłynąłem do Dendera; jej wysoko uniesiony dziób ze śmiesznym zakończeniem w kształcie kielicha kwiatu przypominał stylizowaną tubę patefonu, ogromne wiosła zaś - chra-
bąszcza unoszącego lub składającego odnóża. W poświacie księżyca moja łupinka była prawie niewidoczna. Manewrowałem tak, aby wcisnąć się swą łódką w szczelinę między kadłubem zbliżającego się z dużą prędkością statku a zanurzającymi się wiosłami. Szczęśliwie trafiłem tam, gdzie należało. Drewniana burta barki przesuwiała się tuż obok - wyszarpnąłem miecz i mocnym uderzeniem wbiłem w szparę między deska-

mi. Poczulem silne szarpnięcie i od tej chwili przez całą długą noc płynęliśmy razem. Dobry metr nade mną poruszały się potężne wiosła, słyszałem sapanie zmęczonych ludzi, którzy je uruchamiali.

Powiew wiatru od brzegu przyniósł nad ranem zapach ka-dzidla, fekalii ogromnego miasta, schnących na brzegu sieci.

Przed świtem chwyciłem za wiosło, kierując łódź w stronę nie zamieszkanego brzegu. Wpłynąłem w szeroki pas gęstych trzciny, a potem na wewnętrzne jezioro. Z co najmniej dwudziestu łódek mierzono do nas z łuków. Z platformy jednej z nich, spod dachu z sitowia, wyłonił się mężczyzna z siwą, krótko ostrzyżoną głową. Zobaczył, że nie jestem uzbrojony i zawołał:

- Zbliź się. Kim jesteś?

Wiedziałem, że jeśli będę kręcił, natychmiast zmienię się w iglak. Nie da mi czasu na żadne to tamto.

- Jestem uciekinierem. Zabiłem nadzorcę, gdyż zgwałcił moją żonę. Od tego czasu straciła rozum.

- Sprawdź ich - polecił siwy krzepkiemu mężczyźnie, który przeskoczył do mojej łódki, po czym obmacał nas oboje. Pod nogi swojego dowódcy wyrzucił jedzenie, miecz, sztylety, srebrne amulety.

- Nie mają nic więcej - zameldował.

Siwy gwizdnął przeciągle przez zęby.

- No, no - powiedział. - Ten, którego zabiłeś, musiał być nielichym skurwysynem. Taki majątek mogą mieć tylko złodzieje grobów albo wyciskacze krwi z chłopów. Zabieram to. Jestem Torseth, przywódca uciekinierów. Możecie tu zostać. - Cisnął mi sztylet. - Coś musisz mieć, jak cię złapią.

- Przybij tutaj!

Obejrzałem się, słysząc głos kobiety. Siedziała w łódce ustawionej do mnie rufą. Miała szpakowate włosy, nierówno przycięte przy karku.

- Tutaj, tutaj - machała ręką.

Chciałem do niej podpłynąć, ale nagle zawirowało mi przed oczyma, zacząłem się trząść. Kobieta wrzasnęła:

- Synu! Daj ich tutaj, bo wpadną do wody.

Mężczyzna bez słowa przeniósł Tillit na łódź kobiety, a później zrobił to samo ze mną.

Obudził mnie zapach warzonej stawy. Kobieta gotowała coś w garnczku, dolewając po trochu mleka. Nie zmieniając wyrazu twarzy powiedziała:

- Twoja żona jest bardzo chora. Jesteście godni litości, zajmę się nią.

Tego samego wieczoru poznałem całą społeczność ludzi z bagien. Z ciekawością oglądali mnie, a ze współczuciem Tillit, która nie reagowała na nic. Mia kuciała koło niej, gładziła po twarzy, przytulała i mruczała czułe słowa. Wyrzuciła jej pokrławioną sukienkę i ubrała w tę, którą przywiozłem. Krążyła koło Tillit jak opiekuńczy ptak. Powiedziała mi, że chora przypomina jej zaginioną córkę, która rok temu zniknęła i nikt nie wie, co się z nią stało.

Po tygodniu, widząc jak Mia obmywa Tillit i śpiewa macierzyńską pieśń, byłem pewien, że moja ukochana odzyskała matkę, a ta kobieta córkę. Czyżby jednak Bóg nie zapomniał o nas?

Któregoś dnia przyszedł Torseth, sięgnął ręką za fałdy odzieży i wyjął woreczek.

- To jest połowa tego, co przywiozłeś. Pojedź do miasta po lekarzy. Mój syn i syn mojej siostry - wskazał na Mię - pomogą ci. Dobrze, że się nie golisz, za dwa dni będziesz wyglądał jak poganiacz osłów lub woziwoda. Na twoim grzbiecie nie ma blizn, nikt nie będzie podejrzewał, że jesteś zbiegłym chłopem.

Kontakt z Tillit, mimo nieustannie ponawianych prób, nie zdołałem nawiązać. Nie wypowiedziała ani jednego słowa. Spała w nocy, rano otwierała oczy i chyba gdzieś coś widziała, bo czasami wykrzywiła twarz w nieokreślonym grymasie. Stała, gdy ją postawiono, przymuszona do chodzenia - chodziła. Automat. Przytulałem się do niej nocą, licząc na cud, ale było tak, jakbym chciał obudzić głaz. Dusza Tillit pozostawała nieobecna.

Któregoś ranka ujrzałem ją odświeżenie ubraną, z ufryzowanymi włosami i na zielono umalowanymi powiekami. Mia z całą powagą oświadczyła, że dziś właśnie jest dwudziesta rocznica urodzin jej córki; była szczęśliwa.

Tkwilem w tej rzeczywistości już tak mocno, że przestałem dochodzić przyczyny mojego pojawienia się w starożytnym

Egipcie, całkowicie straciłem ciekawość celu, jaki temu przyświecał. Dlaczego w miarę upływu dni jakbym zapuszczał tu korzenie, jednocześnie odczuwając obumieranie pozostałych, zawieszonych po przeciwnej stronie życia? Coś mi głosem Pen-ny mówiło, że czas nadal złośliwie mną potrząsa, czułem jego miary. Wiedziałem, że w przestrzeni nie może istnieć nic, co zarazem nie istniałoby w czasie, a podróże w przeszłość lub przyszłość są teoretycznie możliwe wówczas, gdy uzyskana prędkość jest większa niż światłna. Wspomniałem tamto moje życie, zdominowane przez technikę. Miałem wrażenie, jakbym przybył z ciemniejszego obszaru do źródła światła, ze świata krzyżówek i informacji do świata tajemnic, z obszaru imitacji do prawdy, z łodygi do korzenia... A może do ręki ogrodnika? Ktoś wziął moje „ja” w rękę i puścił w przestrzeń czasu, a ja lecę tam, gdzie siła przyciągania jest większa. Od lotów kosmicznych i kłamliwych mediów do recytacji, śpiewów, amuletów, wróżb i spisywania prawd. Wsłuchiłem się w swoje myśli, bojąc się posądzenia o herezję, ale wiedziałem, że nie odważę się ze Stwórcą grać w kości. Byłem też pewien, że On - jako najwyższa doskonałość - nie będzie mnie karcił za próby zrozumienia. Tylko On wie, czy stworzeni na Jego podobieństwo będą oceniani za brak pokory w myśleniu, czy za spolegliwość i posłuszeństwo. Chciałem porozmawiać z Bogiem, który był bardziej ze mną tutaj, teraz, na tym nilowym jezioru, niż tam w tym cholernym bajzlu mediów grających rolę bogów, walczących o względy, o dusze, traktujących wszystko jak towar, przekonanych, że nawet Bóg jest funkcją ceny. I tak sam doszedłem do wniosku, że wbrew rozpowszechnionym sądom diabeł istnieje nadal.

Właśnie w tym momencie, gdy wywołałem go po nazwisku, wystawił głowę z piekła. Upadły anioł, którego historii nikt nie opisał. Wyglądał jak ropucha z rogami. Skoczył na moją łódź, pokazał kopytko jak u konia, usiadł, ręką potarł rogi, popatrzył na mnie z bezbrzeżną pogardą i rzekł:

- Ty zahamowany głupku! Skąd u ciebie znajomość antycznego języka egipskiego i semickiego narzecza? W jakiej to parafialnej szkole nauczono cię tego wszystkiego? Skąd u ciebie, lekarza ery nowożytnej, tak dobrze rozwinięty instynkt walki?

Jak dotąd zabiłeś bez wyrzutów sumienia trzech ludzi. Czy śmierć, jaką zadajesz, jest tak tania, a przemoc bezrefleksyjna? Dlaczego ty, facet, który dotąd niechętnie wychodził po zmierzchu, zyskujesz nagły, niczym nie wytłumaczalny przypływ odwagi? Skąd zmiana charakteru, instynktu samozachowawczego, decyzja o pływaniu w rzece z krokodylami, skok z grobli do tonącego chłopca, próba walki w Om? Z jakiego powodu u ciebie, człowieka doskonale umięjącego przedtem hamować instynkty, objawił się ten natarczywy hiperseksualizm i obsceniczne myślenie? Kretynie, ani razu nie zadałeś sobie pytania, czy jeszcze jesteś identyczny z tym kimś z właściwego tobie czasu? To, co kiedyś bez reszty podlegało twojej woli, teraz rządzi tobą. Dlaczego, do cholery, grzęzniesz coraz bardziej w paranoiczną rzeczywistość, która nie jest twoja? I dlaczego nie szukasz ucieczki do swojego świata?

Zarechotał, zeskoczył z łodzi jak ze słupka startowego i zanurzył się z pluskiem w bagnie. Zapamiętałem pytania i przeszedłem do drugiej fazy niezwykle wyrazistego snu. Byłem w swoim rodzinnym domu, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Odebrałem kopertę ze znaczkiem z Egiptu. Płakałem, czytając list od Tillit, doznając świeżego rozbudzenia uczuć, jak niedorostek. Jakiś cud spowodował, że jego treść tkwiła w mej pamięci jak otwarta kartka na stole:

Moje najśłodsze kochanie.

Też dnia czekałam na ciebie. Moje serce zmieniało się w przerażonego ptaka złapanego w sidła. Nie wiedziałam, że można tak się o kogoś bać. Byłam sama, odczuwając w środku drzenie. Uginęły się nogi pode mną, nie mogłam dłużej opanować łez. Zrozumiałam, że nie mogę sobie w ogóle wyobrazić życia bez twojego głosu, bez spoglądania na ciebie z ukrycia wtedy, gdy myślisz. Właśnie tak, patetycznie jak dzierlatka, a zarazem niedojrzale sformułowałam tę myśl. Tobie mogłam opowiedzieć o wszystkim, jakbym opowiadała sobie samej. Nie wstydziłam się łez. Tej nocy, gdy leżałam sama w łóżku, z szeroko otwartymi oczami, speszona lekcją, jaką mi dała żona Menhure, zrozumiałam, czym jest prawdziwa miłość. Wylawiałam z ciemności gwiazdy, czekając poranka. Liczyłam mój czas zaklęty w samotności, której niena-

widzę. Czas nic nie zmieniał w moich uczuciach. Lista osób, które kocham, jest tak bardzo krótka. Nikt z moich dziecięcych i młodzieńczych miłości nie znalazł się na niej. Ani te, które były spodziewanie, ani te inne - przypominające życie jętki jednodniówki. Oczywiście poza Tobą. Kocham cię, Neferze, i widzę jak z ciemności wylaniają się sprząty. Szary świt nie oświetla pokoju ani nie dodaje blasku moim łzom. Ten czas między odejściem zmęczonego bezsenną nocą księżycy a nadejściem leniwego słońca jest najlepszą porą na zastanowienie się nad sobą. Tej nocy, odchodzącej tam, dokąd odchodziły wszystkie jej poprzedniczki, wiedziałam, czym naprawdę jest miłość. Że nie jest myślą o osobie czy też zmysłowym dreszczem. Czyżby miernikiem miłości była siła strachu? Tak! Przynajmniej mojej miłości. Nigdy nie bałam się o nikogo tak jak o ciebie. Siła mojego niepokoju ujawnia prawdę uczuć. Ile razy wpadam w panikę, jeśli się spóźniasz. Ranny, okaleczony - to jedna z łagodniejszych wersji i nie myślę, że wtedy mnie zdradzasz, że jesteś z inną kobietą. Takie rzeczy jako Egipcjanka traktuję z przymrużeniem oka. Jestem zazdrosna, to fakt, ale prawdziwy lęk jest zawsze o ciebie, czy nie stało się coś złego. Zazdrość jest uczuciem egoistycznym, lęk altruistycznym, dwa jakościowo odmiennie uczucia, ale w miłości bogowie pozwalają je mieszać. Teraz wiem, czym jest prawdziwa miłość i nie dam się już nigdy nabrać na imitację. Chcę cię kochać, bać się o ciebie, patrzeć, rozmawiać, śmiać się, spacerować, kłócić, godzić i myśleć o tobie.

Twoja Tillit

Czytałem ten list w myślach - płacząc. Tym razem świadomie wycierając nos i oczy, dręczony potwornymi wyrzutami obudzonego sumienia. Mój Boże, moja słodka Tillit. Co za czar powoduje, że kobieta potrafi przywrócić mężczyźnie dar widzenia? Czyżby ładunek pierwiastka ludzkiego, danego przez Stwórcę, był odmienny i różny u obu płci? Szukałem bezskutecznie odpowiedzi w oszalałej amplitudzie ruchów z antyku do XX wieku i ponownym skoku w zmierzch dziejów. Uczucie Tillit i moja rozbudzona miłość stworzyły nową jakość. Treść listu przywróciła mi pamięć o obowiązku wypełniania zobowiązań. Tillit jest moim wekslem i przepustką do przyszłości. Nawet nie chciałem się zastanawiać, czym jestem ja sam, żeby

głośno się nie śmiać ze znanych mi podręczników psychiatrii, będących próbą wciśnięcia pociętego na kawałeczki Boga do przypadkowych szufladek ludzkiego zadufania. Wtedy z całą mocą dotarło do mnie, że to, co mnie tu sprowadziło, absolutnie nie jest przypadkowe, że jakaś siła reżyseruje wszystkie zdarzenia. Gdyby były takie, jakie znam z właściwego życia, powinienem przegrać każde z obecnych starć, a wygrałem wszystkie. Coś usiłuje zmieniać moją osobowość, z którą jak dotąd byłem w zgodzie. A to, co mnie tutaj spotyka, przypomina wpychanie widza do przestrzeni wyświetlanego na ekranie filmu. Czyżby wszystko, co przeżyłem dotąd, było tylko snem, i ten moment ostatnich trzeźwych ocen został spowodowany zwyczajną nieuwagą kogoś tam z góry?

Postanowiłem następnego dnia poszukać w Tebach lekarza, który potrafiłby uleczyć Tillit.

Synowie Torsetha przysposobili łódź. Wyplłynęliśmy nad ranem, ledwie przy trzcinach zaczął unosić się kożuch mgły. Moi opiekunowie powiedzieli, że mogę w mieście robić co chcę, a oni stale będą nieopodal.

Wyszedłem na brzeg; przede mną leżały stubramne Teby, największe i najpiękniejsze z miast starożytności. Owinięte oparami poranka, otoczyły mnie ramionami schodzących do rzeki murów. Wabiły muzyką historii, jasnością mimo szarości, zapachem gigantopolis. Czuję się jak mała kropka. Uniosłem głowę tak samo jak pielgrzym w Grecji pod Partenonem i przed świątynią Nike, w Rzymie przed łukiem tryumfalnym Wespazjana i Odeonem, a emigrant w Nowym Jorku przed Statuą Wolności. Pełen wzruszenia szeptałem w duchu: Oto jestem, przybyłem, potrzebuję pomocy.

Miasto było ogromne. Wielokrotnie większy teren zajmowały osady niskich domów leżących poza obrębem murów. Zbudowania kończyły się z jednej strony przy rzece, z drugiej zlewały z linią horyzontu.

Zaczynał się już poranny ruch. Zewsząd dobiegał skrzyp otwieranych drzwi, trzeszczenie zapalanych ognisk, zgrzyt porannych przeciągnięć kości. W poranne preludium ludzkiej krzątania włączały się głosy krów, osłów i domowego ptactwa. Kobiety ze spuchniętymi twarzami i oczyma zamglonymi

snem wystawiały głowy, by sprawdzić, czy aby nie jest za wcześnie lub za późno. Pełne powagi witały, jak robią zawsze, swój dom. Pod tym względem nic się nie zmieniło. Patrzyłem na miasto, niemal słysząc sik z tysięcy pęcherzy i trzepot otwieranych po nocy oczu, czując wzbieranie siły ludzi, których przyjemny wypoczynek szybko rozpuszczał się i nikł, a jawa przynosiła stare i nowe zadania do rozwiązania. Potem poruszały się języki i wargi, zęby szarpały jedzenie, przelyki monotonnie przesuwwały strawę w głąb trzewi. Powietrze drgnęło, bo zawsze tak reaguje, gdy rano ludzie wołają się do pracy, otwierając drzwi domów i wychodząc. Wtedy następuje ten istotny moment ulgi, w jakim każdy wie, że został sam. A ja po prostu stałem widząc, słysząc, nie chcąc być zauważonym.

Litania kurew, chujów i jebania towarzyszyła - jak olej pracy łożyska - otwieraniu bram. Ujrzałem ponadczasowe gęby wartowników, nieprzemijające ryje ludzi stojących na straży porządku i prawa, charakteryzujące się piętnem służebności. Niby go nie widać, a jednak jest, niby nasz brat, a w istocie obcy, niby szczerzy, a w zasadzie nawet we śnie pogrążony w pracy. Popaprańcy, a jednocześnie sól ziemi. Typy bez świadomości, że zawsze ich niesie w gorszą stronę; twarze oddanych sług, naznaczone małymi oszustwami, wielkimi ambicjami, gwarancją bezwzględnego wykorzystania każdej okazji. Z tym kombatanckim poczuciem grupowej siły a społecznej izolacji wybrańców losu, którzy odpowiedzialnie otwierają bramy, rozpraszają zgromadzenia i interesują się nagłymi zgonami, donosicielami oraz identyfikacją trupów.

Sądzę, że widać było moje myśli, gdyż jeden z nich przeciągnął mnie trzcina przez plecy i dołożył w szyję, gdy usiłowałem mu się przyjrzeć. Musiał mi tak przywalić, by nie zaginęła pamięć o obecności władzy, jej stałym istnieniu, będącym przeciwieństwem anarchii. Uderzył słusznie i państwowotwórczo, dla mojego dobra, jak ojciec. Z falą ludzi jak żdźbło słomy w związanym snopie wbijałem się w wejście.

Zrobiło się luźniej. Wrzask okradzonego towarzyszył zupełnej ciszy, a nawet widocznej uldze innych. Zawsze w ścisku złodzieje szukają pożywienia i nie ma w tym nic złego, tak jak w porannym locie jaskółek za muchami. Jutro ktoś inny zosta-

nie okradziony, inny wylęg insektów zjedzony o świcie. Jak zwykły turysta gapilem się na piersiaste barmanki wytaszczone na ulicę stoły i trzciniowe krzesła. Przez otwarte drzwi knajp dostrzegłem rozetlane na podłodze posłania, jeszcze zmięte i mokre. Słysząc było głośniejszy jazgot kobiety, która wymyślała mężowi od idiotów, nakazując na dno kosza dla świątyni dać w daninie gorsze wino, a na wierzch położyć dobre. Nie słyszałem, co mówił on, ona zaś tak samo dobrze jak Amon, a niekiedy nawet lepiej wiedziała, co dla jej męża i rodziny jest najkorzystniejsze. Rozczuliłem się, bo dotąd myślałem, że fenomen ten występuje wyłącznie w moim małżeństwie. Zobaczyłem tego faceta, gdy wychodził - ku mojemu zaskoczeniu i radości wcale nie był do mnie podobny.

Otwarto bramy prowadzące na dziedzińiec świątyni Armona. Złoto było wszędzie: na murach, okapach, zwieńczeniach, podłodze i między płytami w załomach ścian. Dziesiątki, setki ton folii, odlewów, repusowanych blach. Kruszczone całego świata, kruszczone bogów. Wśród tego przepychu i nieprawdopodobnego bogactwa kręcili się ludzie. Tłum nieustannie napływał do wnętrza, aby uczestniczyć w codziennym misterium. To było to centralne zlewisko, główny punkt świata. Zewsząd biła siła tego miejsca i potęga władzy kapłańskiej, służebność poddanych i podległość faraonów, którzy mogli tu wykonywać służbę arcykapłańską, ale tylko służbę. Ten, komu służyli, był wieczny, nieprzemijający i wciąż rósł w potęgę.

Wchodziłem wszędzie, dokąd straż nie zagroziła mi wejścia. Obserwowałem składanie ofiar, zanoszenie próśb, uwalnianie z uroków, przywracanie zdrowia, seanse jasnowidzenia i wieszczenia, zaklinanie rzeczywistości, objaśnianie słów i liczb. Wokół leżącego człowieka kilku kapłanów recytowało teksty modłów, wspierając je tańcem i śpiewami. Spora grupa widzów oglądała suplikanta, człowieka bogato ubranego i jego rodzinę obwieszoną biżuterią.

Poprosiłem przechodzącego mężczyznę, aby objaśnił mi to niezwykle przedstawienie. Spojrzał na mnie z pogardą.

- Nie dziwię się, że taki świński pastuch nie wie, iż ten człowiek - wskazał na leżącego - to nomarcha z szesnastego nomu. Przyjechał tutaj, bo chce się uwolnić od zła, które nie pozwala

mu szczęśliwie żyć. To drogie misterium. Zapłacił całym tego-
rocznym dochodem.

- O jakie zło tu chodzi? - zapytałem. - Czy coś mu zagraża?

- O to, które jest wewnątrz i zewnątrz człowieka. Ten chce się uwolnić przez modły, czary i ofiary od złych słów, złych my-
śli, złych planów, złych rzeczy, złych snów i złych ludzi.

- Czy to pomoże?

- Nomarchom zawsze pomaga - odpowiedział. - To wiado-
mo. Niedawno przyczyną ataku zła na innego dostojnika oka-
zała się jego żona, o czym biedak przed złożeniem ofiar nie
wiedział. Jak ją oddalił - a może zabił, nie pamiętam szczegó-
łów - całe zło od niego odeszło.

Niezły sposób, pomyślałem, wielu by tak chciało.

Wyszedłem ze świątyni i udałem się na północ drogą
wzdłuż Nilu. Wielokrotnie, kiedy pytałem o ulicę lekarzy, róż-
ni natręci usiłowali mi sprzedać amulety, sandały, biżuterię,
broń. Część naprzykrzała się, prosząc o wsparcie z uwagi na
chorobę; wymieniano matkę bądź ojca, jeśli zaczepiony był
starszy - lub żonę i dzieci - jeśli młodszy. Chmara dzieciaków
utrudniała takie przedstawienie, wrzeszcząc zgodnie, że wno-
szący prośbę w ogóle nie ma rodziny. Krzyżowały się wrogie
spojrzenia. Widziałem znaki „złego oka” dawane przez wycią-
gnięcie prawej ręki z wyprostowanymi i rozszerzonymi palca-
mi drugim i trzecim oraz płuciem w bok.

Zafascynowany miastem, pomyliłem drogę i zamiast do
dzielnicy lekarzy, doszedłem Aleją Sfinksów do kompleksu
świątynnego w Karnaku. Minąłem gigantyczną kolumnę Gór-
nego Egiptu, którą z analogiczną, Dolnego, w Memfis łączyła
niebiańska belka bogini Nut. Od Menhure wiedziałem, że sta-
nowią pępowinę łączącą niebo z ziemią. Zmęczony, przysia-
dłem na płaskim kamieniu pełniącym rolę ławki. W moim kie-
runku zmierzał kapłan, staruszek z ptasią twarzą i zażawiony-
mi oczyma; pod ramiona prowadziło go dwu adeptów. Drobił
małymi kroczkami, trzymając w prawym ręku długi prosty kij,
na którego czubku krótkie odgałęzienie przypominało kaptu-
rek do gaszenia świec. Towarzyszyło mu kilku rzemieślników
z narzędziami i linami. Rozpięli sznury i przymocowali je do
oznakowanych miejsc murów. Powstało coś w rodzaju krzyżu-

jącej się siatki, tworzącej dziewięć pól. Środkowe podzielono po przekątnej dodatkowymi linami. W przecięcie pomocnik starca wbił łaskę. Obok niej położył gnomon, którego cień podążał zgodnie z upływem czasu. W pewnym momencie kapłan powiedział:

- Wschód jest dokładnie tam - wskazał kierunek - zaznaczcie w dwu punktach oś północ-południe i możecie budować szósty pylon.

Pomocnicy odeszli, staruszek zaś usiadł obok mnie i rzekł:

- Niedługo skończą budowę świątyni Montu, i wtedy bóg wojny, jako pierwszy z bogów, każdego ranka będzie witany słońcem. Nasz kraj i cała uzyskana wiedza utrzymują się dlatego, że wygrywamy bitwy. Trzeba szybko postawić tę świątynię, bo niebawem nadejdzie nowa era.

Byłem zaintrygowany. Cóż ma Montu do jakiejś ery, o czym on mówi? Odważyłem się zadać mu pytanie.

- Czy nie wiesz, nieuku, że kończy się era Barana i należy zacząć budować świątynie skierowane ku innej niż dotąd części nieba? Niedługo przestaniemy składać w ofierze baranka, gdyż nadchodzi era gwiazdozbioru Ryb, a w dwa tysiące lat później nastąpi era Wagi. Niebo ma zasadniczy wpływ na wszystko, co się dzieje, dzieje i będzie dzieć w przyszłości. Tutaj i wszędzie. W erze Ryb cały świat gwałtownie ruszy do przodu, do rozumnej myśli, powstaną nowe wielkie religie, a jedna z nich przyjmie ryby za swój znak. Ale na doskonalenie człowieka przyjdzie czas dużo później.

Kapłan wieszczył, chyba nie wiedząc, co i do kogo mówi. Nagle zbladł, wargi mu zszarzały, głowa opadła na piersi, ciało poleciało do tyłu, na ścianę. Chwyciłem za nadgarstek, nadermnie szukając pulsu. Dyskretnie rozejrzałem się za swoją ochroną. Nikogo nie zauważyłem. Wróciłem więc do miasta, podążając w kierunku dzielnicy lekarzy. Przy jednym z dużych budynków, na podwórku ogrodzonym kamiennym parkanem z licznymi rzeźbami siedzących pawianów stała grupa mężczyzn. Zbliżyłem się, widząc przy wejściu dwa posągi Imhotepa oraz kamienny fryz ze stylizowanymi węzami i napisem: *Lekarz Naczelnny Faraona*. Wszedłem na dziedziniec w momencie ogłaszania jakiegoś werdyktu. Wśród zebranych nastąpiło po-

ruszenie, potem rozległy się okrzyki sprzeciwu dotyczące wyboru dentystry na zwierzchnika lekarzy.

Wszedłem do urzędu. Pomieszczenie po prawej służyło zapewne za sekretariat. Przy stole siedział tęgi człowiek, wolno piszący trzcina na pasku papirusu. Podeszedłem i zadałem mu pytanie o właściwego dla Tillit lekarza, potem powtórzyłem je drugi, trzeci i czwarty raz. Patrzył jakbym nie istniał i nie mówił, lekceważył jak muchę, a mój głos brał za bzyczenie. Imponująco mnie olewał i widać było, że taki ma styl i taktykę.

Podeszedłem i to co miał w rękach rzuciłem sobie pod stopy. Wyćwiczonym ruchem zademonstrowałem, jak należy z wdziękiem rozgniatać podeschnięte gównno, drugą ręką uchwyciłem go za nos i uniosłem dwadzieścia centymetrów w górę. Byłem zachwycony z dwóch względów: on się bał i szczęśliwie dla mnie nie widział, że byłem boso. Potem go posadziłem, delikatnie przyklepując pysior.

- Słuchaj, pieprzony gnojku, mam do ciebie sprawę, a ty ją załatwisz. Czy Merenepthah, farański chirurg, już wrócił do Teb?

- Nie - wykwekał - ale powinien niedługo się zjawić.

- To dobrze. Jak się tylko pokaże, to oddasz mu ten list. Dawaj papirus i trzcinkę.

Wyrysowałem kartusz farański i liczby - te same, jakie umieściłem na liście wysłanym z Memfis do Gorena. Widziałem, jak urzędas ze zdumienia wytrzeszcza oczy.

- Oddasz to Merenepthahowi. Gdyby pytał, powiesz, że sam się z nim skontaktuję. A ty, gdy dowiesz się o jego powrocie, złożysz przed posągiem Imhotepa tak obfitą ofiarę z czerwonego jęczmienia, by można ją było zobaczyć z oddali. Jeśli zaś za dużo będziesz gadał albo niepotrzebnie dokąś biegał, to urnę ci ten nos. Wtedy pracę znajdziesz tylko w Domu Umarłych, a tam lubią takich tatusiów z okrągłutką tłustą dupką. Czy zrozumiałeś wszystko?

Potakująco kiwał głową.

- A teraz wskaż mi drogę do dobrego lekarza, zajmującego się chorobami umysłu. Będę szedł za tobą.

Przemierzaliśmy dzielnicę aptekarzy, którzy sprowadzali do Teb ingredencje do wyrobu leków. Między stoiskami krę-

ciii się lekarze, co łatwo było rozpoznać po szatach i skórzanym kuferkach. Po obu stronach ulicy ustawiono worki z pieprzem, cynamonem, imbirem, tatarakiem, drzewem sandałowym, szafranem. W glinianych naczyniach znajdowały się miody lecznicze najrozmaitszego koloru i zapachu. Brodaty Żyd zachwalał sól i błoto z Morza Martwego, a migdałowooki Hindus wysuszone nawozy chyba wszystkiego co żyje: od gówna słonia po kał much. Obok w dużym naczyniu były pijawki, w innych żółc rybia i zwierzęca, płynna i wysuszona, róg mamuta i nosorożca. Z boku dolatywał zapach asfaltu, ropy naftowej, rycyny. Czarni Etiopczycy sprzedawali odurzające liście kath, dając każdemu po kilka na próbę. Można było nabyć wysuszone makówki, mandragorę, lulek egipski, bieluń. Oferowano proszek z robaków, much, chrząszczy, różnych narządów, nierozpoznawalnych substancji i środków, których przeznaczenia nie potrafiłem się domyślić. Ulica była jedną ogromną apteką. Cały świat przysłał tutaj specyfiki skuteczne w leczeniu. Jakim sposobem do miejsca przeznaczenia dotarły zioła i medykamenty z Indii i Chin, południa Afryki i Azji? Jaka sztafeta pośredników tworzyła drożny medyczny szlak, którego nitki zbiegały się w Tebach?

Urzędas wskazał drzwi pomalowane na czerwono. Nad nimi widniał szyld, ale z tej odległości napisu nie mogłem odczytać. Mój przewodnik stanął i powiedział:

- Smendes jest najlepszym specjalistą.

Pozwoliłem mu odejść.

Kilku lekarzy wychodziło z uliczki aptekarzy. W wylocie ulicy głęboko wkopana w ziemię stała spora płaskorzeźba. Zauważyłem, że każdy z wychodzących medyków składa tam symboliczną ofiarę. Zbliżyłem się, aby stwierdzić, iż przedstawia boga Tota. Przypominał pilota kosmicznego statku. Pod spodem wryto jedno słowo *Pharmaki*. Spytałem przechodzącego medyka, co oznacza ten napis.

- „Pharmaki” znaczy zapewniający bezpieczeństwo - odrzekł. - Ja jestem tym, który z pełną wiarą ma choremu podać lekarstwo. Jeśli nie będę pewien, że jest pełnowartościowe, to moja ręka zadrży, a serce straci siłę leczenia. Dlatego ofiara i modlitwa do Tota o pomoc jest bezcenna. On może wprowa-

dzic moc uzdrawiającą w psie gównu, w kurz drogi i pianę rzeki, ale pomaga wyłącznie nam, lekarzom.

Chciał odejść, ale zatrzymałem go.

- Gdzie i u kogo mam szukać ratunku dla żony, którą opuścił rozum? Polecono mi Smendesa.

- Nie ma go w Tebach, poza tym to głupiec i ignorant. Zabierze ci wszystko, co masz. Radzę ci dobrze i bezinteresownie: zwróć się do zaklinaczy. Tam, nad rzeką, jest ich osiedle. Jeśli ci nie pomogą, trzeba wezwać królewskiego trepanatora, który zrobi dziurę w głowie twojej żony i wypuści złego ducha. Są nieliczni, którzy mogą to przeżyć.

Odwrócił się i odszedł.

Słońce świeciło mi prosto w oczy. Spojrzałem w dół, nie mogąc znieść jego blasku i myśli o trepanacji głowy Tillit. Nagle w polu widzenia pojawiła się para chudych nóg, potem druga, grubszych. Podniosłem spojrzenie - naprzeciwko mnie stał kapłan Tanemer ze świątyni Sachmet, a za nim jeden ze znanych mi już z Om oprychów, oczywiście uzbrojony. O ucieczce nie mogłem nawet marzyć. Z obu stron dwa metry uliczki i rzeka. Tanemer wyszczerzył zęby w złowrogim uśmiechu i powiedział:

- To koniec, teraz jesteś mój.

Cofnąłem się, gdy wtem coś świsnęło mi koło ucha. Bandzior chwycił odruchowo trzonek krótkiego noża, tkwiącego w jego szyi, wyrwał go i padł bez ducha.

- A co zrobić z tym w szatach kapłana? - spytali mnie grzecznie synowie Torsetha.

- Weźmiemy go na łódź - powiedziałem. - Musimy uciekać. Biercie go!

Kiedy dopłynęliśmy do jeziora, kapłana wsadzono do obciążonej klatki i zatopiono przy łodzi tak, aby głowę miał nad wodą i mógł oddychać.

Dwa dni później otrzymałem wiadomość, że przed posągiem Imhotepa złożono obfite ofiary z czerwonego ziarna. Wybrałem się do miasta z Torsethem i odprowadziliśmy nieświadomego naszej obecności urzędasę z biura Naczelnego Le-karza Faraona pod jego dom. Sądzę, że z największą ulgą za-

prowadził nas do willi Mereneptaha, który po chwili zjawił się na przedprożu wraz z młodym człowiekiem w wojskowym stroju i dziwnej peruce, będącej czymś w rodzaju warkocza z wplecioną niebieską wstążką. Torseth zbladł. Mereneptah nie pozwolił mi dojść do słowa.

- Następcu tronu - zwrócił się do swojego towarzysza - to jest ten dziwny człowiek, o którym mówiłem.

Warkocz z wstążką obejrzał mnie starannie, jakbym był jaszczurem z Komodo, i nic nie powiedział, ale też nie zdradził najmniejszego zainteresowania, następnie zachrząścił uzbrojeniem i odszedł.

Potem całą noc relacjonowałem wydarzenia. Mereneptah sprawiał wrażenie, że nie wszystko rozumie.

Wieczorem łódź przywiozła do Teb Tillit, jej opiekunkę i związanego kapłana z Sachmet. Torseth w podziękę od Mereneptaha otrzymał taki dar, że przestał mówić, oraz propozycję pracy w ochronie następcy tronu lub w policji. Do garnizonu tebańskiego w Dżeme wypłynęliśmy następnego dnia rano.

ROZDZIAŁ 16

Ramzes odpoczywał w obozie. Czuł się już znacznie lepiej, mógł chodzić i jeździć konno. Był wdzięczny Merenephtahowi i poprzysiągł sobie przestrzegać diety zaaplikowanej przez lekarza. Teraz, gdy miał spokój od wojaczki i doszła do niego obawa o los rodu, uświadomił sobie ciężar korony.

Zabrzmiały mu w uszach słowa Setiego, który niejednokrotnie powtarzał: „Synu, pamiętaj: faraon nie ma przyjaciół, przebywa w obszarze zastrzeżonym dla ludzi, naprawdę jest najbardziej samotną z istot. Taki los bogowie wyznaczyli władcom i nic na to nie można poradzić”.

Nie rozumiał przez całe lata tych słów o samotności, teraz pojął, że ojciec kierował je w daleką przyszłość. Wzruszył się. Miał wrażenie, że przez chwilę znów byli razem. I wtedy przypomniał sobie, jak umierający faraon powiedział: „Słuchaj i zapamiętaj, możesz w panowaniu natrafić na problemy z pozoru nierozwiązywalne. Nasza rodzina w tajemnym miejscu przechowuje zapisy, myśli twoich przodków oraz niezwykle dokumenty, które - jeśli bogowie zechcą - będziesz mógł poznać. Być może tam znajdziesz pomoc. Za wzgórzem przy jeziorze blisko Tanis jest maleńka świątynka Seta, strzeże jej kapłan, dziedziczny strażnik świętych ksiąg. On lub jego potomek może udostępnić ci liczne tajemnice. Część ich poznałem, ale nie nadszedł właściwy czas, abym ów ciężar wziął na siebie. Gdybyś był w kłopotach, tam szukaj pomocy”.

Ramzes uznał, że ten czas nadszedł. Wziąwszy małą ochrone, po tygodniu dotarł do Tanis.

- Przyjechałem po pisma - oznajmił witającemu go młodemu kapłanowi.

- Wiem. Ojciec twój, faraon Seti, był tutaj, gdy jeszcze żył mój poprzednik. Wydam wszystko, po co przybyłeś, Ramzesie.

Kapłan odszedł. Po dłuższym czasie wrócił, dźwigając w rękach dwa duże dzbany opatrzone pieczęciami.

- Faraonie, polecenie twoich i moich przodków nakazuje, abym był obecny przy czytaniu tych zwojów. Na mnie spoczywa święty obowiązek, abym we właściwym momencie ujawnił aktualnemu władcy poufne informacje lub, jeśli taki czas nie nadszedł, wykonanie tego polecenia powierzył własnym następcom.

Ramzes pomyślał o ciężarze, którego Seti nie chciał wziąć na siebie, o tajemnicy, o strażniku świętej księgi.

- Jestem pewien, że ten czas nadszedł - rzekł. - Powiedz mi, czy w posiadanie tych zapisów może wejść ktoś niepowołany?

- Jest to niemożliwe.

- Jakiej tajemnicy strzeżesz?

- Tego nie mogę powiedzieć, ale dotyczy bezpieczeństwa przekazu.

- Co się znajduje w skarbcu?

- Tylko to, co było ci przeznaczone, faraonie.

Weszli do przedsionka świątyni. Faraon kazał zapalić więcej lucyw. Kapłan stał, a właściwie pilnował wejścia. Ramzes otworzył dzban z pieczęcią ojca i wydobył zapisane jego ręką strony.

W dniu czternastym miesiąca Artyn zgłosił się do mnie kapłan Hermenes, prosząc o osobiste posłuchanie. Zgodziłem się, gdyż po matce pochodzi z naszego rodu. Ten powiedział, że strażnicy Seta od tysięcy przechowują pismo Tota. Zadaniem kapłanów jest wręczenie tego zapieczętowanego przekazu bezpośrednio panującemu w przyszłości faraonowi, takiemu jednak, który uwolni Egipt od najeźdźców, zapewni krajowi i poddanym spokój i dobrobyt. Nie byłem pewny, czy w moim przypadku warunki te zostały spełnione, dlatego nie złamałem pieczęci i nienaruszony zwój oddałem kapłanowi. Jeśli bogowie będą łaskawi, może ty lub twój syn będziecie godni to posłanie przyjąć. W odmowie nie byłem osamotniony. W przeszłości tak samo postąpił Dżeser, Hufu i kilku innych. Potem kapłan, aby ukazać potęgę i grozę strzeżonego przezeń

posłania, otworzył dla mnie dużą piramidę w Memfis, której wnętrze zwiedziłem. Dalsza decyzja, czy ty synu będziesz wybranym, zależy od strażnika mocy, ale bądź rozważny, gdyż otrzymasz się o tajemnice życia i śmierci. Oby bogowie nad tobą czuwali.

- Faraonie, władco mój, wypełnij swój los, albowiem czas nadszedł.

Ramzes spojrział na kapłana stojącego obok.

- Jaki czas?

- Twój, panie. Ty, królu, jesteś tym, któremu można powierzyć posłanie Tota. Otrzymałem znak, że proroctwa się wypełniły. Otwórz ten zamknięty ogień i zapal światło nad światem.

- Skąd wiesz, że to ja?

- Historia Egiptu od ciebie zacznie się na nowo.

Kapłan zdjął z prawego ramienia pleciony pojemnik. Ze środka wydobyl zwinęty w rulon papirus. Z obu stron wisały pieczęcie Tota.

Faraon wazyl pismo w ręku, nie mogąc podjąć decyzji. Otworzyć czy nie?

- Panie - odezwał się kapłan - skończ, co zacząłeś.

Wtedy Ramzes zauważył, że jedną pieczęć stał w palcach na proch. Kapłan ponowił prośbę.

- Złam panie drugą, sam widzisz, że zostałeś wybrany.

- Człowieku! To tylko starość wysuszonej gliny...

- To jednoznaczny znak bogów, faraonie. Teraz nie możesz się cofnąć. Los przesunął cię w miejsce, z którego nie ma odwrotu.

Ramzes gwałtownym ruchem skruszył ostatnią pieczęć i otworzył rulon. Pismo było czytelne, chociaż litery mało widoczne. Zleżały papirus kruszył się w dłoniach i wolno, ale wyraźnie bladł w promieniach światła.

- Panie, na bogów, spiesz się, niebawem pismo może zniknąć.

Czytał najszybciej jak mógł, starając się zapamiętać każde słowo.

...nicy. Ja, Tot, jako kolejny zostałem wysłany na planetę, którą nazwano Ziemią. Wiadomość o tym, że tak się stało, jest pierwszą, jaką przekazujemy ludziom. Modlimy się, aby nie była ostat-

nią. Ongiś, miliony lat temu, wasza Ziemia była dziewiczą, nie zasiedloną, martwą, jedną z miliardów gwiazd stworzonych przez jedyne Stwórcę.

Tekst bladł, litery pisma nikły w oczach. Faraon szybko, coraz szybciej kręcił rulonem. Przesuwał wzrok po dużych partiach tekstu, usiłując wyłowić czytelną myśl. To, co zdołał odczytać, zapamiętał na zawsze:

Naszą wiedzę ukryliśmy we wnętrzu piramid oraz po niewidocznej z ziemi stronie księżyca. Modlimy się, abyście weszli w jej posiadanie. Skarb, który chcemy wam przekazać, znajduje się na głębokości 60 łokci poniżej tylnych łapposą...

Tu następowało kilka rzędów znaków już nieczytelnych; ostatnie zdanie, bez początku i końca, informowało:

...yczny jak ten dokument założycielski o nazwie Dziewicy Światła istnieje na każdej z zasiedlonych przez nas pla...

Ramzes opuścił głowę, ścisnął skronie rękoma. U jego stóp leżał zwój czystego papirusu. Krople potu z czoła władcy padały na gorący piasek. Czuł żal i gorycz - oto utracił tajemnicę, porwaną przez zachłanny czas. Milczał, rozważając przepaść, jaka dzieliła autora przekazu od jego czytelnika. Nie mógł się poruszyć, oszołomiony wiatrem historii, który przemknął obok niego jak spadająca gwiazda, rzucając mu w dłonie jeno małe ziarenko wiedzy.

Strażnik tajemnicy niespiesznie zwinął pismo, po czym cicho powiedział:

- Panie, mam obowiązek odnieść papirus tam, skąd został zabrany.

Zamknął drzwi oddzielające naos od przedsionka, w którym przebywał faraon, przesunął ścianę i wszedł w wąski korytarz. Po chwili dotarł do pomieszczenia będącego sercem świątyni. Wyjął zwój, niedawno czytany przez władcę, i zanurzył go w pojemniku z płynem. W powietrzu rozniósł się ostry zapach gwałtownie parujących chemikaliów. Kapłan po chwili wydo-

był i rozwinął papirus, na którego bladym tle ostro odcinały się litery pisma. Na nitki nałożył nowe pieczęcie, całość zamknął w trzcinowym pojemniku, a następnie włożył do jednego z dzbanów. Na jego twarzy pojawił się wyraz zadowolenia i wyższości. Parę razy kiwnął głową, zmarszczył nos z niesmakiem i głośno powiedział:

- Boże mój! Określiłem błędnie czas, dlatego nic się nie wypełniło. Widocznie ta wiedza jest przeznaczona dla kogoś innego.

Ramzes wrócił do obozu. Był wzburzony przeżyciami w świątyni Seta w Tanis oraz treścią doręczonych przed chwilą listów od Merit-Amun i Mereneptaha.

Jeszcze raz przeczytał listy. Merit-Amun słusznie zrobiła, udając się po próbie zamachu do Memfis, wzmacniając osobistą straż i uruchamiając działania policji. Zupełnie inną, lecz nie mniej istotną informację zawierał list Mereneptaha - o człowieku, który twierdzi, że przybył z przyszłości. Zorientował się, że część wcześniejszych listów wysłanych przez lekarza zaginęła. Zrobił głupio, powinien był wziąć tego Nefera za łeb i pędem dostarczyć tutaj, do obozu.

Do królewskiego namiotu wszedł oficer warty komunikują, że wieszczek Horset prosi o posłuchanie. Ramzes przyzwalając kiwnął głową.

- Siadaj Horsecie, możesz na moim tronie. Stale pamiętam o tym, że ty i Dżawer byliście moimi piastunami, choć nie byłem już dzieckiem.

- Ramzesie, dobrze, że wróciłeś, mam niestety złe wieści. W Egipcie zawiązano spisek przeciw twemu rodowi. Moje informacje nie są ścisłe. Przypuszczam, że obok spisku właściwego toczy się gra pozorów, coś w rodzaju kamuflażu. Gdyby istotnie chciano w Pi-Rames zabić Merit-Amun, zginęłaby ona, a nie wieszczek i dziecko. Z moich wróżb wynika, że siedzibą spisku są Teby i świątynie Amona.

- Horsecie, wreszcie przynosisz jakieś proroctwo. Szkoda, że nie jest pełne. Co jeszcze masz mi do przekazania?

- Od pewnego czasu w Egipcie przebywa gość z przyszłości, a może z nieba. Sądzę, że jest sojusznikiem. Loty ptaków,

gwiazdy i wnętrzności zwierząt wskazują, że właśnie on ocali ci życie. Jego gwiazda jest tuż obok twojej, ale migocze tak, jakby jednocześnie żył i nie żył. Nie pojmuję tego. Nie mogę również określić miejsca jego pobytu. Istnieją osoby, które chcą związać się z tym człowiekiem po to, aby wystąpić przeciw tobie. W jasnowidzeniu widziałem ich symbole, jednym jest słońce i głowa bogini Bastet, drugim podwójna tiara Arnona, a obydwie te znaki oświeca siedmioramienny świecznik.

- Czy ten człowiek, o którym mówisz, że przybył z nieba, jest bogiem?

- Nie, jest człowiekiem, ale osłania go wielka siła, której źródło znajduje się poza naszym światem. Jej potęga jest niewyobrażalna. Gdy dokonywałem wróżb, omal mnie nie zabiła. Sądzę, że ten przybysz nadal żyje, ale jakby przebywał w grobowcu czy wśród zmarłych. Obok jego gwiazdy widziałem matowe gwiazdy ogromnej liczby ludzi, którzy zginęli lub zginą niebawem. Jeśli wrogie nam siły nie usuną go spośród żyjących, ten człowiek pomoże ci stać się tak wielkim jak Cheops czy Narmer.

- Czy mam rozumieć, że moje dotychczasowe dokonania są małe, a ich znaczenie przemijające?

- Nie dokończyłem, wielki faraonie. Z wróżb wynika, że straciłeś wiarę w bogów. To bardzo źle. Musisz ją odnaleźć w sobie, bo inaczej nadejdą złe czasy, jak ongiś za twojego dziada: głód, nieurodzaj, plagi komarów i myszy oraz pomór.

- Nie strasz mnie, wieszczku. Wtedy nieszczęścia te sprowadzili na nas Żydzi. Czy wróżby mówią, kto ukrywa się za symbolami słońca i kota oraz znakiem siedmioramiennego świecznika?

- Niezbyt jasno. Oba pierwsze są zdecydowanie wrogie, trzeci trudno określić; nie widzę przy nim krwi, a sam wiesz, że wyczekujący jak zwykle Amon obserwuje wszystko i wszystkich, aby odpowiednio wcześniej wytypować zwycięzcę. Nie mam żadnych wątpliwości, że już rozpoczęto grę o zmianę władzy, o której ty, Ramzesie, miałeś się dowiedzieć ostatni. Dlatego też cię powiadamiam. Twoja gwiazda nadal świeci jasno.

- Horsecie! Nie pamiętam, abyś kiedykolwiek przyniósł mi taki zbiór złych wieści. Dlaczego otrzymuję je tak późno?

- Złożyło się na to wiele przyczyn, wśród nich nasza długo-trwała kampania, błędy w rozpoznaniu, awarie łączności, nieoczekiwane wyeliminowanie mojego najlepszego agenta w Om, a w końcu dziesiątki zwykłych przypadków. Nie doceniłem doskonałego kamuflażu przeciwnika. A w końcu straciłem masę czasu na rozwikłanie pewnej niezwyklej wróżby, ale nie chcę na razie o niej mówić.

- Mów do końca!

- Wielu elementów z niej dotąd nie rozumiem, ale wielekroć już otrzymałem potwierdzenie jej prawdziwości. Mówi ona, że pewna arystokratka zajdzie z tobą w ciążę i urodzi przyszłego faraona.

- Moim następcą na tronie będzie Kaim.

- Moje medium trzykrotnie wyrzuciło kośćcami tę samą sumę, wynik za każdym razem był taki sam. Powtarzałem seans jeszcze kilka razy z identycznym skutkiem. A nigdy mi się nie zdarzyło, aby rezultat wielu rzutów zawsze dawał w wyniku twoją faraonską liczbę 41. Pokładam jednak ufność, że wykładnie nie są całkowite, istnieje margines błędu, złe dni, złe odczyty.

- Mam już dość takich informacji. Czy jeszcze jakaś ci pozostała?

-Tak.

-Zła?

- Niestety, królu! Czy pamiętasz wyprawę, jaką wysłałeś poza Słupy Melkarta, na zachód? Mieli znaleźć krainę Amenti, gdzie przebywa Ozyrys. Wysłałeś trzydzieści statków wynajętych od Fenicjan i prawie tysiąc ludzi. Dotarli i odkryli ląd większy niż ten, na którym żyjemy, ale wszyscy stracili życie. W czasie wizji widziałem ich śmierć. Podziemny świat Ozyrysa nadal czeka na swoich zdobywców.

Horset oddał pokłon Ramzesowi, który - zgnębiony złymi nowinami - chciał zostać sam ze swoimi myślami. Wszystko, o czym się dzisiaj dowiedział, nakazywało zachowanie najwyższej ostrożności, ale i szybkie przemyślane działanie. Trzeba odszukać wroga. Trzeba odrzucić myśl, że naród egipski stanowi przypadkowy zbiór bezmyślnych istot ludzkich. Miał rację Seti mówiąc, że lud tylko wtedy jest posłuszny, gdy przywódca tworzy wartości ponadczasowe. Tylko jak?

Kilka dni później już wiedział. W pamięci pokoleń można zaistnieć, tworząc od podstaw nową religię, dostosowaną do wielkości tradycji i potęgi Egiptu. Religia ta, aby była powszechna i wieczna, musi być państwowa i niezależna, z drobnym a istotnym wyjątkiem, dotyczącym wyłącznego dla faraona prawa mianowania głównych hierarchów z grona przedstawionych przez zgromadzenie kapłanów, co zupełnie wystarczy, aby nie występowało przeciwko tronowi. Nie miał wątpliwości, że tę zbawienną myśl zesłali mu bogowie Egiptu. Z wdzięczności dla nich postanowił odkopać z piachu cały posąg Sfinksa i uzupełnić jego liczne ubytki. Trzeba uczcić ten pomysł!

Faraon wezwał dowódców i nakazał ogłosić zawody sportowe dla wojska, dla zwycięzców ufundował wysokie nagrody. Poleciał przygotować plac dla łuczników, procarzy, oszczepników, szermierzy i specjalistów walki wręcz. Przez trzy dni trwały eliminacje.

Ze swego stojącego na wzniesieniu namiotu Ramzes słyszał wrzawę podnieconych żołnierzy. Nie trzeba było przymusu, komend, drylu i wrzasku podoficerów, wojsko Ochoczko doskonaliło wyuczone sprawności. W oddali między Murzynami widać było ogromną sylwetkę Manu, dyskretnie dogląającego swoich faworytów w walce wręcz.

Ramzes oglądał turniej. Najbardziej interesujące pojedynki odbywały się na niewielkiej przestrzeni otoczonej linami. Mierzyli się tam ze sobą specjaliści walki wręcz. Na ustawionych skrzyniach piętrzyły się ich nagrody, zdobyte w eliminacjach. Dzisiejszego wieczoru, gdy powietrze stanie się chłodniejsze, dwóch najlepszych rozegra finał. Konkursy w pozostałych dyscyplinach zakończono wcześniej, a tymczasem na ringu wojowników walczących rękami i nogami dzień po dniu sensacja gonila sensację. Stawki rosły w oszałamiającym tempie. Hazardziści obstawiający pewniaków stracili łupy z całej kampanii. Stało się tak za przyczyną młodego mężczyzny, pochodzącego z odległej krainy. Po wygranych eliminacjach twierdził, że używane przez niego sposoby ataku i obrony pochodzą z kraju skośnookich, a za nauczyciela miał mężczyznę wziętego ongiś do niewoli przez jego ród. Widzowie zamierali

z emocji, gdy wyskakując w górę uderzał stopą wprost w szczękę przeciwnika. W ten sposób powalił dotąd trzech szardanów i Libijczyków oraz dwóch Egipcjan. Podobnie stało się w półfinale, gdy między liny wprowadzono ogromnego Nubijczyka.

Do uzyskania pierwszej nagrody pozostało mu spotkanie z najlepszym człowiekiem Manu, a Manu był wściekły, gdyż już stracił połowę postawionych łupów, los zaś pozostałych spoczywał w mięśniach ostatniego z jego zawodników. Wiedział, że Nubijczyk z jego jednostki został świetnie wyszkolony, ale nie był pewien, czy zdoła wyprzedzić ciosy przeciwnika, które przesywały powietrze z szybkością strzały. Obaj długo rozmawiali tej nocy. W końcu, chcąc zminimalizować ryzyko, Manu namówił żołnierza, aby udał chorego, a on sam postara się zastąpić go w finale. Obiecał mu znaczną część z całej puli nagród.

Między linami stał Daniel - sprawca sensacji. Herold wywołał imię jego przeciwnika. Ku zaskoczeniu widzów na pole starcia wszedł Manu. Podniósł rękę do góry, widzowie umilkli. Manu zbliżył się do podestu, na którym siedział faraon. Ramzes spojrzał na niego i spytał:

- Czy chcesz coś oznajmić?

- Proszę, faraonie, abyś zdecydował o dalszych losach turnieju walki wręcz. Chodzi o niejasność w regulaminie. Nieobecny tutaj drugi finalistą wczoraj, fetując zwycięstwo, zastruł się jedzeniem, całą noc wymiotował i miał biegunkę.

- A więc uważasz, że nie jest zdolny do walki?

- Tak właśnie jest, dlatego proszę, faraonie, abyś pozwolił mi go zastąpić, albo zdecydował o zakończeniu turnieju. Regulamin o takim przypadku nie wspomina. Chciałbym dodać, że żołnierze w oczekiwaniu na tę walkę uczynili zakłady, postawili stawki, w tym również nagrody za odwagę w boju.

Ramzes długo się zastanawiał. Przerwanie zawodów w takim momencie zepsułoby całe święto. Pojawiłyby się kłopoty, jak zwrócić zakłady, a zwycięzca turnieju nie miałby powodu do pełnej dumy i chwały.

- Zgadza się - powiedział faraon - ale nie mogę wydać takiego rozkazu. Żołnierze mogliby myśleć, że wódz przesądza o finale. Jeśli ten, który pozostał na placu boju, zgodzi się z to-

bą walczyć, ja nie będę czynił przeszkód, jeśli nie, otrzyma całą pulę nagród i pierwsze miejsce. Podejdź do mnie - zwrócił się do drugiego z finalistów. - Czy słyszałeś wszystko, co zostało powiedziane?

- Tak, mój władco.

- Czy zgadzasz się walczyć z Manu?

- Oczywiście.

Wybuchła wrzawa i tumult. Manu rozebrał się do naga, namaścił ciało oliwą i wypił płyn zawierający sok z granatów zmieszany z miodem. Obaj zawodnicy stanęli przed faraonem.

- Zbliżcie się do mnie i pokażcie swoje dłonie.

Podeszli równając krok, podnieśli ramiona, obracając je w obie strony. Ramzes zwrócił uwagę na ogromne jak łopaty ręce Manu. Nie mógł zauważyć, że pod pachą drugiego ze stojących do walki wytatuowany był siedmioramienny świecznik.

- Możecie walczyć - powiedział faraon.

Rozległ się głos rogów. Zawodnicy stanęli naprzeciwko siebie, pochylili ciała do przodu, szeroko rozkładając ręce. Manu schylił głowę, nie spuszczać z oczu przeciwnika. Zauważył, że Daniel gwałtownie obraca się dookoła własnej osi, w tym piruecie jakby wydłużając nogę, której piętą celnie przymierzył wprost w kość skroniową Manu. Stojący bliżej usłyszeli cichy trzask. Ciało Nubijczyka wolno chyliło się w prawo, gdy jego przeciwnik raptownie zmienił kierunek rotacji ciała - teraz jak rozwijająca się sprężyna kręcił się w przeciwną stronę i lewą stopą z całą mocą uderzył padającego Nubijczyka wprost w grdykę. Manu jak kłoda padł na ziemię. Zapadła cisza. Zwycięzca stał nad ciałem, poważny i skupiony.

- Podejdź do mnie - rzekł Ramzes.

Zawodnik zbliżył się do faraona.

- Chcesz coś powiedzieć? - spytał faraon.

- Nie chciałem tego, co się stało. Jego głowa - wskazał ręką na Manu - musiała być wcześniej uszkodzona.

Faraon zwrócił się do zgromadzonych żołnierzy:

- Wojna jest wojną, walka walką. Zwyciężył lepszy. Zanieście Manu do lekarza. Dowódcą oddziału łuczników nubijskich tymczasowo mianuję Uzomo, a zdobywcę głównej nagrody włączam do straży osobistej.

Ramzes wiedział, że jeśli nie osłoni Daniela protekcją, ów zostanie w najbliższym czasie zabity strzałą z lotkami szardanów lub ludu Kusz, ale wystrzeloną z nubijskiego łuku.

Faraon nakazał wymarsz do stolicy Górnego Egiptu, do tych dusznych Teb, których tak nie lubił. Swoją armię postanowił skierować na południe, a wojska Dżawera wysłać na odpoczynek. Intuicja mu mówiła, że wielki wódz nie wystąpi przeciwko niemu, ale doświadczenie nakazywało myśleć, że przeczcucia są siłą kobiet, a oznaką głupoty mężczyzn.

W oddali rosła chmura wznoszącego się w górę kurzu. Mógłby to być efekt stada pędzonego bydła, ale obłok zbyt szybko przesunął się w kierunku armii Ramzesa. To musiały być rydwany. Faraon wysłał im naprzeciw mocny podjazd, który po chwili wrócił, wioząc dwóch oficerów. Przed namiotem władcy szczupły, wysoki oficer w barwach Armii Północ zeskoczył na piasek i podszedł do straży.

- Wiozę dary dla naszego pana od wielkiego wodza Dżawera.

Nakazano mu zostawić broń i wpuszczono do władcy.

- Królu, władco Górnego i Dolnego Egiptu, panie nad...

- Mów, co cię sprowadza i gdzie jest wielki wódz?

- Kilka dni drogi stąd. Przysyła ci prezent, panie. Znajduje się on na tych dwudziestu właśnie nadjeżdżających rydwanach. Wódz nakazał, abym nie zdradził, co to, rzekł jednak, że nic, faraonie, tak cię nie ucieszy.

Ramzes spojrział na pojazdy, których ładunek stanowiły gliniane dzbany wielkości człowieka.

Wkrótce tajemnicze pojemniki ustawiono w dwuszeregu przed namiotem władcy. Oficer Dżawera z tulei umieszczonej na plecach wyciągnął papirus, opatrzony pieczęciami. Złamał je i rozwinął pismo. Zaintrygowany Ramzes kazał otworzyć pierwszy dzban. Wewnątrz była ciecz. Polecił ją wylać. Wraz z płynem o mdłym zapachu wychlusnęły z wnętrza kawałki zmacerowanego mięsa. Leciały wraz z solanką, którą momentalnie wchłaniał piasek. Na powierzchni pozostały setki męskich prąci. Zawartość pozostałych dzbanów była podobna. Oficer monotonnym głosem czytał:

- Generałów libijskich członków osiem, dowódców w stopniu pułkowników członków sto dwadzieścia, oficerów niższych członków sześćset dziesięć... Łącznie dziesięć tysięcy sześćset dwadzieścia. Królu, problem libijski przestał istnieć. Zostały tylko kobiety. Wódz uważa, że ten nowy sposób jest znacznie praktyczniejszy niż odrąbywanie rąk. Dżawer proponuje, aby tę metodę upowszechnić i nazwać miniaturyzacją, gdyż pierwsze członki odcięliśmy wrogom koło miejscowości o nazwie Minia.

- Dżawer istotnie jest odkrywca i nie ulega wątpliwości, że szybko znajdzie naśladowców. To artysta w wojennym rzemiośle - rzekł Ramzes. - Wykopcie w piasku głęboki dół i zasypcie pamięć o narodzie, który zginął. W tym miejscu w przyszłości stanie obelisk ku czci egipskich wojsk i ich dowódcy.

Spotkanie faraona i wielkiego wodza nastąpiło dwa dni później na drodze między polami. Ramzes z wysokości rydwanu przyjął początek raportu, następnie zszedł na ziemię i serdecznie przywitał się z dowódcą Armii Seta. Poufale wziął starożytnego wojownika pod ramię i obaj wolno udali się w stronę kanałów i palm.

- Posłuchaj, Dżawerze. Wspierałeś mnie radą i czynem od czasów chłopięcych, nawet wówczas, gdy stale towarzyszył mi błąd. Teraz potrzebuję rady jak nigdy dotąd.

Potem, już w namiocie Ramzesa, opowiedzieli sobie wszystko, co wiedzieli.

- Królu - rzekł wielki wódz - zapewne zastanawiasz się, dlaczego nie aresztowałem tych wysłanników. Otóż nigdy nie łamię danego słowa, a zagwarantowałem im wolny powrót, tylko tyle. Popełniłem błąd, a chcąc go naprawić, wysłałem za nimi swoich ludzi. Moim zdaniem, gdzieś w Memfis lub w Tebach jest ośrodek decyzyjny spisku. Wyliczmy, co wiemy: zginęło czterech zamachowców, w tym trzech śmiercią samobójców; znakiem sprzysiężenia jest symbol słońca i bogini Bastet; nie jest jasny symbol siedmioramiennego świecznika; użyta trucizna pochodzi z kraju Punt, trzech zamachowców to Nubijczycy; w spisku uczestniczą osoby, którym nieobce jest rzemiosło wojenne, ale nie muszą być żołnierzami; sprzysiężenie, występujące przeciw prawowitej władzy, posiada nowo-

czesną strukturę organizacyjną oraz dobrze strzeżony system kodów i haseł utrudniające infiltrację i wykrycie. Zamach na Merit-Amun dowodzi determinacji spiskowców. Sprzysiężeni posiadają intendenturę, rydwany i sprzęt bojowy, sprawną łączność. Wyłączyłbym z rozważań moją armię i siebie, to mylny ślad lub celowa prowokacja. Gdyby udało się z tego sprzysiężenia wyłowić bez rozgłosu chociaż jednego żyjącego spiskowca... Nie wiadomo, jak nawiązują kontakt z centrum. Takiej misji, jaką skierowano do mnie, nie powierza się byle komu. Wciąż nie znamy imienia przywódcy spisku, ale należy zacząć splatać sieć.

- Dżawerze! Jeśli się nam powiedzie, dam ci grobowiec blisko mojego. Czy ty w ogóle wierzysz w bogów?

- A ty, królu, jeśli można spytać?

- Sam jestem bogiem, a moja koronacja nie była ubóstwieniem, lecz objawieniem się na ziemi kolejnego Horusa.

- Ramzesie, przywódca spisku albo o tym nie wie, albo w to nie wierzy. A może uważa, że sam jest bogiem.

- Może masz rację. Jeśli chodzi o mnie, wierzę jedynie w boga wojny Montu i w jednego Stwórcę, który uczynił wszystko, czego nie potrafią zrobić ludzie. Do niego jak do źródła płyną wszystkie rzeki, do niego wpada ocean. Może ty i ja tu na ziemi tylko istniejemy, żyjemy zaś dopiero po śmierci? Co o tym sądzisz?

- Myślę, że myśleć o Stwórcy jest niebezpiecznie; rozpatrywanie niepoznawalnych wymiarów może człowieka wpędzić w szaleństwo. To tak, jak z horyzontem. Idziesz, a on oddala się o tyle, o ile się zbliżasz. Zresztą, uważam, że nie ma nic złego w mówieniu do boga, a powód do zmartwienia pojawia się dopiero wtedy, kiedy słyszysz, że on ci odpowiada.

- Co sądzisz o śmierci, Dżawerze? Czy jest niezbędnym warunkiem dalszego istnienia?

- Śmierć nie jest tajemniczą trwogą, jest oczekiwaniem. Wierzę, że polecono mi wypełnić tutaj na ziemi określone zadanie. Mam uczucie, że już to zrobiłem i dlatego nie ma we mnie lęku. Sądzę też, że nie powinniśmy odkrywać dobrego Boga jedni bez drugich. Nie mogę pogodzić się z myślą, że Bóg po naszej śmierci mógłby nas przenieść w duchy sobie obce.

Stale myślę, że tam, w przestworzach, zobaczę tych, którzy mnie znali i kochali. Powiem ci, Ramzesie: jestem stary i długo muszę żuć mięso, bo nie mam trzonowych zębów, nie mogę biegać, bo łapie mnie zadyszka, boli mnie krzyż, szyja, rwą rany. Nie bawi mnie sport i walka. Mam wybranekę, którą chcę poślubić, ale wątpię, czy uda mi się odtworzyć ród. Myślami nie można wywołać takiego orgazmu i męskiej tężyzny, jakie miałem kiedyś. Z kolei wściekłość mnie bierze, że nie ma sposobu, nawet będąc młodym, by przerznąć z satysfakcją wszystkie kobiety, które istnieją, kręcą biodrami, prowokują. Ja powinienem jak najszybciej umrzeć i odrodzić się tak jak bóg Min, którego długie prącie zawsze stoi jak maczuga, aby z urzędu zapładniać żony żołnierzy odbywających służbę w odległych garnizonach.

- Dżawerze, tobie w głowie ziemski raj: hurysy, wino, kopulacja...

- Oczywiście. Chciałbym odrodzić się jako młody mężczyzna, a te kobietki wypieprzyć ze starym doświadczeniem. Teraz, niestety, mogę tylko trochę i to od niedawna, a potrzeba do tego różnych zabiegów. Ten mój flak służy znacznie lepiej do sikania, choć i z tym ciężko. Więc w następnym wcieleniu chciałbym zachować pamięć obecnej mojej niemocy, aby jak najgłębiej cieszyć się powrotem męskiej siły i podziwem kobiet. Królu, nawet leciwe damy rozpamiętują w nieskończoność permanentne rżnięcia z młodości, o ile bogowie w swojej łaskawości pozwolili im coś takiego przeżyć, zamiast siermiężnych stosunków małżeńskich. Niczego nie wspominają równie ciepło, jak wyblaganej ongiś zgody mężczyzny na małą przerwę na zrobienie siusiu i kolejną powtórkę z nogami do góry, i zaczynanie znów od początku, aż do utraty zmysłów.

- Dżawerze, ty powinienes się szybko powiesić, bo takie myśli cię zabiją.

- Masz rację, Ramzesie. Więc jeśli szybko umrę, to swoją misję apostołską w nowym młodym męskim wcieleniu zacznę od Libii. Wiesz faraonie, że chyba tam niebawem narodzi się kult falliczny? Spowodowałem deficyt na rynku. Libijki konno jeżdżą po pustyni, a gdy dopadną chłopca, to go gwałcą, a potem zabijają. One już nigdy nie będą chciały czekać na ojców,

mężów, braci i kochanków. Im jest potrzebne tylko samo prącie. Chyba zrobiłem tam coś strasznego.

- Lubię cię, Dżawerze. Popatrz, jak miła może być rozmowa dowódców wojsk. Ale zostawmy żarty. Słuchaj, wodzu. W końcu w Egipcie nie ma aż tylu ludzi, którzy mogliby stanąć na czele spisku, a byłiby nieznani tobie lub mnie.

- Bywa czasem tak, że taki ukryty pretendent do tronu na pozór wydaje się kimś zwyczajnym. Jego zachowanie nie razi, ale gdy zostaje sam, wyobraża sobie, że jest bogiem, królem czy czymś innym. Głową sprzysiężenia może być ktoś inny w dzień, a zupełnie inny w nocy.

- Może masz rację, Dżawerze. Ale zauważ, że do przeprowadzenia zamachu na moją dynastię trzeba mieć licznych pomocników.

- Królu, sam wiesz, że najbardziej niezadowoleni o swoich żalach i krzywdach nie mówią publicznie. W czasie ostatnich lat dokonano w państwie wielu zmian personalnych. Od farańskiego dworu odstawiono całe rzesze osób, które utraciły intratne stanowiska. Niezadowolonych nie trzeba szukać, zawsze się znajdują. Wystarczy kilku krzykaczy, aby ten szum, pleśń, mierzwa poczuła sposobność do kradzieży, do rewanzu sąsiadowi, do przerżnięcia cudzej baby, do nieoddania długu, do zemsty na królu, bogach, na przekór wszystkiemu. To przychodzi jak zaraza i nazywa się szansą. Ten tłum, ci sracze tylko czekają na taką sposobność. Środki, o których mówisz, Ramzesie, też się znajdują. Ryzykant, amator fortuny zaryzykuje postawienie jednej działki za pięć od obietnicy przyszłych zysków, wyłączości na cła, handel, dostawy itd. Po co środki? One same przyjdą, poparte szczerą obietnicą wypuszczenia celnej strzały w ciebie, zamachu na Kaima albo uduszenia Merit-Amun. Harem się podda, część twojego rodu ucieknie pod opiekę obcych bogów i królów, czekając nadejścia własnej szansy. I nagle ktoś - choćby z hierarchii - objawi, że stał się cud i okaże się, że jakiś gnojek świątynny czy pustynny bandzior jest twoim rodzonym synem. Masz wątpliwości, że Amon tego nie potwierdzi w zamian za obietnicę współwładzy?

- Dżawerze. To co mówisz jest samą prawdą, dlatego lękam się o Egipt.

- Nasze obie armie, faraonie, są na północy. Cóż z tego, że Merit-Amun mocno trzyma Memfis? W Tebach stworzyła się próżnia. Trzeba tam jechać.

- Jeśli dobrze dedukujemy, moi przeciwnicy powinni teraz próbować napaści na Kaima.

- Masz rację, ale Mereneptah już powiadomił go o zagrożeniu. Ramzesie, powinieneś jak najszybciej pchnąć moją bardziej wypoczętą armię do Teb. Sam przyjedziesz na końcu. Sądzę, że powinieneś oczekiwać na dokładniejsze informacje w Memfis, ja zaś dla niepoznaki zasięgnę rady wyroczni Arnona w Tebach. Jeśli znajdę się tam samotnie, spiskowcy mogą sądzić, iż zdecydowałem się uczestniczyć w zaproponowanej mi grze. Wtedy ujawnią się sami.

- Być może, ale wcale nie jest to pewne. Pamiętaj Dzawerze, że dla nich liczysz się tylko wówczas, gdy dowodzisz armią.

- Dlatego rozpowiem, że na czas mojej pielgrzymki powierzyłem dowództwo generałowi Wanduru. Królu, nie wiem, czy cię jeszcze zobaczę, ale kocham cię jak syna. Mam do ciebie dwie prośby: gdybym zginął, zajmij się moim ciałem i nie zapomnij o przebywającej w Memfis kobiecie imieniem Pawea. Druga prośba dotyczy ciebie. Ty również możesz stracić życie. Powinieneś przygotować krótki zestaw myśli dla Kaima i Merit-Amun.

- Zrobię, jak radzisz, a że bogowie są moimi krewnymi, od dziś będę ich prosił, abyśmy się obaj jeszcze spotkali, choćby i po śmierci.

Nie patrzył, gdy Dzawer odjeżdżał. Myślał o zmarłej żonie, a potem napisał listy do dzieci.

Czuł się spokojny jak nigdy dotąd; brak nowych złych informacji był dobrą informacją. Dzawer powinien przyciągnąć spiskowców jak miód pszczoły, a jemu - Ramzesowi - przypadnie los myśliwego, który otwiera zatrzaśniętą pułapkę. Wyleje się trochę krwi, ale to dobrze, znajdzie się wygodny pretekst, aby nowo zasłużonym dać garść dziedzicznych stanowisk. A jak nastanie spokój, nadejdzie czas, w którym będzie można przekazać władzę Kaimowi. Zanim to nastąpi, książę powinien zawrzeć formalne małżeństwo z Merit-Amun. Kochają się od lat jak brat z siostrą. Ona się nie sprzeciwi, aby miał własny

harem. Doskonały zestaw: Merit-Amun - faraon rządzący, Ka-im - faraon wódz. Lepiej być nie może.

Kilka tygodni później jeszcze raz przemyślał rozmowę z Dżawerem. Jak wiele znaczy przyjaźń. Ile mogą doświadczenie i strategia. Mając takiego sprzymierzeńca, przy wsparciu jego sił, rozumu i rąk, obali każdy spisek. Jak przenikliwej analizy dokonał ten dziedziczny król miasta Aj.

Nagle włosy zjeżyły się Ramzesowi na głowie: uświadomił sobie, że wódz powiedział, iż sprzysiężenie posiada ciężkie rydwany i intendenturę, a tej informacji nie uzyskał przecież ani od faraona, ani od wysłańców, ani od bogów. Ten, kto posiadał taką wiadomość, musiał być w spisku. Dżawer się wygadał.

Natychmiast wezwał swoją ochronę i mianował Perhora tymczasowym dowódcą Armii Ra. Polecił mu dawać posłuch jedynie rozkazom wydanym przez faraona oraz jego córkę i syna. Wezwał wszystkich generałów i oznajmił im swoją decyzję, nakazując przestrzeganie wydanych poleceń.

Z małą przyboczną gwardią, wśród której znajdował się Daniel, udał się do Memfis, gdzie dotarł w środku nocy. Nie dziwiło go, że harem spał, a pałac Nefertari był oświetlony. Żona zawsze wiedziała, kiedy przyjedzie. Na samą myśl o niej serce nadal kurczyło mu się ze szczęścia, ale do tego nie przyznałby się nigdy nikomu, może jedynie po sędzie dusz samemu Ozyryrowi.

ROZDZIAŁ 17

Po rozstaniu z faraonem Dżawer wrócił do armii i zatrzymał się w sztabie. Rozkazał przywołać Totmesa, a gdy ten się pojawił, wziął go poufale za rękę i wydał mu następujące polecenie:

- Jeszcze dziś wybierzesz stu żołnierzy o największej sprawności, szczególnie takich, którzy potrafią walczyć w tłoku. Trzeba, abyś wraz z nimi znalazł się możliwie jak najszybciej w Tebach i tam oczekiwał na moje przybycie. O charakterze działań twojej grupy przeznaczonej do wykonania zadań specjalnych dowiedzieć się nie może nikt.

Patrzył, jak Totmes odjeżdża do swojej jednostki, a w chwilę później wezwał generałów na odprawę - Usadowił oficerów przed namiotem, aby byli widziani przez cały obóz.

- Ty - zwrócił się do generała Wanduru - będziesz mnie zastępował. Powierzam ci dowództwo Armii Seta. Wyjeżdżam do stolicy. Rozkazy otrzymacie od moich siostrzeńców. Doręczą je wam na piśmie. Tam znajdziecie dalsze instrukcje postępowania.

Droga do Teb biegła przez Memfis, gdzie Dżawer znalazł się w Tioć • Zattxymal sę YJ domu siostra. OŁekiwał tam v& mego przybyły kilka dni wcześniej Hiram, wysłany ongiś z Libii w pogoń za wysłannikami.

Służba przyniosła im jadło i napoje. Usiedli na skórzanych poduszkach i Hiram obszernie zrelacjonował wykonanie powierzonego mu zadania. Emisariusze udający pątników dopłynęli - tak jak się tego obaj spodziewali - do Tyru i następnie z karawaną kupców ruszyli do Egiptu. Obaj oficerowie Dżawera, udając handlarzy purpurą, przyłączyli się do nich, co nie

wzbudziło niczyich podejrzeń. Podróż przebiegła bez zakłóceń. Trzy dni temu wszyscy kupcy przybyli do Memfis. Krewni Hiram poddali wysłanników nieustannej obserwacji. W jej wyniku stwierdzono, że śledzeni po wymienieniu tajnych znaków w świątyni Astarte nawiązali kontakt z Jahmesem - zastępcą szefa policji w Memfis, a po krótkiej z nim rozmowie podążyli drogą lądową na południe.

- Czy ustalono, gdzie mieszka ten policjant? - spytał Dżawer.

- W Rybim Zaułku nad kanałem. Odpowiada za śledztwa dotyczące obcokrajowców, zna języki. Moi ludzie zbierają informacje o jego przeszłości, rodzinie i powiązaniach.

- Czy o swoich podejrzaniach poinformowałeś kogokolwiek?

- Nie było takiego rozkazu.

- Sprowadzisz tutaj Amiptaha. Pojedziesz po niego w stroju zwykłego tarczownika, przedtem zdjąwszy z rydwanu moje znaki. Czy on ciebie zna?

- Nie, nigdy z nim nie rozmawiałem.

- To dobrze. Przed jego domem możesz narobić hałasu, ile tylko chcesz. Powiesz, że przysłał cię dowódca ochrony księżniczki Merit-Amun. Zachowuj się beczelnie, jak ludzie z obstawy rodziny władcy. Gdy Amiptah wsiądzie na rydwan, skieruj się na drogę prowadzącą do pałacu, a dopiero jak będziesz mijał most na kanale, powiedz, że wiesz go do mnie i pokaż mu tę bransoletę.

Hiram wykonał zadanie szybko i wkrótce wprowadził do komnaty Dżawera niskiego człowieka o kwadratowej sylwetce.

- Czy nikt was nie śledził? - spytał wielki wódz.

- Chyba przekleństwa obudzonych w nocy i krzyk potraconego pijaka - powiedział Hiram.

- Doskonale. Teraz chcę zostać tylko z Amiptahem.

Kiedy Hiram wyszedł, Dżawer poprowadził swego gościa do sporego bezokienego pomieszczenia dobrze oświetlonego łuczywami.

- Amiptahu, czy wiedziałeś o moim przybyciu do Memfis?

- Nikt w tej sprawie nie złożył raportu, a dom twojej rodziny nie jest pod obserwacją tajnych służb.

- Jadę do Teb. Z polecenia faraona mam tam do spełnienia ważną misję. Może być niebezpieczna dla państwa, dla mnie i dla ciebie. Co wiesz o spisku na życie faraona?

- Niewiele więcej nad to, co pisałeś w listach. Mam informacje od wywiadowców i donosicieli o niejasnej roli kapłana z Om, o imieniu Putyfar. Ustalono, że kontaktował się z ludźmi podejrzanymi o współpracę z wywiadami obcych państw. Ten człowiek nagle znikł, a wraz z nim osobnik, którego podejrzewamy, że stworzył w stolicy grupę płatnych morderców. Nakazałem zastępcy przeprowadzić rutynowe śledztwo, ale do tej pory niczego nie znalazł. Mój policyjny nos mówi mi jednak, że nie chciał znaleźć. Dlatego w ścisłej tajemnicy poddałem Jahmesa obserwacji przez doświadczonych agentów, których sprowadziłem z Sais. Moje podejrzania się ugruntowały, gdy dwaj z nich zostali zabici, a okoliczności mordu do dziś pozostały niejasne. Jeden z tych wywiadowców dzień przed śmiercią złożył raport, że wpadł na ślad obecności w Memfis rozgałęzionej siatki szpiegowskiej.

- Amiptahu! To niewiele nowego w stosunku do informacji, jakie ostatnim razem przekazałeś przez Totmesa. Czy masz dowody, że Jahmes uczestniczy w spisku?

- Bezpośrednich nie mam, o poszlakach mówiłem. Ponadto dowiedziałem się, że stanowisko w policji mój zastępca zawdzięcza protekcji osobistości z hierarchii Amona. Moim zdaniem, Dżawerze, jeśli spisek istnieje, to jego centrum jest poza Memfis, a tutaj usytuowano jedno z ogniw siatki. Przypuszczam, że w swoich działaniach wzoruje się ona na metodyce stosowanej przez agenturę izraelską.

- O czym mówisz?

- Żydzi od dawna mają u nas siatkę agentów. Nie jest groźna, gdyż w zasadzie interesują się tylko tym, czy Egipt zamierza przyłączyć terytorium Izraela. Szpiegują też Hetyci, Babilończycy, Persowie i kilka innych narodów, ale tych łatwo jest śledzić. Z Żydami to się nie udaje.

- Skąd ta różnica?

- Od czasów Mojżesza i Jozuego pozostawili w naszym kraju starannie ukrytych szpiegów. Nazywają ich sayanami, a używają bardzo rzadko. Stosują wieloszczeblową konspira-

cję, każdy z nich zna tylko trzech innych i ślepo wykonuje polecenia. Nigdy się nie zbierają. Podobno ich znakiem jest menora, siedmioramienny świecznik.

Dżawer sięgnął po kielichy i wino. Z emocji zaschło mu w gardle.

- Wypij, Amiptahu. To cenna wiadomość i zupełnie nieoczekiwany przeciwnik. A teraz zostaw mnie samego.

Zastanawiał się, co począć z Jahmesem. Na pewno uczestniczy w spisku, ale prawdopodobnie jest tylko pośrednikiem. Wysłanników kierowano wpierw do niego, on zaś przynosił informacje dalej, do kogoś głębiej zakonspirowanego. W razie uwięzienia policjanta pod zarzutem zdrady stanu - czego przecież nie da się ukryć - ten ktoś stojący nad nim szybko się o tym dowie. Natychmiast ucieknie, dokładnie zacierając ślady. Oczywiście przesłuchiwany w końcu zdradzi imiona trzech spiskowców. Jedno w górę, dwa w dół, ale informacja ta ujawni jedynie kolejny szczebel konspiracji. Uwięzienie któregokolwiek uświadomi spiskowcom, że zamierzenia ich organizacji zostały odkryte.

Po głębokim zastanowieniu Dżawer uznał, iż najlepszym wyjściem byłoby „zaginięcie” Jahmesa. W tym czasie on sam znajdzie się w Tebach, sprzysiężenie zaś straci dużo czasu na wyjaśnianie okoliczności nagłego zniknięcia swojego człowieka. Uznał pomysł za dobry i przystąpił do jego realizacji. Wezwał Hirma.

- Pojedziesz do domu Jahmesa. Powiesz, że jest wzywany przez swojego przełożonego w nie cierpiącej zwłoki sprawie. Po drodze go zabijesz, a ciało przywieziesz tutaj. Wezwij teraz mojego gościa, a sam wykonaj rozkaz.

Przez chwilę chodeił po komnacie zastanawiając się, czy czegoś nie przeoczył. Rozmyślenia te przerwało przyjście Amiptaha. Wódz popatrzył na niego spod krzaczastych brwi i rzekł:

- Siadaj, słuchaj i nie zadawaj pytań. Twój zastępca jest zdrajcą. Za chwilę zostanie na nim wykonany wyrok śmierci. O jej spowodowanie obwinisz Hetytów lub Babilończyków, ale dopiero po długotrwałym śledztwie. Dokładnie przyjrzyj się tym, którzy będą zaniepokojeni jego zniknięciem. Wśród nich

będą poplecznicy spisku. Działaj mądrze i rozważnie. Z chwilą gdyby Merit-Amun opuściła Memfis albo gdybyś się dowiedział, że faraon udał się w drogę do Teb, natychmiast ludzi podejrzanych o kontakty z Jahmesem aresztuj, ukryj i strzeż jak oka w głowie. Jest jeszcze druga sprawa. Zwłoki twojego zastępcy powinny zostać znalezione za kilkanaście dni. Co byś radził, jakiego sposobu użyć?

- Nagie ciało wrzucić do kanału. Śluzę są otwarte i prąd zniesie trupa w zarośla za zakrętem. Za tydzień lub dwa wypłynie na powierzchnię.

- Doskonale. Czy zrozumiałeś wszystko?

- Tak, ale obawiam się, że mogę być posądzony o zdradę stanu.

- Słusznie podejrzewasz, ale stanę po twojej stronie i zaświadczę o prawdzie. Bądź ostrożny i nie ufaj nikomu. Żegnaj, Amiptahu, dobrze służysz państwu.

Dżawer i Hiram przeszukali odzież zabitego. W małej wewnętrznej kieszeni znaleźli znak Bastet, a na jednym z nadgarstków wytatuowany znak słońca. Był w tym samym kolorze i miejscu, co u wyłowionego z morza zasztyletowanego kapłana. Spojrzeli na siebie i wiedzieli, że racja jest po ich stronie.

Zanim się rozstali, Dżawer rzekł:

- Hiramie, oto są pisemne rozkazy dla generała Wanduru; teraz zastępuje mnie na stanowisku wodza Armii Seta. Oddasz je tylko wtedy - pamiętaj: tylko wtedy - gdy dowiesz się, że Ramzes udał się do Teb. Wówczas obejmiesz dowództwo i zajmiesz Memfis.

Dżawer odплыnął rano do Teb z głównej przystani w Memfis, budząc sensację swym strojem - był przebrany w szaty pątnika - a także tym, że w podróż wyruszył samotnie. To była wiadomość dnia długo komentowana przez pałac, harem i dysydyntów, wiadomość, przy której znalezienie w dziesięć dni później ciała policjanta Jahmesa wywołało o wiele mniejsze poruszenie. Prawdziwa sensacja wybuchła dwa tygodnie później, gdy okazało się, że tajne służby ościennych państw zamordowały Amiptaha. Wywołało to wściekłość policji, początkowo błędnie poszukującej sprawców wśród lokalnych szajek

rzezimieszków. Ci z kolei, gdy prawda o ich niewinności wyszła na jaw, w drodze odwetu dokonali rabunków i mordów w dzielnicy zamieszkałej przez obcokrajowców, głównie naturalizowanych Żydów. Doszło do pogromu, zakończonęgo zdecydowaną akcją wojsk księcia miasta, Hanemeba.

Podróż do Teb trwała dziewięć dni i nocy. Dżawer miał mnóstwo czasu na przemyślenie ostatnich wydarzeń. Zgadzał się z Ramzesem co do sposobu postępowania z białym przybyszem - trzeba go bezterminowo odizolować i wycisnąć, a jak spełni swoje zadanie, oddać uczonym. Ale *co* będzie, jeśli te mędrki wyłapią jakieś tajemnice i zyskają w ten sposób potęgę i staną się nową siłą, z którą też trzeba będzie się liczyć? Myślał o tym przez całą podróż do Teb.

Dżawer wolno zszedł na przystań, gdzie powitał go Totmes.

- Wodzu, komendanta wojsk tebańskich powiadomiłem o twoim rychłym przybyciu na wizytację. Zaprasza cię do jednostki.

- A gdzie twoi żołnierze?

- Osiemdziesięciu umieściłem w okolicznych wsiach. Pozostałych jako patrol osobisty wzięłem do garnizonu. Oczywiście jestem nieustannie śledzony, ale z tym dam sobie radę.

- A nowości?

- W Tebach przebywa syn królewski Kaim i lekarz faraona Mereneptah. Przybył też wezyr Irinefer.

- Co jeszcze? - spytał Dżawer.

- W nie ukończonym grobowcu naszego faraona znajduje się więzień stanu, jakiś tajemniczy kapłan, niezwykle starannie pilnowany przez żołnierzy następcy tronu. Wiem tylko tyle, że nosi na szatach znak bogini Bastet.

- Teraz zabierzesz mnie do garnizonu. Komunikuj się ze mną wieczorami podczas spaceru, nigdy w pomieszczeniach. To, co się teraz dzieje, zadecyduje o losach Egiptu. Bądź czujny.

W Dżeme oczekiwał na Dżawera dowódca jednostki tebańskiej wraz z korpusem oficerskim. Po krótkiej odprawie usłyszeli od wizytatora kilka zdań:

- Niebawem zlużujecie moją armię, wyczerpaną długą i trudną kampanią. Przyjechałem do stolicy jako pielgrzym,

podziękować za szczęśliwe wróżby i wygrane bitwy. Amon i bóg wojny Montu byli i są z wojskami faraona. Jestem waszym gościem i dziękuję za powitanie i kwaterę, a teraz wskażcie mi drogę do królewskiego syna.

Warta poprowadziła wodza w kierunku wysokiego pagórka, na którego szczycie ustawiono namiot następcy tronu. Wokół rozciągała się Dolina Królów strzeżona przez liczne straże. Kaim stał przed wejściem do namiotu, patrząc jak ogromna, obciążona granitowym ciężarem łódź zbliża się wąskim kanałem do podnóża przyszłej świątyni grobowej Ramzesa. Liny, drągi i kliny wkładano pod ładunek, jednocześnie coraz bardziej dociążając pokład kamieniami tak, że fragment posągu faraona w pewnym momencie zawisł w powietrzu. Przemysłnym systemem pochylni sprowadzono ciężar na brzeg i ustawiono na platformie, pod którą przedtem położono okrągłaki polane roztopionym masłem. Transportowany element był podstawą trzeciej gigantycznej figury Ramzesa II. Brakowało czwartej do całkowitego wykończenia imponującego wejścia do Ramesseum.

- Merenptahu - krzyknął Kaim. - Przybywa do nas wielki wódz.

- Synu królewski, wodzu Armii Południa, ja, Dżawer, przybywam z polecenia naszego władcy. Faraon cieszy się dobrym zdrowiem. Od czasu, gdy wysłał do ciebie zawiadomienie o próbie zamachu, nastąpił drugi, na szczęście nieudany, skierowany przeciw Merit-Amun. Nasz władca uważa, że są to działania inspirowane przez sprzysiężenie, którego główna siedziba powinna być gdzieś tutaj, na południu. Czy nie tak, Merenptahu?

- Masz rację, wodzu, dlatego obaj wróciliśmy do Teb uznając, że nasza obecność utrudni działania spiskowców, a nam ułatwi przeciwdziałanie ich zamierzeniom.

- Zrobiliście słusznie. Ramzes sugeruje, aby syn królewski z częścią swoich wojsk udał się dalej na południe i przeprowadził inspekcję osiadłych tam plemion nubijskich. Naczelnikom należy ujawnić imiona zamachowców. Za obietnicę darowania życia przeprowadzą dochodzenia i może tą drogą znajdziemy przywódców spisku.

- Wodzu, mamy w garnizonie ważnego więźnia. To kapłan.

Dotąd milczy, ale nie ulega wątpliwości, że o spisku wie dużo - powiedział Kaim.

- Osobną sprawą jest przesłuchanie i wydobycie zeznań z tego człowieka - wtrącił Mereneptah - a inną wyprawa przeciwko Nubijczykom. Taki manewr stworzy pozór, że nasze spotkanie jest zupełnym przypadkiem, a spisek nadal nie został wykryty.

- Posłucham was obu - powiedział Kaim.

Zamierzał odejść, gdy z Doliny Królów nadbiegł oficer w stroju wojsk południa. Był tak wzburzony, że nie panował nad swymi reakcjami i wykrzyknął z daleka:

- Tanemer nie żyje! To był zamach! - Z torby na ramieniu wydobyl cztery nieżywe kobry i rzucił pod stopy zebranych. - Następcu tronu, dziś rano w Dolinie Królów w grobowcu twojego ojca zabito strażników więźnia. Zabójca nie miał siły lub czasu, aby w podziemnej celi unieść kratę, a więc wrzucił przez nią do środka gliniany dzban, w którym przyniósł rozjuszone węże. Zmarły ma ślad ugryzienia na szyi, strażnicy zaś zginęli od noża. Sprawdziłem posterunki. Nikogo obcego nie widziano, jedynie żołnierzy w naszych barwach. Zamach odkryła zewnętrzna warta, gdy zauważyła kobry wpełzające z tunelu. Sprawdziliśmy podziemia i tam znaleziono jeszcze dwie.

Popatrzyli na siebie, a Mereneptah powiedział:

- Ja nie mam żadnych wątpliwości, że nasi przeciwnicy już wiedzą, że odkryliśmy istnienie spisku.

- Masz rację - przyznał Dżawer. - Uważam, że wszystkich, którzy byli na tej wachcie, niezwłocznie należy odesłać na najdalszą strażnicę. Ktoś z nich musiał zamachowcowi ułatwić zadanie.

Po godzinie w kierunku pustyni wyjechał niewielki oddział. Wieczorem duża jednostka pod dowództwem Kaima przeciągnęła przez miasto i udała się wzdłuż Nilu na zachód, do oazy Charga. Dwa dni później zmieniono kierunek marszu na Sehel i Wyspę Słoni oraz osiedla nubijskie przy pierwszej katarakcie. Żołnierze kleli. Niedawno tę samą drogę w dół Nilu pokonywali wygodnie łodziami. W Tebach ktoś rozpuścił wieści o najeździe dzikich plemion na oazę i o akcji odwetowej wojsk.

Dżawer i Totmes udali się do świątyni Amona. Przyprawili kupione w specjalnych stajniach zwierzęta ofiarne, najdroższe, bez skazy, oraz przynieśli sowite dary, budząc tym zrozumiałe zadowolenie hierarchii. Przytycie Dżawera na jej szczytach oceniono właściwie, gdyż nic nie buduje kultu lepiej niż publiczny hołd, kiedy naród widzi, jak najwyżsi dostojnicy padają przed bogiem na twarz, uzależniają swe decyzje od wyroków niebios, dziękują za ocalenie, spełnienie prośb, powrót łask. Przyjazd wodza był wydarzeniem tak ważnym, że nigdzie i nigdy nie zlekceważyłby go żaden ze świątynnych wielmożów, a dostojny Rowin znajdował się na samym szczycie hierarchii Amona na pewno nie z przypadku. Zarówno on, jak i jego poprzednicy byli najwyższej klasy profesjonalistami, a instytucja, jaką przez tysiące lat budowali, miała tyle wspólnego z amatorstwem, co wojna z humanitaryzmem.

Dżawer został uroczysto przyjęty przez Rowina. Arcykapłan osobiście ustalił kolejność misterii, wyznaczył pomocników i proroków. Przeprowadzono skomplikowane wróżby. Zgromadzony tłum był świadkiem, jak wpadający w trans wiszczykowie i kapłani dokonujący oględzin wątroby i jelit jagnięcych kręcili głowami, wyraźnie zdesperowani. Jeszcze trwały ceremonie, ale wszyscy już wiedzieli, że z powodu wieloznaczności znaków trzeba będzie złożyć nowe ofiary i dary.

Dżawer wrócił do garnizonu, w którym oczekiwał na niego goniec, zapraszający w imieniu wezyra na jutrzejszą kolację. Odprawivszy posłańca, wódz wezwał Totmesa i na spacerze przeprowadził z nim długą rozmowę.

Następnego dnia w świątyni Amona ponowiono wróżby. Tym razem misterium trwało znacznie dłużej.

Pod koniec tego spektaklu Totmes wmieszał się w tłum i podszedł do pylonu, przy którym stał jego podwładny. Obaj wyszli na ulicę, a stamtąd przez mało widoczną bramę w piwniarni do niewielkiego ogrodu. Rozmowa trwała krótko.

- Jutro wieczorem - rzekł Totmes - moja jednostka w pełnym składzie ma opanować obiekt państwowy. Oto jego plan i instrukcje. Należy po cichu zdjąć warty i strażę, podstawić

w ich miejsce naszych ludzi. Czekać tam na mnie tuż przed zmierzchem. Nikt ze środka nie może uciec, zrozumiałeś?

- Tak, dowódcu.

Totmes pospiesznie wrócił do piwiarni. Ledwie usiadł przy stole, weszli śledzący go wywiadowcy. Nie widział ich twarzy, ale niemal usłyszał zgodne westchnienie ulgi.

W tym samym czasie Dżawer wezwał na naradę wszystkich oficerów garnizonu tebańskiego i bez jakichkolwiek wyjaśnień polecił im zdać broń i udać się do aresztu; ostrzegł, że warty złożone z żołnierzy księcia Kaima otrzymały rozkaz, aby usiłujących się wymknąć natychmiast zabijać, bez względu na szarżę.

•

Irinefer zakończył pracę w tajnym gabinecie i odłożył ostatnią rolę papiirusu, zawierającą spis zweryfikowanych członków spisku. Każda z osób uczestniczących w sprzysiężeniu otrzymała ściśle sprecyzowany rozkaz, wykonawcom ważniejszych zadań przydzielono dublerów, a czasem dodatkowo i rezerwowych. Przejęcie władzy miało nastąpić jednocześnie w całym kraju z chwilą uzyskania przez członków sprzysiężenia informacji o śmierci Merit-Amun lub Ramzesa.

Zbliżała się godzina, na którą Irinefer zaprosił gości na kolację. Wezyr zastanawiał się, dlaczego wielki wódz i Kaim pojawili się w Tebach prawie w tym samym czasie? Czy to przypadek? I czy również przypadkiem jest sprawa druga? Kaim i Merenepthah dopadli tego białego uciekiniera z Om, o którym pisał Sansep i mówił Putyfar. Obecnie znajduje się wraz z jakąś kobietą na terenie obozu wojsk syna faraona. Jeszcze ważniejsza była informacja, że w grobowcu Ramzesa uwięziono kapłana, strzeżonego przez warty księcia Kaima jak więźnia stanu. Któż to może być? Ujęty członek sprzysiężenia? Agent obcego wywiadu? Irinefer nie mógł ryzykować - wydał rozkaz, aby osobę znajdującą się w grobowcu zabić. Tak też się stało. Szkoda, że zabójca pochodzący z Asyrii nie mógł ustalić, kim był człowiek uwięziony za kraty. Jeśli zaś Dżawer i Kaim w ten sposób odkryli istnienie spisku, to mord w sercu garnizonu powinien im zasugerować szukanie innego bezpieczne-

go miejsca. A o to właśnie chodzi: aby wyszli poza osłonę warownego obozu.

To, o czym myślał dotąd, to tylko „szczegóły techniczne. Znacznie gorsze były dwie ostatnie sprawy- Szpiedzy z Memfis donieśli o próbie zamachu na Merit-Amun w Pi-Rames, podjętej w znacznie wcześniejszym terminie i wcale nie przez ludzi, których sam po to właśnie wysłał. Zabity przez łucznika zamachowiec miał pod pachą tatuaż w kształcie siedmioramiennego świecznika. Taki sam tatuaż odkryto w Domu Umarłych u wieszczka. Merit-Amun natychmiast odjechała do Memfis i wzmocniła swoją ochronę - niedawno otrzymał taką wiadomość od Jahmesa. Kto mógł zaplanować zamach na księżniczkę? Czyżby istniał inny spisek o podobnym celu?

I jeszcze to najgorsze. Niestety, winę ponosi on sam. Arcykapłan Sansep ujawnił, że sprzysiężenie było dziełem trzech ludzi. Potem, nie zdradzając imion pozostałych, powiadomił, że jeden z nich zmarł.

Irinefer zapomniał o tym ostatnim, który oczywiście od dawna zna wszystkie szczegóły sprzysiężenia, ale w żadnych aktach nie było o nim najmniejszej wzmianki. Więc albo Sansep minął się z prawdą, albo ktoś głęboko ukryty dzierży teraz wszystkie nitki w rękę, a królewskiego potomka Sakere używa jak przynęty na antyfaraonskie robactwo- Jeśli tak, to on, Irinefer, okazał się idiotą. Kto może być tyrf trzecim? W rachubę wchodziła jedynie osoba z rządzącej dynastii albo ktoś z wysoko postawionych kapłanów Amona.

Zrobiło mu się słabo. Ten nieznamy, jeśli dopadnie go przed zabójstwem Ramessydów, zaplanuje dla wezyra śmierć tyleż wspaniałą co okrutną, taką, aby przeszła do historii udręczeń i budziła przerażenie największych oprychów, paranoików, zdrajców, degeneratów, złoczyńców i tych wszystkich, których bogowie postawili po tej stronie, aby dobro leżące po przeciwnej wydawało się najwłaściwsze, nieodzowne i należyście strzeżone. Westchnął. Teraz już było za późno, trzeba kontynuować rozpoczętą grę.

Ten Rowin... Czy tym trzecim może być on, arcykapłan Amona w Tebach? To jednak wysokiej klasy spryciarz, choć nie wyglądał na takiego, gdy z nim ostatnio rozmawiał. Z hie-

chęcią przyznał, że go nie docenił, a ten rutyniarz dał Dżawerowi taką wróżbę, że można ją interpretować w każdą stronę bez szkody dla wieszczków, no i bez narażania się na jakiegokolwiek podejrzenia. Nie ulega wątpliwości, że proroctwo się spełni i potęga świątyni ulegnie dalszemu wzmocnieniu. Jeśli Dżawera nie zadowala stanowisko wodza i ma większe ambicje, po takiej wróżbie dziś na kolacji sam o tym powie. Przecież jego przyjazd tutaj poniekąd jest wyrazem poddania się wyrokowi opatrności, czyli zamiarom Irinefera - a może i zamiarom Rowina? Najlepiej by było, gdyby wielki wódz pozostał tylko dowódcą armii faraonskich, głównym mieczem Egiptu. Otrzyma piramidę, odznaczenia i podobne ozdobniki bez większego znaczenia. A Amon też dostanie, co chce. Fatalnie się stało, że mimo intensywnych poszukiwań w całym kraju nie ujęto człowieka, którego miał w rękach Sansep, a teraz Kaim. Mając przybysza z przyszłości po swojej stronie, sprzyśnięcie nie musiałyby liczyć się z nikim, a tym bardziej czymkolwiek dzielić. Ten obcy mógłby zdradzić najważniejszą informację; tylko sześć słów pytania i jedno odpowiedzi. Całość zajęłaby pół minuty. Imię faraona panującego po Ramzesie II.

Hiram nadal czekał w Memfis na informacje o wyjeździe Ramzesa z Armii Ra do Teb. Chcąc zapełnić czas, wraz ze swoim sługą zwiedzał miasto, którego jedną z atrakcji była otwarta na prośbę Fenicjan świątynia Astarte. Stanęli na podwyższeniu bocznego dziedzińca, skąd mieli doskonałą widoczność. Z wnętrza wychodzili szpalerem mnisi ze złożonymi na piersiach rękoma. W odróżnieniu od kapłanów egipskich ich ciała szczelnie zakrywała odzież. Mnisi stanęli, oczekując chwili, gdy brzeg tarczy słonecznej ukaże się spoza wzgórz. Ceremonia zakończyła się szybko. Hiram zauważył rząd młodych kobiet zmierzających w stronę kwadratu między przedśionkiem świątyni a dziedzińcem.

- Czy to są kapłanki? - spytał Fakima.
- Nie, to niezamężne kobiety, dziewice. Przychodzą wtedy, gdy rodzina uzna, że są gotowe do wyjścia za mąż.
- Czekają na kandydatów na małżonków?

- Tak i nie. One chcą mieć dzieci, a te daje Astarte. Raz w życiu wystawiają swoją urodę na łup każdego mężczyzny, który ich zapragnie. Ten, chcąc zaspokoić swoje pragnienia, musi rzucić wybranej złoty pierścień na łono, a ona podaży wtedy za nim i przez dobę staje się mu powolna we wszystkim. Są tu też takie, które przychodzą codziennie modlić się o taką szansę.

- A co kobiety robią z ofiarowanymi pierścieniami?

- Oddają dyżurnemu kapłanowi, a ten wpisuje ich imiona do księgi uprawnionych do zostania prawowitymi żonami.

- Czy są wyjątki od tej reguły?

- Nie. Nieszczęściem jest, gdy bogowie dziewczynie nie dadzą urody. Taka nigdy nie zostanie żoną. Niektórzy mężczyźni wyczekują tygodniami przybycia wyjątkowo urodzawych pannen. Bogaci wielokrotnie zaznają rozkoszy z najpiękniejszymi, bo rozdziewiczenie, jak wiadomo, daje pomyślność w interesach. Ale złoto jest złotem i nie wszystkim jest dane.

- Czy te kobiety mogą zająć w ciążę po tym, gdy zostaną w taki sposób wybrane?

- Nigdy. Otrzymują przed posągiem Astarte puchar napoju, jaki codziennie wypijają kapłanki, a później, po tak uświęconej utracie dziewictwa, odzyskują łaskę brzemienności w małżeństwie.

- Słyszałem, że służebnice Astarte są niezwykle w sztuce miłości.

- Tak, ale to kobiety-eunuchy, wybierane spośród najpiękniejszych ochotniczek, są chodzącą rują, niezaspokojonym pragnieniem, które ogarnia zmysły i odbiera rozum. Zawsze niesłychanie kosztowne, ale chętnych na nie nigdy nie brakuje. Fortuny wielu rodów przeszły przez ich łona i wypełniły skarbiec bogini. Uważa się, że ten, kto z nimi zakosztuje współżycia, nigdy nie znajdzie podobnego zadowolenia ze zwykłą kobietą. Żyję w tym mieście od lat i byłem świadkiem bankructw i samobójstw mężczyzn, których te świątynne prostytutki znarkotyzowały swą sztuką. Wielu książąt pozostawiło tutaj życie i majątkość.

- A co się dzieje z kapłankami później, gdy tracą urodę?

- Podobno znikają w domu bogini. Ale zastęp tych, które pragną przyjść na ich miejsce, jest ogromny.

Rozstali się. Hiram zszedł na dziedziniec i z westchnieniem ulgi zanurzył się w cieniu kolumnady. W pewnej chwili poczuł lekki zapach piżma i miodu. Obrócił się. Obok niego stała kapłanka Astarte w przezroczystych szatach. Miała moeno umalowane na zielono oczy, pełne czerwone usta, szerokie, nienaturalnie rozszerzone źrenice. Patrzyła na niego zachęcająco. Widział wyraźnie jej twarde piersi, napinające tkaninę, kształtne biodra, wąską talię, szczupłe łydki i pełne uda. Ubrana zjawa była po stokroć naga.

- Panie, mam na imię Menea i zrobię, co zechcesz. Możesz mnie nasieniem wypełnić w dowolny sposób, a ponadto uzyskasz miłość i poparcie bogini, przeze mnie swą moc przekaże ona tobie i w nagrodę doda płodności twoim żonom i stadom, o ile je masz. - Zaśmiała się. - Masz stada, panie?

Milczał.

- A żony?

Wciąż milczał, oszołomiony. Zjawisko mówiło, pachniało, mamiło, wciągało muzyką słów, pragnieniem zespolenia, czarem i magią. Nie mógł przestać patrzeć na tę kobietę.

- Daj mi złoto - szepnęła. - Tylko tyle, ile zmieścę w dłoni. Ponieważ milczał i stał bez ruchu, spojrziała nań uwodzicielsko, a potem wybuchnęła śmiechem.

- Nie masz złota, prawda? Ale ponieważ jesteś młody i zgrabny, to zadowolę się twoją srebrną bransoletą z tym dziwnym bogiem. Czy mam ją zdjąć sama?

Milczał nadal.

Wąskie palce o czerwonych paznokciach usiłowały ściągnąć z jego nadgarstka symbol rodu - najpierw pieszczotliwie i delikatnie, potem silniej i brutalniej. Magia prysła. Hiram wyszarpnął się; nie mógł jednak ukryć wrażenia, jakie na nim zrobiła.

Zaśmiała się.

- Mojej bogini nie zależy na tym przedmiocie. Ale jeśli chcesz, a widzę, że tak jest - wskazała na dół jego brzucha - to daj mi kruszec.

Dalej nie mówił nic.

- Przynies złoto jutro, a dam ci tyle i tak, jak żadna kobieta nigdy i nigdzie nie będzie mogła ci zaoferować - rzekła i już odchodziła w stronę innych, bogatszych.

- Wróć! - krzyknął.

Obejrzała się i jej kocie spojrzenie znów go ogarnęło. Wyjął z woreczka dwa złote pierścienie i rzucił jej. Chwyliła je z wdziękiem.

- A więc chodź do mego domu, dostaniesz więcej niż mógłbyś zamarzyć. - Lekkim ruchem podrzuciła pierścienie do góry, cicho chichocząc. - No chodź, wieczorem twoje jądra muszą stać się lekkie jak puch.

Spojrzał na nią i powiedział cicho:

- Weź ten podarunek, kapłanko Astarte. Nie chcę pójść z tobą, gdyż szczęścia dać mi nie możesz. Twoja jałowość zabija całkowicie moje pragnienia, a magia i czar, jaki rozsiewasz wokół, to tylko wyuczona lekcja, i za nią właśnie daję ci złoto. Gdzie i komu oddałaś duszę? Dla mnie jesteś tylko poruszającą się, szczelnie zamkniętą pochwą.

Syknęła, a jej oczy zabłysnęły gniewem. Źrenice zwięzły się, a ręce zacisnęły w pięści. Gwałtownie zmieniała się w oszalałą furię miotającą przekleństwa, obelgi i groźby. Pluła, drapała i gryzła do czasu, gdy odciągnęła ją straż świątynna.

- Cóż uczyniłeś tej kobiecie? - spytał jej dowódca.

- Nic, jest chora albo odurzona. Nie chciała moich darów.

- To niemożliwe.

- Otwórzcie jej dłoń, stwierdzicie sami.

Wewnątrz rozwartych palców zaśnity dwa pierścienie.

- Zaprowadźcie ją do arcykapłanki - powiedział strażnik i dorzucił: - Panie, oto twoje złoto. Za chwilę będą tu inne czcicielki Astarte. A o losie tej zadecyduje bogini.

W domu czekała na Hiramą wiadomość, że faraon Ramzes udał się do Teb. Hiram natychmiast wyruszył w drogę.

- Czy wszystko gotowe do kolacji? - spytał Irinefer Senemeta.

- Tak, służby oczekują twoich rozkazów, a goście powinni przybyć za chwilę.

- A więc idź do poczekalni, a tutaj przyślij Dramuna.

Irinefer sprawdził, czy w swoim gabinecie nie pozostawił na widoku czegoś dla niepowołanych oczu, gdyż tutaj postanowił

przeprowadzić rozmowę z Dżawerem. Sam kazał przebudować ten pałac, sam zaprojektował tajny skarbiec. Nikt też nie wiedział o kilku sekretnych wyjściach wiodących nie tylko do groty w skale ukrytej pod wodami Nilu, ale i w parę innych, równie niespodziewanych miejsc. Ponieważ cały teren budowy od początku robót był ogrodzony i pilnowany, nikomu do głowy nie przychodziły żadne podejrzenia, a budowniczowie tych ukrytych wyjść nie żyli od dawna.

Wszedł Dramun, uśmiechając się jak dziecko.

- Chodź do mnie, Nubijczyku. Mam dziś ważną sprawę. Chcę, abyś był w skarbcu podczas mojej rozmowy z pewnym człowiekiem.

Olbrzym pokiwał głową.

- Przez niewidoczny z tej strony otwór zobaczysz krzesło, mnie, i fotel dla gościa. Jeśli zegnę rękę w dół... Wiesz jak?

Dramun szeroko się uśmiechnął.

- Pamiętaj, zrobisz to tylko wtedy, gdy dam ci ten znak... Zabijesz go.

Dramun kiwał głową na znak, że rozumie. Bełkocząc, wziął Irinefera za rękę i posadził w fotelu, po czym sprawdził, czy teren sprzyja wykonaniu zadania.

Na niebie jaśniała jeszcze łuna zachodzącego słońca, ale szerokie okno gabinetu wezyra wypełniał już ciepły i rześki wieczór z tym wiatrem, który Irinefer kochał, schłodzonym koło lodowych szczytów góry Ararat tylko po to, aby mógł trafić tutaj przed nocą i dać wypoczynek myślom rozgrzanym pracą dnia. Do drzwi zapukał sekretarz.

- Wielki wezyrze, przyszedł wódz Dżawer, głównodowodzący Armii Seta.

- Poproś go tutaj.

Irinefer, aby powitać gościa, wstał; wiedział, że będzie sięgał żołnierzowi nieco powyżej pępka. Opanował złość, choć przez moment uświadomił sobie, jak postronny obserwator widziałby tę scenę z boku.

- Witam najserdeczniej w stolicy, Dżawerze! Całe miasto mówi o niezwykłych prorocत्वach Amona dotyczących twojej osoby. Oczywiście znam tylko plotki, bo tajemnica wróżby

obejmuje kapłanów, ale niepokoję się wielce. Czy to coś istotnego? Proszę, siadaj tutaj - wskazał fotel.

Dżawer przeszedł obok wezyra, przesunął fotel aż pod ścianę, a gdy na nim usiadł, wyciągnął w kierunku Irinefera rękę, na której nadgarstku wymalował przedtem czarnym tuszem słońce, znak Atona. W palcach trzymał plakietkę z kocią głową bogini Bastet.

- To proroctwo brzmi tak, jak te dwa znaki.

Irineferowi wystarczył rzut oka: już nie miał wątpliwości, kto z trójki założycieli spisku przeżył.

- Na wszystkich bogów, Sansep był nieprawdopodobnym głupcem. Gdyby wcześniej wyjawiał mi, że ty, Dżawerze, jesteś trzecim założycielem sprzysiężenia, mógłbym dawno przyspieszyć wydarzenia, jakie nastąpią niebawem. Wiesz przecież, że jestem potomkiem Tutmozisów i zlikwiduję dynastię uzurpatorów. Już wydałem rozkazy. Ty, wielki wodzu, otrzymasz wszystko, o co poprosisz, z wyjątkiem mojego życia i tytułu faraona.

Dżawer sięgnął po naczynie wypełnione kwiatami. Odrobinnę wody wylał na skraj odzieży i na oczach wezyra starł z nadgarstka znak słońca.

- Jesteś głupcem i zdrajcą, Irineferze. Faraon wie o tobie wszystko. Twój bóg, jeśli w ogóle go masz, opuścił cię całkowicie, w dodatku odbierając rozum.

To zdanie przechyliło szalę. Irinefer skręcił nadgarstek do dołu, a za Dżawerem bezszelestnie uchyliły się drzwi, z których wyszedł Dramun. Nubijczyk miał nieco za mało miejsca, aby posłużyć się zabójczą pięścią, chwycił więc gościa wezyra od tyłu i opierając jego ciało o swoje udo usiłował złamać mu kręgosłup. Wódz zdołał jednak wbić miecz pod lewą łopatkę Nubijczyka. Przed oczyma Dżawera latały migoczące błyski, na chwilę stracił wzrok. Krwawiące ciało Murzyna wkleszczyło się w szparę drzwi skarbcza. Prerażony Irinefer, usłyszawszy hałas w przedsiönku, podbiegł do ściany, włożył ręce w przyciski sekretnych zamków w gzymsach ościeżnic i jednocześnie nacisnął kamień posadzki. Schodami zbiegł do grotty, ukazując się czekającym w pogotowiu wioślarzom tak niespodziewanie, jakby był duchem.

- Natychmiast na Sehel! - rozkazał.

Z łodzi widział, jak w pałacu wymieniano jego warty; w jednym z okien dostrzegł plecy Dżawera. Pomyślał, że jest chyba zbyt optymistą sądząc, iż na analizę błędów przyjdzie jeszcze czas.

Tymczasem Dżawer wolno odzyskiwał siły. Trzasnęły drzwi i wszedł Totmes.

- Stryju, co tutaj się stało, gdzie Irinefer?

- Wymknął się, ale teraz zamknij te drzwi od gabinetu, przesuń ciało Nubijczyka i wejdź tam obok. Zobacz, co jest wewnątrz.

- Wodzu... Tu jest całe złoto świata! Trzeba wielu łodzi, aby je stąd zabrać.

- Co jeszcze, Totmesie?

- Duża skrzynka papirusów.

- Zbierz je wszystkie i zapakuj do worka. Są cenniejsze niż wszystko, co w tym skarbcu widziałeś. Obejrzyj ściany u wejścia, tam gdzieś powinny być zaczepy zamka i drzwi. Niedługo będziesz może jedynym, który posiada tę tajemnicę. Spróbuj zamknąć to sekretne wejście.

W obozie Mereneptah zbadał Dżawera, a później wysłuchał dokładnej relacji z przebiegu wydarzeń w pałacu. Do rana przejrzeni akta spisku. Lekarz do swojej sakwy włożył pisma Tota i rzekł:

- Wodzu, możesz mieć obrażenia wewnętrzne, a te trzeba leczyć długo...

- Daj mi coś takiego, abym sam mógł sobie pomóc wtedy, gdy zechcę - przerwał mu niecierpliwie Dżawer. - Teraz zawołaj Totmesa i podoficerów.

Po chwili zgłosili się w komplecie. Wódz uniósł się na posłaniu i powiedział:

- Odkryliśmy spisek przeciwko faraonowi. Na jego czele stał wezyr Irinefer. Zdrajca uciekł w nieznanym kierunku^ Mereneptah poda wam imiona jego popleczników z Teb. Tej nocy należy ich aresztować i dostarczyć pod strażą do obozu. Wrogów państwa zabijać tylko w obronie własnej. Mereneptahu, czytaj.

Lista była długa, a gdy padło ostatnie imię, Dzawer zwrócił się do Totmesa:

- Podziel zadania i do każdej z grup dokonujących aresztowań dołącz swojego człowieka. Od tego momentu rozkazy wydajesz ty.

Do rana wyłapano niemal wszystkich z list i umieszczono pod strażą. Do ksiąząt dużych miast wysłano patrole z imiennym wykazem spiskowców oraz rozkazem doprowadzenia więźniów do Teb. Kopie wszystkich dokumentów przesłano Merit-Amun.

••

Tydzień po tych wydarzeniach nikt w Tebach jeszcze nie wiedział, że następca tronu zginął, przypadkowo trafiony zastrutą strzałą, wystrzeloną przez murzyńskiego chłopca, który zwędził dla zabawy łuk ojcu. Zabójca z uśmiechem idioty stał obok ciała księcia. Było oczywiste, że nie pojmuje skutków swego czynu.

Wezwani wodzowie plemion nubijskich zgodnie oświadczyli, iż wezyr wydawał im wszystkie polecenia w imieniu faraona Ramzesa. Oni je spełniali, bo jakżeby inaczej. Nie są zdrajcami. Tych trzech zamachowców łuczników wykluczyli z wspólnoty w czasie poprzedniego wylewu Nilu, a więc dawno, gdy plemienny czarownik oskarżył ich o rzucanie uroku na kobiety. Ojciec tych żołnierzy - kiedyś wódz - wyrokiem rady starszych również został skazany na banicję i oszalał. Nie żyje. Oni, Nubijczycy, wierni poddani władcy Egiptu, gotowi są poddać się każdej karze, nałożonej przez panującego. Mogą iść zaraz za wojskiem chociażby na kaźń, mogą czekać. Wszystko jedno.

Następnego dnia w zasadzkę wpadł Irinefer. Miał czas, aby wkluć sobie truciznę, ale nie zrobił tego, bo jego umysł błędził w obłokach. Wiedli go na pohańbienie w szatach wezyra, a on rozmawiał z bogami. Widział, jak się bawią zmianą lotu strzał wystrzelonych przez ludzi, jak śmieją się, gdy niektóre zawracają w powietrzu i zabijają tych, którzy je wystrzelili. Widział, jak arbitralnie osądzają, czy nadszedł czas, aby zapanował spokój. I jak pozostawiają sprawy ich biegowi, ponie-

waż problemy niekiedy rozwiązują się same, tak jak czyszczą się otoczone gliną kamienie, wrzucone do bystrego strumienia. Tylko przewrotna bogini Izyda, ta sama, która zmusiła wielkiego Ra, aby zdradził swe prawdziwe imię, kierowana kobiecą intuicją, przekorą, a może tylko chęcią zburzenia spokoju,

- Same? Czyżby?

spytała

wszystkich:

ROZDZIAŁ 18

Merit-Amun zakończyła przedpołudniowe przyjmowanie sprawozdań urzędników. Sekretarz gabinetu nie kryjąc zdumienia poinformował ją, że wczoraj na przystani widziano Dżawera.

To zastanawiające, pomyślała. Żaden z listów nie zapowiadał przybycia wielkiego wodza. Postanowiła powiadomić o tym ojca. Była zaniepokojona tym bardziej, że rano otrzymała wiadomość o zaginięciu Jahmesa, zastępcy szefa tajnych służb. Podczas obiadu wszedł pokój owiec i spytał, czy może przekazać dwie ważne informacje. Skinęła głową.

- Przybył goniec od faraona. Przywiózł listy od naszego pana. Z Doliny Królów wrócił twój nadworny architekt. Twierdzi, że system oświetleniowy Nametha w pełni zdał egzamin. W wykańczanym grobowcu naszego władcy ściany tunelu i pomieszczeń są doskonale oświetlone, a prace przy freskach postępują w imponującym tempie.

Fantastyczna niespodzianka na przywitanie ojca! Na pewno ucieszy się z wyników prac artystów. Wiedziała, że w cichości ducha Ramzes ubolewał nad tym, że synowie nie posiadli geniuszu władzy i umiejętności inspirowania poddanych. Dobrze zapamiętała, jak kiedyś mruknął kilka słów, że tylko Nefertari i ona mogłyby urodzić prawdziwego władcę Egiptu.

Po obiedzie wróciła na odpoczynek do osobistych pomieszczeń. Tam odebrała list, z którego wynikało, że Ramzes za pięć dni przybędzie do Memfis.

Wezwała nadwornych dostawców i nakazała, aby wszystko przygotowano na godne przyjęcie faraona. Dała do zrozumienia, że jeśli informacja o przyjeździe władcy przeniknie do ha-

remu, donosiciele zostaną ukarani. Szczerze mówiąc, nie znosiła otaczającej pałac bandy nierobów i intrygantów. Królewscy dostawcy zawsze dawali ten sam pokaz czolobitności. Patrzyli na nią z zachwytem, zapewniali, że Nefertari nie umarła, a tak niesłychane podobieństwo między matką a córką mogą stworzyć tylko bogowie, może nawet osobiście Izyda. Zapamiętała, jak oszołomiony jej widokiem królewski dostawca win powiedział kiedyś:

- Królowo, byłem na twoim pogrzebie. Byłem również na twoim ślubie. Nie mogę uwierzyć, że żyjesz. Pozwól, że cię dotknę, bo może oczy przeczą faktom, a to, co postrzegam, paraliżuje rozum.

Wieczorem piątego dnia oczekiwań była bardzo zdenerwowana. Pomieszczenia administracji opustoszały. Jedyne oddzielnie stojący pałacyk Nefertari, w którym zamieszkiwała, znajdował się w pełnym pogotowiu. Wydała ostatnie dyspozycje, oddaliła służebne, pozostawiając przy sobie jedynie Mesith. Stojąc przed dużym lustrem z wypolerowanego srebra przymierzała suknie, nie mogąc dokonać wyboru. Obok piętrzył się stos porozrzucanych strojów. Gwiazdy stały się już dobrze widoczne, a ona stała przed zwierciadłem wciąż niezdecydowana.

- Mesith, wybierz dla mnie z szat matki coś twoim zdaniem najpiękniejszego.

Po chwili włożyła trzyczęściową suknię i perukę gładko zaczesaną do góry, którą przykryła czapeczką haftowaną złotem.

Księżyc stał już wysoko na niebie, gdy wreszcie usłyszała nadjeżdżający rydwan. Faraon przybył tylko z Danielem; wziął go ze sobą jako ochronę. Zobaczył księżniczkę stojącą na szczycie schodów. Jej postać oświetlało księżycowe światło, mieniające się w złotych nitkach jedwabnej szaty. Popatrzył na nią zdumiony.

Widziała jak biegnie, odrzuca na ziemię pas i miecz, przeskakuje po dwa, trzy schody i unosi ją do łóża. Szalejąc z radości rozdzierał jej szaty i pozbywał się swoich. Przyjęła miłość i pożądanie króla wracającego z wojny do królowej, Nefertari - najpiękniejszej kobiety świata, żony, kochanki. Nie broniła się, kiedy brał ją raz za razem, a gdy zasnął, pozbierała strzępy

stroju i wróciła do siebie. Przy wyjściu natknęła się na płaczącą Mesith.

- Widziałeś, co się wydarzyło? - spytała.

- Tak, pani.

- Czy jeszcze ktoś poza tobą domyśla się, co zaszło?

- Nie. Odprawiłam straż, zamknęłam drzwi od środka.

- On zobaczył moją matkę, nie mnie. Kochał zjawę żony, a nie córkę.

- Mylisz się, księżniczko. On kochał ciebie i za jego sprawą odkryłaś tajemnicę własnej płci.

Usłyszane słowa wstrząsnęły Merit-Amun. Wróciła pamięć rozkoszy, jakiej doznała od mężczyzny. Odczuwała ból podbrzusza i kleistą lepkość ud, mokrych od wyciekającego z niej nadal nasienia.

Dniało, gdy Merit-Amun weszła do kamiennej łazienki, w której stały kadzie z wodą. Mesith klęcząc myła jej łono i uda.

- Pani - wyszeptala. - Cóż, na miłość bogów, stało się z naszym ogrodem miłości, on jest cały pokrwawiony!

Księżniczkę ogarnął szal. Chwyliła dworękę za szyję, zaczęła ją dusić, uderzać jej głową o płyty różowego granitu. Krzyczała:

- Milcz, upokarzasz mnie! Nic tobie do spraw królów! To stało się dla Egiptu!

Zamroczenie umysłu minęło. Odwróciła Mesith twarzą do góry. Głowa dworki zmieniała się w bezkształtną masę. Księżniczka doznała wstrząsu. Doszło do niej, że stała się zabójczynią. Długo siedziała przy zwłokach, próbując zrozumieć miniony szal i dokonany czyn. W końcu zawołała straż i kazała odwieźć Mesith do Domu Umarłych.

Nie mogła zasnąć. Jeśli urodzi dziecko, co na to powiedzą hierarchowie, dowódcy, naród? Jak zareaguje harem? Wiedziała, że egipskie elity mogą opowiedzieć się przeciwko jej potomkowi. Co należy zrobić, aby w przyszłości objąć tron? Jak zareaguje ojciec, gdy się dowie, że zapłodnił córkę? Czy w to uwierzy? Uspokoiła ją myśl, iż w Egipcie małżeństwa ojca z córką czy brata z siostrą nigdy nie były sensacją. Bogowie robią, co chcą, przecież przepisy ludzkiego prawa nie obejmują

władców. Jutro o wszystkim, co zaszło tej nocy, powie Ramzesowi.

W południe przebrała się w nowe suknie i poszła do faraona. Pokój władcy był jednak pusty. Dowiedziała się, że ojciec wyruszył na objazd garnizonów i że wróci za miesiąc, najdalej dwa.

Wkrótce w nilowym mule skiełkowała pszenica, a Merit-Amun zyskała pewność, że urodzi syna. Poleciała wezwać Anhere. Musiała kogoś się poradzić, gdzie szukać sojuszników, a ten krewny ze strony matki posiadał szerokie wpływy w hierarchii, którą oczywiście należało przychylnie do siebie usposobić.

Przyjęła go leżąc na poduszkach.

- Spodziewałem się twego zaproszenia, księżniczko - rzekł i zbliżył się do niej. - Gratuluję syna.

Gwałtownie uniosła się na łóżku.

- Skąd wiesz?

- Sądzę, że nadszedł czas, aby cię wtajemniczyć w szczegóły wielkiego planu twojej matki. Nie wiedząc o tym, jesteś jego kontynuatką, a potem dalszą jego realizację przejmie twój syn. To się miało stać, zostało wymodlone i wreszcie się wypełniło. A więc poznaj prawdę.

Przeszło pięćset lat temu namiestnikiem panującego w Egipcie faraona został twój przodek o imieniu Józef. Dawniej mówiono „namiestnik”, kilka pokoleń wstecz zmieniono nazwę na „wezyr”. W owym czasie w Egipcie panowali Hyksosi. Okupanci nie mieli zaufania do Egipcjan i wysokie stanowiska w państwie chętnie powierzali obcokrajowcom, jednym z nich był właśnie Józef, syn Jakuba. Żyd. Wszystkie archiwa, sekrety władzy oraz historia państwa faraonów stanęły przed nim otworem. Po zapoznaniu się z nimi stwierdził, że największym skarbem Egiptu są tajemnice wiedzy spisane w czterdziestu dwóch świętych księgach Tota, zwanych Embrą. Udało mu się odszukać trzydzieści sześć tomów, reszta zaginęła. Józef oryginały ukrył. W ich miejsce podłożył okrojone kopie, a wskazówkę o miejscu, gdzie są schowane przekazał wybranym, oni zaś następnym wtajemniczonym. I tak się działo przez pięćset lat. Dramat potomków Abrahama zaczął się od panowania twego pradziadka Ramzesa Pierwszego. Władca,

namówiony przez kapłanów Amona i Seta ogłosił, że naród żydowski jak pasożytująca narośl pał się latami na gałęziach zdrowego egipskiego drzewa. Rozpoczęły się prześladowania, wyrzucano nas ze stanowisk, wyganiano z miast. Zmieniono status wolnych ludzi na półniewolniczy, traktowano jak przybłądów. Byliśmy w mniejszości. W całym kraju ledwie sześćdziesiąt pięć tysięcy na blisko sześć milionów innych poddanych. Ale byliśmy wykształceni i bogaci, a skarb państwa pusty. Z tych względów Ramzes pozbawił nas majątków, urzędów i funkcji i zaprzęgnął do najgorszych prac, oskarżając o wszystkie nieszczęścia, jakie spadły na kraj. Nienawiść podsyciała hierarchia, dwór. Nawet żona faraona. Kłamliwie ogłosiła, że Żydzi ukradli jej syna. Wydano rozkaz zabijania naszych dzieci. Historii jednak nieobce są paradoksy. Jedną z faraonskich córek wychowała znalezione żydowskie niemowlę. Podrzutkiem był Mojżesz, którego ród wywodzi się od Efraima, syna Józefa, pochodzącego w prostej linii od Abrahama. Chłopca wykształcono jak księcia, ale od początku był świadom prawdziwego pochodzenia. Przez czterdzieści lat przebywał u Medianitów, studiując święte księgi Embry. Oczekiwał znaku Jahwe i - wykonując boskie polecenie - nakazał rodakom wyjście z Egiptu. Mojżesz roztropnie wziął ze sobą do Ziemi Obiecanej tylko najbiedniejszych. Nad Nilem pozostali Żydzi najbogatsi, którzy przez mieszane związki zataili pochodzenie, ocalając w ten sposób majątki i stanowiska, i osoby, jakie z różnych względów nie chciały przyznać się do żydowskiej krwi. Aby więzy plemienne nie uległy przerwaniu, sporządzono imienne wykazy, przypuszczając, iż w przyszłości ludzie ci mogą być potrzebni Izraelowi. Jedną z takich list Mojżesz wziął ze sobą, pozostałe ukryto. Przed wyruszeniem do Ziemi Obiecanej utworzono w Memfis i Tebach ściśle zakonspirowaną siatkę naszych agentów. Wywiad Izraela działa właśnie przez nich, a nazywamy ich sayanami. W lęku przed ujawnieniem lub z przyczyn patriotycznych zrobią wszystko, co im się nakaze. Nie wołaj służby. Chcę cię uspokoić. Wszyscy Żydzi, o których mówię, nigdy nie wystąpią przeciwko Egipcjom - chyba że w obronie własnego życia. Twoja ojczyzna nas przegarnęła, gdy byliśmy koczownikami, nędzarzami pustyni. Gdy-

by nie mądrość i tolerancja faraonów, nasze plemię uległoby rozproszaniu w świecie, jak kropla farby w stawie. Bez was nie mielibyśmy nawet świadomości naszych korzeni. My, Żydzi, wszędzie służymy wiernie Egipcjom, ale pragniemy również, aby istniał Izrael. Jeszcze raz cię proszę, abyś pozwoliła mi skończyć, gdyż znam tajemnicę twojego pochodzenia oraz dotyczące ciebie proroctwo. Uciekając do Ziemi Obiecanej zarówno Mojżesz, jak i Jozue byli pewni, że największą potęgą świata jest Egipt. I dlatego Egiptu trzeba było pilnować jak własnych oczu, znać jego plany, ukierunkowywać zamiary faraonów tak, aby chronić Izrael. Wiekopomne osiągnięcia twojego dziadka i ojca są w znacznej mierze zasługą naszego wywiadu, wpływu na dobór informacji owocujących wydawaniem korzystnych wróżb i proroctw, wygłaszanych ustami egipskich kapłanów. W Palestynie Izrael toczy teraz zwycięskie wojny z licznymi wrogami. Krwią i męczeństwem utrwała posiadanie ziem i swoje prawa, ale wiadomo, że gdyby z jakichś powodów na Żydów runęła potęga faraonów, to rozproszy nas ona po świecie jak burza ptaki po polu. Są tacy zarówno w Egipcie, jak w krajach ościennych, co pragną takiego rozwoju wydarzeń. Patrzymy na nich uważnie. Zalicza się do nich wielu, na przykład Horset, Goren, mają popleczników w administracji i hierarchii obu stolic.

Anhere zamilkł na chwilę, jakby rozważał, co ma powiedzieć teraz.

Nefertari - podjął - była wnuczką Mojżesza, a jej pradziadkiem był przywódca Medianitów, słynny czarownik Jetro. Właśnie tą drogą weszła w posiadanie tajemnic magii miłosnej i użyła czarów od pierwszego momentu, gdy ujrzała Ramzesa. To była obustronna miłość na całe życie, wbrew woli ojca, hierarchii, a nawet interesom politycznym kraju. Za sprawą Jahwe urodziła jedynie ciebie, a Kaim jest twoim przybranym, nie rodzonym bratem. Ja też jestem Żydem, sayanem. Służę Izraelowi i Egipcjom, a przede wszystkim tobie przez całe moje życie. W tych działaniach do niedawna pomagał mi rezydent wywiadu Izraela w Egipcie, arcykapłan Sansep ze świątyni w Om. Mnie i znanemu ci wieszczkowi, Kattenowi, powierzył ochronę największego skarbu Izraela, czyli ciebie. Pilnie

i z miłością obserwowałem każdy twój krok, byłem dumny z twej władzy, urody, rozsądku, rozwagi i dzielności. Nawet niektóre dworki były podsuwane przez nas. Również Mesith. O tym, że Ramzes cię posiadzie, wiedzieliśmy od dawna. Trzeba było tylko ściągnąć go do Memfis wtedy, gdy osiągniesz apogeum podobieństwa do matki. Wówczas do złamania ostatnich barier wystarczył żydowski strój i stary pałac Nefertari. Magia i miłość ukochanej żony zawsze były u Ramzesa silniejsze niż nakazy rozumu. Twój ojciec wie, że cię posiadał. Zostaniesz jego żoną, a wówczas wypełni się zadanie, jakie pozostawił nam Mojżesz. Z matki Żydówki urodzi się faraon i będzie panował nad całym światem, wydając rozkazy z nowej stolicy w Jerozolimie. A teraz możesz kazać mnie ściąć.

Merit-Amun milczała, ogłuszona nawałem niespodziewanych informacji. Zastanawiała się, dlaczego ujawniono jej tak niesłychane wiadomości. Przecież nigdy nie ma pewności, że kobieta do końca utrzyma ciążę. Co wówczas? Dlatego podejrzewała, że nie wszystko, o czym się dowiedziała od Anhere, jest prawdą, ale nie zdradziła nurtujących ją obaw. Wstała z krzesła i powoli kilkakrotnie okrążyła pokój. Na jej czole pojawiła się pionowa zmarszczka.

- Jestem oszołomiona twoimi słowami - powiedziała cicho.

- Mam w związku z nimi kilka pytań. Co stało się ze świętymi księgami Tota?

- Mojżesz nakazał złożyć je w Arce Przymierza, gdzie trzyma się największe świętości. Tylko twój syn i jego synowie są przez Jahwe uprawnieni do zapoznania się z ich treścią. Gdyby dostały się w niepowołane ręce, zniszczyłyby oba królestwa.

- Na czym polegała rola rezydenta wywiadu izraelskiego, którą pełnił w Egipcie arcykapłan Sansep?

- Był jakby tajnym posłem Izraela. Obawiał się prób obalenia dynastii Ramessydów i uważał, że prędzej czy później tu, nad Nilem, pojawi się wróg wewnętrzny, który będzie dążył do przewrotu. Przewidując nadejście takiego zagrożenia, dawno temu wymyślił, aby najzdolniejszego z Egipcjan wykształcić na wzór i modłę izraelską, a potem omamić możliwością uzyskania faraonńskiej tiary. Ktoś taki miał przyciągnąć do siebie opozycję knującą spisek przeciwko...

- O kim mówisz, Anhere! Straż!

- Książniczko, uspokój się, za drzwiami jest Aji, Żyd. Człowiek, o którym mówiłem, to Irinefer. Ten zdrajca od dawna wabi wrogów państwa jak pies pchły. Od czasu, gdy uwierzył w spełnienie misji dziejowej, restytucję Tutmozisów, zebrał nieprawdopodobne bogactwa, które twojemu synowi wystarczą na zbudowanie stolicy nie kraju, a imperium światowego, z siedzibą w Jerozolimie, oraz świątyni-kolosa dla Jahwe. Nadszedł czas, aby Irinefer przestał być problemem. Kilka dni temu twój ojciec otrzymał od nas informację, że właśnie wezryr jest głową spisku, niebawem zostaniesz piątą żoną Ramzesa, a wasz syn będzie panował nad światem. Ja, uczeń Sansepa, wierzę, że każdy, kto dokonuje zamachu na Egipt, świadomie czy nieświadomie, grozi również Izraelowi. Nieważne są pobudki, wystarczy zamiar.

- A więc uważasz, Anhere, że ja i mój ród jesteśmy obecnie całkowicie bezpieczni?

- Sądzę, że największe niebezpieczeństwo minęło. Jedyнным realnym zagrożeniem był Irinefer, którego poczynania usiłowaliśmy kontrolować. Jednak próba zamachu na twojego ojca poważnie nas zaniepokoiła. Wiedzieliśmy wprawdzie kto strzelał, ale inspirator skrytobójców początkowo był nam nie znany.

- Mówisz o próbie zamachu czy o rzeczywistym zamiarze pozbawienia życia mojego ojca, a potem mnie?

- Książniczko! Dobrze zaplanowany zamach zawsze się udaje. Zapominasz, że na straży twojego rodu stoi Jahwe i cały naród wybrany. Moc boga Izraela zawsze jest większa od sił ludzi, dlatego poczynania naszych przeciwników od samego początku były skazane na porażkę. Teraz musisz myśleć o synu. Czy chcesz jeszcze o czymś wiedzieć, matko króla Izraela?

- Mówiłeś o Horsecie i Gorenie. Dlaczego uważasz ich za wrogów?

- Sansep działał na cienkiej granicy geniuszu, skąd blisko do obłąkania, a jego obsesję o nieustannym zagrożeniu interesów Izraela odkrył Horset, wielki wieszczek Armii Ra. Wydał Gorenowi polecenie, aby ze względu na bezpieczeństwo państwa podać Sansepowi truciznę powodującą porażenie. Nie

przeciwdziałaliśmy temu, bo w pewnym sensie było to dla nas korzystne, zwłaszcza że na starość rezydent zaczął popełniać błędy. Przedwcześnie chciał zabić przybysza z przyszłości, którego dla dobra Egiptu i Izraela należało oczywiście mieć po naszej stronie.

- Co się stało z tym człowiekiem?

- Był badany i więziony w Om. Obecnie ściga go wywiad faraona, wezyra, Izraela... I kapłanów, oczywiście. Wiedzą doskonale, że stwarza on niezwykłą szansę dla zrealizowania ich planów.

- Anhere! Dobrze wiem, że każdy człowiek ma prawo do własnego świata kłamstw. Z twoich wyciągam wnioski, że najważniejszą sprawą na świecie jest realizacja zamierzeń izraelskiego wywiadu, których celem jest konsolidacja peryferyjnego państewka żydowskich uciekinierów z Egiptu. W przyszłości, gdy uzyskacie siłę, ten wasz rzekomo wybrany naród zagarnie złoto Irinefera, a potem zapragnie usiąść na karku narodów świata. Czy się mylę? Czy źle interpretuję twoje kłamstwa?

- Księżniczko, to nie Żydzi nazwali siebie narodem wybranym, sam Bóg dokonał takiego wyboru. Zamierzasz z nim walczyć?

- Nie z Bogiem, Anhere, a z ludźmi. Ale czy możesz mi powiedzieć, kto po śmierci Sansepa jest przywódcą wywiadu Izraela w Egipcie?

- Nie wiem. To największa tajemnica.

- Anhere, może dla ciebie, ale nie dla mnie. Ja wiem. To Jahwe!

- Księżniczko. To groźny Bóg. Na własne oczy widziałem jego potęgę. Byłem dzieckiem, gdy w drodze do Ziemi Obiecanej plemiona żydowskie rozbiły obóz warowny u stóp góry Synaj. Panował głód i wraz z krewnymi udaliśmy się na długie polowanie, a chcąc zobaczyć, jak daleko oddaliliśmy się od obozu, weszliśmy na wzniesienie. Wtedy z niebios nadleciał pojazd ogromny jak oświetlone miasto. Oddaloną od nas górę, pod którą obozowali Żydzi, w całości przysłaniały gęste obłoki, ale my przebywaliśmy w świetle słońca. Pojazd ten albo statek, nie wiem jak to nazwać, zawisł nad chmurami, dlatego z obozu

Żydów nie mógł być widoczny. Z jego wnętrza w dół spłynął Jahwe, rozległy się grzmoty, a oślepiające błyskawice i dymy objęły ogromny teren. Wróciliśmy do obozu po dziesięciu dniach i byłem świadkiem, jak arcykapłan Aaron do Arki Przymierza wkładał tablice przykazań bożych, teksty praw synajskich oraz trzydzieści sześć ksiąg Tota. Jednak przedtem widzieliśmy potęgę, której nie powinniśmy oglądać. Dlatego Mojżesz mojemu ojcu i kilku innym nakazał wracać do Egiptu.

- Anhere, mówiłeś, że potęga Jahwe jest niezwykła. Skąd wiesz, że człowiek znikąd nie jest jego posłańcem?

- Wysłannikiem Jahwe może być tylko Mesjasz. Król królów nadejdzie w potędze i chwale, a któż nim może być, jeśli nie twój syn? Człowiek, o którego pytasz, ma cechy istoty ludzkiej. Łaska Jahwe nie jest z nim. On przyniósł tylko nie znaną nam wiedzę, a nie nowe prawo, nie odkryte jeszcze możliwości, ale nie pokój. Stanowi jedynie mglistą wizję odległej rzeczywistości. Przypuszczamy, że przybył tutaj takim pojazdem jak ten, który jest ukryty koło jeziora Mojrisa.

- Co wiesz na ten temat? Wspominał o nim w swych zapisach Seti.

- Benben, bo tak się zwie, został ze względu na bezpieczeństwo ludzi osłonięty labiryntem, gdyż ten, kto dotknie pojazdu, ginie. Mojżesz prosił Jahwe o wyjaśnienia i uzyskał od niego trudną do zrozumienia informację. W naszych świętych księgach zapisano słowa Boga, których dotąd nikt nie pojął. Brzmia one następująco: „Planetoid kolonizatorów z kongregacji podwójnej spirali kodowany futorologicznymi daktylami”. Nasi mędrcy daremnie się trudzili nad wyjaśnieniem tego kryptogramu.

- Nie wyjaśniłeś mi do końca roli wieszeczka Kattena z Tannis. Kto i dlaczego zabił go w Pi-Rames?

- Sam na siebie wydał wyrok.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że sprowokował swoją śmierć?

- Rzekaś. Katten też był Żydem, w dodatku obdarzonym niezwykle darem jasnowidzenia. Służył wiernie twojej matce i tobie. W Pi-Rames miał ci ujawnić, że głową spisku jest Irinefer. Zamiast tego Jahwe jego ustami powiadomił cię, że

urodzisz następcę tronu z boskiego nasienia. Wtedy nie pojmo-
wałaś, że wypłynie ono z łędźwi twojego ojca. Tej samej nocy
Katten poprosił o śmierć z ręki Izraelitów, aby w ten sposób
stworzyć rzeczywisty pozór zamachu na ciebie. Był to jedyny
sposób, aby przyspieszyć wasze zbliżenie, którego wynikiem
stał się Mesjasz, twój syn.

- Anhere! Wy, Żydzi, i wasz Jahwe to krew, mord, skryto-
bójstwo i spisek. Gdzie u was prawo, miłosierdzie, miłość? Nie
znacie litości, wyrozumiałości ani przebaczenia.

- My, Izraelici, nie zakończyliśmy prowadzonej wojny,
a w niej nie ma miejsca na uczucia szlachetne. Powinnaś
o tym wiedzieć. Przecież w pałacu w Memfis sama kazałaś wy-
kuć zdania, jakie twój ojciec powiedział do żołnierzy przed
ostatnią bitwą z Hetytami. Nie znajdziesz w nich słów o litości
ani miłosierdziu. Wojna jest zabijaniem, niczym innym.

- Anhere, zdruzgotaleś mój świat, zniszczyłeś moje marze-
nia. Teraz zostaw mnie samą, nieszczęśliwą brzemenną księż-
niczkę, być może ostatnią żonę Ramzesa II i oby matkę króla
świata. To zbyt dużo jak na jeden dzień. Obawiam się, że moje
rozmyślenia szkodzą dziecku.

- Księżniczko, mówisz tak, jak nasze prawo nakazuje każ-
dej ortodoksyjnej Żydówce, choć dotąd nie byłaś go świadom-
a. Już poznajesz potęgę Jahwe.

Merit-Amun odwróciła głowę i cicho powiedziała:

- Źle się czuję i potrzebuję pomocy służebnych, lecz chcia-
łabym w razie potrzeby móc cię wezwać.

Rozmowa z Anhere wstrząsnęła w Merit-Amun wszystkim,
co dotąd uważała za święte, niezmiennie i nienaruszalne. Cały
świat walił się w gruzy. Kilka dni analizowała znane jej ele-
menty wydarzeń, próbowała z nich zbudować przyszłość dla ro-
du, siebie i syna. Przemyślała wszystkie szczegóły, wysłała
gońców do ojca. Uznała, że jej plan powinien się rozpocząć od
uruchomienia faraonńskiej Armii Ra.

Kogo wysłać z rozkazem do wodza Perhora? W stolicy darzy-
ła zaufaniem jedynie Hanemeba. Pod pozorem zwyczajowej wi-
zyty odwiedziła rano księcia miasta, niezmordowanie od lat
starającego się o jej rękę. Byli razem do wieczora. Przez kilka

następnych dni harem trząsł się od plotek. Czyżby wreszcie nadszedł czas nałożenia wędzideł nieograniczonej dotąd władzy i nieznośnej pysze księżniczki? Dla zainteresowanych *Hanemeb* byłby znacznie łatwiejszym przedmiotem manipulacji.

Prawie nikt nie zwrócił uwagi, że tego samego wieczora ksiązę wyjechał, rzekomo na polowanie, zabierając ze sobą lekkie łuki i psy. Dwa dni później Merit-Amun dała rozkaz wypłynięcia do Pi-Rames. Nieoczekiwanie w nocy nakazała zawrócić łódź w kierunku Teb. Nie wiedziała, że w tym samym czasie oddziały Armii Seta pod dowództwem Hiramą rozpoczęły zajmowanie Memfis.

ROZDZIAŁ 19

Tillit, jej opiekunka i ja od kilku dni przebywaliśmy na terenie tebańskiego garnizonu wojskowego.

Wielokrotnie odwiedzał nas Mereneptah. Widziałem jego rozpacz, kiedy ponawiał bezowocne próby nawiązania kontaktu z córką. Pewnego dnia zjawił się w asyście zamawiaczy i czarowników. Przez dwa dni medytowali, tańczyli, śpiewali, w końcu przeprowadzili coś w rodzaju konsylium i orzekli, że umysł i świadomość Tillit zostały ukradzione przez złe duchy; uznali, że nigdy nie powróci do zdrowia, ponieważ niemoc, która ją dotknęła, nie jest chorobą ciała, lecz naruszeniem „ba” przez nieznaną moc.

Tego ranka Mereneptah przyniósł dla córki świeżą odzież. Jeszcze raz dokładnie ją zbadał, używając małego wahadełka zawieszono na nici. Zbliżył ten przedmiot do głowy Tillit. Obciążnik w kształcie pocisku przestał drgać i nieruchomo zawisł w powietrzu.

- Tego nie można leczyć - mruknął. - Neferze, niebawem odeślę ją do matki.

Otrzeptał kolana z piachu i wyszedł. Tak czy owak był wielkoduszny, przecież Tillit utraciła rozum dlatego, że była ze mną.

Któręś wieczora przyszli po nas żołnierze i zaprowadzili naszą trójkę w głąb garnizonu, do miejsca zwanego Doliną Królów. Ustawiono nas w środku ośmioosobowej eskorty i przeprowadzono do skalistej pieczary, skąd na powierzchnię dochodził odblask niezwykle jasnego światła. Od miesięcy noc i wieczór kojarzyły mi się z ciemnościami, które mogłem tylko nieznacznie zmniejszyć pelgającym ognikiem kaganków, a tu z głębi

ziemi biła jasność o sile wojskowych reflektorów. Wychodzili stamtąd robotnicy. Najwyższy, z czarnym pasem na biodrach, uformował z nich oddział, a światło wewnątrz korytarza raptownie zgasło. Konwojujący nas żołnierze zapalili łuczywa i schodami zeszliśmy głęboko w dół, aż do szerokiego tunelu zakończonego przepaścią, przez którą na drugi brzeg przerzucono most z desek. Strażnik, widząc moje zainteresowanie, powiedział:

- Ten szyb wykuto dlatego, że czasem Nil dochodzi aż tutaj. No i przeciw rabusiom. Tędy do was nie dotrze nikt, nawet żmije.

W miarę schodzenia stawało się coraz bardziej gorąco i duszno. W powietrzu unosił się zapach farb i wapna oraz kurz, który drażnił oczy i nozdrza. Naczelnik warty wskazał na pomieszczenie po prawej stronie.

- Oto wasz pałac i sypialnia. Jedzenie i picie dostaniecie ■w swoim czasie.

Żołnierze odeszli, pozostawiając nam zapas wody i łuczyw. Słyszałem ich kroki, dudniące po drewnianym moście, a potem hałas towarzyszący usuwaniu desek. Wziąłem łuczywo i ruszyłem na obchód. Korytarz kończył się litą skałą. Z obu stron odkryłem szereg komnat pokrytych freskami. Przy ścianach leżały parciane węże. W tym miejscu się kończyły, ale gdzie był ich początek i czemu służyły?

Nagle przypomniałem sobie oślepiające białe światło, jakie widziałem, zanim nas wprowadzono do lochów. Ludzie, którzy stąd wychodzili, niczego nie nieśli, czyli system oświetleniowy musiał istnieć tutaj, w tych skalnych bebeczach. Metodycznie przeszukiwałem kolejne pomieszczenia. W jednym z nich poczułem dziwny zapach. Obmacałem skalne ściany i znalazłem to, co usiłowano ukryć. Zapach wydobywał się z niewielkiego zagłębienia. Wystarczyło mocno pchnąć w tym miejscu ścianę, aby przesunęła się, otwierając dość szerokie wejście. Zauważyłem blokadę - była otwarta. Wszedłem do rozległego wnętrza. Na suficie dostrzegłem kartusz Ramzesa II. Dokoła znajdowały się rysunki przedstawiające podziemny świat Duat, przypominający komory i korytarze Wielkiej Piramidy. Przez chwilę zastanawiałem się, czy to przypadkowe podobieństwo,

czy też centrum Duat istnieje równocześnie w królestwie ziemskim i kosmicznym.

Centralną część pomieszczenia zajmował ogromny kamienny sarkofag. Jego rzeźbioną przykrywą położono obok na grubych okrągłakach. W jaki sposób wniesiono tak ogromny ciężar, jak następnie przemieszczono go przez wąski korytarz i wejście, nie chciałem w ogóle myśleć - traciłbym czas. Teraz interesowało mnie wyłącznie mniejsze pomieszczenie, wypełnione ceramicznymi dzbanami z metalowymi wypustami na wieczkach. Gdyby nie materiał i kształt, mogłyby uchodzić za akumulatory. Było ich mnóstwo. Część złożono pod ścianą, pozostałe połączone szeregowo miedzianymi przewodami owiniętymi płótnem, nasączonym jakąś chyba gumą. Zbliżywszy się do ostatnich dzbanów, zauważyłem sprężynowe zaciski, pod które wciśnięto rozklepane końcówki przewodów. Drugie ich końce łączyły się z czymś, co wyglądało jak pochodnia. Na ziemi leżał kawałek drutu. Zwarłem nim na chwilę oba przewody - rozległ się trzask i na ziemię posypał się deszcz błękitnych iskier. Jezu Chryste, przecież jest jeszcze cholernie daleko do odkryć Volty, a ten, kto tu majstruje, podstawy elektryczności zna lepiej ode mnie! Dokładnie obejrzałem coś przypominającego pochodnię. Na jej szczycie zobaczyłem nadtopienie. Aha! A więc to w jakiś sposób się świeci, gdzieś tutaj powinna być zapalarka!

Tuż obok znalazłem przedmiot z drewnianą rączką. Przypominał lustro. Na gładzi widniały charakterystyczne ubytki, powstające podczas wyładowań elektrycznych dużej mocy. Zwarłem oba bieguny pochodni. Urządzenie natychmiast zaczęło trzeszczeć i świecić, niczym lampa łukowa. Szybko odłączyłem jeden przewód spod zacisku. Bałem się, że strażnicy zobaczą światło.

- Niech to wszyscy diabli - powiedziałem głośno. Jeśli oświetlają te komnaty łukiem elektrycznym, to może za ścianą jest radio, tv i łączność satelitarna?

Przysiadłem, aby uspokoić myśli. Po raz pierwszy odniosłem wrażenie, że jestem znacznie bliżej swojego właściwego czasu. Nagle olśniło mnie, że przy odrobinie szczęścia mogę obudzić umysł mojej Tillit. Wróciłem do kobiet.

- Słuchaj - zwróciłem się do Mii. - Weź moją żonę i idźcie korytarzem w dół, aż dotrzecie do zapalonego łuczywa.

W kącie znalazłem dwa kawałki drzewa, chyba trzonki pędzli, oraz jakąś kleistą ciecz, przypominającą rozgotowane sienie lniane. Zszedłem do kobiet.

- Połóż Tillit tutaj - pokazałem - a te szmaty wciśnij pod jej głowę.

Potem podałem Mii okrągły patyk i przeliczyłem dzbany, modląc się, aby zawarta w nich energia pozwoliła skutecznie zrealizować mój zamiar. Odłączyłem zaciski od pochodni. Prawy, a potem lewy przewód nawinałem na okrągły szerszy koniec rączki pędzla, a ich końcówki zanurzyłem w pojemniku z cieczą. Rękojeść pozostała sucha, ale dla własnego bezpieczeństwa owinąłem ją kilka razy tkaniną.

- Mia! Weź ten patyk i wciśnij Tillit między szczęki.

- Po co? - syknęła.

- Zrób to, a potem stań z boku. Zobaczysz, jak w moją żonę wejdzie bóg.

Odsłoniłem skronie Tillit i przyłożyłem pędzel do lewej. To samo zrobiłem z przeciwnej strony, wykonując raz za razem dwa elektrowstrząsy. Jej ciało wygięło się w łuk, zsiniały na chwilę wargi.

Rano Tillit powiedziała kilka słów.

- Gdzie jestem? Chcę pić...

Wstała i poszła do kąta oddać mocz. Na mój widok zwinęła się jednak w ciasny kłębek.

Przez kilka dni powtarzaliśmy elektrowstrząsy, aż wreszcie Tillit powiedziała:

- Neferze, dlaczego tu jesteście?

Plakałem ze szczęścia, przytulając do piersi jej ostrzyżoną główkę. Ja, Nefer, zrobiłem tym skurwysynom, co mnie tutaj zrzucili, taki numer, że rany boskie. Tego, że są mocno zaniepokojeni naszym zniknięciem i nas szukają, byłem pewien jak spadku notowań rubla w stosunku do dolara w Rosji.

Tillit powoli wracała do zdrowia. Nie mogliśmy dociec przyczyn utrzymywania się w jej pamięci luki, obejmującej czas od uprowadzenia z naszego domu w Dendera do chwili, gdy

odzyskała przytomność w lochach. Bez protestu zgodziła się, abym spróbował dokonać na niej regresji hipnotycznej. Wykazała dużą podatność na sugestię i szybko wpadła w trans. Jednakże gdy polecałem jej opisać wydarzenia z okresu uwięzienia, natychmiast się wybudzała. Nie miałem wątpliwości: ktoś również posłużył się hipnozą i celowo wprowadził do podświadomości Tillit silny nakaz hamujący. W żaden sposób nie mogłem przełamać nałożonej blokady pamięci. Długo się nad tym zastanawiałem i doszedłem do wniosku, że ma to zapewne jakiś związek z Titem, o istnieniu którego jakby zapomniała.

Tymczasem nasze życie toczyło się w rytm dostarczanych posiłków oraz prób zrozumienia czegokolwiek z dochodzących do nas strzępów rozmów. Czekałem niecierpliwie na Merenep-taha, chcąc mu zakomunikować dobrą wiadomość, ale od dłuższego czasu nie przychodził.

Nasi strażnicy posługiwali się najmniej słowami - częściej gestami i onomatopejami. Z ich zachowania można było wywnioskować, że wojsko uczestniczy w akcji, w której giną ludzie.

Wydawało się, iż nasz los uległ odmianie wraz z przybyciem młodego oficera.

- Zbierajcie się stąd i podążajcie za mną - powiedział.

- Z czyjego rozkazu? - spytałem.

- Nie twoja rzecz - warknął. Odwrócił się i rzucił w moim kierunku toból z nieznaną zawartością.

W nocy zaprowadzono nas do małego parterowego baraku nad wąskim kanałem. Wszędzie stały warty tych samych formacji, które pilnowały grobowca.

Następnego ranka długo przyzwyczajałem się do dziennego światła. Oczywiście reagowały uporczywym łzawieniem. Wbrew obawom zachowałem „podziemną” świeżość myślenia i szybkość oceny faktów. Któregoś dnia Tillit zapytała, ile czasu upłynęło od chwili naszego rozdzielenia w Dendera. Przypuszczałem, że minęły dwa lub trzy miesiące.

- A ile dni przebywaliśmy w podziemiach? - pytała uparcie.

- Nie wiem - odpowiedziałem, rozdrażniony jej uporem. - Czy nie wszystko jedno?

- Neferze, czas lubi, aby go doceniać, gniewa się, gdy zapo-

mina się o j ego rachubie. Czy wiesz, że gdyby nie księżyc, czas by nie istniał?

- Dlaczego? - spytałem.

- Bo tak jest - odpowiedziała całkiem naturalnie.

Wtedy zdałem sobie sprawę, że mój pobyt w Egipcie trwa już około roku.

Wieczorem widziałem Mię szepczącą z jednym z żołnierzy, a z mojego dobytku znikła ostatnia srebrna plakietka z okiem Horusa. W zamian przybył gliniany czworokątny pojemnik, który Tillit napelniła mułem z kanału; potem zasiała w nim nasiona, wyciągając je z zakamarków sukni. Trochę mnie zastanowiła ta nieoczekiwana krzątanka, nic jednak nie mówiłem, podziwiając w duchu niezwykle dar kobiet sprawiający, że potrafią w każdym miejscu stworzyć dom lub jego namiastkę.

Z pojemnika unosił się lekki odór amoniaku, a po kilku dniach powierzchnię mułu przebiły czubki kielkujących roślin. Odnotowałem ten fakt, nie zastanawiając się nad nim. Wieczorem Tillit przyszła do mnie. Położyła się obok, cicho sapała, kręciła się, lecz ku mojemu zdumieniu nie wykazywała najmniejszej ochoty na żadne to tamto. Wzdychała i mówiła dużo więcej niż zwykle, raczej o niczym, skarżąc się, że jej nie kocham, że jestem stale zajęty swoimi myślami i nie słyszę, co ona mówi, nie zwracam na nią żadnej uwagi, traktuję jak służącą, a ona jest człowiekiem i powinienem zrozumieć, że musi przed kimś się wygadać. Jakaś prawda w tym była: istotnie mam defekt polegający na tym, że zmuszony do słuchania bełkotu, natychmiast głuchnę. Ale mój automatyczny wzwód będący odpowiedzią na bliskość ciała Tillit nie był dystyngowanym doradcą w sprawach uczuciowych, a właśnie o tym chaotycznie plotła. W końcu po macierzyńsku, lecz bez zwykłej namiętności zrobiła, co chciałem. Przytulilem ją mocno, ale nadal była napięta, na coś czekała. Przystąpiła do akcji wówczas, gdy zauważyła ogarniające mnie wyciszenie, w którym każda kobieta uzyska od mężczyzny wszystko, na co nigdy by się normalnie nie zgodził. Delikatnie przybliżyła do mnie głowę i nie tając emocji szepnęła mi do ucha wiadomość, jaka w jej przekonaniu powinna zabrzmieć niczym muzyka sfer kosmicznych lub zejście nieba w dół.

- Kochanie - powiedziała - nie jestem aktorką, aby uczuciami dzielić się z obcymi, ale ty musisz dowiedzieć się, że będziemy mieli bliźnięta!

- Bliźnięta?!

- Bliźnięta, bliźnięta, bliźnięta!

Powiedziała to aż trzy razy. Wyraźnie jej smakowało to słowo.

Co do mnie gdyby można się było wystrzelić w kosmos, przez ostatnie pięć minut naciskałbym guzik z napisem „start” omalże jak dzwonek do panienci, która po miesiącach uciążliwych zabiegów wreszcie zdecydowała się puścić. Tymczasem Tillit stale gadała, kompletnie nie zwracając na mnie uwagi.

Są większe nieszczęścia, pomyślałem, gdy już odzyskałem równowagę. Można mieć trojaczki, chcieć i zostać prezydentem, musieć sprzedać obie nerki lub lokować w rublach. Ostatecznie nie było aż tak źle.

Tillit tokowała w pełnym zacierzwewieniu. Teraz inwentaryzowała własne pragnienia wedle chronologii naszej znajomości. Czego tam nie było - jej modły i ofiary, śluby, wota i nasza przyszłość. Mnóstwo oszałamiających czynności napełniających szczęściem wszystkich, czyli i mnie.

- A kiedy ma nastąpić ten cud? - spytałem.

- Za pięć miesięcy i może trochę - odparła całkiem słodko. Jej pewność była zdumiewająca. - Nie wiedziałam, że byłam w ciąży jeszcze w Dendera. Neferze! Muszę ci się przyznać. Ja odbyłam całą kurację przepisaną przez kapłanów Imhotepa. Sprawdziło się, że moc świętych byków wejdzie w ciebie. No i weszła. Nie cieszysz się? - pytała nie czekając odpowiedzi. - To będzie parka. Jakie damy im imiona?

Milczałem, patrząc w siebie. Prymitywny facet, niczym nie różniący się w nocy od fellaha. I co z tego, że widziałem rakiety lecące w kosmos?

Obejrzałem piersi Tillit. Były znacznie pełniejsze, każda z osobna nie mieściła się w dwóch dłoniach. Aureola brodawek ściemniała, a w dole brzucha zaczęło się tworzyć brązowe przebarwienie. Mówiła dwa razy więcej i trzy razy szybciej, stała się też nieco ociężała w ruchach i od niedawna odchyłała tułów do tyłu. Teraz zrozumiałem w pełni jej imię. Tillit znaczyło: kotka. A więc nie mogło być żadnych kretyńskich zdzi-

wień z mojej strony. Pozostała mi przysłowiowa reszta wydawana głupcom. Byłem wściekły za swój brak wyobraźni i wiary w skuteczność tradycyjnej egipskiej antykoncepcji w postaci globulek ze zmielonych kolców akacji i miodu, które rzekomo stosowała.

Funkcjonowanie w roli ojca starszego od swoich dzieci o 3300 lat mogłoby być zabawne, gdyby ktoś nagłym kopnięciem nie wysadził drzwi naszego domku. Do środka wszedł naczelnik warty, ten sam skurczybyk o twarzy szczura, który ongiś wprowadzał nas do lochów.

- Cała trójka wynocha stąd. Bierzcie rzeczy.

- Dokąd nas prowadzisz? - spytałem.

Nie odpowiedział. Wtedy nabrałem pewności, że jest gorzej niż źle. Po raz kolejny szliśmy skalnymi korytarzami grobowca. Zostawiono nas w tym samym korytarzu, usunięto deski z mostu nad przepaścią. Wziąłem łuczywo i dokładnie zwiedziłem wszystkie pomieszczenia. W akumulatorowni drzwi były zamknięte.

Pod stertą szmat, na których położyłem się do snu, poczułem coś twardego. Był to pakunek, zawierający krótki miecz, mały ostry nóż oraz kartkę, na której ktoś napisał: *Trzymaj się. Titt żyje. Nie próbuj przełamywać blokad. Możesz zginąć. Przyjaciół.*

Lódź wioząca faraona mijała Karnak. Płynęła pod wyjątkowo o tej porze roku silny prąd, pchana mocnymi uderzeniami wiosel, poruszanych potężnymi ramionami szesnastu zdyszanych i spoconych Etiopczyków. Faraon był zdenerwowany, gdyż podróż trwała już tydzień, a gadatliwi nadzorczy nie żalowali mu informacji o wydarzeniach w stolicy, o wzdętych trupach płynących rzeką, buncie koczowników, akcji wojsk księcia Kaima na pustyni i spiskowcach. Wiadomo było, że w Tebach doszło do groźnych wydarzeń na skalę daleko większą niż lokalna.

Do celu podróży pozostał mały odcinek drogi. Władca płynął środkiem nurtu, patrząc w stronę lądu. Wschodni brzeg rzeki na odcinku od Karnaku do Teb nazywano Aleją 1500

Sfinksów. Po drugiej stronie Nilu rozciągała się panorama Dżeme, dużego miasta otoczonego wysokim na czterdzieści łokci murem z surowej cegły. Ramzes dokładnie znał te miejsca. Corocznie, jeśli nie był akurat na wojnie, jako żywy bóg przewodził procesji świętych barek ciągnionych w poprzek nurtu przez pułki żołnierzy. Wówczas wybrzeża zapełniały nieprzeliczone tłumy ludzi, teraz na brzegu mieszkańców stolicy nie było, stali tylko regularnie rozstawieni żołnierze. Wydawało się, że miasto zamknęło się w sobie i obraziło na świat, a niezwykłą o tej porze dnia ciszę zakłócały jedynie ryki hipopotamów, dobiegające z basenu we wschodniej części miasta. Jako żywy bóg dokonywał tam rytualnego zabicia dziesięcioma harpunami największego samca. Ten zwyczaj upamiętniał zwycięstwo nad Hyksosami, a ponadto miał gwarantować bezpieczeństwo i trwałość monarchii.

Łódź faraona dopłynęła na miejsce przeznaczenia. Przed świątynią Amona Ramzes natknął się na patrol oficerski. Zażądał natychmiastowego przybycia następcy tronu, Merenepthaha, dowódcy garnizonu i Dżawera. Na łódce zapanowało poruszenie. Warty zacieśniły pierścień dokoła przystani, a gońcy rozbiegli się w rozmaite części miasta oraz do Doliny Królów.

Wkrótce do statku Ramzesa dobiła łódź z siedzącym w niej Merenepthahem, który po drewnianym trapie wszedł na pokład. Widać było, że lekarz jest zmęczony, zdenerwowany i przejęty.

- Merenepthahu, co się tutaj wydarzyło?

- Królu, dobrze że jesteś. Codziennie wysyłałem raporty, ale zapewne miały cię w drodze, bo przybyłeś nieoznakowaną szybką łodzią, a nie barką królewską. Stało się wiele, ale to długa historia.

Siedli pod dachem na dziobie i lekarz zrelacjonował dokładnie przebieg wypadków, omawiając jednocześnie skutki, jakie już za sobą pociągnęły. W tym czasie na pomoście przystani zgromadził się spory tłumek, złożony z kapłanów, urzędników i gapiów. Ramzes polecił Danielowi, aby dostojników odesłał, a księciu miasta, generałowi garnizonu i szefowi policji powiedział, że uzyskają audiencję w innym terminie.

Faraon i jego lekarz zeszli na ląd i wsiadli na rydwany. Jazące obok, z przodu i z tyłu pojazdy utworzyły rodzaj ruchomej tarczy.

- Czy znaleziono tego białego człowieka, na którego polowali ludzie Irinefera?

- Tak, znajduje się w garnizonie.

- On mnie niezwykle interesuje. W nim tkwi klucz do przyszłości. Ale teraz mam ważniejsze sprawy do rozwiązania.

Nagabnięty o zdrowie Dżawera, Mereneptah oświadczył, że wszystko będzie dobrze, ale pacjent jeszcze jest słaby, i zapytał, kiedy władca zamierza odwiedzić wielkiego wodza.

- A może poszlibyśmy razem? - zaproponował Ramzes.

- Wiem, że zależy mu na rozmowie w cztery oczy. Prosił, abym ją u ciebie wyjednał.

Po południu do namiotu Dżawera przyszedł oficer królewski, anonsując rychłe przybycie władcy. Wielki wódz nakazał, aby usadzono go na krześle z odchylonym oparciem. Postępował całkowicie wbrew zaleceniu Mereneptaha, ale taka pozycja była godniejsza i poprawiała mu samopoczucie.

Kilka dni wcześniej przeprowadził męską rozmowę z Mereneptahem. Diagnoza była jednoznaczna: „Jeśli kręgosłup dobrze się nie zrośnie, może dojść do bezwładu nóg i całkowitego braku czucia aż do pępka. Należy leżeć, nie wolno wstawać ani siadać”.

Ramzes stanął przed wodzem Armii Seta z gotowym pytaniem.

- Skąd wiedziałeś, Dżawerze, o obecności ciężkich rydwanów na pustyni, o tym, że spiskowcy posiadają intendenturę? Imiona, adresy, kontakty. Nic innego w tej chwili mnie nie interesuje.

- Ramzesie, wszystkie informacje przesłał mi Amiptah, a przywiózł je mój siostrzeniec Totmes. Wiem, że szef policji z Memfis uzyskał je od agenta śledzącego niejakiego Putyfara, prawdziwego czy rzekomego kapłana, w istocie zausznika Sansaspa z Om. W czasie naszej poprzedniej rozmowy mówiliśmy o istocie spisku, a nie o źródłach informacji. Prawdziwość moich słów można łatwo potwierdzić, są świadkowie.

- Nie wiesz, Dżawerze, że Amiptah nie żyje? Znalaziono go martwego długo po twoim wyjeździe z Memfis. Te i inne ważne informacje otrzymałem od Da... Zresztą nieważne. Spadł mi kamień z serca i odczuwam ulgę, bo był okres, w którym myślałem o tobie inaczej. Chwała bogom, że wydarzenia przebiegły po naszej myśli. Wiem o twoim wypadku. Niestosowna to chwila, aby mówić o wdzięczności, ale może czegoś pragniesz?

- Proszę, abyś nadal darzył mnie zaufaniem.

- Wiem, jak wiele ty i twoja rodzina uczyniliście dla Ramesydów i chcę wam zaferować coś więcej. Podjąłem ważne decyzje i nadszedł czas, aby je zrealizować.

Ramzes kazał wezwać wszystkich oficerów garnizonu oraz pisarza, a kiedy przybyli, głośno podyktował:

- Dżawer, potomek królów, zostaje od tej chwili naczelnym wodzem wszystkich armii Egiptu oraz staje się członkiem rodziny królewskiej.

Faraon zaczął, aż pisarz skończy pisanie, i podjął:

- Mianuję Totmesa z kanaanejskiego rodu Aj pułkownikiem w Armii Seta.

Oszołomiony Dżawer patrzył, jak przed nim, kanaanejczykiem, padają na twarz Egipcjanie, Szardani, Etiopczycy, Nubijczycy, Libijczycy, Fenicjanie, Babilonczycy i Persowie. Tak jak w proroctwie wysłanników. Chciał się tym cieszyć, a nie mógł.

Szukając w sobie przyczyn obojętności zrozumiał, że to, co dla niego było najważniejsze, leżało gdzie indziej. Nie w tytułach, zaszczytach, majątnościach. On, stary żołnierz, głęboko w sercu znalazł prawdziwe jądrow krysztalu - męską przyjaźń. Ramzes stanowił oś jego życia. Wszystko, co znajdowało się poza nimi, było jedynie namiastką. Na chwilę ujrzał Paweę. Wstał, uniósł rękę jak wódz, nie czując, jak ponownie otwierają mu się rany.

Ramzes i Mereneptah odeszli do swoich kwater i nie słyszeli komentarzy zawistników. W zasadzie ograniczały się one do wyrażania wątpliwości, czy brak bezpośredniego udziału Arnona w niebывałym wyniesieniu Dżawera nie czyni decyzji faraona niepełnoprawną? Takie postępowanie dowodzi jawnego

lekceważenia przez władcę kanonów wiary i hierarchii. Naczelny państwowy bóg w tak ważnej sprawie, jak poszerzenie rodziny królewskiej, zostaje bezceremonialnie pominięty, faraon nawet słowem nie pyta o jego zdanie! Czyżby Ramzes uważał się za większego niż Amon?

Takie komentarze towarzyszą oczywiście wszystkim awansom i odnaczeniom, ale ponieważ w końcu wszyscy kiedyś jakieś uzyskują, szybko puszcza się je w niepamięć.

Inaczej rzecz się miała w świątyniach, gdzie decyzja Ramzesa wywołała wrzenie i gniew hierarchii- Faraon złamał umowę, obowiązującą od czasów Echnatona- Władca służy bogu i choć sam jest bogiem, nigdy go nie zastępuje i nie przemawia w jego imieniu. Od tego są kapłani, prorocy, misteria, modły, hymny, modlitwy, zawołania, prośby, supliki. Ramzes wszystko to pomiął. A więc Amon niczego nie mógł zatwierdzić. Wprowadzenie Dżawera w krąg bogów jest więc czynione *de facto* ale zdecydowanie nie *de iure*.

W postępowaniu władcy nie może być mowy o przypadkowym lekceważeniu. Nad takim precedensem hierarchia nie może przejść obojętnie. Strat dla kultu, które spowodowała głupota, a może antyamonizm faraona, nie można wyrównać statkiem złota. Tak właśnie myślał wzburzony tym wydarzeniem Rowin. Czy Ramzes nie zdaje sobie sprawy, że swym postępkami w umysły wolnomyślicielskie, ateistyczne, wszczepia myśl o możliwości uzyskania boskości z Karygodnym pominięciem pośrednictwa stanu kapłańskiego? przecież powinien doskonale wiedzieć, że czemu świątynie nie mogą przeszkodzić, temu błogosławią. Prostą świadomość takiego stanu równowagi między władzą świecką a kapłańską miał Dżawer, który publicznie złożył dary, ukorzył się przed Anionem i dlatego wróby już się sprawdziły.

Długo rozmyślał Rowin nad zdumiewającym postępowaniem Ramzesa; w końcu doszedł do wniosku, że jeśli bogowie spowodowali nawet u władców istnienie głupoty w tak nieoczekiwanym nadmiarze, to na pewno z jakimś celem, a więc jedynie funkcją czasu będzie znalezienie powodów jej zaistnienia.

W namiocie Ramzesa władca i lekarz przeglądali listy spiskowców. Faraon zwrócił uwagę na luki w poszczególnych działach.

- Tak już było, królu. Wykazy otrzymałem od Dżawera, wódz sam przechowywał dokumenty zdrajców i pilnował, aby dowody nie uległy zatraceniu. Masz rację, Ramzesie, mówiąc o brakach. Ale sądzę, że nawet spisy królewskich stad były po upływie roku różnią się między sobą.

- Wiesz, co myślę - powiedział Ramzes. - Kara musi być niezwykle surowa.

- Oczywiście. Spiskowców na listach Irinefera jest ponad trzy tysiące, ja bym dla przykładu stracił trzystu.

- Mereneptahu, to szaleństwo. Tylu ludzi ginie w bitwie. Myślałem o stu.

- Ramzesie, popełnisz błąd. Bezpieczeństwo twojego rodu i spokój Egiptu nie mają ceny. Kara musi być stosowna do zamierzonego zła. Czy zdajesz sobie sprawę, co by się stało, gdyby spiskowcy wygrali? Ile osób wtedy straciłoby życie? Sam twój ród to prawie tysiąc, a oddani dynastii ludzie, wodzowie, administracja? Śmierć dotknęłaby dziesiątków tysięcy.

- Mereneptahu. Niech będzie trzystu lub nawet trzystu jeden, jeśli złapiemy Irinefera. Rodziny skazanych i resztę spiskowców należy zesłać. Pochodzących z północy Egiptu do kopalni turkusów na Synaju, tych z południa do wydobywania złota w Nubii. Najsilniejsi przeżyją nie dłużej niż dwa lata.

Mereneptah kiwnął aprobująco głową.

- Oczywiście, tak należy zrobić. Niech lud się nacieszy gwałtem nadzorców i wartowników na żonach i córkach zdrajców. Sądzę, że za kilka dni w Tebach pojawią się wszyscy nomarchowie, najwyżsi urzędnicy państwa i szefowie policji. Otrzymali rozkaz dowiezienia aresztantów. Wtedy będzie czas na dokonanie selekcji. Ale teraz powinniśmy jak najpilniej pojechać do urzędu wezyra. Panuje tam chaos i przerażenie. Niemal jedna trzecia spośród wszystkich spiskowców wywodzi się spośród urzędników państwa. Irinefer nie miał zastępców i całością służb zawiadywał sam. Trzeba

obudzić administrację z letargu i ponownie zapędzić ją do pracy.

Wezwano rydwany, które przewiozły orszak władcy przez zastygłe z przerażenia miasto. Większość kramów i sklepów była pozamykana.

Królewska kawalkada przybyła do ogromnej sali Urzędu Wezyra Górnego Egiptu, gdzie pracownicy oczekiwali wypełnienia swojego losu. Pisarze, matematycy, rachmistrze, znający prawo i wszyscy inni pełniący funkcje w Urzędzie. Stali na swoich miejscach, uszeregowani według stopni i rang. Wielu brakowało - siedzieli w więzieniu lub akurat byli przesłuchiwani. Z oczu pozostałych była determinacja. Wiedzieli, że jedno słowo panującego może spowodować, iż będą zmuszeni stąd wyjść po to, aby w chwilę później ich bezgłowe szyje strzykały krwią w rytmie umierających serc.

Przy bocznych drzwiach rozległy się podniesione głosy i po chwilowym zamieszaniu na wysoką galerię nad zebranymi wszedł arcykapłan Rowin ze swoją świtą. Zapadła cisza.

- Słuchajcie wszyscy - powiedział Ramzes. - Obecni w tej sali żyją, gdyż nie ma ich imion na listach zdrajców. Modłę się, aby krew mojego narodu przestała płynąć. Urząd wezyra zostanie dziś obsadzony. Tej nocy objawił mi się we śnie wielki Amon i nakazał, abym natychmiast tego dokonał. Wybór ma nastąpić spośród urzędników wiernych tronowi. Wasz patron Tot wszystkim obecnym dał łaskę rozumienia pisma. Za chwilę otrzymacie papyrusy i trzciny, aby każdy wypisał imię osoby, którą we własnym przekonaniu uważa za najzdolniejszego następcę Irinefera. Ten, kogo wybieriecie, zostanie waszym zwierzchnikiem.

Oddawali kartki Mereneptahowi i pięciu rachmistrzom.

- Królu - powiedział lekarz - wybór został dokonany. Wezyrem został Banefer.

Gdy wszystkie czynności administracyjne zostały zakończone, do faraona podszedł adiutant. Jego twarz była niezwykle blada, drżał.

- Królu, za drzwiami czeka goniec z Armii Ptaha. Przynosi złe wiadomości.

- Mów.

Oficer padł u stop tronu. Wyciągnął ręce w przód. Uniósł głowę i płacząc wykrzyczał:

- Twój syn Kaim, następca tronu, nie żyje. Ciało przywiozą do Teb za kilka dni.

Zapadła całkowita cisza. Spojrzenia skierowały się na twarz faraona. Ramzes zdjął z głowy tiarę i dłońmi zakrył oczy. Po palcach popłynęły łzy. Jego myśli biegły wysoko nad krajem do Armii Ra, do pisarza, u którego złożył testament myśli i instrukcje dla następcy. Zginął najukochańszy syn, jedyny przygotowany, aby unieść ciężar obrony granic państwa. Opuścił ręce. Zebrany ukazała się twarz ojca dotkniętego nieszczęściem.

- Chcę być sam - powiedział, wsiadając do rydwanu.

W namiocie przebywał pięć dni, nie widując nikogo. Wysłał odrębny list do Merit-Amun, którego treści poza nim nie znał nikt.

Szóstego dnia rano przyjął Merenepthaha.

- Czy ciało mojego syna przywieziono?

- Tak. Znajduje się w Domu Umarłych. Współczuję ci Ramzesie, ale niestety, w odróżnieniu od wszystkich twoich poddanych, jesteś nie tylko ojcem, ale i faraonem. Nie zapominaj, że Armia Ptaha została bez dowódcy, a w Nubii mogą nastąpić rozruchy.

- Stanowisko, o którym wspominasz, przeznaczam dla zastępcy Kaima. Niech wiadomość o tym zawiezie któryś z generałów.

- Zrobię, jak mówisz. Ale jest sprawa ważniejsza. Teraz w Tebach jesteś jedynym członkiem rodziny zmarłego. W świątyni Amona już panuje zaniepokojenie, że nie wypełniasz obowiązków względem bogów świata podziemnego. Bez twojej zgody kapłani nie mogą podjąć decyzji w sprawie uroczystości pogrzebowych. Wiem, że śmierć syna zastaje ciebie, naszego władcę, w przekaaowych chwilach dla państwa i rodu, lecz liczba problemów wymagających pilnego załatwienia narasta, codziennie napływają setki spraw. Wszyscy zainteresowani rozumieją, że obecnie musisz się zająć obowiązkiem krwi względem krwi. Nie wiem, jak to zrobić, ale równolegle trzeba rozwiązać

problemy żywych. Teraz najmniejszy twój błąd będzie poczytany za dowód braku boskości. A wiesz o tym, jak niechętna wobec ciebie jest hierarchia świątyni.

- Masz rację. Jakie rozwiązanie proponujesz?

- Bezowocnie o tym myślę od kilku dni. Musisz zdecydować, na kogo na okres żałoby scedujesz administracyjną część swych uprawnień. Wśród osób niewątpliwie szczerze oddanych dynastii chodzą wieści, że niektóre ze spisów sprzysiężenia zostały sfalszowane perfidnie przez byłego wezyra albo wrogie mocarstwa; może to doprowadzić do wojny domowej. Przyjeżdżają całe rody z żądaniami przesłuchań, dochodzenia prawdy i przeprowadzenia Sądu Bożego. Nie można tych opinii lekceważyć.

Ramzes długo milczał, nim rzekł:

- Merenepthahu, powiadom arcykapłana Amona, notabli, dowódców i Banefera, że jutro rano mają się stawić w Urzędzie Wezyra.

Sala była pełna. Nie brakowało nikogo, gdy Ramzes opanowanym głosem zaczął:

- Moje uprawnienia dotyczące porządku publicznego i nadzoru nad administracją państwa na czas żałoby po Kaimie powierzam Merenepthahowi, którego zarazem usynawiam. Mam obowiązki religijne względem zmarłego członka rodu i chcę je sumiennie wypełnić, jak tego wymagają prawo i tradycja.

W sali zaległa cisza.

- Podejź tu, Merenepthahu - kontynuował faraon. - Powieزم ci berło i bat. Wezyrze, sporządzisz stosowny akt i powiadomisz ludność. Pisarzu, zbliż się, a wy, pozostali, odejdźcie do własnych zadań i nie przeszkadzajcie mi w rozmowie z bogami i duszami przodków.

Złożył podpis na dokumencie i wyszedł.

Wszyscy zebrani patrzyli za nim ze zdumieniem. Po raz drugi w czasie pięciu ostatnich dni Ramzes II utracił twarz człowieka, a zyskał tę niezmierną. Nawet bóg może mieć gorszy dzień, ale na pewno nie miało to miejsca dzisiaj.

Właśnie o tym rozmyślał Rowin. Jego zdaniem Amon ponownie został ciężko obrażony. Kolejny raz bóg został pominięty.

Może dlatego wróżby wypadają niejasno, a świątynni wariaci - jakby się zmówili - od tygodnia śpiewają idiotyczne pieśni o końcu świata, zagładzie, walących się posągach, nadchodzącej śmierci i wielkiej wodzie. Kazał ich solidnie obić, ale oni wrócili i uparcie czynili swoje, znajdując słuchaczy nawet wśród strażników. Arcykapłan zastanawiał się, czy wszystko, co wydarzyło się dotąd, jest zgodne z logiką faktów i objawień. A może przyjazd Dżawera zapoczątkował przyjście złego ducha? Hierarcha był zdenerwowany. Czy siła, wywołująca obecne zło, może mieć związek z tym dziwnym człowiekiem znalezionym w Om? Gdzie teraz, na bogów, jest ten przeklęty podrzutek?

Mereneptah był zajęty od rana do późna w nocy. Uzgodnił z Baneferem, że najpilniejszą sprawą jest ukaranie winnych. Aresztantów przywożono do obozu na pustyni, który łatwiej było pilnować niż więzienia. Spośród wszystkich spiskowców umknęło stu sześćdziesięciu. Sprawy około dwustu wymagały długiego śledztwa. Drożą starannej selekcji wybrano trzystu najznamienitszych i skazano ich na śmierć, tak jak ustalono z Ramzesem.

Mereneptah dwukrotnie odwiedził Irinefera. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że były wezyr oszalał. Długo myślał o przywódcy spisku, wnikając szczegółowo w jego akta, dostarczone przez Banefera. Mimo presji nowy wezyr nie chciał zdradzić, skąd je otrzymał, a na pytania odpowiadał enigmatycznie, iż zawsze były.

Tego wieczora Mereneptah przeczytał je raz jeszcze w całości. Zasypiał w przeświadczeniu, że tacy jak Irinefer - demiurgowie z własnego nadania - pojawią się również w przyszłości, a skutkom ich paranoi nie zawsze się da odpowiednio wcześniej przeciwdziałać.

Rano zbudził go oficer.

- Zastępco faraona, jesteś w pilnej sprawie wzywany do najjaśniejszego pana. Masz zgłosić się natychmiast.

- Co się stało?

- Nie wiem, otrzymałem rozkaz, aby natychmiast cię doprowadzić.

Ubrał się i spiesznie ruszył w drogę. Kwatera Ramzesa była szczelnie otoczona strażą.

Faraon leżał na łóżku.

- Podejdz Merenepthahu. Chciałbym, abyś mnie zbadał.

- Jesteś chory, królu? Wyglądałeś ostatnio niezdrowo, ale myślałem, że może jest to skutek twoich tragicznych przeżyć. Nie niepokój starego przyjaciela.

- Moje zdrowie nie ma nic wspólnego z tym, o czym mówisz.

- Ramzesie, powiedz, co ci dolega, zacznij jak pacjent, od początku.

- Od wyjazdu z Memfis boli mnie brzuch. Czasami robi się twardy jak kamień. Mam kłopoty z jedzeniem, a po każdym posiłku bóle stają się nie do zniesienia.

- Czy to wszystko?

- Nie, kilkakrotnie omalże straciłem przytomność i z dnia na dzień robię się słabszy. Dokuczają mi mdłości i zgaga, coś *w środku mnie piecze. Straciłem apetyt i siły. Wymiotowałem* jakby sadzą, mój stolec zaś wygląda jak smoła. Chcę, abyś mnie zbadał i powiedział prawdę.

Badanie trwało długo. Lekarz zakończył czynności, siadł na krześle i opuścił głowę.

- No, mów wreszcie, konowale!

- Nic specjalnie groźnego, skutek emocji i przeżyć. Mam na tę chorobę specjalne lekarstwo.

- Nakazuję ci mówić prawdę, całą prawdę. Zrozum, jeśli jest tak jak się czuję, to przypuszczam, że dobiegam kresu. Zaklinam cię na naszą przyjaźń. Nigdy dla Egiptu czas nie był tak drogi jak teraz. Masz powiedzieć prawdę.

Lekarz milczał.

- W takim razie wracaj do siebie, wezwę innych medyków. W Tebach ich nie brakuje. Ale do wrogów Egiptu przeniknie wiadomość o mojej chorobie. Czy w tej chwili może być coś gorszego? Dołączą się bunty plemion, anarchia, walki pałacowe. Wybieraj, Merenepthahu!

- To nie jest dobra wiadomość. Uważam, że masz krwawienie wewnętrzne, które okresami się nasila i przechodzi do kanału głównego, a stamtąd do odbytu. W środku ciała krew traci barwę czerwoną, a przybiera czarną.

- Będę cierpiał?
- Tak, okresami nawet bardzo.
- Czy jest sposób lub szansa na zażegnanie moich dolegliwości?
- Będę próbował. Istnieją odpowiednie leki, ale nie zawsze są skuteczne. Zrobię wszystko, co potrafię. Kilku chorych wyleczyłem.
- Czy ta choroba może mi odjąć zdolność jasnego myślenia?
- Niestety, tego nie da się wykluczyć.
- Dobrze, Mereneptahu, że jesteś szczery. Jeśli rozumiem dobrze, to, co mnie dręczy, jest trudne do uleczenia i niekiedy kończy się śmiercią w cierpieniach. Ile czasu mi pozostało? Tygodnie, miesiące czy lata?
- Nie mogę jednoznacznie odpowiedzieć. Jeśli leki zadziałają, będziesz żył i odzyskasz zdrowie. Jeśli nie, a krwotok będzie znaczny, możesz zginąć. Zaraz pójdę po lekarstwa. Musisz stosować inną niż dotąd dietę, jeść surową wątrobę i pić krew. Tej ostatniej tyle, ile możesz.
- Zrobię, jak mówisz i do wszystkiego się zastosuję. Teraz odejdz, chcę zostać sam i przemyśleć, co jeszcze mogę zrobić dla Egiptu, dynastii, a może i dla siebie.

Mereneptah dał wojskowym cieślom rozkaz, aby na brzegu Nilu sporządzili drewniane podium dla władcy, naczelnego woźdźdża i dostojników. Poleciał, aby plac między świątynią a rzeką przedzielić linami i oznaczyć sektory. Ponadto administracja otrzymała polecenie przygotowania specjalnych przepustek dla chcących uczestniczyć w kaźni spiskowców.

Lekarz szybko przywykł do bezwzględного posłuchu i posłuszeństwa, jakie mu okazywano. Wielokrotnie spotykał się z faraonem, wezyrem i Dżawerem i prosił ich o radę. W końcu wezwał przełożonego heroldów i wydał edykt, którego treść wcześniej uzgodnił z Ramzesem, lecz po raz pierwszy podpisał własnym imieniem. Treść była krótka:

W przededniu pory Achet, w godzinie Ra jednoczącego się z życiem zostaną uśmierceni zdrajcy Egiptu. Egzekucja odbędzie się na brzegu Nilu, poniżej świątyni Amona w Tebach, w obecności

panującego faraona Ramzesa, świątobliwych hierarchów, urzędników państwa i generałów armii.

Mereneptah

Wszyscy mieszkańcy Teb wiedzieli, że oznacza to dzień poprzedzający przyście czoła wielkiej wody Nilu, po której nastąpi pora roku zwana zalewem, a każdy spiskowców rozpocznie się punktualnie w południe.

ROZDZIAŁ 20

Od przystani pasażerskiej w Tebach w kierunku garnizonu w Dżeme płynęła łódź. Wiozła na drugi brzeg starszego mężczyznę. Wioślarze patrzyli za nim jeszcze przez chwilę, gdy po lną ścieżką szedł w kierunku posterunku. Zbliżał się do żołnierzy bez pośpiechu, równym, spokojnym krokiem, a z niewielkiej torby, którą niósł na ramieniu, wyciągnął mały, opatrzone pieczęciami rulon papirusu. Podeszedł do podoficera, a ten - choć obecność przybysza zauważył dawno - ostentacyjnie zwrócił głowę w bok, udając, że jest zajęty oceną odległości, na jaką splunął.

Mimo ponawianych prób, próśb i usiłowań przybysz wywarł na warcie takie wrażenie, jakby rzecz, którą uparcie podsuwał pod nos dowódcy, była skorupką jajka lub wysuszonym kurzym gównem. Do garnizonu go nie wpuszczono. Ponieważ kłął, stawiał się i groził, żołnierze z umiarkowaną satysfakcją obili go nieco, choć trochę też byli mu wdzięczni, bo w nudę wachty wprowadził nieoczekiwane urozmaicenie.

Tymczasem przybysz gorączkowo myślał, co zrobić, aby jego misja nie zakończyła się bezowocnie. Dopomógł mu zwykły przypadek. Z pobliskiego wzgórza pędem zjechały dwa rydwany i zatrzymały się przy posterunku. Wartownicy przyjęli pozycję na bacność, regulaminowo oddając honory. Obity przybysz podeszedł do przybyłego oficera.

- Panie - powiedział spokojnie - spotkała mnie ze strony tych żołnierzy krzywda. Przywożę ważne pismo do wielkiego wodza Dżawera. Mówiłem, ale nie chcieli mnie wysłuchać ani doprowadzić do dyżurnego oficera. Dodam, że ci synowie osłów obili mnie.

- Źle uczynili i zostaną ukarani - rzekł oficer i zwrócił się do wartowników: - Odmaszerować do jednostki. Wieczorem zgłosicie się do mnie wraz z waszym dowódcą. Powiecie, że wzywa was pułkownik Totmes.

- Panie, czyżbyś był krewnym wielkiego wodza Dżawera? - zapytał przybysz.

- Tak. A ty kim jesteś?

- Moje imię zna dobrze twój stryj, wiele lat służyłem pod jego rozkazami. Wiozę ważne pismo, ale szereg wiadomości mam przedstawić osobiście.

- Czy możesz zdradzić, skąd przybywasz?

- Bezpośrednio z Memfis. Pułkownika, chcę cię prosić, abyś poświadczył, że jedna z pieczęci uległa w tej bitwie uszkodzeniu.

Totmes skinął głową.

Prawie w samo południe, gdy cień stał się krótki i leżał u stóp, dojechali do namiotu wielkiego wodza. W chwilę później wprowadzono ich; posłaniec ukląkł przed fotelem wielkiego wodza. Uniósł obie ręce i lekko rozwarł palce. Dżawer spojrział, zbladł, powoli odchylił się do tyłu i cicho powiedział:

- Totmesie, wyjdź.

Gdy zostali sami, posłaniec delikatnie położył na kolanach Dżawera srebrną bransoletę z głową boga Dogona.

- Nie żyje? - zapytał Dżawer.

- Moja pani Pawea jest zdrowa i niecierpliwie na ciebie czeka. Za kilka miesięcy urodzi syna. Nasz ród będzie miał króla po linii kanaeńskiego miecza. A my, twoi poddani, już myśleliśmy, iż Dogoń nas opuścił.

Posłaniec przywiózł też wiadomość, że Pawea jest córką scytyjskiego księcia. Przez Fenicjan dała znać ojcu o miejscu pobytu i zażądała wydania posagu. List, który przysłała, dotyczył spisu ruchomości znajdujących się w pałacu wielkiego wodza. Na zakończenie posłaniec oddał Dżawerowi wyhaftowaną chustę. Wódz rozwinął ją, kiedy tamten się oddalił, i znalazł w rogu napis wyszyty czerwoną nicią: *Kocham, tęsknię, wróć!*

Dżawer przemyślał tak nagle odmienioną sytuację i przywołał adiutanta.

- Sprowadzisz tu dwudziestu uzbrojonych ludzi - rozkazał.

- Za godzinę stawisz się z człowiekiem, którego przyprowadził Totmes.

Myślał, jak mądra jest Pawea; najważniejsze informacje poleciła posłańcowi zapamiętać. Napisał do niej krótki list.

O wyznaczonej porze wszedł adiutant wraz z posłańcem.

- Wodzu, rozkaz wykonany.

- Potrzebuję jeszcze szybką łódź wiosłową, zajmij się tym zaraz - rzekł do adiutanta, a kiedy ten wyszedł, zwrócił się do drugiego z przybyłych: - Nazywasz się Bentor, czy tak?

- Masz dobrą pamięć, wodzu.

- Czynię cię moim nadzorcą. Na dowód daję ten oto pierścień, a ta drewniana skrzynka zawiera podarunki dla Pawei. Chcę, abyś ją i dziecko strzegł przed niebezpieczeństwem. Czy przysięgniesz na głowę Dogona, że zrobisz, co w twojej mocy?

- Tak, wielki wodzu.

- Powiesz Pawei, że jeszcze dziś udam się do świątyni Arno-na w Tebach, aby do ksiąg wpisać oświadczenie o zawarciu naszego małżeństwa i przekazaniu wszystkich moich dóbr na rzecz żony. Ponadto w Domu Życia w almanachu rodzin szlachećnie urodzonych złożę podpis obok miejsca, gdzie niebawem zostanie wpisana data urodzenia mojego syna oraz imię, które otrzyma po ojcu: Dżawer. Zabierzesz ze sobą żołnierzy. Przeznaczyłem ich do ochrony mojej rodziny. Bentorze, dobrze się sprawiłeś.

Tłumy mieszkańców Teb i okolicznych wiosek przychodziły nad rzekę, aby oglądać przebieg prac na placu kaźni. Na brzegu zgromadzono znaczną liczbę drewnianych pni. Armia robotników wbijała je głęboko w piach, używając rusztowań i ciężkich młotów. Mieli zbudować trzysta jeden konstrukcji, z których każda przypominała trójnóg.

Ludzi zgromadzonych na brzegu i plaży znacznie bardziej interesowały wierzchołki pni, wzmocnione solidnymi opaskami z blachy i przewiązkami ze skóry. Na samych szczytach każdej trójnożnej konstrukcji pozostawiono otwory, w które niebawem żołnierze wepchną tępe końce pali śmierci. Ludzie pamiętali tę karę, stosowaną ongiś przez Hyksosów. Grupki podnieconych staruszków śledziły postęp prac, zastanawiając

się głośno, czy wiatr będzie mógł poruszać ofiarami spisku. Rozjuszeni, prawie bezzębni, pokraczni mężczyźni podzielili się na obozy, żywo dyskutujące problem, czy skazaniec, który spadnie, będzie ułaskawiony - gdyż może to być znak dany z nieba - czy też powinien zostać ścięty - bo niedoróbki zdarzają się wszędzie, a szczególnie u tych pijaków cieśli. Po chwili można było dostrzec czerwone twarze i uniesione pięści okładających się z zapalem godnym lepszej sprawy. Pod niebiosami niósł się wrzask mężczyzn i jazgot nadbiegających kobiet, którym towarzyszyły stadka wnucząt. Sytuację opanowały dzieci i żołnierze. Walczący opuścili plac, pozostało na nim po bitwie nieco nadłamanych zębów oraz kropki wyplutej śliny, zabarwionej mocno krwią.

...

Mereneptah udał się do więzienia na pustyni, chcąc sprawdzić, czy jest dobrze pilnowane przez wojsko. Ucieczka stąd była możliwa, choć tylko w kierunku Nilu. Piaszczystych pagórków pustyni praktycznie nie strzegł nikt. Śmierć z pragnienia jest najgorszą ze znanych, a tych, którzy tam uciekali, nigdy nie ścigano. Kołujące ścierwinki z oddali zdradzały miejsce, gdzie pozostali na zawsze.

Mereneptah wręczył dowódcy listę skazanych i polecił dostarczyć ich do garnizonu w Dżeme w noc przed rozpoczęciem egzekucji. W przededniu wykonania wyroku zabronił podawać więźniom jedzenie i nakazał ograniczenie napojów. Przed odjazdem był świadkiem, jak wykańczano pale śmierci. Miały długość około siedmiu łokci i grubość ramienia; z węższego końca zaostrono je w szpic.

- Wszystko gotowe? - zapytał dowódcę garnizonu.

- Tak. Sporządziliśmy też dwadzieścia pali rezerwowych.

- Podzielsz skazanych według tej oto listy na cztery grupy po siedemdziesięciu pięciu. Wieczorem podasz im do picia oszałamiający napój, umożliwi żołnierzom sprawne nabijanie. Po wschodzie słońca należy więźniom podać kolejną, większą porcję. Powinni odzyskać przytomność około południa. Właśnie wówczas żołnierze dotrą z nimi na miejsce. Jako pierwsze go wnieście Irinefera. Zdrajca wezyr ma jednak umrzeć jako

ostatni, dlatego pał dla niego należy wyposażyć w poprzeczkę blisko szpica. W ten sposób długo będzie patrzył na męczarnie swych popieczników i tryumf sprawiedliwych.

•

Ramzes po spożyciu obrzydliwej mieszanki Mereneptaha nadal czuł się źle. Wciąż dokuczały mu silne bóle brzucha, męczyła narastająca duszność i oddawane z trudem gazy. Wyraźnie schudł i szybko tracił siły. Z wstrętem oglądał swój zapadający się brzuch i wiotczące mięśnie. Z przerażeniem obserwował narastanie zaburzeń pamięci. Niekiedy miał nieodparte wrażenie, że on, ten właściwy Ramzes, znajduje się gdzieś obok, a na łóżku spoczywa karykaturalna powłoka, do niedawna będąca jego ciałem.

Nie mógł zebrać myśli. Przełamywał bezwład ciała i umysłu, ale z dnia na dzień przychodziło mu to coraz trudniej. Myślał, że jak najpilniej trzeba wyjaśnić przyczynę nagłego wyjazdu Merit-Amun z Memfis, pochować Kaima i zlikwidować do końca spisek. A jeszcze te groźne informacje, które tak nieoczekiwanie przekazał mu Daniel. Dżawerowi zagraża inwalidztwo i minie sporo czasu, nim będzie mógł objąć dowództwo armii. Mereneptah z przepracowania dostanie apopleksji - twarz ma czerwoną, oczy obrzęknięte z niewyspania i wygląda, jakby był chory.

Ramzes usiadł i z niewielkiego koszyka wziął kilka liści khat. Powoli zaczął je przeżuwać, tworząc z miazgi kulkę, którą umieścił między zębami a policzkiem. Po chwili odczuł euforyzujące działanie gorzkiego soku, przynoszącego przypływ sił, energii i powrót jasnego myślenia.

Przypomniał sobie wszystko, co stało się w pałacyku w Memfis z kimś, kto wyglądał jak Nefertari... A może jednak jak Merit-Amun? Z powodu tego, co tam zaszło, nie odczuwał wstydu ani zażenowania. Był pewien, że dał jej miłość, a ona żarliwie ją odwzajemniała. Fakt, że nie była żoną a córką, doszedł do jego świadomości z chwilą, gdy po szalonej nocy patrzył rano na zakrwawione prześcieradła. Cóż, Merit-Amun nie powinna mieć do niego pretensji ani żalu. Wiedziała przecież, że kocha ją ponad wszystko, a zniewalająca moc Nefertari trwa - to ona tej nocy kolejny raz uczyniła go szalonym.

Lekko się uśmiechnął, wspominając swe oczarowanie magią miłosną matki Merit-Amun. Czyżby ona, ta najukochańsza żona, z otchłani pozaziemskiego bytu przysłała mu ten miraż, a może zapowiedź rychłego spotkania?

Bóle jakby odeszły; pewnie czaiły się w ukryciu, aby w nieoczekiwanej chwili uderzyć. Faraon spokojnie ssał kolejne liście khatu, łagodnie uśmiechając się do wspomnień.

Gdyby był zdrowy, w dwa, trzy miesiące opanowałby sytuację, która spadła na barki wiernego, lecz zupełnie nie przygotowanego Mereneptha. Lekarz jakoś dawał sobie radę, ale zarządzanie państwem przychodziło mu z ogromnym trudem. Gdyby odnalazła się Merit-Amun, sytuacja uległaby radykalnej odmianie. Rządzenie przychodziło jej łatwo jak oddychanie, a poza tym dawno już nabrała doświadczenia i wprawy. Faraon martwił się losem córki, choć był przekonany, że żyje. Być może przerażona rozwojem wypadków i w trosce o los dynastii ukryła się w sobie tylko znanym miejscu? Ale dlaczego nie daje znaku życia? Byłoby cudownie, gdyby tak zniecka pojawiła się w tym namiocie; jakże dużo, szczególnie teraz, miałby jej do powiedzenia, a jeszcze więcej do przekazania - ot, chociażby wiadomość o skarbach znalezionych u Irinefera. Ten majątek pozwoli zlikwidować problem jednej armii. Każdemu żołnierzowi, idącemu dobrowolnie do cywila, można wypłacić odprawę, pozwalającą na rozpoczęcie osiadłego życia. Paradoksalne - pomyślał. - Zdrajca wezyr nieświadomie i spoza grobu rozwiązał problem nękający państwo. Szkoda, że tak genialny człowiek służył tylko sobie.

Do namiotu faraona wszedł krępy oficer szardanów z jednostki pełniącej straż dookoła obozu.

- Najjaśniejszy panie - powiedział. - Przy bramie oczekuje na posłuchanie Rowin, arcykapłan świątyni Amona w Tebach. Towarzyszy mu dwóch wysokich rangą starych kapłanów. Twierdzą, że przychodzą w sprawach najwyższej wagi. Czy mam ich wprowadzić?

- Dobrze, ale tylko Rowina. Pozostałych ugość w namiocie przyjąć.

Zszedł z łóżka, okrył plecy ciepłym pledem, na głowę zarzucił plisowaną chustę nemes, tradycyjne nakrycie faraonów, i usiadł na tronie. Zamknął pałające gorączką oczy i czekał. W tej chwili niemal czuł krystalizowanie się sedna swej istoty, która powstaje i wyłania się jak Feniks z popiołów ciała i zdarzeń, a potem, uwolniona z przyciągania ziemi, z lampą w dziobie, poleci jak ptak do krainy Amenti. Spotka tam rodziców, Nefertari, poległych dowódców armii, uczestników nieudanej wyprawy przez morza na zachód, zwyciężonych wrogów.

Nawet nie zauważył, że arcykapłan już wszedł; usłyszawszy dyskretne chrząknięcie, cicho powiedział:

- Witam cię, Rowinie, w namiocie mojego udręczenia. Jestem chory i mam gorączkę. Spójrz. Tak nie wygląda faraon, wódz, ojciec narodu. W kącie leżą poskładane moje korony. Ważne kiedyś, bezużyteczne dzisiaj. Przypatrz się, jak przebiega walka, którą człowiecza część mojej istoty toczy sama ze sobą. Podejdź i siądź tutaj.

Arcykapłan zbliżył się dostojnie. Na twarz przywołał wyraz smutku i pokory. Dłonie o długich wypielęgnowanych palcach położył swobodnie na kolanach.

- Nie przegrywasz jej, Ramzesie - powiedział chłodnym, beznamiętnym głosem. - Wszystko, co odczuwasz, stanowi jedynie wstęp do kolejnego etapu istnienia, który zawsze nadchodzi. Jedni go przyjmują w pokorze, a tacy jak ty usiłują jeszcze coś zmienić. Przykro mi, że zakłócam twój spokój, ale sprowadzają mnie sprawy przeznaczone głównie dla boskiej części twojej istoty.

- Cóż tak nagłego i ważkiego zmusza cię do złożenia tej niezapowiedzianej wizyty?

- Faraonie, przynoszę złe wieści. Są nie tylko ważne, także pilne. Ramzesie, jestem przekonany, że twoje życie jest zagrożone. Gwiazda panującego faraona błednie i staje się coraz mniejsza, a Kaïm, który miał być następcą na tronie, nie żyje.

- Decyzję co do sukcesji podejmę, gdy nadejdzie stosowny czas. Merenepthah dobrze się o mnie stara, a więc nie muszę decydować teraz.

- Jestem pewny, że mylisz się, faraonie. Tę decyzję już za ciebie podjęli bogowie. Nie przeciwstawiaj się ich woli.

Ramzes gwałtownie wstał z tronu. Chwycił berło i bat i zbliżył się do kapłana, potrząsając nimi groźnie:

- Widzisz, co trzymam w rękach? - krzyknął. - A może nie wiesz, jaka władza i siła tkwi w tych z pozoru martwych przedmiotach? Zostały uświęcone modłami ponad setki twoich poprzedników, a ty, Rowinie, albo oszalałeś, albo dymy z kadzideł zaćmiły twój umysł. Jeszcze żyję i mam całą władzę. A będę żył tak długo, jak będę chciał!

- Ramzesie, nie unosz się gniewem. Nie jest tak, jak myślisz. Bogowie...

- I mój ojciec, i ja kilka razy byliśmy świadkami pomyłek bogów.

- Faraonie! Bóg nie myli się, lecz czyni, co zamierza. Nigdy nie jest inaczej. Przed oczyma wiernych prawda odkrywa się powoli i z wielkim trudem, a pomyłki, o jakich wspominałeś, są jedynie błędami sług świątyni.

Ramzes odzyskał równowagę. Z szacunkiem odłożył regalia. Ponownie usiadł na tronie, prosząc duchy przodków, aby przynajmniej na czas tej rozmowy oddaliły nadejście bólów.

- Rowinie, nudzisz mnie. Czy tą ważną i pilną wiadomością jest informacja o złym stanie mojego zdrowia?

- Tak, Ramzesie. Obawiamy się o los twojej gwiazdy. Jej istnienie jest zagrożone. Boimy się, aby nie zgasła.

- Dobrze, że mi o tym mówisz. Zastanowię się, co zrobić. Być może powinienem przygotować się do spotkania z Ozyrysem, mając uporządkowane myśli, słowa, czyny i rzeczy.

- Ja i arcykapłani, którzy mnie delegowali, chcemy ci pomóc.

- Przybyłeś w delegacji od hierarchii?

- Tak jest istotnie. Arcykapłani z całego kraju zebrali się przedwczoraj. Odprawiliśmy całodobowe modły, a potem omawialiśmy ważne sprawy dotyczące twojej dynastii.

- Wygląda na to, że wasze zebranie wyprzedzało stypę. A może była to - bez mojego udziału - narada w sprawach państwa?

- Jak zwykle masz rację, mój władco. Przedmiotem spotkania były także sprawy państwa. Właśnie o nich chciałem z tobą mówić.

Słowa „także sprawy państwa” Rowin wyraźnie zaakcentował.

- Uważaj, co mówisz, arcykapłanie. Ośmieliliście się wejść na obszar zastrzeżony dla mnie. Państwo to ja, Ramzes, i jeśli potrzebuję rady lub pomocy, wiem, do kogo się zwrócić. Czy wiesz, Rowinie, że wielu dostojników świątyni czynnie uczestniczyło w spisku?

- Z prawdziwym bólem niedawno się o tym dowiedzieliśmy. Zdecydowanie odcinamy od zdrowej części stanu kapłańskiego tę chorą, zwyrodniałą, która ośmieliła się bezczelnie wystąpić przeciw wszystkiemu, co dla hierarchii jest święte.

- A Amon jakoś wam o tym we właściwym czasie nie powiedział? Ani wróżby? Ani gwiazdy?

- Ci, co wystąpili przeciwko państwu, są wyznawcami obcych kultów, choć udawali kapłanów wiernych Egipcjowi. Amon odcina się od współżycia z bogami ościennych krajów.

- Nie tak bardzo, Rowinie. Mówił mi Dżawer, że ostatnio różni bogowie, w tym również Amon, usiłowali wpłynąć na przyszłość Egiptu. Merenepthah i jego służby już badają tę sprawę. Módlcie się, aby zakończyła się pomyślnie dla świątyni Amona. W przeciwnym razie poniesiecie zasłużoną karę.

Rowin uniósł się, a na jego twarzy pojawił się wyraz oburzenia.

- To nie jest prawda! - wykrzyknął. - Ten, kto tak mówi, grzeszy. To spisek skierowany przeciwko nam wszystkim. Ktoś okłamał Wielkiego Wodza.

Arcykapłan z trudem panował nad podnieceniem i wściekłością. Po chwili jednak na jego twarzy zamiast czerwieni pojawiła się bladość, świadcząca, że odzyskał równowagę. Bez zająknięcia kontynuował rozpoczętą wcześniej myśl:

- Faraonie. My, hierarchowie, kary nie poniesiemy. Nikt z nas nie żywi takich obaw. Możesz nam wierzyć lub nie, ale jesteśmy niewinni. A jeśli każesz nas zabić, kierując się niesprawiedliwością i gniewem, chętnie oddamy życie. Czy zdajesz sobie sprawę, jaką siłą mogą się stać męczennicy wiary?

- Doskonale. Słuchaj więc. Jeśli służby Merenepthaha ujawnią obecność spisku w świątyniach Amona, upoważnię twoich niższych rangą kapłanów do przeprowadzenia wśród podejrzanych

nych Sądu Bożego. Przypomnę im świętą zasadę, że kapłaństwo zaczyna się od zapewnienia łączności między Bogiem a ludźmi, kończy się zaś jako bariera między nimi. Obiecuję im wasze stanowiska i ten sam zakres władzy. Oczywiście, przed i po werdykcie sownie obdaruję Amona. Jak myślisz, kogo w tej sytuacji bóg i kapłani ujawnią? Pospolitych szubrawców i zdrajców państwa czy też męczenników wiary?

Długo patrzył Rowinowi prosto w oczy, ale ten wytrzymał natężone spojrzenie władcy. Wzrok Ramzesa złagodniał, na jego ustach pojawił się ślad uśmiechu.

- Może wreszcie zdradzisz właściwy cel swojej wizyty?

- Obecność moja jest spowodowana szczerą kapłańską troską w następujących sprawach: przyszłości rodu Ramessydów, losu narodu i rozwoju świątyń. Nasze wyrocznie mówią zgodnie, że żaden z twoich znanych ci synów nie zostanie władcą Egiptu.

- Zdumiewasz mnie, Rowinie. Wczoraj otrzymałem raport z Memfis, a w nim informację, że - wyjąwszy nieznanego los Merit-Amun - wszystkie dzieci żyją i są zdrowe. Czy się mylę?

- Nie, ale nie zdobędą korony. Twój następca wejdzie w posiadanie tych oto regalii tylko w wyniku poparcia hierarchii. Co więcej, armia i administracja pozostaną z boku. Sukcesja zależy więc od zmiany twojego spojrzenia, Ramzesie, na rolę religii i od uznania, że co ważne dla Egiptu, nie może być stanowione bez wysłuchania głosu świątyń.

- Czy zdajesz sobie sprawę, Rowinie, że grozisz państwu, a żądanie, jakie wypowiadasz, jest brutalnym złamaniem praw, jakimi to państwo się kieruje?

- Nic podobnego. Mówię tylko prawdę. Już drugi raz w tej rozmowie ty, faraon, zarzucasz swojemu arcykapłanowi łamanie doktryny. Chcesz czy nie chcesz, Ramzesie, jesteś istotą zarówno ludzką, jak i boską. W tym sensie boska twoja część stanowi integralną wartość całego systemu religijnego w państwie. Nie możesz więc wystąpić przeciwko sobie samemu. Nikt też nie rzuci kamieniem w kapłana głoszącego wyroki boże i prawdę. Ja mam obowiązek jej rozpowszechniania wśród wiernych, nawet wówczas, gdy jakaś jej część jest bolesna. Całej prawdy, Ramzesie.

- Mówisz mętnie, Rowinie, ale rozumiem, że losy tronu Egiptu zostały przesądzone, bez mojego udziału. Bezczelnie, zaocznie, w okresie niepokoju i spisków, w sposób urągający twojemu i mojemu urzędowi, a co gorsza, również uwłaczając prawowitym władzom i naszej historii.

- Ramzesie, wszystko, co powiedziałem, nie jest kłamstwem, a żadna prawda nie tworzy precedensu. Być może wyrażam się mało jednoznacznie, ale wykładnie świątynnych jasnowidzów są takie, jakie są. Jestem gotów ponieść karę, jeśli okażą się fałszywe.

- Rowinie, czy ty wreszcie przestaniesz mnie dręczyć tą swoją dialektyką? Widzisz, że jestem chory, cierpię po śmierci syna, obawiam się o życie córki. Czy przyszedłeś mnie tutaj oświecać w zawyżeniach stosunków państwo - hierarchia? Mów, o co ci chodzi! Nie przybyłeś tu chyba, aby z satysfakcją patrzeć na cierpiącego władcę.

- Odrzuć, Ramzesie, domniemanie, że powodują nami niskie pobudki. My zawsze wszystko wiedzieliśmy i zawsze będziemy wiedzieć o wszystkim. Nie tylko z wyroczni, ale przede wszystkim od zwykłych ludzi, którzy bez zwłoki wyznają, o co pytamy, i zawsze robią, czego żądamy. Sprawowana przez świątynię opieka i łaska bogów są nieodzowne każdemu. Na ludzi nie spadają przypadkiem ani darmo. To chyba oczywiste.

- Chcesz powiedzieć, że jest to towar taki sam jak amulety?

- Nie, faraonie, to wiara. My uczestniczymy w komunikacji ludzi i bogów, czynimy ją czytelną i zrozumiałą. A jeśli nic nie można zrobić, bo niekiedy bogowie się odwracają, modlimy się i pocieszamy. Ludzie potrzebują nas w takim samym stopniu, jak armii dla obrony granic i policji dla ochrony mienia. Od tysiącleci stoimy na straży dusz. Jesteśmy sumieniem narodu.

- To bardzo piękne, arcykapłanie, co powiedziałeś. Gratuluję, ale potrafię oddzielić ziarno od plew. A więc wyduś wreszcie z siebie, z czym w istocie przyszedłeś.

W oczach arcykapłana przez ułamek sekundy zamigotał wyraz gotowości i podniecenia.

- Chcę cię prosić, abyś przeznaczył skarb Irinefera na potrzeby świątyń. Chodzi o duszę narodu, zdrowie, naukę, szkoły i wszystko, czym się zajmujemy.

- A więc o tym też wiecie? Miałeś rację mówiąc, że do was dociera wszystko, co może obawiać się władzy. Tylko trzech ludzi poza wezyrem wiedziało o skarbie. Dżawer, Totmes i ja.

- I Dramun, który już nie żyje. Niekiedy z gabinetu Irinefera wynosił cenne przedmioty, traktując je jak bezwartościowe zabawki. Wystarczyło pomyśleć. A my to potrafimy.

- Cóż *proponujesz* w zamian za bogactwa Irinefera?

- Wieczną opiekę nad twoim rodem, faraonie. Jeśli otrzymamy środki dla świątyń, co jest równoznaczne z rozwojem państwa, Egipt przetrwa wszystkie dziejowe burze. Doprowadzimy do tego, że twój następca będzie się cieszył niezwykłą miłością i oddaniem całego narodu, a także poparciem bogów, ty zaś sam zapiszesz się w historii Egiptu i świata jako Ramzes Wielki, a imię będzie otoczone podziwem i nieustającą adoracją po kres dziejów.

Ramzes skrzywił się z niesmakiem.

- I powiadasz, Rowinie, że za ten cały ogromny skarb, za tysiące debenów złota, srebra i kamieni całą moją satysfakcję ma stanowić dręczenie kapłanów prowadzeniem nieustających modłów w osobistej intencji? I tylko za nie mam wam oddać wieloletnie dochody państwa, mogące służyć całemu królestwu? Ale prawda! Gwarantujesz jeszcze opiekę nad moim rodem, która według ciebie pewno jest nie do przecenienia. Czy tak?

- Istotnie, nie mylisz się. Widzę, faraonie, że prawidłowo oceniasz nie tylko wyroki boże, ale i nasze intencje, a fakt, że przychodzę tak późno, wynika z przyspieszonego biegu wydarzeń ostatnich dni. Musieliśmy mieć pewność we wszystkim, do końca.

Na gładkiej, lekko zaróżowionej twarzy arcykapłana widniał wyraz pychy oraz pewności, że ten słaby człowiek nie będzie już miał siły, aby się przeciwstawić decyzji bogów, uchwalonej poprzedniego dnia przez świątynnych hierarchów. Bliskość zwycięstwa nad tracącym siły faraonem i wizja strumieni złota płynących do skarbców świątyń wywołały w oczach arcykapłana błysk chciwości.

- To wszystko, co chciałeś mi powiedzieć? Chyba za mało ode mnie chcesz za tak wiele - powiedział Ramzes z nutką ironii w głosie.

- Istotnie, ale reszta, o której powiem za chwilę, dotyczy państwa. Faraonie, uświadom sobie taką teoretyczną sytuację: ciebie już nie ma, panuje twój następca. Zanim nabędzie doświadczenia, może popełniać błędy, bo te są udziałem każdego, pewno pamiętasz i swoje. A więc zajdzie konieczność wspomżenia słusznych poczynań naszego nowego króla. Jedyłą odpowiedzialną w tym względzie siłą jest hierarchia. Ona utożsamia się z państwem w takim samym stopniu, w jakim faraon utożsamia się z religią.

- A cóż to ma do rzeczy? Niecierpliwie się, Rowinie, bo czas ucieka.

- Istotnie! Sprawa, którą poruszyłem, jest dla nas ważniejsza niż uzyskanie złota Irinefera. Zależy nam, abyś wydał edykt aprobujący wybór arcykapłanów jedynie przez dostojników świątyni.

- Rozumiem, że chodzi wam nie o Rozdział państwa i religii, lecz o pełne ich złączenie i zapewnienie w takim aliansie prymatu władzy religijnej nad świecką. Czy myślę słusznie?

- Nie masz racji, mój władco. Spójrz na naszą historię. Ongiś, za namową żony, nalegałeś na wybór kapłana Anhere na stolec naczelnego arcykapłana Amona w Egipcie. Hierarchia z uzasadnionych powodów musiała się temu przeciwstawić. Zgodziłeś się wtedy z naszą decyzją, choć wiedzieliśmy, że nie była po twojej myśli. Następcą wybranego wówczas Nebunanefera zostałem ja, prawdopodobnie też wbrew twej woli. Ale spójrz na wielkie osiągnięcia kapłanów. W państwie nie ma religijnych waśni, jest uznawana boskość twojego rodu, wola władcy w rządzeniu krajem była, jest i będzie z najwyższym szacunkiem przez nas uznawana. Wszystkie działania panującego są wspierane przez hierarchię Amona. Nie zapomnij o rozwoju oświaty, sztuki, nauk. Zauważ, że wiara potrzebuje kultury i kulturę tworzy. Nasz suwerenny wybór dwóch z rządu arcykapłanów nie osłabił twojej władzy, a wręcz przeciwnie - znacznie ją umocnił. Rozważ naszą prośbę i daj nam sprawiedliwą odpowiedź. Teraz zamilknę, bo powiedziałem wszystko.

Ramzes nie mógł już mieć najmniejszych wątpliwości. Rowki mówił jasno: Daj nam złoto i władzę, a my - chociaż jeszcze żyjesz - będziemy cię chwalili po śmierci.

- A więc kto ma nastąpić po mnie? - spytał cicho.
 - Twoja krew z krwi, twój syn.
 - Czy mój syn twoimi ustami żąda, abym za jego panowanie zapłacił złotem Irinefera, czy też bóg chce sukcesji dla mojego syna w zamian za złoto?
 - To drugie, Ramzesie.
 - Czy znasz jego imię? Myślę o synu, a nie o Amonie.
 - Jeszcze nie zostało nam podane, ale niewątpliwie zostanie nazwany Ramzesem III. Ty, władco, jeszcze nie znasz jego imienia.
 - Jak jest możliwe, żebym akurat tego jednego nie znał?
- Rowin nie odpowiedział. Spuścił głowę, patrząc na sandały.
- Patrz, arcykapłanie - powiedział po chwili Ramzes. - W życiu człowieka istotne przewartościowanie czasami rodzą się nagle, ale wszystko, o czym mi dzisiaj powiedziałaś, powinienem powoli i spokojnie przemyśleć. Faraon nie może powodować swoimi zamierzeniami i decyzjami, będąc w emocji. Sam mówiłaś, że moja gwiazda jedynie zbladła, a więc może stać się i tak, że zaświeci ponownie. Dlatego decyzje co do złota i zwiększenia waszej władzy, podejmę po starannym rozważeniu. Lecz zanim odejdiesz, mam do ciebie pytanie, na które odpowiedź pomoże mi podjąć decyzje słuszne: o imię matki mojego następcy. Czy je znasz?
- Hierarcha dalej tkwił w upartym milczeniu.
- Słuchaj, Rowinie! Jeśli miałbym podjąć działania po twojej myśli, zrobię tak tylko wtedy, gdy wyjawisz imię tej kobiety.
- Arcykapłan podniósł głowę. Na jego twarzy nie można było zauważyć niczego poza oschłością i wyrachowaniem. Spokojnie powiedział:
- Obietnica samego rozważenia naszych problemów to za mało. Jeśli przysięgniesz na własnych bogów, w tym Seta, ujawnię imię, o które pytasz, i solennie dotrzymam obietnic dotyczących twojego następcy, twojego rodu oraz trwałości twojego kultu.
 - Widzisz, Rowinie, ja jeszcze nie umarłem. Ale ty, utrzymując przede mną w tajemnicy imię tej kobiety, matki mojego następcy, pozwalasz mi myśleć, że nie jest godna takiego zaszczytu. Dla mnie twój upór nasuwa domniemanie, że powi-

nieniem mieć uzasadnione obawy przed wyznaczeniem jej syna na tron. No więc jak, czy każeś mi przysięgać w ciemno, czy też z pełną świadomością rzeczy? Decyduj się! Jestem zmęczony naszą rozmową. Chcę znać intencje egipskich hierarchów, chcę wiedzieć, czy jesteście ze mną czy przeciwko mnie. A więc mów, a jeśli nie chcesz, rozkażę adiutantowi, aby zaraz odprowadził cię do wyjścia.

Rowin zrozumiał, że faraon nie ustąpi.

- Panie i władco mój. Matką twojego syna jest twoja rodzona córka, Merit-Amun.

Wezwanie do kwatery Ramzesa Merenepthah dostał w trakcie porannego posiłku, a Dżawer - przy kolejnym rozpatrywaniu wieści otrzymanych od Pawei. Dowódcy królewskich patroli dobitnie akcentowali konieczność natychmiastowego udania się do namiotu władcy.

Zastali Ramzesa w nadspodziewanie dobrej formie. Uśmiechnął się na ich widok i powiedział:

- Merenepthahu, oddał warty. Siadajcie obaj. O, tutaj, na moim łóżku, Dżawerze, będzie ci wygodniej niż na fotelu. Mam do powiedzenia wiele, zacznę od ciebie, wielki wodzu. Chcę, abyś w mojej obecności jeszcze dzisiaj zaprzysiął Totmesa na wierność księżniczce Merit-Amun, jej przysłemu mężowi - imię jego podam za chwilę - oraz dziecku, które wyznaczam na mojego przyszłego następcę. Chcę, aby po skończonej kaźni Totmes wyjechał do Memfis i tam w moim imieniu na tę samą okoliczność zaprzysiął Hirama. Czy zrozumiałeś mnie dobrze, Dżawerze?

- Twoje polecenia, faraonie, zostaną spełnione. Ale we mnie wszystko się burzy, słysząc nie tyle treść, co ton twoich wypowiedzi. Ty nie rozkazujesz, a wszystko, o czym mówiłeś, jest jakby prośbą kogoś, kto się ze mną żegna.

- Masz rację i nie masz jej, wodzu. To nie pożegnanie, lecz nowy front walki.

Po chwili ciszy zwrócił się do lekarza:

- Dla ciebie, Merenepthahu, mam zadania znacznie trudniejsze, ale ufam, że je wykonasz. Zasługujesz w pełni na to, co ci za chwilę zaproponuję, więcej, rozkażę, abyś przyjął. Te-

raz przestań na mnie patrzeć w ten obrzydliwy sposób, jak na pacjenta. Może moje ciało istotnie jest chore, ale umysł i wola są całkowicie zdrowe. Dorosłeś do tronu tak samo dobrze, jak Banefer do urzędu wezyra. Przestań z tym spojrzeniem, bo uniosę się gniewem. Niedługo arcykapłan Amona na jakiś czas ustanowi cię władcą Egiptu. Zabawne, że Rowin o tym nie wie, ale ja muszę widzieć wszystkie alternatywy losów państwa.

Mereneptah załamał ręce. Dygotała mu broda, drżącym głosem z bólem i rozpaczą powiedział:

- Ramzesie! O czym ty mówisz! Chcesz na mnie i na Egipt sprowadzić nieszczęście? Syn rzeźnika faraonem? Byłbym godzien politowania. To absurd!

- Moje decyzje są nieodwołalne. Mam prawo wyboru. Postanowiłem, że chcę umrzeć godnie, dokładnie wtedy, kiedy o tym zdecyduję, tak jak przysłało faraonowi, dzierżąc w ręku berło i bat, a nie nocnik i kociołek na rzygowiny. Chcę nieść na głowie moją bojową niebieską koronę, a nie męczeńską. W chwili śmierci chcę widzieć trupy pokonanych nieprzyjaciół, a nie śmierzące nogi sanitariuszy.

- Królu! Czy to nieodwołalne?

- Tak, Mereneptahu, moje polecenia są nieodwołalne, nawet jeśli twoje leczenie się powiedzie. Czas, o którym wam mówię, kiedyś nadejdzie. Chcę wówczas być przygotowany. Całą noc rozmawiałem z dychami przodków i bogami. Jestem gotów, jestem czysty, jestem całą prawdą. A ponieważ śmierć przychodzi zawsze, chcę mieć nad nią władzę. Wszystko jedno kiedy, teraz czy później.

- Ramzesie! Czy pomyślałeś, że ginąc z własnej ręki naruszysz swą sławę wojenną, honor, zasługi? Że zostaniesz posądzony o tchórzostwo?

- To kwestia wyboru, a nie przymusu. Kapłani Amona w Tebach nie wiedzą, że sam wybrałem moment własnej śmierci, a nastąpi on wówczas, gdy będę pewien, że już nie mogę zrobić niczego dla kraju, rodu ani historii. Otrzymałem przed chwilą pismo od Rowina i proszę, abyś je dobrze ukrył, Mereneptahu, a w razie niewypełnienia przez hierarchię zobowiązań, osobno daję ci instrukcje, jak należy wówczas postąpić. Dołączam też rzecz najważniejszą: mój plan zakończenia

problemu hetyckiego. Zrozum, chcę z każdej strony ubezpieczyć siebie i kraj.

- Uwierzyłeś Rowinowi Ramzesie? To fanatyk. Jego marzeniem jest państwo kapłanów.

- Przyjacielu, czas naszych polemik dobiegł kresu. Rozkazuje, abys tylko mnie leczył i słuchał, a zaprzestał za mnie decydować. A teraz sprawa ostatnia. Zawrzesz formalny związek małżeński z Merit-Amun. Moja córka, jak nikt w Egipcie, jest predysponowana do pełnienia władzy. To druga Nefertari, a może nawet Hatszepsut. Pamiętajcie oboje: niczego nie obiecałem Rowinowi, na niczym nie złożyłem podpisu. Jeśli państwo faraonów ma trwać wiecznie, musisz mnie teraz zastąpić, abym mógł do końca zrealizować swój plan. Wracając do twojego związku z Merit-Amun... Jestem przekonany, że będziecie znakomitą parą królewską. Ale nie ufaj jej zbyt, moja córka jest kobietą z ciała, a mężczyzną z ducha. Wysłałem do niej pismo nakazujące zawarcie małżeństwa z tobą. Jedną kopię dając ci teraz, drugą na wszelki wypadek powierzyłem wezyrowi.

Zamilkł na chwilę, patrząc na strapienie i żal swoich przyjaciół. Obaj byli jak jego oczy, jak jego ręce.

**.

Od rana przed świątynią Amona zbierały się tłumy. Lepsze miejsca były zajęte od dwóch dni. Niezliczona rzesza widzów oblepiła brzegi rzeki. Setki przeciążonych łódek kotwiczyły w miejscach oznaczonych czerwonymi bojami. Jako pierwszy z dostojników na miejsce kaźni przyjechał Mereneptah w asyście Totmesa i oddziału doborowych łuczników. Podeszli do drewnianego podium usytuowanego na nilowej skarpie. Wokół stali żołnierze ze świeżo sprowadzonej formacji Armii Południe.

- Wszystko gotowe i zgodne z planem - mruknął lekarz. - Czy wódz Dżawer powiedział, na czym polega twoje zadanie?

Totmes przytaknął lekkim ruchem głowy, po czym zbliżył się do dowódcy oddziału łuczników i rzekł.

- Ktokolwiek chciałby się zbliżyć do platformy dla władcy poza linię wyznaczoną przez sznury, z wyjątkiem Dżawera, Mereneptaha, Banefera i mnie, ma być natychmiast zastrzelony. To rozkaz!

- Tak jest - odpowiedział stary kapitan.

Mereneptah wszedł na podium i stanął przy jednym z czterech tronów. Najwyższy, faraonński, z głowami sępa i kobry na zwieńczeniach oparć, symbolizował opiekę bogini Nachbet i Wadzet nad królestwami Południa i Północy. Spojrzał w bok, zauważając, że kwartały dla hierarchii, książąt, arystokracji, urzędników i armii, zostały już szczelnie wypełnione. Wczoraj w centralnej części placu zbudowano podwyższenie przeznaczone dla arcykapłana Amona. Ustawiono na nim zdobiony fotel, przyniesiony ze świątyni. Mereneptah widział w oddali twarz dostojnika, nie kryjącego niepokoju. Panowała cisza przerywana jedynie stukotem kół rydwanów, które wiozły Ramzesa w obrzędowym fartuchu oraz niebieskiej koronie z ureuszem. Władca trzymał w rękach złote berło hecha i bicz nechacha. Na złotym łańcuszku faraon zawiesił sztuczną brodę, używaną niezwykle rzadko i tylko z okazji szczególnych wydarzeń. Ramzes nakazał, aby na podium najpierw wszedł Dżawer, trzymający w prawej ręce symbole wszystkich armii, po czym rozległ się głos tręb bojowych i na tronie zasiadł faraon. Potem zajął miejsce Mereneptah, jako ostatni - Banefer.

Na południu niebo zaczęło ciemnieć, zerwał się lekki wiatr, niezwykle o tej porze dnia. Na pustyni nisko, nad samymi grzbietami wydm, można było zobaczyć wirujące w powietrzu smugi kurzu. Początkowo niewielkie, w miarę upływu czasu łączyły się, tworząc trąby powietrzne. Przesuwały się po horyzoncie pozornie bez sensu i ładu, aby po dłuższej chwili, pchnięte nieznaną siłą, skierować się ku Nilowi. Tam, po zassaniu wody z rzeki, raptownie się rozpadały, rozsypując wokół uzbieraną zawartość. W tłumie szeptano, że to znak nieszczęścia. Rozsądniejsi pukali palcami w czoło, tłumacząc zjawisko tym, iż niebawem przybędzie czoło wielkiej fali. Nie można też było wykluczyć, że woda, zatapiając w górnym biegu bagna, jeziora i zastoiska, zagarnęła w swój potężny nurt stada rozjuszonych krokodyli, które straciły żerowiska. Tak zdarzało się co roku i o tym wiedział każdy Egipcjanin. Zawsze na wodzie i w powietrzu może powstać wir, gdy płynący na powierzchni piętnastołokciowy potwór machnie ogonem, budząc boga Sobka.

W powietrzu wyczuwało się smród strachu i tej wstydlivej, źle ukrywanej chęci świadczenia cudzemu bólowi i cierpieniu. Oba zapchane ludźmi brzegi kulminowały gotowość. Z jednej strony w uświadomionej trwodze zachowania własnego bytu, z drugiej zaś w tej wstrętnej, niemożliwej wręcz do przezwyciężenia ciekawości zobaczenia i zapamiętania scenariusza zaprogramowanej w detalach cudzej męczeńskiej śmierci. Tłum zwarł ciała i myśli rozumiejąc, jak wspaniale jest móc to wszystko przeżywać stojąc w tłoku na palcach, opierając się łokciami o sąsiadów, zaciskając zęby, mrużąc oczy aż do bólu. Niby nie patrząc, widzieć najdokładniej wszystko. Nie tylko po to, aby nie przeoczyć momentu przybycia śmierci, lecz również aby poczuć w pełni smak życia.

Wiedzieli, że tę kaźń wyreżyserowano po to, aby zrozumieli, jak niewiele dzieli granice obu bytów i jakim idiotycznym bałaganiarzem może być los. Oni sami znaleźli się w tłumie widzów, bo nie dołączyli do spisku, do winnych, i na szczęście ominął ich zwykły przypadek. Gdyby teraz ktoś im powiedział, że rozejście się tłumy uniewinni tych nieszczęśliwych, ciągniętych na umęczenie, czuli by się pokrzywdzeni. Może nie chcieli się przyznać do ukrytych obaw i własnych znanych lub nieświadomych cech, lecz teraz, będąc razem, lubili i chcieli się bać. Nawet przed sobą samym nie wstydzili się tej nieoczekiwanej pewności, że nadchodząca krwawa jatka, ból kilkuset, ich śmierć, już teraz dają wszystkim widzom niesłychanie rajujące podniecenie, gdy własny duch kurczy się i staje twardą kulka w gardle, wyzwalającą słony smak zagryzionych warg, a w końcu raptowne bicie serca, w którego rytm umysł mówi: to oni, a nie ja, to oni, a nie ja, to oni, a nie ja...

Do tłumy z czterech stron zbliżał się pochód złożony z ofiar, eskortowanych przez czarno odzianych żołnierzy - po sześciu na jednego skazańca. Tłum zamilkł i wolno zaczął się rozwarstwiać, wpuszczając oddziały egzekucyjne.

Po chwili pierwsze eskorty dotarły na wyznaczone miejsce i ustawiły się przy wkopanych w ziemię konstrukcjach. Słychać było jęki, skowyt i niezrozumiałe słowa, wypowiedane przez na wpół zameczonych ludzi. Tłum zwarł się w sobie, jakby chcąc zaznaczyć swoją jedność, zademonstrować, że żadna

siła nie zdoła z niego wyrwać nawet najmniejszej cząstki. Ci, którzy na samym wstępie zemdleli lub zmarli, stali nadal, trzymali siłą zbitego szczelnie zbiorowiska, wpatzonego w linie krwi znaczące drogę konwoju. Powietrze zgęstniało od oczekiwania będącego nie wypowiedzianą zachętą oraz zbiorowego śmierdzącego lęku, nie będącego dezaprobatą dla widowiska śmierci, a ta miała zjawić się niebawem wraz z przybywającą w ciszy Sachmet. Tłum zrozumiał, że to, co za chwilę ma się stać, wypełni się dopiero wtedy, gdy dramaturgia osiągnie szczyt. Przecież apogeum najwyższej ciszy w oczekiwaniu na kaźń tych trzystu miało utrwalić się w pamięci na zawsze.

Ramzes wstał i powiedział jedno zdanie:

- Tym zdrajcom narodu karę wymierzy Nil!

Podniósł prawą rękę do góry. W tym samym momencie wzbilo się w niebo potworne wycie. Przerazenie wykrzywiło twarze widzów. Żołnierze zaczęli prostować pale z ludźmi i wkładać je w środek przygotowanych trójnogów. W miarę unoszenia w górę skazani pod własnym ciężarem wbijali się na zaostrome drzewca coraz głębiej. Tak długo, jak starczało sił, każdy z nieszczęśników mógł przedłużyć swe życie, trzymając się wyprostowanymi rękoma po to właśnie przytwierdzonych do pali poprzeczek. Palce skazańców zacisnęły się kurczowo. Słychać było rżenie tych, którzy słabli, trzask żeber rozrywanych przez narzędzie śmierci, chłopot krwi. W niebo uniósł się niesłychany krzyk, jęki i skomlenia o dobiecie. Niektórzy szarpali się gwałtownie w górę i opadali jeszcze głębiej. Wszystkie pale spływały ludzką posoką. Sinoczerwone twarze umęczonych pokrył krwisty pot, wszędzie lśniły bielą wyszczerzone zęby, błyskały białka wychodzących z orbit oczu. Tłum śmierdział moczem, kałem i potem, ale zastygły z grozy trwał w samoobronnej myśli, że wszystko, co widzi, nie jest snem, ale darem losu i nieogarnionym szczęściem. Nad brzegiem gęstniał geometryczny las ciał nanizanych na pale, skreślających się w bólu jak robaki na haku wędki. Część skazanych już umarła, inni wzywali bogów, faraona, los, krzyczeli o niewinności, prosili łuczników o celny strzał, przeklinali Irinefera.

Widzieli wezyra, osadzonego na palu najgłębiej zanurzonym w wodzie. Wyglądał niepozornie, jak niewielkiego wzro-

stu nastoletni chłopiec siedzący na gałęzi. Nie miał już w sobie nic z potęgi władzy. Jego nagość uświadomiła zebranych upiorne oszustwo, stwarzane przez szatę, oprawę i ceremoniał. On sam nie czuł nic, nie widział, nie słyszał; był zupełnie gdzie indziej. Teraz rozmawiał z bogami o abstrakcji władzy i potędze liczb, złudności praw i potędze nauki, dostosowaniu prawideł do epoki a wiedzy do rzeczywistości, tę zaś przyrównywali razem do bezmiaru wszechświata. Uśmiechnął się. Czyżby bóg był całkowicie względny i w nieskończoności się rozdzielał, tworząc przestrzeń i przenikanie?

Tysiąc oczu patrzyło na niego, oczekując szarpaniny, krzyków, błagań, jęków i prośb. Jego upadek i kaźń miała - i powinna - być większa niż pozostałych, gdyż to on rozmnożył zdrajców, stojących teraz na palach twarzą w twarz z nim. Gdyby ból i nienawiść mogły rozszarpywać, cząstki ciała Irinefera unosiłyby w powietrzu same tylko spojrzania ofiar kaźni i milczącej widowni.

Nie doczekali się niczego więcej, wciąż widzieli ten sam uśmiech dziecka. Nastrój tłumu raptownie się zmienił. Nienawiść i szaleństwo przesuwały się w kierunku wezyra jak ściana. Tłum wydawał okrzyki, zaczął ciskać kamienie, wrzeszczał, wył. Gdyby nie żołnierze, rozjuszona gawiedź wpadłaby w wodę i zaczęłaby gryźć, skubać, rozszarpywać palcami tego, który niedawno jednym słowem i skinieniem mógł ich wszystkich unicestwić. Żołnierze obnażyli miecze i obrócili się w stronę tłumu, łucznicy napięli cięgiwy. Dopiero ten widok uspokoił szaleńcze pragnienie zemsty rozjuszonego zbiorowiska. Ludzie dostrzegli wreszcie między sobą zemdlonych i chorych oraz ze zrobiło się ciemno i słychać grzmoty.

Niedaleko z hukiem i suchym trzaskiem ugodził w wodę piorun. Arcykapłan Amona szeptał cicho, a później coraz głośniejsze:

- Amon odwrócił się od nas.

Powtarzał te słowa w takim przerażeniu, że wokół zaczęli grupować się ludzie, a serca żołnierzy napełnił lęk.

Dżawer z niepokojem patrzył na faraona. Władca z minuty na minutę robił się bledszy. Na jego czole pojawił się kroplisty pot, wargi zszarzały, a rysy twarzy się zaostrzyły. Nagle z rąk

faraona wypadło berło, w chwilę później bat, jego głowa wolno opadła na piersi i ciało Ramzesa zważyło się na podest. W stronę Nilu wolno toczyła się błękitna korona. Spadłaby do wody, gdyby nie Merenepthah. Lekarz dopadł ją i wziął nabożnie w obie ręce, następnie postawił na siedzisku tronu i wolno podszedł do faraona. Chwycił rękę władcy szukając pulsu, podniósł powiekę, stwierdzając poszerzenie źrenic. Zebrał z podestu berło i bat. Staął, rozłożył bezradnie ręce, w których trzymał symbole panowania. Płakał.

Cały naród, kapłani, dowódcy, arystokracja, żołnierze zastygli w przerażeniu. Nad Tebami huczały grzmoty. Niebo między chmurami rozświetlały oślepiające błyski. Nikt już nie zwracał uwagi na umierających. Teraz wiadomym się stało, że ginie cały naród. Lęk przesunął się jak gigantyczny walec, narastając niczym spiętrzona burza fala, karmiąc się milczeniem i strachem zbiorowiska. W końcu z impetem uderzył w tłum i w ogłuszonego wydarzeniami, zdumionego Rowina. Chaotycznie biegnące myśli arcykapłana Amona burzyły kolejne bariery wyrachowania i chłodnego myślenia. Hierarcha przez ułamek chwili poczuł się, jakby był jednym z ludu. Ale to uczucie ustąpiło tak samo szybko, jak się pojawiło. Oto nastąpił przełom dziejowy, a on już nie mógł grać roli animatora. Pozostawiono mu jedynie rolę widza, świadka przemyślnie zaplanowanej akcji. Ten perfidny Ramzes znalazł wyjście z matni, całkowicie unicestwiając sieć misternie plecionych intryg.

Czy tylko sieć intryg? A może wszystko, co uważał za cenne? To nie przypadek, Ramzes i Dżawer - doświadczeni strategowie - przewidzieli najdrobniejsze szczegóły i bez wątplenia wyznaczyli cenę. Jakie to są szczegóły, co nastąpi dalej? Co - lub kto - jest ceną? Kto zapłaci? Czyja teraz kolej? Odpowiedź nie była trudna. Zobaczył unoszącego się z tronu wielkiego wodza, patrzącego w kierunku łuczników libijskich, trzymających broń skierowaną w stronę tłumu. Rowin zmartwił. A więc i do mnie? Czy to możliwe? Myślał, że zemdleje, gdy jego wzrok padł na rezerwowe pale śmierci. Amonie! Czy to, co ma być kulminacją, dopiero się wydarzy? Ostatkiem sił jego wyobraźnia starała się znaleźć szczelinę w zapadni otwierającej przepaść bez dna. Wtedy nagle zobaczył tę jedną jedyną,

ostatnią szansę. Wiedział, że jeśli nie zdoła jej natychmiast wykorzystać, nastąpi koniec jego, hierarchii i całego daleko-osiębnego planu.

Nastał moment, w którym przez wybranych mówi bóg. Arcykapłan Rowin wstał, podniósł ręce i krzyknął:

- Ludu Teb! Oto wypełniło się proroctwo, w którym Amon objawił przyszłe wydarzenia wielkiemu wodzowi Dżawerowi. Dziś na waszych oczach bogowie zabierają na sąd dusze zdrajców, jacy wystąpili przeciw państwu. Oby nie zmieniły się w złowrogie, krwiożercze demony. Nasz władca udał się do bogów świata podziemnego z misją, by ustrzec lud Egiptu przed zaburzeniem spokoju sprawiedliwych. Faraon Ramzes już dawno poznał znaki i decyzje bogów. Zgodził się z nimi i czekał na ich wezwanie, prosząc Ozyrysa, aby państwo nie wpadło w anarchię. Powiem wam więcej: kilka dni temu nasz władca w największej tajemnicy zwrócił się do Amona o wskazanie następcy. Bóg teraz dał oczekiwany znak. Jego łzy spadają na was z nieba wraz z deszczem.

Arcykapłan podniósł głos:

- Oświadczam wam, że z woli Amona waszym faraonem i od tej chwili bogiem jest ten, który trzyma berło i bat: Mereptah.

Podniósł obie ręce do nieba:

- Proroctwo w całości się wypełniło. Ludu Teb! Oddaj hołd nowemu władcy!

Padł na kolana i wyciągnął ręce w hołdowniczym geście. Za nim to samo robiły kwartały urzędników, dowódców, notabli, arystokracji, hierarchii, a w końcu lud.

Nikt nie widział, jak ogromna fala przyboru zatapia plażę, podchodzi Irineferowi do ust i nosa. On zaś na moment zobaczył żółte oczy ogromnego krokodyla, otwierającego paszczę, aby jednym kłapinięciem szczęk wyrwać wezyrowi obie nogi. Nie czuł bólu. Był nieskończenie daleko. Widział, jak światło słońca pełznie wolno po podłodze świątyni Abu-Simbel, podnosi się, rozjaśnia i oświetla tron i postać Ramzesa II. Wtedy umarł.

Rozległy się śpiewy kapłanów. Ustawili się w dwuszeręgu i wolnym krokiem zmierzali w kierunku podium. Łucznicy na-

pięli łuki. Ich dowódca patrzył na Mereneptahia, który rozłożył ręce w bok na znak pokoju. Zluzowano cięciwy, strzały schowano do kołczanów. W niebo wznosiła się coraz głośniejsza pieśń, śpiewana przez kapłanów i wiernych. Żołnierze unieśli Ramzesa na ramiona. Obok władcy, trzymając jego rękę w swojej, szedł Mereneptah, modląc się o szansę, najmniejszą szansę, i jego wołanie chyba dotarło do Imhotepa i Tota, bo oto pod opuszkami palców poczuł lekkie tętno. Cicho rzucił do dowódcy łuczników libijskich:
- Pędem do garnizonu!

••

Świątynię Amona wypełniał płacz ludu i śpiew chórów. Nikt już nie zwracał uwagi na trzystu ginących ludzi, szczęśliwych, gdy kołek wreszcie przebijał im serce. Nie było nikogo, kto przepędzałby rozszalałe krokodyle, rozbijające potężnymi cielskami wątle pale. Sachmet leciała teraz w stronę pól do więzień, po kobiety, dzieci i podejrzanych. W Tebach zostawiła w wodzie świętych pomocników, którym w akcie zemsty i kary pomagał bóg Sobek.

Wstawał świt. Arcykapłan Rowin przyszedł nad rzekę. Po kaźni nie pozostało nic, żadnego śladu, tylko niezmacone lustro wody. Ramzes jak rzeczywisty bóg przewidział, że Nil wyznaczy sprawiedliwą karę. Z pobliskiej świątyni dochodziły głosy kapłanów, intonujących hymn uwielbienia. Amon-Ra oczekiwał stosownej chwili, aby dać się przebłagać. Rowin postanowił wrócić do siebie, szukać nowej szansy. Nie zauważył małej żaglowej łodzi odbijającej od przystani. Totmes wypłynął nią do Memfis.

ROZDZIAŁ 21

Do Teb pozostało jeszcze kilka dni podróży wodą, gdy do Merit-Amun dotarła wiadomość o śmierci Ramzesa. Myślała, że oszaleje z rozpaczy i bólu po stracie mężczyzny, który był dla niej wszystkim. Nieoczekiwanie cała jej rzeczywistość oraz dotychczasowy system wartości, jaki znała, uległy ruinie. Przypomniała sobie jedną z przestroż dla władcy, którą słyszała z ust Setiego: „Pamiętaj, że ludzie są, jacy są, w głębi duszy zawsze niezadowoleni. Przypisują brak własnych sukcesów tym, coTii-mi rządzą, dlatego zawsze oczekują zmiany władzy. W dziecinny sposób wyobrażają sobie, że bez ich własnego wysiłku pojawi się nowa szansa, odmieniająca życie. Takie pragnienie wystarczy, aby w momentach dla królestwa trudnych znieść panującą dynastię, aby zastąpić ją następną, na ogół gorszą. Uczucia poddanych są całkowicie nieprzewidywalne i zupełnie niezależne od tego, jakie osiągnięcia ma faraon. Nieważne, że na odmianie mało kto skorzysta, ale tłum odzyskuje spokój. A w końcu pamiętaj, że władza wtedy dopiero może patrzeć ze spokojem w przyszłość, gdy lud wyrzuci z siebie żądania”.

Merit-Amun była całkowicie pewna, iż po śmierci Kaima i Ramzesa właśnie ją utożsamia się z tronem, władzą i uciskiem. Jak złowrogi demon pojawił się lęk o życie. Nagle zobaczyła las gniewnie uniesionych rąk i szalone spojrzenia poddanych, nowo obwołanego faraona, zadufane gęby dostojników, rozbiegane spojrzenia spiskującego haremu, zaniepokojone oblicza wodzów wyczekujących armii oraz kamienne postacie hierarchów, szykujących się do przykłaśnięcia zwycięzcy. Oczy tych wszystkich ludzi patrzyły na nią pożądliwie i bezwstydnie, wyzbyte udawanej poprzednio miłości, oddania i poświę-

cenia. Nie dostrzegła żadnych wahań, skrupułów, wyrzutów sumienia, widziała za to cyniczną bezosobowość i wyrachowanie oraz ogromną ulgę, wynikającą z pozbycia się wdzięczności za nie' tak dawno nadane przywileje. Czowała zbliżające się zagrożenie. Wiedziała, że rodzi się ono z głęboko ukrytego niezadowolenia i raptownie przemienia je w gniew, aby w całej okazałości ujawnić się w chwili, gdy władza na moment słabnie, a symbole siły - berło i bat - jeszcze niepewnie tkwią w rękach panującego. Do władcy wyciągają się liczne ręce - po beneficja, urzędy, majątności, ręce oczekujących na nagrody za poparcie i współdziałanie, za milczenie i posłuszeństwo. Obok machają liczniejsze, poruszające palcami tych oto poddanych, którzy nie znaleźli w sobie zasług, mogących spowodować przychyłność faraona, ale ufnych, że jej kiedyś doznają. Widziała ten gąszcz rąk i palców, pożądających lepszego losu, tę łąpczywą chciwość, aby wyrwać dla siebie własne terytorium w nowym układzie siły, która niebawem powinna dzielić z nimi wszystko, co posiada.

Rozumiała uczucia poddanych i nie dziwiła się, że aprobują nowe. Wystarczyło byle co, chociażby uczestnictwo w widowisku unicestwiania panującej dynastii. Wiedziała, że jest władczynią i że będzie musiała walczyć o wszystko.

Dlatego od kilku dni ukrywała się na mokradłach wśród zaostois, bagien i chaszczy, które w okresie przyboru Nilu zmieniały się w rzekę, nie wiadomo dlaczego noszącą nazwę Wadi-Abraham. Jej wody w porze wylewu płynęły na północ, nawadniając oazę Fajum. Z wierchołka masztu, gdyby go nie kazała zdjąć, można byłoby zobaczyć szeroką wstęgę leniwie płynącego Nilu, a na przeciwnym jego brzegu milczące, opuszczone ruiny dawnej stolicy, Achetaton.

W tym wszystkim, co się wydarzyło w Tebach, dostrzegła ściśle zaplanowaną i wykonaną akcję, a nie zrządzenie bogów. Jej zdaniem tylko głupiec mógł uwierzyć w splot przypadków, jeśli prawie w tym samym czasie następuje śmierć władcy, wezyra i następcy tronu. Była przekonana, że dokładnie zaprogramowano konfigurację cyklicznie krążącej zagłady, mającej w końcu dotknąć również ją samą. W tym miejscu była gotowa uwierzyć w szczęśliwy bieg losu, który zapewne spowodował

asynchronię orbit śmierci. Być może uratował ją zaplanowany wcześniej wyjazd.

Nie mogła dojść przyczyn, dla jakich Ramzes zatracił instynkt przewidywania wypadków. Coś musiało wpłynąć na tę najczulszą, najbardziej wrażliwą ze strun władzy, w muzykę której nieustannie wsłuchuje się każdy panujący. W rachubę wchodziła nieświadomość ojca albo oszustwo, jednak najbardziej prawdopodobna była misterna manipulacja. Wiedziała, że jeśli przeżyje, uczyni wszystko, aby tajemnicę rozwiązać. Przypomniała sobie, jak w Pi-Rames zwróciła Ramzesowi uwagę, iż mało krytycznie osądza Merenepthaha, nawet przerwała wątek rozmowy, wskazując na napisy, które w gabinecie kazał wyryć Seti. Pamiętała, co odpowiedział: „Kiedyś były inne czasy, a ja i twój dziadek różnimy się charakterami. Nie znoszę samotności, a ten lekarz towarzyszy mi od dzieciństwa, w dobrym i złym”.

To był cały Ramzes, przekonany o swojej nieomyślności. Sam jej mówił, że na szczyt władzy nikt nigdy nie wchodzi przypadkiem, a władza nie jest gównem, w które można wdepnąć, chociaż w swojej istocie jest jego esencją. Cóż się takiego stało, że jeszcze za życia ojca jego miejsce na tronie zajął Merenepthah? Ludzie mówią, że tak stało się z woli i inspiracji panującego, ale czy naprawdę? Do tej pory w Egipcie nie było wypadku czasowego przekazania najwyższego urzędu. Więc kim jest ten lekarz? Do tej pory pozostający w głębokim cieniu, nie narzucający się, dyskretny, bezinteresowny. Czyżby Ramzes mylił się co do jedynego człowieka, któremu pozwolił na tak wielkie zbliżenie do siebie? A w końcu, kim jest obecnie panujący faraon? Przyjacielem czy wrogiem? Do niedawna informacje o nim były tak samo nieważne, jak raport o stanie pogłowia jaszczurek. Teraz wszystko się zmieniło. Ramzes, żrenica jej oka, nie żyje i nigdy nie wróci, nie przytuli, nie obroni.

Przez dwa dni płakała, wspominała dzieciństwo, wczesną młodość i te okresy życia, w jakich dane im było być razem. Zmarły jawił się w jej pamięci w wielu wzajemnie przenikających się płaszczyznach, najczęściej jednak jako tata - gdy pieścił i brał na kolana, pozwalał zaprowadzać się do ukochanych zabawek i zwierząt, umiał usunąć niepokój i wątpliwości

dziecka, łagodnie uśmiechnięty, zawsze traktujący ją serio. Przypominała sobie, jak kiedyś, oburzony, zwrócił jej uwagę, iż nawet pięcioletnia księżniczka nie spoufala się ze służbą, a wydaje polecenia. Uczył dystansu do ludzi i nieufności do tego, co mówią. „Wiedz o tym - powiadał - że w każdym człowieku jest więcej dobrego niż złego, ale dobro na ogół spoczywa na samym dnie, przykryte z wierzchu złem. Władca, jeśli chce panować, powinien nauczyć się docierać tam, gdzie zamierza. A najlepszą drogą w tym względzie jest sięganie do ludzkich marzeń. Ale pamiętaj, jedynie upływ czasu pozwala ocenić z właściwej perspektywy wartość ludzi”.

Usiłowała odpędzać od siebie myśli, ale powracały, nie pozwalając spać. Przez długi czas nie wychodziła z kajuty, chcąc przełamać w sobie żal dziecka za tatą, córki za ojcem, księżniczki za władcą, kochanki za umiłowanym, niedoszłej żony za mężem.

Któregoś dnia rano kapitan powiedział, że skończyły się zapasy wszystkiego, także wody. Nie była przygotowana do rozwiązywania takich spraw. Nieoczekiwanie pojawiło się widmo głodu i pragnienia. Dni i tak były nieznośne z powodu spiekoty, w nocy roje krwiożerczych komarów zmieniały ludzi w łachmaniarzy, okrytych wszystkim, co tylko możliwe. W obawie przed wykryciem zabroniła palić ogień, choć jedynie dym stanowił skuteczną obronę przed rozjuszoną hordą insektów. Nagle przypomniała sobie fragment wczorajszego snu: skarżyła się Ramzesowi, że tak nieoczekiwanie zostawił ją samą w okrutnej niepewności, w lęku zarówno o życie jej i dziecka, jak i o los kraju. Widziała spokojną twarz faraona, słyszała słowa: „Zaspokój jak najszybciej trzy swoje głody”. O czym on mówił? Raptem olśniła ją myśl: ojciec przecież jasno wskazał na wysublimowane pragnienia pomagające utrzymać w rękę państwo - głód informacji, wiedzy i władzy. A może chciał powiedzieć po prostu: przestań się bać? Zamknęła oczy i długo o tym myślała. Krzyknęła cicho, gdy dotarł do niej drugi sens wyśnionej wypowiedzi. Nieoczekiwany i radosny. Przecież przełomowy fakt, że jest w ciąży, nie jest kaprysem losu, a darem bogów. Ramzes musiał o tym wiedzieć, przewidział rozwój wypadków i nadejście śmierci, umarł tylko dla poddanych.

Dla niej żyje w dziecku, które nosi w łonie. A więc niewiele się zmieniło, teraz ma go w sobie, tak samo jak tamtej szalonej nocy. Są razem, nierozdzielni. Położyła rękę na brzuchu i mocno go przycisnęła. Nie czuła nic, ale wiedziała, że tam jest. Nabrała pewności, że ona, Merit-Amun, obejmie tron. Uśmiechnęła się radośnie do swoich myśli.

Uwolniona z większości dręczących ją obaw, przystąpiła do energicznego działania. Poleciała kapitanowi, aby wysłał ludzi do niedalekich źródeł po wodę. Wydała kilka sztuk biżuterii, rozkazując kupić żywność, a w pobliskim Habenu rozpytać o najnowsze wiadomości. Wieczorem dowiedziała się, że służby faraonские szukają jej po całym kraju, ale cel tych działań nie został ujawniony. Przypomniała sobie słowa Anhere o roli rezydenta wywiadu Izraela w Egipcie. Jeśli prawdą jest, że Żydzi potrafili na szczyt państwa wprowadzić Irinefera i Nefertari, to tym razem mogli zapragnąć zrealizować do końca cały swój plan. Postanowiła praemyśleć problem. Zjadła kilka słodkich fig odczuwając mdłości, ale była spokojna. Czyżby łatwe przejście z rozpacz do równowagi było tylko wynikiem ciąży, a powiększający się brzuch wpływał na jej umysł? Odrzuciła tę myśl i po raz pierwszy próbowała przywołać w wyobraźni widok swojego syna. Teraz jest malutki, nie można go zobaczyć. Czy jest zdrowy i posiada wszystko, co trzeba? Nie miała wątpliwości. Była pewna, że nosi w sobie mocne, zdrowe dziecko. Zostanie faraonem, wielkim wodzem i władcą, panem wszystkiego. Ale najpierw będzie słodko gaworzył, potem śmiesznie pełzał, później rozkolebanym truchtem chodził, padał, a w końcu powie pierwsze słowo: „mama”. Nauczy go drugiego: „Ramzes”.

Wyszła na pokład. Nad Achetaton unosił się ogromny księżyc. Patrzyła w rozgwieżdżone niebo, a noc pachniała skwarem umarłego dnia, w powietrzu uwijały się nocne motyle, między którymi bezszelestnym lotem przemykały nietoperze.

Przeszła na uniesioną rufę. Przed nią rozpościerał się łąn przemieszanych roślin wodnych. Wstawał szary świt, nieśmiało zaznaczając swoje przybycie przez ujawnienie z ciemności pierzastych kwiatostanów. Nieco później ujrzała niewielką łódź, wyłaniającą się z zarośli. Na dziobie stał wysoki, siwy wioślarz.

Cichym głosem kaczkę dał sygnał, po czym odbijając się długą tyczką od dna, wpłynął na niewielki pas odkrytej wody. Za nim w szeregu podążały liczne łodzie. Naliczyła przeszło trzydzieści, a w nich uzbrojonych mężczyzn. Serce podeszło jej do gardła, poczuła gwałtowny lęk, nie miała siły się poruszyć ani krzyknąć. Zderzenie było nieuniknione. Z odległości kilku kroków zobaczyła zdumienie siwego przewodnika flotyli. Nie zdążył wyhamować swej łódki, a ta z cichym stukiem uderzyła w burtę statku. Całkowicie zaskoczony wiosłarz patrzył na królewską córkę i milczał. Po chwili pozostałe łodzie otoczyły statek. Nagle rozległ się czyjś głos:

- To Merit-Amun, córka faraona!

Spojrzenia ludzi uległy zmianie. Widziała mieszaninę pokory, trwogi i nienawiści na poszczególnych twarzach. Powiedziała cicho:

- Tak, ukrywam się tutaj, gdyż mojemu życiu zagraża niebezpieczeństwo. Kto jest waszym przywódcą?

- Ja. Na imię mi Torseth - odpowiedział siwy przewodnik flotyli.

- Oddal swoich towarzyszy, a sam przyjdź do mnie.

Uczynił, co kazała.

- Co robisz na mokradłach?

- Pani, mam synów, których kiedyś fałszywie oskarżono, groziła im śmierć. Miałem do wyboru oglądać ich kaźń albo uciec i być z nimi.

- A pozostali ludzie?

- To uciekinierzy. Oczekują na amnestię nowego władcy, a jeśli ta nie nastąpi, poszukają szansy życia w innych krajach.

- Co ci wiadomo o mężczyźnie, który oznajmił, kim jestem?

- Znaleźliśmy go niedawno ukrywającego się w przydrożnych zaroślach. Był głodny i wyczerpany. Bał się władzy tak samo jak my.

- Obiecuję, że dokładnie zbadam sprawę twoich synów.

- Pani, mówię prawdę. Nasz nomarcha sfalszował protokół o dostarczonych zbiorach i zabrał naszą ziemię, aby dać ją w prezencie nałożnicy. Moi synowie pobili go, a on w sądzie zeznał, że zamierzali zabić. Czym są nasze sądy, księżniczko?

- Nie odpowiem w tej chwili - powiedziała Merit-Amun - ale jeśli ty i twoi ludzie pomożecie ocalić mi życie, wszystkich was spotka nagroda. Z wyjątkiem tych, którzy kierowali się chciwością, żądzą władzy lub zemstą i na skutek tego wystąpili przeciwko mojemu ojcu. Powiedz o tym swoim ludziom, a potem przywieź tutaj mężczyznę, który znał moje imię.

Torseth oddalił się. Po krótkiej dyskusji jedna z łodzi zawróciła, jej właściciel widocznie nie zamierzał poddać się osądowi księżniczki. Widząc to, Merit-Amur wezwała łuczników i poleciła zastrzelić uciekających. Kiedy okrwawione ciała zabitych zwisły z burt, księżniczka wykrzyknęła:

- Moi poddani! Ci, co wybrali nieposłuszeństwo, musieli zginąć, ale wam nic nie grozi.

Odpowiedziała jej cisza nabrzmiała strachem i poddaństwem. Księżniczka poczuła się pewniej. Oto nieoczekiwanie pojawiła się szansa, że w tej dzikiej, niedostępnej okolicy zyska pomocników, dzięki którym, szereg codziennych, problemów będzie mogła skutecznie rozwiązać. Natychmiast trzeba tych ludzi wysłać do Hebenu. Mieszkańców rzecznych sitow nikt nie weźmie za jej popleczników, obsługi zaś własnej łodzi nie była całkiem pewna.

•

Przebywając wciąż w lochach, coraz bardziej traciłem rachubę upływającego czasu. Nie miałem pojęcia, czy na zewnątrz jest dzień czy noc ani jak długo tutaj przebywamy. Wielokrotnie zastanawialiśmy się z Tillit nad przyczynami tak głębokiej izolacji, jak i milczeniem Merenepthaha. Jego brak zainteresowania losem własnej córki był co najmniej zastanawiający. Od strażników oczywiście nie dowiedzieliśmy się niczego. Tillit rozważała różne, najczęściej katastroficzne rozwiązania naszej sytuacji, podkreślając w rozmowach swoje przeczucie, że Merenepthah nie żyje. Z taką możliwością trudno się było nie zgodzić. Usiłowałem ją pocieszać, ale czyniłem to bez większego przekonania. W ten sposób upływał nam czas w monotonnym rytmie dostarczanych przez żołnierzy posiłków. Kończyliśmy spożywać najobfitszy, gdy usłyszeliśmy tak dobrze nam znany odgłos zakładania desek na moście. Zoba-

czyliśmy światło, a wkrótce dotarli do nas żołnierze. Dowodzący nimi oficer wskazał na mnie palcem i powiedział:

- To on.

Sprawnie związano mi ręce na plecach, a na głowę zarzucono kaptur z otworem na nos. Tillit wrzeszczała, usiłując wyrwać mnie z rąk prześladowców. Obie z Mią szlochwały i rozpaczały. Słyszałem ich cichnące głosy, gdy prowadzony przez żołnierzy, szedłem podziemnym korytarzem. Nie odzywałem się wcale, bo i po co? Najpierw szliśmy, potem jechaliśmy rydwaniem i krótko płynęliśmy łodzią. W końcu kazano mi stanąć i nie ruszać się. Ktoś rozciął sznur krępujący moje ręce i zdjął z głowy kaptur. Przede mną stał Merenepthah. Spojrzał na mnie z taką czułością, jak polarnik na ostatniego psa w zaprzęgu. Do sprawy przystąpił bez najmniejszego wstępu.

- Masz możliwość ocalenia życia albo czeka cię śmierć. Możesz wybierać.

Wzruszyłem ramionami.

- Coś za coś?

- Właśnie tak. Chodzi o faraona. Jest nieprzytomny, wymiotuje treścią wyglądającą jak rozwodniony węgiel, a z jego odbytu wycieka smoła. Przyczyną jest silny wewnętrzny krwotok. Nie umiemy leczyć tej choroby. Ciebie ściągnąłem, abyś uzdrowił władcę swoimi sposobami lub sprawił, żeby odzyskał świadomość i siły. Jeśli tego nie dokonasz, zginiesz.

- Najpierw chcę zobaczyć i zbadać chorego. Leczyć zaocznie nie można. Poza tym dysponuję tylko pamięcią i gołymi rękami.

- Spełnimy wszystkie twoje polecenia, a faraon leży w sąsiednim pomieszczeniu. Tam możesz go zbadać.

Diagnoza Merenepthaha była trafna.

- Znam jeden sposób, ale ryzykowny - powiedziałem. - Można spróbować go zastosować, jednakże muszę przeprowadzić wiele czynności przygotowawczych. Od razu zrobić nie można nic, a faraon może umrzeć wcześniej.

- Wyszczególnij, czego ci potrzeba, a ja dostarczę wszystko, czego żądasz.

Dałem mu trzy długie spisy, nie zdradzając przeznaczenia poszczególnych pozycji.

Mereneptah z zainteresowaniem przestudiował treść kartek i nie zadając żadnych pytań powiedział:

- Banefer dostarczy wszystko tak szybko, jak jest możliwe. Ale zastanów się raz jeszcze, Neferze. Może o czymś zapomniałeś?

- Masz rację. Ostatnia sprawa i najważniejsza: sam nie dam rady, potrzebne są ręce dwóch lekarzy. Będę ci wydawał instrukcje. Jeśli mi odmówisz, rezygnuję już teraz.

Spojrzał mi prosto w oczy i bez namysłu powiedział:

- Pomogę ci.

Rano dostarczono wszystko, czego potrzebowałem. Ramzes jeszcze żył. Od wybranych żołnierzy i nieprzytomnego faraona pobrałem niewielkie porcje krwi, które starannie oznakowałem. Następnie próbki przelałem do szklanych buteleczek, szczelnie je korkując. Zestawy oddałem Mereneptahowi polecając, aby jego pomocnicy zawiesili je na długich sznurkach i kręcili nimi w powietrzu tak długo, aż sam stwierdzi, że krew podzieliła się na dwie warstwy, jasną i ciemną. W ten sposób otrzymałem krwinki na dnie naczyń, a surowicę na wierzchu. Następnie rozgrzałem trochę wosku i wylałem go na powierzchnię płytek z zagłębieniami. Nadmiar szybko ściekł, a po wyschnięciu w zagłębieniach pozostała cienka woskowa powłoka. Z próbek pobranych od żołnierzy wpuściłem do zagłębień po kilka kropel surowicy. Zlałem żółtawe osocze Ramzesa, a jego krwinki kilkakrotnie przemyłem wodą z dodatkiem soli. W końcu ostrożnie wpuściłem krwinki faraona do surowic dawców, sprawdzając pod dobrym światłem, czy zachodzi reakcja kłaczkująca. W próbkach o numerach 1, 4 i 9 jej nie było. Oznaczenie powtórzyłem jeszcze raz, uzyskując taki sam rezultat.

- Mereneptahu, żołnierzy oznaczonych tymi numerami uspij, a potem dwóch z nich każ zanieść do pomieszczenia faraona. Nosze z nimi niech ustawią tak, aby łokcie ich obu znalazły się blisko ramion Ramzesa.

Następnie dokładnie wygotowałem rurki w kształcie litery S, a po wyschnięciu przemyłem je wydestylowanym alkoholem i zawiesiłem na nici rozciągniętej w poprzek jednego z garnków.

- Teraz zostaniemy sami - powiedziałem do Merenepthaha.
- Niech wszyscy wyjdą. Uważaj, lekarzu, wszystko, czego będziesz świadkiem, jest przeznaczone wyłącznie dla ciebie. Jeśli tę wiedzę przekażesz dalej, będą ginąć ludzie.

Merenepthah wykonał nieokreślony ruch głową, ale nic nie powiedział. Zbliżyłem się do faraona. Wyglądał marnie. Jego tętno było słabe i nieregularne. Dokładnie obejrzałem oba przedramiona władcy, nie znajdując uwypukleń naczyń, widzianych wcześniej. Krwotok wewnętrzny pogłębiał się. Znalazłem i wypreparowałem prawie zupełnie zapadniętą dużą żyłę i wsadziłem w nią jeden koniec zaostrej rurki, przewiązałem dwoma mocnymi przewiązkami, aby się nie zsunęła, a samo naczynie zacisnąłem kleszczykami. Drugi koniec wkułem do żyły łokciowej prawego z leżących obok żołnierzy. Owiązałem bandażem tę metalową konstrukcję łączącą dawcę i biorcę. Zwolniłem kleszczyki - mocny strumień krwi wypełnił naczynie faraona. Komenderowałem Merenepthahem, polecając mu zaciskać lub zwalniać opaski. Z drugim żołnierzem poszło nam łatwiej. Teraz staliśmy nad tymi trzema mężczyznami. Widziałem niespokojne spojrzenie egipskiego lekarza, wypełnione oczekiwaniem. Patrzył na mnie i na faraona, i powoli się uspokajał. Z jego oczu w moim kierunku biegly zapytania,omalże błaganie, słowa uznania, a wreszcie podziwu i zazdrości. Przez chwilę mamrotał pod nosem coś, co chyba było bez sensu - o położeniu mostu między kanałami.

Przez okno namiotu najpierw widziałem brzask następnego mojego dnia, wreszcie wschód słońca. Twarz Ramzesa zaczerwieniła się, tętno stało się wolniejsze, równe, mocne. Odwrotnie było z dawcami. Ocenilem, że od obu mogłem przetoczyć ponad trzy litry krwi. Nigdy nie dokonywałem czegoś podobnego przy użyciu igły o średnicy ołówka. Merenepthah nie mówił nic, ale patrzył na mnie w taki sposób, że wołałbym o tym jak najszybciej zapomnieć. To już nie były spojrzenia z nie tak odległej przeszłości. Ramzes nagle otworzył oczy, zobaczył mnie i lekarza.

- A więc było tak marnie? - powiedział ni to oznajmująco, ni pytająco, po czym zasnął.

Wtedy usłyszałem pytanie mojego egipskiego asystenta:

- A co dalej z żołnierzami?
- Odeślij ich do lazaretu. Niech ich karmią surową wątroba i gotowanymi kawałkami gęskiej krwi.
- Wiem, to samo zalecamy w chorobie białych dziewcząt.
- Właśnie tak - odpowiedziałem najzupełniej poważnie.
- Czy zakończyłeś wszystkie czynności, Neferze?
- Tak. Myślę, że mieliśmy dużo szczęścia.
- Nie o nas tu chodzi. O niego - wskazał palcem faraona - o moją z nim przyjaźń, o Egipt.
- To dużo.
- Tak, ale to nasza wewnętrzna sprawa. Swoje życie uratowałeś, a teraz odjedziesz tam, skąd cię zabrano. Gdy przyjdzie czas, zajmę się wami. Teraz, sam rozumiesz...

W kierunku Merit-Amun zmierzała łódź. Siedziało w niej dwóch ludzi, jednym z nich był Goren. Gdy została z nim sama, spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała:

- Znam cię, jesteś następcą Sansepa, obecnie arcykapłanem starożytniej świątyni w Om. Co tutaj robisz?
- Szukam cię, pani, aby członka rodu Ramessydów ostrzec przed niebezpieczeństwem.
- Nie rozumiem.
- Księżniczko, mam dowody, że istnieją siły, które chcą tobą manipulować.
- W tych chaszczach, na tej łodzi? Chyba żartujesz.
- Nie. Tutaj jesteś bardziej bezpieczna niż gdziekolwiek indziej.
- Na jakiej podstawie doszedłeś do takich wniosków?
- Interesuje się tobą wywiad izraelski. Byłaś, a kto wie, czy nadal nie jesteś pod obserwacją służb, których mocodawcy kryją się w świątyniach naszych i obcych bogów. Powinnaś być ostrożna i nie ufać nikomu. Odpryski sprzysiężenia Irinefera pozostały i nadal mogą być groźne.
- Wiem, że utrzymywałeś kontakty z wywiadem wieszczka Horseta. Dla mnie ważne jest przede wszystkim to, czy twoje informacje opierają się na dowodach czy domniemiach?

- Książniczko, nie zawsze takie oddzielenie jest możliwe, a gry wywiadów na ogół są subtelne.

- Mnie interesują tylko fakty. Chcę dokładnej informacji o działaniach tajnych służb mojego ojca. Czy wpadliście na trop obecnego rezydenta izraelskiego wywiadu?

- Do niedawna był nim Sansep, ale kto jest nim obecnie, nie wiemy. Ślady prowadzą donikąd. Moi ludzie inwigilują centrum w Jerozolimie, ale ta praca jest obliczona na lata. Może nim być każdy sayan w Egipcie i poza jego granicami. Sprawdzamy wszystkich.

- Rozumiem, że macie imienne spisy ludności pochodzenia żydowskiego...

- Tak, ale stare i niekompletne. Podejrzewamy, że aktualne i pełne usunął z Edfu Irinefer.

- Kto mógł wejść w ich posiadanie?

- W rachubę wchodzi Ramzes, Dżawer, Merenepthah i być może naczelnik wywiadu świątyni Amona. A co do pytania o działania tajnego wywiadu faraonńskiego... To dłuższa historia.

- Chcę ją usłyszeć.

- Postaram się przedstawić tajemnicę, której wszystkie szczegóły znane były trzem osobom: naszemu władcy, Horsetowi i mnie. Panowanie twojego ojca trwało długo, w całym kraju zapanował spokój i dobrobyt. Wydawałoby się, że wrogowie zewnętrzni zostali pokonani, płacą daniny i trybuty, ale prawda jest inna. Nasi przeciwnicy stale szukają sposobu, aby uniezależnić się od Egiptu. Ramzes znał podstawowe prawa zachowania władzy, mówiące, że na miejsce po nie do końca zniszczonym ognisku wrogów pojawia się wkrótce kilka nowych, znacznie lepiej ukrytych. Z tych oto względów ojciec twój stworzył pozory tolerancji i swobód dla opozycji, pozwolił na mniej lub bardziej jawne gry wywiadów obcych państw. Ale w ścisłej tajemnicy utworzył własną tajną służbę. Kierował nią Horset, którego faraon zawsze trzymał przy sobie z racji jego niezwyklej inteligencji, umiejętności przewidywania oraz niebywałej skuteczności w analizie ruchów przeciwnika. Wieszczek dobrał sobie odpowiednich ludzi. Zamiast imion posługiwaliśmy się numerami. Wymienię kilka. Ramzes to czwórka, ty - trójka, Kaim - dwójka, Horset - jedynka, ja - piątka. Mo-

je zadanie polegało na obserwacji wydarzeń w Memfis. Analo-
giczną pracę w Tebach wykonywała szóstka, Banefer, obecny
wezyr. Faraon, mimo próśb Horseta, nie zamierzał likwidować
opozycji. Twierdził, że Egipt i jego władza są wystarczająco
mocne, aby spokojnie przyglądać się wrogowi i zdusić jego za-
mierzenia dopiero wówczas, gdy spróbuje dokonać zamachu
stanu. W związku z tym Horset wyselekcjonował kandydatów
na potencjalnych przywódców spisku. Każdą z tych osób pró-
bowano omamić wizją uzyskania korony, aby podjęła grę prze-
ciwko państwu. Może będziesz uważała, księżniczko, że jest to
niemoralne. Odpowiem ci, że twój ojciec uważał, iż moralność
określa przede wszystkim obszar, o którym nie mówi wiara.
Czyli, innymi słowy, wyznacza granice, czego narodowi abso-
lutnie zrobić nie wypada. Uzupełnił tę definicję słowami żoł-
nierza: „Właśnie w tym obszarze moralność elegancko trans-
formuje się w słowo, będące kurwą kurew, politykę, a ta ma
tyle wspólnego z moralnością, co siła z prawem, a obłuda ze
szczerością”. Ramzes znał dobrze tragiczny dylemat każdego
panującego: wybrać, co dobre i moralne, czy co potrzebne
i użyteczne. Wybrał drugie.. Jednak żadna z liczących się
w kraju osobistości mimo podsuwanych planów nie podjęła się
roli pretendenta do tronu. Horset doszedł do wniosku, że trze-
ba poszukać kogoś, kto z własnej woli przyjmie na siebie rolę
uzurpatora i będzie chciał dokonać próby zamachu stanu. Jego
wybór padł na Dżawera, jednego z twoich braci i Irinefera.
Ramzes, gdy dowiedział się, że syn miałby ochotę przymierzyć
się do korony, zesłał go wraz z matką do odległych krain. Dża-
wer z kolei okazał się na manipulację całkowicie niepodatny.
Szukaliśmy różnych sposobów, aby sprowokować Irinefera,
lecz okazały się bezskuteczne. Wydawało się, że w Egipcie nie
ma kandydata gotowego założyć własną dynastię. Mimo to
Horset opracował plan zgniecenia wszystkich domniemanych
oponentów, który miał być wykonany z chwilą, gdyby odkryto
zamysł dokonania zamachu na kogoś z rodu Ramessydów.
Przewidywania nasze okazały się słuszne, ale z nieznanых
przyczyn ojciec twój ukrył przed nami przełomowy dla dal-
szych następstw fakt, że w jednej z bitew usiłowano go zastrze-
lić. Horseta o wydarzeniu nie powiadomił, nasi agenci zaś, od-

powiedziani za bezpieczeństwo władcy, zostali w tej bitwie zabici. Nie wykluczam, że ich śmierć nastąpiła na skutek działań służb izraelskich. Dlatego wieszczek nie otrzymał raportu o zamachu na faraona, co z kolei spowodowało pełną nieświadomość królewskiego wywiadu. Ramzes, nie doczekawszy się reakcji swoich służb, próbę królobójstwa przypisał być może ludziom Horseta i - jeśli tak myślał - popełnił błąd. O zamachu na życie faraona powiedział mi dopiero w Memfis Merenep-tah. Zaczęliśmy wroga szukać w Asyrii i Babilonii oraz kraju Hetytów. Drogą eliminacji wykluczaliśmy takie możliwości. Prawda leżała gdzie indziej i w całej swojej wyrazistości dotarła do nas wraz z ostatnim raportem Banefera, wskazującym na Irinefera jako głowę spisku. Możesz powiedzieć, że tajna służba faraona jest złożona z kiepskich fachowców bez wyobraźni. Po części będziesz miała rację, ale na nasze usprawiedliwienie mogę rzec, że jesteśmy normalnymi ludźmi, a nie lekarzami psychicznie chorych. Nie potrafiliśmy odpowiednio wcześniej przewidzieć zamierzeń generowanych przez umysł wezyra-szaleńca, którego myśli krążyły po orbitach dla nas niedostępnych. Jeszcze jedno mam do dodania. Nie możesz wiedzieć, że Horset zmarł, ale jestem pewien, że twój ojciec zostawił dla ciebie informację potwierdzającą całkowitą lojalność najtajniejszej z królewskich służb. Ponadto jest jeszcze bardzo tajemnicza sprawa człowieka znikąd. Faraon był nim bardzo zainteresowany. Obecnie jest przetrzymywany na terenie garnizonu w Dolinie Królów. Wraz z nim są dwie kobiety.

- Ten człowiek jest sprawą na potem. A teraz, czy chcesz powiedzieć, Gorenie, że mój ojciec wszystko, o czym mówiłeś, uczynił dla mnie, że myślał o córce jako władczyni?

- Tak, i o swoim następcy, twoim synu.

- Skąd wiesz?

- Jeśli wie wywiad izraelski, wiem również i ja. W przeciwnym wypadku tajną służbę królewską należałoby rozwiązać.

- Od kogo uzyskaliście tę tajemnicę stanu?

- Od naszycti ludzi inwigilujących wywiad Izraela. Od dawna ich centrala w Szilom usiłowała kogoś umieścić bezpośrednio w pobliżu władcy. Przez wiele lat ich próby spełzały na niczym, ale w końcu w bardzo sprytny sposób sprowokowali

Ramzesa, aby sam przyjął na służbę ich agenta. To niejaki Daniel, mistrz walki. Oczywiście zwróciło to uwagę Horseta i szybko go rozpracowaliśmy i postawiliśmy warunki współpracy. Nie wiesz o tym, że ostatnio przebywał z twoim ojcem w Memfis, a potem razem odjechali do Teb. Od tego czasu ten koafaktor prowadzi podwójną grę. Ongiś podlegał bezpośrednio Sansepowi, teraz również mnie. Od niego dowiedziałem się o kilku szczegółach sprytnie pomyślanej misji Anhere. Księżniczko, wszystko, co ci opowiadano o Nefertari, Mojżeszu i Jetro, to tylko logicznie skonstruowana legenda. Izraelowi chodziło o to, aby zapewnić dla narodu żydowskiego twoją przychylność jako przyszłej władczyni Egiptu. Chcą jednego: aby Izrael istniał jako państwo. Cały czas moi ludzie troskliwie obserwują tego Daniela, niewątpliwie nowy rezydent wywiadu izraelskiego nawiąże z nim szybki kontakt. Wówczas wszystkie ryby znajdą się w jednym saku, ale decyzja należy do ciebie.

- Skąd wiesz, że będę panowała?

- Taka była wola twojego ojca. Jedyne ty zostałeś przez niego przygotowana do władania Egiptem, tylko ty możesz unieść brzemień korony z ureuszem oraz berła i bata. Teraz jawi mi się inne wytłumaczenie wydarzeń zaistniałych w Tebach. Ramzes chciał zaprowadzić w kraju porządek własnymi rękoma. Zapewne chodziło o spokojną twoją sukcesję, jak i o to, aby nie zdekonspirować ogniów naszego wywiadu zewnętrznego i wewnętrznego. W takiej sytuacji zazwyczaj poczynania tajnych służb wychodzą na jaw, a rekonstrukcja sprawnie działającej siatki trwać musi lata.

- Jak możesz mówić o waszej sprawności, gdy Irineferowiomalże się udało, a zabezpieczenie głowy państwa okazało się takie, jakie mogłoby dać męski chór, nie zaś doborowi agenci.

- Masz rację, księżniczko. Gra wywiadów toczy się w przestrzemi mierzonej grubością włosa. Tak było i w tym wypadku. Zawsze łatwo o błąd, o złe zrozumienie pobudek. Ale twój ojciec i brat nie zginęli na skutek naszych błędów.

- To prawda. Goremie, doceniam twoje zasługi. Chcę cię powołać na członka mojej rady królewskiej. Czy założona przez mojego ojca sieć wywiadu funkcjonuje nadal?

- Tak, ale nie mamy przywódcy.

- Obejmiesz jego stanowisko.
 - Daj mi, pani, czas na zastanowienie. Kto wie, może będę chciał zająć się obserwacją gwiazd.
 - Gorenie, teraz nie czas na astronomię. Trzeba ocalić kraj przed anarchią. Jeszcze dziś zamierzam wysłać cię do Teb. Chcę, abyś przez swoją agenturę rozpracował i przeprowadził analizę posunięć Merenepthaha i hierarchii Amona. Czy masz tam swoich ludzi?
 - Tak, i uważam ich informacje za wyważone i wiarygodne.
 - Dobrze. Jeszcze jedna ostatnia sprawa. Chciałabym, aby po moim przyjeździe do Teb w jednym dniu i godzinie zdjąć w Egipcie całą siatkę izraelską. Agentów nie należy zabijać, tylko ukryć w dobrze strzeżonym miejscu. Rezydenta pozostaw mnie.
 - Dokąd mam przysyłać wiadomości?
 - Do Habenu. Spiesz się i bądź rozważny. Ale poczekaj! W jaki sposób mnie znalazłeś? Przecież nie przez przypadek?
 - Księżniczko, na twojej łodzi mam swoich ludzi. Raz wysłałaś ich po prowiant i aprowizację i wystarczyło. Dlatego dałem się złapać Torsethowi.
 - Lubię twoją szczerość, Gorenie, jeszcze raz życzę ci szczęścia.
 - I ja tobie. Chcę zobaczyć obie korony Egiptu na twojej głowie.
- Goren odwrócił się, a gdy odjeżdżał, w jego oczach błyszczały łzy.

Nieco później Merit-Amun wysłała gońców z listami do Anhere i do Hanemeba. Nakazała obu jak najszybsze przybycie do Habenu. Od księcia Memfis zażądała też dostarczenia raportu o nastrojach w Armii Ra, a jeśliby się nie zmieniły, to rozkazała, aby armia Perhora podążyła do Dajrut. Ponadto poleciła, aby obaj wezwani przez nią sojusznicy po przybyciu na przystań w Habenu jęli wśród sprzedawców poszukiwać amuletu, przedstawiającego uśmiechniętą Izydę z płaczącym Horusem, co miało być znakiem identyfikacyjnym. Torsethowi wydała polecenie śledzenia statków i znalezienia wzywanych kurierów.

Któregoś wieczoru otrzymała informację, że na kupieckiej łodzi przyплыли mężczyźni szukający bezskutecznie takowych amuletów. Obecnie nocują w prymitywnym zajeździe przy przystani.

Pierwszego kazała dowieść do siebie Hanemeba. Nałożone zadania wypełnił w całości. Niezwłocznie powiadomił Perhora o rozkazie księżniczki, wydanym tuż przed jej wypłynięciem z Memfis. Niedawno zakończoną wizytę u wodza Armii Ra też uznał za w pełni udaną; oficerowie i żołnierze pozostali wierni rozkazom Ramzesa, a obecnie oddziały powinny znajdować się o kilka dni drogi stąd. Płynąc łodzią, widział grupy zaopatrzenia, organizujące w Dajrut paszę i żywność dla ludzi i koni.

- Księżniczko - powiedział Hanemeb - szuka cię całe państwo. Cały kraj aż kipi od plotek i domysłów. Pojawili się pieśniarze głoszący, że twój ojciec żyje, tylko udał się w odwiedzinny do krainy Amenti, ale powróci na tron. Uważam, że powinnaś kolejny raz wysłać mnie do Perhora. Za dwa, trzy dni będę z powrotem. Wtedy twoja wierna armia otoczy cię osłoną oręża, a nie wiosła.

Patrzył na nią łakomym wzrokiem człowieka, który inwentaryzuje drobne uczynki uważając, że po przekroczeniu pewnej miary zmienia się w czyn zasługujący na nagrodę. Postanowiła rozwiać jego nadzieje.

- Rozważę twoje dokonania. Na spodziewaną nagrodę, drogi Hanemebie, trzeba zasłużyć. Pojedziesz do wodza Armii Ra i w moim imieniu rozkażesz, aby gdzieś blisko stąd, w dogodnym miejscu, założył obóz.

Patrzyła na niego wiedząc, że wszystko, na co ją stać, to tylko tyle, aby się nie zakrzusić wymawiając słowo „drogi”. Odpywając patrzył w kierunku jej łodzi. Odwróciła głowę. Wezwała Torsetha.

- Przesłuchaj kapłana, który został zidentyfikowany w Habenu, obecnie znajduje się w zajeździe, na przystani. Możesz użyć wszystkich metod. Dasz mu przed oczy dwie kartki, na których będą moje pytania. Odpowiedzi zażądasz też na piśmie i przyniesiesz je do mnie.

Torseth od dawna niczemu się nie dziwił, odwrócił się, gdy księżniczka pisała treść pytań. Były jednoznaczne i dotyczyły

racji stanu. Pierwsze brzmiało: *Kto, oprócz ciebie, wie, że Merit-Amun jest w ciąży?* Odpowiedź na drugie miała wskazać osobę głównego rezydenta wywiadu Izraela w Egipcie.

Torseth wrócił rano z pokrwawionymi ćwiartkami papirusu.

- Co mi powiesz? - spytała Merit-Amun.

- Ten człowiek zrobił wszystko, czego oczekiwałaś, księżniczko. Co mam z tym zrobić?

- Podaj mi te kartki, a sam usiądź na burcie.

Wzięła pomięte zwitki. Na obu widniało imię człowieka, którego znała, ale absolutnie nie dopuszczała myśli, że mógł służyć obcemu panu i bogu. Starannie zniszczyła pisma. Widziała, jak strzępy papirusu wolno unosi prąd rzeki. Po chwili tafla wody była pusta. Któż by przypuszczał, że to on? Cóż za straszliwa przewrotność kieruje działaniami wywiadów. Istotnie, niekiedy ich gra toczy się w szczelinie grubości włosa.

- Co dalej, księżniczko? - spytał Torseth.

- Wróć do niego i jeśli miałby jakieś życzenie, wypełnij je, a potem go zabij.

Ciekawe, myślała, czy ten Anhere spotka się teraz z bogiem Jahwe na górze Mojżesza, być może mojego dziadka? Czy też jego „ba” będzie z całym ceremoniałem wazone przez Anubisa na wadze prawdy? A może ta dusza, będąca hybrydą dwóch kultur i religii, przechodzi naraz przez oba sądy, a bogowie jedynie oceniają uczynki? Anhere zdradził Egipt, a więc niech traci „ba”, „ka” i imię.

Teraz musiała czekać na Hanemeba. W czasie jego nieobecności przygotowała pismo do arcykapłana Amona w świątyni w Tebach. Dotyczyło problemów władzy w państwie. Napisała nader jasno i jednoznacznie, że zamierza rządzić krajem wspólnie z faraonem Mereneptahem. Zostawia mu Górny Egipt i stolicę w Tebach. Sama osiadzie w Memfis i będzie królową Dolnego Egiptu. Mianuje własnego wezyra i nomarchów, zachowa dla siebie Armie Ra i Seta. List zawierał też prośbę, aby hierarcha przedstawił jej żądania nowemu władcy. Gdyby faraon nie zgadzał się na Rozdział władzy i podział terytorium, ona proponuje dla dobra państwa zawarcie formalnego jedynie małżeństwa. Liczy też na to, że dostojny Rowin postara się przeko-

nać obecnego władcę do jej propozycji. W przeciwnym razie niech się obaj zastanowią, czy warto walczyć z księżniczką, która może dochodzić swoich praw do tronu mając poparcie silnych armii i wyznawców Seta. Przypomniała, że zadaniem mądrych kapłanów jest przeciwdziałanie wybuchowi wojny domowej i religijnej, a do tych niewątpliwie dojdzie, gdyby jakiś mało doświadczony wróżbita źle odczytał znaki świadczące, że Amon - bez wsparcia innych bogów - opowiedział się tylko po stronie Mereneptaha. W zakończeniu obiecała świątyniom w Tebach zapas kadzidła na okres roku. Przeczytała pismo pomnając, że każde użyte zdanie zostanie rozebrane na części i poddane starannej analizie. Wiedziała, iż opinia kapłanów może zdecydować o zmianie stosunku sił. Czy jednak nie odsłoniła się za bardzo? Czy nie powiedziała za dużo? Czy się nie domyśla, co ona wie? Zastanowiła się nad wszystkim jeszcze raz. To, co chciała przekazać, od tego, co musiała ukryć, dzieliła wąska granica bezpieczeństwa, w dodatku jak dotąd ruchoma.

- Pani, zbudź się, przyplynał Hanemeb.

Merit-Amun spodziewała się go o każdej porze i natychmiast kazała, aby służebne ją ubrały. Zobaczyła, że księżę jest zmęczony, ale zadowolony. Uśmiechał się mówiąc:

- Armia Ra i jej dowódcy są twoi. Faraon Mereneptah przysłał Perhorowi swoje rozkazy, ale wódz zlekceważył je. Księżniczko! Dziś wojsko stanie obozem między rzeką Abrahama a Nilem. Wtedy może będziesz chciała zaszczyścić oddziały wizytą. Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe, ale wbrew twojemu poleceniu zabrałem tutaj ze sobą kilku wysokich rangą oficerów. Chcieli zobaczyć cię na własne oczy, aby rozproszyć pogłoski o twojej śmierci.

- Dobrze, przywołaj ich. Torsethcie, sprowadź tych ludzi.

Po chwili wrócił z pięcioma starymi żołnierzami. Spojrzeli na nią i oddali hołd. Kazała im wstać.

- Jak widzicie, żyję. Dwóch z was zostanie tutaj ze mną, a pozostali niech natychmiast wracają do żołnierzy i powiedzą im, że ród Ramessydów i Egipt potrzebują ich wysiłku nadal. Nie mam tutaj niczego, czym mogłabym nagrodzić wierną armię, ale nie będę mniej hojna niż ojciec.

Patrzyli na nią z takim samym oczarowaniem, jak na Nefer-tari.

- Jako moi wysłannicy udacie się prosto do Teb z listem do arcykapłana Amona, Rowina. Ty także, Hanemebie. Możecie powiedzieć o mnie tyle, że znajduję się z wierną armią.

Po ich odpłynięciu przywołała Torsetha.

- Pojedziesz do wezyra Banefera. Pismo, jakie ci dają, zawiera rozkaz wydobycia z grobowca mojego ojca w Dolinie Królów mężczyzny i dwu kobiet. Przywieziesz ich prosto do obozu Perhora.

.

Na tymczasową siedzibę Merenepthah wybrał luksusową rezydencję poprzedniego wezyra. Od dłuższego czasu każdą wolną chwilę przeznaczał na zrozumienie wiedzy zawartej w odnalezionych w skarbcu Irinefera sześciu tomach Embry. Mimo upływu kilku tysięcy lat księgi wyglądały jak nowe. Tworzywo, z którego je wykonano, było niepodobne do czegokolwiek. Gładkie i lśniące, nie nosiło najmniejszych śladów zużycia, a znaki idealnie równego pisma przykrywała ścisła warstwa przezroczystej emulsji lub szkliwa. Lekarz szybko się zorientował, że wiedza zawarta w pismach Tota o tysiąclecia wyprzedza mądrości znane uczonym z Domów Życia. Zdumiało go objaśnienie przeznaczenia piramid: oto miały przez tysiąclecia pobudzać ciekawość i we właściwej epoce dać impuls do znalezienia wspólnego języka następnym pokoleń z ich twórcami. Budowniczości używali pojęć i praw matematycznych należących do głębokiej wiedzy, zwłaszcza precesji astronomicznej, stosowali współrzędne precesyjne, wskazujące na konkretne punkty czasowe łączące przeszłość z teraźniejszością i teraźniejszość z przyszłością. Wiedział, że jego myśli - odmienione Embrą - niosą w sobie nowe rozumienie dobra i zła. Już w tej chwili podpowiadają, aby spróbował zobaczyć oblicze władzy i twarze jej rodzeństwa w postaciach przemocy i gwałtu. Szepotały namiętnie: możesz wszystko, zakosztuj władzy, prawo to ty, siła to ty.

Merenepthah wstrząsnął się i wrócił do czytania. Jeszcze raz spojrzął na daty ukończenia pism: miało to miejsce w Behdet,

najstarszej ze wszystkich antycznych świątyń Egiptu, ponad pięć tysięcy lat temu. Obecnie jest zapuszczoną, pozbawioną znaczenia, strzeżoną przez kilku starych kapłanów. Przez wiele stuleci odbywały się tam religijne misteria, przeprowadzano publiczne seanse jasnovidzenia, które nie miały sobie równych. Teraz, gdy Merenepthah poznał treść ksiąg Tota, zrozumiał jak wiele informacji ukryto tam celowo. W Behdet odrodziła się cywilizacja zatopionej Atlantydy. Wiedzę o niej przywieźli ze sobą mędrcy z kontynentu, bezpowrotnie straconego w gigantycznej katastrofie. Przyplłynęli do Egiptu łodziami ponad dwanaście tysięcy lat temu i przeszczepili część posiadanej wiedzy prymitywnym miejscowym plemionom.

Behdet posiada w sobie moc zaklętą w promieniowaniu ziemi. W odległym od chwili pisania tej księgi czasie, jeszcze przed erą wielkich proroków, kapłani świątyni Ptaha utworzą uzdrawiające filie na świecie zasiedlonym przez ludzi. W czasie najbliższych czterech tysięcy lat powstanie sieć świątyń w określonych węzłach Ziemi zwanych pępkami, gdzie mędrcy będą demonstrować moc cudownych uzdrowień. Miejsc takich będzie szesnaście. Po osiem na wschodzie i na zachodzie, nie licząc zerowych. Odległości między świątyniami wyznaczy stały odcinek linii świata prowadzący przez naos w Behdet, z północy na południe. Wykaz nazw miejscowości będących teraz lub w przeszłości siedzibą tych świątyń, przedstawia się następująco: po stronie zachodniej są lub będą nimi Barka, wyspa na jeziorze Tryton, Pafos, Knossos, Terra, Dolos, Delfty, Dodona, po wschodniej zaś Babilon, Sydon, Palmira, Latakia, Hieropolis, Milet, Serdes oraz Metsamor na górze Ararat. W tych miejscowościach kapłani i ludność czcić będą bóstwa, których imiona wynikają z przywiązania do tradycji. Ale najgłębszy i ukryty sens tych kultów polegać będzie na przygotowywaniu ludzi do oddawania czci jednemu Bogu. Mieszkańcy Ziemi nie dojrżeli do religii wspólnej dla wszystkich. Umysł człowieka długo jeszcze będzie śnił na etapie początków rozwoju. Dlatego wymaga w tym okresie Boga łatwego do przedstawienia, namacalnie istniejącego, możliwego do ogarnięcia zmysłami. Ale oświecenie przybliży się i będzie miało dwa stopnie. Nadejdzie czas, gdy trzej wielcy prorocy zaszczepią w całym świecie odkrywczą ideę religij-

na. Kult starych bogów zaniknie, a siła wiary przesunie umysły do nowych kultur. Później trzeba będzie czekać setki, a może tysiące lat, dokąd ludzie nie odgadną i powszechnie nie zaakceptują faktu, że wszystkie religie objawione przez wspomnianych proroków są w swej istocie jedną, uniwersalną.

Oddzielnym przesłaniem dla Ziemi jest świadomość o przyjęciu przez was odpowiedzialności za wszechświat. Gdy to nastąpi, Embra stanie się elementarzem wiedzy i filozofii, a ludzkość otrzyma następny zakres badań oraz planetę do nauczania. Zaczniecie poszukiwać braci we wszechświecie, a my z niecierpliwością liczymy na wasze spełnienie. Wasz wolny rozwój nie pozwala nam na uzyskanie wyższego stopnia w hierarchii światów i zbliżenie do Stwórcy. Tylko Bóg wie, czy spotkamy się jeszcze.

Mereneptah nie mógł tej nocy zasnąć. Księgi, jakie przejrzał, zawierały wzory matematyczne, szkice, rysunki, projekty, których ogromna większość była dla niego niezrozumiała. Nagle przypomniał mu się Nefer. Trzeba się z nim zobaczyć i zadać jedno pytanie, nurtujące umysł Mereneptaha od czasu lektury czterdziestej pierwszej księgi Embry, gdzie wspomniano o Izraelu, o tym, że jego pierwszym królem będzie Saul, a potem Dawid, ale największym - syn Dawida, Salomon, dla którego przeznaczono całość Embry. Tot nie napisał jednak, czy naród wybrany to Żydzi, czy też ludzie, ani tego, czy ziemią obiecaną jest Palestyna, czy też użyte określenie dotyczy całej Ziemi.

Mereneptah był zmęczony, a mnóstwo problemów wymagało natychmiastowego rozwiązania. Nie odpowiadał na listy wódz Perhor. Co się stało z Merit-Amun? Totmes wyjechał po Armię Północ, ale dlaczego tak wolno zmierza w kierunku Synaju? Czyżby Hiram zawiódł? A może więź między bliźniętami jest silniejsza niż przysięgi wierności? Na szczęście jest jeszcze na miejscu Dżawer. Osobny problem stanowi wykonanie instrukcji pozostawionych przez Ramzesa, zarówno tych dotyczących rozwiązań militarnych z Hetytami, jak i omawiających przeciwdziałanie zmianom w strukturze państwa i władzy, jakich wprowadzenia bezczelnie domagał się Rowin.

Niespodziewanie wszedł pokojowiec.

- Faraonie, wysłannik arcykapłana Amona w imieniu hierarchii prosi o posłuchanie jutro w południe.

Rowin zgłosił się punktualnie, ale mimo młodego wieku szedł ciężkim krokiem człowieka stale borykającego się z problemami trudnymi do rozwiązania.

- Witam czcigodnego arcykapłana, cóż ekscelencję sprawadza? Proszę do okna.

Rowin ściągnął swe wąskie usta w linię i nie wymieniając tytułów powiedział:

- Przychodzę w dwóch sprawach. Zacznę od tego, że naród i kapłani Amona są zaniepokojeni losem ciała zmarłego faraona. Do dziś nie zostało przewiezione do Domu Umarłych. Dziwi nas to i martwi, szczególnie że proces balsamowania następcy tronu ma się już ku końcowi.

- Nic dziwnego w tym nie ma. Książę Kaim był gorliwym czcicielem Amona i dlatego jego pochówek i egzekwia odbędą się według obrządku amonickiego. Zupełnie inna jest sytuacja zmarłego faraona. Doskonale wiesz, Rowinie, że od urodzenia władca oddał się w opiekę Setowi. Życzeniem Ramzesa były misteria takie same, jak jego ojca i dziada. Dlatego, aby tej sprawy nie upubliczniać, ściągnąłem tutaj balsamistów z delty oraz kapłanów Seta z rodzinnej miejscowości zmarłego.

- Chcielibyśmy zobaczyć ciało władcy.

- Nic nie stoi na przeszkodzie poza tym, że jak wiesz musi minąć siedemdziesiąt dni, zanim zwłoki Ramzesa zostaną wydobyte z kąpieli w natronie. Do tego czasu poza kapłanami Seta i nieczystymi nikt nie ma prawa na nie spojrzeć. Z kolei dla dobra państwa proszę, Rowinie, abyś te wiadomości zostawił dla siebie. Zamierzam też zaproponować tobie, abyś osobiście poprowadził wszystkie uroczystości pogrzebowe, zaczynając od pochówku księcia Kaima. Wierzę, że arcykapłan i polityk tak doświadczony jak ty zrozumie złożoność sytuacji i utrzyma dyskrecję. Wiesz równie dobrze jak ja, że pospólstwu nie wolno zdradzać sekretów wiary i władzy.

- A kapłani Seta? Przecież uroczystości nie możemy prowadzić razem.

- Oni już otrzymali wszystko, o co im chodziło. Zawsze wolą działać w ukryciu, podobnie jak ich bóg. Mówię o wszystkim szczerze, abyś zrozumiał, że nie mogę przeciwstawić się żądaniom Ramzesa ani udokumentowanemu prawom jakiegoś odłamku hierarchii do świadczenia posług religijnych. Czy nie tak samo postąpiłbyś na moim miejscu?

- Na całe szczęście moje miejsce jest zupełnie gdzie indziej, ale twoje wyjaśnienia, Mereneptahu, są przekonujące. Oczywiście w rozmowach z kolegium kapłanów oraz innymi zainteresowanymi pominę milczeniem udział Seta, uroczystości zaś pod sztandarami Amona będą wystarczającym dowodem dla narodu, aby w całym Egipcie wiedziano, kto jest bogiem nad bogami.

- Doskonale, ale rzekłeś na wstępie, Rowinie, że przychodzisz w dwu sprawach.

- Nie zapomniałem i o drugiej. Twój ingres na farański tron jest zgodny z życzeniem Ramzesa II. Wiemy o tym zarówno z jego ust, jak i z pisma, jakie przesłał wezyrowi.

Mereneptah milczał, patrząc rozmówcy prosto w oczy.

- Jednak prawie równoczesna śmierć faraona i księcia Ka-ima budzi zrozumiały niepokój ludu, a Amon milczy i nie pozwala się przebłagać. Dla kapłanów i wiernych jest to zapowiedź kataklizmu. Pomijając to, co mówiłem dotąd, mam informacje z Behdet, że bogowie uzależniają wydanie znaków przychylnych dla ciebie od pojawienia się obok twojego tronu drugiego, przeznaczonego dla Merit-Amun. Powinieneś jej zaproponować małżeństwo i zagwarantować udział w rządzeniu Egiptem.

- Rowinie, oświadczyłeś wcześniej, że bogowie milczą, a więc rozumiem, że Merit-Amun szczęśliwie się odnalazła i zapewne znajduje się pod opieką armii. Czy nie tak, czcigodny?

Arcykapłan odparł bez śladu zażenowania:

- Po śmierci ojca i brata księżniczka nadal obawia się zamachu. Bogowie postanowili jednak oszczędzić córkę Ramzesa, by została twoją żoną i abyście razem kontynuowali rozwój Egiptu. Nowinę tę ogłosiłem dziś rano ludowi Teb. Zapanowała radość, mieszkańcy się weselą.*

- Niezwykle mądrze zrobiłeś arcykapłanie, choć sądzę, że

wtedy, podczas kaźni, poparłeś mnie z lęku o swoje życie, bo widziałeś sprawcę mordów we mnie. Zasłoniłeś własny strach rzekomą decyzją bogów, a ja uważam, że albo jesteś kiepskim prorokiem, albo Amon z powodu twej mierności nie może być w dobrej formie i dlatego dotąd milczy. A teraz dobrze uważaj. Znasz arcykapłana Gorena z prastarej świątyni boga Atuma w Om? Odpowiedz!

- Tak, znam. Powinien zjawić się tutaj za kilka dni na coroczne zebranie arcykapłanów.

- Słuszna decyzja. Będziecie mieli mnóstwo do omówienia: pogrzeb Kaima i Ramzesa, mój ślub z Merit-Amun, ale najważniejszą dla was, hierarchów, i dla państwa będzie informacja Gorena o tajemniczym obcym, który swym istnieniem podważa kanony naszej wiary. Jeśli o jego możliwościach powiem wam ja, przypadkowy, niegodny następca na tronie po Ramesie Wielkim, zarzucicie mi, że czynię tak w nieuczciwej próbie obrony własnej. Dlatego niech wszystko zrelacjonuje Goren. Potem, jeśli uznacie, że sprzeciwiłem się prawu lub dokonałem matactw czy też zabójstw, rozważę poddanie się sądowi bożemu lub odwrotnie, was poddam sprawdzeniu przez kapłanów Seta albo po prostu przez żołnierzy i o niczym więcej nie będę chciał słyszeć. Bóg działa przez ludzi, a więc i przez oprawców. Teraz odejdź, Rowinie. Szanuję Amona, ale Ramessydom niezwykle względy okazuje, jak wiesz, wielki Set. Od niego wiem, że masz dla mnie wiadomości od Merit-Amun, a więc jeśli bóg się nie myli, oddaj mi ten list, a wówczas ja i moja małżonka będziemy doceniać twoje mądre próby uczynienia państwa lepszym. Ale zapamiętaj do końca twoich dni, że powołaniem kapłana zawsze i wszędzie są modły, a nie polityka.

Zapadła cisza, w której wiadomo było kto i co położył na szali. Arcykapłan wstał i sięgnął ręką za fałd odzieży. Wyciągnął stamtąd zwinięty papirus.

- Czy pismo to zaadresowano do faraona? - zapytał Merenptah.

- Nie, królewska córka przysłała je do mnie, ale nie zastrzegła, bym informacje zachował dla siebie.

Lekarz powoli przeczytał list i po chwili powiedział:

- Przekaż Merit-Amun, że zgadzam się na wszystkie jej pro-

pozycje i za dziesięć dni oczekuję na nią w Tebach. Spotkamy się na oczach, ludu Egiptu.

Szesnastu ludzi niosło lektykę arcykapłana do kapituły świętego przybytku Amona. Rowin zaciskając usta myślał o tym, czego doznał przed chwilą. Nie ulegało dla niego wątpliwości, że nowy faraon to wyzbyty emocji analityk, czyniący właściwy użytek z wiedzy i intelektu. Trzeba będzie oczywiście poprzeć Mereneptha, bo władza dzielona z Merit-Amun czy kimkolwiek innym będzie o połowę słabsza. Przechytrzyli się ci wszyscy, którzy w tym lekarzu widzieli jedynie łatwy obiekt dworskiej manipulacji. Ci ślepcy nie dostrzegają, że jest odwrotnie.

ROZDZIAŁ 22

Merit-Amun w hieratycznej pozie, z wyprostowaną dumnie głową siedziała na podwyższeniu królewskiej barki. Wieść o podróży córki władcy do stolicy sprowadziła nad rzekę tysiące chłopów. Patrzyła, jak na brzegach tworzą się żywe fale wieśniaków, którzy na jej widok klękają, unosząc ręce, aby za chwilę upaść na ziemię na znak poddaństwa. Teraz czekała chwili, gdy załoga na środku rzeki zakończy manewry, poprzedzające zarzucanie kotwic.

W tym samym czasie od pomostu poniżej świątyni Amona odbijała łódź, kierując swój ozdobiony znakami farańskimi dziób w stronę jej statku.

Mereneptah wszedł na pokład barki księżniczki. Wskazała mu krzesło, niższe niż to, które zajmowała sama. Popatrzył na nią z wyrazem rozbawienia i odwróciwszy głowę coś powiedział do swojej załogi. Za chwilę przyniesiono mu dwie poduszki. Usiadł na nich i rzekł:

- Mam ci wiele ważnego do powiedzenia.

W oczach Merit-Amun błysnęła wściekłość, ale jej głos nie zdradzał wewnętrznego wzburzenia, gdy spytała:

- A cóż takiego, o czym nie wiem, możesz mi powiedzieć? Czy może chcesz wyjaśnić, jakim prawem używasz świętej korony mojego ojca?

- Czyżbyś nie otrzymała listu od Ramzesa?

- Co dostałam to moja sprawa, tobie nie muszę się tłumaczyć!

- Przecież treść pisma twojego ojca wszystko tłumaczy. Czy nie tak?

- Czy również wyjaśnia, że targnąłeś się na życie faraona?

Nie ma i nie było żadnego pisma, to kłamstwo. Zbiore dowody twoich zbrodni... Zostaniesz przeklęty!

- Niczego podobnego nie zrobisz. Wszystko, o czym mówisz, jest nieporozumieniem. Musiałeś otrzymać wiadomość od naszego władcy. Była tak ważna, że sporządzono jej dwie kopie. Jedną mam ze sobą, ale zanim ci ją wręcę pozwól, że powiem rzecz najważniejszą.

- Niczego nie chcę słyszeć. Cóż ty, oszuście, możesz powiedzieć? Spójrz na horyzont, tam o krok od stolicy zatrzymałam moją potężną armię. Teraz ona będzie przemawiać. Ostatnio stosunek sił uległ zmianie, a więc byłabym idiotką, gdybym nie wycofała się teraz ze złożonych wcześniej propozycji. Teraz cały naród jest ze mną i jestem skłonna użyć wszelkich sposobów, aby odzyskać wszystko, co mi się prawnie należy. Z nikim i niczym nie zamierzam się dzielić.

Zacisnęła wargi, odwróciła głowę, dając tym samym sygnał, że rozmowę uważa za skończoną. Mereneptah chwilę odczekał, a potem - jakby nic się nie stało - spokojnym głosem kontynuował:

- A więc chcesz wysłuchać, co mam do powiedzenia, czy też nie chcesz? Grozisz, dajesz do zrozumienia, że zamierzasz postawić armię przeciwko armii, Egipcjan przeciw Egipcjanom. Książniczko, popełniasz więcej niż błąd, to zdrada stanu!

- Chcę tylko, abyś oddał zawłaszczone korony i insygnia władzy. Narodowi powiesz, że od boga otrzymałeś znak, iż w orzeczeniach wróżbitów i kapłanów pod wpływem emocji doszło do najzwyklejszej pomyłki. Ogłosisz, że ustanowili cię przejściowym sukcesorem, jedynie do chwili mojego przybycia do Teb. Oczywiście opuścisz kraj.

- Niczego podobnego nie zrobię, gdyż nie ma takiej potrzeby, a ty zostaniesz moją żoną. Nie dlatego, że tego pragnę. To rozkaz twojego ojca, faraona, pana i władcy nas wszystkich. Samodzielnie panować nie będziesz dlatego, że jesteś w ciąży i nie możesz podać imienia ojca dziecka, a ziarna zbóż umieszczone przed posągiem Amona wskażą narodowi wiarołomność książniczki, nieszczęście panny, niefrasobliwość kobiety, tryumf natury. A więc?

- Ja mam dla hierarchii, wodzów, nomarchów i narodu coś

bardziej interesującego: ukrywasz fakt, że jesteś Żydem. Na mocy naszych praw nie możesz być faraonem. Wyniesienie na tron kogoś takiego jak ty powszechnie zostanie odebrane jako oczywisty błąd kapłanów w odczytaniu znaków bożych. Zostaniesz zdetronizowany, oddany pod sąd i skazany na śmierć, ale bardziej jest prawdopodobne, że dla zachowania powagi wiary zginiesz wcześniej. Chyba wiesz, że tam, gdzie w rachubę wchodzi racja stanu, znika litość, prawo i miłosierdzie. Zresztą dla władzy są to puste słowa. Poza tym zarzut dotyczący mojej ciąży nie wzbudzi większego zainteresowania; nudna codzienność i zwykły los kobiety. Zastanowię się, czy nie sprawi mi przyjemności widok ciebie na palu, kiedy jednocześnie twoją skórę będą kaci darli na pasy szerokości palca.

- Słucham cię i dochodzę do wniosku, że nie można znaleźć niższego szczebla w drabinie moralności. Zamiast wysłuchać, co mam do powiedzenia, straszysz, grozisz i obrucasz inwektywami. Stawiasz zarzuty nieprawdziwe, nieprzyzwoite i łatwe do obalenia. Urodziłem się jako Egipcjanin i na tej ziemi umrę. Nie grozi mi niesława. Zastanów się, ty nie chcesz rozsądku dopuścić do głosu, przez ciebie mówi gniew, rozpacz i gorycz. Nie dziwię się, bo opierasz własne sądy o założenia w całości błędne, a prawda...

- Jaka prawda? Twoja prawda? Spójrz na brzegi rzeki. Tam stoją tysiące ludzi, prawdziwa krew z egipskiej krwi. Moi poddani nie mają, i gwarantuję, nie będą mieli niczego wspólnego z jakimś Jahwe. Egipt wchłania całe narody, zaszczepiając im własną kulturę, jakby wypalał piętno na czole i duszy. Cóż oni powiedzą, jeśli ogłoszę, że kaźń i wydarzenia, jakie miały miejsce w kraju, zostały zainspirowane przez Żydów?

- Księżniczko! Przeraża mnie to, co mówisz. Z rozpacz i nienawiści chcesz wywołać wojnę domową, anarchię, gwałt i bezkrólewie. Na tobie spoczywa obowiązek władców, aby każdy, kto pije naszą wodę i spożywa nasz egipski chleb, w jestestwie czuł się równy, a nie gorszy. Przestrzegam cię, bo nikt do końca nie jest świadomy krwi noszonej w sobie, również ty!! Byłem przy twoim urodzeniu i znam tajemnicę Nefertari. Ciebie stworzyła krew Ramzesa i Mojżesza, wychowanie Setie-

go i pragnienie Jahwe. Nie przecz temu, bo jakoś jest tak, że Żydzi są nie do końca pojętym zamierzeniem Stwórcy.

Spojrzała rnu prosto w oczy. Zobaczył w nich echo krzyku żony Ramzesa, wzywającej przy porodzie Jahwe. Oczekiwał kolejnego natarcia. Po chwili znacznie spokojniejszym głosem powiedziała coś, czego nie mógł się spodziewać:

- Zdumiewa mnie żarliwość twojej wiary, Merenepthahu. Dla ciebie Mojżesz jest prorokiem, twórcą nowej religii, prawodawcą, a on jedynie zaprowadził ład wśród twoich nieokrzesanych ziomek. Prawda celowo została ukryta przed spojrzeniem takich ludzi jak ty. Mojżesz był jedynie egipskim watażką, cywilizował Żydów, zastępując w tej misji Egipt. Zmienił jedynie kolor bata, a zmyślną historię o swoim cudownym pochodzeniu zapożyczył z prastarego eposu o Sorgonie z Akadu. Ja, Merenepthahu, znam literaturę i historię, dlatego wiem dużo więcej niż myślisz.

- I cóż z tego, jeśli dziedziczysz cechy przekazane przez pokolenia przodków, zmieszanie zaś twojej krwi jest takie, jakie jest.

- O czym mówisz? Powtarzasz brednie izraelskiego wywiadu. We mnie płynie krew bogów Egiptu, a nie podrzędnego kapłana, jakim był Mojżesz. Jego rodzice z imienia nie są wymieniani, a więc pochodzenie, mówiąc ogólnie, ma niejasne. Z kolei znane jest jego egipskie imię, nigdy się go nie wyparł - Osarsis - i nikt temu nie przeczy. Do dziś w egipskich archiwach znajdują się dokumenty pisane jego/ ręką. Stworzona przez niego religia, wiesz o tym dobrze, jest prostacką kompilacją sumeryjskich i egipskich praw, koniecznych dla utrzymania w ryzach prymitywnych żydowskich plemion. Praw daleko wcześniej spisanych przez kapłanów Echnatona, z których wybrano część. „Jeden Bóg, jeden naród”. Prostacki chwyt, ale nośny i popularny wśród każdego motłochu. Mogę przypuszczać, że będzie owocował i w przyszłości; oby nie u nas. Nawet te przykazania wyrzyte na kamiennych tablicach, które otrzymał na górze Synaj, zostały spisane nie inaczej tylko w naszych egipskich hieroglifach, gdyż żadnego innego pisma Mojżesz po prostu nie znał. Nie chcę być wścibska, ale dziwi mnie, ogólnie mówiąc, fakt, że ten wasz wielki bóg nieustannie żądał od swoich wyznawców złota, srebra, miedzi, szlachetnych

tkanin, skór borsuczycy, a nawet drewna z akacji, zamieszkiwał zaś w skrzynce z naszymi egipskimi sfinksami, po drodze nakazując wam mordowanie tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci, jak to się zdarzyło w Cheszbon, Aroer, Gilead, Baszon i wielu innych miastach. Zastanawiam się, czy to wasz bóg uczynił człowieka na swój obraz, czy też wy nieustannie tworzycie boga na swoje podobieństwo... A wiesz, jak umarł Mojżesz? Nie wiesz! Powiem ci. Pragnący powrotu do egipskich bogów żydowscy bałwochwalcy zwyczajnie go ukamienowali. Znacznie później mój dziadek Seti podrzucił izraelskiemu wywiadowi legendę o wniebowstąpieniu Mojżesza, aby żydowskie plemiona nie będące wówczas jeszcze narodem mogły się skupić wokół czegoś, chociażby symbolu, drzewa, słowa albo mitu. Prawdziwym zaś celem było, abyście wy - w naszym zastępstwie - toczyli wojny z Filistynami, Amorytami i innymi przybłędami z Azji. Dlatego pozwolono wam istnieć, oddalić się i walczyć: aby nie ginęli Egipcjanie. Takie działania nazywa się dyplomacją i są raczej subtelne, chociaż z moralnością nie mają nic wspólnego. Chodzi w nich o skrajny egoizm narodu.

- Książniczko, mówisz o czymś, co mnie nie interesuje. Jestem Egipcjaninem, a nie Żydem, w dodatku nie wielbię żadnych bogów, bo z przekonania jestem raczej agnostykiem, a chwilę słabości miałem raz, niedawno. Ale niesmakiem nappełnia mnie to, że wypowiedziałaś kilka zdań, w których Mojżesz, twój pradziadek, stoczył się z pozycji ojca narodu do poziomu zwykłego człowieka, własnemu przodkowi przypisujesz duszę równie nijaką jak hodowcom świń lub bydła. Sprzeniewierzasz się prawu własnej krwi, odmawiając wielkości temu z antenatów rodu, który ze wszech miar na nią zasługuje. A może jest regułą, iż współcześni nie doceniają wielkości własnej epoki, a odkrywają ją dopiero historycy?

- A może, Merenephtahu, istnieją pytania nie wymagające odpowiedzi?

- Ja sędzę, że są sprawy, których głębi nie można naruszać. Więc skończmy tę jałową dyskusję. Nie chcę wysłuchiwać twoich popisów dalej. Albo jesteś głupia, albo nie rozumiesz, że trwa walka o państwo, a my rozmawiamy o niczym. Czy w końcu dasz mi powiedzieć to, co najważniejsze?

- Mów.

Mereneptah nachylił się do jej ucha i szepnął:

- Błagam, zachowuj się spokojnie, tak jakby nic się nie stało. Chodzi o rację stanu. Księżniczko, twój ojciec żyje! Pogłoski o jego śmierci są częścią wielkiego planu. A więc wszystko, co stało się w Tebach, zostało dokonane przeciw wrogom Egiptu, a nie przeciw tobie.

Merit-Amun zbladła.

- To niemożliwe... Kłamiesz... Nieprawda, zwodzisz mnie.

- Mam tutaj dwa listy, niezwłocznie musisz je przeczytać. Oba są pisane ręką twojego ojca, posiadają daty i pieczęcie. Weź je wreszcie i przeczytaj.

Podał jej dwa zwoje. Wprawnym ruchem skruszyła pieczęcie. Charakter pisma był ojca, błędy i styl też. Spokojnie czytała pierwszy. Mereneptah spostrzegł, jak bezradnym ruchem, niczym okrzyczana służka, ociera łzy płynące z oczu, nic sobie nie robiąc z tego, że patrzy na nią cały naród. Popatrzyła mu w oczy. Widział, że zaczyna rozumieć.

Rozwinęła drugi list.

Moja najukochańsza córko.

Marzę, abym mógł cię przytulić i wszystko spokojnie wyjaśnić. Ten czas nadejdzie - oby jak najszybciej. Żyję dzięki zabiegom Mereneptaha i człowieka z odległej przyszłości, Nefera. Stan mojego zdrowia ulega poprawie, ale nadal jestem słaby, a sytuacja kraju i rodu jest groźna. Nie wierz pogłosce o mojej śmierci, co więcej, zamierzam ją wykorzystać. Zdobyłem wiadomość o tajnym planie sojuszu hetycko-babilońsko-asyryjskiego skierowanego przeciwko Egipcjom. Nasi wrogowie, jeśli uderzą na nas razem, będą silniejsi, dlatego postanowiłem pokrzyżować ich zamysły. A ponieważ najlepszą zemstą jest sukces, chcę sprowokować Hetytów, aby jak najszybciej i wyłącznie własnymi siłami wyruszyli przeciw nam. Moi szpiegowie utwierdzają ich władców w przekonaniu o pewnym i całkowitym zwycięstwie, jakie odniosą ze względu na panującą u nas anarchię, spisek Irinefera i niedoświadczenie wojenne Mereneptaha. Przedstawiono im wizję łatwej zdobyczy, której owocami nie będą musieli się dzielić z sojusznikami. Niech tak myślą. Są też inne problemy.

Rowin ujawnił zamysł hierarchii, usiłującej wymusić na mnie dokonanie zmian w dotychczasowych stosunkach państwo - świątynie. Sądzę, że jest to bardziej niebezpieczne od czegokolwiek. Dlatego w stosownym czasie „zmartwychwstanę” i zaprowadzę porządek. Mój poprzedni list, który zapewne przed chwilą czytałaś, był czymś w rodzaju testamentu. Napisałem go w przekonaniu o nieuchronnym przybyciu Sachmet, ale myliłem się. Dziejowcy błąd popełnili również kapłani. Nie domyślają się, że nastął początek końca ich szantażu.

Niezależnie od powyższego, podtrzymuję decyzję o waszym małżeństwie. Nasze dziecko musi mieć prawowitego ojca z królewskiego rodu, dlatego wyniosłem Merenepthaha: aby tajemnicą skandalu w rodzinie królewskiej nie burzyć szacunku poddanych. Doszedłem do wniosku, że moralność powinna iść w parze z prawem.

Wiem, że dziś na oczach ludu spotkacie się na Nilu. Proszę, zachowaj spokój córki oplakującej zmarłego ojca. Pisz jak możesz najczęściej, ale chwilowo nie usiłuj się ze mną skontaktować, bo grozi to dekonspiracją planu, o jakim dowiedziałas się przed chwilą. Tęsknię, aby cię zobaczyć, utulić, przeprosić i ukochać.

Ramzes

Merit-Amun zamknęła oczy, usiłując zrozumieć niespodziewaną odmianę losu. Ważyła w myślach nowe warianty sytuacji. W tej chwili była pewna, że zaspokoila wszystkie głody, jakie wyśniły się jej na bagnach. Po chwili zwróciła się do Merenepthaha:

- Przeciw naszym wrogom stanę z tobą. Oczekuję twoich propozycji.

- Powinnaś natychmiast zmienić kierunek marszu Armii Ra na odwrotny. Podobny manewr już wykonują Armie Seta i Ptaha. Nasze wojska jak najszybciej powinny znaleźć się na Synaju. Dowództwo armii przejmie tam Dżawer, teraz jest u kogoś, kogo nie znasz i... dogląda ciąży, której owocem będzie jego własny potomek. Śmieszne, co? W stosownym czasie do wojsk uda się ten, przed którym zadrzą nieprzyjaciele.

- Zrobię, jak mówisz, ale jest jeszcze jedna sprawa. Uważam, że wszystko, co zostało pochopnie darowane, powinno

być odebrane, co nieroztropnie nadane, musi zostać odwołane. I nie ma znaczenia, kogo dotyczy.

Tłum patrzący na nich z oddali był świadom upływu czasu. Sprawy bogów są trudne, wszakże dotyczą ludzi, a tych jest nieskończenie wielu, wystarczy popatrzeć na brzeg.

•**

Arcykapłan świątyni Amona z wysokiego pylonu oglądał scenę spotkania na rzece. Obok niego stał stary nauczyciel języka migowego. Rowin wziął go pod ramię.

- Czy prawdą jest, że po ruchu ust potrafisz odczytać mowę?

- Tak, arcykapłanie.

- Zaraz się o tym przekonamy. Mam ze sobą przyrząd pochodzący z Om, przybliżyła odległe obrazy tak, jakby znajdowały się obok ciebie. Patrząc przez to urządzenie, będziesz głośno powtarzał rozmowę Mereneptaha z córką Ramzesa.

Sporo fragmentów dialogu na rzece było nie do odtworzenia. Ale generalnie Rowin czuł się uspokojony; wiedział, jakie zająć stanowisko i po czyjej stronie.

*••

Arcykapłan świątyni Amona zmierzał do pomieszczeń administracyjnych. Szedł wolnym krokiem, spoglądając na ogromny dziedziniec, z trzech stron otoczony podwójnym rzędem smukłych kolumn. Z czwartej, południowej, grupa młodych kapłanów recytowała akty strzeliste. Odwrócił głowę w kierunku głównego wejścia, które tworzyły dwa ogromne ceglane pylony. Ominął wysoki na siedemdziesiąt łokci monolityczny obelisk Ramzesa II. I cóż - pomyślał - ociosany kamień jest, człowieka nie ma. Powoli szedł podcieniami, po raz kolejny podziwiając subtelne gry światła i cienia w przestrzeniach otwartych portyków dziedzińca, będącego dziełem Amenofilsa III, też nieobecnego wśród żywych, a świątynia była, jest i będzie.

Wspomniał swe wzruszenie, kiedy po wyborze na zwierzchnika podwładni wręczyli mu szkatułkę, zawierającą testament poprzednika, zapisany starczym drobnym pismem Nebunane-

fera. Ze zdumieniem czytał pięć zdań przekazu do następcy na stolcu arcykapłańskim:

Faraonowie nie wiedzą bowiem, że pyszniąc się głęboką znajomością wszelkiego zła, wtrącają siebie w otchłań fałszu, a chępiąc się tym, że są wolni, zostają niewolnikami upodlających żądz. Takim władcom winno się przeciwstawiać zawsze i wszelkimi sposobami, nawet gdy rzekną coś prawdziwego. Ktoś z nas, kto prawdę miłuje, nie powinien nawet wówczas godzić się z nimi. Albowiem nie wszystkie rzeczy prawdziwe są prawdą, a ta prawda, która zdaje się prawdziwa podług osądów człowieka, nie powinna być pierwszą, która jest prawdziwa podług wiary.

Pojął, że wedle tego przekazu konieczne są działania zmierzające do umocnienia kultu bogów oraz ujrzał wizję własnego miejsca w szeregu zdarzeń przeszłych i przyszłych, wyznaczonych przez tradycję, historię i prawo. W skrócie nazwał je obowiązkiem i na początku postanowił, że będzie kontynuował starania poprzedników. Swemu następcy zostawił tylko jedno polecenie: „A teraz stój na straży bezpieczeństwa i wiecznego trwania państwa kapłanów”. Cel był oczywisty i jasno ujęty.

Z satysfakcją, jak dobry gospodarz, omiatał wzrokiem wszystkie kąty, stwierdzając, że dziedziniec i podcienia są starannie sprzątnięte, kamienne podłogi umyte, złoto pokrywające co należało nim pokryć dokładnie oczyszczone od wczorajszych odcisków stóp, ust i palców pątników. Zastanawiał się, czy rozmowę z dowódcą własnego świątynnego wywiadu przeprowadzić u siebie, czy raczej na świeżym powietrzu w cieniu przy kolumnie. Wybrał tę drugą możliwość, lecz po chwili z niej zrezygnował. Skierował się do części administracyjnej. Wszedł do sporego pomieszczenia, w którym siedziało kilku mężczyzn.

Gabinet dowódcy wywiadu znajdował się w głębi, ukryty za podwójnymi drzwiami, strzeżonymi przez uzbrojone warty. W krótkim korytarzu, tworzącym przedsionek, znajdowało się sekretne wejście, uruchamiane przemyślnym mechanizmem przesuwającym część ściany, za którą znajdowało się archi-

wum gromadzące dane o przewinieniach, słabościach i zbrodniach kolejnych władców Egiptu. W tym miejscu, od setek lat, każdy z faraonów posiadał imienny zwój z numerem. Rowin przeszedł drogę do drzwi, wezwał strażników i nakazał im, aby wszystkie wejścia do części administracyjnej na okres jego rozmowy zostały zamknięte. Potem przez dłuższy czas obserwował pracę sekretariatu, z satysfakcją odnotowując wysoką sprawność urzędników oraz narastający w oczach stos darów. Kamienny stół prawie w połowie był już przykryty grubą warstwą złotej i srebrnej biżuterii. Przeszedł obok warty, uruchomił mechanizm i znalazł się w archiwum. W środku przebywał szef wywiadu świątynnego Gerszon.

- Rowinie, właśnie zakończyłem porządkowanie materiałów Ramzesa II.

- Doskonale. Teraz jestem ciekawy wszystkiego, co mamy o Merenepthahu.

- Niestety, wiemy mało. Więcej o jego bracie Menhure, właścicielu wytwórni narzędzi lekarskich w Dendera. Nie żyje, ale podobno należał do gminy żydowskiej, choć on i jego rodzina całkowicie się zasymilowali i byli gorliwymi czcicielami Imhotepa i Hator.

- Chcę zobaczyć te materiały.

Czytał krótko, po czym powiedział:

- Gerszonie, jak najszybciej dostarcz mi pełną informację o rodzicach Merenepthaha, chcę wiedzieć, czy istotnie Menhure był jego bratem z tej samej matki, to ważne. Trzeba sprawdzić, gdzie skończył szkołę medyczną, rozpracować przyjaciół, żonę, dzieci, podobno jakieś ma.

- Trudna sprawa, ale może coś znajdziemy.

- Na naszych stanowiskach słowo „może” nie istnieje, bo jest równoznaczne z grzechem lub śmiercią. To skandal, że wywiad świątyni w sprawie tak fundamentalnej dla wiary jak nowy faraon nie posiada żadnego rozpoznania. Czyżbyś tutaj zamiast ścisłych raportów agentów gromadził kolekcję odrzuconych rękopisów? Opowiastki, jakie mi dałeś do czytania, to śmieci.

- Istotnie, sam jestem zdumiony, że przez czterdzieści lat pomijaliśmy człowieka, którego faraon obdarzał zaufaniem.

- Nie wykręcaj się, Gerszonie. Prawda jest taka, że wstąpienie Mereneptaha na tron to skutek działań, o jakich wiemy niewiele. Ja nie wierzę w przypadki, nawet w przypadkowe złamanie ręki lub nogi. Władca jest żywym człowiekiem i musi mieć słabe punkty, polecam je znaleźć. Chciałbym jeszcze zapytać, czy w naszych starych i nowych wykazach obcokrajowców, ludzi zasymilowanych, agentów czy jakichkolwiek innych figurują Mereneptah i Menhure?

- Sprawdziałem, nie ma ich w żadnych spisach.

- A więc szukaj nadal. Teraz następna sprawa. Czy coś nowego wiadomo na temat działalności wywiadu farańskiego?

- Horset zmarł, a jego siatka zawiesiła działalność w oczekiwaniu na zmianę sytuacji na szczycie władzy.

- Kto może zostać nowym dowódcą tej służby?

- Przypuszczam, że Banefer. Długo dobrze się konspirował i głupio wpadł, ale o tym wiemy tylko my.

- No, wreszcie jakiś sukces. Kiedy to się stało?

- Niedawno. Kiedyś wręczał Mereneptahowi dokumenty dotyczące Irinefera, obok podłogę mył służący. Nikt na niego nie zwracał uwagi, a on na futerale tych dokumentów odczytał znak tajnych służb i potem złożył raport.

Rowin przez chwilę milczał, zastanawiając się nad czymś. W końcu powiedział:

- Rekonstrukcja wywiadu farańskiego potrwa długo. Czy masz swoich ludzi w siatce Horseta?

- Oczywiście. Są w pogotowiu i raportują regularnie.

- Nie podoba mi się twoja nadmierna pewność, Gerszonie. Dla ciebie wszystko jest jasne, a dla mnie nie. Ja mam wątpliwości, a ty?

- Rowinie, dobrze rozpoznani wrogowie zginęli lub zostali rozproszeni. Część agentów obcych państw zaprzestała działalności, czyli jest najgłupiej jak być może: przeciwnika nie ma.

- Jesteś idiotą. Podstawą działania wywiadu jest stałe poszukiwanie wroga, a gdy go nie ma, należy go stworzyć. W przeciwnym wypadku ty i twoi ludzie zostaniecie przeznaczeni do nieustannego odsypywania z piachu fundamentów świątyni albo...

- Nie trzeba mi grozić. Wiem, jak wygląda koniec życia nie-

udacnych dowódców wywiadu. Powierzone stanowisko zajmuje się do nieoczekiwanej nagiej śmierci.

- Ja tylko przypominam komu i dlaczego służysz. Jesteś kapłanem działającym w najtajniejszej z tajnych misji. Masz szansę, aby po śmierci twoja figura stała się między bogami. Jeśli tej możliwości nie wykorzystasz, pamięć o tobie będzie równa trwałości dymu z ofiarnych rusztów; mojej zresztą tak samo.

- Wiem o tym od dawna. W tym zbożnym dziele, w chłodzie i duchocie kurzu z papierusów tkwię już ponad dwadzieścia lat i znam cel moich działań.

- Doceniam twoje starania i nie chciałbym przenosić cię stąd na upał i światło dnia. Obawiam się, że mógłbyś się przeziębować.

- Rowinie, czuję się wystarczająco tresowany dzisiaj. Tej pracy, o której mówiłeś, poświęciłem życie i czas. Nie lędzę mnie spreparowanym kawałkiem kamienia. Jeśli masz kogoś lepszego na moje miejsce, dokonaj zmiany zaraz.

- W tym problem, że nie mam, i tylko dlatego jeszcze tutaj jesteś. Teraz ostatnia sprawa. Obcy biały człowiek, znaleziony trzynaście miesięcy temu w Om. Charakterystyka, kontakty, zamierzenia, pochodzenie, możliwości oraz ocena zagrożenia naszych planów, jakie stwarza.

- W tym problem, że moje informacje zawierają więcej luk niż faktów, Rowinie. Na mój rozum ten osobnik prędkiej chce służyć władzy niż nam, a z możliwościami, jakie posiada, może wpłynąć na bieg dziejów. Na szczęście wiem, że jest jedynie człowiekiem.

- A więc uważasz, że powinien przestać żyć?

- Sam oceń.

- Śmierć!

- Ty wydajesz tę decyzję.

- Już powiedziałem. Nie możemy sobie pozwolić na żadne ryzyko. Podobnie myślał Sansep, uważając, że należy zabić wszystkich podejrzanych, a bóg i tak bez trudu rozpozna swoich.

- A wykonawcy? - zapytał Gerszon.

- Moi własni, sprowadzeni z Asyrii. Najlepsi, sprawdzeni i nie znani nikomu - odparł Rowin. - Dobry gospodarz zawsze

ma w zapasie ziarno do obsiania cudzej miedzy. Wyłączam cię z prowadzenia tej sprawy.

•**

Mereneptah kończył z Baneferem rozmowę o stanie bezpieczeństwa państwa. Było lepiej, niż się spodziewał. Wezyr zbierał się do wyjścia, gdy lekarz go zatrzymał, poufale chwytając za łokieć.

- Chcę ci pokazać skarbiec Irinefera. Trzeba zabezpieczyć znajdujące się tam mienie.

Uruchomił mechanizm otwierający wejście. Przez przeświaty w sklepieniu wpadało wystarczająco dużo dziennego światła, aby rozjaśnić mrok. Mereneptah starannie zamknął drzwi za sobą.

- Wydaje mi się - powiedział Banefer - że tego dobra jest znacznie więcej, niż wynika ze spisu.

- Czy widzisz, Baneferze, drewnianą skrzynkę, obok której leżą te wielkie turkusy? Użyto jej do zbierania głosów podczas wyborów nowego wezyra. Podaj ją. Może pamiętasz, ile osób było wówczas obecnych na sali?

- Sto czterdzieści cztery.

- Masz dobrą pamięć, ale przygotuj się na niespodziankę.

Mereneptah wydobyl ze skrzynki zwój papirusu i podzielił na trzy części małego formatu kartki. Nakazał odczytać tekst protokołu. Słyszał wysoki głos wezyra.

- Senemet, osiemdziesiąt jeden głosów; Banefer, pięćdziesiąt cztery głosy; Kaniptah, dziewięć głosów...

Banefer był poruszony, milcząc zastanawiał się, co zrobić.

- Głosowanie było, jak widzisz, czysto formalne - powiedział wolno obserwujący go Mereneptah. - Mam do ciebie inną sprawę. Wiem, że jesteś wysokim rangą oficerem wywiadu Horseta.

Wezyr milczał nadal. Nie zrażony tym Mereneptah ciągnął:

- Wiadomość tę powierzył mi faraon. A jeśli temu nie wierzysz, przyjrzyj się ostatniemu papirusowi ze skrzynki. Miałeś szczęście, że raport ten nie wpadł w ręce Irinefera. Jest w nim analiza twojej osoby, dokonana przez agentów siatki wywiadowczej byłego wezyra. Znajdziesz tam też imiona ludzi, któ-

rych błędnie uważałeś za przyjaciół. Oddaję ich w twoje ręce; możesz z nimi uczynić, co chcesz.

- Faraonie, wszystko, czego dokonałem, uczyniłem dla Egiptu.

- Wiem, i dlatego jesteś, kim jesteś. Nie można zostać wezyrem przez przypadek. Rozkazuję teraz, abyś uruchomił sieć tajnego królewskiego wywiadu, mojego wywiadu, Baneferze. Chcę, abyś uwolnił się czasowo z obowiązków piastowanego urzędu. Zastępcy powierzysz opracowanie powszechnej amnestii, która w dniu mojego ślubu obejmie państwo. Do tego czasu należy zakończyć procesy i skazać tych, co trzeba. Tu jest lista spraw wątpliwych. Jeśli będzie taka możliwość, rozpatrz je na korzyść obwinionych. Dyskretnie, ale precyzyjnie należy otoczyć obserwacją świątynię Amona muszę wiedzieć o wszystkim, co tam się dzieje. Ponadto chcę zobaczyć listę agentów izraelskich. Istnieje obawa, że Żydzi zamierzają wejść w posiadanie tych oto skarbów, jak i dokonać manipulacji na szczycie władzy. Czy rozumiesz, że siatkę Horseta należy wprowadzić w stan ostrego pogotowia?

- Tak. Niezwłocznie tym się zajmę.

- A więc idź i dopilnuj wszystkiego. Oczekuję regularnych raportów.

..**

Przygotowania do pogrzebu Kaima dobiegły końca. Miesiąc wcześniej heroldzi Górnego i Dolnego Egiptu ogłosili termin pochówku następcy tronu. Obwieszczenie podpisał Merneptah.

Co wnikliwsi obserwatorzy życia politycznego zauważyli, że centrum władzy, oparte dotychczas na trzech filarach, tworzonych przez pałac królewski, urząd wezyra oraz świątynię Amona, przemieściło się w stronę dwóch pierwszych. I tak na przykład Merneptah, mimo publicznego ogłoszenia go faraonem, pokazywał się publicznie jedynie w stroju następcy tronu, z niebieską wstążką wplecioną w warkocz peruki. Wszystkie dokumenty opatrywał imieniem, nie używał ramki zastrzeżonej dla władców. Lud doceniał jego skromność - oficjalnie jeszcze nie panował, a już był lubiany.

Nieprzerwanie trwały dochodzenia i rozpatrywanie spraw spornych. Wyznaczeni urzędnicy prowadzili je cierpliwie, łaskawie i bez użycia specjalnych tortur. W procedurze cywilnej z polecenia władz pominięto sądy boże. Ostentacyjne zlekceważenie wyroków Amona poważnie zaniepokoiło Rowina, który ostrym piśmem wezwał do siebie Banefera. Wezyr wił się jak węgorz, nazywając wzywaniem bogów ostatecznością nie zachodzącą przy braku wśród przesłuchiwanym kapłanów; dodawał, że ci zostali już dawno oddani jurysdykcji świątyń. W końcu przyciśnięty do muru niechętnie przyznał, że Merenptah kazał prowadzić procesy bez oglądania się na żadne grupy nacisku. Przy ostatnich trzech słowach uniósł głos o ton i szybko patrzył arcykapłanowi w oczy.

Rozmowa najwyraźniej nie przebiegała po myśli hierarchy. Nie ma co się ludzić - Merenptah dąży do czegoś znacznie niebezpieczniejszego niż Echnaton. Czyżby do stworzenia pierwocin państwa świeckiego? Ta nagła konkluzja wstrząsnęła Rowinem. Trudno - pomyślał - trzeba przystąpić do działania. Konieczna będzie demonstracja potęgi stanu kapłańskiego oraz wyegzekwowanie poszanowania wiary i kultu. Trzeba wezwać arcykapłanów, publicznie odwołać się do wszystkich bogów Egiptu, w tym znieawidzonego Seta. Potem zebranim ukazać zagrożenie dla świątyń, płynące ze strony władzy świeckiej i przedstawić sytuację tak, aby sami zechcieli uznać, że Rowin najlepiej przedstawi faraonowi stanowisko całej hierarchii Egiptu. Oczywiście, jako pierwszy między równymi, arcykapłan Amona w Tebach doskonale będzie wiedział, co należy powiedzieć, a co zrobić. Dla zachowania potęgi i powagi wiary należy przyspieszyć realizację planu uśmiercenia osób, ukrytych przez Merenptaha w Dolinie Królów. Termin akcji wyznaczył na dzień pogrzebu Kaima.

**.

W balsamatarni Miasta Umarłych w Tebach na pochyłym granitowym stole leżało wysuszone ciało następcy tronu Kaima. Wnętrze zmarłego wypchano paskami papirusów. Przed zszyciem skóry wrzucono przez otwór w prawym boku cztery kulki, służące obronie mumii księcia przed zawłaszczeniem

przez podstępного Seta. Na szywy nałożono złotą plakietkę z okiem Horusa. Obok na paletach uszeregowano stopy amuletów, pektorałów, pierścieni, bransolet, naszyjników, paradnej broni, figurek, kolczyków, tulejek na palce i paznokcie, sandałów ze skarabeuszem, miniatur bóstw. Wszystkie przedmioty wykonano ze złota, srebra, emalii i kosztownych kamieni. Obok, na ruchomej rampie, w kolejności od największego do najmniejszego, leżało pięć sarkofagów. Wśród nich jeden wykonany z czystego złota. Wszystkie przedstawiały zmarłego w postaci Ozyrysa z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Zgromadzone przedmioty zostaną niebawem umieszczone w ściśle wyznaczonych miejscach między warstwami najcenniejszych bandaży z Byssos. Termin pochówku wyznaczono za trzy dni. Te, które następowały po nich, wróżbici uważali za złe.

W przededniu pogrzebu w samo południe orszaki kapłańskie dokonywały symbolicznego ożywienia dwudziestu trzech posągów zmarłego. Ceremonię tę nazwano rytuałem otwarcia ust, dokonywaną w tym celu, aby księżę Kaim mógł nadal komunikować się ze światem i przyjmować ulubione pokarmy. Merneptah, jako najstarszy wiekiem członek rodu Ramessydów, osobiście przywracał do życia sarkofag z ciałem następcy tronu. Specjalnym dłutem dotykał ust i oczu malowanych na wieku. Potem wzruszonym głosem wypowiedział tradycyjną formułkę:

- Bracie mój, otworzyłem twoje usta, otworzyłem twoje oczy, jesteś czysty, twoja ba niebawem rozpocznie wędrówkę na Pola Trzciny.

Goren dotarł do pałacu Merit-Amun późnym wieczorem. Oficer przy wejściu nieufnie oglądał pismo, pozwalające posiadaczowi prosić o audiencję o każdej porze. W końcu polecił Gorenowi, aby poczekał. Przybysz spoczął więc na jednym z krzeseł, znajdujących się pod ścianą. Po dłuższym czasie żołnierz wrócił w towarzystwie dworzanina, ten skłonił się przed kapłanem i powiedział:

- Księżniczka oczekuje.

Merit-Amun mimo późnej pory była zajęta pisaniem. Kiedy Goren wszedł, zwróciła głowę w jego stronę i spytała:

- Jakie przynosisz wieści?
- Jutro w świątyni Amona odbywa się uroczysta kolacja. Zaproszono wszystkich hierarchów z całego Egiptu, również arcykapłana Seta. Sądzę, że Rowin szykuje akcję przeciw władzy. Znalazłem się wśród zaproszonych gości.
- Doskonale. Bardziej mnie jednak interesują problemy związane z wywiadem izraelskim.
- Za dwa dni w południe w całym kraju zostaną aresztowani wszyscy znani nam agenci w liczbie czterdziestu trzech, z wyjątkiem rezydenta. Nadal nie wiemy, kto nim jest.
- Mówiłam wcześniej, że on jest moją sprawą, twoją pozostał. Chcę znać szczegóły.
- Tajne służby są w pogotowiu. Zgodnie z naszymi ustaleniami aresztowani Żydzi zostaną przewiezieni do pływających więzień na Nilu i otoczeni strażą. Co zamierzasz z nimi zrobić?
- Trzeba ich odesłać do Izraela. Nie sposób udowodnić, że działali na szkodę Egiptu.
- Mam inne zdanie. Twój ojciec kazałby ich zgładzić.
- A ja tego nie zrobię. Istnieją powody, dla jakich tak zamierzam postąpić. Czy coś jeszcze?
- Mam wątpliwości co do Banefera. Rozmawiałem z nim kilka dni temu. Kluczył, gubił wątek, nie podejmował tematu, stale usiłował dociec, co robię na jego terenie. Trochę się uspokoił, jak mu pokazałem zaproszenie Rowina, ale pozostał nieufny. Dlatego aresztowań członków siatki izraelskiej w Tebach dokonam przy użyciu własnych ludzi.
- Przypuszczasz, że wezyr zdradził?
- Raczej nie. Sądzę, iż pragnie wejść na miejsce Horseta.
- Niebawem się okaże. Masz coś jeszcze do dodania?
- Poddano mnie obserwacji, myślę, że też na rozkaz Banefera. To profesjonaliści. Pracowaliśmy przez trzy dni, nim się ich w końcu pozbyłem.
- To wszystko?
- Podejrzewam, że w twoim pałacu roi się od szpiegów. Proponuję, abyś niezwłocznie wprowadziła zmienność służb wewnętrznych i zewnętrznych. Taka procedura mocno utrudni wrogie działania, a szereg naszych posunięć nie napotka oporu.
- Tak zrobię. Teraz zbliż się do mnie, Gorenien; zamierzenie,

które chcę ci teraz ujawnić jest tak tajne i niebezpieczne, że nie będę o nim mówić.

Podawała mu kartkę, na której napisała parę zdań.

Widziała, jak jego brwi unoszą się ze zdumienia w górę. Przerwał czytanie w połowie tekstu i szepnął:

- Doskonała, a z drugiej strony perfidna i cyniczna robota. Księżniczko, czy jesteś zupełnie pewna? Bo w razie omyłki wydajesz na siebie wyrok. Potworne ryzyko bierzesz na swój ród.

- Jestem pewna. Chcę, abyś doczytał moje pismo do końca i powiedział, czy się zgadzasz na rolę, którą ci przeznaczyłam.

Dokończył czytanie. Potem jeszcze raz przebiegł oczyma tekst od początku do końca.

- Obawiam się, że nie mam wyjścia.

- Nieprawda, zawsze można wybrać śmierć.

- Pani, tobie nie potrzeba rad, a wykonawców.

- Tu chodzi o nasz kraj, Gorenie. Czasem konieczne są ofiary, aby nasi poddani pojęli, iż dopiero utrata wolności uświadamia niesłuchanie prostą prawdę, że z samej, nawet najszczytniejszej, idei nie można wnosić o kształcie rzeczywistości, jaką ona ma inspirować.

- Właśnie w tym przypadku pojawia się taka sytuacja. Dlatego, księżniczko, zgadzam się na twoją propozycję.

- Jestem rada, że czynisz to z własnej woli. Przejdź, Gorenie, do pomieszczenia obok. Wyjdiesz, gdy twoje bezpieczeństwo będzie pewne. Wówczas wskażesz, gdzie chciałbyś, aby cię pozostawiono.

Wódz Perhor stawiał się u księżniczki w środku nocy. Merit-Amun od razu przystąpiła do rzeczy:

- Podejdz do stołu i spójrz na rysunek. Czy rozpoznajesz, co to jest?

- Tak księżniczko, ale na boga, przecież...

- Żadnych pytań, Perhorze. Chcę tylko odpowiedzi. Czy twoje jednostki zwiadu i rozpoznania są tam, gdzie poleciłam?

- Tak, są w pogotowiu.

- Ilu ludzi trzeba, aby zdobyć ten obiekt?

- Księżniczko, ja nie występuję przeciwko...

- Pytam, a ty odpowiadasz.

- Około tysiąca przy przeciwdziałaniu, a gdyby udało się otworzyć bramy od wewnątrz wystarczy trzystu.

- Doskonale. Weź ten szkic i przygotuj plan wojenny. Tu masz mój rozkaz. Czy rozumiesz?

-Tak.

- Od jutra w południe masz być do mojej dyspozycji. Akcję przeprowadzi oficer, jakiego osobiście wyznaczysz. Czy pamiętasz, co mówił mój ojciec? Zły wynik równa się złemu losowi. A teraz wejdź do pomieszczenia obok. Osobę, która tam się znajduje, zawieszysz, dokąd zażąda. Odpowiadasz za jej bezpieczeństwo. Jest to człowiek dla Egiptu równie cenny jak ty. Wcześniej wydasz rozkaz, aby twoi żołnierze pełniący służbę w moim pałacu pozostali w nim, dokąd nie zostaną przez ciebie odwołani. Nikomu nie wolno stąd wyjść. Egipt jest w niebezpieczeństwie, a zdarzenia, jakie niebawem *nastąpią*, będą prawdziwą bitwą, a nie manewrami.

•**

Kolacja w świątyni Amona odbywała się w części reprezentacyjnej, na małym dziedzińcu wewnętrznym, doskonale oświetlonym zachodzącym słońcem. W dużych koszach umieszczono żywe kwiaty. Słudzy świątynni do płaskich naczyń wlewali najdroższe olejki, a następnie machając ogromnymi wachlarzami kierowali wonne powietrze w stronę zebranych hierarchów. Nie było ich wielu - mniej niż pięćdziesiąt osób.

W oczy rzucał się zaawansowany wiek szacownego gremium i pokaźność większości tułowi i brzuchów, które z trudem obejmowały plamiste skóry panter. Wydatnym brzuchom towarzyszyły pulchne ramiona, grube karki, spocone twarze z obwisłymi grubymi policzkami i małymi oczami, ukrytymi w fałdach tłuszczu. Nieliczni chudzi dostojnicy o szczupłych kończynach z pozornym trudem dźwigali kuliste czaszki na cienkich sztykach. Arcykapłani świątyń przyjechali tutaj z całego kraju, a ubrani byli podobnie, *różniąc* się jedynie wielkością złotych plakiet z przedstawieniami bogów, jakim służyli. Na prawym ręku każdego z nich widniał pierścień wielkości małej solniczki z wyrytym imieniem oraz hieroglificznym znakiem świątyni, z której wezwało go do Teb zaproszenie Rowina. Na dziedziń-

cu panował przyjemny gwar, gdyż podane jedzenie zadowoliło wybredne gusta dostojnego zgromadzenia. Zwracała uwagę źle hamowana łąpczywość tudzież upodobanie do tłustych potraw oraz win, nalewanych do pucharów przez bezszelestnie krążącą służbę.

Sylwetki chudych hierarchów po posiłku uległy nieznacznej zmianie, a ich wąskie usta przypominały teraz krótką poziomą kreskę. Odmiennie rzecz się miała z twarzami otyłych kapłanów. Duża ilość jedzenia i upał spowodowały pojawienie się wyraźnych objawów duszności. Odchylali się ku tyłowi, rozchyłając uda, aby nieskrępowany szatą ciężki brzuch swobodnie przepuszczał przez siebie zjedzone pyszności. Cechą wspólną dostojnych zebranych - tak chudych, jak i tęgich - była pycha, objawiająca się w pozach, gestach rąk, które kładąc jedzenie do ust jednocześnie wykonywały gest błogosławieństwa. Gdyby ktoś mógł podejść do nich tak, aby niepostrzeżenie spojrzeć każdemu z osobna w oczy, teraz, w tej chwili, gdy nie musieli kryć się przed nikim, zobaczyłby w nich też chciwość, upór i żelazną wolę. Może gdzieś na dnie mignęłaby ciekawość, walcząca z niechęcią do wysiłku fizycznego. Ci ludzie doceniali rolę pasterza stada. Fakt, że znaleźli się tutaj, zawdzięczali nie przypadkowi, lecz bezkompromisowej podejrzliwości i umiejętności wyważania decyzji i dostosowywania ich do rzeczywistości. Ostentacyjnie lekceważyli własne ciała, traktując je wyłącznie jako opakowania całkowicie służebne wobec wyćwiczonego umysłu. Na szczęście żaden z nich nie mógł skumulować w swoim istnieniu wszystkich cech pozostałych. To stado szakali niesłychanie rzadko zbierało się w hordę, ale kiedy już do tego dochodziło, przeciwstawić się im nie mógł nikt. Wiedzieli o tym doskonale; istotne dla państwa i wiary decyzje od setek lat zapadały w świątyniach. Oni, tak samo jak ich poprzednicy uważali, że faraonowie są wygodną przykrywką inspiracji, jakich źródło było właśnie tutaj.

Dookoła rozbrzmiewała muzyka komplementów, słów pocieszenia i nabożnych zawołań. W powietrzu krzyżowały się okrzyki i westchnienia: Na chwałę bożą czcigodni... A może ekscelencja chciałby spróbować mięska świetnej małpy... Mam nadzieję, że pyszne zwierzątko nie jest totemem nomu ekscelen-

cji... A więc wypijmy puchar starego wina na pomyślność naszych świątyni... I nas, i nas... Bogowie nie powinni być zostawiani w spokoju, gdy ich służebnicy tak ciężko pracują... A najważniejsze, aby heretycy nie wtrącali się do spraw wiary... Oni nie są tak ważni, bo mimo wszystko to idealisci, im mniej zależy na zmianach aniżeli ateuszom... Oby ich Ozyrys pochłonał i Ammit zjadł... A mój sąsiad taki milczący, czcigodny arcykapłan Imhotepa do tej chwili nie zabrał głosu... Czy nasze prawa uważa za wyżej stojące niż świeckie? Hierarcha grubym palcem stuknął się w pierś, wymawiając niewyraźnie słowo „nasze” i unosząc kciuk ku górze. Drobne kostki przepiórek pustynnych połykał w całości, były pyszne, a wiadomo, że pobożne dialogi toczone przy posiłku służą trawieniu. Ten, kto w trakcie jedzenia myśli o bogu i wierze, dwukrotnie się modli, a je w połowie.

Amon był ponad bogami i razem z bogami. Takie jego usytuowanie nie szkodziło pozostałym kultom bogów kręgu ozyriańskiego, kultu pierwotnego, a tym bardziej lokalnego. Uprzejmy gospodarz wielokrotnie podchodził do gości, przypominając zdarzenia z przeszłości i sukcesy każdego z osobna. Przez myśl nie przeszło nikomu, że w tym świętym miejscu, a szczególnie tam, gdzie będą odbywać naradę główną, może istnieć niebezpieczeństwo podsłuchu czy jakiegokolwiek inne. Dobrze wiedzieli, że w kilka dni po pogrzebie Kaima mają się odbyć zaślubiny Merit-Amun z Merenepthahem. W tej sytuacji wszystkie służby państwa stale będą zajęte zapewnieniem bezpieczeństwa publicznego i nadzorowaniem porządku.

Adepci świątynni na ogromnych tacach wnosili owoce znane i nie znane, puchary z sokami z granatów, fig, jabłek. Na innych piętrzyły się dorodne kiście daktyli z oazy Fajum i sterty orzechów. Podano też dobrze schłodzone wyborne piwa i najprzedniejsze słodkie wina. Wydawało się, że pochod niosących desery nie ma końca. Pojawiły się ciasta, leguminy z mleka i miodu, kandyzowane owoce. Otyli arcykapłani już rozpinali klamry spódniczek, popuszczali zapięcia pasków ścisakających brzuchy. Chudzi ograniczyli się do kilku łyków schłodzonej wody, wyciągając z zakamarków szaty proszki usprawniające pracę wysuszonych żołądków i rachitycznych kiszek. Ze złością charakterystyczną dla śledzienników obser-

wowali szeroko otwarte gęby grubych, ich mięsiste języki i potężne żwacze, które ochoczo przystąpiły do pracy. Tymczasem słońce już zaszło i uczta miała się ku końcowi. Wieczorny chłód i przyjemny zapach mięty łagodził napięcie, jakie niosło ze sobą jadło spożywane przez samych starych mężczyzn, bez kobiet.

**.

Ktoś kilkakrotnie zastukał w drewniane wrota.

- Świątynia zamknięta - odpowiedział głos dobiegający przez niewielki otwór, umieszczony na wysokości kilku łokci nad ziemią.

- Świątynia zawsze jest otwarta dla rodziny królewskiej! Czy nie widzisz osła, że w pilnej sprawie przybyła tutaj księżniczka Merit-Amun? Otwieraj, jeśli nie chcesz zasłużyć na karę.

- Wykonuję polecenia zwierzchników i do czasu, dokąd nie otrzymam innych rozkazów, brama pozostanie zamknięta.

- A więc popatrz, durniu, przez tę dziurę i zobacz na własne oczy, kto tutaj stoi. Czy nie wiesz, że faraon i jego rodzina wszędzie są u siebie?

- Tak, ale mam wyraźny rozkaz.

- A więc pomyśl, że utrudniasz córce zmarłego faraona, a niebawem żonie jego następcy, dotarcie na modły. Chce je odbyć w ważnej dla państwa sprawie. Człowieku, jeśli zaraz nie otworzysz bramy, jutro nie będziesz żył.

- Ale sam naczelnik straży rozkazał, że świątynia ma być zamknięta aż do rana.

- Odwołuję ten rozkaz na mocy posiadanej władzy, uwalniam cię od odpowiedzialności za niezastosowanie się do polecenia przełożonego. Czy widzisz, kim jestem? - rozległ się głos księżniczki.

- Tak. Jesteś Merit-Amun.

- A więc na co czekasz?

Żądający otwarcia bramy słyszeli szepty kilku osób. Poprzędziły one głuchy łoskot drewnianych zasuw i rygli, zamykających ogromne odrzwia, w których pojawiła się wąska szpara, wystarczająca dla wejścia jednej, najwyżej dwóch osób. Księżniczka uniosła rękę. Na ten znak ruszyli żołnierze

uprzednio przytuleni do murów świątyni. Poruszali się cicho i zwinnie, nie czyniąc żadnego hałasu.

- Kto jest dowódcą warty? - spytał oficer wybrany przez Perhora do przeprowadzenia akcji.

- Ja. Jestem Szaiten.

- A gdzie wszyscy twoi ludzie?

- Są tutaj.

- Doskonale. Otwórzcie szerzej odrzwia, bo za nimi stoi eskorta księżniczki. Chyba rozumiesz, że królewska córka nie pojawia się nocą w mieście bez ważnej przyczyny.

W mgnieniu na dziedzińcu pojawiło się stu pięćdziesięciu żołnierzy. Oslupiali ze zdumienia strażnicy dostrzegli, że ostatnią osobą, jaka weszła, była Merit-Amun.

- Brama ma zostać zamknięta - powiedziała księżniczka. - Niech dowódca świątynnej warty podejdzie do mnie.

Krępy, mocno umięśniony osobnik zbliżył się i zameldował swe przybycie.

- Służyłeś w wojsku?

- Tak. U wodza Dżawera.

- Co obiecałam, dotrzymam. Pójdiesz teraz do hierarchy Rowina i przyprowadzisz go tutaj mówiąc, że arcykapłan Anhere w niezwykle pilnej sprawie prosi o chwilę rozmowy. A jeśli chcesz dożyć jutra, nie dodasz nic więcej.

Ludzie Perhora ukryli się między kolumnami. Kilku strażników w strojach świątynnych nadal pełniło wartę. Zarówno w mieście, jak i na dziedzińcu panowała cisza. Po chwili w korytarzach dało się słyszeć narastające rytmiczne stukanie sandałów. Strażnik szedł przodem, zmierzając wprost do bramy.

- Rowinie, podejść do mnie - powiedziała spokojnie Merit-Amun.

Arcykapłan osłupiał. Księżniczka dała znak ręką, żołnierze z napiętymi łukami wyszli na dziedziniec i utworzyli czworobok, w środku którego stał sparaliżowany strachem naczelny hierarcha Amona.

- Nędzniku, zdradziłeś Egipt. Jesteś głównym rezydentem wywiadu Izraela w moim kraju. Tu - Merit-Amun uniosła trzymany zwój papirusów - mam listę czterdziestu trzech twoich agentów. Zostali już aresztowani i przebywają pod strażą. Mo-

żesz ocalić ich życie, jeśli spełnisz moje żądanie. Wtedy przyrzekam, że łodzią zamienioną na areszt odeślę was blisko Izraela. Popłyniecie z Teb do Memfis, potem kanałem Nil - Morze Czerwone. Na Synaju zostaniecie uwolnieni.

- Czego oczekujesz w zamian?

- Powiadomisz wszystkich zebranych, że zwołałeś ich w tym celu, aby zaakceptowali nakaz bogów, polecających tobie, abyś zrzekł się stanowiska arcykapłana Amona na rzecz Gorena z Om. Następnie poprosisz gości, aby dalsze prowadzenie obrad powierzyli również Gorenowi, gdyż przed chwilą otrzymałeś niespodziewaną wiadomość o śmierci rodziców. Z tych względów natychmiast musisz wyjechać w sprawach związanych z pochówkiem.

- A jeśli tego nie zrobię?

Zobaczył, jak źrenice księżniczki poszerzają się, a jej spojrzenie sprawiło, że ogarnęło go przerażenie.

- Mój ojciec roztropnie polecił przygotować zapasowe pale śmierci. Widziałeś je. Twoje męczeństwo nie podsyci płomienia wiary, a w dodatku spowoduje wysłanie karnej ekspedycji przeciw twoim rodakom w Izraelu. A więc?

Wiedział, że przegrał, i nie mógł uwolnić się od dręczącego pytania, czy odmienione rysy Merit-Amun upodabniały ją bardziej do Mojżesza czy Ramzesa. Wyszeptał cicho, ale wystarczająco głośno, aby zrozumiała i zapamiętała:

- Oby ci Jahwe wybaczył, bo nie wiesz wszystkiego.

Nieco później, gdy prowadzono go do łodzi, przeklął to miasto i ludzi mówiąc:

- Oby wasze pragnienia natychmiast się spełniały.

Obwołanie Gorena na stolec arcykapłański w Tebach okazało się prostsze niż można było przypuszczać. Podziękował za okazane zaufanie i obrady poprowadził tak, aby zgromadzeni pojęli, że jedynym rzeczywistym powodem ich zwołania przez Rowina było zademonstrowanie potęgi hierarchii przez jej pełne uczestnictwo w uroczystościach zarówno pogrzebowych, jak i ślubnych.

Przed poranną adoracją Amona grupa kapłanów w uroczystym pochodzie wręczyła Gorenowi szkatułkę. Znalazł w niej

świsstek papirusu, na którym Rowin napisał niedawno do swego następcy jedno zdanie. Nowy arcykapłan na znak zrozumienia i aprobaty uśmiechnął się, a kartkę spalił. Potem wszedł do sekretariatu darów. Omiótł wzrokiem wszystkie kąty, tak jak powinien tego dokonać dobry gospodarz. Przeszedł obok straży, wszedł do przedsionka i nacisnął sekretny mechanizm wejścia do archiwum. Na jego widok Gerszon poderwał się.

- Uspokój się - powiedział Goren. - Archiwum i twoja praca mają służyć jak dawniej naszej świętej wierze. Pozostaniesz na stanowisku i będziesz wykonywał te same zadania. Niestety, pewne sprawy trzeba będzie zacząć od początku.

••

- Faraonie, zbudź się.

Przeżaszony dworzanin nerwowo potrząsał ramieniem Mereneptaha.

- Co się stało?

- Banefer oczekuje na posłuchanie. Twierdzi, że przychodzi z niesłychanie ważną sprawą i polecił mi.-

- Niech wejdzie.

Mereneptah ze zdumieniem stwierdził, że wezyr przyszedł w domowej odzieży i nie ogolony. Do sprawy przystąpił bez ceregieli i tytułów. Zamiast stać, usiadł na krześle obok łóżka faraona i powiedział:

- W nocy Merit-Amun z żołnierzami formacji specjalnych Perhora zajęła świątynię Amona. Rowin ustąpił ze stanowiska, a jego miejsce zajął Goren, obwołany przez zgromadzonych hierarchów naczelnym arcykapłanem Amona. Wczoraj w Memfis, Tebach i w innych miastach aresztowano siatkę żydowską. Trzy godziny temu barka z aresztantami odpłynęła na północ.

- Co przypuszczasz?

- Że Merit-Amun zlikwidowała izraelski wywiad w Egipcie, być może wraz z rezydentem. Innego wytłumaczenia nie znajduję.

- Ja też. Jeśli się stało, jak mówisz, to nie przekroczyła uprawnień. Ona ma sprawy państwa, a j# obronności. Wywiad akurat leży na styku tych obszarów. Ale dlaczego, na bogów, pozwoliła im odpłynąć?

- Nie wiem. Do transportu więźniów wybrano niezwykle szybką łódź. Moi informatorzy twierdzą, że płynie wprost na Synaj.

- Baneferze, ona postanowiła tych szpiegów deportować, ale ten błąd niezwłocznie trzeba naprawić. Czy masz łączność z naszymi agentami w Jerozolimie?

- Tak, oczywiście.

- A więc natychmiast nadaj komunikat. Dyktuję: Od Faraona Merenepthaha do dowódcy wywiadu egipskiego w Jerozolimie. Przeznaczenie: oddać do rąk zawiadującego wywiadem zagranicznym państwa Izrael.

Dla poprawy i nawiązania dobrosąsiedzkich i przyjaznych stosunków między Egiptem a Izraelem wydalono poza nasze granice czterdziestu waszych agentów. Mój kraj i ja uważamy, że powinniście docenić ten znak dobrej woli i umiarkowania, mogący być początkiem więzi między obydwojma narodami. Uważamy jednak, że deportowani z chwilą, gdy znajdują się w waszej ojczyźnie, pozostaną ludźmi, którzy do końca swoich dni mogą nieść w sercu nienawiść, gniew i chęć zemsty względem państwa faraonów. Oddajemy życie tych Żydów w wasze ręce, aby już nigdy w naszym i waszym kraju nie było nikogo, kto zakłócałby naszą przyjaźń. Gdyby jednak przedstawione propozycje spotkały się z waszej strony z niezrozumieniem lub niechęcią, zamiast niniejszej oferty pokoju nasze wojska przyniosą wam wojnę.

Merenepthah skończył dyktować, pomyślał przez chwilę i rzekł:

- Baneferze, podaj im jeszcze trasę podróży aresztantów.

- To wszystko, faraonie?

- Poproś o odpowiedź, dodając już od siebie, że celem całkowitego i ostatecznego wyrównania zaszłości upominamy się, aby Żydzi sami dokonali egzekucji własnych agentów dokładnie w tym miejscu, gdzie przed laty do Morza Czerwonego wchodziła armia faraona, goniąca Mojżesza uciekającego na Synaj. Oni to rozumieją i wykonają. Krew za krew. Akurat tak mówi ich prawo, więc niech je zastosują wpierw na sobie. Dodaj, że w tym miejscu obiecuję postawić pomnik przyjaźni egipsko-izraelskie j.

- A co powiedzieć Merit-Amun?
- Moja przyszła małżonka o niczym nie może wiedzieć.

W dwa miesiące później Banefer przyniósł odpowiedź, przesłaną przez Jatoma, szefa izraelskiego wywiadu. Mereneptah podniósł kartkę do oczu i przeczytał:

Barka zatонуła. Czterdziestu czterech zjadły ryby w miejscu, gdzie ongiś Jahwe zatopił obcą armię, asystującą wyjściu Mojżesza z Egiptu.

ROZDZIAŁ 23

Wiadomość o śmierci faraona i następcy tronu przyniosła Mia. Dodała, iż niebawem odbędą się uroczystości pogrzebowe. Zastanawiałem się, co to może oznaczać dla nas. Rozważałem rozmaite alternatywy, na ogół jedne głupsze od drugich.

Któregoś dnia przed zachodem słońca wyszliśmy z baru, żeby popatrzeć na Nil. Wody rzeki zapełniły się łódkami, wśród których dostojnie płynęła złocista barka, wioząca na dziobie ogromny sarkofag. Słysząc było żałobne pienia chórów męskich i żeńskich, skowyt zawodzących płaczek. Tysiące ludzi z łuczycami w rękach podążało w naszą stronę, część posypywała głowy ziemią, darła odzież, lamentowała. Półnagie kobiety w poszarpanych szatach przebiegały z miejsca na miejsce niczym stada spłoszonej zwierzyny.

Po dopłynięciu do brzegu kapłani przenieśli sarkofag na lektykę i wciąż zanosząc modły zmierzali w kierunku Ramesseum. Ze świątyni wyszedł szpaler odświętnie ubranych kapłanów. Słyszałem rytmiczną recytację głosów składających przysięgę nieustannej adoracji „ka” księcia Kaima, obecnie wcielonego w Ozyrysa.

Wieczorny wiatr wiejący od rzeki przyniósł woń kadzideł. Obserwowałem, jak warty rozluźniają otaczający nas pierścień licznych straży. W pobliżu grobów królewskich żołnierze ustawiali się w oddziały, spieszenie opuszczające Dolinę Królów.

Przez ostatnie dni do naszego lochu dzień i noc wnoszono sterty przeróżnych przedmiotów, które - jak mówił Menhure - będą służyć zmarłemu po śmierci, tak jak za życia. Dopiero wtedy jaśniej zobaczyłem przyczynę naszego uwięzienia. Żarliwie modliłem się do mojego Boga, aby nas nie złożono w ofie-

rze w charakterze substytutów wykonujących za zmarłego najbardziej parszywą pracę.

Porzuciłem tę myśl widząc, że kondukt staje się mniej liczny. Wszedłem na niewielki pagórek obok naszego baraku i spojrzałem w kierunku grobowca. Teraz do jego wejścia podążali kapłani dźwigający sarkofag, ich zwierzchnik w tiarze, mężczyzna w błękitnej koronie oraz młoda kobieta o kształtnej sylwetce. W chwilę później zniknęli we wnętrzu. Za nimi weszli robotnicy w charakterystycznych szatach Miasta Umarłych. Strzegące nas warty oddaliły się w kierunku zebranych na brzegu tłumów, by pomóc żołnierzom tworzącym kordon uniemożliwiający osobom niepożądanym wejście na teren zastrzeżony.

Złoty sarkofag Kaima z wielkim trudem wniesiono do komory grobowej. Skrzydła drzwi kaplicy królewskiej zatrzęsnięto. Merit-Amun w ostatniej chwili wrzuciła do jej wnętrza przewiązany nitką bukiet polnych kwiatów. Kapłani odchodząc rozbili w przedsionku dwie czerwone rytualne wazy, w grobie pozostali jedynie murarze; skończyli pracę i przed odejściem odcisnęli w mokrym tynku znak Miasta Umarłych. Księżniczka i nowy faraon zostali sami. Merenepthah z drewnianego futerału wyjął wielką królewską pieczęć. Merit-Amun zdecydowanym ruchem wyszarpnęła mu ją z ręki i na powierzchni zaprawy wycisnęła kartusz Ramessydów. Wiedziała, że do końca świata nikt nie dowie się, iż nie zrobił tego prawny sukcesor. Powiedziała z determinacją:

- Spełnię wolę ojca. Merenepthah zostanie moim mężem. Pamiętajcie jednak wszyscy: rzeczywistym następcą Ramzesa jestem ja, krew z krwi, córka królów, królowa i matka królów.

Echo odbijające się w korytarzach powtarzało dwa ostatnie słowa. Merenepthah szedł za księżniczką. Wiedział, że ona prędzej odda życie, niż zrezygnuje z umacniania własnego rodu. Za nimi wypalały się łuczywa. Przeszli przez drewniany most. Kilku pracowników rozpoczęło demontowanie desek. Nikt jednak nie mógł zobaczyć tłumu podążających za nimi demonów lęku, zdrady, gniewu, zazdrości, niepewności i ocze-

kiwania. Na twarzach tej hordy pojawiła się radość. Znalazły od dawna oczekiwany łup. Oby Jahwe, Amon i bogowie kręgu ozyriańskiego nadal byli łaskawi i zechcieli trzymać tę sforeę na uwięzi.

..*

Wolno zapadał zmrok, ale łuczywa niesione przez dziesiątki tysięcy rąk rozjaśniły cały brzeg rzeki, a docierające do nas refleksy tworzyły grę światła na piętrzących się obok skałach. Naród zawodził, wyczuwając nadchodzące zmiany. W powietrzu gęstniały dymy kadzideł, a na niebie coraz jaśniej świecił księżyc i gwiazdy. Mimo zagrożenia poczułem wzruszenie, jakbym był jednym z tysięcy na brzegu, a moje uczestnictwo w pogrzebie stanowiło nagrodę za coś, czego nie rozumiałem. Miałem poczucie jedności z tym krajem, moim Egiptem. Zafascynowany scenerią ze zdumieniem odkryłem obecność tuż obok nas, w kanale gospodarczym, dużej łodzi. Była nie oznakowana i całkiem pusta. Nagle jak spod ziemi wyrosło przy mnie kilku zamaskowanych mężczyzn. Nieopatrznie spróbowałem zrobić krok do tyłu, ale nie zdążyłem nawet unieść stopy, gdy w mojej głowie rozległa się eksplozja głośna niczym huk zdetonowanego granatu.

Zbudziłem się i smętnie popatrzyłem wokół. Obraz, jak ongiś w Domu Umarłych, rozjeżdżał się i scalał, nie pozwalając na wyciągnięcie jakichkolwiek wniosków. Zamknąłem oczy i usłyszałem głos. Głos mojej Tillit.

- Czy on będzie żył?

Ktoś odpowiedział:

- Na pewno.

..*

Banefer biegł po schodach prowadzących do apartamentów Merenepthaha. Nie zważał na zdumienie urzędników i strażników pałacowej. Służba i dworacy wymieniali zdumione spojrzenia, a co skrupulatniejsi odnotowali, że w krótkim czasie to drugi wypadek, gdy wezyr spieszy do faraona bez sandałów, a wyglądem bardziej przypomina woziwodę niż pierwszego urzędnika w państwie.

Wezyr wpadł do pokoju Mereneptaha, otarł ręką spoczone czoło i głośno sapiąc powiedział:

- Faraonie, ludzie, których kazałeś pilnować w nekropoli królewskiej, zniknęli. Zabito strażników, nie wiadomo, co się stało z uwięzionymi ani kto to zrobił, ale myślę, że to sprawka Merit-Amun.

- Na boga! Co mówisz!

- Jestem pewien, że w tym wypadku przeprowadzono akcję zaplanowaną na wzór wojskowy.

- Jesteś wezyrem. Użyj wszystkich środków. Wśród porwanych jest moja córka. Ruszaj na poszukiwania, a ja pędzę do Merit-Amun. Oby moja przyszła żona nie miała nic wspólnego z tą sprawą.

•**

Mereneptah nie krył wzburzenia. Jego głos drżał, kiedy tłumaczył Merit-Amun:

- Przyszedłem nie zapowiedziany, bo sprawa jest tak pilna, że musimy się natychmiast naradzić.

- Słucham cię, Mereneptahu.

- Zniknęła moja córka Tillit; dla bezpieczeństwa trzymałem ją w Dolinie Królów. Konspiracja wynikała stąd, że w obawie przed Irineferem, różnymi wywiadami, a nawet przed świątynią Amona chciałem ją ukryć w dobrze strzeżonym miejscu. Do niedawna przecież nie mogłem wykluczyć, że również ty wystąpisz przeciwko mnie. Wraz z Tillit przebywał człowiek znikąd o imieniu Nefer. To on uratował życie twojego ojca. Jeśli masz z ich zniknięciem cokolwiek wspólnego, odwołaj wydany rozkaz i spróbujmy oboje dojść do porozumienia.

Merit-Amun wstała i spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie wiedziałam, że masz córkę. Nie chcę i nie potrzebuję żadnych zmian w naszych uzgodnieniach. Wczoraj rozmawiałam z Ramzesem, który rozwiązał wszelkie moje wątpliwości.

- Liczyłem, że ta rozmowa rozwiąże mój problem. Niestety. Teraz wybieram się do Gorena prosić o pomoc.

- Jestem pewna, że jej udzieli. Ale nie prosz, żądaj. Świątynia Amona po raz pierwszy od kilkuset lat jest nasza.

*..

Goren przywykł już do uzyskanych godności. Przestały drażnić go czołobitność, adoracja, wyrazy uwielbienia, które miały mu wynagrodzić narastającą samotność. Aby jej się przeciwstawić, postanowił odwiedzić szefa wywiadu świątynnego, Gerszona. W Tebach był jedynym człowiekiem do pogawędki. Usiadł przy nim i bez ceregieli spytał:

- Jaki właściwie był Rowin?

- Trudny.

- Co przez to rozumiesz?

- Jego zdaniem nic poza nim samym nie było godne uwagi ani pochwały. Pasował do stanowiska jak miecz do pochwy, lecz nie zna Izraela. To sayan. Jak przybędzie do Jerozolimy, przeżyje szok i już do końca życia będzie spadał. Znienawidzi wszystkich i każdego.

- Gerszonie, nasze stare pisma mówią, że tylko głupiec pcha się na czoło, a jemu nikt nie kazał być pierwszym. Wiem z gwiazd, że na niego wydano złe wyroki. Chyba jako Żyd nie chciał wiedzieć, że cztery funkcje mają moc ich przekreślenia: jałmużna, modlitwa, zmiana imienia i zmiana zajęcia.

- Uważam, że Rowin nie żyje. Inaczej być nie może, bo wpakował się nie w jedną, a w dwie racje stanu. Został wrogiem Izraela i Egiptu, a jeśli lubisz Gorenienie cytaty, to pisma żydowskie mówią też tak: „Nająłeś się do niego, czyść jego wełnę”, on zaś chciał ją strzyc i sprzedać... Jego duszę oraz tych czterdziestu trzech ma ich bóg Jahwe i wymierzy im srogą karę.

- Niewątpliwie. Kapłan, który nie zajmuje się duszami wiernych i służeniem bogu, a myśli i uczynki kieruje w stronę przedmiotów i doczesności, zdradza swojego boga podwójnie.

- Nie znam się na tym, ale jeśli z uczynkami jest tak, jak mówisz, to z duszą Rowina jest marnie, bo skutki jego postanowień od dawna były jednoznacznie złe. Nie miałem dotąd okazji, aby ci powiedzieć o ostatniej decyzji twojego poprzednika; wydał ją w przededniu obwołania ciebie naszym zwierzchnikiem. Osobiście wydał rozkaz zlikwidowania trzech osób. Rowin uważał, że mogą zagrozić wszystkim jego planom. Nakazał ich zgładzić w dniu pogrzebu Kaima i sam zaplanował

wszystkie szczegóły. Dwoje nazywano Nefer i Tillit, trzecia to jakaś służebna; przebywali na terenie garnizonu w Dolinie Królów.

- Gerszonie! Popełniłeś ogromny błąd, powiadając mi o tym tak późno. Stała się rzecz zła i straszna, a jej skutki są nie do ogarnięcia. Czy ten rozkaz da się odwrócić?

- Nie, akcja została już zakończona. Obecnie trwa jej drugi etap.

- Co to znaczy? Wytłumacz mi!

- Zostałem wyłączony z prowadzenia tej sprawy, ale wiem, że Rowin polecił, aby po zgładzeniu tych trojga uśmiercić również wykonawców zabójstw. Tych płatnych zabójców obecnie goni grupa pościgowa, złożona z wybranych ludzi. Mają ich zabić tam, gdzie dopadną.

- Czy znaleziono ciała Nefera i Tillit?

- Nie, ale jeszcze mogą wypłynąć, chyba że krokodyle...

- Na *Atuma!* Oddałbym *wszystko*, aby żyli, *ale ponieważ* nie ma pewności, że zmarli, szukaj wszystkich zamieszanych w tę sprawę. Teraz! Zaraz!

Goren pędem wpadł do pałacu Merit-Amun, odtrącił straż i ledwie dopadł drzwi, krzyknął:

- Księżniczko. Stało się coś najgorszego, co być może! Rowin nakazał zabić córkę Mereneptaha oraz człowieka z przyszłości, o którym ci ongiś mówiłem. Zarządziłem poszukiwania sprawców i ofiar oraz zatrzymanie grupy pościgowej, na rozkaz Rowina goniącej morderców. Nie wiem, jak zrobić, aby jednych złapać, a drugich powiadomić, aby ich ujęli żywcem.

- Trzeba natychmiast o wszystkim powiadomić Mereneptaha i Banefera. Idziemy, po drodze opowiesz mi szczegóły. A już myślałam, że Sachmet wróciła do swoich świątyń. Myliłam się!

Mereneptah płakał, słuchając relacji Gorena i Merit-Amun. Teraz na ołtarzu powinności względem państwa składał ofiarę z życia córki. Gorąco mu współczuła, słysząc jego słowa:

- Irinefer zabrał mi wnuka, Rowin córkę. Moja żona oszaleje, gdy się dowie, jaki los spotkał naszych najbliższych. Zupełnie nie wiem, co robić, mogę tylko rozpaczać.

- Chcę ci pomóc - powiedziała Merit-Amun. - Głęboko wierzę, że bogowie nie pozwolą skrzywdzić niewinnych. Mam przeczucie, iż twoja córka żyje. Może dowiemy się czegoś od Banefera. Gdzie on jest?

- Prowadzi poszukiwania w stolicy i nomie.

- Trzeba go powiadomić o wszystkich okolicznościach. Przecież nie wiemy, czy zniknięcie Tillit i Nefera spowodowane jest porwaniem, jak sądził wezyr, czy też morderstwem, jak przypuszcza Goren. Trzeba wszystkie służby państwa postawić na nogi, nawet za cenę ich zdekonspirowania. Poszukiwaniami należy objąć obszar całego kraju, zablokować połączenia lądowe i wodne. A co ty sądzisz, Gorenie?

- Uważam, że uciekający i ścigający kierują się w stronę Asyrii, a więc na północ. Grupa pościgowa płynie tam łodzią, czyli z jakichś nieznanych źródeł uzyskała informację, że sprawcy użyli tej samej drogi. Nie wiemy jednak, jaki dystans dzieli obie te grupy i gdzie obecnie się znajdują. Minęły dwa dni, wiatr wiał wzdłuż Nilu, a więc mogą znajdować się bardzo daleko. Powiadomię faraonński wywiad i świątynie. Nic lepszego do głowy mi nie przychodzi.

- Gorenie, idź i dopilnuj wszystkiego, działaj wspólnie z Baneferem, a ja zostanę tutaj. Merenephtahu, rozumiem twój ból, sama przez taki przeszłam, wiem, co znaczy.

- I cóż to zmieni?

- Może nic, a może wiele, ale nie powinienesz być sam. Wspomnij Ramzesa, mojego ojca a twojego przyjaciela. U nas, tak jak i u niego, na końcu myśli i serca powinien być tylko Egipt.

Zbudziłem się na dziobowej części pokładu żaglowej łodzi. Za burtami szumiała woda. Wiał silny fordewind, kształtujący prostokątny żagiel tak, jakby został wymodelowany z blachy. Płynęliśmy z prądem, a więc na północ. Spróbowałem usiąść, co przyszło mi z pewnym trudem. Wtedy zobaczyłem Tillit, jej opiekunkę i kilka innych osób. Wśród nich rozpoznałem Torsetha, z którym los nas połączył na wewnętrznym trzcinowym jeziorze blisko Teb. Tillit wydała okrzyk radości i mocno się do mnie przytuliła.

- Neferze, jesteśmy wolni, uratował nas ten zbawca oraz jego synowie i pomocnicy.

Wstałem i z trudem podszedłem do niego, by uściskać mu dłoń. Uściskał ją tak czule, jakbym mu na dłoni położył befszytk z rozjechanego kota.

- Neferze - powiedział - ty i ta twoja kobieta stanowicie moje przekleństwo, ale nie zapałem się obowiązku względem krwi.

- O kim mówisz?

Popatrzył na mnie jak na idiotę.

- O Mii, mojej siostrze, a o kim. Przecież nie o was myślę.

Po chwili dodał:

- Neferze, jeden z moich krewnych z Asyrii jest, co tu ukrywać, płatnym mordercą, wynajętym przez tajne służby świątyni Amona. Wyśledził waszą kryjówkę i odkrył, że z wami jest jego ciotka, Mia. Ona uratowała wam życie. Niestety, trzeba było pozabijać pilnujących was szardanów i kilku innych świątynnych opryszków, którzy mieli was zlikwidować z rozkazu Rowina. Mieliśmy trochę kłopotów, żeby ich ustawić w pionie, tak aby symulowali wartowanie, ale dzięki temu zyskaliśmy kilka godzin przewagi.

- Dokąd płyniemy? - spytałem.

- Do małego morskiego portu w dorzeczu Rozetty. Tam przesiądziemy się na statek i wypłyniemy w morze, byle dalej.

- Ścigają nas?

- Więcej niż pewne.

- Droga do morza to śmierć, na pewno zastosowano blokadę wszystkich odnóg delty Nilu. Naszą jedyną szansą jest dotarcie do jeziora Mojrisa, a stamtąd lądem do portów Libii. Wiem o tym od twojej siostry, podsłuchiwała rozmowę żołnierzy, gdy omawiali szczegóły zabezpieczenia pogrzebu następcy tronu.

- Niech ich pochłonie Ammit - zaklął. - Ta wiadomość może uratować nam życie.

- A więc proponuję, aby na najbliższym postoju zabrać z przystani na łódź wszystkie zmiany wiosłarzy, chociażby siłą. Zmęczonych w każdej chwili możemy wysadzić wprost do wody.

Popatrzył na mnie z uznaniem.

- Jesteś nielichy skurwysyn, jeśli twojej głowy chcą wszyscy, ale pomysły masz niezłe.

Minęły dwa dni. Wieczorem trzeciego na prostym odcinku Nilu zobaczyłem w oddali wysoki maszt i ogromny czerwono-biały żagiel. Przed Memfis kazałem skrócić na zachód. O świcie ścigający nas statek był znacznie bliżej. Wymieniliśmy kolejnych wioślarzy, biorąc na pokład wszystkie zmiany. Do rufy uwiązaliśmy dwie małe szalupy.

Na jezioro Mojrisa wpłynęliśmy następnego dnia o świcie. W oddali z mgieł wyłaniało się miasto i jego zawieszane w powietrzu ogromne budowle. Spojrzałem za siebie. Pokład statku pościgowego wypełniali uzbrojeni cywile. Wrzeszczeli, nakazując nam natychmiastowe zatrzymanie. Ku mojemu zdziwieniu stwierdziłem, że dwie kolejne łodzie gonią tych, co do nas wykrzykują, a ich załogę tworzy wojsko.

- Torsecie, skieruj naszą łódź do brzegu, mamy mniejsze zanurzenie.

Widziałem drapieżny uśmiech na jego twarzy. Szarpnął sterem i raptownie skrócił w lewo, ku ogromnej budowli. Z pościgowej jednostki posypała się ulewa strzał. W jednej chwili wioślarze z naszej prawej burty zostali wybici.

- Wiosła z wody! - wrzasnąłem, widząc, że skręcamy, zamiast płynąć prosto. Po chwili stanęliśmy na mieliźnie w pobliżu brzegu.

- Przesiadać się do szalup!

Żegnani wścikłym wyciem ścigających szybko znaleźliśmy się poza strefą ostrzału.

Tymczasem łodzie znajdujące się za goniącą nas jednostką zmniejszyły dzielący je dystans. W powietrzu krzyżowały się okrzyki i rozkazy, z których zrozumiałem, że do pościgu za nami dołączyły służby królewskie i świątyni Amona. Na szczęście były daleko od nas i nie posiadały szalup. Nasi przeciwnicy przygotowali się jednak na każdą ewentualność. Na pokładzie pojawił się ogromny bęben, używany do nadawania sygnałów bojowych i straszenia krokodyli. Słyszałem miarowe staccato alarmujące posterunki na brzegu.

Zostało nas tylko ośmioro: Torseth z synami i dwoma pomocnikami, Tillit, Mia i ja. Pędziliśmy w stronę gmachów.

- Co zamierzasz? - wrzasnął siwy.
- Tam czeka na nas ratunek, zaufaj mi - odparłem.

Mieliśmy szczęście. Ogromny mur obronny otaczający budowle był pęknięty. Przez szczelinę weszliśmy do środka. Tuż za murem znajdowały się strome schody, prowadzące do biegnącej wyżej ścieżki. Wkrótce znaleźliśmy się w miejscu, skąd mogliśmy stwierdzić, że przebywamy we wnętrzu ogromnego bastionu, zbudowanego na kamienistym cyplu wcinającym się głęboko w jezioro i dzielącym je na dwie części. Na większej dostrzegłem naszą łódź i ścigające nas statki. Tuż obok wprost z wody wyrastała spora piramida, ale daleko jej było do ogromu tych trzech blisko Memfis. Rozejrzałem się. To, co zobaczyłem, nie przypominało zbytnio miasta. Naprzeciwko siebie stały dwie ogromne prostopadłościennne budowle z pojedynczymi drzwiami na najwyższym piętrze. Przypominały gigantyczne klocki nałożone jeden na drugi. Tworzyły sześć podwórców od *południa* i *sześć od północy*. *Spojrzałem bacznie na bramy po prawej i lewej stronie* i powiedziałem do Torsetha:

- Weź ludzi i sprawdź, czy te drzwi z brązu w części północnej nie dadzą się otworzyć. Ja sprawdzę drugą stronę.
- Dobrze, a co potem?
- Później ci powiem. Tillit, ty zostaniesz tutaj z Mią i z nim
- wskazałem ręką na jednego z krewnych siwego.
- Nigdy! - wrzasnęła. - Idę z tobą.
- Masz zostać.
- Nie, idę albo mnie zabij.

Była bliska hysterii, więc machnąłem ręką i razem wspięliśmy się na szczyt murów. Po drodze miałem sposobność stwierdzić, że cały kompleks wykonano z ogromnych, ociosanych głazów wagi wielu ton każdy. Chryste, aby je postawić, musieli użyć suwnicy! Wszystkie obiekty zbudowano z elementów idealnie dopasowanych, bez zaprawy, lecz z precyzją tak doskonałą, że nie mogłem wypatrzyć szczelin. Czasami tylko odmierne żyłkowanie kamienia pozwalało dostrzec, iż są to części konstrukcji, a nie odlew z białego cementu. W wielu miejscach gigantyczne klamry z brązu spajały narożniki. Niemożliwe, aby te budynki mogło zniszczyć cokolwiek poza bronią nuklearną! To, co widziałem, całkowicie zaprzeczało poglądom uczonych: według

nich budowli takiej nie można było zaprojektować i wykonać w antyku. Co więcej, jezioro miało kształt kwadratu o boku mierzącym dobre dziesięć kilometrów, a więc na pewno jest tworem sztucznym. Nawet ten cypel został najprawdopodobniej usypany. A ta piramida wystająca z wody? Szćdne dzieło geniusza - czemu ono służy? Dlaczego nie przetrwało do moich czasów? Wykonanie takiego kompleksu dziś wymagałoby dziesiątków lat pracy i użycia ultranowoczesnej techniki, a spoglądałem na budynki, które zbudowano zapewne gubo wcześniej niż wynaleziono koło. Kto tego dokonał i po co? Jeszcze raz spojrziałem w kierunku jeziora i teraz na drugim jego brzegu zauważyłem kolejne dwie piramidy. Na każdej umieszczono kolosalną figurę człowieka na tronie. Nie mogłem precyzyjnie ocenić ich wielkości, ale były co najmniej rozmiarów posągów stojących w Dolinie Królów przed świątynią Amenhotepa IV.

Chryste, ja się zachwycam, a tymczasem życie moje i Tillit wisi na przysłowiowym włosku. Spojrzałem \v dół. "Z, bramy na najwyższym piętrze schodkowego kompleksu naprzeciw wyszło kilku kapłanów, zaalarmowanych widać bębniem. Towarzyszyli im łucznicy. Starzec w czerwonej spódniczce lekceważąco machnął ręką. Strzelcy napięli łuki. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że Torseth z synami oraz towarzyszącymi im człowiek zginęli. Szybko i zapewne bez jęku.

Chwyciłem Tillit za rękę i pobieglśmy wydłuż najwyższego piętra naszego podwórca. Modliłem się o najmniejszą szansę. Dopadliśmy bramy, która na szczęście była uchylona. Wpadliśmy do ciemnego wnętrza.

- Do cholery, pomóżcie mi, sam nie dam rady! - wrzasnąłem.

Skrzydło ważyło najmniej tonę. Powiodło się nam chyba tylko dlatego, że rozpacz dodaje sił. Spiż alt»o brąz zazgrzytał głucho, gdy ramię zasuwki przesuwawało się w obejmę zapadki, wyzwalając echo toczące się w dół.

Było zupełnie ciemno. Po chwili usłyszeliśmy łomotanie i krzyki:

- W imieniu faraona rozkazuję otworzyć!

A gównu, pomyślałem. To pewnie ten czerwony łysy. A gównu, pomyślałem drugi raz i wtedy wymacałem stopą schody biegnące w dół, a dłonią śliską poręcz-

- Czy mamy coś do skrzեսania ognia? - spytałem.
- Powtórz - poprosiła Tillit.
- Nic ważnego - odparłem. - Idziemy, nic tu po nas. Niech ten, kto jest wyżej, położy rękę na ramieniu poprzednika.

Schodziliśmy po wygodnych stopniach. Walenie w bramę stawało się coraz cichsze. Dwadzieścia cztery ciągi schodów. Mimowolnie je liczyłem. Czyżby dwanaście kondygnacji? Jezu, to znaczy, że jesteśmy pod ziemią?

Było jakby mniej ciemno. Nie mogłem rozstrzygnąć, czy to skutek adaptacji wzroku - ale do czego? - czy też wynik luminescencji ścian. Na tej głębokości, wobec braku otworów doprowadzających światło, to, co pozwalało nam widzieć, było zapewne fosforyzacją, ale fosforyzacją czego? Otaczał nas przecież lity kamień. Jednak i powietrze było świeże - żadnego zaduchu i stęchlizny. Żadnych szczurów, nietoperzy, nieczystości, a natężenie światła rosło z każdym krokiem. Spoglądałem na nagie mury bez żadnych znaków czy inskrypcji. Przechodziliśmy jeden korytarz za drugim, załom za załomem. Niekiedy musieliśmy zawracać, natknąwszy się na ślepą ścianę. Boże, to na pewno jest ten labirynt, o którym mówił Sansep!

- Idź przodem - zwróciłem się do krewnego Torsetha - i zwracaj baczna uwagę na podłogę. Ja pójdę z tyłu i będę oglądał sufit. Tillit, uważaj na prawą, a ty, Mia, na lewą stronę. Tu jest logika i system, trzeba go tylko odkryć.

- Neferze - usłyszałem głos Tillit - mam ze sobą kredki do oczu, może się do czegoś nadadzą.

O Boże najśłodszy, ta moja poprzedniczka mitycznej Ariadny z babskiej kokieterii ma ze sobą kredki do oczu, kiedy prawie jak powietrza potrzeba nam jedzenia, wody... Ona po prostu zawsze ma kredki.

Dała mi torebkę, w której sporo ich znalazłem, a ponadto dwie chusteczki, flakonik, duży kawałek wyprawionej skóry oraz kilka ziaren zbóż. Miałem ochotę zemdleć po tym kolejnym potwierdzeniu jednego z praw przyrody, nieodwołalnie związanego z jajnikami. Wróciłem do rzeczywistości, gdy przyszło mi skonkludować, że straciłem rachubę czasu, a sposób odkrycia właściwego kierunku nie przychodzi mi do głowy. Szliśmy w prawo, a poprzednio postawione przez nas znaki

wskazywały, że przedtem pokonywaliśmy tę drogę... w lewo. Nie wiedziałem, czy schodząc w dół jestem w podziemnej czy w nadziemnej części labiryntu. A może w podwodnej?

- Szukajcie śladów wilgoci, to nasz kierunek.

Mój towarzysz milczał. Nie pamiętam, aby od początku wyrzekł choć jedno słowo. W rękę trzymał miecz, za pas wetknął dwa noże i od początku posłusznie wykonywał polecenia.

Wreszcie stanęliśmy pośrodku dużej sali, z której wychodziło sześć bliźniaczo podobnych tuneli. Zażądałem, aby mężczyzna dał mi miecz i zaznaczyłem nim przy wejściu widoczną rysę. W ten sposób przeszliśmy cztery korytarze, za każdym razem wracając do komnaty. Widząc zmęczenie kobiet, zarządziłem odpoczynek. Usiedliśmy w milczeniu, bo nie było o czym gadać; nawet nie widziałem szans, aby pokonaną drogę odtworzyć w odwrotnym kierunku. Krewny Torsetha wiedział tyle co ja. Usiadł, otarł pot z czoła i oparł się o ścianę, a następnie... znikł. Słyszeliśmy jego zwierzęcy krzyk, kiedy przez otwór zapadni leciał w przepaść. Potem coś chrupnęło i zapadła cisza. Po sekundzie ruchoma płyta zatrzeszczała i sama z siebie zaczęła wracać na swoje miejsce. Pod nią dostrzegłem stopnie. Wkleszczyłem miecz w szczelinę między przesuwający się kamień a jego obramowanie. Coś zazgrzytało, mechanizm uruchamiający pułapkę stanął.

- Tillit, schodzisz pierwsza, a ty, Mia, za nią! Już! Natychmiast! - wrzasnąłem.

Posłuchały. Po chwili już ich nie było. Naraz coś trzasnęło i płyta znów zaczęła swą wędrówkę. Otwór gwałtownie się zmniejszył. W ostatniej chwili skoczyłem do dziury. Jakimś cudem nie straciłem równowagi na stopniach szybu, odcinającego tę część od kondygnacji leżącej wyżej. Tu oświetlenie było znacznie silniejsze. Spojrzałem w górę, na strop. Nie dostrzegłem najmniejszej szczeliny.

Kobiety stały obok ciała krewnego Torsetha. Podeszedłem i chwyciłem jego rękę, szukając pulsu. Nie żył; spadając złamał pewnie kark. Zostaliśmy w trójkę. Przed nami tunel o szerokości około trzech metrów łagodnym łukiem zakręcał w lewo. Słysząc było kapanie kropel wody.

- Tillit, zostań tutaj, a ja zobaczę, co jest dalej - powiedziałem. - Za chwilę po was wrócę.

•**

Poszukiwania osób porwanych z Doliny Królów objęły cały kraj. Od uwolnionych wioślarzy dowiedziano się, że Nilem ucieka osiem osób, w tym dwie kobiety. Rysopisy odpowiadały Neferowi i Tillit. Merit-Amun tryumfowała.

Mereneptah, wróciwszy do pałacu, udał się prosto do swego gabinetu. Usiadł w fotelu, który kiedyś tak lubił Irinefer i ku swojemu zdumieniu zauważył na stole jakieś pismo. Była to zwykła kartka papirusu zgięta na pół. Bez zastanowienia sięgnął po nią.

Faraonie!

Jeśli teraz popatrzysz w prawo, zauważysz w spojeniu s'ciany i podłogi małą szczelinę. Prowadzi ona do nie znanych nikomu poza mną schodów, którymi stąd wyszedłem. Teraz jestem już daleko, unosząc ze sobą trybut Izraela, należny Egiptowi za najbliższe dziesięć lat, oraz niezauważalną dla Was, a istotną dla nas ilość kruszcu, konieczną dla celów kultowych - dokładnie tyle samo, ile w ostatniej wyprawie przeciw Hetytom wziął z naszych miast wielki Ramzes II.

Wyjaśnię ci teraz, jak wyglądały prawdziwe okoliczności zamachu na Ramzesa. Zacznę od tego, że rzeczywistego zamachu nigdy nie było, stworzyliśmy jedynie takie pozory.

W Armii Ra Izrael dawno temu umieścił kilku swoich ludzi, w tym trzech fenomenalnych łuczników i mnie. Zanim rozpoczęliśmy służbę u faraona, latami byliśmy szkoleni w Palestynie. Ja w walce, oni w strzelaniu z luków. W swoim rzemiośle osiągnęli nieprawdopodobną sprawność. Z polecenia Sansepa pełnili funkcję nieformalnej ochrony waszego władcy podczas bitew. To oni wystrzelili te trzy zatrute strzały, z których jedna zabiła królewskiego konia, druga tarczownika, a trzecia utkwiała w rydwanie.

Taki rozkaz otrzymali ode mnie, a wydałem go, aby przyspieszyć odwrót faraonskich wojsk z Palestyny, gdyż ziemia ta stanowi naszą strefę wpływów. Jedynie próba zamachu na władcę Egiptu oraz rozpuszczane pogłoski o zmianie osoby na królewskim tro-

nie mogły Ramzesa zmusić do tego, aby zechciał jak najszybciej znaleźć się w Memfis, gdzie czekało na niego spełnienie najważniejszego zadania w jego życiu - ale to osobny i zastrzeżony temat, dotyczący racji stanu panującej dynastii.

Faraon, by uwierzyć w zamach, musiał zobaczyć trupy swoich wrogów, a tych trzech samobójców całkowicie potwierdziło jego obawy. Możesz mi wierzyć lub nie, ale pokazane im przez Ciebie, Merenephtahu, groty strzał zostały im przez nas podrzuczone i miały kształty i rowki, jak używane przez plemiennych czarowników z Nubii do dezintegracji duszy. Dlatego jedynym wyjściem dla nich było samobójstwo, dokonane nie tylko ze strachu przed przesłuchaniem, lecz i obawą, że tymi grotami ty, farański lekarz, spowodujesz rozpad duszy i utratę imienia, czyli wszystkiego, co uważali za najważniejsze.

Nie wierzę, abyś nas ścigał, jeśli przekażę Ci trzy ważne informacje, warte dużo więcej niż złoto, jakie stąd zabraliśmy. Wiem, że ocenisz je właściwie. Twoja córka Tillit całkowicie odzyskała władzę nad umysłem. Przyczynił się do tego Nefer, ale to my, otwierając blokadę jednego z pomieszczeń, spowodowaliśmy, że mógł dotrzeć do energii zawartej w wynalazku Nametha i wykorzystać ją do celów leczniczych. Druga informacja jest chyba jeszcze cenniejsza. Titt, twój pierworodny wnuk, dzięki nam żyje, a obecnie znajduje się u twojej żony w Memfis.

Teraz przygotuj się na radosny wstrząs: Tillit niedługo urodzi bliźnięta. Ona i Nefer są dla siebie stworzeni, pozostaw ich los decyzjom Stwórcy. Nikt przecież nie zna wyroków przeznaczenia.

I ostatnia kwestia: chciałbym, aby stosunki między Egiptem a Izraelem pozostały dobre. Obiecuję, że wywiad Izraela zawsze będzie strzegł władcy Egiptu, za jego zgodą czy wbrew jego woli, a na pewno przeciw hetycko-babilońsko-asyryjskim planom, o których odpowiednio wcześniej powiadomiliśmy Ramzesa. Wiemy też, że pokona wrogów.

Twój były pacjent, do niedawna też rezydent wywiadu Izraela w Egipcie, znany ci jako mistrz walki Daniel.

Merenephtah postanowił, że nie będzie ścigał Izraelitów. Poza tym wiedział, że kto jak kto, ale Żydzi pierwsi poznają tajemnice Embry.

Wszedł do skarbcza Irinefera i osłupiał. Sześć ostatnich ksiąg Tota zniknęło.

••

- Usiądźcie na stopniach - powiedziałem - albo chodźcie ze mną.

- Ja zostaję - odpowiedziała Mia. - Już nie mam sił.

Z trudem wstała i oparła się o ścianę tunelu. W korytarzu rozległa się potężna eksplozja, a nasze oczy poraził silny błysk. Wyzwolona skądś energia spowodowała natychmiastową anihilację Mii, pozostawiając na posadzce garść białego proszku, który po chwili splukała woda. Miejsce, gdzie nieszczęsna ofiara położyła dłoń, przez krótki moment lśniło metalicznie jak matowe aluminium, a następnie zaczęło się patynować. Wkrótce niczym nie różniło się od kamiennych ścian. Tillit była przerażona.

- Siądź tutaj na tych stopniach i niczego nie dotykaj - powiedziałem.

Jeszcze raz przeszedłem korytarz. Ocenilem, że może mieć długość około trzystu metrów. Jego wewnętrzna ściana nie była gładka, lecz w połowie wysokości korytarza posiadała nieznaczne wybrzuszenie, tworzące półokrągły wąski gzyms. Wróciłem do Tillit. Krewnemu Torsetha zabrałem tkwiące za pasem noże, a następnie jeden po drugim rzuciłem w tę cholerną ścianę. Odbiły się i spadły na posadzkę.

- Chodź ze mną, może ty coś zauważysz - poprosiłem Tillit.

Cały korytarz przeszliśmy jeszcze raz.

- Spójrz, Neferze - powiedziała w pewnej chwili. - Tylko tutaj, w tym miejscu, jest na ścianie coś w rodzaju obwódki. Wcześniej nigdzie tego nie widziałam.

Przyjrzałem się z bliska czemuś całkiem ciemnemu, okrągłemu i obwiedzionemu wypukłym rantem.

Owinałem rękę torebką Tillit i zacząłem pocierać nią owalną ramkę, która po chwili zajaśniała jak szklana soczewka. Nagle wytrysnęła z niej cienka czerwona linia, do złudzenia przypominająca promień lasera. Przesuwała się poprzez moje oczy, nos, usta ku dołowi. Ktoś, kto uruchomił to urządzenie, niewątpliwie mnie badał. Wtem światło zgasło i rozległ się głos przypominający mowę elektroniczną:

- Polecam, aby obserwowany wyciągnął przed siebie dłonie.

Zrobiłem, czego zażądał. Ponownie rozjaśniła się soczewka, wypuszczając tym razem oślepiająco biały, cienki jak włos promień, który metodycznie prześlizgiwał się po moich palcach. Nagle świecenie ustało i rozległ się ten sam głos:

- Daktyloskopia zakończona. Test pozytywny. Ochrona poła chwilowo zawieszona.

W ścianie nastąpiła zmiana. Folia, czy coś foliopodobnego, zaczęła się łuszczyć i płatami spadać na podłogę, pozostawiając gładki metaliczny okrąg. W jego centrum pojawiła się szczelina, która niczym przysłona w aparacie fotograficznym szybko się powiększała. Chryste, co to jest?

Nie było czasu na żadne rozważania.

- Tillit, błagam cię, natychmiast się rozbieraj! - krzyknąłem.

- Teraz, tutaj?

- Rób co mówię!

Po chwili oboje byliśmy nadzy. Tillit zostawiła jedynie na szyi talizman w kształcie skarabeusza i przykryła go ręką. Wszystko, co mieliśmy, położyłem na ziemi i przykryłem płatem skóry z torebki Tillit. Jej poleciłem, aby stanęła za moimi plecami i mocno chwyciła mnie w pól.

- Pamiętaj, nasze stopy muszą stać na suchym. Będziemy musieli skoczyć razem w stronę tego światła. Rozumiesz?

Kiwnęła głową.

Przed nami jaśniał seledynową poświatą owalny otwór wysokości dorosłego człowieka.

- Skaczemy! - wrzasnąłem.

Znaleźliśmy się wewnątrz sferycznego obiektu o zupełnie mi nie znanej budowie, mechanizmach i urządzeniach. Pomyślałem o naszym wyglądzie. Nagi mężczyzna i naga kobieta z wyraźnie zaznaczającą się ciążą, jak Adam i Ewa wypędzeni z raju, a może przyjmowani tam z powrotem? Przed nami automatycznie uchylały się kolejne drzwi o konstrukcji podobnej do wejściowych. Wkrótce znaleźliśmy się w dużym amfiteatralnym pomieszczeniu. W jego centralnej części zauważyłem półkolisty rząd wygodnych foteli, przystosowanych do ludzkich sylwetek. Przed środkowym znajdowała się konsola, na której zobaczyłem klawiaturę i czerwony przycisk. Na oparciu

fotela zamontowano dwa czytniki z rysunkiem ludzkiej dłoni. W pierwszym dostrzegłem w rogu mały hieroglif Tota, w drugim tylko ramkę przypominającą farański kartusz. Niewątpliwie był to test. Nie miałem wątpliwości, że ten, kto nie wie, co należy wpisać do środka ramki, ma anihilację tak pewną jak brak realizacji obietnic przedwyborczych przez partie komunistyczne gdziekolwiek. Zobaczyłem pisak przypominający flaster.

- Nie dotykaj niczego! - wrzasnąłem widząc, że Tillit chce go wziąć do ręki. - Stój spokojnie! Nie jest ci zimno?

Przecząco pokręciła głową. Usiadłem w centralnym fotelu i przyłożyłem obie ręce do urządzenia identyfikacyjnego. Cała procedura odbyła się jeszcze raz. Widziałem ciche zamieranie punkcików. Zdeterminowany, chwyciłem pisak i narysowałem kartusz Imhotepa. Przed nami rozjaśnił się na ścianie półokrągły ekran.

- Tillit - powiedziałem - teraz możesz usiąść po mojej prawej stronie.

Gdzieś koło nas albo w moich myślach rozległ się bezosobowy głos:

- Wydaj polecenie.

Dumałem przez chwilę.

- Pokaż jezioro.

Najpierw na ekranie pojawiły się dwie daty. Ta z mojego właściwego czasu oraz z czasu Tillit. Potem ujrzałem Afrykę z wysokości wieluset kilometrów. Kierowałem obrazem, posługując się myślą jak joystickiem. Zobaczyliśmy jezioro Mojrisa, gonący nas statek, naszą łódź, a za nią inne ze znakiem wezyra, faraona i świątyni Amona, mury labiryntu oblepione kapłanami. U ich podnóża leżały najeżone strzałami ciała Torsetha i jego synów. Pomyślałem, że chciałbym poznać plan labiryntu. Za moment komputer kreślił całą jego aksjonometrię i drogę inną niż przeszliśmy - znacznie prostszą. Była też ta, którą pokonaliśmy z pomocą losu. Mój Boże, pomyślałem, a jednak nam się udało; gdyby jeszcze można było wrócić do domu... Obraz znikł, a na ekranie pojawił się napis: *Ewakuacja?*

Tak - pomyślałem, a komputer wydrukował polecenie: *Naciśnij czerwony guzik.*

Nacisnąłem. Ekran zgasł i za chwilę ponownie się rozjaśnił. Powoli narastała głucha wibracja. Znow ujrzałem jezioro Mojrisa. Dookoła piramidy woda zaczęła wrzeć. Kłęby pary ze świstem wydobywały się z dna. Ludzi na brzegu i łodziach ogarnęła panika. Uciekali na oślep, byle dalej od czegoś, co niczym gigantyczny żółw wyłaniało się z głębin. Na ekranie pojawił się napis: *Pełna gotowość.*

Obok na konsoli migały zielone i żółte światełka z numerami od jednego do dziewięciu. Nacisnąłem wszystkie po kolei. Fotele, na których siedzieliśmy, przykryła kopuła. Wkrótce zespoliła się z podłogą i po chwili zaczęła się napęcznieć gęstym zielonkawym płynem o konsystencji żelu. Dostrzegłem przezrazone oczy Tillit. Powiedziałem jej w myślach: Nie bój się, nic nam się nie stanie, jedziemy do domu. Kiwnęła głową i uśmiechnęła się. Słowo „dom” zawsze działało na nią niczym najlepszy barbituran. Na ekranie śledziłem start gigantycznego statku międzyplanetarnego, przy którym pylony w Tebach były jak pudełka zapalek. Pojazd uniósł się, zostawiając pod sobą grzęzawisko bulgoczącego błota i magmy, w których kolejno znikaly budowle labiryntu. Płyn sięgał już nozdrzy. Zanim zakrył oczy, zobaczyłem wilgotne dno jeziora Mojrisa, z którego woda uchodziła w kierunku Syrty. Krokodyle, ryby i ludzie walczyli z wrzącym błotem. Obraz jeziora znikł. Na ekranie dostrzegłem mapę nieba, a na nim tunele międzygwiazdnej komunikacji, na których ktoś, kiedyś wykreślił drogę, punkt startu i linię biegnącą gdzieś do planety leżącej...

Ostatnie trzy słowa, jakie zapamiętałem brzmiały: - *Rozpoczynam program hibernacyjny.*

EPILOG

Przez przestrzeń międzygwiazdną w ciszy galaktycznej pustki z szybkością fotonu mknął statek. W jego wnętrzu znajdowały się dwie istoty ludzkie pogrążone w głębokiej hibernacji. Coś się jednak zepsuło w automatyce pojazdu i z tego powodu czujniki ruchu i aktywności nie wyłączyły energochłonnego ekranu oraz potencjometru siły głosu. Zapewne odległość od miejsca lądowania była zbyt wielka, aby przekazać stamtąd właściwie zsynchronizowany sygnał ukierunkowany na dekodery pojazdu. Poza tym był to naprawdę stary model kosmolotu. Za to głos rozlegający się w sterowni międzyplanetarnego statku brzmiał wyraźnie i czysto. Czyjś sympatyczny bas radośnie wykrzyknął:

- Patrzcie, udało się!

I po długiej chwili:

- Coś jednak jest nie tak. Jahwe, spójrz, są jakieś zakłócenia w programie. Wszyscy z oddziału szóstego do mnie!

Na monitorach centrali UCE pojawił się pulsujący czerwienią napis: *Konieczna weryfikacja Operacji Implant*. Ten sam głos po chwili powiedział:

- Słuchajcie, ten lecący do nas człowiek przypomina z wyglądu Imhotepa, ale nie jest sam, zabrał tę Izraelitkę. Na Boga! W dodatku ona jest ciężarna! Trzeba natychmiast powiadomić Tota. Przechodzę na system awarii nadzwyczajnej. Przełączam pracę systemu automatów anabiozy pasażerów w kierunku natychmiastowej gotowości do przywrócenia hibernowanym pełnych funkcji życiowych. Polecam zwiększyć szybkość statku, przygotować platformę ładowniczą, hall spotkań wypełnić powietrzem o składzie ziemskim, zmienić natężenie grawitacji

w izolatorium, wprowadzić kody rytmów dobowych dwudziestoczworgodzinnych, ustalić stan bakteryjno-wirusowy, sprawdzić zapasy żywności dla postaci ukształtowanych i rozwojowych, od fazy zero do fazy osiem. Nakazuję ponowną analizę całości operacji przez inny zespół komputerów i oddzielną grupę logików. Wtajemniczenie kodem numer jeden, wezwać na zebranie pełny zespół twórców programu Operacji Implant.

Zebranie zakończyło się w nocy. Trzy księżycy świeciły łagodną czerwienią na niebie. Jahwe był zadowolony, gdyż wszystko przebiegało zgodnie z tajnym planem operacji. Rano przewodniczył naradzie twórców i teraz jeszcze raz w myślach przeżywał burzliwą dyskusję. Przez długi czas w wydziale szóstym Operację Implant uważano za nieudaną i źle zaplanowaną. Dlatego zebranie było takie burzliwe. Wirakocza jak zwykle wyrzaskiwał, że „od dawna nikomu z nas nie chce się ruszyć cielska z fotela i nadal wyręczamy się ludźmi”. Ooanes hipochondrycznym tonem oświadczył, że czuje się już stary, a udawanie ryby z głową człowieka, pełzanie na brzuchu po piasku oraz wygłaszanie nauk dusząc się powietrzem jest ponad jego siły. Proponował dla Ziemi dalszy swobodny rozwój naturalny. Sugerował, aby planetę zostawić w spokoju, okresowo tylko ją kontrolując i otaczając ochroną. Przerwał mu zdenerwowany Ptah. Jak zwykle nie zostawiał niedomówień i bronił założeń programu. Słowa przedmówców nazwał dosadnie bełkotem głupców. „Będziemy mieli i tak więcej niż zakładaliśmy, kobietę z planowanego rozwoju naturalnego, mężczyznę z epoki wyprzedzającej oraz ich potomstwo, będące klasycznym rezultatem spotkań w wykonaniu ludzi. Może ktoś czegoś w tym programie nie przewidział, lecz trudno, nie ma to większego znaczenia. Zamiast jednej osoby wróci czwórka. Coś z nimi trzeba zrobić”. Set konsekwentnie proponował uśmiercenie pasażerów oraz realizację programu Implant II, z nim jako koordynatorem. Teraz wszyscy czekali na Imhotepa, który jak zwykle się spóźniał. Po przybyciu oświadczył, że wiadomości są zbyt zaskakujące, aby mógł wyrazić swój pogląd wcześniej niż po naradzie z Jahwe. Uzyskał niechętną zgodę zebranych.

Rozmowa tej dwójki odbyła się na fali niedostępnej dla żadnej penetracji poza Absolutem, ale ten jak zwykle był zajęty obserwacją stale poszerzającego się wszechświata i przenikaniem krzywizn czasoprzestrzeni oraz prawdopodobieństwami rozwoju różnych ożywionych bytów, przenikających odcinki linii poznania. Oczywiście przebywał na nasłuchu. Sam był nasłuchem.

- Ty - zwrócił się Imhotep do Jahwe - z pełną premedytacją zaplanowałeś błąd w teorii katastrof. Nawet tutaj, w Centrum, stawiasz się w obronie swego narodu wybranego, chociaż to tylko zbiór plemion. Uważam za skandal, że u nas w UCE oni mają swojego protektora. Ty sprawiłeś, że Nefer - ciągnął oskarżając - okazał się podobny do mnie. Ochraniałeś go polem siły, a twoje służby modyfikowały Operację Implant. Sądzę również, że Merenepthah jest zmodyfikowanym cherubinem.

- Prawie wszystko, co mówisz, jest prawdą - odpowiedział Jahwe. - Tylko nie cherubinem, a serafinem. Nie wiń mnie, bo cel przedsięwziętej misji wyznaczał sposoby jej realizacji. W odróżnieniu od was przebywałem na Ziemi niedawno. Kocham trzodę, której z nakazów Stwórcy jesteśmy pasterzami. Zrozum, oni - ta cała ludzkość - dobiegli kresu swych możliwości. Jeśli nie zrealizujemy Operacji Implant do końca, pozostaną na zawsze w obecnym stanie zatrwajającego ubóstwa umysłowego. Dokonałem modyfikacji programu, trochę może wbrew regulom i na pewno dla was nieoczekiwanie, lecz w określonym celu. Tillit urodzi bliźnięta o różnej płci, co jak wiesz, ma znaczenie podstawowe. W ten sposób uzyskamy kompletny materiał do następnego etapu rozwoju Ziemi I. Rozumiesz?

- Wiesz, to całkiem niezłe - powiedział po chwili Imhotep.
- Spróbujemy razem przekonać gremium, jestem po twojej stronie.

Wrócili do sali zebrań i zajęli przygotowane miejsca. Za stołem prezydialnym stanął Jahwe.

- Zebrani nauczyciele wydziału szóstego, oddział planet Ziemia I i II - rozpoczęli. - Mamy możliwość stworzenia następnego etapu cywilizacji. Uważam, że Operacja Implant zakoń-

czyła się sukcesem, który niebawem może zaowocować pozytywnymi skutkami w skali galaktycznej.

Wśród zebranych rozległy się podniesione głosy żądające wyjaśnień. Set na znak protestu usiłował wyjść z sali, Wirakocza zgłosił sprzeciw, a Ooanes zapowiedział wstrzymanie się z decyzją. Chęć zabrania głosu zgłosił Tot, co samo w sobie było wydarzeniem. Niezwykle rzadko przemawiał, przeciętnie raz na kilkaset lat. Poza tym nie można było wykluczyć, że jest jedynym spośród zebranych otrzymującym polecenia bezpośrednio od Absolutu. Wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę. Zapanowała cisza.

- Głównym problemem naszych podopiecznych zwanych ludźmi jest niezrozumienie istoty Dobra i Zła. Widzą je jako znaki przeciwstawne, w postaciach wrogów prowadzących między sobą nieustanny bój. Według ich sądów tę walkę prowadzimy my, jakoby w ich imieniu. To oczywiście groźny nonsens. Jesteście świadomi, że nasz status w oddziale szóstym i obecna odległość od Stwórcy będą trwały tak długo, aż sami sobie udzielimy trafnej odpowiedzi dotyczącej istoty Dobra i Zła. Przypomnę pytania, na które mamy odpowiedzieć. Czy wszystkie postępy należy oceniać według skutków czy też intencji? A może należy uznać, że naszym zadaniem powinna być próba wyrwania się Złu, chociażby przez zanegowanie jego istnienia? Czy nas obejmuje obowiązek przyjęcia reguł narzuconych przez wszechobecność krańcowych przeciwieństw? A w końcu, czy naprawdę mamy do czynienia z koniecznością udzielania przyzwolenia na istnienie Zła, a nawet więcej, czy istnieje przymus ukochania Dobra? Stawiam te pytania jasno i nie po raz pierwszy, wszakże są wyrazem niepojętych zamierzeń Wszechmogącego. My wszyscy znajdujemy się w UCE z racji naszej dojrzałości duchowej. Pytam was: gdzie i w czym dziś się ona objawia? Ja jej nie dostrzegam, a wręcz przeciwnie, słyszę kłótnie zastępujące dotychczasową kreatywność. Dlaczego tak postępujecie?

Zrobił dłuższą przerwę, po której nieco spokojniejszym głosem kontynuował:

- Niech teraz każdy w strukturze własnej osobowości poszuka przyczyn ujawnienia przed chwilą demonstrowanej de-

strukcyjnej ignorancji, a powinien ją znaleźć i co więcej - usunąć. Teraz z całą mocą oświadczam wam, że szczegóły misji Operacji Implant zostały przemyślane we wszystkich szczegółach. Absolut do jej nadzorowania wyznaczył Jahwe, nadając mu kompetencje, które nie zostały przekroczone. Z tego powodu skutki przedsięwzięcia też nie podlegają dyskusji. Upoważniam Imhotepa do przedstawienia ostatecznego celu, wyznaczonego przez Stwórcę. Proszę, aby zebrani wstali i tym samym złożyli dowód poddaństwa Jego najwyższemu rozkazom.

Wszyscy unieśli się z foteli, składając ręce w geście posłuszeństwa. Zrobili tak z własnej woli, mając świadomość nieustannej wojny Dobra ze Złem. Ponadto nie zamierzali dzielić losu niedawnego kolegi, a teraz wygnańca o imieniu Lucyfer i kilku innych skazanych na zapomnienie.

Tot wrócił na swoje miejsce. Do mównicy zbliżył się Imhotep. Rozejrzał się po sali, a widząc, że wszystkie miejsca są zajęte, przystąpił do składania wyjaśnień.

- Szanowni zebrani. Jak wam wiadomo, układ przestrzenny dookoła gwiazdy Słońce tworzy obecnie kilkanaście planet. Dwie zostały zasiedlone według analogicznego programu i wszystko na nich jest takie samo. Jednakże osadzenie życia na Ziemi I i II zostało dokonane nie w tym samym czasie, lecz w dwu odległych interwałach czasowych. Różnica czasu powstania obu tych cywilizacji wynosi 3300 lat. Początkowo planety krążące wokół Słońca - wówczas było ich dziesięć - zostały ustawione w jednym rzędzie. Wiecie o tym, że nasi przodkowie otrzymali od Stwórcy rozkaz, aby jedną z nich, tę, na której życie zaszczerpiono później, czyli Ziemię II, przenieść na przeciwległą stronę Słońca. Ten gigantyczny program zrealizowano. W efekcie obecnie mamy sytuację taką, że po jednej stronie pozostało w szeregu dziewięć planet, w tym Ziemia I, Nefera, po przeciwnej zaś stronie Słońca istnieje Ziemia II, z której pochodzi Tillit. Wszelkie wydarzenia, toczące się na tych bliźniaczych globach różnią się jedynie - czasem zachodzenia. I tak, Nefer żyje w czasie ponad trzy tysiące lat późniejszym niż Tillit. Stało się tak po to, aby ludzie z Ziemi I mogli rozwijać się w sposób naturalny. Z kolei zamieszkujący Ziemię II otrzymali szansę uniknięcia błędów braci wyprze-

dzających ich w czasie i rozwoju. Podam dla jasności, że obie te planety nie mogą się zobaczyć; kiedyś przeszkadzało im w tym Słońce, a od niedawna założone przez nas ochronne ekranowanie. Sądzę, że pamiętacie holograficzne przedstawienie stanu dewastacji Ziemi I, skąd pochodzi Nefer; pokazywano go przed rozpoczęciem Operacji Implant, ponieważ jednak część obecnych dziś osób jest tutaj po raz pierwszy, proszę o jego przypomnienie.

Zgasło światło, a na ekranie ukazały się ujęcia i wycinki odległej rzeczywistości, które większość z nich już kiedyś widziała. Oczywiście, dla każdego z osobna czas poprzedniej projekcji był odmienny, gdyż przebywali w różnych przestrzeniach i krzywiznach zdarzeń. Na twarzach zebranych można było zauważyć przygnębienie, smutek, nawet rozpacz. Imhotep kontynuował:

- Znacie stan Ziemi I. Dla przypomnienia powiem, że wielu z mieszkających na niej praojców ludzi, na przykład Noe i Matuzalem, żyło tam kilkaset lat. Później, w okresie, który Ziemia nazywają średniowieczem, średnia życia skróciła się do trzydziestu lat, a obecnie wynosi około sześćdziesięciu. Ludzie współżyjący z Neferem nie mają szansy wydłużenia swojego istnienia, a przyczyna skrócenia ich życia leży w uszkodzeniu DNA genów. Nie jestem specjalistą w tym zakresie, ale podstawowe sprawy znam. Różne czynniki, w tym kosmiczne, spowodowały uszkodzenie kodów genetycznych oraz enzymów naprawczych u ludzi. Doszło u nich również do obniżenia sprawności mechanizmów zabezpieczających niezmiennosc DNA. Dogłównych przyczyn wywołujących przedstawione wam defekty chromosomalne należy zaliczyć promieniowanie ultrafioletowe, jonizujące, elektromagnetyczne, jak też niesłychanie mutogenny wpływ przemysłowych odpadów chemicznych. Na skutek tego obecne pokolenie braci i sióstr Nefera wyrodnieje. Powstają patologiczne formy istnień. Jeśli mieszkańców Ziemi I pozostawimy własnemu losowi, uwstecznia się fizycznie i psychicznie, mogą się wręcz unicestwić. Niektórzy z nich noszą już w sobie gen eksterminacyjny, mogą zrobić użytek z broni jądrowej. Ludzie żyjący na Ziemi II, Tillit, są wolni od podobnych uszkodzeń i obaw.

Naszym celem jest ludzkość Ziemi I, ale ta ludzkość, która dopiero ma się tam narodzić. Chcemy doprowadzić do tego, aby zachowała dotychczas wypracowane zasoby intelektualne i aby jej rozwój fizyczny i umysłowy postępował we właściwym kierunku. Stąd program „Operacja Implant”. Ratunkiem dla mieszkańców Ziemi I staną się dzieci mężczyzny i kobiety z różnych czasów. Krzyżówka ich genów zawiera pochodzącą od Nefera odporność na czynniki mutogenne oraz posiadaną przez Tillit sprawność enzymów i mechanizmów naprawczych DNA. Dalej sprawa jest już prosta. Potomstwo obojga zachowa fizjologię rodziców. Nieustannie będzie produkować wydzieliny, w których znajdują się nieprzeliczone zapasy komórek o nowym kodzie genetycznym oraz substancje, jakich nie sposób wytworzyć sztucznie. Bez trudności możemy je zbierać, magazynować i przetwarzać, a następnie śladowe ilości nowych genów oraz związków broniących je przed zniszczeniem rozpylać w powietrzu i dodać do wód Ziemi I. Mają one to do siebie, że po dostaniu się do organizmu ludzkiego natychmiast kumulują się w komórkach rozrodczych. Powstaną nowe pokolenia ludzi o odmiennych cechach, a nam pozostanie spokojne czekanie. Na zakończenie chciałbym powiedzieć, że Tot, Jahwe i ja mamy akceptację Absolutu na realizację dalszego etapu programu. Myślę, że będzie nosił nazwę „Mesjasz”. Zamierzamy cierpliwie i rozważnie sterować inteligencją i umysłowością Ziemi. Sądzymy, że doprowadzimy do szybkiego udoskonalenia ludzi z trwałym zapisem nowo nabytych cech w chromosomach. Powstanie zupełnie inne społeczeństwo, które wyprojektuje dobre prawo, etykę, moralność, miłosierdzie i następnie scali je w jednej religii podobnej do naszej, kosmicznej. My mamy obowiązek przybliżyć ludziom zadanie, jakie wszystkim powierzył Stwórca. Ziemia I rozpocznie następny etap, w którym powinna przejść do wyższej klasy świadomości. Wówczas zostanie nazwana Ziemią Obiecaną, a zamieszkujący ją nasi bracia młodszy w rozumie staną się Narodem Wybranym.

Skończył. Nikt już nie zabrał głosu. Na ekranie pojawił się napis: *Wrzuć do komputera zapis swoich myśli.*

Po chwili przeczytali: *Całkowita aprobatą, koniec weryfikacji Operacji Implant.*

Tillit urodziła nam dzieci, które rozwijały się wspaniale, a nową rzeczywistość przyjęła równie naturalnie, jak aborygen telefon. Pewnego dnia wieczorem spojrzała mi prosto w oczy.

- Neferze - powiedziała - przypuszczam, że niebawem nas rozdzielią i chyba nie będziemy mieli na ich decyzję żadnego wpływu. Nie mam wyboru - nagle się rozpląkała - przecież wiesz, że muszę zostać z dziećmi.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - spytałem zatrwożony.

- Nasz syn rzucił się na nauczyciela i go pogryzł. Szkoła jest oburzona.

- Dlaczego tak zrobił?

- Przyznał się dopiero wtedy, gdy go utuliłam.

- Tillit, mów do rzeczy.

- Przypadkowo podsłuchał, jak nauczyciel w rozmowie z kolegą powiedział, że wyjeżdżasz na stałe. Chłopiec wyraził protest, jak umiał. Czy domyślasz się czegoś?

- Absolutnie nie - powiedziałem.

Oboje zamikliśmy, zdenerwowani. Taki stan trwał dwa dni, aż do naszego domu przybyli Imhotep i Jahwe.

- Neferze! - rzekł Imhotep. - Musisz wrócić do swoich czasów, ale nie na długo.

Mówili jeszcze, że jeśli stracę ziemskie ciało i wrócę tutaj, będzie na mnie czekało nowe. Pokazali mi jego holograficzną projekcję; całkiem niezłe, młodsze.

- Poza tym - powiedział Jahwe - ty i twoje życie to program symulacyjny, wyprzedzający dalsze nasze akcje na Ziemi. Czas tutaj i tam biegnie zupełnie inaczej, chociaż niekiedy się przenika. Kiedyś to zrozumiesz, ale uwierz nam, Tillit ani dzieci nie zauważą twojego odejścia i powrotu. Potraktuj je tak, jakbyś zwyczajnie udał się do pracy. W ich świadomości nie będzie przerwy ani stresu związanego z pozornie brutalnym rozwiązaniem twojego problemu.

- Kiedy chcecie mnie odesłać? - spytałem.

- Wkrótce. Do Operacji Implant zostałeś zgodnie wybrany przez nas wszystkich, a co więcej, pokonałeś założony tor przeszkód. Ten fakt spowodował, że uznajemy cię za młodsze

brata. Ale, jak każda ziemská istota, musisz kiedyś zakończyć planowany czas stażu. Absolut w tym względzie jest rygorystyczny.

- W takim razie, dlaczego nie mogę wrócić z Tillit? - spytałem gniewnie.

- W jej wypadku, ze względu na dobro dzieci, mamy inne polecenie. To niesłychane, ale ty i twoja rodzina zwróciliście uwagę samego Stwórcy.

Potem mówili coś, czego do końca nie rozumiałem. O jakichś prawach przyrody obowiązujących w ograniczonym zakresie i tylko na określonych warunkach. O pozaczasowych elementach struktury materii i ducha. O kapsułach pozostawionych na Ziemi do odczytu, gdy nadejdzie właściwy moment. O czasie, w którym dla mnie skutek zawsze następuje po przyczynie, a u nich tak być nie musi, gdyż potrafią nim manipulować, a więc przyspieszać, zatrzymywać albo cofać, co miało miejsce w moim wypadku. Miałem to gdzieś i zupełnie mnie nie interesował wywód Jahwe o powstaniu życia, które nie jest wynikiem przypadku, jak u cytowanego przez nich Swifta, gdzie sylaby utworzyły uporządkowany logicznie zbiór wyrazów tworzący książkę. Protestowałem przeciwko odcinaniu mnie od Tillit i dzieci. Usiłowali mnie pocieszyć, mówiąc o istnieniu światów paralelnych. O tym, że rzeczywistość nie reaguje chaotycznie i przypadkowo, lecz przeciwnie, jest w niej możliwe równoległe istnienie przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. To tak, jak z tobą i twoją kobietą - mówili - ale nie możemy przeciwstawić się temu, co polecił Stwórca.

Nie wiedziałem, czy to wszystko prawda. Odczuwałem zupełnie ludzki żal do Boga. Wzruszyłem ramionami i poszedłem do Tillit. Była poważna, ale trzymała fason i cicho powiedziała:

- Wiem wszystko, mówili mi to samo. Ale teraz jestem dobrej myśli. - Zarumieniła się. - Słuchaj, Neferze, tu nie ma ziaren ani mułu, a ja jestem przy nadziei...

Istotnie, po urodzeniu bliźniąt stała się jeszcze bardziej nienasycona, a moje jądra uważała za odnawialne wydmuszki. Oburącz chwyciłem się za głowę. Zrobiła chytrą minę.

- Nie wiem, czy oni o tym wiedzą - powiedziała całkiem spokojnie i chłodno. - Ale rolę ojca traktują niesłuchanie se-

rio. U nich nie ma rozwodów ani separacji. Jak się dowiedzą, co jest i jak, szybko cię tu ściągną. Jestem tego pewna - rzekła stanowczo.

Miała swoje babskie patenty omnipotentnych rozwiązań. Rodziła i jako dawczyni życia uważała, że posiada niezbywalne prawo roszczeń, nawet do Stwórcy. Dzieci już spały, gdy po mnie przyszli. Zachowywali się spokojnie, poważnie.

- Neferze, twój czas dobiegł. Teraz pójdziesz z nami.

Skinąłem głową i przytuliłem Tillit. Czulem, jak burzy się z żalu i bezsilności. Zdeterminowana powiedziała:

- Chcę go odprowadzić tam, w jego czas, aż do samego domu. Pragnę zobaczyć, gdzie będzie żył. Muszę mieć o czym myśleć. Dla mojego spokoju konieczne są prymitywne obrazy rzeczywistości, a nie jakieś tam wasze wymysły. Powiniście wyrazić zgodę, bo inaczej zaraz zrobię coś tak prostackiego, że będziecie musieli naradzić się z tym bogiem, którego nazywacie Absolutem.

Poszeptali chwilę i nagle obaj uśmiechnęli się, po czym Imhotep serdecznie powiedział:

- To całkowicie niezgodne z planem, ale masz Jego zgodę. Nieoczekiwanie dla nas twoje żądania mają charakter sprawy.

Potem zaprowadzono nas do miasta, które było statkiem. Zbudziłem się, gdy planetoid ustawił się nad chmurami europejskiego nizu. Zeszliśmy razem do ładownika. Zmaterializował się w moim ogrodzie, pod liśćmi orzecha. Wyszliśmy na trawę, trzymając się za ręce. Jak na zwolnionym filmie wędrowaliśmy przez mój dom od piwnic aż po strych. W oczach Tillit widziałem trzaskający zoom kamery wideo, rejestrujący wszystko. Uczyła się na pamięć całości, szczegółów tego, w czym dotąd żyłem. Nie mówiła nic, a gdy wróciliśmy do ogrodu, jeszcze raz spojrzała na mnie przepastnymi oczami, w których można było się utopić. Przy wejściu do ładownika odsłoniła bluzkę i coś stamtąd wyciągnęła.

- Weź to - wcisnęła mi do dłoni mały, półokrągły przedmiot. Splunęła na szczęście i cicho powiedziała: - On ma ci przypominać mnie i dzieci aż do tego czasu, dokąd będziemy rozdzieleni. - Nie płakała, odwrotnie niż ja.

Śledziłem lot kapsuły i widziałem jak statek-matka zniżając pułap otworzył luk pasażerski. Gdzieś obok, za murem, ludzie krzyczeli coś o latającym spodku. Zachnąłem się. Przecież nie jest on czymś aż tak trywialnym. Położyłem się do łóżka i szybko zasnąłem.

Rano obudziło mnie szczekanie psa, głośny trzask otwieranych zamków oraz dźwięk telefonu. Usłyszałem głos żony.

- Przykro mi - mówiła - ale niedawno wrócił z kliniki i śpi.
- Po chwili przerwy: - Jeśli to konieczne... - Otworzyła drzwi i spojrzała na mnie z uwagą. - Ta noc w szpitalu musiała być straszna, wyglądasz jakby cię przejechała glebogryzarka. Szuka cię dyżurny lekarz.

Wstałem, patrząc na jej twarz, wykrój oczu, kształt brody, kolor włosów, tonację głosu, sylwetkę i emanujący z niej spokój, wynikający z naszego zatapiania się w czasie, z niewymawialnej zgody na konsumpcję zdarzeń wspólnego życia. Moje sny mieszały się z jawą, a pamięć chichotała, nakładając na siebie twarze dwóch kobiet. Robiła to coraz szybciej, szybciej, migotaniem obrazów, przenikaniem rysów, synchronią cech, w końcu uwidoczniła się jedna i ta sama moja Tillit, żyjąca w dwu różnych epokach. W tym momencie poczułem, że Stwórca się do mnie uśmiechnął.

Podchodziłem do telefonu, gdy z moich zaciśniętych palców wypadł na podłogę błękitny skarabeusz i potoczył się pod nogi żony. Zdumiona podniosła go i szepnęła cicho:

- Skąd ja go znam? Mam wrażenie, że kiedyś był mój.

...

Siedziałem w pokoju Sheraton-International na wyspie Zamałek w Kairze. Z okien widziałem Nil, płynący tak samo nieustrudzenie jak zawsze. Z prawej strony za rzeką piętrzyła się kopała Muzeum Starożytności. Na horyzoncie piramidy dotykały nieba, dłubiąc czasowi w zębach. W rękę trzymałem gazetę; z przeczytanego przed chwilą artykułu wynikało, że odkryto i zidentyfikowano wszystkie mumie Ramessydów poza Merneptahem. Autor zastanawiał się, czy był on tym faraonem, który zginął na dnie Morza Czerwonego, zalany falami na rozkaz Mojżesza z pomocą Jahwe, czy raczej jedynym skazanym

przez kapłanów na karę wiekuistego zapomnienia. W odróżnieniu od autora wiedziałem, że świetnie zachowany sarkofag z ciałem Merenepthaha od wieluset lat znajduje się pod Ścianą Płaczu w Jerozolimie. W wielkiej tajemnicy umieścił go tam sam Salomon. W ogóle egiptolodzy i uczeni z Izraela podawali kilka dat wyjścia Żydów z Egiptu. Najbardziej skrajni uważali, że exodus miał miejsce po Merenepthahu, gdyż na Stelli Izraela w Muzeum Egipskim odczytano informację, że właśnie jego syn, Ramzes m, zniszczył Kanaan i pognębił Żydów. Prawda jest zupełnie inna: faraon ten, syn Merit-Amun, pognębił Fenicjan i innych przeciwników narodu izraelskiego. O tym, że wyprawę podjęto przede wszystkim w celu przekazania znacznej części skarbu Irinefera na potrzeby budowy świątyni w Jerozolimie, poza nim i jego matką nie wiedział przecież nikt. Złoto pod ochroną wojska dotarło na miejsce, a pręssieńczycy ukryli je w Qumran aż do czasów Salomona, któremu wydali niewielką jego część. Resztę po prostu ukradł sprytny Herod i z niego wybudował słynną świątynię, zniszczoną potem przez Tytusa.

Nudziłem się, czekając w hotelu na żonę, którą ogarnęło szaleństwo kupowania egipskich butów. Położyłem się na wygodnym tapczanie i zacząłem przerzucać „Newsweeka”. Zainteresował mnie artykuł o księgach Tota. Autor raz pisał Embra, innym razem Aembra. Mylił Tota z Hermesem sądząc, że są to różni bogowie lub zmitologizowane osoby. Rzekomo miał dowody, jakoby w posiadanie Embry wszedł Vincenzo Medici, który jednak nie dożył przetłumaczenia tekstu przez Ficino. Potem na długi czas księgi zginęły, ukryte przez nieznaną osobę. Napoleon chwalił się nimi Józefinie. Na styku dziewiętnastego i dwudziestego wieku car Mikołaj II twierdził, że je odzyskał. W 1944 roku Beria podobno połowę tomów pokazywał Stalinowi. Nieco później, w okresie kryzysu kubańskiego, wysoki oficer CIA widział komplet dzieł Tota w gabinecie prezydenta Kennedy'ego. Mułowie arabscy w latach dziewięćdziesiątych twierdzili, że cudownym sposobem odzyskali tę najcenniejszą z relikwii, która w tajemniczy sposób odnalazła się u stóp świętego kamienia Kabba w Mekce. W 1996 roku indagowany w tej sprawie naczelnny rabin Izraela łagodnie się uśmiechnął i powiedział:

- Więc niech tak uważają.

Potrzebowałem odpoczynku po dwudniowej męczącej podróży do Dendera. Z czasów świetności miasta pozostały tam jedynie ceny. W obskurnych kramach kupiłem kilka uszebti, raczej szpetnych figurek nagich kobiet. Wynająłem dorożkę z osiołkiem i słuchając stukotu małych kopytek podążyłem w kierunku piaszczystego wzgórza. Czas zatarł jego konfigurację, ale dobrze pamiętałem miejsce, gdzie ongiś znajdowała się nekropolia i grobowiec Menhure. Wspiąłem się dotąd, aż serce mi powiedziało, że tu pod zwałami ziemi leży jego mumia. Małą łopatką wykopałem jamę, starannie ułożyłem uszebti i doznałem uczucia, że jego „ka” zyskało radosną odmianę. Może mi się zdawało, że słyszę chichot historii, może to był wiatr, ale w tej muzyce słyszałem cichy śmiech wuja Tillit.

Wróciłem do Kairu. Nad brzegiem rzeki ogromna koparka wybierała piach z nabrzeża. W zębach chwytnika znajdował się prostokątny kawałek piaskowca, przypominający szyldy tebańskich sklepów. Prace przerwano, wokół gromadzili się gapie, usiłujący dojść przeznaczenia wydobytego przedmiotu. Bez trudu odczytałem starożytną inskrypcję: *Najlepsze jęczmienne piwo w Memfis jest u Manu.*

Coś mi kołatało po głowie, ale całkiem innego niż podnieconym pracownikom Muzeum Starożytności. Wróciłem do swojego pokoju i natychmiast wyłączyłem klimatyzację. Czuję dochodzący przez otwarte okno zapach smażonej baraniny i spalin wiekowych chevroletów. Lekki wiatr od Nilu niósł aromat abisyńskiej glinki i krzyki pasażerów wodnych tramwajów. Z zainteresowaniem czytałem „Oczy Sfinksa” Daenikena, zastanawiając się nad tajemnicą powstania labiryntu oraz nad dalszymi losami obiektów na obecnie zapomnianym jeziorze Mojrisa, które zasypały piaski pustyni. Otworzyły się drzwi i weszła moja żona.

- Spójrz, jakie śliczne - powiedziała i rzuciła na stół naszyjnik z turkusów, taki sam jaki nosiła Tillit w Dendera.

Gdańsk, czerwiec 1997 r.